

€

Ilustracje

Przemysław Wolny

fabryka słów

Lublin 2008

Epidemie i zarazy Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2008 Epidemie i zarazy Copyright © by Eryk Górski, Robert Łakuta, 2008

Ognisko 11 Copyright © by Michał Cholewa, 2008 Dom na wzgórzu Copyright © by Jakub Ćwiek, 2008

Ketew Meriri Copyright © by Rafał Dębski, 2008 Antidotum Copyright © by Tomasz Duszyński, 2008 Światy Dantego Copyright © by Anna Kańtoch, 2008 Szeiésset cetnarów piekła Copyright © by Jacek Komuda, 2008 Parowóz Copyright © by Andrzej Pilipiuk, 2008 Piwnica Copyright © by Paweł Siedlar, 2008

Wydanie I

ISBN 978-83-7574-048-6

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem nie jest od niej wolny. I trzeba czuwać nad sobą nieustannie, żeby w chwili roztargnienia nie tchnąć dżumy w twarz drugiego człowieka i żeby go nie zakazić.

Albert Camus Dżuma

Andrzej Pilipiuk

Urodzony w 1974 roku, pisać zaczął wcześnie, już w piątej klasie szkoły podstawowej. Tworzenie własnych światów stanowiło dla niego ucieczkę przed siermiężną rzeczywistością. Brak wiary we własne siły spowodował, że pierwsze teksty wydał drukiem późno - dopiero na studiach.

Zadebiutował na łamach „Feniksa” i był to dobry początek. Od tej pory konsekwentnie kroczył wytyczoną ścieżką, stając się z czasem jednym z najpoczytniejszych polskich pisarzy.

Dziś dorobek Andrzeja to przeszło setka opowiadań zebranych w siedmiu odrębnych zbiorach, dwie trylogie i kilka samodzielnych powieści. Fabryka Słów opublikowała dotąd 15 książek jego autorstwa.

Proza Pilipiuka była tłumaczona na czeski i rosyjski. W wolnych chwilach, pod pseudonimem Tomasz Olszakowski, wydał dziewiętnaście tomów kontynuacji przygód Pana Samo-chodzika.

Andrzej Pilipiuk

Urodzony w 1974 roku, pisać zaczął wcześnie, już w piątej klasie szkoły podstawowej. Tworzenie własnych światów stanowiło dla niego ucieczkę przed siermiężną rzeczywistością. Brak wiary we własne siły spowodował, że pierwsze teksty wydał drukiem późno - dopiero na studiach.

Zadebiutował na łamach „Feniksa” i był to dobry początek. Od tej pory konsekwentnie kroczył wytyczoną ścieżką, stając się z czasem jednym z najpoczytniejszych polskich pisarzy.

Dziś dorobek Andrzeja to przeszło setka opowiadań zebranych w siedmiu odrębnych zbiorach, dwie trylogie i kilka samodzielnych powieści. Fabryka Słów opublikowała dotąd 15 książek jego autorstwa. Proza Pilipiuka była tłumaczona na czeski i rosyjski. W wolnych chwilach, pod pseudonimem Tomasz Olszakowski, wydał dziewiętnaście tomów kontynuacji przygód Pana Samo-chodzika.

Siedzieliśmy w mojej kawalerce. Wiatr gwizdał ponuro

w przewodach wentylacyjnych. Po trzecim piwie zdecydowałem się pociągnąć wreszcie gościa za język.

- Wspominałeś, że masz dla mnie supertemat na artykuł - zagadnąłem. - Może uchylisz rąbka tajemnicy?
- Kojarzysz nazwę miasteczka Michałowice?
- Niestety. - Pokręciłem głową. - A co się tam stało? Kręgi w zbożu znaleźli?
- To dziwne miejsce - powiedział poważnie Sławek. -Chore. Czarny czakram...
- A konkretnie? - zapytałem.
- Ludzie tam umierają. Umierają częściej, niżby to wynikało ze'zwyczajnej statystyki.
- Okolice nie sprzyja zdrowiu? Czy może klątwa rzucona przez pogańskich kapłanów?
- Ech, ty hieno z brukowca...
- Nasza gazeta to poważne pismo dla... - zacząłem.
- Poważne gazety nie drukują zdjęć gołych babek koło programu telewizyjnego. A, pal diabli.
- A więc Michałowice to przeklęta wieś?

Parowóz

- Ażebyś wiedział. Coś jest nie tak. Pewne, khmm... Oczywiście wysoce poufne dane szpitalne wskazują, że coś tam jest mocno nie tak.
- Byłeś na praktykach i... - podchwyciłem.
- W szpitalu rejonowym w Kielcach. Wyobraź sobie, jak trafia im się ktoś z Michałowic, to stają na uszach, by go odesłać do Radomia, coby sobie nie psuć statystyk.
- Mogę się domyślać. A na co chorują ci'ludzie?
- Na raka. Czasem na białaczkę. A tych ze zwykłą anemią to na tuziny trzeba liczyć. Albo powiem inaczej. Jedna dziesiąta wszystkich zgonów z powodu nowotworów to ludzie z tamtej gminy i dwu sąsiednich. Do tego masa zawałów i udarów, jakieś zmiany zwyrodnieniowe stawów...
- Jak się to ma do reszty powiatu?
- Trzy-, może czterokrotna „nadwyżka”.
- Geny czy jakiś czynnik kancerogenny? - zainteresowałem się.
- Cholera wie.
- Od dawna?
- Trudno ocenić... Ale to istna wiocha trędowatych.

Westchnąłem. Temat wydał mi się średnio ciekawy.

Chociaż z drugiej strony, gdyby dać odpowiedni tytuł... Na przykład ten, który sam mi nieświadomie podpowiedział: „Wioska trędowatych”. Brzmi niezłe... Tylko czy w ogóle brać się za to? Kupa roboty, a efekt trudny do oszacowania.

- Spróbuję się trochę rozejrzeć - powiedziałem. -Znasz w okolicy jakąś kwaterę?
- U proboszcza w Michałowicach. Sympatyczny człowiek, od niedawna tam siedzi. Ludzie w okolicy intelek-

Andrzej Pilipiuk

tem nie błyszczą, nie ma z kim pogadać... Jeśli chcesz, mogę do niego przedzwonić choćby dzisiaj.

- Widzę, że postanowiłeś zobaczyć to zadżumione miejsce na własne oczy?
- Nie, miałem w ramach praktyk badania przesiewowe w miejscowej szkole. Od razu powiem, że nic ciekawego. Troszkę te dzieciaki niższe niż u reszty populacji, ale na terenach popegeerowskich to norma.

- Może i faktycznie warto się temu przyjrzeć?

Zamyśliłem się.

Informacji o Michałowicach było niewiele. Wioska i parafia założone zostały w końcu osiemnastego wieku. W połowie dziewiętnastego w okolicy znaleziono niewielkie złożę miedzi. Eksploatowano je przez kilkadziesiąt lat i porzucono. Obecność kopalni pozwoliła wiosce zamienić się w miasteczko. W czasie budowy kolei linię poprowadzono trzy kilometry od osady. Zbudowano niewielki dworzec i stację zaopatrywania parowozów w wodę. Po zamknięciu wyrobisk niedaleko osady ruszyły dwa niewielkie kamieniołomy. W latach dwudziestych próbowano wznowić wydobywanie rud miedzi, ale wyniki nie były zachęcające. Tuż przed wybuchem wojny miasteczko liczyło trzy tysiące mieszkańców, w tym około pięciuset Żydów. Funkcjonowała tam gorzelnia, spółdzielnia rolnicza, wzorcowa mleczarnia, chlewnia i warsztat produkcji narzędzi rolniczych. Po wojnie liczba ludności stopniała do tysiąca trzystu, a potem już tylko spadała... Spółdzielnię upaństwowiono i szybko zdechła, mieszkańcom zafundowano „nowe, lepsze życie” w PGR...

Parowóz ■ 13

Jechałem przez wiochę, rozglądając się wokoło. Dawno nie widziałem tak koszmarnej dziury. Stare domy najwidoczniej rozebrano, wzdłuż drogi straszyły gierkowskie klocki i budynki z pustaków obite, lub nie, sidin-giem. Kilka pegeerowskich baraków straszyło odrapanymi ścianami. Betonowe ogrodzenia, plastikowe krasnale w ogródkach. Sklepek, grupka meneli przyrośniętych do ławeczki.

Zabytków Michałowice nie posiadały żadnych. Z monografii o okolicy wiedziałem, że kościół spalił się dwukrotnie - w połowie XIX wieku i w czasie pierwszej wojny światowej. Obecna świątynia nie miała jeszcze stu lat. Z drewnianej synagogi nie zostało nic, na kirkucie ocalały ponoć trzy macewy. Nic ciekawego, nic, o co można by zaczepić oko. Ba, nie było tu nawet ośrodka zdrowia, w którym można by pogadać z lekarzami.

Dojechałem zapuszczoną drogą do ruin niewielkiego dworca kolejowego. Linię zlikwidowano jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Budynek nie miał nawet dachu.

- Duuupa - mruknąłem.

Okolica wyglądała odpychająco. Nie było tu kompletnie nic ciekawego... Chociaż nie. Okoliczne wzgórza były ładne. Amator pieszych wędrówek mógł znaleźć tu niejedną dobrą ścieżkę. Zajechałem przed plebanią i zaparkowałem obok „cienko-cienko” należącego zapewne do proboszcza.

- A więc chce pan napisać artykuł o tym, że ludzie tu umierają - zadumał się ksiądz Michał.

14 • Andrzel Pilipluk

Siedzieliśmy w przytulnym gabinecie na plebanii. Piliśmy kawę i zagryzaliśmy ciasteczkami domowej roboty. W okna bił ciężki jesienny deszcz. Na dworze było już zupełnie ciemno.

- Taka praca. - Wzruszyłem ramionami. - Jeśli przy okazji uda się odkryć przyczynę, to przecież nie zachowam tego w sekrecie. Ludzie mają prawo wiedzieć takie rzeczy.
- Słusznie. - Kiwnął głową. - A więc sądzi pan, że jest ' jakaś przyczyna? Jedna przyczyna wielu różnych śmierci?
- To Góry Świętokrzyskie - powiedziałem. - Stare, częściowo mające pochodzenie wulkaniczne. Eksploatowano tu miedź, ołów, podobno nawet złoto... Gleba i wody mogą być skażone związkami ołowiu, może arsenu. Tak zapytam, czy widział ksiądz u swoich parafian taki czarny pasek na zębach?
- Dbałość o higienę jamy ustnej nie jest ich mocną stroną. - Zadumał się. - Czarne zęby?
- Czarna albo szara kreska przecinająca poziomo szkliwo. Czasem może być w kształcie litery V.
- Chyba nie. A co to takiego?
- Jeden z charakterystycznych objawów przewlekłego zatrucia ołowiem.
- Nie przypominam sobie. - Pokręcił głową. - A nie może to być jakaś epidemia? Zaraza? Są przecież bakcyle, które atakują różne narządy wewnętrzne.
- Nie wydaje mi się. Słyszałem, że istnieją wprawdzie bakterie i wirusy mogące wywołać różne odmiany raka, ale nie znam konkretnych.
- Zawały serca ponoć mogą być związane z próchnicą. Gdzieś słyszałem, że nielezione zęby zwiększają ryzyko. Niestety, nie mieliśmy w seminarium podstaw medycyny... Wiem, że depresje mogą zwiększać ryzyko

Parowóz • 15

zachorowań, ale są typowe raczej dla ludzi wykształconych, a w tej okolicy nie mamy takich wielu.

- Szkoda, że Sławek jest na urlopie - westchnąłem. - Podrzucił mi temat jak zdechłego kota, a sam drapnął poopalać się na tureckiej riwierze...
- Przecież badał wszystkie dzieciaki w szkole i robił kobietom mammografię - zauważył duchowny.
- Gdyby przyczyna była łatwa do ustalenia, sam by się tym zajął. A w każdym razie zdołałby ją zidentyfikować.
- Fakt... *
- Spać pora. - Ksiądz spojrzął na zegarek. - Miło się gawędzi, ale muszę o szóstej rano mszę odprawić...

Dopiłem resztki z filiżanki i powędrowałem do pokoju gościnnego. Stare, XIX-wieczne łożo czekało, kusząc śnieżnobiałą, krochmaloną pościelą. Piętnaście minut później spałem już jak zabity.

Ranek był chłodny i wilgotny. W nocy długo padał deszcz, na dworze panował dokuczliwy ziąb. Wyszedłem z ciepłego kościoła. Zasuwałem suwak kurtki. Cmentarzyk ulokowano koło świątyni. Ruszyłem między mogiły i wtedy z miejsca uwierzyłem we wszystko, co powie-t dział kumpel lekarz. Nagrobki wręcz krzyczały do mnie ze wszystkich stron. Kroczyłem przez zroszoną trawę, odczytując daty. Żył lat dwadzieścia osiem, żył lat trzydzieści, żyła lat dwadzieścia dwa...

Wyciągnąłem notatnik i bezwiednie zacząłem notować cyfry. Obszedłem kościół po łuku i znalazłem się na starszej części cmentarza. Przedwojenne grobowce, ozdobione masywnymi krzyżami... Patrzyłem na wyryte

16 • Andrzej Pillpiuk

w kamieniu daty. Żył lat osiemdziesiąt sześć, dziewięćdziesiąt dwa, siedemdziesiąt dziewięć...

- Widzę, że już pan węszy - usłyszałem głos księdza Michała. - Niepotrzebnie pan tu łązi i buty w trawie moczy.

- Tak? - zdziwiłem się.

- Przecież to wszystko szybciej można sprawdzić na plebanii w księgach parafialnych - uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie pomyślałem - przyznałem ze skruchą.

- No to śniadanko i zapraszam do grzebania w papierach - uśmiechnął się.

Gospodyni zrobiła jajecznicę. Wypiłem filiżankę kawy. Potem jeszcze jedną.

- Szkoda, że niewiele mogę panu pomóc - powiedział duchowny. - Objąłem parafię dopiero trzy miesiące temu. Ciągle jestem tu jakby obcy, a ludzie spowiadają się z tego, co nagrzeszyli w ciągu roku, a nie pół wieku temu...

- Dwa tysiące lat chrześcijaństwa, a grzechy wciąż takie same - zacytowałem usłyszany kiedyś dowcip.

- Ażeby pan wiedział.

- Hmm... A może warto skontaktować się z poprzednim proboszczem? - zadumałem się. - Może on coś wiedział?

- Niewykluczone, przebywał tu ponad dwadzieścia lat. Niestety, z nim porozmawiamy, jak już sami znajdziemy się po tamtej stronie...

- Zmarł?

- Nowotwór z przerzutami.

Spędziłem kilka godzin, wertując księgi zgonów. Zacząłem od przedwojennych. Następnie przejrzałem te z okresu okupacji i powojenne. Ponuro to wyglądało... Najgrubsza była z 1945 roku. Ludzie wracali z robót

Parowóz 17

przymusowych i obozów koncentracyjnych. Przynosili wieści o tych, którzy wrócić już nie mogli. Ale w kolejnym roku liczba mszy pogrzebowych znacznie spadła. Za to księga, w której zapisywano śluby i chrzciny przyjemnie spuchła. W wyniszczonym przez wojnę kraju odradzało się życie...

Począwszy od 1951 liczba zgonów zaczęła rosnąć, apogeum osiągając trzy lata później.

Wrzuciłem dane do laptopa i zobrazowałem je sobie w postaci wykresu słupkowego.

- Fiu, fiu, toż to, widzę, cała praca naukowa - zażartował proboszcz.

Zatopiony w myślach nie zauważyłem, "kiedy wszedł.

- Są wyraźne anomalie - powiedziałem. - Jeśli mamy do czynienia z czynnikiem zewnętrznym, to...

- To się musiało stać jakoś około 1951 roku - zauważył. - Epidemia Heine-Mediny jakoś wtedy była.

- Rok się zgadza - potwierdziłem. - Ale to draństwo przeważnie okalecza, a nie zabija. Stawiałbym raczej na ospę wietrzną.

- Od tego się przecież nie umiera? - Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Ale u sporego odsetka populacji wywołuje znaczny spadek odporności na inne infekcje.

- Ale nie na nowotwory...

- To prawda. Ale osłabiony organizm zaatakują łatwiej... Szkoda, że kompletnie brak mi przygotowania medycznego...

- Pomyślałem, że może zechce pan przejrzeć jeszcze jedną rzecz - zmienił temat. - Mam kroniki parafialne przedwojennego proboszcza. Nazywał się Gałek.

- Kroniki parafialne?

18 • Andrzej Pilipluk

- Nie każdy je prowadzi, ale wielu proboszczów ma taki zwyczaj. Księgi to suchy urzędowy dokument, a to i owo warto przecież opisać dokładniej... - Otworzył szafkę pod oknem.

Rękopisy księdza Janusza Gałka okazały się opastymi księgami oprawionymi w szare płótno. Każde tomiszczce było większe i grubsze od encyklopedii... Wyciągnąłem pierwszą z brzegu. Okładki wykonano z

deszczutek lub » sklejki. Na rogach umieszczono okucia zrobione domowym sposobem z grubej miedzianej blachy. Pomysłowy duchowny wykorzystał zapewne odpadki po naprawie dachu kościoła.

Otworzyłem. Pierwsze zapisy wykonano w połowie 1913 roku. Przeglądałem kolejne karty. Stary papier pożółkł tylko nieznacznie. Proboszcz miał własny aparat fotograficzny. Obok wyczerpujących relacji zamieścił zdjęcia. Przejście frontu, walki, opatrywanie rannych na plebanii... Niezależnie od wszystkiego wiedziałem, że trzymam w ręce cenny dokument minionej epoki, wart przepisania i publikacji...

Pierwsze dni niepodległości, fotografie pokazujące świeżo otwartą polską szkołę, procesję z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja, procesję na Boże Ciało, w której obok chorągwi kościelnych niesiono także sztandar jakiejś miejscowej jednostki wojskowej.

Kolejny tom - lata dwudzieste. Spółdzielnia produkcyjna, odbudowa budynku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, rozbudowa szkoły. Następna księga - wizytacje biskupów, nowe domy we wsi, wymiana kościelnego dachu i remont, wycieczka szkolna do Kielc i do Krakowa, pocztówki z Brazylii, zdjęcia przesłane przez parafian, którzy wyemigrowali jeszcze przed pierwszą wojną światową...

Parowóz • 19

Fotografia z USA też od jakiegoś znajomego. Zdjęcie księdza i miejscowego rabina na tle remizy strażackiej. Dwudziesta piąta rocznica kapłaństwa - wklejone telegramy otrzymane z tej okazji... Kolejny tom - okupacja.

Zapiski urwały się nagle wiosną 1943 roku. Żadnych śladów mogących rzucić światło na zagadkową epidemię.

- I jak pan to znajduje? - zagadnął proboszcz, pojawiając się w drzwiach. ł ,
- Zdumiewające...
- Co takiego?
- Ta wieś kwitła. Przecież przed wojną panował kryzys, a tu jakoś sobie ludzie radzili.
- Umiał nimi pokierować. Z tego, co wiem, po wojnie też sobie nieźle radził jako misjonarz w Kongu... Trafiał pan na jakiś ślad?
- Nic a nic. Wszystko wskazuje, że epidemia zgonów zaczęła się jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego.
- Z tego okresu nie ma kronik. Ale możemy rzucić okiem do księgi intencji mszalnych.

-O!

Jeszcze jedno źródło, które nie przyszło mi do głowy...

- Z lat pięćdziesiątych mamy dwie - powiedział. - Jedna, że się tak wyrażę, oficjalna, druga z intencjami, których nijak nie można było umieścić w normalnym spisie... Zresztą zaraz sam pan zrozumie.

Wyciągnął oprawiony zeszyt formatu A4. W nim, za okładką, tkwił jeszcze jeden - malutki... Oficjalne intencje mszy były zupełnie normalne. Dziękczynne na rocznice małżeństwa, pogrzebowe, w intencji powrotu z woj-

20 • Andrzej Pilipiuk

ny i odnalezienia grobów bliskich. Mały zeszycik skrywał prawdę o tamtej epoce. Msza o nawrócenie syna, który zapisał się do partii. O wypuszczenie męża przetrzymywanego przez UB, o wydostanie się krewnych z ZSRR... I dość regularne msze przebłagalne za zbrodnie synów służących w UB. Nazwiska wydały mi się znajome. Sięgnąłem do księgi zgonów. Trzej ubecy zmarli jeszcze w 1951. Ich śmierć zapoczątkowała czarną serię.

Zaintrygowany wróciłem do kronik parafialnych. Przedwojenne zdjęcia chłopców z drużyny harcerskiej i szkolne. Ksiądz na szczęście podpisywał, kto na nich figuruje...

Pięciu chłopców. Na wszystkich fotografiach stali razem. Po wojnie trzech wstąpili do UB, a następnie zmarli w odstępie dwu - trzech tygodni. Dwaj pozostali?

Przewertowałem księgi zgonów. Wyglądało na to, że obaj jeszcze żyją, chyba że umarli gdzieś daleko i nikt nie zawiadomił parafii...

- Zapraszam na obiad. - Proboszcz znowu stał w drzwiach.
- Już idę. - Zapisałem wyniki.
- Doszedł pan do czegoś?
- Hmm... Jeszcze nie, ale chyba wiem, kogo mógłbym zapytać. +

Paweł Zdziwko mógł mieć około osiemdziesiątki. Gdy nadszedłem, siedział sobie na ławeczce przed domem, paląc papierosa osadzonego w drewnianej fifce. - Można parę słów dla prasy? - zapytałem. Spojrzał na mnie, uśmiechając się krzywo.

Parowóz

- To pan jest tym dziennikarzem, co tu węszy - mruknął. - Siadaj pan, jak trzeba, pogadamy.
- Mieszka pan w tej wsi od urodzenia? - zagadnąłem, aby jakoś zagaić rozmowę.
- Się rozumie. - Uniósł z godnością głowę. - My tu od pokoleń siedzimy. Mój dziadek i ojciec tu wolną Polskę zakładali w osiemnastym roku.
- Opowie mi pan, co tu się stało?
- Że niby kiedy? - Nastroszył się. >

- Wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego - powiedziałem.
- A bo ja wiem? - Uciekł spojrzeniem na bok.
- Chodził pan do szkoły z Łopatą, Raczkim, Gruszką i Jareckim.
- No, to dużo pan wiesz. Za dużo może nawet... - Zadumał się. - A co to ma do rzeczy?
- Łopata, Raczek i Jarecki zmarli tamtej jesieni. Jeszcze w szkole byli pana kumplami. Potem przyjaźń odeszła w niepamięć. Drogi się rozeszły, na zawsze...
- Skąd pan wiesz? - Zmrużył oczy.

Nie wiedziałem, strzelałem, ale, zdaje się, celnie. Położyłem przed nim wydruki zdjęć. Wszystkie dziesięć.
«

- Przez ładne kilka lat staliście obok siebie. Raz czy dwa to mógłby być przypadek, ale...
- I sądzisz pan, że choć już się z nimi nie kumplowałem, to wiedziałem, co się u nich dzieje? W Kielcach pracowali, bo choć w mundurach łazili, służbą tego nie nazwę. Wpadali tu czasem, ale już z nimi nie gadałem, jak nie musiałem. A czasem i trzeba było. Ojciec drapnął na Ziemię Odzyskaną - dodał jakby tytułem wyjaśnienia. - Ciągali mnie na przesłuchania. Tyle dobrze, że po starej znajomości nie bili.

Andrze Pilipiuk

- Tak właśnie przypuszczam. Jeśli do pokoju wpadnie osa, to nie spuszcza się jej z oczu, nieprawdaż?
- A czemu to pana interesuje?
- Bo chyba wtedy wszystko się zaczęło. Tamtej wiosny, może lata. Oni umarli pierwsi. Zaraz potem poszła cała epidemia. Zmarli wszyscy milicjanci z Michałowic, wszyscy ormowcy, ci trzej ubecy i jeszcze kilkunastu innych ludzi.
- » - Strażacy - powiedział cicho. - Cały oddział ochotniczej straży pożarnej. I kolejarze. Wszyscy umarli młodo.
- Przeważnie przed czterdziestką.

Nie zdradziłem oczywiście, że większość nazwisk odnotowano w księgach intencji. Rodziny modliły się o ich powrót na łono Kościoła... A potem już tylko o spokój dusz.

- W trzy lata kosiło wszystkich mundurowych - wróciłem do tematu rozmowy. - Zatem przyczyna była jedna.
- A skąd pan wiesz, że to akowcy nie dosypali im trutki do żarcia? - zadał szalenie chytre w swoim mniemaniu pytanie.

- Bo tu nie było AK. A zwłaszcza nie było wtedy. Zresztą po co AK trwałaby także trzech kolejarzy?
- Nie wiem wiele - powiedział, mierząc mnie wzrokiem. - Mówiło się, że na stacji pojawił się dziwny pociąg. Zawiadowca na jego widok zadzwonił na posterunek i na UB do Kielc. Umarli wszyscy, którzy się z nim zetknęli. Ja tam w duchy za bardzo nie wierzę. Więc sądzę, że chodziło o lokomotywę...
- Pociąg wiozł jakiś podejrzany ładunek? - podchwyciłem.

Parowóz • 23

- Źle powiedziałem. Nie było pociągu. Tylko lokomotywa. Gadali, że nikt nie umiał jej uruchomić, to ją wtoczyli do szopy i tam się spaliła.

„O cofnięcie klątwy spalonego pociągu” - tak brzmiała intencja mszy odprawionej w 1954 roku... Modlitwy zostały wysłuchane, przynajmniej częściowo. Epidemia, czy co to było, wyraźnie zaczęła przygasać. Ludzie umierali nadal, ale już nie po kilku naraz. >

- A potem przyjechali Ruscy - dodał stary.
- KGB? - zdziwiłem się.
- Wtedy to chyba jeszcze NKWD było... - sprostował. -Nie, to byli wojskowi Ruscy. Cały eszelon. Stację otoczyli i coś tam robili gdzieś przez tydzień albo i dłużej. Pociągi przez ten czas nie chodziły, zresztą to boczna linia, tu nigdy dużego ruchu nie było.
- Co się stało z Gruszką? - zmieniłem temat. - Był w UB, a potem?
- Mieszka w Kielcach, jeśli jeszcze żyje. Spotkałem go przypadkiem dwa lata temu. Był prezesem związku działkowców, ale chlał tak, że go wywalili. I nie nazywa się teraz Gruszka, ale Leszczyński. Puścił do mnie oko. - * Jak masz pan dojście w IPN, to może warto im o tym powiedzieć, dawno bym donosik na kutasa napisał, ale adresu nie znam...

Siadłem na stoku góry. Patrzyłem na miasteczko i składałem sobie to wszystko do kupy. Gdzieś na początku lat pięćdziesiątych na stację wodną przyjeżdża lokomotywa. Jej załoga zostaje prawdopodobnie aresztowana. Po kilku tygodniach umierają pierwsi ludzie, którzy zetknęli się

Andrze Pilipiuk

z pociągiem lub maszynistami. W ciągu roku wykańcza się kolejne kilkanaście osób. Wszyscy należeli do służb mundurowych... Zapewne wszyscy mieli kontakt z pociągiem i jego ładunkiem. Skoro umierają także strażacy, to chyba doszło do jakiegoś pożaru.

Tylko jak wyjaśnić późniejszą epidemię? Jeśli pociąg przywiózł coś toksycznego, powinni zginąć ci, którzy mieli kontakt z ładunkiem... A może ruska broń bakte-, riologiczna?

Uniosłem do oczu lornetkę. Dawny szlak kolejowy było stąd widać bardzo wyraźnie. Szyny i podkłady dawno wywieziono, ale nasyp, ruiny dworca i stacji wodnej zostały. Zszedłem ścieżką.

Gdy ludzie opuścili to miejsce, przyroda wzięła się do roboty z tłumioną przez lata energią. Dawny tor wysypany tłuczniem doprowadził mnie na stację. Peron, licowany czerwoną cegłą, już się osypywał. Mury budynku sterczały ku niebu, dachu nie było od dawna. Bez przekonania przekroczyłem wypróchniały próg.

Ten trop był zimny... Żadnego strychu, na którym mógłbym znaleźć papiery, żadnych śladów... Stałem przed zrujnowaną stacją. Skład nadjechał nie wiadomo kiedy, nie wiadomo z której strony. Może to był dzień, a może noc. Jedna lokomotywa, żadnego ładunku. Co sprawiło, że zawiadowca na jej widok natychmiast wykręcił numer posterunku i zażądał przysłania ludzi? Co go zaniepokoiło? Kto przyjechał tym parowozem? Przecież nie partyzanci z AK...

A może to był ruski pociąg? Lokomotywa, może za nią jeden mały wagon towarowy? Przywieźli coś ważnego. Tajną broń Stalina, może wunderwaffe Hitlera wykopaną gdzieś w okolicy? Ubecja rzuciła się rabować

Parowóz • 25

ładunek i uległa zatruciu, zarażeniu, a może napromieniowaniu...

Przeszedłem się tam i z powrotem, jakbym czekał na pociąg. Potem zeskoczyłem na nieistniejące torowisko i powędrowałem w stronę Kielc. Znalazłem starą zwrotnicę. Jedna nitka torów odchodziła w lewo. Mimowolnie skręciłem w nią. Ślad prowadził do zagajnika. Wszedłem pomiędzy brzozy i nagle znalazłem się na skraju dziwnej dziury w ziemi... * »

- Co, do diabła? - Wytrzeszczyłem oczy.

Przedemną ział owalny dół wielkości basenu olimpijskiego. Nie był specjalnie głęboki, tak na jakieś trzy metry. Na jego dnie rosło trzciniowisko. Co, u licha? Wykopali dziurę pod fundamenty parowozowni?

Cyknałem kilka fotek, jeśli wezmą mi artykuł, przydadzą się do zilustrowania. Spojrzałem na zegarek, dochodziła dziewiąta rano. Pora jechać do Kielc pogrzebać w tamtejszych archiwach.

Odnalezienie Gruszki vel Leszczyńskiego nie było specjalnie trudne. W zarządzie działek wskazano mi, gdzie można go znaleźć. Doradzono też, żebym na wizytę zaopatrzył się w litrową flaszkę wody. Były ubek wzniosł sobie na działce nieduży slums. Przed wejściem ustawił ławeczkę i zniszczony stół. Gdy nadszedłem, kończył właśnie flaszkę najtańszego jabola.

- Dzień dobry, panie Gruszka - przywitałem się. -Można kilka słów dla prasy? - Znacząco wyciągnąłem z torby szyjkę butelki.

Andrze Pilipiuk

- Nic nie wiem, nic nie pamiętam, wykonywałem tylko rozkazy - warknął ubek.

- Jasne - prychnąłem.

Popatrzył na mnie zimnym wzrokiem.

- Za to, co zrobiłem, poniosłem już karę. - Wzruszył ramionami.

Raczej sam się ukarał. Sądząc po plamach znaczących dłonie, wątrobę miał na wykończeniu...

- Ciekawe, co na to pańscy sąsiedzi. - Uśmiechnąłem się ponuro. - Albo na przykład emeryci działkowicze.

- Że co? - Pobladł, ale próbował nadrabiać miną.

- Co zrobią, jak się dowiedzą, kim pan był. - Wzruszyłem ramionami. - Kilku z nich na pewno było w czasie wojny w AK i NSZ... A jaki potem będzie fajny artykuł w Fakcie czy Superekspresie: „Samosąd na działkach” albo, dajmy na "to, „Dekomunizacja widłami”.

- A kto niby ma im powiedzieć?

- Na przykład ja.

- Czego chcesz, parszywa hieno? - prychnął. - Forsy nie mam. Do grobu nie wezmę, bo przepiłem. Z mieszkania mnie wyrzucili, gównem ze mnie wyciśniesz.

- Chcę prawdy.

- Niby twojemu dziadkowi paznokcie wrywałem? - Łypnął podejrzliwie. - Ja nikogo nie zabijałem. Ani nie zakopywałem żadnych trupów.

- Co stało się na stacji Michałowice wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego? - zapytałem.

- A ty skąd o tym wiesz!? - Wytrzeszczył oczy.

- Z teczki w archiwum IPN-u - odgryzłem się.

- Nic nie pamiętam. - Patrzył na mnie jak mysz zapędzona w kąt.

Parowóz • 27

- Jaaasne.

- Miałem farta - powiedział wreszcie. - Wysłali mnie z meldunkiem. Ci, którzy zostali, zdechli... I strażacy, którzy gasili szopę. I personel stacji.

- Szopę? - podchwyciłem.

- Spierdalaj.

Postawiłem na stół pół litra. Odkręciłem nakrętkę i w milczeniu polałem do szklanki. Aż się oblizał.

- No, to chyba powiem... - westchnął. - Ale dołożysz dwie setki.

Przerwałem nalewanie. v

?

Bez słowa wyjąłem z portfela pięćdziesięciozłotowy banknot.

- Kutas z ciebie straszny - warknął, ale forszę zabrał.

Czułem, że cała kwota pójdzie na przelew. Kto wie, może nawet przekręci się od tego, ale nie czułem wyrzutów sumienia. Teraz był słaby i schorowany, ale gdybym wpadł w jego łapy pół wieku temu... Dopełniłem mu szklankę. Wypił ją dwoma haustami i podstawił ponownie. Polałem znowu. Truj się, bydlaku, dawno ci już pora do krainy wiecznego śledztwa.

- Heil Schickelgruber!

Zawiadowca zbaraniałym wzrokiem wpatrywał się w stojącego przed nim maszynistę. Przybysz odziany był w dziwaczną zbroję z ołowianych płytek. Na głowie miał kask ozdobiony nazistowskim orłem. Prawą rękę wyrzucił do przodu w pseudorzymskim salucie.

- Co ty, kurwa twoja mać... - wykrztusił Polak.

Andrzej Pilipiuk

- Sprechen polski? Gut. Ich brauche wasser, woda, ferstejen? Und chlo-dzi-fo. Ciekły sód. Reaktor się gszeje, in-sztalacja poszła...

Kolejarz wbił zdumione spojrzenie w dziwaczną lokomotywę. Maszyna sapała, puszczając kłębki pary zaworami, ale nigdzie nie było widać komina. Na walczaku miała namalowaną nazistowską gapę i jakieś oznaczenia cyrylicą.

- Ferstejen? - zapytał nerwowo obcy.

- Ferstejen - odburknął Polak. - Co to, u diabła, jest?

Obcy popatrzył na niego zaskoczony.

- Der Zug. Pa-ro-fus.

- Parowóz.

- Ja, pachrowoz - powtórzył nieskładnie. - Donner-wetter. Das sód, bystro...

Spojrzał na dziwaczny zegarek. W tym momencie przed stacją podjechała emka. Wskoczyli z niej trzej milicjanci i jeszcze ubek w skórzanej kurtce. Zaraz pojawił się drugi pojazd.

- No i co tam, obywatelu Nowak? - dowódca patrolu zagadnął zawiadowcę. - Co to za cudak?
- Cholera go wie. Przyjechał czymś dziwnym, sprecha po niemiecku i ciekłego sodu mu się zachciewa...
- Na ja... Heil Hitler! - Ubek wyrzucił ramię w dobrze zapamiętanym geście.

Przybysz zmałpowałgo natychmiast.

- Heil Schickelgruber! - wrzasnął służbiście. - Sprechen Sie deutsch?
- Kurde. - Dowódca miał głupią minę. - Skąd to ścierwo się tu wzięło? Sześć lat od wojny mija.
- Ich brauche chlodzifo! Sód, bystro, ferstejen? Der Reaktor ist zu warm...

Parowóz • 29

Ubek zamachnął się i wyrznął przybysza kułakiem w gębę.

- Jarecki, ściągnij resztę chłopaków - rzucił podwładnemu. - Tu się dzieje coś dziwnego.
- Może to prowokacja, a może góra nas sprawdza -podsunął dowódca.
- Cholera wie. Obywatelu Nowak - zwrócił się do kolejarza - umiecie prowadzić lokomotywę?
- Tak jest. Ale takiej jaszczem nie widział...
- Wskakujcie do kiosku, trza ją gdzieś przetoczyć, coby nie stała na widoku. A tego pajaca w kajdanki i na UB do Kielc. Niech go sobie generał Orliński wyjaśnia...

Zawiadowca wdrapał się do wnętrza pojazdu.

- O ty w mordę... - wykrztusił, patrząc na dziesiątki zegarów opisanych po niemiecku.
- Poradzicie sobie? - Major wcisnął się za nim.
- Dziwne to jakieś... Gdzie jest palenisko? Gdzie węgiel?
- Może to spalinowa?
- Gdzie tam, przecież na parę chodzi.
- No, fakt - zgodził się ubek. - Poradzicie sobie? Czy tamtego przywlec?
- Chyba dam radę.

Popatrzył na zegary. Zidentyfikował nie więcej niż jedną trzecią. Nacisnął dźwignię.

- Daję moc na tłoki - powiedział. - A to chyba będzie przepustnica...

Pociągnął wajchę stawidła i lokomotywa ruszyła naprzód.

- No, nie takie to trudne, widzę - pochwalił milicjant.

- Nie wiem, od czego ten zegar. - Nowak wskazał jedną z tarcz. - A boję się, że to ważne.

30 • Andrzej Pilipiuk

Wskazówka dawno już przekroczyła czerwoną kreskę...

- Jak z ciśnieniem?

- W porządku. Tylko to się dziwnie grzeje...

- Wybuchnie?

- Chyba nie... Bo jak ma wybuchnąć, jak w kotle ciśnienie w normie? Zresztą tam są zawory bezpieczeństwa. Do szopy remontowej ją wtoczmy i niech stoi, a w tym czasie wy sobie szkopa przysłuchacie i jakiegoś inżyniera

z miasta trzeba ściągnąć, niech to obejrzy... Ubek wychylił się z kiosku.

- Gruszka! Weźmiecie emkę i skoczycie do Kielc z meldunkiem. To nie jest sprawa na telefon.

- Tak jest! - Podwładny zsalutował. - Co przekazać?

- To niemożliwe - powtórzył ksiądz Michał po raz trzeci.

- W naszej rzeczywistości nie... - Wzruszyłem ramionami. - Dlatego sądzę, że przybył tu ze świata, w którym historia potoczyła się inaczej. Ze świata, gdzie Hitler używał nazwiska Schickelgruber, gdzie prawdopodobnie podbił Polskę i zwasalizował Rosję. Ze świata, gdzie postęp techniczny biegł innymi torami i w którym zbudowano taki idiotyzm jak atomowy parowóz...

- Jak to, u licha, mogło działać? - Duchowny podrapał się w głowę.

- Tak jak tradycyjna lokomotywa na węgiel. Tylko w walczaku był pewnie niewielki reaktor atomowy chłodzony ciekłym sodem. Sód trafiał do wymiennika ciepła i podgrzewał wodę w kotle...

Parowóz • 31

- Czarnobyl na kółkach.

- Tak. Awaria, wykolejenie czy zderzenie i już mamy skażenie jak diabli. Ale z drugiej strony maszyna bajecznie tania w eksploatacji. Może zresztą używano ich tylko na terenach podbitych?

- A więc ludzie umierają tu na skutek skażenia radioaktywnego.
- Tak sędzę. A może raczej było tak: gdy strzełił reaktor, wielu mieszkańców otrzymało solidną dawkę promieniowania. Jednych zabiło szybko, u innych cofnęły się objawy, ale za to po latach zaczęły rozwijać się nowotwory. Do tego uszkodzenia szpiku kostnego, anemia... Wiele różnych chorób, jeden czynnik.
- Poszukamy dowodów?

Spojrzałem w niebo.

- Godzina do zmroku... - odpowiedział.
- Chodźmy.

Wdrapaliśmy się na wzgórze. Licznik Geigera cicho trzeszczał. Skażenie na brzegu dziury dwunastokrotnie przekraczało tło. W lesie, gdzie pewnie opadły sadze z płonącej szopy, już tylko ośmiokrotnie... Jak wysokie musiało być przed pięćdziesięciu laty?

- A więc to jest przyczyna - powiedział proboszcz. - Ci ludzie byli przez pół wieku regularnie podtruwani.
- Niemiec prosił o sól... - rozważałem. - Reaktor chłodzony był ciekłym sodem? Prości milicjanci z głębokiej prowincji nie mieli pojęcia, co to takiego. Nie mieli zielonego pojęcia o obsłudze podobnych urządzeń. Nie widzieli wcześniej atomowego parowozu, a nawet jakby widzieli, nic by im to nie dało. Reaktor rozgrzał się, aż przetopił osłony. Lokomotywa spłonęła, może nawet stopiła się.

32 • Andrzej Pilipiuk

- Nie wybuchła jednak? Dlaczego? Przepraszam, z fizyki byłem zawsze ostatnia noga...
- Wody miała niewiele, nie było eksplozji kotła, nie było niekontrolowanej reakcji prowadzącej do wybuchu atomowego. Tylko temperatura sięgająca setek lub tysięcy stopni i mordercze promieniowanie, a potem silne skażenie. Szopę gasili jak w Czarnobylu, nie wiedząc, co tak naprawdę się dzieje... A potem? Potem przybyli Ruscy. Zdemontowali budynek, wybrali ziemię wraz z fundamentami i gdzieś wywieźli. Świadków nie musieli nawet zabijać, choroba popromienna, białaczka i rak wyręczyły ich...
- I przez tyle lat nikt nie sprawdził, nikt nie ostrzegł ludzi... - wyszeptał.
- Z pewnością Ruscy sprawdzili okolice szopy, nie pomyśleli, że wiatr zaniósł skażenie na te zbocza, albo nie interesowało ich to. Zabezpieczyli to, co zostało z parowozu, i wywieźli do siebie, by zbadać to dokładniej... Pewnie przy okazji zabrali też maszynistę.
- Ale nasi... Ludzie marli jak muchy...

- A kogo to obchodziło? Wiocha daleko od cywilizacji, miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc...

Szedłem przez las, patrząc na wskazania dozymetru. Tu i ówdzie trafiałem na plamy skażenia tak silnego, że włosy stawały mi dęba na głowie i odruchowo przyspieszałem kroku. Las... Z pozoru ciepły, przyjazny i bezpieczny. Silnie radioaktywny sód zagotował się i odparował. A potem spadł na wzgórze w postaci drobnego śrutu. Razem z nim do gleby trafił pluton i stront. Ludzie przychodzili tu zbierać grzyby, maliny, jagody. Palili skażonym drewnem w piecach.

- Kiedy ukaże się ten artykuł? - zapytał proboszcz.

Parowóz • 33

- Nie będę go pisał - westchnąłem.

- Nikt nie uwierzy?

- Ja sam nie mogę w to uwierzyć...

Byłem ciekaw, co stało się z zagadkowym maszynistą. Wykorkował u nas czy zamęczyli go gdzieś w łągach ZSRR? Byłem ciekaw, z jakiego świata i w jaki sposób tu przybył, ale wiedziałem, że dotarłem do kresu. Tej zagadki nie rozwiążę już nigdy.

Michał Cholewa

Rocznik 1980, urodzony w Katowicach, gdzie ukończył studia na wydziale Mat-Fiz-Chem Uniwersytetu Śląskiego na kierunku matematyka. Fantastyką interesuje się, odkąd pamięta, zdradziecko zarażony nałogiem przez ojca. Od 1995 członek Śląskiego Klubu Fantastyki, zresztą właśnie pod skrzydłami Sekcji Literackiej tegoż (a dokładnie, pod twardymi rządami Ani Kańtoch, która jest szefem sekcji) zaczął pisać. Właściwie nadal zaczyna, bo jeden tekst w zbiorze i jedno opowiadanie w sieciowym periodyku Esensja trudno nazwać oszałamiającą karierą.

Fan Calvina i Hobbesa (osobliwie Hobbesa).

Miłośnik twórczości Stanisława Lema, George'a R.R. Martina i Rogera Żelaznego. A także słodyczy. Nie można absolutnie zapominać o słodyczach. Tak właśnie.

Michał Cholewa

Ognisko 11

- *

r

Lewis nigdy wcześniej nie myślał, że ludzi można odróżniać inaczej niż po twarzach. No, może po wzroście. Jednak dwudziestego szóstego dnia kwarantanny umiał już rozpoznawać kolegów z oddziału pomimo pełnych, tłumiących głos masek o ciemnych filtrach i kombinezonów bioshieldu, które nie pozostawiały ani kawałka gołego ciała. Nie była to bynajmniej kwestia wyszytych na kieszeniach mundurów nazwisk, nie. Rozpoznawał ich po chodzie, sposobie noszenia karabinu, przekrzywianiu głowy. Po gestykulacji podczas rozmowy i po ułożeniu ramion, kifedy stali nieruchomo.

Wbrew pozorom było to bardzo istotne. Na posterunku zewnętrznym, warcie czy patrolu perymetrowym wszyscy potrzebowali obecności kolegów. Nie cywilów -ci mieszkańcy Tyenne, którzy jeszcze opuszczali swoje domy, starając się rozpaczliwie zachować pozory normalnego życia, należeli do innego świata. Świata na zewnątrz hermetycznego kombinezonu, świata wiatru i śniegu, świata bez przestłoniętego Kurtyną słońca. Świata niewidzialnej, ale nadal zbierającej swoje żniwo śmierci.

Ognisko II • 41

I nie jakichś tam znajomych, a ludzi, z którymi łączyło ich coś więcej niż szary mundur, jedna kompania i wymienione czasem przy posiłku kilka słów. Przyjaciół.

Ale mimo ich pozornej bliskości, każdy z żołnierzy tak naprawdę był sam - zamknięty w bezpiecznej strefie skafandra, oddzielony od rzeczywistości warstwami tworzyw sztucznych i tkaniny.

Pomimo że zaadaptowany na centrum operacyjne rynek był cały czas obserwowany, rzadko ktoś podchodził pod samo ogrodzenie. Wojskowi byli intruzami, nosicielami złych wiadomości - oprócz szarej mgły Kurtyny ich obecność była najbardziej widocznym objawem tragedii miasta. Mieszkańcy rozmawiali z nimi tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Dlatego właśnie Lewis był zaskoczony meldunkiem.

- Baba z dzieckiem, panie poruczniku. - Neve wykonał gest, jakby chciał się podrapać po tylnej części hełmu. -Chce się widzieć z kimś, kto tu dowodzi. Powiedziałem jej, że dostanie dowódcę zmiany.

- Dobra, chodź ze mną. - Lewis skinął głową i ruszył w stronę siatkowej bramy obozu. Potężny kaemista zarzucił broń na ramię - wyglądała przy nim jak zabawka -i podążył za dowódcą.

Pozostawiony na posterunku szeregowy Roman-towski skinął podchodzącemu oficerowi głową i lekkim ruchem ramienia wskazał na postacie za ogrodzeniem. Romantowski, odkąd wylądowali w Tyenne, przeszedł gwałtowną transformację z gadatliwego wesołka, zawsze mającego na podorędziu celny żart, w milczka, który od-

42 • Michał Cholewa

I nie jakichś tam znajomych, a ludzi, z którymi łączyło ich coś więcej niż szary mundur, jedna kompania i wymienione czasem przy posiłku kilka słów. Przyjaciół.

Ale mimo ich pozornej bliskości, każdy z żołnierzy tak naprawdę był sam - zamknięty w bezpiecznej strefie skafandra, oddzielony od rzeczywistości warstwami tworzyw sztucznych i tkaniny.

Pomimo że zaadaptowany na centrum operacyjne rynek był cały czas obserwowany, rzadko ktoś podchodził pod samo ogrodzenie. Wojskowi byli intruzami, nosicielami złych wiadomości - oprócz szarej mgły Kurtyny ich obecność była najbardziej widocznym objawem tragedii miasta. Mieszkańcy rozmawiali z nimi tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Dlatego właśnie Lewis był zaskoczony meldunkiem.

- Baba z dzieckiem, panie poruczniku. - Neve wykonał gest, jakby chciał się podrapać po tylnej części hełmu. - Chce się zobaczyć z kimś, kto tu dowodzi. Powiedziałem jej, że dostanie dowódcę zmiany.

- Dobra, chodź ze mną. - Lewis skinął głową i ruszył w stronę siatkowej bramy obozu. Potężny kaemista zarzucił broń na ramię - wyglądała przy nim jak zabawka - i podążył za dowódcą.

Pozostawiony na posterunku szeregowy Roman-towski skinął podchodzącemu oficerowi głową i lekkim ruchem ramienia wskazał na postacie za ogrodzeniem. Romantowski, odkąd wylądowali w Tyenne, przeszedł gwałtowną transformację z gadatliwego wesołka, zawsze mającego na podorzędu celny żart, w milczka, który od-

42 • Micha) Cholewa

zywał się tylko sporadycznie, i to głównie na kwaterze - w wyniku czego jego popularność jako towarzystwa na posterunku spadła dość szybko.

Kobieta mogła mieć koło trzydziestu lat. Zapewne bardzo ładna w normalnych warunkach, teraz zmęczenie i stres odcisnęły na niej swoje piętno. Ubrana w puchówkę i futrzane rękawiczki, przytrzymywała obejmujące jej nogę może sześciolatnie dziecko w niebieskim kombinezonie z wyhaftowanym niedźwiadkiem, nasuniętej głęboko na oczy czerwonej czapeczki i tak dokładnie zamaskowane szalikiem, że Lewis nie był nawet w stanie zidentyfikować jego płci. Na widok żołnierza zrobiła zdecydowany krok do przodu.

- Porucznik Tom Lewis. - Zdążył uśmiechnąć się uprzejmie, zanim dotarło do niego, że i tak nikt tego nie zobaczy przez maskę. - W czym mogę pani pomóc?

- Dzień dobry. - Kobieta zdławiła lekkie drżenie głosu odchrząknięciem i przycesała wolną ręką ciemne włosy. - Moje nazwisko Delareux, Margot Delareux. Mój mąż został wczoraj odwieziony do waszego szpitala przez patrol - dodała tonem wyjaśnienia. Oczywiście nic to Lewisowi nie powiedziało. Codziennie do polowego szpitala korpusu epidemiologicznego patrole zwoziły sporo osób. I mimo że używali miejskiej przychodni, ratusza i kilku innych budynków, miejsca na chorych od dawna nie było.

- Pani mąż jest w dobrych rękach, pani Delareux - starał się zawrzeć w głosie pewność siebie. - Będziemy panią informować na bieżąco o postępach leczenia.

Skrzywił się pod maską na myśl o właśnie wypowiedzianym banale. Jak dotąd nie było żadnych „postępów leczenia”. U nikogo. Lekarze pracowali pełną parą i w Tyenne,

1

i za szarą ścianą Kurtyny, ale na razie nikt zabrany przez patrol nie powrócił zza siatki obozu.

- Bardzo dziękuję... Sprowadza mnie jednak jeszcze jedna sprawa. - Zerknęła na wczepione w jej nogę dziecko. - Potrzebuję skafandrów, takich jak wy macie. Jednego dorosłego i jednego dziecięcego. I jeszcze...

- Proszę pani - Lewis gorąco dziękował w duchu producentowi bioshieldu za ciemny wizjer maski, dzięki któremu nie musiał patrzeć rozmówczyni w oczy - nie jesteśmy w stanie wydać takich rzeczy. To po prostu niemożliwe. Bardzo mi przykro.

- Ale przecież wyje macie. Na pewno coś się znajdzie, chociaż dla dziecka...

- Naprawdę bardzo żałuję, ale nie mogę pani pomóc, pani Delareux. Ale zapewniam panią, że pracujemy nad lekarstwem i skafandry zwyczajnie nie są konie...

- To dlaczego je nosicie? - gwałtownie przerwała, niemal balansując na granicy krzyku. W jej oczach pojawiły się łzy. - Dlaczego, skoro nie są potrzebne? Dlaczego wy tak, a Christine nie może też dostać?

Dziecko patrzyło przestraszone na matkę spomiędzy f nasuniętej na czoło czapki i podciągniętego pod nos szalika.

- To część umundurowania, proszę pani, nosimy je ze względów regulaminowych. - Lewis przełknął ślinę pod maską. - Nie ma...

- To proszę je zdjąć! Mam dość rozmowy z robotami! - podniesiony głos kobiety zaczął się załamywać. Roman-towski drgnął i opuścił głowę.

- To jest niemożliwe. Przykro mi. Proszę wrócić do domu i spokojnie czekać na postępy...

Michał Cholewa

- Nie będę czekać! Jest coraz gorzej! Weźcie chociaż Christine, proszę. - Kobieta łkała już otwarcie. Podniosła dziewczynkę na ręce i podeszła do ogrodzenia, niemal opierając się o nie. - Macie koszary, na pewno bezpieczne, przecież ona nie zajmie dużo miejsca... Ja zapłacę. Ja oddam wszystko, tylko schowajcie ją, ona nie może zachorować...

Niebieskie i szkliste oczy dziecka na jej rękach patrzyły na swoje odbicie w trzech wizjerach masek żołnierzy.

- To też jest niemożliwe - Lewis mówił bardzo powoli, walcząc o utrzymanie spokojnego tonu. - Proszę wracać

do domu. Za chwilę będzie wyjeżdżał patrol, może panią podwieźć. - Cofnął się o krok od siatki i wbił wzrok w przyprószony lekką warstwą śniegu asfalt. - Neve, przypilnuj, żeby grupa wyjazdowa odwiozła panią, dokądkolwiek sobie zażyczy, jeśli będzie chciała. Poza tym ani słowa.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pełniącego rolę wartowni transportera. Rękawice skutecznie maskowały drżenie rąk, a spod wizjera nie było widać piekących i zaczerwienionych oczu.

Silniki śmigłowców usłyszeli jeszcze długo przed tym, nim Weasele przedarły się przez Kurtynę, rozpraszając wirnikami ciężką mgłę, która miała na celu powstrzymać roznoszenie wirusa drogą powietrzną. Kiedy Lewis truchtał w stronę lądowiska, czy też raczej oznaczonego jako lądowisko miejsca w centrum rynku, kapitan już tam był.

Ognisko II ■ 45

- Kto to?

- Szychy, Lewis! - Dowódca odwrócił się lekko w jego stronę, próbując przekrzyknąć jednocześnie maskę i hałas pracujących silników. - Z centrum! - Wskazał zielono--białe oznaczenie na burcie lądujących maszyn.

- Szychy...? - Lewis skierował wzrok na pierwszy śmigłowiec, z którego zanim jeszcze koła dobrze dotknęły pokrytego nadtopionym śniegiem asfaltu, wysypali się ludzie. Żołnierze. Sześć, osiem identycznych figur z bronią na ramieniu i w ciężkich bojowych skafandrach bioshieldu. Zmarszczył brwi pod maską. Posiłki? Odwrócił się z powrotem do dowódcy, ale ten już ruszył w stronę drugiego Weasela, którego pasażerowie zaczęli właśnie wysiadać. Dreptali niezdarne w srebrnych kombinezonach kadry naukowej, wespół przygłębieni, by trzymać się z daleka od nadal pracującego wirnika. Za nimi, zdecydowanie spokojniej, wysiadł kolejny żołnierz, z dystynkcjami pułkownika na wojskowym skafandrze, obciążony dodatkowo przykutą do nadgarstka srebrną walizką. Troy, głośno plakietka z nazwiskiem. Odruch przezwyciężył zaskoczenie i obaj czekający na lądowisku oficerowie wyprężyli się w salucie na widok starszego stopniem.

- Kapitan Nicholls i porucznik Lewis, panie pułkownika - zaczął kapitan. - Nie mówiono nam nic o pana przyjeździe, myśleliśmy, że tylko kadra...

- Spocznij. - Nowo przybyły machnął ręką w niedbałym salucie. - Doktorze Zeiss, w pańskie ręce - dodał, odpinając zamek kajdanek łączących go z walizką.

Jeden z naukowców odebrał ją i ostrożnie ruszył w stronę szpitala, otoczony przez błyskawicznie sformowany kordon drużyny z drugiego śmigłowca.

- Panów proszę o zaprowadzenie mnie do centrum operacyjnego - pułkownik zwrócił się do Nichollsa i Lewisa. - Musimy porozmawiać.

- Tak jest. - Kapitan gestem wskazał drogę do głównego budynku wojskowej części bazy. - Tędy, panie pułkowniku.

Trzej oficerowie zeszli z lądowiska odprowadzani czterdziestoma parami skrytych za maskami zaciekawionych oczu.

Centrum operacyjne z zewnątrz nie wyróżniało się niczym spośród pozostałych, naprędce wzniesionych baraków, może z wyjątkiem większej niż gdzie indziej liczby znikających w nim grubych przewodów zasilających. Wewnątrz natomiast, za pozwalającą na zdjęcie masek i rękawic służą, różniło się wszystkim. Po podłodze ciągnęły się pogrupowane w grube wiązki kable, powietrze było rozgrzane od pracujących zasilaczy i zjonizowane przez kilkanaście stanowisk roboczych porozmieszczanych wzdłuż ścian. Pulsujące zmieniającymi się obrazami ekrany, przed którymi siedzieli umundurowani technicy, nadawały oświetleniu lekko niebieskawy poblask. Na umieszczonym w centralnej części pomieszczenia stole znajdowała się wojskowa mapa Tienne z po-zaznaczanymi niezliczonymi kolorami strefami patroli, stanowiskami wartowniczymi i drogami dla ambulansów. Pomimo dużego rozmiaru baraku i relatywnie małej liczby ludzi wewnątrz Lewis zawsze miał wrażenie, że panuje tu tłok.

Ognisko 11-47

-

- Panów proszę o zaprowadzenie mnie do centrum operacyjnego - pułkownik zwrócił się do Nichollsa i Lewisa. - Musimy porozmawiać.

- Tak jest. - Kapitan gestem wskazał drogę do głównego budynku wojskowej części bazy. - Tędy, panie pułkowniku.

Trzej oficerowie zeszli z lądowiska odprowadzani czterdziestoma parami skrytych za maskami zaciekawionych oczu.

Centrum operacyjne z zewnątrz nie wyróżniało się niczym spośród pozostałych, naprędce wzniesionych baraków, może z wyjątkiem większej niż gdzie indziej liczby znikających w nim grubych przewodów zasilających. Wewnątrz natomiast, za pozwalającą na zdjęcie masek i rękawic służą, różniło się wszystkim. Po podłodze ciągnęły się pogrupowane w grube wiązki kable, powietrze było rozgrzane od pracujących zasilaczy i zjonizowane przez kilkanaście stanowisk roboczych porozmieszczanych wzdłuż ścian. Pulsujące zmieniającymi się obrazami ekrany, przed którymi siedzieli umundurowani technicy, nadawały oświetleniu lekko niebieskawy poblask. Na umieszczonym w centralnej części pomieszczenia stole znajdowała się wojskowa mapa Tienne z po-zaznaczanymi niezliczonymi kolorami strefami patroli,

stanowiskami wartowniczymi i drogami dla ambulansów. Pomimo dużego rozmiaru baraku i relatywnie małej liczby ludzi wewnątrz Lewis zawsze miał wrażenie, że panuje tu tłok.

Ognisko 11 • 47

Pułkownik mógł mieć może czterdziestkę, choć właściwie wyglądał na jeszcze młodszego. Szczupła, sympatyczna twarz i lekko zmęczone szare oczy bardziej kojarzyły się z księgowym niż ze starszym oficerem i jakaś część świadomości porucznika Lewisa momentalnie sklasyfikowała go jako jednego z biurkowych generałów, których cała kariera przebiegała w doskonale zaopatrzonych w segregatory i trunki gabinetach.

- Gdzie możemy porozmawiać na Osobności? - Troy spojrzął pytająco na Nichollsa, przypinając rękawice bio-shieldu do uchwytów na pasie.

- W moim biurze. - Kapitan, nawet jeśli uległ temu samemu wrażeniu, co Lewis, nie dał tego po sobie poznać. - Tędy.

Niewielkie pomieszczenie pełniące funkcję gabinetu kapitana Nichollsa nie różniło się wiele od stanowisk w centrum dowodzenia. Sterta wydruków i raportów piętrzyła się na biurku obok włączonego ekranu i kilkunastu kolorowych długopisów, a na ścianie działowej wisiała kopia mapy Tylene z Sali Operacyjnej. Ciasnota sprawiała, że mężczyźni mogli się tu poruszać z niejaką trudnością.

Nicholls przesunął papiery na bok, odsłaniając ciemny blat, i wskazał pułkownikowi miejsce. Lewis stanął przy dowódcy.

- Czas jest elementem kluczowym - zaczął Troy, zamykając drzwi do pomieszczenia - więc będę zwięzły. Najpierw dobra wiadomość: BioInd opracowało formułę szczepionki na Syndrom. Doktor Zeiss, który przybył ze mną, właśnie zajmuje się przygotowaniem stanowiska szczepień w waszym szpitalu. Niestety, możliwości jej wykorzystania w Tylene są... ograniczone.

48 ■ Micha! Cholewa

- Ograniczone? - Nicholls potrząsnął głową.

- Dokładnie tak. Trzy godziny temu Meteosat wykrył zmianę kierunku huraganu Naomi. Zmianę dość niespodziewaną, dodam, i bardzo dla nas niekorzystną. Obecne prognozy wskazują, że Naomi uderzy w Tylene dwudziestego piątego grudnia o szóstej czterdzieści osiem.

Lewis przełknął ślinę, a Nicholls przygryzł wargę. Huragan uderzający w Tylene był praktycznie równoznaczny z przerwaniem kwarantanny.

- Dowództwo szacuje, że Kurtyna przestanie pełnić swą rolę o godzinie szóstej czterdzieści dziewięć. Ze względu na konieczność powstrzymania rozprzestrzeniania się wirusa o godzinie szóstej trzydzieści teren Tylene zostanie zbombardowany bombami plazmowymi. Według badań laboratoryj...

- Zaraz, zaraz - Nicholls wpadł mu w słowo, co wywołało lekkie uniesienie brwi pułkownika. - W Tienne jest siedem tysięcy mieszkańców. Nie ma fizycznej możliwości, żebyśmy zdążyli ich wszystkich zaszczepić i ewakuować do jutra rana. Tego nie da się zrobić.

- Nikt tego od pana nie wymaga, kapitanie - głos Troya był całkowicie spokojny. - Mamy trzysta osiemdziesiąt sześć szczepionek. Sto dziewięćdziesiąt dla pańskich ludzi i kontyngentu naukowego. Sto dziewięćdziesiąt sześć dla mieszkańców, lub też dwa razy tyle, jeśli szczepić będziemy tylko osoby pomiędzy trzecim a jedenastym rokiem życia. Ewakuacji tylko takiej liczby ludzi od pana oczekuję, ani jednego więcej. Rząd nie zaryzykuje epidemii.

Stojący przy biurku Lewis poczuł zimny pot na plecach. Kapitan zamrugał szybko kilka razy i gwałtownie wciągnął powietrze. Potem wbił wzrok w biurko.

Ognisko 11 • 49

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale czy pan sugeruje to, co ja myślę, że pan sugeruje? - mówił powoli i cicho, nie odrywając wzroku od blatu.

Siedzący naprzeciw niego oficer kiwnął głową.

- Dokładnie tak, kapitanie. Ci, których nie zabierzemy, zostają. Tak. Operacja zakłada taką liczbę ofiar. Ilość mieszkańców miasta jest nam znana. Niestety, nie zaryzykujemy wywiezienia niezabezpieczonych ludzi.

- To może lepiej ich zabezpieczyć? Panie pułkowniku, to jest siedem tysięcy cywili... Zamknąć w skafandrach, przewieźć do hermetycznych bunkrów...

- Doskonale pan wie, że to zbyt ryzykowna procedura. Z moich informacji wynika, że wiedza o wirusie ma jeszcze zbyt wiele białych plam. Pojawiły się ogniska osiemnaste i dziewiętnaste, a czwarte, szóste, siódme i dziewiąte zostały... hmm... zamknięte. Przedwczoraj w laboratorium wystąpił przypadek zarażenia poprzez skafander. Dowództwo jest... - spojrzał na chwilę gdzieś w bok, jakby szukał właściwego słowa - zaniepokojone. Rozważa poddanie kwarantannie wszystkich osiedli powyżej pięciu tysięcy mieszkańców. 1

Nicholls z Lewisem spojrzeli po sobie.

- Dlaczego nas nie poinformowano? - Kapitan przeniósł wzrok na ekran, jakby szukając odpowiedniego nagłówka wiadomości w skrzynce pocztowej.

- Właśnie was informuję.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku - odezwał się po raz pierwszy Lewis. - W takim razie dlaczego, do jasnej cholery, pan tu w ogóle jest, blokując piętnaście szczepionek, zamiast wydać rozkaz przez radio?

Troy zmierzył porucznika spokojnym spojrzeniem.

50 • Micha! Cholewa

- Moja kadra naukowa już wzięła szczepionkę w ramach testów, jeszcze w laboratoriach BioIndu. Ja i moi ludzie mamy dopilnować procedur ewakuacyjnych oraz zadbać o to, aby cywile nie dowiedzieli się, że wojsko opuszcza ten teren. Dowództwo uznało, że pańscy ludzie nie są w stanie wykonać tego specyficznego zadania.

Lewis skrzywił się.

- Pewnie rozstrzeliwanie opornych... - mruknął do siebie.

Troy najwyraźniej go usłyszał. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani trochę, ale w spojrzeniu pojawiło się coś, co sprawiło, że porucznikowi zrobiło się zimno.

- Nie. Straż perymetrowa. Musimy dopilnować, żeby nikt nie uciekł w ostatniej chwili. Ani ja, ani moi ludzie nie wracamy już poza Kurtynę.

Koszary plutonu C były niemal puste. Większość oddziału przebywała na służbie, a ci, którzy mieli wolne, starali się wypocząć przed nocną wartą. Choć monotonne i bez zagrożenia, dni kwarantanny męczyły żołnierzy bardziej niż służba na placówce przyfrontowej. To nie była sytuacja, do której przywykli tam, gdzie wyszkolenie i sprzęt mogły pomóc, my kontra oni. Tu wróg był niewidzialny, a bitwę toczył legion naukowców. Oni służyli tylko do zwożenia ofiar - cywilnych i nieprzyjemnie często małoletnich ofiar. Od listopada w kompanii były już trzy załamania i jedna próba samobójcza, a morale oscyloowało wokół niebezpiecznie niskiego poziomu, nawet mimo obniżenia przez kapitana Nichollsa wymogów

Ognisko II • 51

- Moja kadra naukowa już wzięła szczepionkę w ramach testów, jeszcze w laboratoriach BioIndu. Ja i moi ludzie mamy dopilnować procedur ewakuacyjnych oraz zadbać o to, aby cywile nie dowiedzieli się, że wojsko opuszcza ten teren. Dowództwo uznało, że pańscy ludzie nie są w stanie wykonać tego specyficznego zadania.

'nia.

Lewis skrzywił się.

- Pewnie rozstrzeliwanie opornych... - mruknął do siebie.

Troy najwyraźniej go usłyszał. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani trochę, ale w spojrzeniu pojawiło się coś, co sprawiło, że porucznikowi zrobiło się zimno.

- Nie. Straż perymetrowa. Musimy dopilnować, żeby nikt nie uciekł w ostatniej chwili. Ani ja, ani moi ludzie nie wracamy już poza Kurtynę.

Koszary plutonu C były niemal puste. Większość oddziału przebywała na służbie, a ci, którzy mieli wolne, starali się wypocząć przed nocną wartą. Choć monotonne i bez zagrożenia, dni kwarantanny męczyły żołnierzy bardziej niż służba na placówce przyfrontowej. To nie była sytuacja, do której przywykli tam, gdzie wyszkolenie i sprzęt mogły pomóc, my kontra oni. Tu wróg był niewidzialny, a bitwę toczył legion naukowców. Oni służyli tylko do zwożenia ofiar - cywilnych i nieprzyjemnie często małoletnich ofiar. Od listopada w kompanii były już trzy załamania i jedna próba samobójcza, a morale oscyloowało wokół niebezpiecznie niskiego poziomu, nawet mimo obniżenia przez kapitana Nichollsa wymogów

Ognisko • 51

fi

dyscypliny. Wojsko zareagowało przystaniem psychologa, ale tak naprawdę każdy wyrobił sobie własny sposób odciążenia się od tego, co działo się w mieście. Oddaleni się od zamglonych ulic Tylene.

Chavez czytał. W rzeczach osobistych miał nieprawdopodobną dla kolegów liczbę książek i ilekroć czas na to pozwalał, pogrążał się w nich tak dokumentnie, że nie reagował nawet na kpiny pod swoim adresem.

A znów Stirling pisał do domu. Poczta była co prawda blokowana, ale chudemu sanitariuszowi zdawało się to nie przeszkadzać. Jego listy rozrastały się do olbrzymich rozmiarów, a on, kiedy tylko skończył, brał się za następny.

Montana i Neve zdobyli skądś pokaźną kolekcję filmów i zwykle spędzali czas wolny, oglądając jeden po drugim.

Załoga ambulansu ósmego wybrała hazard.

- Jak myślicie, po co przysłali tutaj taką szychę? - Starsza szeregowka Cozy szybko i z wprawą rozdała karty.

- Nie mam pojęcia. Pewnie rotacja personelu. Jest szansa, że przyślą z nim więcej ludzi, a nas zlużują. -Szeregowy Soren przesunął się na łóżku, które z powodu braku miejsca grało rolę zarówno stołu, jak i krzesła. Uśmiechnął się promiennie do Cozy - dziewczyna pomimo obciętych na zapałkę włosów była bardzo atrakcyjna ze swoimi ciemnymi oczami i wydatnymi wargami. Także figura zdecydowanie robiła z niej kompanijną piękność. - A wtedy, moja mała, już się nie wywiniesz. Jesteś mi winna kolację.

- Wygrałeś możliwość postawienia jej kolacji? - Niski, drobny Chandra parsknął śmiechem. - Jesteś bardziej zrozpaczony, niż myślałem.

Michał Cholewa

Soren wywrócił oczami.

- Każdy stawia swoje, Chandra. Ja kolację, ona...
- Spierdalaj, Soren, to nie było częścią układu. - Cozy podniosła karty z koca. - Ale zanim to zrobisz, wymień.
- Widzę, że jednak mnie kochasz... - Spojrzał wymownie na karty i podrapał się po rudych włosach. -Daj mi trzy.
- Kocha albo chce pozbawić cię kasy, Jim. - Szrama skrzywił się, patrząc na Cozy. - Zresztą w jej przypadku na jedno wychodzi. Dwie, poproszę.
- Och, biedny splukany Szrama. - Cozy dała mu kar-' ty. - Nic nie poradzę, że się nie spisałeś. Trzeba zachować

pewne standardy.

- O, właśnie, standardy. - Chandra zrobił mądrą minę. -Ani chybi pan sztabowa szyszka przyjechał się umówić z Cozy.
- Lepsze to niż wy, chłopcy, strasznie mi przykro. Ja wezmę jedną. *
- Mnie daj też jedną. - Chandra wyciągnął rękę po karty, kiedy śluza budynku zamknęła się przy akompaniamencie dźwięku uruchamianych procedur dekontaminacji.
- Oho, patrol wraca szybciej. - Soren obrócił się w stronę drzwi. - Szykujcie się na Montanę i jego Amazonki Ninja.
- Jakoś nie narzekałeś, jak to puścił, zdaje się, że siedziałeś w pierwszym rzędzie. - Szrama skorzystał z okazji i zerknął w karty kumpla. Najwyraźniej zdegustowany tym, co zobaczył, powiedział coś bezgłośnie do Cozy, która wzruszyła ramionami i zrobiła niewinną minę.

Ale to nie był patrol - wchodzący Lewis nawet nie ściągnął maski.

Ognisko

- Zbierać się, zbiórka przy ambulansach. Pięć minut. -Nawet pomimo przefiltrowania przez maskę w jego głosie dało się wyczuć napięcie.
- Co się stało, panie poruczniku? - Cozy z zalem spojrzała na karty. Soren i Szrama byli już w drodze do bio-shieldów, wymijając powoli podnoszącego się Chandrę.
- Musimy coś ogłosić.

Ambulans jechał powoli pustą ulicą, odciskając oponami dwie linie na śniegu. Reflektory wgryzały się w spowijającą miasto mgłę - cząsteczki Kurtyny, które zdryfowały do wewnątrz strefy kwarantanny.

- Rodzice dzieci w wieku od trzech do jedenastu lat proszeni są o jak najszybsze zgłoszenie się z nimi do szpitala na rynku głównym w ciągu najbliższych kilku godzin. powtarzam, rodzice dzieci w wieku od trzech do jedenastu lat proszeni są o jak najszybsze zgłoszenie się do szpitala na rynku głównym w ciągu...

Spotęgowany megafonem głos Szramy unosił się między budynkami, a cisza sprawiała, że zdawał się jeszcze głośniejszy. Soren rozejrzył się. Jak na razie żadnej reakcji. Jedynym poruszającym się obiektem, nie licząc drobnych płatków śniegu, był ich pojazd.

- Mogliby wyjrzeć chociaż. - Cozy wyglądała przez boczne okno pojazdu, śledząc nieruchome jak na pejzażu przydomowe ogródki.

- Nie kojarzymy im się zbyt dobrze. - Chandra po raz kolejny sprawdził apteczkę.

Michał Cholewa

- Przestań się tym bawić. - Cozy trzepnęła go w ramię.

- Czymś się muszę zająć. Patrzenie przez okno mnie dobija.

- ...Zgłoszenie się z nimi... - Szrama, choć powtórzył komunikat już kilkanaście razy, wciąż zerkał na kartkę.

- Patrzcie! - Prowadzący pojazd Soren wskazał przed siebie, na wyłaniający się z mgły dom.

Chandra, który zdążył już ponownie skupić całą uwagę na swojej apteczce, podniósł głowę.

- Dom, i co? - Wzruszył ramionami.

- Choinka... - głos Cozy brzmiał jak zdławiony, i to nie tylko przez maskę.

W pozbawionym firanek oknie domu, do którego zbliżał się powoli ambulans, błyszczały kolorowe światełka lampek choinkowych. W miarę jak pojazd pokonywał kolejne metry, coraz wyraźniej dostrzegali za oknem kształt wysokiego drzewka. I sylwetki czwórki osób przy nim stojących. Nie poruszały się, przynajmniej nie dało się tego dostrzec. Po prostu stały jak zamarte, patrząc na przybrany kolorowo świerk.

- No tak, święta... - Chandra przyłgnął do okna pojazdu na tyle, na ile pozwalała mu maska i hełm. W innej sytuacji wyglądałoby to zabawnie, teraz nikt się nie zaśmiał.

Megafon zamilkł, kiedy Szrama przerwał komunikat w pół zdania.

Ambulans sunął zaśnieżoną ulicą w ciszy zakłócaną jedynie pracą silnika na niskich obrotach.

Soren ocknął się po kilku sekundach.

Ognisko II • 55

- Szrama?

- Tak, wiem. Przepraszam. - Szrama odkasznął kilka razy i już po chwili ulice znowu wypełnił płynący z megafonu głos.

Opuszczony przez większość kompanii obóz zdawał się niemal pusty. Nieliczni żołnierze chodzili wzdłuż siatki, wydeptując ścieżki we wciąż na nowo pokrywającym asfalt śniegu lub stali na stanowiskach wartowniczych przy bramach, którymi niedawno wyjeżdżały ambulanse.

Romantowski oparł karabin o ogrodzenie i zrobił kilka przysiadów. Potem obrócił się w stronę nieruchomego Nevego.

- Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Jakiś jajogłowy wpadł na kolejny genialny pomysł. -Kaemista wzruszył ramionami. - Może szczyłe są jakoś bardziej odporne albo co.

-1 dlatego dostaliśmy nowego dowódcę i jego dzielną gwardię honorową? - Romantowski odruchowo obrócił się w stronę obozu.

- To jakieś specopy. - Neve pokiwał kilka razy głową. - Po co innego taki oficerek miałby wlec tu ze sobą ilu? Ośmiu ludzi? Mają coś tu do zrobienia, mówię ci.

- Pewnie, że mają tu coś do zrobienia. - Maską niemal wyeliminowała zgryźliwy ton Romantowskiego. Niemal. -Straszliwa nowina.

Obrócony w stronę obozu, pierwszy dostrzegł nadchodzącą postać w wojskowym bioshieldzie. Cofnął się i podniósł oparty o siatkę karabin.

56 • Michał Cholewa

- Kto idzie?

- Kogo, kurwa... - Neve przerwał gwałtownie, kiedy przybysz zrobił kolejny krok. - Przepraszam, panie kapitanie.

- Spocznij. - Nicholls podszedł do wartowników. -Jak sytuacja?

- Spokój i cisza, panie kapitanie. - Romantowski zmarszczył brwi pod maską. Ponieważ służba wartownicza była w Tyenne najnudniejszym obowiązkiem, spraw-

'dzanie posterunków zdarzało się dość sporadycznie. A kiedy już nawet ktoś przychodził, zazwyczaj był to dowódca warty. Żołnierz nie pamiętał, żeby kapitan Nicholls dokonywał inspekcji osobiście choć raz. - Odkąd karetki pojechały, ani śladu ruchu.

- Wymyślili coś nowego, co? - zainteresowanie Nevego było słyszalne nawet poprzez filtr bioshieldu.

- O tak. - Nicholls kiwnął głową. - Coś zupełnie nowego.

Podszedł do siatki i oparł się o nią czołem, wpatrując się w milczące miasteczko. Krople wody ściekały po podgrzewanym wizjerze maski.

- Lekarstwo? - Potężny żołnierz ożywił się. - Wie pan, moja siostra jest to Czwórcę. Żadnych informacji, odkąd całkiem odcięli ogniska, nic. Myśli pan, że niedługo się stąd zabierzemy?

- Do jutra rana nas tu już nie będzie. - Oficer nawet nie drgnął.

Obaj żołnierze, ignorując procedury wartownicze nakazujące im obserwację przedpola, jak na komendę wlepili w niego wzrok.

- Pan żartuje, panie kapitanie? - w głosie Nevego zagrała nuta niepewności.

Ognisko II • 57

y'

- O nie. A teraz, Neve - Nicholls odepchnął się od siatki i stanął wyprostowany, poprawiając pasek karabinu - leć do porucznika Lewisa i powiedz mu, żeby zawiadomił szpital, że już przyszli na badania.

Neve zasalutował niepewnie.

- Tak jest, ale... - Neve był już w pół obrotu, kiedy nagle zamarł i obrócił się w stronę siatki. - O kurwa.

Romantowski podążył wzrokiem w kierunku, gdzie jak przypuszczał, kaemista znalazł inspirację do tak treściwej wypowiedzi. I wtedy ich zobaczył.

W tłumionym przez mgłę i śnieg świetle ulicznych latarni w stronę bramy szli ludzie. Szczelnie opatuleni w zimowe kurtki, czapki i szaliki, niezdecydowanym krokiem kogoś, kto właściwie nie wie, co go czeka, ale idzie za tłumem. Zbijali się w niewielkie grupki, by dodać sobie otuchy. Niektórzy szli z trudem.

Prowadzili dzieci.

Młodsze, niesione na rękach, sprawiały wrażenie przyrośniętych do rodziców. Starsze trzymały się kurczowo dłoni opiekunów, drepzcząc niezdarnie w kolorowych zimowych kombinezonach niczym astronauta na obcej planecie, albo szły obok dorosłych, zerkając niepewnie w stronę obozu, rozdarte między ciekawością i strachem. Jakiś mężczyzna w zielonej kurtce i narciarskiej czapce z pomponem próbował uspokoić głośno płaczącego kilkulatka w czerwonym płaszczku. Kawałek dalej sunęły

ciągnięte przez starszą kobietę we włóczkowym szaliku i zielonym wełnianym płaszczu sanki, na których jechała dwójka dzieci w identycznych żółtych ubrankach.

- Szeregowy Neve, nie zrozumieliście rozkazu? - Nicholls nawet nie spojrzął na zamartłego żołnierza.

58 ■ Michał Cholewa

- Nie, sir, przepraszam, sir. - Neve potrząsnął głową i ruszył w stronę centrum.

Romantowski odprowadził go wzrokiem, po czym obrócił się znów w stronę milczącego pochodu mieszkańców Tylene.

- Strasznie im się spieszy. Myślałem, że pojawią się dopiero rano.

- Tak - głos kapitana dziwnie zabrzmiał pod maską. -»Liczą na to, że ich ocalimy.

Soren powoli wprowadził ambulans przez otwartą na oścież bramę obozu. Cała czwórka obsady w milczeniu wpatrywała się w zorganizowany chaos, który zapanował podczas ich nieobecności.

Na placu było jasno jak w dzień. Uruchomiono całe oświetlenie bazy i potężne sodowe światła zamieniały obóz w jasną wyspę pośród nocy. Połowę rynku zajmował zakręcony ludzki wąż kolejki, urywający się w drzwiach szpitala. Po jego obu stronach spacerowali żołnierze, w szarych bioshieldach odcinający się wyraźnie od kolorowo ubranych cywilów. Wokół kilkunastu śmigłowców transportowych, którymi dysponowała kompania, mrowiły się ekipy techniczne, lądowisko huczało od pospiesznie przeprowadzanych testów silników. Wirujące łopaty śmigieł wprawiały drobne płatki śniegu w szaleńczy taniec.

- Chryste Panie... - wymamrotała Cozy, jakby w niedowierzaniu przykładając ukrytą w czarnej rękawicy dłoń do szyby pojazdu.

Ognisko II

- Szykuje się masowy exodar. - Szrama wskazał na lądowisko.

- Exodus - poprawił go odruchowo Chandra. - Będzie trzeba zrobić ze dwadzieścia nawrotów, żeby to wszystko przewozić...

- Tak czy inaczej, nie spodziewałbym się spokojnej nocy - rzucił Soren, ostrożnie prowadząc ambulans wśród poruszających się, zdawałoby się, we wszystkich kierunkach ludzi. - Zwłaszcza że pewnie i tak nam znajdą coś do roboty... - Wskazał migającą na desce rozdzielczej diodę łączności radiowej. Chandra sięgnął po nadajnik.

- Ósemka zgłasza się, odbiór.

- Centrum do ósemki, podaj swoją aktualną pozycję, odbiór - kobiecy głos w radiu należał do chorążej Lindquist, drobnej i bardzo sympatycznej dziewczyny, na zmianie przy stanowisku łączności.

- Ósemka do centrum, jesteśmy wewnątrz obozu, kierujemy się do parku maszyn, przy tym ruchu będziemy wolni za minutę, odbiór.

- Centrum do ósemki, o pierwszej dwadzieścia pięć macie być w koszarach, odprawa dla całego plutonu C, potwierdź, odbiór.

Szrama odruchowo zerknął na zegarek. Pierwsza, dwanaście, pokazywały fosforyzujące wskazówki.

- Ósemka, potwierdzam, odprawa plutonu w koszarach, pierwsza dwadzieścia pięć. Dzięki, Vanessa, bez odbioru. - Chandra odwrócił się do Szramy i Cozy. - Hej, w końcu powiedzą nam, o co chodzi.

- Już mam wrażenie, że będzie to coś paskudnego. - Cozy zaciągnęła poluzowane paski hełmu.

60 • Michał Cholewa

- Nie dramatyzuj. Skoro ściągnęli ich wszystkich tutaj, to pewnie mają plan, co zrobić dalej. Pewnie zaczynają relokację. Najpierw dzieci i najbliższe rodziny. Procedura. - Chandra rozłożył ręce.

- Cokolwiek to jest, dowiemy się za kilkanaście minut. - Szrama wyglądał przez okno pojazdu. Światła sodowych reflektorów tworzyły świetlną mozaikę na wizjerze maski. - Na razie nie ma co gdybać.

- Amen. - Sanitariusz wychylił się przez oparcie i poklepał Cozy po ramieniu. - Na razie nie masz się co przejmować. A potem pewnie też nie.

Prowadzony przez Sorena ambulans wtoczył się tymczasem we względny spokój parku maszyn. Z dwudziestu ciężarówek kompanii wewnątrz znajdowało się dziewięć - pozostałe pewnie nadal objeżdżały swoje sektory, nadając wezwanie poprzez zamontowane na dachach megafony. Poza samymi pojazdami wewnątrz ogrodzenia uwijała się samotna czteroosobowa grupa techniczna w czar-no-pomarańczowych bioshieldach, a przy bramie stało dwóch nieruchomych jak posągi wartowników.

- Coś mało ich - zauważył Szrama z tylnego miejsca - chyba wiem, skąd dowództwo wzięło dodatkowych ludzi do śmigłowców.

- Jak zawsze niesamowity, Sherlocku... - z tonu Cozy niemal dało się wyczytać pogardliwe skrzywienie ust. - Skądś przecież musieli się wziąć, chyba że stary ich urodził. Wartowników za to dali nam zewnętrznych.

- Albo takich, co ich dobrze nie znasz, pewnie jest takich choć kilku - skontrował żołnierz.

- Taa, jasne, mistrzu ciętej riposty - prychnęła Cozy. - Popatrz lepiej na swój bioshield, baranie. Lewe ramię,

Ognisko II 61

oznaczenie plutonu i kompanii. Te chłopaki tego nie mają. Ani chybi megaspecgrupa od tego pułkownika.

- Pilnują, żeby nikt nie zwędził ambulansu - zachichotał Soren, zatrzymując ciężarówkę. - Widać, że są nowi. Kto by chciał takiego grata...

Kapral Terrence, niemal dwumetrowy chudzielec, znany powszechnie jako Wieża, w oznaczonym na pomarańczowo bioshieldzie technika, podszedł do nich, zaledwie otwarli drzwi.

- Coś będzie przy nim do roboty? - Poklepał maskę ambulansu. > ,

- Wszystko OK, o ile się orientuję. Skąd gwardia honorowa? - Gestem głowy Soren wskazał na dwie sylwetki wartowników.

- Rozkazy z góry. - Terrence nerwowo zerknął w stronę bramy. - Pewnie pilnują, żeby komuś nie odbiło. No, wiecie, w związku z rozkazami.

- Jakimi rozkazami? - Stojąca dotąd z tyłu Cozy pochyliła się konspiracyjnie w stronę technika.

- To wy nic nie wiecie?

- Jak mamy wiedzieć, Wieża, jak dopiero wróciliśmy z terenu? - Soren uderzył się dłonią w przednią część hełmu, wydobywając z niego głucho puknięcie.

- Ten cały Troy, on przyleciał tu zamykać... '

- Wieża, widzę, że nie masz nic do roboty - ostry głos sierżanta Sykesa przerwał technikowi. - Macie coś do zgłoszenia, kapralu? - Zwalisty podoficer podszedł energicznym krokiem do skupionej przy ambulansie grupki i skierował się w stronę Chandry.

- Nie, panie sierżancie, wszystko w najlepszym porządku. - Drobnym sanitariusz wydawał się mały jak dziec-

Michał Cholewa

ko przy wysokim niemal jak Terrence i dwa razy od niego szerszym Sykesie.

- To zbierajcie ludzi i znikajcie stąd. Tu się nie kręci bez ważnego powodu. - Sierżant wskazał szerokim ruchem ramienia bramę parku maszyn.

- Ta jest, panie sierżancie, już idziemy, panie sierżancie.

Czwórka żołnierzy ruszyła w kierunku odległych o niecałe pięćdziesiąt metrów koszar. Choć bioshieldy były całkowicie klimatyzowane, padający drobny śnieg rozwiewany produkowanym przez wirniki śmigłowców wiatrem sprawił, że Cozy zadrżała pod wpływem irracjonalnego uczucia chłodu. Ciekawe, jak to odczuwają ci wszyscy ludzie, pomyślała, odruchowo kierując wzrok w stronę kolorowej kolejki.

Dzieci, a przynajmniej te, które nie płakały, z zaciekawieniem obserwowały przechodzących żołnierzy, kilku starszych chłopców z wypiekami patrzyło na broń na jej ramieniu. Starsza szeregowka pomachała wpatrzonemu w nią dziesięciolatkowi w niebieskiej kurtce z nadrukiem „Kapitan Planeta”, żałując odrobinę, że nie może się do niego uśmiechnąć. I wtedy zobaczyła, że oprócz dzieci wpatrują się w nich dorośli. Nie, nie w nich, poprawiła się natychmiast - poza nich, w stronę hałaśliwego i pełnego ruchu lądowiska. Szybko przebiegła wzrokiem po kolejce. Starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni wpatrywali się z fascynacją na otoczone technikami transportowe Weasele. I z nadzieją. Nie odzywali się do siebie, po prostu chłonili obraz przygotowywanych do startu maszyn.

Ciarki przemaszerowały tam i z powrotem po plecach dziewczyny. Cozy zakłęta cicho i strzepnęła śnieg z ramienia

Ognisko II

kombinezonu, chcąc ukryć wzdrygnięcie. Miała nadzieję, że nikt z kolegów nie dostrzeże oznaki słabości.

- ...zadania plutonu C są zatem, jak następuje - pułkownik Troy mówił spokojnym, pewnym siebie głosem, zdając się nie zwracać uwagi na niedowierzające twarze żołnierzy. - Za dziewiętnaście minut sekcja druga plutonu B kończy służbę przy kolejce, sekcja porucznika Lewisa zajmie ich miejsce. Sekcja sierżanta Deco zajmie się przeprowadzaniem niezaszczepionych do ratusza. Wraz z ostatnim transportem cywilów poza ognisko, planowanym na pięta zero dwie, sekcja Deco przenosi się na pozycje wartownicze przy mesie, sekcja Lewisa na ogrodzenie. O godzinie piątej trzydzieści pięć cały pluton uda się do szpitala na szczepienie, a o piątej pięćdziesiąt na lądowiska trzy do sześć, skąd zostanie ewakuowany. Czy są jakieś pytania?

Dwudziestu pięciu żołnierzy plutonu C patrzyło bez słowa na oficera. Ciemnoskóry Chavez nerwowo bawił się rękawicą bioshieldu. Montana co chwilę potrząsał głową, jakby chciał wydobyć jakieś inne, ukryte znaczenie słów pułkownika. Cozy wyłamywała palce, a malutka, ciemnowłosa Argento, blada jak ściana, masowała sobie skronie szybkimi, nerwowymi ruchami.

Po krótkiej chwili w powietrze podniosła się pojedyncza dłoń.

- Szeregowy? - Pułkownik skierował wzrok na pytającego, zwałistego olbrzyma o twarzy kryminalisty.

- Jak wygląda sprawa z dystrybucją szczepionek do innych ognisk? Widzi pan, panie pułkowniku, mam...

64 • Michal Cholewa

- Nie widzę związku tego pytania z waszymi rozkazami, szeregowy... - Troy skupił wzrok, żeby dojrzeć nazwisko na piersi bioshieldu - Neve. Powiem tylko, że Jedenastka ma priorytet ze względu na omówione przed chwilą okoliczności. Ale Centrum nie zapomina o innych istniejących ogniskach, nie martwcie się o to.

Neve pokiwał szybko głową i zagryzł wargi.

- Tak jest, panie pułkowniku - wymamrotał cicho.

Troy odczekał kilka sekund, po czym zebrał leżące

dotąd na stoliku przed nim papiery. ' - To wszystko zatem. Wykonać.

- Aaasność! - zakomenderował Lewis, a wyszkolone przez wojskowy trening mięśnie podniosły resztę plutonu do postawy zasadniczej.

Pułkownik zatrzymał się na kilka sekund, żeby nałożyć maskę i hełm bioshieldu. Stojący przodem do niego Lewis zamrugał« niedowierzaniem, patrząc, jak pomija wszystkie procedury uszczelniające. Ocknął się, dopiero kiedy drzwi śluzu zamknęły się za starszym oficerem.

- Spocznij - rzucił zmęczonym głosem i koszary rozbrzmiały zdenerwowanymi głosami jego ludzi.

- Co my, kurwa, robimy? - gorączkował się dziewiętnastoletni Solskjaerd. Jego pociągła twarz była blada ze stresu i chłopak có chwila pocierał ręką czoło, odgarniając czuprynę jasnych włosów. - Ich tam jest z siedemset sztuk! Znaczą będą tu stać, a my im zrzucimy bomby na głowę?

- Siedemset sztuk to jest ich tutaj. - Szrama usiadł ciężko i złożył ręce w piramidkę przed twarzą. - To pieprzone miasto ma siedem tysięcy ludzi.

- I tak mrą jak muchy - zauważył cicho Johnson. -Dobrze, że możemy wyciągnąć chociaż tyłu.

Ognisko II

- Wiem, że zabrzmi to cholernie samolubnie z mojej strony - Montana przeczesał dłonią spoczone jeszcze po niedawnym zdjęciu hełmu włosy - ale chyba lepiej tak, niż pozwolić, żeby to gówno się rozniosło.

- Niech się roznosi - parsknął Soren. - Mamy przecież szczepionkę, nie?

- Niecałe czterysta sztuk, Soren - głos sierżanta Deco wbił się w wymianę zdań i uciął ją rriomentalnie. Niski podoficer pomimo nieprzystającej do>popularnego wizerunku sierżanta flegmy działał iście magicznie nawet na największych zakapiorów plutonu. Po prostu wszyscy chcieli słuchać tego, co miał do powiedzenia. -1 jakoś nie zauważyłem nowych lądujących tu śmigłowców. Więc pewnie nie potrafią jej szybko robić. - Deco spokojnym, ciężkim krokiem podszedł do pryczy i zaczął dopasowywać leżące tam rękawice. - Sto pięćdziesiąt kilometrów stąd jest Canalette. Coś pod milion mieszkańców. Policz sobie, ile zdołamy zaszczepić, zanim reszta nam padnie. A potem wybierz, co wolisz.

Zapadło krótkie milczenie, kiedy twarze wszystkich skupiły się na Deco. Ktoś zaklął cicho pod nosem. Ale Lewis wiedział, że prawdziwa dyskusja już się zakończyła., Czasem zazdrościł sierżantowi jego magii.

- Panie poruczniku... - Neve trzymał przed sobą oburącz maskę i oficer przez moment wyobraził sobie, jak kaemista mnie ją w rękach w zakłopotaniu. - Mam takie pytanie...

- Mów, Neve. - Lewis skinął głową.
- Którędy idzie ten cały huragan? Znaczy czy przez inne ogniska też? Bo wie pan, w Czwórcie...
- Nie martwcie się, szeregowy. - Lewis zaczął zakładać maskę, co pozwoliło mu uniknąć wzroku olbrzymia. -

Michał Cholewa

Według moich informacji huragan nie będzie w stanie zagrozić ognisku cztery.

- Dziękuję, panie poruczniku. - Neve uśmiechnął się promiennie, co samo w sobie wyglądało dość groteskowo.
- Nie ma problemu, Neve. Zwijaj się teraz, służba za osiem minut.
- Ta jest! - Żołnierz wyprężył się w salucie i ruszył po swoje rzeczy.

Kiedy Lewis i Chandra dotarli na stanowisko przy podwójnych drzwiach do kliniki miejskiej, pierwsze Wea-sele właśnie startowały. Potężne wirniki najpierw rozpędziły się, a potem zamieniły w rozmazane plamy, rozpylające na wszystkie strony drobinki śniegu i rwące w sine skrawki mgłę Kurtyny. Jedna za drugą ciemnoszare maszyny z oznakowaniami korpusu powoli, jakby z wysiłkiem, podnosiły się w powietrze, zabierając swoich pasażerów w ciemność nocy, z daleka od Tyenne i jego demonów. Wtedy właśnie kolejka zaczęła wiwatować. Kobiety śmiały się, machały i ocierały tzy szczęścia, mężczyźni podnosili dzieci w powietrze, aby lepiej widziały znikające w mroku maszyny. Jakiś starszy pan w futrzanej czapce z daszkiem i kurtce podwajającej chyba jego rozmiar tłumaczył kiwającemu głową z poważną miną i roziskrzonymi oczyma dziesięciolatkowi, jak działa śmigłowiec, a kilka miejsc dalej siedząca na sankach i ukryta pod parasolem kobieta czytała bajkę wianuszkowi skupionych wokół niej dzieci. Wzrok Lewisa przesunął się wzdłuż kolejki, na młodych rodziców,

Ognisko II 67

Według moich informacji huragan nie będzie w stanie zagrozić ognisku cztery.

- Dziękuję, panie poruczniku. - Neve uśmiechnął się promiennie, co samo w sobie wyglądało dość groteskowo.
- Nie ma problemu, Neve. Zwijaj się teraz, służba za osiem minut.
- Ta jest! - Żołnierz wyprężył się w salucie i ruszył po swoje rzeczy.

Kiedy Lewis i Chandra dotarli na stanowisko przy podwójnych drzwiach do kliniki miejskiej, pierwsze Wea-sele właśnie startowały. Potężne wirniki najpierw rozpędziły się, a potem zamieniły w rozmazane plamy, rozpylające na wszystkie strony drobinki śniegu i rwące w sine skrawki mgłę Kurtyny. Jedna za drugą ciemnoszare maszyny z oznakowaniami korpusu powoli, jakby z wysiłkiem, podnosiły się w

powietrze, zabierając swoich pasażerów w ciemność nocy, z daleka od Tyenne i jego demonów. Wtedy właśnie kolejka zaczęła wiwatować. Kobiety śmiały się, machały i ocierały łzy szczęścia, mężczyźni podnosili dzieci w powietrze, aby lepiej widziały znikające w mroku maszyny. Jakiś starszy pan w futrzanej czapce z daszkiem i kurtce podwajającej chyba jego rozmiar tłumaczył kiwającemu głową z poważną miną i roziskrzonymi oczyma dziesięciolatkowi, jak działa śmigłowiec, a kilka miejsc dalej siedząca na sankach i ukryta pod parasolem kobieta czytała bajkę wianuszkowi skupionych wokół niej dzieci. Wzrok Lewisa przesunął się wzdłuż kolejki, na młodych rodziców,

Ognisko 1! • 67

którzy bezskutecznie usiłowali jednocześnie przypilnować biegających wokół nich może siedmioletnich chłopców i wyjąć zawinięte w sreberka kanapki z dużej kraciastej torby.

- Panie poruczniku? Sir? - Oficer z opóźnieniem zareagował na trącającego go w ramię Chandrę.
- Słucham, Chandra? - Lewis spojrział na drzwi szpitala i wyglądającego z nich żołnierza, który unosił w powietrze trzy palce. - Trzy następne rodziny, do środka, proszę, nie wstrzymywać kolejki, nie wstrzymywać.

Przez otwarte skrzydło weszła mocno zaokrąglona kobieta w średnim wieku. Ciągnęła za rękę kilkulatkę o wystających spod czapki marchewkoworudych włosach, obejmującą mocno wytartego pluszowego misia.

Za nią podążał łysy mężczyzna o wyglądzie żołnierza mafii wraz ze szczupłym chłopcem, który zza druczanych oprawek okularów z powagą obserwował mijanych wojskowych, oraz starszy pan kończący właśnie wyjaśnianie synowi - a może wnukowi - dlaczego helikoptery latają.

- Powinni może powiedzieć rodzicom, żeby odsunęli się od okna - powiedział kapral, kiedy drzwi zamknęły się na powrót, a kolejka ruszyła naprzód - albo chociaż » pozaciągać żaluzje.

Chandra podniósł lekko głowę. Oficer podążył wzrokiem we wskazanym kierunku.

Za szyb na piętrze widoczni byli ludzie - tymczasowo przeniesieni na piętro szpitala rodzice ewakuowanych dzieci. Podobnie jak mieszkańcy w kolejce, i ci patrzyli w niebo, gdzie niedawno zniknęły śmigłowce pierwszego rzutu.

Płakali.

68 Michał Cholewa

w

Trzy razy na minutę. Mniej więcej z taką częstotliwością drzwi z tyłu kliniki otwierały się i wychodzili stamtąd ludzie.

Sekcja Deco szybko zaadaptowała system wprowadzony przez umieszczonych tu uprzednio ludzi Rosemasa. Poczekać, aż zbiorą się trzy, cztery grupy, i odprowadzać do niewysokiego budynku ratusza.

Czynność niemal mechaniczna. Co minutę lub dwie żołnierz, którego kolejka właśnie wypadła, tłumaczył zaniepokojonym rodzicom płaczącym po zastrzyku placebo dzieci, że trzeba je przenieść do ciepłego miejsca i odprowadzał całą rodzinę do odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów budynku. Tam przejmowali ich już inni, prowadząc do sal, podając herbatę i wojskowe racje.

Cozy serdecznie znenawidziła tę czynność już po czterech kolejkach.

- Proszę pana, proszę pana, a czy my też polecimy helikopterem? - Drepczący tuż koło niej mniej więcej siedmio-, ośmioletni piegowaty chłopak szarpnął ją za nogawkę.¹
- Tak - Cozy starała się nadać krótkiemu słowu jak najwięcej przekonania.
- A dlaczego Inni idą na górę, a my tam, proszę pana?
- To jest pani, Sven. - Ojciec dziecka, rosły mężczyzna o rudych włosach i jak syn pokrytej piegami twarzy, jedną ręką objął drobniutką, ciemnowłosą kobietę, a drugą pogłaskał dzieciaka.
- I na pewno dlatego, że tam po prostu nie ma miejsca dla wszystkich, prawda? - zwrócił się do szeregowej.

Ognisko II • 69

- Właśnie. - Cozy kiwnęła głową. - Jest dużo ludzi, a mało miejsca - zmusiła się do rozwinięcia wypowiedzi. -Więc musimy przydzielać do różnych budynków.
- A mogę potrzymać pani karabin? - Starszy od Sve-na blondynek, krążący dotychczas wokół grupy i wydeptujący spirale śladów w płytkim śniegu, postanowił nie tracić szansy, skoro już wiedział, że z żołnierzem można porozmawiać.
- Nie, niestety. - Dziewczyna rozłożyła bezradnie ręce. -Nie mogę go dawać nikomu.
- Nie przeszkadzaj pani, Tommy. - Towarzyszka chłopaczkowi brunetka w wieku Cozy podała dziecku czapkę. - I załóż ją, bo się pochorujesz. Jak pojedziemy do Canalette, kupię ci taką samą zabawkę.
- Taką, co świeci. I strzela. - Mały podskoczył z radości. - Super!

Kobieta popatrzyła na Cozy jasnobłękitnymi oczami. Śnieg topniał na jej nieosłoniętych czarnych włosach. Dziewczyna miała wrażenie, że przenikliwe spojrzenie przewierca się przez maskę i dociera prosto do jej własnych zaczerwienionych oczu. I widzi w nich prawdę. Przełknęła głośno ślinę.

- To już ratusz - wychrypiała zaschniętym nagle gardłem. Odchrząknęła. - To już ratusz - powiedziała wyraźniej. - Proszę iść tam, gdzie pokieruje państwa dyżurny. Tutaj proszę zostawić sanki, będziemy ich pilnować -zwróciła się w stronę czteroosobowej rodziny ciągnącej swoją najmłodszą pociechę na różowych plastikowych sankach, których płozy zgrzytały o ukryty pod płytkim śniegiem asfalt. - Będą tutaj cały czas. I... Tommy?

- Co? Znaczy słucham? - Mały podszedł nieśmiało.

70 • Michał Cholewa

Cozy kucnęła i zdjęła z ramienia karabin, odruchowo sprawdzając, czy jest zabezpieczony. Podsunęła go chłopakowi.

- Ale tylko na króciutką chwilkę, bo mi się oberwie, mały.

Tommy wziął karabin i nieomal ugiął się pod ciężarem broni. Pomacał spust, a potem popatrzył przez celownik. Cozy oparła mu kolbę o ramię, ale ręce miał za krótkie, by dobrze uchwycić broń.

Stojący w otwartych drzwiach dowódca plutonu A, Thornton, całkowicie zignorował to jawne naruszenie regulaminu.

- Ale super! - Mały popatrzył na towarzyszącą mu kobietę z przejęciem. - Super, nie?

- Tak, Tommy - uśmiechnęła się. - Ale musimy już iść, pani ma na pewno mnóstwo roboty. Podziękuj jej ładnie i chodźrny.

- Dziękuję. - Chłopak ukłonił się grzecznie.

- Nie ma za co. Do widzenia. - Cozy poklepała dziecko po ramieniu rękawicą bioshieldu.

- Do widzenia. - Chłopak wbiegł przez otwarte drzwi ratusza na oświetlony korytarz.

- Dziękuję pani bardzo - dziewczyna zwróciła się do Cozy. - Bratu bardzo imponują żołnierze.

- Silvia. - Cozy odruchowo uśmiechnęła się pod maską, czując jednocześnie, jak tży ciekną jej po policzkach.

- Tamara. - Posłany jakby w odpowiedzi uśmiech spotęgował wrażenie, że brunetka doskonale widziała twarz Cozy. Ale to musiało być tylko wrażenie. Filtr był całkiem nieprzejrysty z zewnątrz.

- Do zobaczenia, Tamaro.

Ognisko

- Żegnaj, Silvio.

Kiedy Thornton zamknął drzwi, Cozy dała radę zrobić tylko kilka kroków z powrotem w stronę kliniki.

- Co jest, Cozy? - Zaniepokojony Szrama wstrzymał swoją grupę i podbiegł do klęczącej w śniegu i wspierającej się na rękach szeregowej. - Potrzebujesz lekarza? Powiedz coś.

- Nic, nic, nic, weź ich i idź. Już wstaję. - Cozy mimo usilnych prób nie udało się w pełni zapanować nad głosem, ale na szczęście Szrama kiwnął tylko głową i odszedł, o nic nie pytając. v

Śmigłowce właśnie startowały po raz piąty, opuszczając powoli, z powodu gwałtownie gęstniejącego śniegu, lądowisko. Montana przeszedł raz jeszcze wzdłuż swojego odcinka kolejki. Trzydzieści kroków naprzód, zwrot i znowu trzydzieści kroków. Żołnierz starał się ignorować stojących kilka metrów od niego cywilów, kierując wzrok raczej w stronę wojskowej części bazy. Tam działy się rzeczy, które rozumiał, które były częścią jego świata. Znajome w swoim uporządkowaniu.

Technicy, oczekując na powrót Weaseli, zniknęli, w hermetycznym warsztacie, z którego mieli wyjść za jakieś pół godziny, by przygotować się do pospiesznego sprawdzenia maszyn przed kolejnym lotem. Posterunek wartowniczy przy bramie wpuszczał ostatnich przybyłych, którzy dołączali do niemalejącej, zdawałoby się, kolejki. Przed punktem dowodzenia stały warty - pewnie złożone z nowych, bo Stary nigdy nie wystawiał tam strażników.

Michał Cholewa

Spojrzał na zegarek. Trzecia dwadzieścia sześć, półtorej godziny z kawałkiem do końca służby na tym stanowisku. A potem szczepienie i ewakuacja. Montana z przyjemnością powtórzył w myślach to słowo. Miał serdecznie dość Tyenne, dość wywożenia ciał, dość ludzi chowających się po domach w strachu przed wojskowymi ciężarówkami. Ta cała szczepionka z pewnością bardzo ' pomoże, na pewno będzie mniej biadolenia, że po prostu odlecą - bo przecież zabierali, kogo się dało.

Kopnął mijany kamień, który wirując, pojechał poślizgiem po śniegu wprost pod nogi jakiejś kobiety uspokajającej właśnie płaczące dziecko. Ta zaskoczona podniosła głowę i popatrzyła na żołnierza lekko zdezorientowana. Montana uniósł obie dłonie w przeproszającym geście. Kobieta uśmiechnęła się.

Miała śliczny uśmiech.

Żołnierz szybko odwrócił głowę w stronę lądowisk.

Właściwie Lewis obserwował ją od jakiegoś czasu, chociaż uświadomił to sobie dopiero teraz, kiedy była druga w kolejce.

Margot Delareux była ubrana dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia, kiedy rozmawiał z nią przy bramie, a w ramionach trzymała śpiące dziecko... Christine, tak się chyba nazywało.

Jako, zdaje się, jedyna nie dołączyła do jakiejś większej grupki oczekujących. Pomimo tłumu stała sama, co jakiś czas podnosząc wzrok na bliski już teraz budynek kliniki. Jakaś część żołnierza ucieszyła się, widząc ją tutaj, chociaż krańce świadomości natychmiast

Ognisko

naszpicowały mu jej obraz wśród pozbawionych dzieci rodziców patrzących na odlatujące śmigłowce. Wstrząsnął głową, by odpędzić wizję.

- Coś nie tak, panie poruczniku?
- Wszystko w porządku, Chandra. Robię się trochę zmęczony.

Drzwi kliniki otwały się po raz kolejny. Tym razem Norrel, zamiast otworzyć je na całą szerokość jak wcześniej, wyszedł na zewnątrz i zamknął je za sobą. Lewis podszedł do niego trzema szybkimi krokami.

- Co się stało?
- Koniec prochów, znaczy leków, panie poruczniku. Koniec przyjmowania. Ostatni rzut już czeka na maszyny.
- Już? - Lewis odruchowo spojrzał na co najmniej jeszcze dwuosobową kolejkę.
- No, już. Ten cały Zeiss powiedział, że było więcej zdrowych, niż się spodziewał. - Norrel wzruszył ramionami.
- No dobra, wracaj do środka.
- Tak jest, panie poruczniku. - Norrel zasalutował i niemal uciekł do wnętrza kliniki.

Lewis westchnął ciężko i strzepnął śnieg z hełmu. Teraz będzie o wiele trudniej.

- Przepraszam? - Pozbawiona ciężkiego bioshieldu, pani Delareux poruszała się niemal niesłychalnie w pełnej hałasie bazy.
- Słucham? - Lewis obrócił się, natychmiast ustawiając ton na poziomie służbowej uprzejmości.
- Czy stało się coś w szpitalu?
- Nie, absolutnie nic. Drobną przestoję, sprawy techniczne. Potrwa pewnie koło godziny.

Michał Cholewa

- No tak, rozumiem. - Kobieta uśmiechnęła się nerwowo. - A czy mogłabym w takim razie poprosić o koc? O ile to nie sprawi zbyt dużego problemu. - Dodała szybko: - Dziecko bardzo marznie...
- Koc... naturalnie. Momencik. Chandra, przejmujesz, za moment wracam.
- Tak jest. - Nawet jeśli żołnierz był zaskoczony, że dowódca sam wybiera się po taką błażostkę, nie dał tego po sobie poznać i Lewis był mu za to wdzięczny.

Wnętrze budynku kliniki uderzyło go natychmiast jasnym światłem. Zapewne uderzyłoby też ciepłem, ale bioshield skutecznie blokował tego rodzaju wrażenia. Korytarz urywał się już kilkanaście metrów dalej, gdzie znajdowała się Śluza przeciwwakażeniowa. Jego pluton zamontował ją w pierwszych dniach kwarantanny, kiedy istniały jeszcze wszystkie ogniska, a ludzie lada dzień oczekiwali szybkiego i pozytywnego rozwiązania problemu.

Hol był niemal pusty, nie licząc dwóch żołnierzy dotychczas zajmujących się przeprowadzaniem cywilów do służy. Obaj obrócili się w stronę Lewisa.

- Panie poruczniku? - Bliższy drzwi Norrel zrobił krok w jego stronę.
- Potrzebuję koca albo czegoś podobnego. Lepiej przygotujcie tego więcej. - Lewis oparł się ciężko o drzwi, wspierając głowę dłońmi.
- Wszystko w porządku?
- Tak, wszystko w porządku.

Gówno prawda. Nic nie było w porządku. Twarze ludzi w kolejce przesuwały mu się przed oczyma. Pełne nadziei, irracjonalnej wiary, że Korpus Epidemiologiczny im pomoże. Fałszywej wiary.

Ognisko

Bo bohaterski Korpus Epidemiologiczny weźmie trzy procent populacji miasta i sam ucieknie z podkulonym ogonem.

Pieprzeni cywile. Pieprzone procedury. Pieprzony huragan.

Ale prawda jest taka, że nie mogli zrobić nic. Nic zupełnie, bo przecież narażenie sąsiadujących miast na wybuch epidemii byłoby jeszcze gorsze. Cholerna sytuacja bez wyjścia. Nie mógł pomóc w żaden sposób.

Albo prawie żaden.

- Wsiadasz? - Oparta o budynek kliniki Cozy nawet nie zauważyła, kiedy podszedł Romantowski.
- Wsiadam. Boże, co my robimy? - Dziewczyna pokręciła z niedowierzaniem głową.
- Stoimy na froncie walki z epidemią... Tak, wiem, dla mnie też nie brzmi to dobrze.
- Ale popatrz na tych ludzi! Mamy ich, kurwa mać, chronić! I oni na to liczą, patrzą na nasze pieprzone bio-shieldy i wierzą, że ich nie wystawimy! - Zaskoczony nagłym wybuchem Cozy, Romantowski cofnął się o pół kroku. - A my co? Wybraliśmy iluś tam uprzywilejowanych, a potem spierdolimy.

Romantowski oparł się o ścianę obok niej i potarł rękawicą ukryte pod osłoną maski czoło.

- Mnie też się to nie podoba. Ani trochę bardziej niż tobie... Ale przecież nic z tym nie można zrobić. Nie przewieziemy ich nigdzie i nie rozmnożymy sobie szczepionek. Ile jest, tyle mamy. Wiesz o tym.

76 • Michał Cholewa

- Wiesz, to jest wszystko pojebane. Nie tak to powinno wyglądać.

- Wiem. - Żołnierz potrząsnął głową, a potem spojrział w niebo, przez chwilę pozwalając płatkom śniegu opadać na filtr maski. Potem nagle odepchnął się od ściany i wyprostował. - Trzymaj się, Silvia.

Romantowski ruszył w stronę centrum dowodzenia.

- A ty gdzie?

- Mam jedną sprawę do załatwienia.

- Sprawę?

- Sprawę. - Romantowski kiwnął głową, bawiąc się zapięciem szczelnej rękawicy.

Przez kilka nieskończenie długich sekund patrzyli na siebie poprzez wizjery masek. A potem Cozy strzepnęła śnieg z rękawic i podeszła do niego.

- Idę z tobą, Bob. Mam chyba tę samą sprawę.

Chandra przestępował z nogi na nogę, mając cichą nadzieję, że robi to niedostrzegalnie dla innych. Kilka osób już podchodziło do niego, pytając o zatrzymanie kolejki. Kapral powtarzał oficjalną wersję o standardach proceduralnych, chociaż sam by sobie chyba nie uwierzył.

Dowódca nie wracał ze szpitala. A był już tam prawie dwadzieścia minut, trochę długo jak na zdobycie koca, a porucznik nie był z tych, co robią sobie przerwy. Żołnierz odruchowo obrócił się w tamtą stronę, ale zupełnie głuche na pragnienia Chandry drzwi pozostawały zamknięte.

Ognisko II

Gdzieś w oddali usłyszał łoskot śmigieł, a wśród padającego śniegu zobaczył światła pozycyjne wracających Wea-seli. Wkrótce ruszy ostatni rzut cywilów, a potem szczepienia i wojsko. I już nigdy więcej nie zobaczy Tyenne.

No, chyba że w koszmarach. Tam będzie widział je jeszcze długo.

Za plecami usłyszał metalowy chrobot starej klamki w drzwiach kliniki. Nareszcie wraca Lewis. Chandra odetchnął z ulgą.

- Dwie rodziny, proszę wchodzić, szybko, szybko.

Tego się nie spodziewał. Skąd wzięli szczepionki? Czy

może wszystkim dadzą aspirynę? Żołnierz obrócił się na pięcie. Porucznik szedł spokojnym krokiem w jego stronę, mając za plecami wchodzących szybko do kliniki ludzi.

- Co się stało, panie poruczniku? Myślałem... - nie zdążył skończyć.

Lewis zdjął hełm i maskę jednym pewnym ruchem. Kompozytowa skorupa upadła z klekotem na śnieg. Zamarty nagle Chandra patrzył z niedowierzaniem na dowódcę, który otarł przedramieniem spocone czoło i uśmiechnął się do siebie, kiedy pierwsze płatki śniegu spadły mu na twarz.

Soren westchnął ciężko i spojrzął na zegarek. Choć jego służba skończyła się już jakiś czas temu, złuzowanie miało nadejść dopiero za kwadrans. Tymczasem wojsko wymagało od niego skomplikowanej pracy polegającej na staniu nieruchomo na śniegu.

78 • Michał Cholewa

Grunt, że wszyscy cywile, których mieli zabrać, byli już przy lądowisku. Żołnierz nie bał się problemów przy załadunku kompanii, ale kiedy do brzechwów transportowców wpychało się rozwrzeszczane pięciolatki, sytuacja prosiła się o katastrofę. A czego jak czego, ale czasu

nie mieli w nadmiarze. €

Soren nie mógł się już doczekać wejścia do śmigłowca i zostawienia miasta widma za plecami. Służba w oddziałach epidemiologicznych była jego wyborem głównie ze względu na pragmatyzm - epidemie nie zdarzały się jakoś osobliwie często, a za niebezpieczną służbę był dodatek do żołdu. A potem pojawił się Syndrom Jacobsena--Zeissa, ogniska i cały ten bałagan. Posada Sorena nagle zmieniła się ze spokojnego i dochodowego czyszczenia sprzętu w bazie w pilnowanie ognisk epidemii, która wybiła już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Ale przynajmniej mama była z niego dumna. Żołnierz uśmiechnął się do siebie na myśl o rodzicach i o tym, jak wróci do domu. Tęsknił za domem.

Zerknął na zegarek. Jeszcze osiem minut.

Dwudziesty piąty grudnia...

Ewakuacja teraz dawała mu pewne minimalne szanse, żeby spędzić z rodziną Nowy Rok.

Śmigłowce odlatywały, znikając w szarości świtu. Kolejka nadal stała przed kliniką, mglistą wiarę w transport opierając na kręcących się tu i ówdzie żołnierzach grupy Troya. Śnieg przestał padać, pozostawiając po sobie rzeński zimowy poranek.

Ognisko II

; -it

Grunt, że wszyscy cywile, których mieli zabrać, byli już przy lądowisku. Żołnierz nie bał się problemów przy załadunku kompanii, ale kiedy do brzechwów transportowców wpychało się rozwrzeszczane pięciolatki, sytuacja prosiła się o katastrofę. A czego jak czego, ale czasu nie mieli w nadmiarze.

Soren nie mógł się już doczekać wejścia do śmigłowca i zostawienia miasta widma za plecami. Służba w oddziałach epidemiologicznych była jego wyborem głównie ze względu na pragmatyzm - epidemie nie zdarzały się jakoś osobliwie często, a za niebezpieczną służbę był dodatek do żołdu. A potem pojawił się

Syndrom Jacobsena--Zeissa, ogniska i cały ten bałagan. Posada Sorena nagle zmieniła się ze spokojnego i dochodowego czyszczenia sprzętu w bazie w pilnowanie ognisk epidemii, która wybiła już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Ale przynajmniej mama była z niego dumna. Żołnierz uśmiechnął się do siebie na myśl o rodzicach i o tym, jak wróci do domu. Tęsknił za domem.

Zerknął na zegarek. Jeszcze osiem minut.

Dwudziesty piąty grudnia...

Evakuacja teraz dawała mu pewne minimalne szanse, żeby spędzić z rodziną Nowy Rok.

Śmigłowce odlatywały, znikając w szarości świtu. Kolejka nadal stała przed kliniką, mglistą wiarę w transport opierając na kręcących się tu i ówdzie żołnierzach grupy Troya. Śnieg przestał padać, pozostawiając po sobie rześki zimowy poranek.

Ognisko II • 79

T

-

1__

Grunt, że wszyscy cywile, których mieli zabrać, byli już przy lądowisku. Żołnierz nie bał się problemów przy załadunku kompanii, ale kiedy do brzuchów transportowców wpychało się rozwrzeszczane pięciolatki, sytuacja prosiła się o katastrofę. A czego jak czego, ale czasu nie mieli w nadmiarze.

Soren nie mógł się już doczekać wejścia do śmigłowca i zostawienia miasta widma za plecami. Służba w oddziałach epidemiologicznych była jego wyborem głównie ze względu na pragmatyzm - epidemie nie zdarzały się jakoś osobliwie często, a za niebezpieczną służbę był dodatek do żołdu. A potem pojawił się Syndrom Jacobsena--Zeissa, ogniska i cały ten bałagan. Posada Sorena nagle zmieniła się ze spokojnego i dochodowego czyszczenia sprzętu w bazie w pilnowanie ognisk epidemii, która wybiła już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Ale przynajmniej mama była z niego dumna. Żołnierz uśmiechnął się do siebie na myśl o rodzicach i o tym, jak wróci do domu. Tęsknił za domem.

Zerknął na zegarek. Jeszcze osiem minut.

Dwudziesty piąty grudnia...

Evakuacja teraz dawała mu pewne minimalne szanse, żeby spędzić z rodziną Nowy Rok.

Śmigłowce odlatywały, znikając w szarości świtu. Kolejka nadal stała przed kliniką, mglistą wiarę w transport opierając na kręcących się tu i ówdzie żołnierzach grupy Troya. Śnieg przestał padać, pozostawiając po sobie rzeźki zimowy poranek.

Ognisko • 79

Romantowski nalał herbaty z ustawionego na masce ambulansu termosu do trzech kubków.

- Nie myślałam, że tak to się skończy. - Coży uniosła kubek do ust.
- Ili tam, kończy. - Romantowski uśmiechnął się promiennie. - Piękny poranek. Trochę chłodno, ale pierwszy raz od dawna mam okazję napić się na dworze. Wyobrażacie sobie, jak długo tamtych będą trzymać w klatkach?
- To jak, odpakowujemy prezenty? - Lewis roztarł uszy dłońmi.
- Pewnie! A gdzie są? - Coży roztjrzała się szybko. Z zaczerwienionymi policzkami i błyszczącymi oczami wyglądała rzeczywiście jak dziecko przy choince.
- Jak to? - Lewis zatoczył ramieniem krąg. - Doskonałe używane ambulanse Korpusu Epidemiologicznego. Kuloodporne drzwi, pancerne szyby, CB-radio...

Cała trójka zaśmiała się wesoło.

Była szósta dwadzieścia osiem i mieli przed sobą jeszcze dwie minuty świąt.

Jakub Ćwiek

Rocznik 82, na stałe mieszkający w Głuchołazach, mocno związany z Katowicami przez Śląski Klub Fantastyki. Animator kultury i zawodowy konferansjer, a prywatnie szczęśliwy ojciec dwójki dzieci. Autor dwóch książek o przygodach Lokiego Kłamcy oraz kryminału grozy Liżąc ostrze, a także kilkunastu opowiadań publikowanych iji.in. w „Nowej Fantastyce” czy Esensji.

Dwukrotnie nominowany do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla w kategorii opowiadanie - w 2005 za Cichą noc ze zbioru Kłamca, a w 2006 za Boga marnotrawnego pochodzącego ze zbioru Kłamca2. Bóg marnotrawny.

Realizuje się również w teatrze amatorskim - od dwóch lat czynnie angażuje się w działania grupy „Studzy Metatrona” - i próbuje swych sił jako scenarzysta komiksowy...

Nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę, trzęsąc się jak w febrze. Z rozciętego policzka kapłała krew; szkarłatne krople gromadziły się w rowkach między płytkami, plamiąc jasnobrązową fugę.

Niewiele brakowało, a skończyłoby się prawdziwym nieszczęściem, upadł bowiem tak blisko brodzika, że uderzał o niego z każdym gwałtownym ruchem. Parę centymetrów dalej i wyrznąłby głową o krawędź.

Język, przemknęło mu przez głowę, zaraz go sobie odgryzę. Na litość boską, czy nikt nie słyszał, jak upadłem?

Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Łazienka znajdowała się na piętrze, a Katarzyna właśnie szykowała śniadanie w kuchni na dole. Do tego dochodził jeszcze szum wody, którą jak zwykle odkręcił za mocno. Rykoszetujące od umywalki krople padały teraz na jego nagi tors, kłując niczym maleńkie igiełki.

Po chwili dreszcze ustały. Leżał jeszcze przez moment, łapiąc oddech, mimo iż plecy zdrętwiały mu już od zimnej podłogi, po czym podniósł się ostrożnie i oparł

Dom na wzgórzu • 87

Nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę, trzęsąc się jak w febrze. Z rozciętego policzka kapła krew; szkarłatne krople gromadziły się w rowkach między płytkami, plamiąc jasnobrązową fugę.

Niewiele brakowało, a skończyłoby się prawdziwym nieszczęściem, mpadł bowiem tak blisko brodzika, że uderzał o niego z każdym gwałtownym ruchem. Parę centymetrów dalej i wyrznąłby głową o krawędź.

Język, przemknęło mu przez głowę, zaraz go sobie odgryzę. Na litość boską, czy nikt nie słyszał, jak upadłem?

Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Łazienka znajdowała się na piętrze, a Katarzyna właśnie szykowała śniadanie w kuchni na dole. Do tego dochodził jeszcze szum wody, którą jak zwykle odkręcił za mocno. Rykoszetujące od umywalki krople padały teraz na jego nagi tors, kłując niczym maleńkie igiełki.

Po chwili dreszcze ustały. Leżał jeszcze przez moment, łapiąc oddech, mimo iż plecy zdrętwiały mu już od zimnej podłogi, po czym podniósł się ostrożnie i oparł

Dom na wzgórzu • 87

0 umywalkę. Zmniejszył strumień, opłukał twarz i przyjrzał się ranie na policzku.

Będzie z tego blizna, to pewne, pomyślał. Starał się ukryć przed samym sobą, jak bardzo przeraził go ten atak. Gdzieś słyszał co prawda, że takie rzeczy zdarzają się z powodu przemęczenia, ale wyobraźnia podsuwała mu dużo straszniejsze obrazy.

Otworzył szafkę z lekami i wyciągnął buteleczkę wody utlenionej. Dociskając wacik do policzka, postanowił, że jeszcze dziś wybierze się do lekarza... A potem weźmie parę dni wolnego.

Odetchnął głęboko kilka razy, umył zęby, ubrał się

1 zszedł na śniadanie.

Katarzyna stała właśnie przy zlewozmywaku, obierając pomarańczę. Ubrana w grafitowy kostium i ciemne pończochy wyglądała naprawdę seksownie, mimo iż wciąż jeszcze nie udało jej się wrócić do

figury sprzed ostatniej ciąży. Włosy związała w koński ogon, jak zawsze gdy uznawała, że nie ma czasu na wydziwianie.

Odezwała się, gdy tylko pojawił się w drzwiach.

- Jak to jest, że ja zdążyłam już wyprawić dzieciaki do szkoły, ubrać się i zjeść, a ty dopiero wyszedłeś z łazienki? - Odwróciła się, dla żartu celując w niego ostrzem krótkiego noża. Gdy jednak zobaczyła, jak jest blady, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. - Jezu, Marek, co ci się stało?

Przejechał ręką po zranionym policzku i wzruszył ramionami.

88 • Jakub Ćwiek

- Nic takiego - odparł. - Zaciąłem się przy goleniu. Mały jeszcze śpi?

- Tak. - Katarzyna wciąż przyglądała mu się zaniepokojona. - To pewnie ta pogoda. Gosia i Maciek też nie chcieli dziś wstawać... Na pewno wszystko w porządku?

- Wszystko pod kontrolą, kochanie - powiedział, pewnym krokiem przechodząc przez kuchnię i obejmując ją 'w talii. Poczuł pod palcami wałeczki tłuszczu wylewające się ze zbyt ciasnej spódnicy. - Jeśli tylko zaraz dostanę kawę, będę żył.

Pocałował ją i usiadł przy stole. Czekał tam już na niego talerz jajecznicy z kiełbasą.

- Po południu wezmę dzieciaki do zoo, podobno przywieźli nowego tygrysa. - Przełknął pierwszy kęs, który teraz bardziej niż jajkiem smakował pastą do zębów. - Pewnie znowu będzie wychudzony jak ten goryl sprzed roku, ale i tak dawno tam nie byliśmy.

- Dobry pomysł. - Katarzyna postawiła przed nim kawę i usiadła naprzeciw z pomarańczą w dłoniach. Rozerwała ją na pół i jedną część położyła koło jego talerza. - Na wieczór też musisz coś wymyślić, bo jestem umówiona z Martą na pogaduchy.

- Hej, chwileczkę... - zaczął, ale przerwał mu dzwonek do drzwi. Spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Dotąd nie zdarzały im się wizyty o tak wczesnej porze. Niby nic niezwykłego, ale mimo wszystko ten poranny dzwonek wzbudził w nich pewien niepokój. Kojarzył się ze złymi nowinami, które nie mogą czekać na cywilizowaną godzinę.

- Pójdę sprawdzić - powiedziała Katarzyna. - Ty jedz, bo się spóźnisz.

Dom na wzgórzu

Skinął głową, przeżuując kolejną porcję jajecznicy. Popił kawą.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem dłuższy, jakby ktoś na zewnątrz bardzo się niecierpliwił.

- Już idę, chwila! - krzyknęła Katarzyna i rzeczywiście zaraz po tym rozległo się skrzypnięcie oznajmiające, że otworzyła frontowe drzwi.

Muszę w końcu zrobić z nimi porządek, zdążył pomyśleć, gdy nagle dobiegł go stłumiony krzyk. Błyskawicznie poderwał się z miejsca i wypadł do przedpokoju.

Dostrzegł ją obok otwartych drzwi z rękami przyciśniętymi do twarzy, wtuloną plecami w kurtki i płaszcze rozwieszane na zamocowanych na ścianie haczykach.

Przed nią w progu stało dwóch mężczyzn jakby żywcem wyjętych z filmu SF. Ubrani w szczelne żółte kombinezony, na twarzach mieli maski z pochłaniaczami. Ten nieco z tyłu trzymał w rękach coś, co równie dobrze mogło być bronią, wykrywaczem metali bądź też rurą od odkurzacza. Od drzwi wejściowych przez całą długość ogródka aż do stojącej na chodniku ciężarówce ciągnął się półprzezroczysty foliowy tunel, w kilku miejscach wzmocniony elastycznym stelażem.

- Czy pan Marek Domański? - zapytał stojący bliżej wytłumionym przez maskę głosem.

Marek skinął głową.

- To ja - powiedział spokojnie, ale spojrzenie wciąż * skupiał na rurze trzymanej przez tego drugiego.

Być może sprawił to dźwięk jego głosu, a może Katarzyna wreszcie opanowała się na tyle, że zdołała wykonać ruch, ale doskoczyła do męża i wtuliła się w niego niczym przestraszone dziecko.

Mężczyzna w skafandrze postąpił krok do przodu.

0 • Jakub Ćwiek

- Proszę się nie obawiać - powiedział. - Jesteśmy z Biura do spraw Kryzysów Epidemiologicznych. Nazywam się Wójcik i jestem lekarzem wojskowym. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Można?

- Najpierw mi pan wyjaśni, po co to wszystko -stwierdził Marek. Rana na policzku otworzyła się, a kropla krwi skapnęła na biały kołnierzyk, tworząc różową plamę. - Czy coś się wydarzyło w okolicy? Wybuchła jakaś elektrownia?

- My zajmujemy się epidemiami, panie Domański -odpowiedział Wójcik, akcentując kluczowe słowo. - Istnieje uzasadnione podejrzenie, że być może miał pan kontakt z nosicielem, przez co i pan jest już zarażony.

Katarzyna drgnęła lekko, ale zaraz wtuliła się mocniej, zerkając w stronę mężczyzn wzrokiem przerażonego zwierzątka. Marek, nieprzyzwyczajony do podobnych reakcji zaradnej i przebojowej na co dzień żony, pogładził ją po włosach.

- Co to za choroba?

- Wirus Skeltona-Wirea, nowy prezent Afryki dla białych braci. Bardzo poważna, ale na szczęście rozprzestrzeniająca się dość wolno choroba, dzięki czemu jest szansa, że uda nam się ją wytropić, zanim się rozniesie -odparł Wójcik, robiąc kolejny krok do przodu. Wyciągnął przed siebie lewą rękę. Trzymał w niej zdjęcie czarnoskórego mężczyzny pod trzydziestkę, ogolonego na łyso i z krótkim zarostem

okalającym usta. - Proszę mi powiedzieć, czy miał pan styczność z tym człowiekiem w przeciągu ostatnich kilkunastu godzin? Podawał mu pan rękę? Rozmawiał z nim? Może jadł orzeszki z jednego talerzyka? Proszę się dobrze przyjrzeć i zastanowić. To naprawdę ważne.

Dom na wzgórzu • 1

Marek pochylił się do przodu i uważnie spojrzął na fotografię. Tak naprawdę wcale nie musiał tego robić. Rozpoznał go od razu.

- To William Moore, przedstawiciel McFly Invest -powiedział. - Wczoraj jego firma podpisała umowę z naszą agencją. Przypieczętowaliśmy to wspólnym obiadem.

Z pokoju na górze dobiegł płacz dziecka. Katarzyna natychmiast oderwała się od męża i pognąła na górę. Marek obejrzał się za nią. *

- Bardzo przepraszamy za to wszystko - powiedział Wójcik - ale to niezbędne środki ostrożności. Komu jak komu, ale panu nie muszę chyba tego tłumaczyć.

Marek skinął głową.

- Co teraz? - zapytał.

- Obawiam się, że musi pan iść z nami. Pańska rodzina jest póki co bezpieczna, bo od momentu kontaktu i zarażenia nie minęło trzydzieści sześć godzin, ale dalsze pozostawienie pana w ich towarzystwie...

- Ale ja się czuję doskonale!

Wójcik sapnął w maskę. Zza przyciemnionej szybki nie widać było jego twarzy, ale nietrudno było się domyślić, że malowało się na niej znużenie, tak jakby to samo musiał tłumaczyć już dziesiątki razy. Kto wie, może rze- , czywiście tak było.

- Panie Domański, na razie może czuje się pan dobrze, ale już niebawem pojawią się pierwsze objawy. Zaburzenia wzroku, mdłości, konwulsje...

Słyszając ostatnie słowo, Marek wyraźnie drgnął, a jego ręka odruchowo powędrowała do rany na policzku.

- Już się zaczęło, tak? - zapytał Wójcik. - Proszę się nie martwić. Minie jeszcze parę godzin, zanim zacznie

Jakub Ćwiek

pan zarażać. A jeśli pojedzie pan teraz z nami, jest szansa, że wszystko unormuje się w przeciągu kilku albo kilkunastu dni. We wczesnym stadium potrafimy zapanować nad chorobą całkowicie.

- Ale ja mam pracę! - Marek cofnął się gwałtownie, co sprawiło, że mężczyzna z rurą odruchowo postąpił krok do przodu. Wójcik obejrzał się na niego i pokręcił głową. 'Następnie ponownie odwrócił się do Marka.

- Proszę się nie martwić takimi sprawami, bierzemy to na siebie - powiedział. - W tej chwili najważniejsze jest zdrowie pana i pańskiej rodziny, prawda? Proszę się zatem pożegnać z żoną i dzieckiem. Ma pan piętnaście minut. Pakowanie proszę sobie darować. Dostanie pan wszystko, co będzie potrzebne.

Marek odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

- Tylko proszę nie robić nic głupiego - zawołał za nim Wójcik. - Dom jest otoczony, a my mamy prawo użyć siły. A po co, skoro jest szansa, że rozejdzie się po kościach?

Przyczepę ciężarówki podzielono na dwie części. W pierwszej siedziało dwóch ludzi w skafandrach i z ruropodobnymi przedmiotami w rękach. Teraz był już prawie pewien, że to broń. Zastanawiał się przez moment, jakie miałyby szanse, żeby któregoś z nich rozbroić. Teoretycznie, bo w praktyce nie widział ani szans, ani sensu. Na razie zamierzał postępować zgodnie z poleceniami i czekać, co z tego wyniknie.

Po przeciwnej stronie, przy ścianie przedzielającej kabinę, dostrzegł dwóch nieco młodszych od niego, wystraszonych mężczyzn. Jeden z nich, szczupły blondyn

Dom na wzgórzu •

z odstającymi uszami, podobnie jak Marek miał na sobie garnitur, ale drugiego, kudłatego grubaska, musieli wyciągnąć z łóżka, bo siedział w samych gatkach i nieco przyciasnej podkoszulce. W rękach trzymał co prawda złożony T-shirt i dżinsy, ale wydawał się zbyt przestraszony, by zdawać sobie z tego sprawę. Jego pulchna twarz drżała, jakby właśnie przechodził łagodną wersję ataku.

Domański zdecydował, że towarzystwo blondyna będzie ciekawsze.

- Marek jestem - powiedział, sadowiac się na ławce i wyciągając rękę. - O której cię zwinęli?

Blondyn zmierzył go wzrokiem, po czym niepewnie uściśnił podaną dłoń.

- Nie wiem dokładnie - odparł. - Miałem do pracy na siódmą i właśnie wychodziłem. Nie patrzyłem na zegarek.

- To tak jak ja. - Marek skupił wzrok na dwóch postaciach pospiesznie składających foliowy tunel. Uwijali się sprawnie i po chwili zamknęli wejście do samochodu. Na moment w przyczepie zrobiło się ciemno, po czym rozbłyły światelka umieszczone pod sufitem. Jak w poczekalni na porodówce, pomyślał, tylko krzesła mają tu wygodniejsze. Zaraz potem ciężarówka ruszyła.

- Miałeś już objawy? - zapytał blondyn.
- Drgawki, dziś rano. - Marek pokazał ranę. - A ty?
- Mdłości i zaburzenie widzenia w nocy. A moja dziewczyna powiedziała, że rzucałem się we śnie. Jezu, jak dobrze, że wyszła dziś wcześniej.

Grubas zatrząsł się mocniej i omal nie zsunął z krzeselka, a jego oddech stał się świszczący, jakby mężczyzna połknął plastikowy gwizdek. Marek zerknął na gości w skafandrach, ale ci ani drgnęli, co odebrał jako znak,

Jakub Ćwiek

mg *

że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Sam więc również nie zareagował.

- Mieszkasz w domu czy w bloku? - zapytał.
- Co... a, w bloku. - Blondyn oderwał wzrok od Grubasa i potrząsnął głową, jakby dopiero się obudził. - Na trzecim piętrze.

, -1 też rozstawili ten foliowy tunel? Musieli mieć z tym sporo problemu.

Blondyn pokręcił głową.

- Niczego nie rozstawiali - odparł. - Przyszło dwóch facetów w skafandrach, jeden miał pukawkę, a drugi zdjęcie i...

Coś zachrobotało i nagle odsunął się kawałek ściany przedzielającej przyczepę. Usłyszeli coś jakby syk, szum i w ścianie przedzielającej przyczepę pojawiło się przejście. Wyłoniła się z niego młoda, przysadzista dziewczyna w okularach i przyciasnym kostiumie. Z trudem dopięty żakiet trzeszczał pod naporem ogromnych piersi.

- Pan Domański teraz - powiedziała, siadając na wolnym miejscu "koło grubasa.

Marek popatrzył na blondyna, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Mnie jeszcze nie wzywali - powiedział.
- Opowiem ci zatem. - Domański wstał i podszedł do przejścia. Zatrzymał się przy nim chwilę, wspierając o ścianę, kiedy ciężarówka weszła w ostry zakręt, po czym przekroczył próg i zasunął za sobą ściankę.

Ta połowa przyczepy podzielona została na dwie kolejne części, które rozgradzała szyba z przezroczystego pleksi. Również stół stojący na środku został nią przedzielony. Obok niego stały zamocowane do podłoża krzeselka.

Dom na wzgórzu •

r

Po drugiej stronie siedziała młoda dziewczyna o pięknej, acz surowej twarzy, tak często spotykanej u filmowych nauczycielek. Miała długi, prosty nos, delikatnie zarysowane kości policzkowe i małe, wąskie usta. Oczy, z pewnością ciemne, choć dokładnej barwy Marek nie był w stanie określić w tym świetle i z tej odległości, kryła za okularami o starannie dobranych oprawkach. Ciemnobrązowe włosy spięła starannie w kok.

- Proszę, panie Domański, niech pan siada - powiedziała, wskazując ręką miejsce. Jej głos dobiegał do niego przez głośniki umieszczone pod sufitem. - Musimy uzupełnić pewne dane na pana temat. k

Położyła na blacie kilka teczek i otworzyła pierwszą z nich.

- Jeśli są tam pytania o przebyte choroby, to napraw-dę...

Spojrzała na niego znad zsuniętych lekko okularów.

- Mamy pana kartę, panie Domański - powiedziała. -Pytania, które mam panu zadać, są nieco innej natury. Bardziej osobistej.

Marek tknięty przelotną myślą zadarł głowę i ostentacyjnie rozejrzał się w poszukiwaniu kamer.

- Jeśli to wszystko jest jakimś nowym telewizyjnym show - zaczął, ale nagle poczuł, że świat zaczyna mu się , rozmywać. Obraz stał się niewyraźny i falował, jakby właśnie znalazł się w filmie z lat pięćdziesiątych i przenosił do retrospekcji. Brakowało tylko onirycznej muzyczki. -Jeśli... znaczy... ja... - Nagle poczuł gwałtowny skurcz w żołądku, a zaraz potem z jego ust trysnęła struga wymiocin. Część osiadła na przezroczystej płycie, a reszta rozlała się po blacie stołu.

Jakub Ćwiek

-

Rozmyta ludzka sylwetka za szybą odskoczyła od stołu i nacisnęła jakiś brzęczyk, po czym wypowiedziała szybko kilka słów, z których Marek, trzęsący się teraz bardziej nawet niż rano, nie zrozumiał ani jednego.

Do pomieszczenia wpadli faceci w żółtych skafandrach i wytarłszy Markowi twarz i koszulę papierowymi ręcznikami, wynieśli go z części przesłuchań do tej drugiej - poczekalni. Posadzili go na krześle koło blondyna i zasunęli przejście.

- To by było na tyle, jeśli chodzi... o wizyty za ścianą -wydusił z siebie Marek, odpowiadając na pytające spojrzenie towarzysza. Potem zemdlał.

Obudził się w przestronnym, jasnym pomieszczeniu. Bolała go głowa, paliło w przełyku, a ponadto wciąż jeszcze trochę go mdlilo. Na szczęście, mimo tych niedogodności znowu wszystko widział wyraźnie i z

właściwą ostrością. Spróbował podnieść rękę, ale poczuł, że coś skutecznie mu to uniemożliwia. Na tyle, na ile mógł, uniósł głowę.

Nie miał już na Sobie garnitur, zastąpiła go sięgająca połowy uda koszula nocna. Ręce i nogi krępowały parciane pasy z metalowymi klamrami, a w żyłę, tuż pod zgięciem łokcia, tkwił zielony wenflon połączony przezroczystą rurką z woreczkiem zawieszonym na stojaku. Marek wytężył wzrok, ale za nic nie mógł odczytać napisu na etykietce kroplówki. Pewnie i tak nic by mu to nie powiedziało, ale miał nadzieję, że po samej nazwie byłby w stanie odróżnić, czy to coś na wzmocnienie, czy raczej jakaś utajniona eksperymentalna szczepionka. Był czas, że oglądał mnóstwo seriali twierdzących, że

Dom na wzgórzu •

wszystkie choroby i inne nieszczęścia to spiski rządów, które to rządy mają w swych laboratoriach antidota na każdą okazję.

- Miło, że już się pan obudził, panie Domański - dobiegło z kąta pokoju.

Marek odwrócił głowę, ale nikogo tam nie dojrzał. W pomieszczeniu, w którym jedną ze ścian stanowiło ogromne okno, a pozostałe wyłożone były panelami w kolorze srebrnobiałym - z czasów remontu pamiętał, że ten wzór zwano alpejskim jesionem - nie było niczego prócz łóżka, na którym leżał on sam. 'Dopiero po chwili zorientował się, że to, co pierwotnie w?iał za czujnik pożarowy, w rzeczywistości jest kamerą. Kolejny raz poczuł się jak w „Big Brotherze”.

- Czy mo... - wycharczał, zaraz jednak odchrząknął. -Czy mogę rozmawiać z kimś prawdziwym?

- Ależ oczywiście, panie Domański - odparł głos wyraźnie rozbawiony pytaniem. - Doktor Wójcik już do pana idzie.

W kilka sekund później rozległ się cichy dźwięk - podobny do sygnału telefonicznego, choć odrobinę wyższy - i do pomieszczenia wszedł Wójcik. Tym razem miał na sobie biały skafander gładko przechodzący w kaptur, z wypukłą przezroczystą osłoną z tworzywa zamiast gazowej maski, przez co wyglądał raczej jak astronauta niż, epidemiolog. Na wysokości krtani znajdowały się dwie rurki prowadzące do ukrytego pod tkaniną garbu. Usta częściowo zasłaniał mu pałąk mikrofonu.

Marek musiał przyznać, że wyobrażał go sobie zupełnie inaczej. Zamiast filmowego twardziela o kwadratowej szczęce i wysuniętych kościach policzkowych zobaczył pogodnego mężczyznę - niemal łysiego, pyzatego i z no-

98 • Jakub Ćwiek

sem jak małeńka rosyjska matrioszka albo miniaturowy kręgiel. O mało nie parsknął śmiechem, ale powstrzymał się, zagryzając wargi.

- Widzę, że już panu lepiej - powiedział Wójcik. Nie brzmiał już jak Darth Vader, a jego głos wzmocniony przez mikrofon budził podobną reakcję jak twarz, sympatyczny, odrobinę zabawny. - Trochę nam pan nabruź-

' dził, muszę przyznać, ale taki to już brudny biznes, więc nie mamy żalu.

- Naprawdę mi przykro - odparł Marek. Marnych gier słownych lekarza nie skwitował nawet cieniem uśmiechu. - Czy to normalne? Takie ataki i ich częstotliwość? Poprzednie dreszcze miałem jakieś...

- Wszystko jest pod kontrolą, panie Marku. - Lekarz postukał palcem w woreczek kroplówki. - Podaliśmy już panu pierwszą dawkę leków i teraz powinno być spokojniej. Ataki nie miną do końca, ale nie będą się zdarzać tak często. Właściwie to jeśli obieca pan, że będzie leżał grzecznie do końca kroplówki, to mogę już odpiąć pasy.

- Nie za bardzo sobie wyobrażam, co innego mógłbym tu robić - stwierdził Marek. - Kiedy będę mógł zadzwonić do żony?,

- Za jakieś dwadzieścia minut skończy się kroplówka. Wtedy weźmiemy pana na oddział i dopełnimy formalności rejestracyjnych. - Wójcik szarpnął za klamrę pasa. - Podobno nie zdążył pan też odpowiedzieć na pytania. Teraz dostanie pan formularz do pokoju i wypełni sam.

Marek przypomniał sobie uwagę o pytaniach osobistych i zastanawiał się, jakiego mogą być rodzaju. Jeśli dotyczyły seksu, to chyba wołał jednak sam zakreślać odpowiedzi, niż uzewnętrzniać się przed kobietą o wyglądzie prowincjonalnej nauczycielki.

Dom na wzgórzu

- Potem jest msza w kaplicy - kontynuował lekarz, mocując się z pasem krępującym nogi. - Potem jest czas wolny i...

- Msza? - zdziwił się Marek. - To jakiś obowiązek? Ja nie praktykuję.

- Żaden obowiązek. - Wójcik spojrzał na niego i uśmiechnął się. - Raczej potrzeba oddolna, pacjenci prosili. Wie pan, „trwoga, to do Boga" i takie tam. Ale oczywiście jeśli pan nie chce, to można już wtedy skorzystać z salki komunikacyjnej. Telefony, komputery... Wszystko do dyspozycji pacjentów. *

W chwilę po tym, jak skończyła się kroplówka, do pokoju weszło dwóch wojskowych w żółtych skafandrach z maskami. Jeden zatrzymał się przy drzwiach, a drugi odłączył wężyk, zabezpieczył wenflon - nie obeszło się bez pomocy pacjenta, gdyż żołnierzowi wyraźnie przeszkadzały rękawice - i pomógł Domańskiemu wstać.

Wbrew własnym obawom Marek stanął pewnie na nogach i właściwie nie potrzebował wsparcia, jakie zaoferował mu żołnierz. Sam dał radę przebrać się w przyniesione mu białe spodnie, zakładaną przez głowę koszulę i pantofle. Wyszli z pomieszczenia i ruszyli wzdłuż korytarza. ,

Budynek, w którym się znajdowali, wyglądał bardzo nowocześnie i elegancko. Podłogę szerokiego korytarza wyłożono granatową wykładziną dywanową, w suficie zamocowano halogeny, a ścianę z szeregiem białych drzwi pomalowano na kojący błękitny kolor.

Na przeciwległej szklanej ścianie, mniej więcej na wysokości pasa, ciągnęła się srebrzysta barierka dla tych,

Jakub Ćwiek

którzy mieli kłopoty z samodzielnym poruszaniem się. Dla zmęczonych co kilkanaście metrów ustawiono skórzane kanapy z obowiązkowym kwietnikiem obok.

Marek szedł, rozglądając się na boki. Zauważył, że ani na drzwiach, identycznych jak te, zza których wyszedł, ani na panelach szyfrowych zamków nie ma żadnych oznaczeń ani numerów.

Chwilę później dostrzegł też, że za szybą znajduje się drugi, węższy korytarz, zapewne dla personelu. Prowadzące do niego drzwi wkomponowano elegancko pod pozorem łączeń zarówno na barierkach, jak i samej przezroczystej tafli. Zdradzały je jedynie czytniki odcinające się bielą od powierzchni.

Dalej za przeszklonym korytarzem była już otwarta przestrzeń zwieńczona od góry szklaną kopułą. Marek nie był w stanie dostrzec, co znajduje się poniżej, ale za to doskonale widział korytarz po drugiej stronie, gdzie dwie postaci w skafandrach przechodziły właśnie przez wewnętrzny .tunel. Jedna z nich miała na sobie skafander z maską, wojskowy, jak w myślach określał go Marek, a druga lekarski, jak ten Wójcika. Odległość była jednak zbyt duża, by mógł ocenić, czy ten ktoś to właśnie znajomy doktor.

Przeszli jeszcze parę metrów, po czym zatrzymali się przed windą. Z licznika nad drzwiami Marek dowiedział się, że są na trzecim piętrze, a z rzędu przycisków na panelu, że jest to przedostatnia kondygnacja budynku. Żołnierz wsunął kartę w czytnik i wcisnął zero.

Na parterze nie było już korytarzy. W centrum przykrytym kopułą znajdował się basen, z którego nikt teraz nie korzystał, a obok otoczona niskim murkiem siłownia pełna lśniących w słońcu urządzeń. Nieco dalej stały

Dom na wzgórzu • 101

plastikowo-metalowe krzeselka i stoliczki. Cały kompleks gustownie ozdobiono zielenią - z glinianych donic pięły się ku niebu palmy, w klombach kwitły wielobarwne kwiaty...

Marek pokręcił głową z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

No, to nic dziwnego, że tyle wynoszą nasze podatki, skoro tak wyglądają szpitale wojskowe, pomyślał. Dziwiło go, że nie dotarła do tego żadna telewizja, by zrobić aferę. Byłaby z tego niezła chryja w mediach. A może była? Ostatnio, zmęczony politycznymi przepychankami, jakoś ograniczył oglądanie Wiadomości.

Wojskowi przeprowadzili go między kolumnadą oddzielającą boczne nawy od centrum w stronę rozsuwanych przeszkłonych drzwi. Za nimi, zgodnie z tabliczką umieszczoną nad wejściem, znajdowała się część mieszkalna.

Żołnierz wszedł do pokoju pierwszy, podniósł z łóżka pilota i włączył zawieszony na ścianie płaski telewizor. Następnie gestem zaprosił Marka do środka i skinąwszy mu głową, wyszedł. Domański rozejrzał się. Pomieszczenie, niewiele szersze od korytarza, mieściło w sobie dwa łóżka, biurko ustawione pod dużym oknem i szafę wnękową przy wejściu. Naprzeciwko niej zauważył drzwi, najpewniej do łazienki. Podniósł głowę i powiódł wzrokiem po suficie, ale nie wypatrzył nigdzie kamery.

- Dzień dobry, panie Domański.

Marek odwrócił się gwałtownie i popatrzył na telewizor, gdzie pojawiła się dojrzała, ale zadbana kobieta. Skadrowano ją w półzbliżeniu niczym telewizyjną pre-

102 • Jakub Ćwiek

zenterkę wiadomości, dzięki czemu dało się zauważyć, że ma na sobie nie skafander czy fartuch, a zgrabnie skrojony żakiet.

Nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć, czy to nie jest tylko przygotowane dlań nagranie, więc ograniczył się do skinienia głową. e Kobieta na ekranie roześmiała się.

- Kamera jest umieszczona tuż obok głośnika w telewizorze - powiedziała. - Podobnie mikrofon, tak że może pan mówić spokojnie. I bez obaw, włączają się tylko wtedy, gdy ustawi pan telewizor na ten kanał. W pozostałych przypadkach nie będzie pan przez nas widziany.

Ponownie skinął głową, choć jakoś w to wątpił.

- To jest mój pokój? - zapytał.

- Tak. Na razie jeszcze nie ma pan współlokatora, ale to, obawiam się, ulegnie zmianie. Chorych wciąż przybywa.

- Ilu jest w tej chwili? - Pochylił się, by przejechać ręką po kocu, a następnie usiadł na łóżku. Zauważył, że na krześle ustawionym na wysokości poduszki leży koperta z jego nazwiskiem. Sięgnął po nią.

- Osiemdziesiąt siedem osób, wliczając pana.

- Ile? - Zaskoczony Marek zastygł z ręką w kopercie. - I tyle osób zdążył zarazić ten Moore? W przeciagu...

Kobieta uśmiechnęła się tym sztucznym grymasem, którego reporterki używają zwykle, gdy chcą powiedzieć „dzień dobry”.

- Pan Moore to drugie ognisko choroby - wyjaśniła. -Pierwsze wykryto półtora miesiąca temu. Większość pacjentów jest tu z nami od tamtego czasu.

- Półtora miesiąca?! - Marek poderwał się z łóżka. -Wójcik mówił o kilku dniach. Nie ma mowy, bym siedział tu półtora miesiąca!

Dom na wzgórzu • 10

Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się ani odrobinę.

- Proszę się uspokoić... i usiąść - poleciła. Dopiero gdy posłuchał, zaczęła mówić dalej: - Zostanie pan w Domu na wzgórzu tak długo, jak będzie to konieczne. Nie krócej, ale i nie dłużej. Dziś jesteśmy już na innym etapie badań niż półtora miesiąca temu, gdy wirus Skeltona-Wirea był dla nas nowością. Teraz potrafimy sobie z nim radzić we wczesnym stadium. Czyli takim na przykład jak u pana. Być może więc prognozy doktora Wójcika wcale nie są tak odległe od prawdy.

Zamilkła na moment i sięgnęła po kubeczek z wodą. Upiła łyk. v ,

- Na razie podesłaliśmy panu formularz, którego nie udało się wypełnić w samochodzie - podjęła po chwili. -A także regulamin placówki, mapkę ośrodka i wstępny plan dnia. Proszę się z nimi zapoznać, a gotowy formularz włożyć do koperty. Potem będzie pan mógł zadzwonić do rodziny. Pewnie się martwią.

Czy utrzymywał pan stosunki seksualne z innymi mężczyznami?

- a) Nie, nigdy
- b) Tak, raz
- c) Tak, często
- d) inne (wpisz).....

Marek odłożył długopis i przetarł twarz. To pytanie nie dość, że głupie, to jeszcze odpowiedzią c) negowało kilkanaście pytań wcześniejszych niezależnie od tego, jak by w nich wybierał. A już odpowiedzi d) nie rozu-

Jakub Ćwiek

miął zupełnie. Co znaczyło „inne”? Przeglądał pisemka dla gejów, ale nigdy się nie odważył? Tak, ale nie z własnej woli? Rany...

Na szczęście było ostatnie. Z pozostałymi uporał się szybciej, choć niektóre wymagały od niego wyczerpania pamięci, bo odwoływały się do wydarzeń z dzieciństwa i wczesnej młodości. Na większość pytań odpowiedział szczerze, choć nieraz kusiło go, by w opcji „inne” popisać się kreatywnością. Ostatecznie stwierdził jednak, że im szybciej się z tym upora, tym szybciej będzie mógł zadzwonić.

Przypomniał sobie minę żony, jej rozszerzone z przerażenia oczy, tó, jak przytulała do piersi ich syna i jak cofnęła się o krok, gdy chciał ich objąć na pożegnanie. Potem gdy wychodził, płakała, przepraszała nie wiedzieć za co i zapewniła, że go kocha... A starsze dzieciaki? Co im powiedziała?

Zakreślił kółko wokół odpowiedzi a) i wsunął formularz do koperty. Zabrał z biurka plan ośrodka i wyszedł z pokoju.

Zgodnie z planem korytarz kończył się z jednej strony wejściem do części rekreacyjnej - to tam właśnie znajdował się basen, siłownia i windy prowadzące do kompleksu szpitalnego. Zgodnie z mapką były tam także stoły do ping-ponga oraz boisko do kosza i siatkówki pod przeszklonym tarasem - a z drugiej centrum kultury i rozrywki. I ta właśnie część interesowała teraz Marka najbardziej. Uważnie przyjrzał się legendzie.

Według niej różnobarwne plamy wokół okrągłego placu znaczyły kolejno:

Czerwony - kaplica (parter, oznaczona dodatkowo czarnym krzyżykiem)

Dom na wzgórzu

miął zupełnie. Co znaczyło „inne”? Przeglądał pisemka dla gejów, ale nigdy się nie odważył? Tak, ale nie z własnej woli? Rany...

Na szczęście było ostatnie. Z pozostałymi uporał się szybciej, choć niektóre wymagały od niego wyłączenia t pamięci, bo odwoływały się do wydarzeń z dzieciństwa i wczesnej młodości. Na większość pytań odpowiedział szczerze, choć nieraz kusiło go, by w opcji „inne” popisać się kreatywnością. Ostatecznie stwierdził jednak, że im szybciej się z tym upora, tym szybciej będzie mógł zadzwonić.

Przypomniał sobie minę żony, jej rozszerzone z przerażenia oczy, tó, jak przytulała do piersi ich syna i jak cofnęła się o krok, gdy chciał ich objąć na pożegnanie. Potem gdy wychodził, płakała, przepraszała nie wiedzieć za co i zapewniła, że go kocha... A starsze dzieciaki? Co im powiedziała?

Zakreślił kółko wokół odpowiedzi a) i wsunął formularz do koperty. Zabrał z biurka plan ośrodka i wyszedł z pokoju.

Zgodnie z planem korytarz kończył się z jednej strony wejściem do części rekreacyjnej - to tam właśnie znajdował się basen, siłownia i windy prowadzące do kompleksu szpitalnego. Zgodnie z mapką były tam także stoły do ping-ponga oraz boisko do kosza i siatkówki pod przeszklonym tarasem - a z drugiej centrum kultury i rozrywki. I ta właśnie część interesowała teraz Marka najbardziej. Uważnie przyjrzał się legendzie.

Według niej różnobarwne plamy wokół okrągłego placu znaczyły kolejno:

Czerwony - kaplica (parter, oznaczona dodatkowo czarnym krzyżykiem)

Dom na wzgórzu • 10

Żółty - biblioteka (piętra 1-2, osobna winda, osobny dział filmowy, komputery)

Niebieski - salon gier (parter, udostępniona kręgielnia, cymbergaj, bilard, pinball)

Zielony - sala telewizyj no-kinowa (pierwsze piętro, projekcja kinowa codziennie w czasie przerwy wieczornej, repertuar dostępny w telewizji na kanale 76)

Szary - salki cichej pracy (piętra 0-2, sofy, biurko, komputery)

Fiolet - sala komunikacyjna (piętro drugie, telefony, Internet).

Marek schował plan do kieszeni. Miał nadzieję, że tu nie będzie mu potrzebna specjalna karta, bo nie znalazł żadnej ani w kopercie, ani w ubraniu. Uznał jednak, że skoro do planu tej części gmachu dodano tak dokładną legendę, to dostęp do opisanych atrakcji musi być wolny.

Wszedł na okrągły plac i zorientował się, że w kaplicy trwa właśnie msza. Dwuskrzydłowe drzwi otwarte były na oścież, a wewnątrz w rzędach ławek siedzieli pacjenci - tak mężczyźni, jak i kobiety - wszyscy w białych szpitalnych strojach. Marek zastanawiał się przez chwilę nad niewidocznym z tego miejsca księdzem. Czy też jest jednym z pacjentów? A może odprawia mszę ubrany w skafander albo z wnętrza pleksiglasowej skrzynki? Chciał nawet sprawdzić, ale wtedy właśnie kapłan zachęcił wszystkich do wyznania wiary i pacjenci, szurając krzesłami, powstali z miejsc.

Na drugim piętrze spotkał kobietę w białym skafandrze, która pokazała mu, gdzie dokładnie znajduje się

Jakub Ćwiek

M.

f Z

salka komunikacyjna, i poinformowała, na jakich zasadach działa.

- Z Internetu może pan korzystać do godziny, o ile nad stoiskami nie świecą się czerwone lampki - powiedziała. - To oznacza, że personelowi niezbędny jest cały możliwy transfer i wtedy należy się natychmiast rozłączyć. Jeśli chodzi o telefony, bardzo prosimy, by rozmowy nie trwały dłużej niż dziesięć minut. Przysługuje panu jedno połączenie dziennie. Wszelkie sytuacje awaryjne może pan zgłaszać poprzez ekran alarmowy przy recepcji albo komuś z personelu.

Marek podziękował i odwróciwszy się, prawie pobiegł we wskazanym kierunku. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu głosu żony.

- Cześć, kochanie.

- Jezu! Nareszcie! - głos Katarzyny przepełniony ulgą niepozobawiony był też odrobiny wyrzutu. - Dlaczego dzwonisz dopiero teraz? Myślałam, że zwariuję. Dali mi co prawda numer, ale wiszę na telefonie od wczoraj, a tam cały czas jest zajęte, zupełnie jakby...

- Trzymali mnie pod kroplówką - wszedł jej w zdanie, po czym niemal natychmiast dodał: - To tak na wzmocnienie tylko, zanim zrobią mi badania. Jak dzieciaki?

- Trochę się zdziwiły, że cię nie ma, ale wyjaśniłam im, że musisz sobie zrobić badania do pracy. Wiedzą już coś?

- Rany, kochanie - roześmiał się. - Minęło dopiero parę godzin, z których większość przespałem. Nawet nie zrobili mi jeszcze badań.

Dom na wzgórzu • 10

Usłyszał, jak wzdycha do słuchawki.

- Doba to trochę więcej niż parę godzin - powiedziała po chwili. - Martwię się. I nie mów mi, że wszystko będzie dobrze. Nie mów, dopóki nie będziesz tego pewien.

- Powiem ci to po badaniach - odparł. - Albo jeszcze lepiej na kolacji, na którą cię zabiorę, gdy już wrócę.

Miał nadzieję, że w ten sposób choć odrobinę ją uspokoi, ale nie udało się.

- Trzymam cię za słowo - odpowiedziała tak poważnie i stanowczo, że aż poczuł się niepewnie.

Na szczęście już po chwili udało mu się przejść na nieco lżejsze tematy. Opowiedział żgnie o całym kompleksie, zwracając szczególną uwagę na basen i salon gier, a zupełnie pomijając ludzi w białych i wżółtych skafandrach. Dodał też, że jest tu osiemdziesięciu kilku pacjentów i że żaden nie wygląda na obłożnie chorego. To już chyba ostatecznie przekonało Katarzynę, bo pod koniec rozmowy zaczęła się nawet śmiać z jego żartów. Pożegnali się, a Marek obiecał, że zadzwoni następnego dnia.

Wychodząc z salki, znowu natknął się na kobietę w białym skafandrze, która pogroziła mu palcem.

- Miało być dziesięć minut - powiedziała z udawanym oburzeniem. - Jak już pan stąd wyjdzie, podeślemy panu rachunek za wszelkie nadwyżki.

- Kiedy już wyjdę, nie będę się czymś takim przejmował - powiedział, wsiadając do windy. - Pójdzie w kosza.

Przezroczyście drzwi zamknęły się przed nim i zjechał na dół.

Gdy wyszedł z kabiny, okazało się, że trwa właśnie końcowe błogosławieństwo, postanowił więc poczekać i być może złapać blondyna. Był ciekaw, co u niego,

i 08 • Jakub Ćwiek

zwłaszcza że u tamtego wszystkie objawy wystąpiły wcześniej. Mógł być dobrym źródłem informacji na temat ewentualnych postępów choroby.

Najpierw dostrzegł grubasa, a chwilę później między dwoma postawnymi mężczyznami głowę dziewczyny w okularach, ale blondyna nigdzie nie mógł wypatrzeć. W końcu uznał, że jego niedawny współpasażer znajduje się na oddziale szpitalnym albo tak jak on nie skorzystał z mszy i siedzi teraz w swoim pokoju. Nie miał do niego nic pilnego, więc machnął ręką.

Tymczasem pacjenci podzielili się na niewielkie, zwykle parzyste grupki, z których kilka udało się na blok mieszkalny, a reszta zajęła się dostępnymi rozrywkami. Rozbrzmiały melodyjki pinballi, rozstukał się krążek cymbalgaja, eter wypełniły rozmowy.

Z tłumu łatwo było wyłowić nowo przybyłych. Stali nieco na uboczu, niepewni, oszołomieni tak nową sytuacją, jak i miejscem. Co zaskakujące, u żadnego z nich nie dało się zauważyć nawet śladu przerażenia chorobą, widać było zało żywe zainteresowanie stojącym w rogu bufetem.

Marek uznał, że większość pewnie nigdy nie była na przyjęciu z cateringiem i że w pamięci przeliczają, ile będzie ich kosztować ta odrobina szpitalnego luksusu. Postanowił, że da im przykład, zwłaszcza że zdążył solidnie zgłodnieć, a i smak w ustach wciąż miał nieszczególny.

I wtedy zobaczył blondyna.

Wyszedł właśnie z kaplicy w towarzystwie księdza ubranego w szarą koszulę z koloratką i uważnie słuchał, co kapłan ma mu do powiedzenia. Szedł lekko zgarbiony, skubiąc podbródek, i cały czas potakiwał z poważną miną.

Dom na wzgórzu • 10

Wyglądają jak mistrz i uczeń, pomyślał Marek, przyglądając im się przez chwilę. Nie robił tego dyskretnie, dlatego też dość szybko został zauważony. Blondyn pomachał mu i wraz z księdzem ruszył w jego stronę.

- Fajnie znowu cię widzieć - powiedział blondyn. - Nie było cię na mszy?

- Nie praktykuję - odparł Marek, wzruszając ramionami. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do duchownego. - Marek Domański.

- Remigiusz Staniszewski. - Kapłan odpowiedział uśmiechem i mocnym uściskiem. - Od niedawna duszpasterz tego miejsca.

Marek przyjrzał mu się z uwagą. Ksiądz był postawnym mężczyzną o ciemnych włosach, szerokim czole i niezwykle pogodnych oczach. Po bliżnie odznaczającej się białą kreską u nasady nosa można było poznać, że był on kiedyś złamany, a gdy kapłan mówił, dało się zauważyć, że żuchwa uciekała mu trochę na lewo. Wyraźne oznaki kariery boksterskiej.

- Ksiądz trafił tutaj jak my?
- Jako zarażony, owszem. - Kapłan wskazał ręką wolny plastikowy stolik. - Znalazłem się w tak zwanym pierwszym ognisku. Wy obaj jesteście z drugiego.
- Właśnie pytałem księdza, czy jest ciężko - wtrącił blondyn. - Ale mówi, że nie. O, bar sałatkowy! Sorry na moment...
- Sympatyczny chłopak - powiedział Marek po chwili. -I bardzo spokojnie to przyjmuje. Jak wszyscy zresztą.
- Wczoraj trochę histeryzował, gdy znowu dostał ataku, ale dali mu środki uspokajające, potem leki, a na deser pozwolili pogadać z dziewczyną. To po rozmowie z nią zdecydował się na mszę. Kazała mu się modlić.

110 • Jakub Ćwiek

—

Ksiądz sięgnął do kieszeni i wydobył z niej inhalator. Zaczął obracać go między palcami.

- Co do reszty - podjął wątek - to w większości są spokojni, bo wiedzą już to, co i pan.
- Marek, po prostu.
- Dobrze. - Kapłan uśmiechnął się. - Wiedzą to, co t ty. Że chorobę udało się zahamować i teraz to właściwie

tylko kwarantanna.

- Nie wiedziałem tego - powiedział Marek. - Znaczą wspomnieli coś tam w komunikacie, ale...
- I to prawda. Mówię ci, jestem tu prawie od początku, widziałem wszystkich, jak przychodzili, i żaden nie wygląda gorzej niż w chwili przybycia. Choć niektórzy nadal mają drgawki i wymioty.

Do stołu wrócił blondyn, niosąc trzy tacki wypełnione po brzegi sałatką grecką, dwie w dłoniach, a jedną na przedramieniu. Ostrożnie postawił je na stole i powyciągał z kieszeni puszki z mrożoną herbatą.

- Pomyślałem, że będziecie głodni - powiedział i zabrał się do jedzenia. - O czym jest rozmowa?
- O chorobie - wyjaśnił Marek. - Ksiądz właśnie mnie uspokaja.
- Remek. Jak po imieniu, to po imieniu. I nie uspokajam, tylko mówię, jak to wszystko wygląda. W pierwszym tygodniu pokazywali nam co prawda zdjęcia z kolejnych stadiów choroby, ale tu nie wydarzyło się nic takiego. To napawa optymizmem.

Blondyn pokiwał głową, pałaszując sałatkę. Nagle jakby sobie o czymś przypomniał, bo palnął się w czoło i pospiesznie przetykając, wyciągnął rękę do Marka.

- Łaany, chłopie, czemu nie gadasz? - wybełkotał z wciąż jeszcze pełnymi ustami. Zorientował się, jak to

Dom na wzgórzu 11

brzmi, więc przełknął i dopiero wtedy dokończył: - Przecież ja ci się nie przedstawiłem wtedy. Krzysiek.

Marek uściśnął podaną dłoń i roześmiał się. Po raz pierwszy dotarło do niego, że ten przymusowy pobyt tutaj może mu wyjść na dobre. Przynajmniej odpocznie.

Siedząc w trójkę przy stoliku, przegadali niemal cały czas wolny. Rozmawiali o wszystkim: o ostatnich meczach reprezentacji, która nareszcie zaczęła prezentować sobą jakiś poziom, o polityce i pracy. Krzysiek, który był informatykiem, opowiadał jako prawdziwe historie anegdoty, które Marek słyszał już milion razy jako dowcipy. Wciąż jednak brzmiały zabawnie. On sam rzucał co jakiś czas historyjkami z Bośni, gdzie przebywał w ramach misji pokojowej.

Podczas tej pogawędki Marek zauważył, że Remek uchodził w tym małym szpitalnym światku za naprawdę ważną osobę. Mijający ich stolik kłaniali mu się, co jakiś czas ktoś zagadywał, biorąc kapłana na stronę. Wszystko to ksiądz znosił z anielską wręcz cierpliwością. Marek był dla niego pełen podziwu i obiecał sobie, że któregoś dnia wpadnie na mszę, by posłuchać kazania. Te, które słyszał do tej pory - fakt, że właściwie były to tylko kazania świąteczne i okazjonalne - sprawiały, że z nudów wywracały się flaki.

Po jakimś czasie rozległ się dzwonek, a miły kobiecy głos dochodzący z głośników poinformował wszystkich, że właśnie skończył się czas wolny i że powinni udać się na miejsca zgodne z ich planami zajęć. Dla Marka były to badania ogólne na poziomie pierwszym oddziału szpi-

1 • Jakub Ćwiek

talnego. Pożegnał się i ruszył w stronę właściwej części budynku, po drodze wstępując do pokoju i zabierając z niego rozpiskę z planem dnia.

Żołnierz wprowadził go do windy i odblokowawszy kartą panel, wcisnął jedynekę. Gdy otworzyły się drzwi, pokazał Domańskiemu, by wyszedł, a sam zjechał na dół.

Słyszając za sobą syk zamykających się drzwi i rozglądając wokół, Marek po raz pierwszy poczuł się jak w prawdziwym szpitalu. Tutaj dywanową wykładzinę zastępowało szarą linoleum, ściany pokryto panelami, jak te w pokoju, w którym się obudził, a w miejscu równych rzędów pokoi były przeszkłone drzwi prowadzące na, jak mógł przypuszczać, oddziały.

Postaci w białych skafandrach przechodziły z oddziału na oddział, niektóre prowadząc ze sobą pacjentów, inne niosąc teczki czy pchając wózki z lekami bądź aparaturą. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Marek popatrzył na trzymaną w dłoni karteczkę i wszedł na oddział drugi znajdujący się zaraz po prawej. Przeszedł przez korytarz i zapukał do pokoju numer 216. Nie czekając na pozwolenie, otworzył drzwi.

- Dzień dobry - zagaił do pustego biurka. Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu, ale nie zauważył nikogo ani przy łózkach, ani przy bieżni. Podobnie za białym parawanem rozstawionym do połowy przy oknach. - Halo, jest tu ktoś? Miałem się tutaj zgłosić na badania.

Wszedł do środka, wciąż rozglądając się uważnie po sali. Nieco głębiej dostrzegł kącik sanitarny z umywalką,

Dom na wzgórzu • 113

a dalej, za złożonymi teraz harmonijkowymi drzwiami, kącik relaksu dla pracowników z dwoma fotelami i niskim okrągłym stolikiem.

Wyobraził sobie dwóch ludzi w białych skafandrach, jak siedzą w tych fotelach i próbują napić się herbaty, w czym przeszkadzają im przezroczyste przesłony. Niemal widział, jak siedzą wzorem angielskich dam, idealnie wyprostowani, trzymając delikatne porcelanowe filiżanki w dłoniach osłoniętych gumowymi rękawiczkami, koniecznie z wyprostowanym najmniejszym palcem.

Parsknął śmiechem i odwrócił się, by wyjść z gabinetu, ale w tym samym niemal momencie drzwi otworzyły się i do środka weszła młoda dziewczyna w białym skafandrze. Troszkę zaskoczył ją widok Marka, bo najpierw przyjrzała mu się zdumiona, a potem szybko zerknęła na trzymaną podkładkę i zamocowane na niej dokumenty. Uniosła głowę i uśmiechnęła się niepewnie.

- Strasznie pana przepraszam za spóźnienie, panie Domański - powiedziała wzmocnionym przez mikrofon głosem. Jej dziewczęca twarz pokryła się rumieńcem. -Długo pan czeka?

- Dopiero wszedłem. - Marek postąpił krok do przodu i podał jej karteczkę. - Czy mogę wiedzieć, co to będą za badania?

- Oczywiście, żadna tajemnica. - Dziewczyna okrążyła biurko i usiadła na krześle bez oparcia.

Pewnie dali tu takie, by nie zawadzali butlami z tlenem, pomyślał Marek i zaraz zaczął się zastanawiać, na jak długo wystarcza taka butla. I czy mają tu gdzieś pomieszczenia, gdzie mogą spokojnie dokonać wymiany.

Dziewczyna wskazała mu miejsce.

1 akub Ćwiek

i__

- Dziś pobierzemy panu krew na morfologię i poziom enzymów - powiedziała, patrząc w papiery. - Zrobimy też EKG i echokardiografię. Z karty pacjenta wynika, że przechodził pan już te badania, więc nie musimy tłumaczyć, że nie ma się czego obawiać.

Skinął głową i zabrał się za podwijanie rękawa, by odsłonić zabezpieczony wenflon.

- Proszę od razu zdjąć koszulę. - Dziewczyna zaznaczyła coś w dokumentach, po czym wstała i podeszła do metalowego stolika na kółkach stojącego za łóżkiem. Podniosła z niego przedmiot na pierwszy rzut oka wyglądający jak mały, torebkowy pistolet.

- Proszę usiąść.

Sprawnie pobrała krew, napełniając podłączony do pistolecika pojemnik, po czym zabandażowała wenflon i kazała pacjentowi położyć się na kozetce. Sięgnęła po elektrody.

- Właściwie chciałem już o to zapytać doktora Wójcika - powiedział Marek, gdy dziewczyna zamocowała mu czerwoną klamrę na prawej ręce. - Kiedy zdążyliście zbudować taki ośrodek? Jakoś nie trąbili o tym w mediach, a to jednak spory gmach. I nowoczesny.

Dziewczyna wykonała ruch, który mógł oznaczać wzruszenie ramion.

- Dom na wzgórzu to placówka rządowa dofinansowywana przez WHO - wyjaśniła. - Powstał dwa lata temu, ale dopiero teraz po raz pierwszy używany jest zgodnie z przeznaczeniem.

Zamocowała pozostałe klamry i zabrała się do rozmieszczania elektrod podsercowych.

- Wygląda pan na aktywnego fizycznie - powiedziała. - Ćwiczy pan?

Dom na wzgórzu • 115

- Tak. - Marek zdziwił się pytaniem, ale jednocześnie ucieszył, że nie każdy ma tu dostęp do jego pełnych akt. - Byłem żołnierzem, a obecnie pracuję w agencji ochrony. Co prawda za biurkiem, ale trzeba dobrze wyglądać przed pracownikami.

Uśmiechnęła się. Miała naprawdę uroczy uśmiech.

Po badaniach Marek opuścił oddział bogatszy o kubeczek na mocz i pojemniczek na próbkę kału. Zgodnie z rozpiską powinien był udać się do pokoju na kolację, ale po sałatce zupełnie nie chciało mu się jeść. Zapytał więc żołnierza, z którym zjechał na parter, czy może zrezygnować z posiłku, a ten po konsultacji przez radio przekazał, że owszem, ale i tak musi się zgłosić do pokoju po leki. Marek udał się więc do części mieszkalnej.

Panował tu obecnie całkiem spory ruch. Pacjenci rozmawiali, stojąc w progach pokoi lub wspierali się o ściany. Niektórzy z nich kończyli właśnie posiłek z trzymany w rękach plastikowych misek, inni popijali coś z jednorazowych kubków. Ogólnie panował przyjemny gwar, jak to bywa zazwyczaj w dużych skupiskach ludzi, kich podczas przerw na posiłek.

Marek otworzył drzwi do pokoju i wtedy właśnie zauważył Krzyśka. Zawołał go.

- Jak było na badaniach? - zapytał młody informatyk. Minę miał nietęgą. - Mi mieli robić dziś spiropocząstki, ale dostałem dreszczy w trakcie, więc przenieśli na jutro.

- Spirometrię. Wygląda na to, że masz testy wytrzymałościowe. Robili ci EKG na bieżni? Wejdz, proszę...

16 • Jakub Ćwiek

- Nie mogę. - Krzysiek oparł się o framugę. - Regulamin zabrania wchodzenia do pokojów innych pacjentów. Prosili, by przestrzegać.

- Aha. - Marek przeszedł przez pokój i postawił plastikowe pojemniczki na stoliku. Potem zerknął na plan, zgodnie z którym zaraz po kolacji powinien się udać do części rekreacyjnej. Rubryka „plan ćwiczeń” była pusta, co uznał za znak, że pierwszego dnia postanowiono dać

„mu fory.

- A EKG robili i na leżąco, i na bieżni - kontynuował Krzysiek. -1 właściwie skąd znasz takie nazwy jak ta spirometria? Mówiłeś, że robisz w ochronie.

- Bo robię. W mojej firmie wszyscy robią takie testy co jakiś czas. Nie wiesz, czy dają tu kąpielówki i ręcznik, czy trzeba kąpać się nago?

Informatyk nachylił się, trzymając ręką framugi, byleby tylko nie przekroczyć stopami progu. Postukał palcami w drzwi szafy.

- Po lewej. Trzecia albo czwarta półka - powiedział. -Ręczniki masz w łazience, obok prysznic. Tam też jest folia ze ściągaczami do zabezpieczenia wenflonu. - Wyprostował się. - Właściwie to słuchaj, jak idziesz na basen, to poczekaj na mnie. Mam wpisane parę długości i trochę siłki.

Marek skinął głową.

- Jasne.

Tuż przy basenie spotkali księdza Remigiusza, który rozmawiał właśnie z grupką mężczyzn ubranych podobnie jak on tylko w kąpielówki. Już na pierwszy rzut oka dało

Dom na wzgórzu

się zauważyć, że obca im była do tej pory wszelka aktywność fizyczna, choć z twarzy młodzi, wyglądali na starszych i zaniedbanych. Jak jeden mąż odznaczali się bladą skórą, obwisłymi brzuchami i sflaczałymi mięśniami rąk i nóg. Nie było wątpliwości, że z nich wszystkich kapłan prezentował się najlepiej.

- Witajcie. - Ksiądz wysunął się z kółeczka i podszedł do nowo przybyłych. Ostentacyjnie przyjrzał się brzuchowi Marka. - No, no, kaloryfer jak się patrzy.

Marek wzruszył ramionami.

- Ksiądz, widzę, też wie, jak korzystać z „atlasa”. Jest tu jakiś porządek? Ktoś pilnuje, jak wchodzić?

Kapłan pokręcił głową z rozbawieniem.,

- Remek - przypomniał, po czym dodał: - Pełna swoboda, zwłaszcza że mało komu chce się ćwiczyć czy pływać.

Jako dowód wskazał brodą kilka grupek stojących co prawda w basenie, ale przy samym murku. Zażywający kąpeli, przeważnie mężczyźni, rozciągali się na całą szerokość basenu. Podobnie było na siłowni," gdzie dyskutowali, siedząc na przyrządach i przyglądając się tej garstce, która poważnie podeszła do ćwiczeń.

Marek rozejrzał się, ale nie dostrzegł zbyt wielu kobiet. Dwie na brzegu, jedna z zapałem pokonująca kolejne długości basenu, parę wśród przybrzeżnych grupek i jeszcze kilka na siłowni. W przeciwieństwie do tego, co * widział po mszy, tu proporcje wydawały się mocno zachwiane. Podzielił się tym spostrzeżeniem.

- Może to dlatego, że jak przychodziły większą paczką, to się nagle więcej wody robiło w basenie - wtrącił jegomość o różowej okrągłej twarzy, który postanowił dołączyć. - Wszyscy faceci zaczęli się ślinić.

1 • Jakub Ćwiek

Wyciągnął rękę.

- Kociuba jestem. Heniek.
- Marek Domański, a to Krzysztof...
- Lasota - odpowiedział młody informatyk, nie odrywając wzroku od pływającej dziewczyny.

Reszta grupki zachęcona przykładem Kociuby również do nich dołączyła i w ten sposób krąg szpitalnych znajomych Marka poszerzył się o chudego jak patyk biologa Staniszewskiego, Hermana - doktora filologii klasycznej, z wytrzeszczem oczu i wielką, obrzydliwą brodawką na nosie, a także krępego, brodatego Starewicza z branży budowlanej. Kociuba, jak wynikało z rozmowy, był z wykształcenia dentystą.

Wszyscy pochodzili z pierwszego ogniska, którego zarzewiem był dwudziestotrzyletni bębniarz z Afryki nazwiskiem Pukwana, przybyły do Polski w ramach programu dofinansowywania młodych zdolnych. Miał dać koncert w Warszawie. Nie zdążył, dostał ataku podczas wizyty w kinie, a potem kolejnego w hotelowym pokoju. Następnego dnia rano ludzie w żółtych skafandrach zbierali żniwo wśród obecnych na tamtej kinowej sali.

- Jak wtedy pomyślałem, że byłem jednym ze szczęśliwców, którzy wygrali bilet na ten film w radiowym konkursie, to o mało mnie nie szczyściło - stwierdził Kociuba. -Ale potem uznałem, że nie jest tu

tak źle. Mogę odpocząć od starej, a już ponad tydzień nie miałem ataku. Tylko pamięć coś nam szwankuje, bo za cholerę się z kolegami nie możemy zgodzić, co to był za film.

- Jestem pewien, że to był nowy Tarantino, bo zwyczajnie na nic innego nie chodzę do kina. Wszystko inne oglądam w domu - stwierdził Herman, reaktywujący, sądząc

Dom na wzgórzu • 1

po westchnieniach pozostałych, przebrzmiały spór. Wątek został dość szybko podjęty przez Staniszewskiego, który gotów był sobie rękę obcinać, że na feralnym seansie prezentowali „Kwiat wiśni”- japońską superprodukcję, na którą biolog szykował się od zobaczenia pierwszego zwiastuna.

Ksiądz, który ani myślał tego słuchać, klepnął Marka w ramię.

- Chodźmy oddać cesarzowi, co cesarskie - powiedział. - Krzysiek? Idziesz?

- Co... a, tak. - Chłopak niechętnie oderwał wzrok od dziewczyny, zwłaszcza że ta właśnie kończyła maraton i teraz powoli, żabką, zbliżała się do drabinki. - Zaraz dołączę, tylko... jeszcze chwila. v

Marek i ksiądz popatrzyli po sobie i obaj parsknęli śmiechem.

- Jedno jest pewne - stwierdził Domański. - Nie wy-kosztuje się tutaj, zapraszając ją na kolację.

Pół godziny później grubas z ciężarówki dostał w basenie ataku drgawek. Wyciągnął go Staniszewski wraz z postawnym, mocno owłosionym gościem, który stał przy murku nieopodal miejsca zdarzenia.

Zaraz zjawili się dwaj żołnierze z noszami, a wraz z nimi Wójcik w asyście jeszcze jednego lekarza albo , pielęgniara. Stwierdziwszy, że nie ma bezpośredniego zagrożenia życia, bez pośpiechu zanieśli go do windy i wwieźli na górę.

Niedługo potem, na kwadrans przed właściwym czasem, rozległ się sygnał i kobiecy głos poinformował ich,

120 • Jakub Ćwiek

W 4

że czas ćwiczeń właśnie się skończył i teraz powinni udać się do własnych pokojów i odpocząć.

Nikt nie oponował.

'Wieczór Marek spędził na oglądaniu telewizji.

Około dwudziestej trzeciej przyszedł do niego z wizytą Wójcik, ale stwierdził, że nie ma czasu na dyskusje, i tylko zmierzył mu temperaturę i sprawdził latarką reakcję źrenic, jak przy wstrząśnięciu mózgu. Potem z tacki trzymanej przez towarzyszącego mu żołnierza zdjął plastikowy spodek z kilkoma

pastylkami oraz miarką jakiejś żelowej substancji i postawił na biurku. Wychodząc, przypomniał o próbce moczu i kału.

Mniej więcej godzinę później coś zazgrzytało i z wąskiej szczeliny pod zamocowanym w ścianie elektronicznym zegarkiem wysunęła się karteczka z planem na jutro. Zgodnie z nim dzień zaczynał się dla Marka o szóstej rano serią badań i blisko godzinnym naświetlaniem. Na rozpisce pojawił się też program ćwiczeń, łudząco podobny do tego, jaki Domański miał ustalony na siłowni w firmie, a więc dość intensywny.

- No cudnie, tyle z leniuchowania - westchnął, po czym wyłączył telewizor i zgasił światło.

Rano okazało się, że badania ma z Kociubą. Spotkali się na korytarzu.

- Jak mnie wkurwiają tacy ludzie jak ty - sapnął dentysta na powitanie.

Dom na wzgórzu • 11

Marek uniósł brwi, dając znać, że chyba nie do końca rozumie.

- Weseli jak jebane skowronki - wyjaśnił tamten -w godzinach, gdy nie działa jeszcze grawitacja. Do tego paradujący z własnym gównem w przezroczystych naczynkach.

Głową wskazał na jeden z trzymanyh przez Marka pojemników.

Ten wzruszył ramionami.

- Dają basen, kino i darmowe żarcie, a w zamian chcą tylko tego. Dlaczego miałbym im odmawiać?

Razem przeszli przez korytarz do części rekreacyjnej. Od basenu powiało chłodem i zapachem chloru.

- Podobno w nocy były dwa kolejne ataki' a tę rudą po weterynarii zabrali nawet do izolátky - powiedział Kociuba, zatrzymując się przy żołnierzu. Pokazał mu karteczkę. Tamten skinął głową i wszedł do windy, kartą odblokował panel.

- Miała inne symptomy niż te z pierwszego etapu? -zaciekawil się Marek.

- Chuj tam wie. Mieszkała sama w pokoju, a kiedy przyszli, wszyscy już spali. Herman akurat musiał się w nocy odlać, to usłyszał, ale jak się wychylił, kazali mu wracać do pokoju i powiedzieli, że łamie regulamin... Jak na jebanej kolonii.

Ostatnie słowa wypowiedział, patrząc wyzywająco na , żołnierza, ale ten nie odrywał spojrzenia od drzwi kabiny. Gdy się rozsunęły, postąpił dwa kroki do przodu i jeden na bok, wypuszczając pacjentów. Następnie skinąwszy koledze czuwającemu przy wejściu, wsiadł do windy.

Marek zastanawiał się, po co to wszystko, skoro i tak pozwalają im swobodnie poruszać się po oddziale. Do-

<

szedł do wniosku, że chodziło tu raczej o efekt psychologiczny, by pacjenci mieli świadomość, że wszystko jest pod kontrolą.

Rozstali się z Kociubą dopiero przy gabinecie 216. Tam właśnie zmierzał dentysta, któremu wyznaczono EKG wysiłkowe. Marek musiał przejść na koniec korytarza, by zdać próbki, a potem w pokoju 234 poddać się spirometrii.

Badania, o ile Marek się na nich wyznawał, poszły nieźle, a na koniec okazało się, że będzie mógł trochę odpocząć w trakcie naświetlania. Jeden z dwóch techników polecił się rozebrać, nałożył mu specjalne okulary ochronne, które ważyły chyba z półtora kilo i zasłaniały pół twarzy. Następnie położono Domańskiego na łóżku i opuszczono kopułę wyglądającą jak odwrócony bobslej. Marek poczuł falę ciepła, a zaraz potem, że robi się coraz bardziej senny.

Obudzili go technicy, gdy naświetlanie dobiegło końca.

W pokoju, do którego wrócił na śniadanie i poranną porcję leków, czekała go niespodzianka. Na drugim łóżku leżał plan ośrodka i rozpiska bez wyszczególnionych ćwiczeń. Zdążył jeszcze dostrzec adnotację o obowiązkowej diecie, gdy z toalety dobiegł go szum spuszczonej wody. Obrócił się błyskawicznie i przykucnął, kładąc kartkę na łóżku współlokatora, następnie na oślep wybadał leżącego za nim pilota i włączył telewizor. W samą porę, bo właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i z łazienki wyszła wysoka, szczupła brunetka.

Dom na wzgórzu • 13

Marek, który miał już przygotowane powitanie, aż zaniemówił z wrażenia.

Dziewczyna mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała duże brązowe oczy, lekko zadarty nos i krótko przystrzyżone włosy - z jednej strony odrobinę dłuższe i fantazyjnie wystrzępione. Ubrana była w luźną piżamę, ale Marek był pewien, że pod nią kryła się nienaganna figura. Odchrząknął.

- Cześć, Marek jestem - powiedział, wycierając rękę o nogawkę i wyciągając w stronę dziewczyny. Pogodnym tonem starał się ukryć, że w jej obecności czuje się trochę niepewnie. '

- Kinga. - Dziewczyna uśmiechnęła się, prezentując równe, białe zęby. - Wybacz, że tak się tu rozpanoszyłam...

- No właśnie mam wrażenie, że chyba pomyliłaś pokoje - Marek wszedł jej w zdanie. - Tu raczej nie mają koedukacyjnych.

- Teraz już mają. - Usiadła na łóżku, krzyżując nogi. -Przywieźli nas tu razem trzynaście dziewczyn, a całe to piętro ma w sumie sto miejsc. Jak mówił ten Wójcik, drugie piętro jest w remoncie i dopóki go nie otworzą, to do-kwaterowują do wolnych.

Marek również usiadł, przyglądając się dziewczynie uważnie. Nie pasowało mu jej zachowanie, była zdecydowanie zbyt pogodna i radosna jak na kogoś, kto niedawno dowiedział się, że padł ofiarą epidemii. Nawet on, choć miał wrażenie, że przyjął to wszystko w miarę spokojnie, zachowywał się mniej swobodnie. A teraz jeszcze ta cała sytuacja, która zdawała się w ogóle jej nie krępować.

124 ■ Jakub Ćwiek

- Do ciebie też przyjechali ciężarówką ludzie w skafandrach?
- Faceci w skafandrach rzeczywiście byli - roześmiała się. - Ale ciężarówką na ósme piętro hotelu raczej by nie wjechali. Wpadli do pokoju jak jacyś komandosi, zabrali tego Murzyna, a potem zorientowali się, że ja tam jestem, to i mnie wzięli.

Przeciągnęła się, odchylając do tyłu i zakładając ręce za głowę. Ten widok sprawił, że Marek poczuł mrowienie w okolicy podbrzusza.

- Najpierw trzymali mnie na jakimś zamkniętym oddziale - Kinga podjęła wątek - bo wiesz, bliższy kontakt, takie tam, a potem stwierdzili, że mam normalne objawy jak inni, czyli wy chyba. No i przystali mnie tutaj wraz z nową grupą.

Domański siedział, przez chwilę patrząc na nią, po czym przejechał ręką po twarzy.

- Trochę mi tak nie wypada z tobą w jednym pokoju - powiedział. - Jestem żonaty i...
- Ja się tu ąie pchałam. - Kinga wzruszyła ramionami. -Poza tym nie proponuję ci przecież seksu, prawda?
- No tak, masz rację...

Wstał i skierował się do drzwi.

- Idę zadzwonić - powiedział. - Co masz teraz w planie?
- Ty mi powiedz. Przecież patrzyłeś na tę moją kartkę. -Uśmiechnęła się, lekko przechylając głowę.
- Nie dziw się tak. Zanim weszłam do łazienki, leżała inaczej. Mam dobrą pamięć do takich szczegółów... Pozdrów żonę.
- Dobrze - wymruczał, unikając jej spojrzenia, i wyszedł na korytarz.

Dom na wzgórzu

- Trzymasz się jakoś?

Marek rozejrzał się po salce komunikacyjnej. Telefony znajdowały się niemal przy samym wejściu, więc teraz, siedząc przy stoliczku, zamknięty w pleksowej kabinie, miał doskonały widok na całe pomieszczenie. Dwie młode dziewczyny wyraźnie świetnie się bawiły, rozmawiając z kimś przez któryś z

komunikatorów, a jakiś mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, z zainteresowaniem przeglądał newsy na Wirtualnej Polsce; nawet z takiej odległości Marek bez trudu mógł rozpoznać charakterystyczne logo serwisu. Żadne z nich, wliczając w to Dpmańskiego, nie wyglądało, jakby miało powody, by „jakoś się trzymać” - biorąc pod uwagę okoliczności, ich sytuacja wyglądała nadzwyczaj dobrze. Jednak nie wiedząc czemu, Marek nie zdecydował się tego powiedzieć.

- Jakoś - stwierdził, a zaraz potem dodał: - Oczywiście strasznie za wami tęsknię.

Nie kłamał, ale i tak to zdanie zabrzmiało mu trachę sztucznie. Na szczęście wyglądało na to, że tylko jemu.

- My też tęsknimy, kochanie - powiedziała Katarzyna, po czym przeprosiła go na moment. W tle rozległ się głos małej Gosi domagającej się czegoś kategorycznie. Zaraz potem ten sam głosik, choć już nieco bardziej przymilny, rozległ się wyraźniej w słuchawce:

- Cześć, tatusiu.

- Witaj, złotko. - Marek uśmiechnął się. - Co tam u ciebie słychać?

- Pisałam dziś dyktando i pani mnie pochwaliła, że zrobiłam mało błędów. A potem jeszcze miałam gimnastykę i mieliśmy grać w zbijanego, ale przyszła pani

126 ■ Jakub Ćwiek

V

pielęgniarka i zabrała nas na szczepionki. Bolało, ale nie płakałam...

Marek słuchał tego potoku słów, co kilka chwil zerkając na zegarek. Zgodnie z wyznaczonym czasem zostało mu jeszcze półtorej minuty, a do każdego z pięciu stanowisk telefonicznych stała już spora kolejka, więc nie za bardzo mógł liczyć na przedłużenie. Miał nadzieję, że Gosia skończy opowieść, zanim zabraknie czasu, i nie będzie musiał jej przerwać. I bez tego pewnie dość za nim tęskniła.

- ...no i Maciek powiedział, że to fajnie, że czwarte klasy już nie mają tych szczepionek, bo on nie lubi igieł -po tych słowach dziewczynka odsapnęła głęboko, co znaczyło ni mniej, ni więcej, tylko że właśnie skończyła. Marek znał to westchnienie i doskonale wiedział, jak powinien teraz zareagować.

- No to brawo, dzielna dziewczynko - powiedział. -Jak wrócę do domu, to pokażesz mi ślad, dobrze? A teraz daj jeszcze mamusię.

- Tak, kochanie? - usłyszał znowu głos żony.

Zostało mu tylko trzydzieści pięć sekund, więc w pośpiechu podał jej najpilniejsze sprawy, jakie w jego imieniu powinna załatwić w firmie i urzędach. Nie było tego dużo, ale niektóre z nich nie mogły czekać.

Na koniec, tuż przed tym, zanim rozmowa została automatycznie rozłączona, pozdrowił ją od współlokatora.

Kingę spotkał na basenie.

- Pozdrowiłeś? - zapytała wesoło z wody, machając miarowo rękami i nogami, by utrzymać się na powierzchni.

Dom na wzgórzu •

Skinął głową, rzucając ręcznik na jedno z plastikowych krzeseł, i wskoczył do basenu. Przepłynął pod wodą jedną długość i wynurzył się przy samym murku. Trzymając się ręką krawędzi, wolną dłonią przetarł twarz.

Z wyjątkiem ich dwojga na basenie nie było nikogo. Część pacjentów była na badaniach, inni czekali w swoich pokojach na właściwą godzinę. Tylko im zachciało się pływać. Do tego w tym samym czasie.

Dziewczyna podpłynęła do niego i również złapała za murek. Włosy przykleiły jej się do twarzy, ale nie odgarnęła ich. Błysnęła za to idealnie białym uśmiechem.

- A jak mnie przedstawiłeś? - zapytała..- Janek, Piotrek czy jednak jakoś wymyślniej?
- Nie podałem imienia.

Przechyliła głowę na bok, nie przestając się uśmiechać.

- Ale mam rację, że ująłeś to tak, by wyszło, że jestem facetem?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zaczerpnął oddechu i zszedł pod wodę. Odbił się lekko nogami i popłynął przed siebie z zamkniętymi oczami. Nie spieszył się, skupiając raczej na kontrolowaniu ruchów i uspokojeniu pracy serca. Wynurzył się, dopiero gdy palcami musnął przeciwległą ścianę.

Wyszedł z wody i wrócił do krzesła, na którym został w rękach. W tym samym czasie Kinga zdążyła doплыnąć do drabinek i również opuściła basen. Marek musiał przyznać, że w kostiumie, ociekająca wodą, prezentowała się całkiem nieźle. Przypominała mu jego żonę z czasów, gdy ta udzielała się w AZS. Katarzyna była nieco drobniejsza i, rzecz jasna, nigdy nie pozwoliłaby sobie na tak udziwnioną fryzurę, ale i tak podobieństwo w wyglądzie

Jakub Ćwiek

i ruchach nie było wyłącznie dziełem wyobraźni Domańskiego. Aż się zdziwił, że wcześniej tego nie zauważył.

- Wkurzyłam cię? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie lubię takich gier - stwierdził. - Być może bawi cię, że krępuje mnie cała ta sytuacja, a może to rewanż za moją wcześniejszą niezręczność, ale...

, - Przepraszam - weszła mu w zdanie. - Masz rację. Wyglupiłam się. Rozbawiło mnie twoje zmieszanie tam w pokoju i teraz zwyczajnie mnie poniosło. Wybacz.

Wyciągnęła rękę na znak zgody, a on po krótkiej chwili wahania uściśnął jej dłoń.

- Hubert - powiedział, przewieszając ręcznik przez ramię. - Tak bym cię przedstawił, gdyby żona zapytała. Nic lepszego nie przyszło mi wtedy do głowy.

Kinga pokręciła głową z mieszaniną zdumienia i rozbawienia.

- Hubert? - powtórzyła. - Rany, ale ty musisz być dziwny.

Zaraz po badaniach i przedobiednim naświetlaniu, a przed samym posiłkiem Marek miał się spotkać z Kociubą i jego przyjaciółmi w holu centrum kultury na szybkiego pokerka. Zgodził się, bo raz, że najlepiej gra się w czwórkę, a u Staniszewskiego podczas porannych badań wyszło, że ma coś z sercem, i tymczasowo przeniesiono go na stałe do części szpitalnej - a dwa, że jakoś nie było mu spieszo wracać do pokoju. Coraz bardziej skłaniał się ku opinii, że Kinga to sympatyczna dziewczyna, której zwyczajnie nie wyszło w życiu, ale i tak liczył na to,

Dom na wzgórzu 1

że zniknie z jego pokoju przed wieczorem. Nie chciałby, żeby rozniosły się plotki, że sypiał w jednym pokoju z dziwką.

Miał zamiar porozmawiać o tym z kimś, ale póki co trafiał tylko na pielęgniarki i technicznych, którzy bezradnie rozkładali ręce, bądź na żołnierzy, którzy nie raczyli nawet na niego spojrzeć. Pozostało mu więc czekać na Wójcika, a do tego momentu zapychać jakoś czas, unikając wizyt w pokoju.

Zaproszenie dentysty wydawało się do tego celu wręcz wymarzone, tyle że z chwilą gdy opuścił gabinet naświetleń, nagle stało się nieaktualnej Kociubę wzięto na tomografię.

Nie wiedząc, co właściwie ma ze sobą zrobić, Marek zdecydował, że jednak wybierze się na mszę, która zgodnie z rozpiską właśnie się zaczynała. Z tego, co pamiętał -a ze zdumieniem odkrył, że mimo iż bywał w kościołach tylko od wielkiego dzwonu, całkiem nieźle pamiętał porządek liturgii - z chwilą gdy dojdzie do kaplicy, powinno zaczynać się lub trwać kazanie, najlepsza okazja do sprawdzenia, jak Remek radzi sobie zawodowo.

Wnętrze kaplicy nie raziło bogactwem, co już stanowiło, miłą odmianę w stosunku do świątyń, które Marek odwiedził do tej pory. Utrzymano je raczej w duchu tych wszystkich współczesnych przybytków sakralnych, które z zewnątrz wyglądały zazwyczaj tak koszmarnie, że zapewne sam Wszechmogący brzydził się na nie spoglądać.

Jakub Ćwiek

Krzeselka - biały plastik, aluminiowe nóżki - ustawiono w równych rzędach, zostawiając szerokie przejście środkiem i dwa węższe przy samych ścianach. Zarówno dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi, jak i ogromne okno nad ołtarzem zdobiły witraże przedstawiające kolejno: na drzwiach śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, a na oknie ponad wielkim, prostym krzyżem z maleńką figurką przybitą w miejscu, gdzie krzyżują się belki, wniebowstąpienie. Posadzkę zdobiła wymyślna mozaika przedstawiająca kazanie na Górze.

Tak jak przewidywał, dotarł do kaplicy podczas kazania. Chyba większość pacjentów, jeśli w ogóle nie wszyscy, siedzieli spokojni, zasłuchani w słowa księdza, wpatrzeni w jego pogodną twarz, z której nawet na moment nie zniknął ciepły uśmiech. Kapłan mówił o Hiobie.

- Muszę wam powiedzieć, że mam prawdziwy kłopot z tą historią... - Kapłan dostrzegł Marka lokującego się pod ścianą przy samym wejściu i lekko skinął mu głową. Kilka osób odwróciło się, by spojrzeć na Domańskiego, ale zaraz na powrót przenieśli wzrok na ołtarz i ambonę. -No bo popatrzcie. - Ksiądz podniósł rękę. Z każdym kolejnym wymienionym elementem prostował jeden palec. -Bogobojny sługa Pana, prawy mąż, dobry ojciec, rozumny zarządca. Oto gość, którego powinno się stawiać za wzór w świątyniach jako tego, który jest ulubieńcem Boga. Spełnia karnie wszystkie polecenia, składa ofiary, dzieli się z ubogimi tym, co ma... A tu nagle Bóg układa się z diabłem, by mu dołożyć. Po co? Jaki może mieć w tym cel? Pomyślmy...

Opuścił rękę, przykładając ją do twarzy i skubiąc podbródek.

Dom na wzgórzu • 13

- Test? Bez sensu, przecież Pan nie tylko zna wszystkie możliwe warianty, ale i wie, który będzie właściwy, zanim ten, kto z niego skorzysta, zacznie się choćby nad nim zastanawiać. Więc może chęć dokopania diabłu? Ale jeśli nawet, to dlaczego używa do tego swojego ulubieńca?

Zrobił pauzę, po czym stał przez chwilę, wpatrując się we wlepione w niego oczy, wsłuchując w ciszę przerywaną od czasu do czasu jakimś dźwiękiem dochodzącym od strony czynnego, choć pustego salonu gier. Gdy uznał, że najwyraźniej dość już milczenia, wyjął z ukrytej półeczki mikrofon bezprzewodowy i zszedł po dwóch stopniach prowadzących od ołtarza.

- Wolę tego nie mówić z tamtego miejsca, bo to mój prywatny pogląd, a nie chciałbym wykorzystywać powagi kościoła - wyjaśnił swoje zachowanie. - Osobiście uważam jednak, że Hiob nigdy nie istniał. To ówczesna miejska legenda, jak ta o zakonnicach w czarnej Wołdze, którą pewnie nieraz słyszeliście w dzieciństwie. Taka plotka z przesłaniem, uwiarygodniana przez rzekomych świadków. Zakonnice były przestrogą przed złem czającym się za niewinnymi, dobrymi maskami. Mówiły: nie wsiadaj do samochodu z nieznanymi, choćby nie wiem jak miło wyglądali. A o czym mówi nam opowieść o Hiobie? O czym mówiła sobie współczesnym i dlaczego okazała się tak ważna i uniwersalna, że ostatecznie znalazła się w Piśmie?

Powiodł wzrokiem po zebranych, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi. Ta oczywiście nie padła, więc sam dokończył myśl.

- Nie ma doczesnej nagrody - ogłosił z tryumfem, jakby właśnie poinformował wszystkich, że dzięki jego modlitwom lekarze uporali się z chorobą i teraz wszyscy

132 • Jakub Ćwiek

J!

mogą już wracać do domu. - Żydzi wierzyli głęboko, że wypełnianie Boskich przykazań zapewni im ziemską szczęśliwość, tak jak grzeszenie natychmiast ściągnie z nieba piorun czy trąd. I oto historia Hioba zadaje kłam temu przeświadczeniu. Niezależnie od tego, co robicie mówi - nie czujcie się bezpieczni od nieszczęść i pokus, bo te zsyłane przez diabła, nie Boga, mogą się zdarzyć każdemu. Poza tym spójrzcie, gdyby nasza dobroć nagradzana była natychmiast szczęśliwym życiem doczesnym, czy bycie dobrym nie przestałoby być kwestią serca? Nie stało się zwykłą kalkulacją, co bardziej nam się opłaca? Doświadczani przez los, jak choćby my teraz -bo wiem, że mimo wielu uprzyjemniaczy, jak kino, basen czy stół do bilardu, dla większości z was to miejsce pozostaje więzieniem trzymającym was z dala od bliskich - powinni zatem przemyśleć, czy fakt, że Bóg wystawia ich na próbę, jest karą, czy raczej dowodem zaufania? Bo przecież wiemy doskonale, że nikt nie obiecywał łatwej drogi... tylko szczęśliwe zakończenie.

Po mszy Marek postanowił, że poczeka na księdza. Miał ochotę porozmawiać z nim na temat kazania, wyrażając zarazem podziw dla doboru tematu, jak i zarzucając swobodne operowanie wyrwanymi z kontekstu fragmentami księgi Hioba.

Kiedy tak stał oparty o ścianę przy wejściu, pomyślał, że ta księga musiała mieć na niego naprawdę wielki wpływ, skoro wciąż pamiętał obszerne jej fragmenty, a przecież ostatni raz czytał ją w ogólniaku. Być może zarówno Pismo, jak i liturgię skonstruowano tak, by programowały

Dom na wzgórzu • 13

człowieka już w dzieciństwie. Wszak w trakcie mszy również orientował się co chwila, że pamięta wszystkie odpowiedzi na zawołania księdza, każdą modlitwę i część pieśni.

Wśród wychodzących z kaplicy dostrzegł Krzysztofa rozmawiającego z dziewczyną z basenu. Informatyk właśnie powiedział coś, a ona odchyliła głowę i zaśmiała się głośno.

Chwilę później zauważył przysadzistą dziewczynę z ciężarówką próbującą wcisnąć się między napierający na wyjście tłum. Luźna piżama zamiast przyciasnego żakietu wyraźnie jej się przysłużyła. Teraz dziewczyna nie tylko wyglądała ładniej, ale i wzbudzała sympatię. Marek uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym.

W końcu kaplica opustoszała. Marek odbił się plecami od ściany i usiadł w ostatnim rzędzie wpatrzony w ołtarz. Dopiero teraz dostrzegł, że nad zakrystią pali się czerwona lampka z napisem „spowiedź”, ale wciąż miał zamiar czekać. Nigdzie mu się w końcu nie spieszyło.

- Ubywa nas.

Domański odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł Hermana. Doktor stał tuż nad nim, palcem wskazującym gładząc się po brodawce na nosie. Mimo iż bez wątplenia zwracał się do Marka, patrzył w stronę ołtarza, jakby kierował te słowa wprost do maleńkiej figurki Chrystusa.

- Co proszę? - nie rozumiał Marek.

- Z każdym dniem, z każdą nocą jest nas tu coraz mniej - rozwinął swą wypowiedź Herman, powoli przenosząc wzrok na Marka. - Ci, którzy dostają ataków, już tutaj nie wracają.

Jakub Ćwiek

-

- Skąd wiesz? - Marek nie zamierzał ukrywać, że te słowa, wypowiedziane pewnie i z przekonaniem, wzbudziły w nim niepokój.

- Liczę, obserwuję... Wczoraj w nocy na moich oczach zabrali kobietę. Kazali mi wracać do pokoju, ale zdążyłem dostrzec krew ciekącą z jej ust.

- Może przygryzła język podczas konwulsji - podsunął Marek.

Doktor popatrzył na niego z ukosa.

* - Do tego w dniu, gdy przybyliście - powiedział po chwili - było nas tutaj w sumie osiemdziesiąt siedem osób. Dziś rano doszło jeszcze trzynaście dziewczyn, w tym twoja współlokatorka. To daje w sumie setkę ludzi. Dokładnie tyle, ile jest miejsc w pokojach na naszym piętrze. Jak to zatem możliwe, że część z nich świeci pustkami? ,

- Naprawdę? - W jednej chwili temat z niepokojącego przerodził się w niezwykle dla Marka interesujący. -To świetnie.

- Świetnie? - Herman podskoczył. Brodawka, którą teraz, miał głaskać, skubał, zatrzęsała się na jego nosie jak wisienka na galarecie. - Nie rozumiesz, że wszystko wskazuje na to, że z tym opanowaniem wirusa to jakaś bzdura?!

Nad zakrystią zgasła lampka, ale zaraz potem zapaliła się ponownie. Marek nie miał zamiaru dłużej czekać.

- Spróbuję zbadać sprawę, dzięki za cynk - rzucił Hermanowi na odchodne i wyszedł z kaplicy.

Już pierwsza napotkana osoba w białym skafandrze uświadomiła mu, że nie będzie mógł w najbliższym czasie rozmawiać ani z Wójcikiem, ani też z żadnym innym lekarzem, gdyż wszyscy są obecnie zajęci w części szpitalnej.

Gdy Marek wyjaśnił, co go sprowadza, usłyszał tylko, że te sprawy nie leżą w kompetencjach lekarzy i że powinien się w tym celu skontaktować z centralą na właściwym kanale telewizyjnym. Rozmówca zdziwił się, a nawet po trosze zdenerwował, że Domański w ogóle nie zaczął od tego i teraz zawraca głowę. v

Ponieważ rozmowa przy użyciu pokojowego telewizora nie wchodziła teraz w grę - nie chciał, by Kinga była przy niej lub weszła w jej trakcie - Marek uznał, że spożytkuje czas wolny, przeglądając sieciowe newsy. Wjechał zatem na pierwsze piętro i skierował się po raz drugi tego dnia do salki komunikacyjnej.

Minąwszy przezroczyście drzwi, dostrzegł, że przy stanowisku telefonicznym tuż obok komputerów siedzi jego współlokatorka. Drzwi do jej budki były lekko uchylone, tak więc siadając przy komputerze tuż za kamienną kolumną, można było, pozostając niezauważonym, podsłuchiwać rozmowę. Marek stał chwilę w progu, walcząc ze sobą, ale w końcu pokusa okazała się silniejsza. Przeszedł, przez pomieszczenie, mijając łukiem stanowiska telefoniczne, i zajął miejsce przy komputerze. I niemal natychmiast zorientował się, że dziewczyna płacze.

- Nie martw się, maleńka - powiedziała Kinga do słuchawki, pociągając nosem. - Jak wrócę, to cię stamtąd zabiorę. Jeszcze tylko kilka dni, obiecuję.

Kolejne pociągnięcie nosem, urwane zdanie, odchrząknięcie i znowu.

136 • Jakub Ćwiek

- Nie martw się... no, już nie płacz, bo serce mi zaraz... już, daj panią Monikę. Kocham cię, maleństwo...

Marek westchnął głęboko, po czym wstał od komputera i przeniósł się na inne stanowisko. Miał za swoje. Słuchanie żalów matki stęsknionej za dzieckiem było teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Przed oczami znowu stanęła mu żona i dzieciaki, czekający z niepokojem »w domu mimo jego zapewnień, że jest w porządku.

Wklepał adres serwisu informacyjnego, ale zanim strona wczytała się do końca, zamknął przeglądarkę i wyszedł z sali.

W pokoju, korzystając z nieobecności Kingi, połączył się z centralą.

Przez chwilę widział na ekranie niebieską planszę z napisem „Proszę czekać”, a potem obraz zamigotał, wyostrzył się i pokazał gabinet, który Marek oglądał przy okazji pierwszego kontaktu. Za biurkiem siedziała ta sama kobieta, a stojący na blacie otwarty laptop rzucał na jej twarz błądki poblask.

Popatrzyła na Marka przez oko kamery i uśmiechnęła się smutno.

- Pan, panie Domański, również z uwagą odnośnie zakwaterowania?
- Również? - Marek uniósł brwi.
- Tak, również. - Zamknęła laptopa energicznie i odwróciła się w obrotowym krześle, sięgając po papierośnicę. - Wcześniej o to samo prosiła już pana współlokatorka, a także pan Staniszewski, z którym umówiła się, że będą razem dzielić pokój.

Dom na wzgórzu • 13

Marek przywołał w pamięci obraz biologa, zastanawiając się, dlaczego Kinga właśnie do niego chciała się przenieść. Poza obietnicą sowitej zapłaty na zewnątrz nie znajdował żadnego rozsądnego powodu.

- Odpowiedziałam im to samo, co teraz odpowiem panu - ciągnęła kobieta z ekranu. - Nie ma takiej możliwości. W obecnej chwili wszystkie pokoje są zajęte i...
- No właśnie nie wszystkie - Marek wszedł jej w zdanie. - Wiem o co najmniej kilku, które stoją teraz opustoszałe. Swoją drogą, bardzo jestem ciekaw, co stało się z tymi pacjentami, których zabraliście po atakach. Co się stało z... *

Spróbował w pamięci odnaleźć imię grubasa z ciężarówki, ale zorientował się, że nie zostali sobie przedstawieni.

- ...tym mężczyzną, co dostał ataku na basenie? - dokończył zły na siebie, że zawahanie osłabiło siłę jego wypowiedzi. - Jeżeli coś się dzieje, mamy chyba prawo wiedzieć, prawda?

Kobieta pokiwała głową z poważną miną, choć Markowi wydało się, że w jej oczach zatańczyły wesołe iskierki. Nie spodobało mu się to, bo znaczyłoby, że kobieta drwi sobie z niego.

- Ależ oczywiście, że ma pan prawo wiedzieć, co się dzieje, panie Domański. Wszyscy macie. - Sięgnęła ręką gdzieś na bok i wydobyła stamtąd czarny segregator. Po- , łożyła go przed sobą i oparła dłonie na okładce. - Jak już informowałam, udało nam się zatrzymać działanie wirusa na jednym z jego pierwotnych etapów. Więcej nawet, w większości przypadków potrafimy już powstrzymać dobrze panu znane objawy. Nie znaczy to jednak, że uporaliśmy się ze wszystkim. Każdy przypadek w jakiś

Jakub Ćwiek

sposób odporny na nasze leki analizujemy więc bardzo dokładnie, na wszelki wypadek izolując tych pacjentów od reszty. Staramy się to robić dyskretnie, ale jak widzę, nie dość.

Marek nieco zawstydzony podrapał się po potylicy. To, co powiedziała kobieta, brzmiało logiczniej niż ja- , kkolwiek teoria spiskowa zrodzona w głowie Hermana. Właściwie, gdy już usłyszał, o co chodzi, wydało mu się to jedynym logicznym wyjaśnieniem.

- Ta dyskrecja nie działa na waszą korzyść - powiedział po chwili. - Ludzie wietrzą spiski.

Kobieta z ekranu odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. Marek dostrzegł, że zęby ma poźółtkłe od papierosów.

- Jutro poprosimy księdza, by ogłaszał takie wieści po nabożeństwie - zdecydowała. - Dołączymy to też do informacji na indywidualnych harmonogramach codziennych zajęć. Wszystko, by tylko nie wzbudzać niepotrzebnych stresów.

Otworzyła segregator i zerknęła przelotnie na pierwszą stronę, po czym znowu skupiła wzrok na oku kamery.

- Niestety, w sprawie przeniesienia chwilowo niewiele mogę zrobić. Nie mamy możliwości udostępnienia pokojów jednoosobowych, a dobór współlokatorów był nieprzypadkowy i bardzo ułatwia nam pracę.

- Tyle że... - zaczął Marek, ale w tym momencie poruszyła się klamka drzwi wejściowych. Zerknął w tamtą stronę.

Kobieta z centrali dostrzegła ten gest.

- Do widzenia, panie Domański - powiedziała i rozłączyła się.

Dom na wzgórzu • 13

Kinga zamknęła za sobą drzwi i powoli weszła do pokoju. Oczy i nos wciąż miała zaczerwienione.

Na widok pilota w ręku Marka machnęła lekko ręką.

- Nic z tego - powiedziała, mijając Domańskiego i opadając na swoje łóżko. - Próbowałam się nawet zamienić, żeby dali ci tu kogoś innego, ale powiedzieli, że...

- Właśnie z nimi rozmawiałem. - Marek usiadł przy biurku i położył pilota na blacie. - Cjiciałaś to zrobić dla mnie?

Wzruszyła ramionami wpatrzona w sufit.

- Mnie tam nie zależy - odparła. - U rodziny w porządku?

- Tak. A u twojej? Słyszałem, że rozmawiałaś z cór-ką.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego z mieszaniną smutku i gniewu. Jej oczy zaszkliły się w jednej chwili. Zaraz jednak otarła łzy rękawem i ponownie wlepiła wzrok w sufit.

- To moja młodsza siostra - powiedziała. - Opiekuję się nią, a teraz na czas mojej nieobecności zabrali ją do domu dziecka. Strasznie to przeżywa.

- Coś o tym wiem, sam mam trójkę, z czego najstarszy ma dziewięć lat, a...
- Są z twoją żoną, prawda? Nie siedzą w pierdolonym zakładzie dla sierot?
- No nie - przyznał.
- Więc jednak nie wiesz. - Pociągnęła nosem, a potem przejechała rękami po twarzy, biorąc jednocześnie głęboki oddech. Podniosła się do pozycji siedzącej. - Idę się umyć. Mogę?

Uśmiechnął się lekko.

- Jakub Ćwiek

- To tak samo twój pokój, prawda? - powiedział. - Myślę, że jakoś się przemęczymy przez ten tydzień, który nam jeszcze tu został, nie?

Po raz kolejny pociągnęła nosem i odpowiedziała nieśmiałym, smutnym uśmiechem.

- Rozczuliły cię babskie łzy? - zapytała. - Zawsze mnie tak łapie po telefonie do małej. Jeśli przyzwyczaisz się do tego, a także do możliwych plotek, to rzeczy-
, wiście jakoś damy radę.

Po raz drugi tego dnia uścisnęli sobie ręce, tym razem oboje szczerze i bez wahania.

Wbrew nadziejom i oczekiwaniom Marka dwa tygodnie później wciąż tkwili w ośrodku, choć teraz naprawdę wszystko wskazywało na to, że dzień, kiedy będą mogli opuścić Dom na wzgórzu, był naprawdę bliski. Z oddziału szpitalnego wracali wcześniej odizolowani, ataki prawie się już nie zdarzały, a jeśli nawet, ogłoszenia o tym, kto został zabrany, podawane były publicznie.

Większość pacjentów miała już zrobione wszystkie badania - wliczając w to takie, na które na zewnątrz czeka się miesiącami i za które płaci się majątek - i teraz chodzili już wyłącznie na naświetlania.

Marek, mimo iż tęsknił za rodziną (tak bardzo, że w drugim tygodniu wystarał się dyskretnie o wydłużenie mu na jego prywatny koszt codziennych rozmów telefonicznych), zmuszony był także przyznać przed samym sobą, że całkiem nieźle udało mu się wypocząć. Relaksowały go naświetlania, basen i siłownia utrzymywały w formie, kino i biblioteka pomagały uzupełnić kulturalne braki.

Dom na wzgórzu ■ 141

Pod czujnym okiem Krzysztofa nauczył się grać w cymbergaja, wraz z Kociubą, Hermanem, Staniszewskim i Starewiczem spotykał się na karty, a późnymi wieczorami aż do zaśnięcia rozmawiał z Kingą, licytując się na najzabawniejsze epizody z życia Gosi i Moniki. Okazało się, że dziewczynki prócz wieku łączy także zamiłowanie do disnejowskich bajek, tańca i śpiewu. Domański nie omieszkał się także pochwalić swym pierworodnym, który był na tyle rozwiniętym dziewięciolatkiem, że przeskoczył trzecią klasę i teraz, mimo że najmłodszy, wciąż trzymał się w ścisłej czołówce czwartej. » t . Od pewnego momentu Marek nie opuszczał też żadnej mszy, uważnie wsłuchując się w kazania i podziwiając talent

kaznodziejski ksiądz Remka. Nie zawsze się z nim zgadzał, bywało, że dyskutował potem z kapłanem na temat postawionych w homilii tez czy kwestionował zasadność podkreślanej po wielokroć wyjątkowości zebranych w kaplicy, ale nieodmiennie słuchał go z uwagą i zaciekawieniem. A pewnego dnia, pchnięty nagłym impulsem, prosto z naświetleń poszedł do kaplicy, by się wypowiedzieć.

Jak skwitował to podczas jednej z rozmów z Kingą, pobyt w Domu na wzgórzu był dla niego przerwą techniczną w życiowym meczu. Gdy przypomniał sobie tę * wypowiedź kilka miesięcy później, stwierdził gorzko, że był wtedy bliżej prawdy, niż mógł przypuszczać.

Kociuba podzielił się z nimi swoją rewelacją dopiero na basenie. Wcześniej, ledwie tylko wrócił z naświetleń, chodził nerwowo po korytarzu, właściwie nawet nie tknął

Jakub Ćwiek

śniadania i co rusz popędzał to Hermana czy Staniszewskiego, to znów Marka i Kingę, by łaskawie ruszyli tyłki. Na pytanie, skąd ten pośpiech, odpowiadał gniewnym spojrzeniem bądź przewracaniem oczu.

- Dowiesz się za chwilę - mówił i ruszał dalej w swych przydziałowych kłapkach i kąpielówkach, z ręcznikiem na ramieniu na kolejną rundkę wzdłuż korytarza. Wyraz podekscytowania na jego twarzy, mina tak bardzo

, niepasująca do zaróżowionego oblicza, że aż groteskowa, sprawiała, że wszyscy spieszyli się jak mogli, by wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi.

- Oni usypiają nas gazem - powiedział w końcu konspiracyjnym szeptem, gdy cała grupa, czyli Kinga, Marek, Staniszewski, Herman i Starewicz byli już w wodzie zebrani w jednym z narożników. - Zanim poddadzą nam tym, jak oni to mówią, naświetlaniom, raczą nas chmurą gazu, który sprawia, że z miejsca zasypiamy.

- Akurat ciebie nie powinno to dziwić - stwierdził wyraźnie zawiedziony Staniszewski. Widać było, że biolog spodziewał się po nowinie Kociuby nie wiadomo jakiej rewelacji. To, co usłyszał, nie brzmiało dlań nawet niepokojąco. - Może chcą uniknąć wierzenia się pacjentów? Albo oszczędzają im świadomego przeżywania godziny czy dwóch w tym quasi-solarium. Ja tam jestem im za to wdzięczny.

Kociuba posłał mu zniecierpliwione spojrzenie, jednocześnie machając nogami i rękami, by utrzymać się na powierzchni wody. Właściwie nie wiadomo było, czemu to robi, spokojnie mógł bowiem stanąć na dnie. Odczekał, aż minie ich młody, drobny rudzielec - Marek przypomniał sobie, że chłopak regularnie służył do mszy - po czym podjął przerwana przez biologa wypowiedź:

Dom na wzgórzu

- Nie chodzi tylko o to, że usypiają, choć już to wyjątkowo mi się nie podoba. Raczej o to, co robią później.

- A co robią? - zapytała Kinga. - I skąd pan to wie? Pana nie usypiali?

- Usypiali, a jakże - odparł Kociuba nie bez dumy. -Ale ja już jakiś czas temu zacząłem coś podejrzewać, więc dziś rano po prostu wstrzymałem oddech zaraz po tym, jak nałożyli mi ten cały hełm, i trzymałem do oporu. Wystarczyło.

Energiczniej zamachał rękami i tym razem rozejrzał się, niepewnie patrząc na przezroczyście tunele wyższych pięter.

To o to chodzi, pomyślał Marek, on zagłusza ewentualne mikrofony. Nie ma co, dobrali się z tym Hermanem.

- No i co takiego dzieje się po tym, jak już nas uśpią? -zapytał na głos z wyraźną nutką drwiny. Nie zależało mu na tym, by wykpić dentystę, ale zwyczajnie nie mógł się powstrzymać.

- Wbijają nam pod powieki obrazy. - Kociuba zdawał się odporny na ironię. Mówiąc, wciąż machał rękami i nogami. - Większość z nich wygląda jak bardzo szybko puszczony film, czy też raczej komiks, bo odniosłem wrażenie, że to raczej pojedyncze obrazki o różnej tematyce. Trudno powiedzieć, bo wszystko leciało bardzo szybko. Za to głos był miły i spokojny.

- Głos? - powtórzył Starewicz z powagą. - To i głosy słyszałeś?

Wszyscy z wyjątkiem dentysty parsknęli śmiechem. Kociuba skrzywił się tylko.

- Tak, słyszałem. Co zabawniejsze, większość z nich to były teksty modlitw i informacje odnośnie porządku

Jakub Ćwiek

i treści nabożeństw. Jakbym dostawał instruktaż do podświadomości, jak mam się zachować w kościele.

Ostatnie zdanie wzbudziło zainteresowanie Marka. Zmarszczył brwi.

- Chwila, jak to instruktaż? Porządek mszy, modlitwy, teksty kapłana?

- Coś w tym stylu. - Dentysta wzruszył ramionami. -Nie znam się na tym. Z wyjątkiem chrztu nie byłem nigdy w kościele i nawet tu udaje mi się przewycięzać pokusę słuchania wywodów Remigiusza. Choć nie ukrywam, że z dnia na dzień, widząc, jak wszyscy karnie maszerujecie do kaplicy, jest mi coraz trudniej.

- A teraz ładują ci mszę do podświadomości. Super. -Starewicz pozostał sceptyczny. - Coś jeszcze? Bo robi mi się zimno w tej wodzie.

- Ja mam coś jeszcze - stwierdził Herman. - Pamiętajcie, jak mówiłem o tym, że ludzie znikają?

- Tak - skojarzył Staniszewski. - A potem na powrót zaczęli się pojawiać. I co?

Kinga zapytała Marka dyskretnie, czy streści jej to później. Skinął głową, nie odrywając wzroku od doktora. Dziewczyna przeprosiła wszystkich, po czym złapała za murek i podciągnęła się, wychodząc z wody. Kociuba powiódł za nią wzrokiem.

- Rozmawiałem wczoraj z tą blondynką, którą zabrali jako jedną z pierwszych. Wcześniej, niż przyjechaliście -to ostatnie zdanie skierował do Marka, mając najwidoczniej na myśli ludzi z drugiego ogniska. - Mówiła, że prawie nic nie pamięta, ale kojarzy jej się mocne światło i ludzie w chirurgicznych maseczkach. Bez skafandrów. Mówi też, że po powrocie zauważyła na ciele sporo cieniutkich i prostych blizn. Pokazała mi dwie takie

Dom na wzgórzu

na plecach, długości dwóch, może trzech centymetrów, ale mówiła też, że są i dłuższe. Zwłaszcza w okolicy podbrzusza.

Mówiąc to, podrapał się wzdłuż linii kąpielówek, zza których po prawej stronie wystawała zniekształcona teraz przez wodę, szpetna i wyraźnie siniejąca blizna po wyrostku. Marek odruchowo zerknął w dół, by spojrzeć, czy ta jego prezentuje się obecnie równie paskudnie.

Jak porównywanie długości penisów, pomyślał z rozbawieniem i ponownie skupił wzrok na doktorze.

- A jesteś pewien, że to rzeczywiście były nowe blizny? - zapytał. - A może to po prostu zadrapania, których wcześniej nie zauważyła, a ty, chcąc jej uwierzyć, zasugerowałeś się tym, co ci powiedziała. No i ci chirurdzy raczej mieliby na sobie skafandry, a nie zwykłe maseczki, prawda?

- Nie wiem. Nie znam się. Ale jak chcesz, to możemy ją o to zapytać. - Herman wskazał ręką w stronę siłowni, gdzie na jednym z przyrządów siedziała dziewczyna, o której rozmawiali. - Właściwie innych też, jeśli masz ochotę.

- Możemy - zgodził się Marek.

W tej samej chwili rozległ się sygnał, że powinni udać się na badania i zabiegi naświetlające.

Nic mi nie szkodzi spróbować, pomyślał, kładąc się w okularach ochronnych na stole do naświetlań. To, o czym mówił Kociuba, brzmiało dość dziwacznie, ale gdyby okazało się prawdą, wyjaśniałoby, jakim cudem Marek, choć nie był w kościele od naprawę dawna, pamiętał bez

Jakub Ćwiek

trudu odpowiedzi na wezwania kapłana, modlitwy stałe i pieśni. Domański zdążył już co prawda przejść nad tym do porządku dziennego, ale wypowiedź Kociuby rzucała na sprawę nowe światło. Teraz z łatwością mógł zweryfikować słowa dentysty. Wystarczyło, że wstrzyma oddech.

Na chwilę, zanim zamknęła się nad nim kapsuła, powoli, dyskretnie wciągnął powietrze i przytrzymał je w płucach.

Przez chwilę nic się nie działo. Słyszał głosy tech-' nicznych stłumione zarówno przez kapsułę, jak i skafandry, czuł, że swędzi go lewa ręka, a na czoło wystąpiła pojedyncza kropelka potu. A potem nagle rozległ się cichy syk, jakby ktoś domykał uszczelniane drzwi, tylko odrobinę dłuższy.

Marek zaczął liczyć w myślach.

Raz, dwa, trzy...

Nie miał pojęcia, jak długo tamci wtłaczają gaz - jeśli to rzeczywiście był gaz - i po jakim czasie ten się ulatnia. Uznał, że czterdzieści sekund będzie optymalne. Na tyle zresztą spokojnie powinno mu jeszcze wystarczyć powietrza.

...trzyście, czterście, pięćście...

Przez głowę przebiegały tysiące myśli. Dlaczego, skoro i tak chcą nas usypiać, nie zrobią tego po prostu. Nie powiedzą, że zabieg tego wymaga i już?

...dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem...

Oczywiście, jakby się zastanowić, znał odpowiedź. Ludzie boją się narkozy. Tego, że padają nagle nieprzytomni i można zrobić z nimi wszystko.

...trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści...

Dla pewności odczekał jeszcze trochę, po czym odetchnął cicho. A w chwilę później, dokładnie tak jak mówił

Dom na wzgórzu 14

Kociuba, przed jego oczami pojawiły się obrazy. Marek przygotowany, że będą one pędzić jak szalone, już od pierwszej chwili skupiony był na zapamiętywaniu. Mimo to udało mu się wychwycić tylko niektóre z nich, te, które pojawiały się na ułamek sekundy dłużej. Były to najczęściej miło kojarzące się widoki: zachód słońca nad morzem, śmiejące się dziecko, para całująca się namiętnie przy zabytkowej fontannie. Co kilka chwil pojawiała się biała plansza z czarnymi literami. „Bóg cię kocha”, mówił jeden napis. „W nim znajdziesz pocieszenie”, głosił kolejny. t

Jednocześnie do jego uszu zaczął powoli wsączać się głos, niski, głęboki, mówiący spokojnie, ale stanowczo. Recytował powoli kwestie kapłana, po czym przerywał słowem „wierni” i recytował dalej tym samym głosem. Obrazy, mimo iż migające jak szalone, zdawały się dopasowywać do słów, niczym mknąca w eter gitarowa solówka wciąż trzymająca się miarowych uderzeń w kocioł perkusji. Teraz nie pokazywały już pięknych widoków czy rozczulających obrazków jak z kiczowatych telenowel.

Przed oczami Marka migają teraz słowa wkomponowane w wielobarwne świetlane rozbliski - troszkę podobne do wizualizacji w Winampie, którego wgrał kiedyś do służbowego laptopa - a do nosa wdarł się zapach , kadzidła, odległy, ale wciąż wyrazisty.

Naraz wszystko ustało i zapanowała ciemność i bez-wonna cisza, z której powoli wyłonił się Chrystus. Jedną rękę wznosił w geście pozdrowienia, drugą zaś przykładał do serca, z którego - zupełnie jak na kreskówce o Troskliwych Misiach, którą tak bardzo lubiła Gosia -tryskały smugi światła: czerwona i błękitna. Z głośników zaś dobiegł głos:

Jakub Ćwiek

- To jest mój syn umiłowany, jego słuchajcie. A potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

Gdy wciąż oszołomiony tym, co zobaczył, szedł do części mieszkalnej, okazało się, że jako pierwszy ze znajomych skończył zabiegi. Uznał, że wykorzysta tę chwilę na telefon do domu, bo potem może nie mieć okazji, gdy już wda się w dyskusje. Poza tym koniecznie musiał z kimś porozmawiać.

W salce komunikacyjnej było kilka osób, ale większość z nich siedziała, klnąc przy komputerach. Okazało się, że od przeszło godziny nie było sieci. Do tego telewizor umieszczony nad komputerami śnieżył tak, że z trudem dało się rozpoznać sylwetkę prezentera Wiadomości. Marek zaniepokoił się, że może być kłopot także z telefonami, ale na szczęście sygnał był czysty i bez trzasków.

Mimo to długo sobie nie porozmawiał. Katarzynę, podobnie jak dzieciaki, rozłożyła solidna grypa i teraz mieli w domu mały szpital. Jedyne Gosia jakoś się trzymała i to właściwie na jej głowie znajdował się teraz cały dom.

Z głosu żony Marek wnioskował, że jest wykończona, i poczuł wyrzuty sumienia, że jest tu, zamiast jej pomóc. Obiecał, że postara się przyspieszyć swoje wyjście, i zapewnił, że bardzo ich kocha. Katarzyna chciała odpowiedzieć tym samym, ale dostała potwornego ataku kaszlu. Tak jakby wypluwała z siebie wnętrzości. Po dłuższej chwili opanowała się na tyle, by przeprosić go za przerwanie rozmowy, i rozłączyła się.

Próbował wykorzystać pozostały czas telefoniczny, by zadzwonić do firmy, ale tam nikt nie odpowiadał.

Dom na wzgórzu • 1

Wychodząc, natknął się na dziewczynę, o której mówił Herman. Do tej pory nie zostali sobie przedstawieni, ale Marka nie krępowało to w żaden sposób.

- Cześć. Herman mówił, że masz jakieś blizny - powiedział. - Mogę zobaczyć?

Dziewczyna zamrugła zaskoczona.

- Czy my się znamy? - zapytała.

- Marek jestem - uśmiechnął się sztucznie. - Proszę, czy mogę zobaczyć? To naprawdę ważne.

Właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo. Jeśli bowiem okaże się, że Herman nie zmyślał, to dzieje się tutaj coś naprawdę dziwnego.» ,

No dalej, dziewczyno, pomyślał. Nie krępował cię podstarzały doktorek z brodawką...

Wydawało się, że usłyszała tę myśl, bo lekko przechyliła głowę, po czym wzruszyła ramionami.

- Chodźmy gdzieś na bok - zaproponowała.

Cienkie pionowe nacięcia. Jedno tuż nad łopatką, drugie na przedramieniu, trzecie powyżej krzyża. Marek przyglądał im się z uwagą, choć niewiele mu mówiły. Nie był w stanie ocenić, co mogły oznaczać. Żeby wyciągnąć coś ze środka, były stanowczo za małe. Więc może coś jej * wszczepiono...

- To wszystko? - zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, ale ostatniego ci nie pokażę - stwierdziła.

- Taka jak pozostałe? - Marek wiedział, że jeśli tak, wcale nie musi go oglądać.

- Dłuższa, ale równie cienka - odparła. - O, tutaj.

• Jakub Ćwiek

Dotknęła ręką podbrzusza trochę po prawej stronie.

- Tutaj? - Marek zmarszczył brwi i niemal natychmiast podciągnął koszulę, prezentując swoją bliznę.-Więc to rzeczywiście wyrostek!

Różowej, postrzępionej linii odcinającej się wyraźnie od opalonego ciała pewno nie można było nazwać wąską blizną, ale dziewczyna i tak skinęła głową, uroczo ' się przy tym rumieniąc. Jej blizna znajdowała się w tym samym położeniu.

- To niedorzeczne - powiedział Krzysztof, patrząc z niedowierzaniem to na Marka, to znów na Hermana. -Dlaczego mieliby wyciąć jej wyrostek?

Siedzący obok niego ksiądz Remek podrapał się po nosie. Obaj z informatykiem zostali wtajemniczeni kilka minut wcześniej i wyglądali, jakby sprawy poważnie ich zaskoczyły.

- Może właśnie miała atak - powiedział ksiądz po chwili. - I zwyczajnie zainterweniowali jak przy ataku wirusa, a potem uratowali jej życie, dokonując właściwego rozpoznania.

- No, w sumie... - Marek nie wydawał się przekonany. Siedział jak na szpilkach, nerwowo popijając kawę, i co chwila zerkał to na piętro, gdzie poszedł Kociuba celem zbadania tajemniczych blizn, to znów w stronę części mieszkalnej, z której już dawno powinna nadejść Kinga. To, że wciąż jeszcze nie wróciła z badań - zwłaszcza w kontekście dzisiejszych rewelacji - martwiło go mocniej niż bardzo.

Dom na wzgórzu

- Mnie za to bardziej zastanawia to, co mówiłeś o obrazach podczas naświetleń - podjął kapłan, korzystając z ogólnej chwili milczenia. - Myślisz, że co to mogło być?
- A bo ja wiem...
- Wiadomości podprogowe? - zasugerował informatyk. - Czytałem kiedyś taką książkę. W ten sposób można było zaprogramować człowieka, żeby zrobić, co tylko zechcesz...
- I dzięki temu wszyscy zaczęli chodzić do kościoła -dodał milcząco do tej pory Herman. - Co z kolei dało im wszystkim przeświadczenie, że wszystko jest w porządku. By bez obaw dali sobie wycinać nerki.
- Póki co wyrostki. - Marek, widząc, jakie spojrzenie doktor posłał kapłanowi, wołał zawczasu zażegnać potencjalny konflikt. - A dokładniej, wyrostek. Jeden.
- Nie, co najmniej pięć - poprawił go Kociuba, który wbrew oczekiwaniom nie nadszedł od windy, a od strony barku. Stał teraz za plecami Marka. - Właściwie wszyscy, do których udało mi się dotrzeć, a których nie było tu tak długo, mają za sobą operację wyrostka. Części usunięto też znamiona, zwłaszcza takie, które mogły uchodzić za czerniaki.

Usiadł i bez pytania łyknął kawy z kubka Hermana. »

- Na dodatek, z tego, co udało mi się zauważyć, część miała świeżo zaleczone zęby - dodał. - Choć zapytani nie pamiętali wizyty u dentysty.

Marek pokręcił głową. To wszystko było jakieś nienormalne. Usuwanie wyrostków, leczenie zębów i zwalczanie chorób skóry? Mieli za mało wykonanych zabiegów i bali się o dotacje od państwa czy jak?

Jakub Ćwiek

- Myślę, że trzeba zrobić jakiś krok. Dowiedzieć się, co się dzieje - stwierdził w końcu. - Może czas zadzwonić na zewnątrz i dowiedzieć się czegoś więcej na temat Domu na wzgórzu.
- W Internecie, kiedy jeszcze był, nie znalazłem ni słówka - stwierdził Krzysiek. - A dziś od rana nie ma sieci, więc nie wiem, czy telefony...
- Działają - Marek wszedł mu w zdanie. - Dzwoniłem ' dzisiaj do żony i wszystko było OK. Próbowałem później

dzwonić do firmy, ale nikt nie odbierał.

- Ja spróbuję - zaferował się ksiądz. - Myślę, że w kurii będą wiedzieć, z kim się skontaktować.

Wstał i powiódł wzrokiem po zebranych. Uśmiechnął się.

- Wyglądacie jak ruch oporu - powiedział. - Spokojnie. Wszystko zaraz się wyjaśni.

Coś było w jego głosie, że chciał mu się uwierzyć. Kiedy jednak kierował się w stronę windy, wszyscy nie wiedzieć czemu patrzyli za nim w milczeniu, jakby szedł na skazanie.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. Krzysztof dostrzegł swoją znajomą z basenu i na chwilę odszedł od ich stolika, Herman wraz z Kociubą zerkali w stronę tarasu na pierwszym piętrze, czekając na pojawienie się księdza, a Marek wciąż rozglądał się za Kingą. Zdawkowo rzucane zdania niknęły w ogólnym gwarze, rozpuszczając się wśród pomruku rozmów dochodzących od innych stolików.

Dom na wzgórzu 13

W końcu Herman nie wytrzymał. Wstał, odtrącając do tyłu krzesło, i szybkim, pewnym krokiem ruszył w stronę windy.

- Dokąd? - zawołał za nim Kociuba.

- Nie będę tak czekał - odparł doktor, nie odwracając się. - Idę powiedzieć żonie, by wynajęła cholernego adwoka...

Przerwał mu ogłuszający ryk syren i niemal w tym samym momencie rozbłysnęły czerwone koguty umieszczone nad drzwiami, u podstaw barierki na piętrach i w suficie. A potem otworzyły się drzwi bloku mieszkalnego i do centrum wpadła zalana krwią kobieta.

Marek poderwał się z miejsca, ale zaraz zorientował się, że to nie może być Kinga. Przypomniał sobie, że widział tę dziewczynę kilka razy na basenie i niemal codziennie w kaplicy, a raz nawet na salce komunikacyjnej, jak rozmawiała z kimś przez komunikator. Długowłosa blondynka z błękitną żyłką wyróżniającą się na tle bladego policzka niczym blizna bądź pozostałość po nietypowym makijażu. Cichutka jak myszka, z głową wtuloną w ramiona i cieniem uśmiechu ukrytym w kącikach wąskich ust.

Tak wyglądała jeszcze wczoraj...

Teraz schylona wpół próbowała iść, ale nogi uginały się pod nią, więc co kilka kroków musiała podierać się ręką i podnosić z klęczek. Z każdym upadkiem przycho- , dziło jej to z coraz większym trudem.

Włosy, rozpuszczone, mokre i pozlepiane w strąki, częściowo przysłaniały jej twarz wykrzywioną teraz bólem i przerażeniem, pokrytą biało-czerwonymi płatami łuszczącej się skóry.

Mówiła coś, szeptała i chrypiała, choć usta otwierała szeroko jak do krzyku. Najwidoczniej gardło zdążyło

1 • Jakub Ćwiek

odmówić jej posłuszeństwa. Po kilku krokach zatrzymała się, zabalgotowała, jakby nagle głos uwiązał jej w gardle, po czym chlusnęła strugą krwawych wymiocin wprost pod nogi reszty pacjentów. Runęła bezwładnie w tę kałużę własnych wydzielin, rozchlapując ją na wszystkich zebranych, i znieruchomiła na chwilę równą dwóm krótkim oddechom. A potem zaczęły się drgawki.

» Do przeciągłego wycia syren alarmowych dołączył głos z głośników.

- Uwaga! Alarm czerwony - mówił. - Wszyscy natychmiast udajcie się do swoich pokoi i oczekujcie na przybycie lekarza.

Marek uniósł głowę i zobaczył, że na galeriach pierwszego i drugiego piętra stoją żołnierze uzbrojeni w te same dziwne kije, które zobaczył, gdy pierwszy raz zetknął się z ludźmi w skafandrach.

Kilku wojskowych prowadziło pacjentów z salki komunikacyjnej w stronę wind. Domański nie mógł wśród nich wypatrzeć księdza.

- Wszyscy niech udadzą się do swoich pokoi - nakazywał głos. - Pozostaniecie tam do ustabilizowania się sytuacji. Zainfekowane rzeczy należy zdjąć, umieścić w worku na śmieci i wystawić przed drzwi.

Żołnierze pojawili się także na parterze, wychodząc w większości z salonu gier, ale także z części mieszkalnej. Stamtąd też wypadła czteroosobowa drużyna w białych skafandrach i z noszami, przyklękła przy dziewczynie rzucającej się na podłozie.

Marek dostrzegł, że ludzie, omijając szerokim łukiem leżącą, kierują się w pośpiechu do części mieszkalnej, sam więc ruszył w tamtym kierunku. Nie był jednak w stanie oderwać wzroku od twarzy dziewczyny. Kawałki

Dom na wzgórzu •

jej skóry łuszczyły się i odpadały przy każdej próbie odgarnięcia włosów. Spod strzępów wyłaniały się pomarań-czowoczerwone włókna mięśni policzkowych.

Jak to możliwe, że zmiany zaszły tak szybko, zdążył pomyśleć, zanim żołnierz wypchnął go na korytarz.

Zgodnie z poleceniem rozebrał się i wrzucił ciuchy do worka, a ten wystawił za drzwi. Wychylając się na korytarz, zobaczył dwa patrole złożone z trzech wojskowych i dwóch ludzi w białych skafandrach wchodzących po kolei do każdego z pokoi. Zamknął drzwi i usiadł na łóżku, czekając na nich i kolejny raz zastanawiając się, co z Kingą. A jeśli i ona wyglądała teraz jak tamta dziewczyna? Co, jeśli i ona załapała kolejne stadium?

Po kilku minutach otworzyły się drzwi i weszli lekarze. Podali mu surowicę w zastrzyku, zostawili świeżą piżamę i kazali się położyć, a potem wręczyli samego w pokoju.

Zrobił, jak mu kazali. W chwilę później już spał.

Gdy się obudził, Kinga siedziała na swoim łóżku z ko- t łanami podciągniętymi pod brodę i wpatrywała się w punkt na ścianie. Wyglądała jak przestraszone zwierzątko.

- Gdzie byłaś? - zapytał, odrzucając na bok koc. Przez dłuższą chwilę milczała i wyglądało na to, że już nie odpowie, gdy w końcu wyszeptała cicho:

- Nie pozwolili mi z nią porozmawiać.

Jakub Ćwiek

- O kim ty mówisz?

Powoli przeniosła wzrok na niego.

- Już nas stąd nie wypuszczą - powiedziała pozornie obojętnym głosem. - Nie teraz, gdy okazało się, że gówno zatrzymali, nie wirusa. Nie wypuszczą nas.

Marek pomyślał o tym wszystkim, czego dowiedzieli się dzisiaj od rana. Coś z nimi tutaj robiono, jakoś przygotowywano. I na pewno nie po to, by ich zwyczajnie wypuścić. A teraz jeszcze ten atak blondynki. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wydarzył się właściwie w idealnym momencie, by ich powstrzymać. Rozdzielić, zanim wspólnie odkryją, co tak naprawdę się tu dzieje.

- Wycinali ci coś? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie, miałam tylko naświetlanie i badania ginekologiczne. A potem miałam iść zadzwonić, ale ten alarm...

Rozpłakała się. Wtuliła głowę w kolana i szlochała cicho niezdolna dokończyć zdania. Marek podszedł do jej łóżka i usiadł obok, obejmując ją ramieniem. I tak siedzieli aż do komunikatu. i

t

Kwadrans po piątej cyfry na zegarze zamieniły się w zdanie: „Włącz kanał informacyjny”. Marek poderwał się z miejsca, podniósł pilota i wycelował go w ekran. Przez czas, gdy siedział na łóżku, przez te kilka godzin niemal całkowitego bezruchu, pytania w jego głowie uformowały się we właściwy ciąg, a podejrzenia złożyły w spójną teorię. Teraz, liczył, będzie miał okazję je zadać.

Okazało się jednak, że mimo iż na ekranie pojawiło się znajome biuro i twarz kobiety z centrali, pytania

Dom na wzgórzu 1

<r

zmuszony był zostawić dla siebie. Tym razem bowiem w pokojach nie włączono mikrofonów.

Kobieta siedziała wyprostowana, z rękami ułożonymi równo na biurku jedna na drugiej i patrzyła prosto w kamerę niczym prezydent wygłaszający orędzie. Poniekąd to właśnie robiła.

- Szanowni pacjenci! - zaczęła, po czym zrobiła krótką pauzę. Marek był niemal pewien, że zaraz sięgnie po wodę, ale nie zrobiła tego. - Zdajemy sobie sprawę, że wydarzenie w holu centrum kulturalnego wyprowadziło was z równowagi, a podjęte przez nas natychmiastowe środki ostrożności jeszcze bardziej utwierdziły was w poczuciu lęku i niepewności. Pragniemy poinformować, iż jesteśmy pewni, że

przypadek pani Rostockiej nie przydarzy się ponownie. Pacjentka, której atak część z was miała okazję obserwować, wykazała się wyjątkową odpornością na zastosowane przez nas środki, odpornością, dodajmy, którą nie odznacza się żadne z was. Wiedzieliśmy o tym i dlatego trzymaliśmy ją w izolacji, a wypadek, jaki miał miejsce, spowodowany był nieostrożnością personelu technicznego transportującego chorą na inny oddział. Przepraszamy za to, a także za niedogodności wynikające z procedur obowiązujących w Domu na wzgórzu. Zgodnie z nimi najbliższe kilka dni, licząc od dzisiaj, spędzicie w swoich pokojach. Posiłki będą wam dostarczane jak co dzień przez personel, podobnie jak * leki, pranie i środki czystości. Na życzenie dostarczymy także dowolną publikację bądź film z biblioteki. Kompletny spis zbiorów dostępny będzie w ramach telega-zety na tym kanale. Z braku możliwości technicznych czasowo zawieszono działanie salki komunikacyjnej. Wasze rodziny zostaną o tym poinformowane w taki

akub Ćwiek

sposób, by wiadomość nie wzbudziła ich niepokoju. Jeszcze raz przepraszam...

Marek wyłączył telewizor i cisnął pilota na łóżko.

- Kurwa - powiedział, a potem powtórzył jeszcze kilka razy coraz głośniej.

Kinga podniosła głowę i przyglądała mu się z przestraszeniem.

* - Nie wypuszczają nas, prawda? - zapytała cicho. - Umrzemy tutaj.

Marek przycisnął dłonie do twarzy i rozmasował ją okrężnymi ruchami. Teraz już był pewien, że jest coś nie tak. Odkryli, że Kociuba i Herman są na dobrej drodze, by przejrzeć ich sekret, tajemnicę Domu na wzgórzu, i zareagowali, zanim wieść rozniosła się wśród pacjentów. Zabrali gdzieś księdza, który próbował zasięgnąć informacji, a potem wpuścili tę kobietę, by zasiać panikę. Nie wierzył w wyjaśnienia o nieuwadze personelu. Słaniająca się, oszalała z bólu kobieta nie byłaby w stanie ukraść klucza do windy i jeszcze na dodatek uciekać przed żołnierzami przez całą część mieszkalną aż do centrum. To było zwyczajnie niemożliwe.

Ciekawe, czy ąprawdę była chora, czy też ucharak-teryzowali ją na taką...

- Marek, co myślisz? Nie dadzą nam odejść, prawda?

Odwrócił się i siląc się na obojętność, wzruszył ramionami.

- Jeśli nie, sami stąd wyjdziemy.

Godziny mijały im na rozmowach, snuciu się i oglądaniu coraz to nowych zamówionych filmów. Zdarzały się

Dom na wzgórzu • 1

chwile, że w przypiływie bezsilnej wściekłości Marek podrywał się nagle i podbiegał do drzwi, tłukąc w nie rękami i krzycząc, że nie mają prawa tak ich trzymać, ale jedyną reakcją, jaką udawało mu się wywołać,

był płacz i zawroty głowy Kingi, że już stąd nie wyjdą. Potem uspokajali się nawzajem, siedząc wtuleni jak para dzieciaków bojących się zasnąć w namiocie.

Jedli wszystko z dostarczanych im posiłków, natomiast leki regularnie wrzucali do zbiornika na wodę w toalecie. Kinga miała z początku opory, ale Marek przekonał ją opowieścią o wizjach i bliznach, a potem swoją teorią odnośnie krwawiącej kobiety. Po trzech dniach na powierzchni wody w zbiorniku pływało już kilkanaście różnokolorowych pastylek. Żele i syropy »niknęły bez śladu starannie spłukane w muszli.

- Na samym początku, gdy jeszcze byłam sama, zamknęli mnie w takiej przeszklonej celi, zupełnie jak ta doktora Lectera - powiedziała pewnego razu Kinga. Był to jej wkład w nocną rozmowę, po tym jak przez ostatni kwadrans Marek opowiadał o trudnościach, jakie przeszli, przenosząc syna o klasę wyżej. - Dali mi wtedy taki formularz do wypełnienia i było w nim mnóstwo osobistych pytań.

- Czy utrzymywałaś kiedyś stosunki seksualne z innymi kobietami? - podsunął Marek, przypominając sobie formularz z pierwszego czy drugiego dnia pobytu.

- Nie, nie taki. Tam były raczej pytania o to, co lubię czy lubiłam, co mnie podnieca i takie tam. Było tam też

akub Ćwiek

w ,

sporo pytań o mój wymarzony dzień, wymarzony świat czy wymarzonego faceta.

Marek uśmiechnął się. Leżał na łóżku z rękami założonymi pod głowę i przyzwyczajał oczy do ciemności. Widział już na tyle dobrze, że gdy odwrócił głowę, mógł dostrzec Kingę. Kolejny raz przyjęła tę samą pozę ' co w dniu, gdy ich zamknęli, siedzącą, skuloną, z kolanami pod brodą.

- Wpisałaś Brada Pitta? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Wpisałam ciebie - odparła, a widząc jego reakcję, pełne zdumienia spojrzenie, zaśmiała się cicho. - No, nie dosłownie, przecież cię nie znałam. Ale kogoś takiego jak ty. Przystojnego, inteligentnego, zabawnego. I takiego, który kocha dzieci... jak ja.

Opuściła nogi i wstała.

- Chyba nie powinnam ci była tego mówić, nie? Wybacz, nie chciałam stawiać cię w głupiej sytuacji.

Nie czekając na jego odpowiedź, przeszła do łazienki. ' *

Marek został sam na sam ze swoimi myślami.

W podjęciu ostatecznej decyzji pomogła mu telegazeta, gdzie, tak jak w prawdziwej telegazecie, w prawym górnym rogu umieszczona była data. Dziewiąty kwietnia, data urodzin jego córki. Widząc rządęk cyfr odcinający się żółcią na czarnym tle, nagle zrozumiał dwie rzeczy. To, że ominie go święto, którego nie odpuścił jeszcze ani razu przez te wszystkie lata, niezależnie od okoliczności,

Dom na wzgórzu 11

a także to, że tkwił w Domu na wzgórzu już prawie miesiąc.

Leżąc na łóżku w niemal całkowitej ciemności i nie mogąc zasnąć od natłoku myśli, w tym właśnie momencie, widząc datę w rogu ekranu, podjął decyzję.

Kwadrans później obudził Kingę, by poinformować ją o swoim planie. Nie był on jakoś szczególnie złożony i właściwie jedyne, co wyglądało w nim w miarę solidnie, to koncepcja opuszczenia ich pokoju, bo potem wszystko składało się z „jeśli” i „gdyby”, aleń tak dziewczyna ochoczo zgodziła się na wzięcie w nim udziału.

Wszystko zgodnie z założeniem miało rozpocząć się o świcie.

Jak zwykle weszło ich dwóch. Jeden trzymał przed sobą tacę ze śniadaniem, a drugi, uzbrojony w rurowy karabin, stanął tuż za drzwiami do łazienki, przy samej krawędzi ściany, na której wisiał telewizor. Tak samo jak co dzień przy każdym posiłku.

Na tacy oprócz talerzy ze śniadaniem i kubeczków z lekami znajdowały się także cztery pudełka z filmami DVD, które zamówili dzień wcześniej: dwie wczesne t komedie Adama Sandlera, a oprócz tego ukochany film Marka „Bez przebaczenia” i jeszcze coś, czego tytułu nie pamiętał, a w czym na pewno grał Tom Cruise.

Taca musiała sporo ważyć, bo żołnierzowi lekko trzęsły się ręce i jak najszybciej chciał ją postawić na biurku. Przeszkadzało mu w tym nieco za bardzo wysunięte krzesło. Pchnął je nogą... i w tym samym momencie z łóżka poderwała się Kinga i z całej siły podbiła mu tacę

Jakub Ćwiek

tak, że ta uderzyła żołnierza prosto w maskę i na moment pozbawiła równowagi.

Niemal w tym samym momencie Marek zerwał się i rzucił w stronę zaskoczonego drugiego żołnierza. Bez trudu wyrwał mu broń i powalił ciosem w brzuch. Następnie doskoczył do pierwszego i złapał go za ramiona, jednocześnie kopiąc w zgięcie nogi pod kolanami.

Gdy obaj żołnierze zostali sprowadzeni do parteru, i pozbawieni przytomności, zdjął im kaptury, na wszelki wypadek zakneblował paskami materiału wyrwanego z poszewek i sprawnie rozebrał. Prawie nagi związał i wspólnie z Kingą powrzucał na łóżka, starannie przykrywając. Następnie oboje ubrali się w skafandry i wyszli na korytarz.

I tu właściwie kończył się plan. Marek nie był pewien, czy powinien uwalniać pozostałych, czy też uciekać samemu, a teraz dodatkowo opadły go wątpliwości. Co, jeśli naprawdę jest chory? Co, jeśli uciekając, narazi bliskich na niebezpieczeństwo?

Najwyżej nie zdejmę skafandra, pomyślał, ruszając w stronę części rehabilitacyjnej. Miał zamiar wpaść do tunelu dla personelu i biec nim tak długo, aż dotrze do jakiegoś wyjścia.

Pchnął drzwi prowadzące do skrzydła z basenem i... stanął jak wryty.

Zniknęła gdzieś siłownia. Nie było też basenu. A raczej był, ale teraz został przykryty ogromną płytą, na której stało kilka drabin i jeden całkiem spory podnośnik. Tuż nad basenem na stalowych linach zamocowano ogromny ekran, doskonale widoczny z miejsca, gdzie Marek właśnie się znajdował. Przed nim stało kilka osób, bez skafandrów, ubranych normalnie, luźno, czasem

Dom na wzgórzu 1

po sportowemu, wszyscy wpatrywali się w ekran, z którego przemawiała kobieta z centrali. Wszystko to wyglądało na próbę jakiejś uroczystości. Wrażenie to potęgowały girlandy kwiatów i wstążki zdobiące wsporniki. Nieco za ekranem ustawiono ogromny stół z białym obrusem i kilkunastoma wiklinowymi koszykami na chleb.

Marek postąpił krok do przodu, by zrobić miejsce stojącej za nim Kindze.

Dziewczyna stanęła obok i przez chwilę wpatrywała się w to wszystko oszołomiona. t

- Co oni robią? - zapytała szeptem stłumionym jeszcze przez maskę, tak że ledwie słyszalnym.
- Nie wiem - odparł Marek. - Może szykują się do pożegnania nas?

Gdy to wypowiedział, zorientował się, że brzmi to całkiem prawdopodobnie, i nawet zawstydził, że nie wytrzymał cierpliwie jeszcze jednego dnia. Już miał zaproponować Kindze, by podeszli i przyznali się, co zrobili, gdy nagle wśród zebranych na płycie pojawiła się znajoma postać. Ksiądz Remek.

Kapłan, nawet teraz ubrany w szarą koszulę z koloratką, stanął przed samym ekranem i zawołał głośno:

- Czy ktoś może puścić nagranie? Chcę się upewnić, t że wszystko jest w porządku. Jutro nie może być żadnej wpadki.

Chwilę to trwało, ale w końcu na ekranie pojawiła się kobieta z centrali w towarzystwie księdza. Za ich plecami stało kilka rzędów ludzi.

- Wybrani... - zaczęła kobieta.

Jakub Ćwiek

- Nie wierzę - powtarzał raz za razem Marek wpatrzony w ekran, w uśmiechniętą twarz kobiety - nie wierzę, nie wierzę-niewierzę...

Ale oczywiście wierzył. W każde ze słów, bo dzięki nim wszystko to, co wydarzyło się w Domu na wzgórzu, wreszcie nabrało sensu. Bo wreszcie dojrzał, że wszystkie niezwykłości łączą się ze sobą w jedną chorą całość.

, W popierdolony obrazek, na którym on był jedną z postaci.

Tuż obok niego rozległ się chrapliwy, nieregularny ciąg dźwięków; bez patrzenia wiedział, że to Kinga płacze. Miał jej to za złe. To, że ona może, choć tak naprawdę to on powinien, on stracił więcej, miał większe prawo do łez bólu i rozpacz. Zamiast tego miał swoją modlitwę, swoją mantrę powtarzaną raz za razem:

- Niewierzę niewierzę niewierzę niewierzę...

Ktoś wreszcie ich zauważył i zawołał, machając przyjaźnie. Z tej odległości nie mógł zauważyć, kto kryje się w skafandrach, nie mógł też usłyszeć łkania Kingi. Zawołał coś, ale nie dość głośno, pewnie drwił z nich, że ciągle chodzą w skafandrach, choć jest tak gorąco...

Marek odetchnął głęboko. W jego głowie pojawił się obraz Katarzynyri dzieci. Obraz Maćka, tak dumnego, gdy żegnał się z kolegami z drugiej klasy, a potem witał z nowymi już z czwartej. Był najmłodszy, ale wciąż w czołówce najlepszych uczniów w klasie...

Powoli, jakby powietrze wokół niego nagle zgęstniało, Marek uniósł rękę z trzymany w niej rurowym karabinem. Przyłożył do ramienia i pociągnął za spust. A potem jeszcze raz... i jeszcze...

Widział, jak mężczyzna, wyraźnie zaskoczony, pada bezwładnie na ziemię. Szloch Kingi urwał się w jednej

Dom na wzgórzu

chwili i czuł na sobie jej spojrzenie, pełne lęku, rozpacz, ale i aprobaty dla decyzji, jaką podjął.

Marek wiedział, że nie da rady wszystkim. Że lada chwila pojawią się żołnierze i zaczną działać, zamiast biernie mu się przyglądać, ale mimo to wciąż strzelał; miał czym i miał też czas, by to robić. Mimo iż ludzie padali jak muchy, nikt ani myślał mu przeszkadzać. Wreszcie zrezygnowany odrzucił broń i padł na kolana, łkając. Wtedy go dorwali.

Ostatnie, co słyszał, to stłumiony głos Kingi, a potem poczuł ukłucie w szyję - musieli przebić się przez gumę kaptura, bo wciąż czuł go na sobie - i zapadł w ciemność.

Gdy ocknął się następnego dnia w swoim pokoju, drzwi były już otwarte na oścież, podobnie jak te z pokoju naprzeciwko i pewnie wszystkie pozostałe. Kinga, jak tyle razy wcześniej, siedziała na łóżku z kolanami pod brodą. Oczy miała czerwone od łez, ale poza tym była blada, jakby ktoś wysał z niej życie. Właściwie w pewnym sensie tak było.

W części rekreacyjnej rozpoczęło się już przedstawienie. Słyszeli głos kobiety z ekranu, ustawiony dziś dużo głośniej, choć mówiący te same słowa. Słyszeli je wyraźnie nawet tu.

- Wybrani. Oto dziś zakończyliście swoją wędrówkę. Niczym lud Izraela, który po latach błądzenia po pustyni znalazł się wreszcie u bram ziemi obiecanej. Już za chwilę wkroczycie w nowy, lepszy świat. Oczyszczony przez Pana z wszelkiej nieprawości, jak niegdyś po potopie...

Jakub Ćwiek

- Myślisz, że to wszystko prawda? - zapytała Kinga po chwili. - Że naprawdę zabili wszystkich ludzi? Że zostawili tylko tysiąc domów takich jak ten? Na cały świat?

Nie odpowiedział. Słuchał.

- Prowadziliśmy was wszystkich aż do tego momentu. Dbaliśmy o was, wasze ciała i dusze, uleczyliśmy z chorób i wskazaliśmy drogę do Pana. Tu kończy się nasza misja. W chwili gdy słyszycie te słowa, my, lekarze, żołnierze, cały personel Domu na wzgórzu, czekamy już na Sąd Ostateczny. Czekamy, wierząc, że spotkamy się wkrótce i wybaczycie nam to, za co teraz nas przeklinacie.

- Marek, odpowiedz mi! - w głosie Kingi słychać było nutkę hysterii. - Nie mogli, prawda? Nie da się zabić kilku miliardów ludzi w kilka dni!

Ale Marek wcale nie był tego taki pewien. Widział przed oczami twarz dziewczyny, której ucieczka wywołała alarm. Pozbawiona skóry twarz, krew w wymiocinach, konwulsje... Jak długo to trwało? Jak długo od momentu, gdy wyglądała jeszcze normalnie...

Dlaczego nas ocalili, pomyślał nagle, dlaczego właśnie my? W myślach rozpoczął rachunek sumienia, szukając jednak nie win, a dobrych uczynków, dowodów na to, że zasłużył na życie, że on właśnie miał prawo ocaleć, podczas gdy jego żona... gdy Katarzyna...

Przez głowę przemknął mu fragment kazania o Hiobie, a potem kolejne o świętych mężach doświadczanych przez Pana. Żadnemu z nich nikt nie obiecywał łatwej drogi, każdy ponosił ofiarę, która przybliżała go do Boga...

- Oprócz was zostawiliśmy przy życiu także dzieci. Stanęliśmy przed ogromnym dylematem, które z nich da się

Dom na wzgórzu 1

i można ocalić, aż wreszcie Pan w łaskawości swojej wskazał nam drogę.

- Szczepili je w szkołach - Kinga odezwała się po raz kolejny. Tak bardzo chciała teraz usłyszeć czyjś głos, że potrzebę tę odczuwała wręcz jako fizyczny ból. - Zaszczepili wszystkie dzieci do dziesiątego roku życia. Wystarczająco duże, by przeżyć, i wciąż zbyt młode, by narazić się na zepsucie. Tak powiedzieli, prawda? Dobrze ją zrozumiałam?!

Marek wciąż milczał. Kobieta z ekranu właśnie o tym mówiła, wystarczyło posłuchać, ale Domański nie zamierzał zwracać Kindze uwagi. v

- Monika mówiła mi o jakimś szczepieniu... że strasznie bolało. Mam nadzieję, że to było to. Bo jeśli nie...

- Jeśli nie, to co? - odezwał się wreszcie, unosząc głowę. W sali głównej ucichł głos kobiety i nagle zapanowała cisza. Grobowa cisza.

- Nie wiem - przyznała Kinga. - Nie mam pojęcia.

Nagle Marek wstał i ruszył ku wyjściu.

- Gdzie idziesz? - zapytała.

- Po córkę - odparł. - A potem jak najdalej stąd.

- Pomożesz mi znaleźć siostrę?

Skinął głową.

Dom rzeczywiście postawiono na wzgórzu, rozległym, porośniętym równo przyciętą trawą. Prowadziła do niego tylko jedna droga. Wiodła przez ogromny ogród i dalej asfaltową drogą do oddalonego o kilka kilometrów miasteczka.

168 ■ Jakub Ćwiek

*

*

Nad drzwiami domu umieszczono motto z Pisma, to samo, którym kobieta z centrali zakończyła swoje przemówienie:

„Wy jesteście solą ziemi, wy jesteście światłem świata”.

Nad drzwiami domu umieszczono motto z Pisma, to samo, którym kobieta z centrali zakończyła swoje przemówienie:

„Wy jesteście solą ziemi, wy jesteście światłem świata”.

Rafał Dębski

Rocznik 69, autor kilkudziesięciu opowiadań i dziewięciu powieści, w tym czterech wpisujących się w nurt literatury fantastycznej.

Z wykształcenia i wykonywanego zawody psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Poza pisanie iepi jego wielką pasją jest historia, którą traktuje jednak nie

jako suchą naukę o wydarzeniach, ale woli dostrzegać w jej krzywym zwierciadle ludzi - ich postawy, emocje, motywacje. W życiu chciałby osiągnąć wiele. Bardzo wiele. Ale przede wszystkim żyć tak, aby nie żałować... No, ogólnie nie żałować niczego. Jest również - o zgrozo - genetycznym leniem. Może właśnie dlatego bardzo dużo pracuje - żeby mieć jak najszybciej z głowy to, co tak czy inaczej musi wykonać. I - jak to często się dzieje w przypadku ludzi naprawdę leniwych - robota bardzo go kocha i zawsze potrafi odnaleźć. Czy raczej należałoby powiedzieć - dopaść.

O aus! Raus, polnische Schweine! i\ Krzyk niósł się po obejściu, odbijał od ścian, wracał głuchym echem do uszu wołających, wciskał się we wszystkie szpary domostwa - przerażający, bezlitosny wrzask, przywodzący na myśl zarazem lodowaty ziąb piekielnej otchłani i straszliwy żar okrutnej pożogi. Mroźny świt przywitał świat skłębionymi chmurami, nabrzmiałymi ciężkim śniegiem. Bure kłęby dymu z kominów ścieliły się nisko, zapowiadając, że niebawem spadnie kolejny gruby dywan, białego puchu. Wieś spała, jedynie co pilniejsze gospodynie wróciły już od krów i krzątały się, rozpalając piece, przygotowując poranny posiłek. W taką spokojną przedranną ciszę wtargnął niespodziewanie warkot motorów, a wraz z nim wrzaski żandarmów i żołnierzy. Drzwi zadrżały pod uderzeniami niecierplivej pięści tępego kaprała. Czekał na odpowiedź nie więcej niż trzy sekundy. Godni pogardy podludzie w środku nie otwierali stanowczo zbyt długo. Dumni panowie świata nie znosili opieszłości ze strony niewolników. Podoficer skinął na żołnierzy. Dwóch podskoczyło, kolbami

Ketew Merirl • 175

załomotało w deski. Skobel ustąpił pod brutalnym naporem. Wtargnęli do izby, niosąc na płaszcach zimne powietrze oraz niepokojący zapach, jaki wydają lekko sfilcowane mundury. Pawełek zwinął się na łóżeczku przerażony. Z kącika ust pociekła mu strużka śliny, wsiąkła w poduszkę. Zakwilił, zaniósł się szlochem. Matka skinęła na Zosię. Dziewczynka natychmiast przypadła do braciszka, zaczęła gładzić go po rzadkich włosach.

Za kapralem wszedł mężczyzna w długim skórzanym płaszczu i myśliwskim kapeluszu. Rozejrzał się z pogardą po skromnym wnętrzu. J

- Zbierać się - zakrakał, gardłowo akcentując „r”. - Nijakich zbędnych kłopotów nie brać, tyle co w rękę wystarczy. Macie dziesięć minutów, żeby się ubrać i czekać tam. -Wskazał drzwi. - Cała wieś ma się zebrać draußen, neben Kapelle... na dworze, obok kapliczka. Wy zrozumieli?

Ojciec patrzył na przybyłego z nienawiścią i strachem jednocześnie. Zosia nieraz słyszała, jak mówił o panu Genscherze, że szybko zapomniał czasy, kiedy nazywał się bardziej swojsko i zwyczajnie - Gąsior. Podobno leśni wydali na niego wyrok, ale gestapowiec dobrze się pilnował. Na co dzień siedział w Biłgoraju, w samym środku miasteczka, a jeśli gdzieś jechał, to tylko z dobrą obstawą. Rodziną wieś odwiedzał jedynie od czasu do czasu, zawsze w towarzystwie wrzaskliwych podkomendnych. Przyjeżdżał do matki, która za żadne skarby nie chciała opuścić domu, porzucić mogiły męża. Genscher przywoził podarunki - cukierki, wędliny, czekoladę i inne dobra. Stara Gąsiorowa rozdawała je później biedniejszym rodzinom i głodnym dzieciakom. Dzięki temu Zosia niedawno pierwszy raz w życiu napiła się prawdziwej, aromatycznej herbaty.

Rafał Dębski

- Wy zrozumieli? - powtórzył Genscher. - Gruppenführer und Generalleutnant der Polizei, pan Odilo Glo-bocnik, ma zrobić z wami porządek, Polaczki, buntow-niki! A twój brat, ty głupi Kosior - spojrzął ojcu prosto w oczy - wpadnie nam jeszcze w ręce. Zatańczą z nim w samym Lublinie.

W ojcu przerażenie walczyło z szaleństwem. Z Gąsiorem miał na pieńku jeszcze od przedwojny. Poszło o matkę, do której obaj swego czasu zachodzili. Wybrała Ko-' siora, choć wiedziała, że przy synu bogatego gospodarza wiodłaby o wiele wygodniejsze życie. Teraz mężczyźni patrzyli sobie w oczy bez mrugnięcia powieką. Wreszcie ojciec nie wytrzymał, splunął folksdojczowi pod nogi. Żołnierze natychmiast rzucili się na niego. Pięści zadudniły o twarde chłopskie żebra. Kosior padł na podłogę. Zanim głowa dotknęła zimnych desek, czub wojskowego buta wdarł mu się w usta.

- Halt! - wrzasnął Genscher. - Weg, Herbert! Weg!!! Dieser Schweinehund soll gesund bleiben... Weile * - dodał po chwili ze złośliwym uśmiechem. Pochylił się nad krwawiącym mężczyzną. - Ty będziesz jeszcze żałować, gnój jeden, co nie kazałem cię zabić! A teraz won na dwór!

Pawełek znów zakwilił, zwracając uwagę folksdoj-cza, który natychmiast podszedł do łóżeczka i spojrzął z obrzydzeniem.

- Jeszczeście się nie pozbyli tego darmozjad? Bogato u was, skoro utrzymujecie niepotrzebnego nikomu głupka.

- On nie jest głupi - pisnęła Zosia z dziecięcym oburzeniem. - On tylko...

Dieser Schweinehund... - Ten drań powinien pozostać zdrowy... Jakiś czas

Ketew Merlri

- Ciebie nikt nie pytał, ty mała dziwka! - Klasnął policzek. Dziewczynka zasłoniła twarz przed następnym ciosem. - Ty ubieraj jęgo raz-dwa i wychodzić. Niema-czasu-niemaczasu!

Gestapowiec powiedział to prędko, jak coś, co powtarza się tysiąc razy, zupełnie odruchowo, nie myśląc o znaczeniu słów. Zaśmiał się głośno, jak to zapewne zwykł czynić, przebywając na partyjnych rautach w zdrowym teutońskim towarzystwie. Obrzucił jeszcze pogardliwym spojrzeniem gospodarza, po czym wyszedł.

Żołnierze popędzali rodzinę przy zbieraniu rzeczy, a potem z wraskiem i prześmiejami wygnali wszystkich na dwór. Pod kaplicą zgromadziła się już cała wieś. Genscher stał w odkrytym wojskowym samochodzie obok wysokiego oficera z monoklem w oku. Obaj z zadowoleniem przyglądali się pracy żandarmerii i wojska, folksdojcz aż przymykał oczy z rozkoszy, słuchając przerażonych krzyków i płaczu dzieci.

Zosia ciągnęła za rączkę opierającego się Pawełka. Ojciec szedł z przodu z workiem, do którego zdążył wrzucić co cenniejsze i mogące się przydać przedmioty, matka pilnowała ich z tyłu. Obok przebiegła młoda Halinka, żona zmarłego niedawno na tyfus kowala. W objęciach trzymała niemowlę. Próbowała

przedostać się przez ' uzbrojony kordon, dotrzeć w pobliże oficera, chciała pokazać mu dziecko, prosić o łaskę. Obersturmbannführer tylko zmarszczył brwi. Wtedy roześmiany żołdak wydarł matce kwilące zawiniątko, spojrzął na przełożonego. Tamten skinął przyzwalająco głową. Obok Genscher oblizał wargi, szybko, łakomie. Na oczach znieruchomiącej z przerażenia kobiety szeregowiec wytrząsnął niemowlę z miękkiej kołderki. Dziecko upadło mu pod nogi. Za-

- Rafat Dębski

chęcany krzykiem kompanów, podniósł podkuty but, aby z całej siły opuścić go na bezwładną główkę. Halinka krzyknęła wielkim głosem i zwała się ciężko na ziemię dokładnie w tym samym momencie, kiedy stopa oprawcy opadła. W tłumie zapanowała cisza. Przerażeni ludzie patrzyli na plamę krwi i nieruchome ciało. Na progu chałupy Gąsiorów pojawiła się matka folksdojczka. Patrzyła to na znieruchomiałe ciało, to na syna. Wreszcie odwróciła się, zniknęła na chwilę wewnątrz domu, a potem wyszła odziana w wełniany płaszcz i okutana barwną chustą. Genscher zeskoczył z samochodu, podbiegł do kobiety, zaczął coś szybko mówić, tłumaczyć, przekonywać.

- Pójdę tam, gdzie wszyscy! - doleciał jej podniesiony głos.

Genscher nalegał, potem zaczął groźnie wymachiwać rękami.

- A niech was wszystkich zaraza! I ciebie też, Józek! Nie mam syna! Przeklinam cię! Nie uciszaj mnie! Możesz się teraz nazywać Josef, Wilhelm albo jak tam zechcesz, ale dla wszystkich tutaj zostaniesz przeklętym przez matkę Józkiem!

Genscher znieruchomiał, odwrócił się na pięcie i odszedł do oficera. Zosia patrzyła ze strachem. Folksdojcz miał wzrok pusty i obojętny. Stara Gąsiorowa dołączyła do tłumy. Ktoś pochylił się nad Halinką. Była nieprzytomna. Dwóch mężczyzn podniosło ją, zarzuciło sobie na barki. Od tej chwili nikt już nie krzychał, nie protestował, nawet małe dzieci zdawały się rozumieć, że nie ma sensu płakać, bo w najeźdźcach nie wzbudzi to litości. Tylko Pawełek opierał się i oddychał spazmatycznie, przechodząc obok zwłok niemowlęcia. Zosia ciągnęła go z całych

Ketew Meri

sił, ale nie mogła dać rady. Pomogła dopiero stanowcza dłoń matki.

- Co z nami zrobią? - spytała dziewczynka, patrząc wielkimi oczami w zatroskaną twarz rodzicielki.

- Nie wiem. - Kobieta wzruszyła ramionami. Czowała, że powinna jakoś pocieszyć przerażone dziecko, ale nie mogła znaleźć słów. - Będzie, co Bóg da, córciu. Będzie, co Bóg da...

Zosia spojrzała w pochmurne niebo. Czy Stwórca widzi zza tych szarych kłębow, co dzieje się na Jego ziemi? Pewnie nie, bo przecież nie pozwoliliby, żeby ten żołnierz rozdeptał dziecko Halinki... Za plecami wysiedleńców silnik horcha zawył na wysokich obrotach, kierowca ruszył z fasonem. Genscher, pogrążony w rozmowie z oficerem, nie zwracał na ludzi najmniejszej uwagi. Nawet kiedy przejeżdżał obok matki, nie oderwał usłużnego wzroku od wyniosłego oblicza niemieckiego oficera.

Chudy chłopiec o zapadniętych policzkach i wielkich ciemnych oczach stanął na skraju opustoszałej wsi. Daleko z przodu, z leśnej alei, dobiegały wrzaski żołnierzy i żandarmów, dał się słyszeć płacz dzieci, porykiwa- * nie była, prowadzonego bądź to na rzeź, bądź w celu przekazania napływającym z Rzeszy osadnikom. Chłopiec ruszył w stronę głosów. Wlókł się noga za nogą, niczym człowiek, który przemierzył zbyt wiele dróg, żeby mieć jeszcze siłę odrywać stopy od ziemi, jak ktoś, dla kogo koniec wędrówki jest czymś niezmiernie odległym, a może nawet nierealnym. Pootwierane drzwi chałup ziały zimną pustką, choć przecież ludzie opuścili je do-

Rafa Dębski

1

słownie przed chwilą. Porzucone domy potrafią zdziczeć bardzo szybko, w jednej chwili stają się nieprzyjazne, odpychające. Chłopiec widział już wiele wyludnionych osad. Niektóre były podobne do tej, inne ginęły w trzasku płomieni. Ogień był jednak mniej przerażający od takiej ciszy i pustki.

Uwagę chłopca zwrócił rozpaczliwy skowyt. Przy budzie w najbliższym gospodarstwie stał wielki, kosmaty kundel. Z podkurczonej przedniej łapy sączyła się » strużka krwi. Widocznie wierny stróż próbował ugryźć przechodzącego obok intruza w cuchnącym nienawiścią mundurze. Przypłacił to nie życiem, ale kalectwem. Chłopiec skierował się ku zwierzęciu. Pies na jego widok zapiszczał żałośnie, szarpnął się ku przybyszowi tak mocno, że łańcuch zadźwiewał niby rząd dzwonek przy saniach. Zwierzak przewrócił się na bok, z gardzieli dobyło się pełne bólu wycie. Na ten zew rozszczeła-ły się wszystkie pozostawione w wiosce psy. Chłopiec podszedł do rannego stworzenia, pochylił się, zajrzał w pełne bólu oczy. Wyciągnął szczupłą dłoń z długimi paznokciami o czarnych obwódkach - dłoń, w którą brud wżarł się tak głęboko, że stanowił jedność ze skórą. Położył końce palców na łbie psa. Ten natychmiast umilkł.

r

- Spij - powiedział mały człowiek nieoczekiwanie niskim, zachrypniętym głosem.

Pies przymknął oczy, westchnął głęboko i znieruchomiał. Chłopiec podniósł głowę, spojrzął w stronę drogi, na której znać było ślady setek stóp. Wstał, popatrzył w pochmurne niebo, a potem poszedł przed siebie. Przystanął tylko na chwilę w miejscu, gdzie pod kapliczką krwawe bryzgi zabarwiły niewinną biel śniegu.

Ketew Meriri • 181

Ordynat Zamoyski siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Ostatnie wieści pogrzyżyły w rozpacz wszystkich domowników.

- Kolejarze robią, co mogą - szeptał Staszek, przysłany ze stacji w Biłgoraju. - Dają dzieciom jedzenie i picie, gdy tylko nadarzy się okazja. Ale nie wszędzie żandarmy dają podejść. A już na pewno nie tam, gdzie»pilnują esesmani.

- Dokąd odszedł ostatni transport? - spytał ordynat.
- Ponoć do Zwierzyńca, do obozu. Ale to nic pewnego. Równie dobrze mogą ich dalej wysłać w stronę Majdanka, a może i na Śląsk, do Oświęcimia.

Ordynat spojrział zaczerwienionymi oczami na kobiety słuchające z przerażeniem opowieści przybysza.

- Zaprzęgać konie - rozkazał. - Jadę do kwatery tego rzeźnika. Niedawno pojawił się w mieście, pewnie swoim zwyczajem urządza bal dla partyjnych towarzyszy.
- Jezus Maria - przeżegnała się żona arystokraty. - Janie, co chcesz uczynić? Przecież już z nim rozmawiałeś. Niedawno. Uzyskałeś obietnice...
- Rozmawiałem, Rózo. - Hrabia zaśmiał się gorzko. - To nie była rozmowa, ale postuchanie u wszechmocnego władcy. Stałem pośrodku pokoju naprzeciwko trzech faszystowskich wieprzów w oficerskich mundurach. Rozpierali się w fotelach, z kieliszkami i cygarami w dłoniach, zadowoleni z siebie. A ja się zastanawiałem, czy któryś dla kaprysu nie zechce wysłać mnie zaraz do Oświęcimia. Obiecali, powiadasz? Tak, ale cóż to znaczy? Takich jak oni trzeba pilnować, przypominać im się na okrągło. Dzisiaj spróbuję raz jeszcze. Chcę się widzieć z tym rzeźnikiem sam na sam.

182 • Rafat Dębski

- Przecież Globocnik gotów cię aresztować, jeśli będziesz zbyt natrętny!
- Niech robi, co chce. Ale powinien przy tym pamiętać, że Zamoyscy to nie jakaś chłopska rodzina, którą można pozbawić wolności i życia, nie narażając się na żadne konsekwencje, nie wywołując protestów. Doskonale wie, że w razie czego ma się kto o nas upomnieć, nawet w samym Berlinie. Może niewiele mu w sumie

, zrobią, ale zawsze w partyjnych papierach pozostanie brudny ślad.

- Musi pan być jednak ostrożny, panie hrabio - powiedział Staszek. - Gruppenführer jest nieobliczalny. To ostatnie bydlę.
- Jak każdy z nich. Muszę spróbować coś zrobić, rozumiecie? Kolejarze wraz z kobietami starają się wyciągać dzieci z transportów, dostarczają jedzenie wysiedlonym... Nie mogę siedzieć beczynn timer czekać tylko na łaskę Übermenschow, drzeć, czy zechcą zrealizować obietnice. Kto wie, może zdarzy się jakiś cud? Módlcie się, kiedy mnie nie będzie. Módlcie się jednak nie za mnie, lecz za powodzenie mojej małej misji.

-Ale... ' t

Ordynat uciął protest stanowczym gestem.

- Niech każdy uczyni, co może i na co go stać. Ludzie ryzykują życiem, pomagając nieszczęsnym wygnańcom. W każdym zakątku, gdzie dotrą transporty, gdzie pociągi przystaną choć na chwilę, starają się przemycić do wagonów żywność i wodę. A ja mogę spróbować skorzystać z moich wpływów i

koligacji. Jakiś tam Globocnik, choćby był głównym policmajstrem nie tylko w granicach guberni, ale na całym świecie, jest tylko człowiekiem... Przynajmniej mam taką nadzieję - dodał ciszej.

Ketew Merir 1

Odilo Globocnik ledwie trzymał się na nogach.

- Wznoszę toast za naszego wielkiego wodza, wspaniałego Adolfa Hitlera!

Obecni wstali, umilkły pijackie śpiewy, oczy skierowały się ku lubelskiemu szefowi policji i SS.

- Wznoszę też toast za jego prawą rękę i najwierniejszego pomocnika, Heinricha Himmlera! Niech spełnią się ich sny o potędze, wspaniałe marzenia o wielkiej Tysiącletniej Rzeszy!

Przechylił kieliszek wypełniony krzepką rosyjską wódką.

- Sieg Heil! - wrzasnął, wyrzucając przed siebie prawą rękę.

- Sieg Heil! - odpowiedzieli obecni w ten sam sposób.

Josef Genscher po raz pierwszy przebywał w tak znakomitym towarzystwie. Na przyjęcie przybyli wszyscy dostojnicy z całego regionu, brakowało jedynie przedstawiciela gubernatora Franka. Rząd Generalnego Gubernatorstwa uważał, że akcja wysiedleń jest prowadzona ze zbyt wielkim rozmachem, że trzeba ją przeprowadzać konsekwentnie, jednak bardziej stopniowo. Genscher słyszał przed przyjęciem, jak Gruppenführer kłął do Obersturmbannführern Mischnera, że Hans Frank otrzymał raport o materialnych stratach, jakich przysparza i może jeszcze przysporzyć gwałtowna likwidacja polskich gospodarstw. Poza tym władze obawiały się odwetu sił zbrojnego podziemia, jeśli działania w ramach Wielkiego Planu będą przebiegały zbyt radykalnie.

- Nie ma takiej siły - ciągnął bełkotliwie Globocnik - która cofnie nas z drogi, jaką wskazali przewodnicy wiel-

Rafa Dębski

kiej sprawy narodowego socjalizmu! Nie ma takiego człowieka, który zdoła zapobiec nieuchronnemu, nawet ży-dokomunistyczny sługus, ta tłusta świnka Churchill, nie zahamuje ekspansji germańskiego żywiołu. Wypijmy za powodzenie Große Planung! Za kolonizację wschodnich rubieży Trzeciej Rzeszy! Jeśli ktoś stanie nam na drodze, zmieciemy go jednym ruchem!

Tym razem dłonie wzniosły się z mniejszym entuzjazmem. Wszyscy wiedzieli, do czego esesman pije. Nie-» wielu było takich, którzy chcieliby szukać zaczepki ze zwierzchnikiem Generalnej Guberni. Jednak Globocnik zbyt uważnie śledził poczynania gości, żeby ktoś odważył się nie wychylić kieliszka do samego dna. Genscher ze zdumieniem zauważył, że oczy na pozór pijanego w sztok policjanta są czujne i bystre. Właśnie takich ludzi należy się obawiać najbardziej - nigdy nie tracą czujności i rozeznania, zawsze są gotowi podjąć błyskawiczne decyzje, działać z całą bezwzględnością. Wielki Odilo niezmiernie imponował folksdojczowi, który czuł się wśród wysokich funkcjonariuszy niczym wiejski burek

wpuszczony znieca do wielkiego, eleganckiego salonu. Dlatego pił mniej od innych, a przy tym, zżerany tremą, nie czuł, żeby alkohol działał na niego tak jak zwykle. Spojrzenie Globocnika spoczęło na gestapowcu. Dostojnik uśmiechnął się promiennie. Genscher odpowiedział nieśmiałym skrzywieniem warg. Esesman wskazał go uprzejmym gestem dłoni, w której dźrzyzył kieliszek.

- Szczególne podziękowania należą się naszym miejscowym sprzymierzeńcom. Wychowali się we wrogim kraju, od dzieciństwa wpajano im nienawiść do naszego narodu, a mimo to nie zapomnieli, kim są, nie zabili w duszy idei Wielkich Niemiec! Potrafią wyrwać z serca

Ketew Meri 1

zbędne uczucia, bez wahania wyrzec się rzeczy wydających się najcenniejszymi.

Genscher już przedtem podejrzewał, że Jurgen Misch-ner opowiedział przełożonemu o incydencie z matką, ale teraz zyskał pewność.

- A ja - mruknął siedzący obok folksdojczy szef lubelskiego oddziału SD - wypiłbym raczej za cudowny zadek madame Elizy.

Gospodarz spojrział w kierunku mówiącego, zmarszczył groźnie brwi. Genscher struchlał. Niebezpiecznie przebywać w pobliżu takich, którzy bezmyślnie narażają się na gniew możnych tego świata. Czekali w napięciu na eksplozję złości. Ale wybuch nie nastąpił. Zamiast tego rozległ się śmiech Globocnika.

- Masz rację - zawołał. - Zaraz wrócimy do toastu za naszego nowego przyjaciela. Damom należy się pierwszeństwo. Nie obrazi się pan, drogi Josefie?

Gestapowiec przełknął ślinę, z wysiłkiem przywołał na usta uprzejmy grymas i pokręcił głową".

- Doskonale! Zatem pijmy za istotnie wspaniałą tyłek pięknej Elizy, jej nogi przypominające greckie kolumny i cycki, w których mogłaby się ukryć cała podwodna flota admirała Dónitza i pancernik Bismarck!

Odpowiedziało mu gromkie rżenie zadowolonych oficerów. Globocnik uniósł kieliszek, jednak tym razem nie wypił. Zapatrzył się w kąt, w którym stał kuty świecznik zrabowany z jakiegoś szlacheckiego dworku. Obecni czekali cierpliwie, aż gospodarz dopełni toastu.

- Co się dzieje, Odilo? - zawołał wreszcie ktoś z końca stołu. - Zobaczyłeś ducha?

Globocnik wzdrygnął się, spojrział po zaniepokojonych twarzach, a potem odchylił głowę do tyłu i głośno

Rafał Dębski

zarechotał. Wlał w gardło wódkę, podstawił kieliszek do napełnienia.

- Za długo siedzicie w tej pełnej zabobonów ziemi. -Otarł łzę z kącika oka. - Łatwo was przestraszyć. A teraz wypijmy zdrowie mojego drogiego gościa, który po raz pierwszy uczestniczy w naszym małym mityngu! Mój drogi Genscher - zwrócił się do gestapowca - w twoje ręce!

Folksdojcz poczuł, że płoną mu policzki. Był zakło-' potany i szczęśliwy jednocześnie. Uznanie ze strony samego Gruppenfuhrera mogło być zapowiedzią wielkiej kariery dla prostego gestapowca. W głowie tłukła się od tej chwili uparta myśl - nie wolno zmarnować podobnej okazji, nie można głupim słowem czy nierozważnym postępkami zaprzepaścić ogromnej szansy.

Do jadalni wszedł adiutant Globocnika, szepnął mu coś na ucho.

- Wybaczenie, panowie - rzekł esesman. - Obowiązki wzywają. Przykre obowiązki, nie ukrywam. Ale wrócę do was niebawem.

Wagon kołysał się miarowo. Ścisk panował straszliwy. Tylko część dzieci mogła siedzieć, reszta w tym czasie musiała się cisnąć na stojąco. Bardzo prędko przedsiębiorczy starszy chłopak ustalił dyżury. Nie mieli jak mierzyć czasu, więc dwoje liczyło po dziesięć razy do stu, a potem następowała zmiana tak siedzących, jak i liczących. Jedynie Pawełek nie musiał wstawać. Pófleżał, a pod głowę miał brudną płócienną torbę. Początkowo budziło to protesty.

Ketew Merirl • 17

- Że głupi - powiedziała jakaś pryszczata dziewczynka o krzywym spojrzeniu - to nie znaczy, że mu wszystko wolno.

- On nie jest głupi! - zaperzyła się z miejsca Zosia. - Jest po prostu inny.

- Ale stać może jak wszyscy.

- Ma ciągle skurcze i jest w dodatku bardzo słaby - odparła ciszej dziewczynka. - Dopiero niedawno wyzdrowiał. Mało nie umarł na zapalenie płuc. Jak trzeba, to ja nie będę siadać, ale żeby on nie musiał...

- Durna jesteś jak ten twój brat... *

Wtedy wkroczył Kuba, chłopak, który objął w wagonie przywództwo.

- Zamknij się - rzucił do złośliwej dziewczyny. - Nie widzisz, że jest chory? Może byś chciała też tak zachorować, żeby móc posiedzieć? A ty - zwrócił się do Zosi nieco mniej ostrym tonem - zajmij się nim lepiej. Ciągle się maże i beczy. Wytrzymać trudno.

- Mamusiu - pisnął w tej samej chwili Pawełek - tatkum...

Zosia natychmiast klękła przy nim, objęła mocno i przytuliła.

- Cichaj, maleńki - szepnęła wprost do ucha przerażonego dziecka. - Mamusia i tatuś już tam gdzieś na nas czekają.

Pawełek patrzył na nią naiwnymi błękitnymi oczami, w których zdawało się drzemać wieczne zdziwienie. Teraz to spojrzenie było mokre od łez. Zosia na wspomnienie, jak braciszek zawodził, kiedy brutalnie

rozdzielano rodziny, poczuła ukłucie w sercu. Żołnierze bez litości bili zrozpaczonych ludzi wyciągających ręce ku pociechom. Marianowi Gruszcze, który nie chciał

188 • Rafat Dębski

W >

• r

puścić z objęć ukochanego Kacperka, wściekły żandarm pogruchotał łokieć kolbą schmeissera. A ich ojciec... Stłumiła szloch. Pokrwawione twarze i ręce opierających się ludzi, rozpaczliwe zawrodoenie kobiet i przerażone krzyki małych dzieci... Niedawne przeżycia wracały bezustannie - niechciane, ale zarazem niesłychanie wyraźne.

Jechali już długi czas, na pewno wiele godzin. Było zimno, z każdą chwilą coraz zimniej. Szpony mrozu wy-¹ ciągały sine ręce ku młodemu życiu. Bydłące wagony, nie-uszczelnione, nie zostały nawet wyłożone słomą, nie mogły więc dać schronienia choćby odrobinie ciepła. Zosia zgięła i prostowała zgrabiące palce, starała się rozgrzać stopy, poruszając nimi w nieco zbyt luźnych trepkach. Teraz przyszła jej kolej, mogła wreszcie usiąść. Głowa Pawełka spoczęła na jej kolanach. Zajmowała się braciszkiem od lat, ale nigdy nie przypuszczała, że jego mizerne ciało może tak ciążyć. Upośledzony chłopczyk spoglądał coraz bardziej obojętnie na otoczenie, przestał już kwilić, tylko od czasu do czasu wzdychał głęboko. Zosia przymknęła oczy. Poczuła nagle straszne zmęczenie. Nawet nie wiedziała, kiedy zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zbudzona nagłym hamowaniem pociągu, pierwszy raz zobaczyła tego chłopca. Nie pamiętała, żeby widziała go przedtem, podczas marszu czy na stacji kolejowej, ale miała w tej chwili zbyt oziębiały umysł, żeby się nad tym zastanawiać. Był niesamowicie chudy, miał wielkie ciemne oczy. Patrzył na nią bez zmrużenia powiek, na ustach błąkał mu się leciutki uśmiech. Zosia zupełnie nieświadomie odpowiedziała skrzywieniem warg. Chłopiec precisnął się do niej, przykucnął.

- To twój brat? - Wskazał drzemiącego Pawełka.

Ketew Merlri

- Tak. - Zosia dopiero w tej chwili poczuła, jak strasznie zrobiło się zimno.

- Mogę go dotknąć?

Dziewczynka była zdumiona i trochę przestraszona, ale skinęła przyzwalająco. Chłopiec położył smukłe, brudne palce na włosach Pawełka, potem przeciągnął kciukiem po policzku, stał nieco śliny z kącika warg upośledzonego dziecka.

- Jak masz na imię? - spytała nieśmiało Zosia.

- Możesz mnie nazywać Meri.

- Nie jesteś z naszej wsi.

- Nie jestem z żadnej wsi. *■

- A skąd?

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. '

- Meri - mruknęła. - Co to za imię? Jesteś Żydem?

- Nie gadaj do obcych - szturchnęła ją mocno pryszczata, złośliwa dziewczyna.

- On nie jest obcy. - Zosia potrząsnęła głową, zerknęła na chłopca. Uśmiechał się łagodnie, gładząc głowę Pawełka. - Przecież jedzie z nami.

- A może to szwabski szpieg? Skąd wiesz, co taki obcy może zrobić?

- Zobacz, mój brat się uspokoił.

- Twój brat niedługo umrze - padła brutalna odpowiedź.

- Wszyscy umrą - powiedział niespodziewanie Meri.

Ledwie wybrzmiały te słowa, na jego kark spadła

twarda pięść.

- Nie opowiadaj byle czego - warknął Kuba.

Chudy chłopiec spojrzął na rosnącego rówieśnika. Tamten cofnął się, nabrał głęboko powietrza.

190 • Rafał Dębski

- Kim jesteś? - szepnął. - Czy nie tym, o którym opowiadają straszne rzeczy?

- Tak, to ja. - Meri znów pogładził głowę Pawełka. -Bardzo ci to przeszkadza?

Kuba nie odpowiedział. Usiadł ciężko na szorstkich deskach, nie zważając na protesty ściśniętych dookoła towarzyszy niedoli. Ukrył twarz w dłoniach. Zosia ze zdumieniem zauważyła, że spomiędzy palców zdecydowanie silnego chłopca wyływają łzy.

Globocnik wpatrywał się uważnie w twarz Genschera. Folksdojcz czuł niepokój i coś dziwnego, jakby łaskotanie, kiedy przenikliwe oczy przełożonego omiatały jego twarz.

- Zaproszono pana na przyjęcie w związku z ogromnymi zasługami podczas realizacji Große Planung -oznajmił esesman. - Ale w tym pokoju znalazł się pan z pewnego ściśle określonego powodu. Poleciał mi pana... Zresztą porzucmy tę oficjalną formę. Pozwolisz, Josefie, że będę mówił ci na ty?

- To byłby dla mnie zaszczyt, Herr Gruppenführer -wymamrotał gesfapowiec.

- Doskonale. Poleciał mi ciebie Jurgen Mischner. Jak już mówiłem, zainteresowałem się tobą nie do końca dlatego, że tak sprawnie pomagasz przy akcji wysiedleń. Jesteś człowiekiem miejscowym, a przy tym lojalnym i godnym zaufania.

- Dziękuję, Herr Gruppenführer...

Globocnik machnął niecierpliwie ręką.

Ketew Merlri ■ 191

- Nie dziękuj. Znasz tutejsze obyczaje, wyrosłeś w tej ziemi. A ja chcę od ciebie uzyskać pewne informacje.

- Służę najuniżeniej.

Esesman z niesmakiem zerknął na przymilny uśmiech gestapowca.

- Jeśli jedno słowo wypowiedziane od tej chwili wyjdzie poza ten gabinet - zaczął groźnie - pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Genscher poczuł dreszcz strachu pełznący wzdłuż kręgosłupa. Dobrotliwy podczas przyjęcia, łaskawy pan Odilo przypominał w tej chwili groźnego drapieżnika, gotowego rozdrzeć ofierze gardło.

- Może pan na mnie liczyć, Herr Gruppenführer!

- Mam nadzieję. Ale nie zwracaj się wciąż do mnie per Gruppenführer czy Generalleutnant. Wystarczy nam bardziej poufałe Herr General. Posłuchaj więc. Słyszałeś kiedyś jakieś tutejsze opowieści o chłopcu, który ukazuje się ludziom?

- Jakim chłopcu? - Gestapowiec był zdumiony Spodziewał się raczej pytań o działania operacyjne, opinie panujące w polskim społeczeństwie czy poglądy niemieckich żołnierzy w kwestii Wielkiego Planu.

- Chudy, strasznie brudny. Ma wielkie czarne oczy. Przez cały czas się uśmiecha.

Genscher zmartwił, głośno przełknął ślinę.

- Czy to dybuk? - dopytywał natarczywie Globocnik. - ' To jakieś pomiotło żydowskiego diabła? Nie patrz tak na mnie, człowieku, ja nie zwariowałem! Pamiętasz, jak wyszedłem w czasie przyjęcia?

Folksdojcz kiwnął głową. Trudno byłoby to przeoczyć. Odilo wrócił zupełnie bez humoru, a ożywił się, dopiero

Rafał Dębski

-

kiedy raut nabrał rumieńców. Zaraz po rozejściu się towarzystwa wezwał gestapowca.

- Rozmawiałem wtedy z ordynatem Zamoyskim. Niech to diabli! - Cisnął się nagle, chwycił kryształową wazę, rzucił nią o ścianę. - Właśnie taki chłopak stał w kącie w cieniu podczas jego wizyty. Myślałem przez

' chwilę, że to może sługus hrabiego. Ale nie. Przecież nikt z nim nie wchodził, a nie mógł w żaden sposób wemknąć się przez zamknięte drzwi. Ten cień... Stał bez ruchu dość długo, a potem zrobił krok naprzód... To był...

Globocnik oddychał ciężko. Nie mogło mu przejść przez gardło, że była to ta sama postać, którą ujrzał w czasie przyjęcia, kiedy wlepił wzrok w kąt, a potem obrócił całą rzecz w żart.

- To był ten sam, którego pan widział w jadalni? - spytał cichym głosem Genscher.
- Ty też go widziałeś? - spytał esesman z nadzieją.
- Nie, Herr General. Ale słyszałem o takich przypadkach.
- To dybuk? - Globocnik był najwyraźniej przestraszony. +

Genscherowi przeleciało przez głowę, że dla kogoś z boku musiałyby to śmiesznie wyglądać. Czy to możliwe, żeby osławiony pogromca Żydów, uważający ich za podludzi, obawiał się demonów narodu, który tak bezlitośnie i skutecznie eksterminuje?

- To nie dybuk, Herr General. To coś o wiele gorszego. Jego pojawienie się zapowiada straszne wydarzenia... - zawiesił głos. - Tak powiadają starzy ludzie...
- No mów - popędził Globocnik. - Mów, to rozkaz! - wrzasnął nagle, nie panując nad sobą.

Ketew Meriri ■ 193

- Ten chłopiec... on roznosi zarazę...

Oczy dowódcy policji stały się wielkie niczym spodki.

- Jaką zarazę? Donnerwetternocheinmal! Gadaj mi tu zaraz!
- Zarazę - szepnął Genscher. - Tyle wiem. Czasem straszy się nim dzieci... We wsi, w której mieszkałem, od wieków stała żydowska karczma. Nieraz słyszałem, jak stary Szmul odgrażał się klientom zalegającym z płatnościami, że jeśli ich nie uiszczą w terminie, przyjdzie do nich Ketew Meriri, straszliwy demon zarazy... To właśnie taki mizerny, brudny chłopiec.

Gruppenführer opanował się już. j

- Bzdury - wycodził wyniośle. - Judajskie brednie. Widzę, że uwierzyłeś we wszystko, co powiedziałem - dodał po chwili z pogardą. - Chciałem cię wypróbować, Josefie. I widzę, że potrafisz się zachować. Przy najbliższej okazji przedstawię cię do awansu.
- Dziękuję, Herr General! - wyprężył się słuźbiście folksdojcz.
- Nie ma za co, mój drogi. Możesz odejść.

Globocnik patrzył przez chwilę na drzwi, za którymi

zniknął gestapowiec. Sięgnął do przycisku pod blatem biurka. Natychmiast pojawił się adiutant, stanął w postawie zasadniczej.

- Mam dla ciebie robotę, Udo. - Globocnik wskazał podwładnemu krzesło. - To bardzo odpowiedzialne i poufne zadanie.

Stali gdzieś na boczniczy. Wkoło słychać było tylko niemieckie przekleństwa i kroki strażników. Zosia mocno

194 • Rafat Dębski

* >

tuliła braciszka. Już nie próbowała rozgrzewać palców dłoni i stóp. Pozwolono jej siedzieć cały czas przy małym, bo wszyscy widzieli, że Pawełek umiera. W piersiach okropnie mu rzęziło. Wyleczone niedawno zapalenie płuc wróciło ze zwielokrotnioną siłą. Kilkanaście godzin spędzonych na wymarzniętej podłodze zrobiło swoje. Najgorsza ze wszystkiego okazała się ciemność. t Powodowała, że mróz dokuczał jeszcze bardziej niż wte-dy, gdy powietrze nasiąknięte było nawet bardzo mikrym światłem dnia.

- Wszyscy umrzemy, Kuba? - Zosia pociągnęła za nogawkę stojącego obok chłopca. - Meri sprowadzi na nas zarazę?

Pochylił się ku niej. Ścisk w wagonie panował jeszcze większy niż na początku, bowiem esesmani tuż przed wieczorem wtłoczyli do wagonu jeszcze jedną grupę dzieci. Teraz mogli siedzieć już tylko Zosia z braciszkiem.

- Kiedyś wszyscy umrą - odparł. - A na co... czy nie wszystko jedno?

- To niesprawiedliwe. Co myśmy komu zrobili?

Nie odpowiedział. Pogłodził ją delikatnie po włosach, wyprostował się z westchnieniem.

W mroku, w zupełnych ciemnościach, przed oczami pojawiają się kolorowe błyski, barwne plamy. Zosia nieraz budziła się późną nocą i nie mogła zasnąć. Bawiła się wtedy, zaciskając i otwierając powieki, bowiem wówczas jaskrawe płatki układały się w nieoczekiwane konstelacje. Obok spali rodzice. Ojciec oddychał miarowo, od czasu do czasu pochrapując, natomiast matki prawie nie było słychać. Pawełek na swoim posłaniu sapał przez nos, bywało, że popiskiwał przez sen niczym maleńki szczeniak, któremu śni się radosna gonitwa.

Ketew Merirl • 1

W

Teraz, w ciasnym, zimnym wagonie, błyski układały się w groźne kształty. Dziewczynka widziała to wykrzywioną złością twarz Genschera, to rozkrwawione zwłoki niemowlęcia, to pełne zębów pyski

esesowskich wilczurów, to wreszcie zrozpaczoną twarz matki i zaciętą ojca. Pawełek poruszył się, zapłakał cichutko. Pogładziła go po włosach. Meri zniknęła jeszcze przed zmierzchem. Może przecisnęła się w jakiś inny, odległy kąt, a może był rzeczywiście tylko zjawą i po prostu rozwiął się w powietrzu. Było jej wszystko jedno. „Boże - modliła się żarliwie - błagam Cię, Panie Boże, ocal moich rodziców, ocal braciszka. Weź mnie, jeśli chcesz, ale nie pozwól im umrzeć". Dziecięce serduszko przepętniała rozpacz pomieszana z nadzieją. Pawełek... Mały, upośledzony psychicznie i fizycznie chłopiec. Zosia pamiętała doskonale, jak matka zaciskała wargi nad kotyską, obserwując wykrzywione w kształt półksiężyca ciało. To było tak dawno... Zosia sama ledwie odrosła od ziemi, a jednak umysł kilkuletniego dziecka zapamiętał niektóre sceny i obrazy bardzo dokładnie. Stara Mikulina, którą nazywano w okolicy znającą, machnęła tylko ręką, gdy jej pokazano małego. „Nic z niego nie będzie. Dochcorty mówią na to paraliż dziecięcy. Ani to z kości, ani z pi-rza. I przygłupi wyrośnie, i do roboty nicpotem. Cisnąć by go lepiej gdzie do rzeki albo zwierzom leśnym zostawić na pożarcie". Zosia nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziała tak rozeźlonego ojca. „Ciebie by pizgnąć do wody, stara więdźmo! Dzieciak urodził się, jakim go Bóg stworzył. Co by z niego nie miało wyrosnąć, chować będziemy". Ale za dużo serca do nieudanego synka nie miał. Ot, tyle, by dać jeść i pić. Nigdy go ani nie przytulił, ani chociaż pogłaskał. Może dlatego Zosia tak

Rafa Dębski

4_-

bardzo przyłgnęła do brata. Chciała mu wynagrodzić obojętność rodzica. Dopiero kiedy ich tego ranka rozdzielali, dziewczynka zobaczyła, że ojcu jednak bardzo zależało na Pawełku. Kosior wyl i szarpał się tak mocno, że żandarmi nie mogli go utrzymać. Krzyczał do córki, żeby dobrze pilnowała małego, wygrażał pięściami śmiejącym się gestapowcom. Wyrwał się nawet, przeleciał przez kordon zbrojnych, przypadł do dzieci. „Moje skarby - dyszał pospiesznie. - Znajdę was choćby na końcu świata". Nie chciał ani przez chwilę przyjąć do wiadomości, że może ich już nie zobaczyć. Zosi także nie mieściło się to w głowie... Nie mieściło jeszcze kilka godzin temu. Teraz nadchodziło zubożenie, tylko ta jedna myśl tłukła się po głowie - niech Bóg ją zabierze, skoro kogoś musi, ale w zamian niechaj daruje życie najbliższemu...

- Dokąd nas wiozą? - spytał ktoś słabym głosem.

- Nie wiadomo - padła odpowiedź. - Tak mi się zdaje, że jeździmy w kółko. Raz w jedną, raz w drugą.

Jakieś dziecko zaczęło płakać. Zosia poznała po głosie - Ania, córka softysa. Nie skończyła jeszcze nawet pięciu lat.

- Ruhe! - zagrzmiął ochryply głos na zewnątrz. Błysnęło światło latarki, wyrwało z objęć ciemności zakratowane okienko. - Ruhe, verfluchter Dreckker!!

Płacz natychmiast ucichł.

- Zimno mi - pisał zbudzony hałasem Pawełek. Rozkaszał się.

- Cichaj - szepnęła Zosia. - Już niedługo. Wszystko będzie dobrze.

Ketew Merlri ■ 19

Ordynat Zamoyski strząsnął z futra płatki śniegu. Domownicy zamarli w oczekiwaniu. To, że w ogóle wrócił, a nie został aresztowany przez nieobliczalnego esesmana, mogło stanowić dobrą wróżbę. Zaraz za ordynatem do pokoju wszedł kolejarz Staszek.

- Mów, załatwiłeś coś z tym... tym... - żonie Zamoyskiego głos odmówił posłuszeństwa.

- Chwileczkę - mruknął arystokrata. - Dajcie coś do picia mnie i naszemu gościowi, musimy się rozgrzać. Mróz straszny. Biedni ci, którzy jadą w transportach.

- Dla nich nie ma dobrego czasu - odparł ponuro Staszek. - Teraz uświerknąć idzie od zimna, latem skonać można z braku wody. Nie daj Panie Bqże nikomu takiego losu.

Ordynat kiwnął głową. Chwycił mocno parujący kubek z kawą zbożową zmieszaną z mieloną cykorią, przycisnął naczynie do piersi, jakby chciał zagrzać serce, korzystając z jego gorąca.

- Globocnik przyjął mnie uprzejmie, ale bardzo chłodno. Cuchnęło od niego cygarami, wódką i śledziem. Panowie świata bawią się jak umieją. A że potrafią tylko chlać, żreć i zrzucać nadmiar z żołądka...

- Błagam cię, Janie, zostaw na boku opowieści o ich obyczajach. Powiedz, coś się udało wskórać?

Ordynat uśmiechnął się lekko.

- To chyba cud - oznajmił. - Ta esesmańska kreatu- * ra ostatecznie bez uników i owijania w bawełnę zgodziła się wypuścić z obozu w Zwierzyńcu część młodszych dzieci.

Wśród obecnych zapanowało poruszenie.

- Bogu dzięki chociaż za to. Jak tego dokonałeś?

198 ■ Rafał Dębski

- Jakoś się udało. - Ordynat wzruszył ramionami. - To pewnie palec boży.

Nie chciał opowiadać o dziwnym zachowaniu szefa policji i SS. O jego ukradkowych spojrzeniach rzuconych gdzieś za plecy Zamoyskiego, o słowach, które jako żywo kojarzyły się raczej z dramatem Szekspira niż zwykłą audiencją u hitlerowskiego kacyka. Hrabia podczas całej wizyty czuł się nieswojo, choć nie okazywał tego nawet drgnieniem brwi. Nie wypadało interesować się psychicznym stanem rozmówcy, byłoby to niepolityczne. W końcu noblesse oblige - wszak jego przodkowie prowadzili układy z książętami, królami i cesarzami, a nie takimi zwykłymi mordercami. Kim jest bowiem Globocnik? Gdyby go obedrzeć z munduru, odebrać tarczę, jaką stanowi siła policyjnego terroru, byłby w owej chwili zwyczajnym przerażonym człowieczkiem bez przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Ci, co sprawują władzę wyniesieni na piedestał brudnymi układami, którzy do zaprawy zespalającej państwową budowlę

bez zastanowienia leją ludzką krew, którzy wypalają jej cegły w ogniu totalnego zniszczenia, mają za nic ludzką godność, gardzą uczuciami litości i współczucia, sami są godni pogardy. Nigdy nie osiągną prawdziwej wielkości. Wielkość bowiem nie wynika z liczby wojsk, dział i siły dywizji pancernych. Stanowią o niej czyny dokonywane często wbrew sobie, ale za to zgodnie z własnym sumieniem. To dlatego trzystu greckich wojowników potrafiło powstrzymać w wąwozie termopilemskim wielotysięczne hordy najeźdźców. To dlatego we wrześniowej połodze rozbitą armię stać było na bohaterские czyny i budzące podziw świata zwycięstwa nad silniejszym przeciwnikiem.

Ketew Meriri ■ 199

To dlatego wreszcie stopy trupów - ofiar terroru - nie są w stanie zabić w ludziach myśli o wolności.

W apartamencie Globocnika darmo by szukać wielkości. Owszem - wystrój był imponujący, jednak zrabowane obrazy, rzeźby i kosztowne drobiazgi wprost krzychały o małoduszności gospodarza. Wielkopańskie gesty były równie sztuczne jak wystudiowany uśmiech, w którym nigdy nie brały udziału oczy. Ordynatowi wydawało się, że z każdego kąta pokoju wyglądają cienie pomordowanych. Zastanawiał się, czy taki człowiek jak Gruppenführer może w ogóle spać. Czy nie dręczą go mściwe, żądne krwi upiory powstałych z grobów ofiar? Czy nie obawia się pogrążyć w objęciach królowej nocy, która niewinnym przynosi zapomnienie, a zbrodniarzom przypomina o istnieniu straszliwych katuszy wyrzutów sumienia?

- Pan żąda zbyt wiele - powiedział hitlerowiec, kiedy tylko ordynat zaczął przemawiać.
- Ja nie żądam. Ja proszę.

Globocnik pokręcił głową.

- Są rzeczy, których nie można załatwić.
- Są rzeczy, których można nie chcieć załatwić, są prośby, którym się nie chce przychylić ucha. Ale okazując litość słabszym, człowiek okazuje swoją wielkość.
- Dla prawdziwego Niemca uczucie litości nie istnieje. Nie ma na świecie miejsca dla słabych, kalekich i nieszczęśliwych. Słabość i litość są gorsze od zarazy. Ludzie jedni od drugich uczą się hołdować jałmużnom, zakładają ochronki, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zajmują się beznadziejnie chorymi. To gorsze niż dżuma i cholera razem wzięte. Ja wiem - machnął ręką, uciszając protest Zamoyskiego - pan jest katolik. Wasza wiara na-

Rafa Dębski

ucza słabości, miłowania nieprzyjaciół i podobnych niedorzeczności. Ta religia to żydowski spisek, aby osłabić zdrowe narody, zdominować je i podporządkować judaistycznej masonerii.

- Przecież Żydzi nie uznają Chrystusa ani Jego nauk...

- To najlepszy dowód na słuszność moich sądów. Sami nie przyjęli jego przesłania, bo wiedzą, jak bardzo jest ono szkodliwe. Wielkie Niemcy uległy tej epidemii już

, w zaraniu dziejów, ale dzięki Fiihrerowi i jego pomocnikom, takim jak ja, wyrwały naród ze szponów słabości. Zamierzamy ją zwalczać na całym świecie.

Hrabia nie odpowiedział. Nie miało sensu dyskutować z fanatykiem. Zresztą nie przybył toczyć jałowych pseudoteologicznych dyskusji.

- Czy wielkie Niemcy walczą również z małymi dziećmi?

Globocnik spurpurowiał. Zamoyski był pewien, że za chwilę wybuchnie gniewem, rozlegnie się dobrze znany skrzekliwy wrzask oburzonego przedstawiciela rasy panów. I wtedy nagle esesman się uspokoił. Wlepił wzrok w ciemny kąt. Potem rozmowa potoczyła się bardzo dziwnie. Różkojarzony dowódca SS zgodził się półgębkiem, że wielkie Niemcy nie walczą z dziećmi. Najwyraźniej chciał jak najszybciej pozbyć się niechcianego gościa. Ordynat w pewnej chwili poczuł na karku chłodny powiew, jakby ktoś przeszedł za jego plecami. Z trudem powstrzymał chęć obejrzenia się. Globocnik prędko zakończył audiencję. Wybiegł z pokoju, tłumacząc się mętnie koniecznością powrotu na niesłuchanie ważne przyjęcie. Zamoyski został sam. Dopiero wtedy rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł nic nadzwyczajnego.

Ketew Meriri • 201

Z zamyślenia wyrwał go niecierpliwy głos żony:

- Mów!

Potrząsnął głową, odganiając niedawne wspomnienia.

- Tu nie opowiadać trzeba. Należy jak najszybciej zorganizować pomoc. Niech ludzie będą gotowi zabierać uwolnione dzieci. Może uda się wyrwać ze szponów bestii więcej niż gromadę maluchów. Staszek - spojrzął na kolejarza - zawiadom organizację. Trzeba to przeprowadzić sprawnie i szybko, bo ten gad gotów jeszcze się rozmyślić.

Zosia wyczuła obecność Meriego. Nie miała pojęcia, jak odgadła, że to właśnie on, bo w zupełnych ciemnościach nie widziała nawet własnych pięciu palców. Po prostu poczuła, że jest obok. Wciąż stali na boczniczy, wkoło chodzili żandarmi. Niedawno odegnali jakichś ludzi. Huknął nawet strzał na postrach.

- Pawełek - szepnęła Zosia. - Wiesz...

- Nie żyje - bardziej stwierdził, niż zapytał. - Już wiem.

- Skąd? - spytała naiwnie. - Przecież nic nie widać.

- Po prostu wiem. Nie płacz, malutka. Twój braciszek jest teraz szczęśliwy.

Mały odszedł cichutko, prawie niepostrzeżenie. Zosia zamknęła oczy na krótką chwilę. Obudziła się tknięta nagłym przecuciem. Pochyliła się nad bratem, pokonując sztywność w plecach. Została mięśnie nóg okropnie bolały. Chłopczyk wydawał właśnie ostatnie tchnienie. Zosia poczuła na policzkach nadspodziewanie silny, go-

Rafa Dębski

Z zamyślenia wyrwał go niecierpliwy głos żony:

- Mów!

Potrząsnął głową, odganiając niedawne wspomnienia.

- Tu nie opowiadać trzeba. Należy jak najszybciej zorganizować pomoc. Niech ludzie będą gotowi zabierać uwolnione dzieci. Może uda się wyrwać ze szponów bestii więcej niż gromadę maluchów. Staszek - spojrzał na kolejarza - zawiadom organizację. Trzeba to przeprowadzić sprawnie i szybko, bo ten gad gotów jeszcze się rozmyślić.

Zosia wyczuła obecność Meriego. Nie miała pojęcia, jak odgadła, że to właśnie on, bo w zupełnych ciemnościach nie widziała nawet własnych pięciu palców. Po prostu poczuła, że jest obok. Wciąż stali na bocznicy, wkoło chodzili żandarmi. Niedawno odegnali jakichś ludzi. Huknął nawet strzał na postrach.

- Pawełek - szepnęła Zosia. - Wiesz...

- Nie żyje - bardziej stwierdził, niż zapytał. - Już wiem.

- Skąd? - spytała naiwnie. - Przecież nic nie widać.

- Po prostu wiem. Nie płacz, malutka. Twój braciszek » jest teraz szczęśliwy.

Mały odszedł cichutko, prawie niepostrzeżenie. Zosia zamknęła oczy na krótką chwilę. Obudziła się tknięta nagłym przecuciem. Pochyliła się nad bratem, pokonując sztywność w plecach. Została mięśnie nóg okropnie bolały. Chłopczyk wydawał właśnie ostatnie tchnienie. Zosia poczuła na policzkach nadspodziewanie silny, go-

202 • Rafał Dębski

v jr

rący podmuch. Skóra zapiekła, jakby oblał ją war, ale zaraz wróciło przeraźliwe zimno.

- Wszystkich nas zabijesz? - zapytała dziewczynka, unosząc głowę w kierunku głosu.

Meri był bardzo blisko. Dotknął jej dłoni. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła ręki. Jego dotyk był zimny, zimniejszy niż powietrze dookoła, ale zarazem dziwnie przyjemny. Niósł spokój.

- Ja nikogo nie zabijam.
- Ale przecież jesteś tym, który roznosi zarazę.
- Tak mówią ludzie.
- A nie roznosisz? - rozległ się nagle głos Kuby. Usiadł przy Zosi, macając uważnie deski za plecami, nie zważając na gniewne syknięcia poszturchiwanych towarzyszy niedoli.

Dziewczynka zdała sobie nagle sprawę, że w wagonie uczyniło Się jeszcze zimniej. Odrętwiały ze zmęczenia, rozpachy i mrozu umysł powoli odmawiał posłuszeństwa.

- Nie - odpowiedział spokojnie Meri. - Nikogo nie zabijam, nie rozsiewam śmierci. Po prostu zjawiam się tam, gdzie zaraza zbiera żniwo. Ale ludzie czasem nie rozumieją rzeczy oczywistych, nie oddzielają przyczyny od skutku. Widzą mnie w miejscach, gdzie panuje epidemia, więc myślą, że przyniosłem chorobę. Lepiej oskarżyć o nieszczęście kogoś innego niż samych siebie.
- O czym mówisz? Dlaczego samych siebie?
- Wiesz, Kuba, jak się roznosi zaraza? Ludzie przekazują ją sobie nawzajem. Nie uważają, nie dbają o czystość, nie zachowują ostrożności. Każdy myśli tylko o sobie, a przede wszystkim uważa, że właśnie jego słabość dopaść nie może. Trąd, dżuma, cholera, ospa... wszystkie

Ketew Meriri

mogą się rozprzestrzeniać dlatego, że ludzie lekceważą zagrożenie, a chcą coś zrobić, dopiero kiedy jest już za późno.

Chwilę panowało milczenie. W ciemności słowa zdają się mieć o wiele większą wagę niż za dnia. Wiszą w powietrzu o wiele dłużej, mrok pozwala im rozbrzmiewać całą pełnią znaczeń, a dobrze znanym zlepkom dźwięków nadaje nowy sens.

- A my, na jaką chorobę my umrzemy? - spytała wreszcie Zosia.
- Ta choroba nie jest w was. To zaraza innego rodzaju. To jest coś, przez co nie mogę odpocząć, bo jeśli akurat gdzieś nie szaleje zwyczajna epidemia, zawsze pozostaje ta przypadłość.
- Nie rozumiem...
- Ta zaraza dotyka jednych ludzi bardziej, innych mniej, ale zawsze jest obecna. Zagnieżdża się tu - dziewczynka poczuła dotknięcie w miejscu, gdzie bije serce - i tu - palec Meriego przeniósł się na skroń.

Przerwały mu głosy na zewnątrz.

- Herr Feldfebel - mówił męski głos - pozwól pan dać dzieciakom chociaż po kubku herbaty.
- Raus! - warknął Niemiec. - Już drugi raz wy podchodzicie. Od kogo wy wiecieć, co tutaj jakie dzieci? - spytał podejrzliwie.

- Niech pan sam nie będzie dziecko, panie żandarm. Toż wszyscy wiedzą w okolicy. Wagon tyła godzin już stoi... Słyszeliśmy płacz i głosy.

- Weg! Weg sofort! Zabieraj ta kosz! Uciekać! Verboten! Bo was aresztować za godzina policyjna!

Ludzie odeszli niechętnie. O deski wagonu załomotała kolba karabinu.

Rafa Dębski

*

- A wy tam Maul halten. Milczyć, mordy trzymać, zaraza.

W eleganckim hotelowym pokoju Josef Genscher czuł się nieco nieswojo, o wiele jednak lepiej i swobodniej niż w towarzystwie wysokich funkcjonariuszy. Na przyjęciu mógł się co prawda przekonać, że pod elegancką skorupką dostojnicy są takimi samymi ludźmi jak i on. Pozory znikły zupełnie, kiedy przebrali miarę w picciu. Elegancki raut zmienił się w identyczną pohulankę, w jakich gestapowcowi zdarzało się uczestniczyć w towarzystwie podoficerów i młodszych oficerów. Było wszystko - jazda rzędem na krzesłach w rytm „Marsza Radetzkiego”, śpiewanie „Liii Marlen”, zabawa w salonowca, rzyganie pod stoły. Dwaj pułkownicy zaczęli nawet rosyjską ruletkę, na szczęście Globocnik położył temu kres, zabierając im przygotowany już do gry rewolwer. Genscher konsekwentnie zachowywał pewien dystans i trzeźwość. A potem nastąpiła ta dziwna rozmowa z przełożonym... Folksdojcz wciąż pozostawał pod jej wrażeniem. O czym tak naprawdę szef chciał się przekonać? A może to była próba lojalności? Taki prosty funkcjonariusz jak Josef mógł być potrzebny do pracy wywiadowczej chociażby w łonie własnego wydziału. A to oznaczało potajemny, bo potajemny, ale znaczący awans. Jednak najpierw dowódca musiał się przekonać, czy podkomendny potrafi dochować tajemnicy. Czy właśnie takich sposobów uczył w sławetnych szkołach kształcących wyższych oficerów SS?

Ketew Meriri... chłopiec roznoszący zarazę. Opowieści o nim rzeczywiście krążyły pod strzechami. Jednak

Ketew Meriri • 205

nikt, kogo Genscher znał, nigdy nie widział tego demona. Zresztą kiedy ostatnio bywały tu poważne epidemie? A jeżeli... jeżeli Odilo Globocnik widział go, bo zaraził się jakąś okropną chorobą? Przecież może ona dopaść także ludzi z jego otoczenia. Gestapowiec poczuł dreszcz na plecach. Roześmiał się hałaśliwie, nalał z karafki wódki.

- Prosit, Herr Offizier, Josef Genscher! - powiedział do siebie.

Miał już przechylić kieliszek, kiedy jego wzrok padł na sofę po drugiej stronie pokoju. Zamarł z naczyniem przyłożonym do warg, zupełnie jak kilka godzin temu szef SS i policji. Czy to tylko złudzenie, czy na miękkich poduszkach rozsiadła się jakaś postać? Odstawił kieliszek drżącą ręką, rozlewając połowę zawartości na drogi dywan. Przeżegnał się. Dawno już niewykonywane gesty przychodziły z trudem, jakby trzeba było pokonywać ogromny opór. Genscher ostrożnie obszedł stół, zbliżył się do sofy. To pewnie

tylko gra cieni. Przecież... Postać poruszyła się, wstała, weszła w krąg światła, szurając nogami. Odgłos przypominał szelest, jaki wydaje darty cieniutki papier. Gestapowiec chwycił się za serce.

- Jezus Maria - jęknął. - Generał mówił prawdę... To ty...

Chudy chłopiec uśmiechał się. W czarnych, głębokich niczym bezdenna otchłań oczach lśniły zimne iskierki. Uczynił jeszcze jeden krok naprzód. Folksdojcz zamknął ze strachu oczy, jednak natychmiast je otworzył, bo to, co ujrzał pod powiekami, było jeszcze straszniejsze niż przerażająca postać naprzeciwko. Ujrzał swoją matkę leżącą na śniegu, ułożoną w rzędzie innych trupów. Nie było na

• Rafał Dębski

nikt, kogo Genscher znał, nigdy nie widział tego demona. Zresztą kiedy ostatnio bywały tu poważne epidemie? A jeżeli... jeżeli Odilo Globocnik widział go, bo zaraził się jakąś okropną chorobą? Przecież może ona dopaść także ludzi z jego otoczenia. Gestapowiec poczuł dreszcz na plecach. Roześmiał się hałaśliwie, nalał z karafki wódki.

- Prosit, Herr Offizier, Josef Genscher! - powiedział do siebie.

Miał już przechylić kieliszek, kiedy jego wzrok padł na sofę po drugiej stronie pokoju. Zamął z naczyniem przyłożonym do warg, zupełnie jak kilka godzin temu szef SS i policji. Czy to tylko złudzenie, czy na miękkich poduszkach rozsiała się jakaś postać? Odstawił kieliszek drżącą ręką, rozlewając połowę zawartości na drogi dywan. Przeżegnał się. Dawno już niewykonany gest przychodził z trudem, jakby trzeba było pokonywać ogromny opór. Genscher ostrożnie obszedł stół, zbliżył się do sofy. To pewnie tyłkogr cieni. Przecież... Postać poruszyła się, wstała, weszła w krąg światła, szurając nogami. Odgłos przypominał szelest, jaki wydaje darty cieniutki papier. Gestapowiec chwycił się za serce.

- Jezus Maria - jęknął. - Generał mówił prawdę... To ty...

Chudy chłopiec uśmiechał się. W czarnych, głębokich niczym bezdenna otchłań oczach lśniły zimne iskierki. Uczynił jeszcze jeden krok naprzód. Folksdojcz zamknął ze strachu oczy, jednak natychmiast je otworzył, bo to, co ujrzał pod powiekami, było jeszcze straszniejsze niż przerażająca postać naprzeciwko. Ujrzał swoją matkę leżącą na śniegu, ułożoną w rzędzie innych trupów. Nie było na

Rafał Dębski

nich znać krwi, za to nagie ciała poskręcały się w ostatnim spazmie życia, miały usta otwarte jak do krzyku. Genscher otrząsnął się, skoczył do krzesła, na którym zawiesił pas z bronią. Nerwowo rozpiął kaburę. Palce odmawiały posłuszeństwa, zapinka okazała się niesłychanie oporna. Chłopiec obserwował go z leciutkim, pobłażliwym uśmiechem. Wreszcie gestapowiec wy dobył broń. Wycelował ją w pierś niepożądanego gościa. Ten stał bez ruchu.

- Ty ścierwo - wyrzucił folksdojcz.

Nacisnął spust raz i drugi. Broń milczała. Energicznie odciągnął zamek, przeładował. Nabój gładko opuścił komorę, upadł na podłogę. Genscher znów strzelił. I tym razem iglica sucho uderzyła w sponkę. Znów

wyrzucił kulę, znowu usiłował oddać strzał. Na próżno. Zdesperowany rzucił pistoletem w zjawę. Kolba głucho stuknęła w pierś chłopca, który cofnął się pół kroku. Z jego ust nawet na mgnienie oka nie zniknął uśmiech, oczy patrzyły bez zmruczenia.

- Po co przyszedłeś? Chcesz mnie zarazić? Czym? Może tyfusem?!

Chłopiec pokręcił powoli głową.

- Czego więc chcesz?!

Rozległo się pukanie do drzwi. Intruz wskazał je brodą. Genscher spojrzał odruchowo w tamtą stronę, a potem znów na chłopca. Poczł kolejne ukłucie strachu -demonia już nie było, w ułamku sekundy zniknął bez śladu. Znowu pukanie, tym razem bardziej natarczywe. Pokonując słabość w kolanach, gestapowiec powlókł się do drzwi. Po drodze podniósł pistolet.

- Kto? - spytał zachrypniętym głosem. Odchrząknął. - Kto tam?

Ketew Meriri

- Obsługa hotelowa. Przyniosłem butelkę szampana i kawior.

- Nie zamawiałem!

- Ktoś to jednak zrobił i kazał przynieść do pana pokoju.

Folksdojcz w innych okolicznościach zapewne byłby zadowolony, wręcz szczęśliwy. Tylko Odilo Globocnik mógł mu zrobić taki prezent, a to świadczyło o niezwykłej łasce.

- Odbierze pan czy nie? Jeśli nie, proszę jutro podpisać rachunek...

- Już otwieram.

Uchylił drzwi. W tym momencie człowiek po drugiej stronie kopnął w nie z całej siły. Genscher zatoczył się do tyłu, wrzasnął z bólu, bo klamka uderzyła go z całą mocą w nadgarstek. Było ich dwóch, obaj w długich płaszczach i kapeluszach. Celowali do niego. Wiedział, co się za chwilę stanie. Usłyszy formułkę: „W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej”, a potem nastąpi koniec. Zdał sobie nagle sprawę, że w lewej dłoni kurczowo ściska bezużyteczny pistolet. Nie tracił czasu na rozważania". Lepiej zginąć od razu, niż czekać na odczytywanie wyroku. Wyrzucił rękę do przodu, nacisnął spust. Z goryczą pomyślał, że przecież to tylko najzupełniej czczy gest rozpacz. Huknął strzał. Folksdojcz był bodaj bardziej zaskoczony niż napastnicy. Ten z lewej chwycił się za ramię. Genscher znów strzelił. Jednak kula drugiego egzekutora okazała * się szybsza. Gestapowiec poczuł mdłości, z ust rzuciła mu się krew. Człowiek w płaszczu strzelał raz po raz, aż do wyczerpania magazynka. Potem upewnił się jeszcze, że ofiara przestała oddychać.

~ » ,

- Znow zniknąłeś - szepnęła Zosia. - Dokąd odszedłeś?

Meri znowu przy niej kucał. Na dworze poszarzało, widziała więc w półmroku zarys jego postaci.

- Miałem coś ważnego do zrobienia.

- Roznosiłeś chorobę?

- Ja nie roznoszę zarazy, malutka. Przecież tłumaczyłem. Pojawiam się w miejscach, gdzie już panuje epidemia. Jestem jej zwiastunem, nie źródłem. Nawet nie zwiastunem, a jedynie świadkiem. Chciałbym odpocząć choć na chwilę, ale ludzie dbają, abym nie miał chwili spokoju. Jestem straszliwie zmęczony...

- Nie dokończyłeś mówić, co to ma być za okropna choroba, że się tutaj zjawiłeś. Na co wreszcie mamy wszyscy umrzeć?

Meri pogładził sztywne, oszronione włosy Pawełka. Zosia trzymała go przez cały czas na kolanach. Zresztą nie byłaby już w stanie wstać, rozprostować nóg. Dzieci stłoczone w wagonie trwały, stojąc, półsiedząc, oparte jedne o drugie., Nikt nic nie mówił, panowała zupełna cisza, przerywana jedynie odgłosami z zewnątrz.

- Na co umrzcfmy? - powtórzyła pytanie.

- Na to samo, co twój braciszek.

- Na to samo... Zapalenie płuc? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie. To był tylko skutek. Przyczyna jest zupełnie inna.

- A jaka to zaraza, powiesz nareszcie?

- Straszna. Najgorsza z możliwych.

Ketew Merir

- Powiesz czy nie?

Pochylił się ku niej jeszcze bliżej.

- Nienawiść - tchnął prosto w ucho. - Ta epidemia to nienawiść. Atakuje serce i rozum, nie pozwala normalnie myśleć i postępować. Zabija skuteczniej niż dżuma. I nie można jej poskromić, nie zanika sama po jakimś czasie, jak to się dzieje z przypadłościami ciała.

- Nienawiść? Ale...

- Każdy przez całe życie nosi w sobie jej zarazki.

Zosia miała ochotę płakać, jednak łzy nie mogły przecisnąć się przez zmarznięte powieki.

- Nie ma na to żadnego lekarstwa? † >
- Nie znam go, Zosiu. Jestem tylko demonem, który przychodzi i odchodzi. Mówiłem przedtem, że to ludzie są winni każdej epidemii. Tej zaś wyjątkowo.
- Zimno mi - pisnęła. - Tak strasznie mi zimno.
- Już niedługo - szepnął, gładząc ją po policzku. - Niebawem poczujesz, jak ogarnia cię ciepło i spokój.

Dziewczynka z wdzięcznością przyjęła pieszczotę. Nie był to miękki, ciepły dotyk matki, ale potrzebowała chociaż takiego.

Odilo Globocnik słuchał raportu adiutanta. Oficer miał * zabandażowaną prawą rękę. Spoczywała na temblaku, a na białej materii opatrunku pojawiła się czerwona kropka, która powiększała się z każdą chwilą.

- Był przygotowany, mówisz? Ostrożny lis.
- Zaskoczył mnie, Herr Gruppenführer! Pistolet trzymał w lewej ręce, nie zauważyłem go w pierwszej chwili. i

Rafał Dębcki

- Najważniejsze, że załatwiłeś sprawę. Daję ci dwa tygodnie urlopu. Możesz jechać do Berlina, podróż i pobyt opłacam ze środków operacyjnych.

Adiutant sztywno skinął głową.

- Dziękuję, szefie!
- Nie musisz dziękować. Baw się dobrze, Udo. Pomyślnych łowów. Tylko nie strać wszystkich sił, uganijając się za dorodnymi lorelajami z Lebensbornu!
- Tak jest, Herr Gruppenführer! Czy mogę się odmel-dować? Muszę iść jeszcze raz do chirurga. - Wskazał plamę krwi. - Coś w środku musiało puścić.
- Możesz. Koło południa przyślę samochód z kierowcą. Odwiezie cię na dworzec.
- Serdeczne...

Globocnik niecierpliwym gestem przerwał podziękowania. Chciał teraz zostać sam. Bał się samotności, a jednocześnie pragnął jej. Groza wczorajszego wieczoru nieco przeminęła, zaczęło ją wypierać blade światło wczesnego poranka. Jednak zanim jeszcze nadejdzie dzień, zapragnął zmierzyć się z nieznanym.

- Jeśli przyjdiesz, stawię ci czoła - mruknął. - Jeżeli mnie zaniechasz, oznacza to, iż jesteś tak samo słaby jak wszyscy bogowie świata. Chłopiec niosący zarazę -parsknął - też pomysł!

Ludzie uwielbiają bać się nieznanego i nienazwanego. Odilo Globocnik przez całe życie nie bał się nikogo i niczego. Oprócz matki, o czym wszyscy wiedzieli. Ale to był strach innego rodzaju, wynikał z przywiązania i więzów krwi, jego nie trzeba się było wstydić. Nawet Hitler nie budził w nim tak nabożnego lęku jak w innych dowódcach. Dlatego też potrafił sprzeciwiać się naciskom gubernatora Franka, dlatego doszedł tak wysoko

Ketew Meriri

w hierarchii partyjnej i policyjnej. A przecież zaczynał kiedyś jako zwykły handlowiec...

- Nie boję się ciebie, Ketew Meriri, roznosicielu zarazy, czy jak cię tam zechcą nazwać! Nie boję się, słyszysz?

W głuchej ciszy gabinetu mocny, ostry głos generała zabrzmiał dziwnie słabo, jakby powietrze nagle zgęstniało, pochłaniając dźwięki. Esesman poczuł mrowienie w karku. Identyczne uczucie towarzyszyło mu podczas rozmowy z ordynatem, a potem z Genscherem. Był pewien, że to tylko kaprys wyobraźni. Tak jak wtedy, kiedy człowiek zastanawia się, czy nie ma choćej wątroby, i zaczyna odczuwać wyraźne dolegliwości. Na wszelki wypadek spojrział jednak w ten sam kąt, w którym przedtem pojawił się chłopiec. Pusto. Globocnik poszedł tam, bezmyślnie przesunął figurkę asyryjskiego bożka płodności stojącego na serwantce, prychnął pogardliwie. Trzeba porzucić głupie strachy, wziąć się za zaległe papiery. Jak mógł w ogóle dopuścić myśl, że zjawa nie była zwyczajnym przywidzeniem, skutkiem spożycia odrobiny absyntu po kolacji? Podobno ten trunek czasem tak działa. Dobrze, że od razu kazał wykończyć gestapowca, przed którym tak nieopatrnie się otworzył. Wstyd by było, gdyby Genscher komuś o tym opowiedział, a poza tym jak można potem spokojnie stanąć twarzą w twarz z kimś, kto widział słabość SS- und Polizeiführera dystryktu Lublin? Odwrócił się z uśmiechem. Znieruchomiał, a grymas zadowolenia w jednej chwili zmienił się w maskę strachu. Chłopiec siedział za biurkiem, brudne dłonie położył na lśniąącym blacie. Globocnik oparł się ciężko o ścianę, przesunął w bok, jakby zamierzał rzucić się ku drzwiom i uciec. Intruz uważnie obserwował

Rafał Dębski

poczynania esesmana, wodził za nim czarnymi oczyma. Na ustach błąkał mu się lekki uśmiech.

- Zostaw mnie w spokoju! - wyrzęził Niemiec. - Kimkolwiek albo czymkolwiek jesteś, zostaw mnie! Odejdź!

Chłopiec milczał. Globocnik poczuł dreszcz paniki pełną od lędu wzdłuż kręgosłupa. Zaraza... ten diabeł przynosi przecież zarazę...

- Odejdź - powtórzył słabo. - A może chcesz popatrzeć na moją śmierć?

Chłopiec bez słowa wstał zza biurka, skierował się ku drzwiom.

- Powiedz przynajmniej - rzucił do jego pleców hitlerowiec - kiedy i na co umrę? Powiedz, gdzie jest siedlisko epidemii! Skąd wyjdzie choroba?

Chłopiec odwrócił się. Zmierzył esesmana uważnym spojrzeniem. Otworzył usta, jakby chciał udzielić odpowiedzi, ale zaraz zamknął je, uśmiechnął się szerzej.

Skrzypnęły drzwi. Globocnik został sam. Tępy wzrokiem obrzucił biurko, potem spojrzął w okno. Dniało. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Połącz mnie z komendanturą.

Chwilę czekał, bębniąc palcami po blacie. Wreszcie zgłosił się zaspany oficer dyżurny.

- Postępuj - warknął esesman. - Dziś w nocy zamordowano funkcjonariusza gestapo. Nie pytaj, idioto, kto! Przecież wiadomo! Do godziny szesnastej masz rozstrzelać trzydziestu polskich zakładników. Taka zbrodnia nie może pozostać bez kary! I pošlij patrol po najlepszego lekarza w mieście. Ma się u mnie pojawić jak najszybciej!

Ketew Meriri • 213

Ludzie szli zdeterminowani, wydawali się groźni. Żandarmi przy wagonie przeładowali broń na widok nadchodzącej grupki. Polacy przystanęli. Od szarej zbieraniny oderwały się trzy postacie. Mężczyźni zbliżali się, trzymając ręce tak, żeby było widać, iż są nieuzbrojeni.

- Panie feldfebel - wołał jeden z daleka.

Żandarm poznał człowieka w kolejarskim mundurze, który był tutaj w nocy. Wydało mu się zabawne, że mężczyzna przyszedł drugi raz właściwie wtedy, kiedy on znów dowodził wartą. >

- To znowu ty - rzekł. - My tutaj nie możemy rozmawiać. Mamy rozkazy. Odejdźcie, bo kasz...żę was erschießen albo aresztować.

- Niech pan nie będzie taki służbista, panie żandarm! Interes jest do zrobienia. Geschäft. - Mężczyzna potarł kciuk o palec wskazujący.

Kapral spojrzął na podwładnych. Heini i Willi wyszczerzyli zęby. Odetchnął głębiej.

- Na, komm - warknął. - Nur selbst. Sam, znaczy.

Mężczyzna podszedł pewnym krokiem.

- Pan, panie żandarm, ma coś, co nas interesuje, a my mamy coś, co powinno zainteresować pana i kolegów. - Odchylił poję esionki. Niemiec przełknął ślinę na widok pliku banknotów. - Widzi pan, że nie żartujemy.

- A co wy chcecie?

- Pan wie, panie feldfobel. - Wzrok kolejarza powędrował za plecy Niemca.
- To, co w wagon, nie powinno was obchodzić.
- Ale obchodzi - warknął mężczyzna. - Chce pan zarobić czy nie?

Rafał Dębski

- Scheiße - mruknął żandarm. - Za to kulka w łeb albo Ostfront...
- A może wagon jest pusty? - Polak przechylił przekornie głowę. - Zaglądał pan do środka?
- Nie, ale ja słyszeć... Wy taksze słyszeć, nicht wahr?
- Słyszeć to mało. Przecież może pan powiedzieć przełożonym, że do wagonu nikt nie zaglądał, że właśnie było cicho.
- Kula w łeb - powtórzył Niemiec.
- Rany boskie - zniecierpliwiał się kolejarz. - Pozwólże pan chociaż zerknąć! Otwórz pan drzwi na chwilę. Damy tylko dzieciakom jedzenie i ciepłe picie. Jest z nami ksiądz. Może komu trzeba tam dać ostatnie namaszczenie... Nikt nie musi wiedzieć!

Żandarm spojrzał podejrzliwie.

- A skąd wy wiedzieć, sze tam Kinder? Jusz w nocy wy wiedzieć. Kto ty jest? Mosze wy bandyty z łasa? Verfluchte Partisanen?
- Niech cię diabli! Jacy partyzanci? A może myślisz, że te baby chowają w koszach granaty i pistolety? Płacę po królewsku. Tak dużo od ciebie chcę? Z gestapo jesteś, żeś taki ciekawy?
- Tylko aie z gestapo - zaperzył się Niemiec. Zarepe-tował karabin. - Weg.
- Już dobrze - rzekł pojednawczo mężczyzna. - Nie ma się co ciskać. To jak będzie? Bierz forsę i odwróć się na pięć minut plecami.
- Jak się kto dowie, kara straszna. Jechać nach Ostfront!

Kolejarz wzniosł oczy do nieba.

- Chwalić się tym będziesz czy co? My na pewno nikomu nie powiemy.

Ketew Meriri • 215

Żandarm krzywił się z wysiłku. Chciwość walczyła w nim ze strachem i poczuciem obowiązku. Wreszcie podjął decyzję.

- Czekać tam. - Wskazał mężczyźnie grupę Polaków.

Przywołał podkomendnych. Naradzali się, popatrując co chwila na przybyłych.

- Jest pan zupełnie zdrowy - oznajmił lekarz. - Oczywiście nie licząc skutków nadużycia alkoholu i zatrucia cygarami. »

- Nic mi się nie zaczyna? Jest pan pewien? - Globocnik zapinał koszulę. Pomyślał przelotnie, że nie zmieniał jej od poprzedniego wieczora. Musiała cuchnąć nikotynowym dymem, ale zupełnie tego nie czuł.

- Oczywiście. Jeśli coś się nawet gdzieś rozwija... Musielibyśmy wykonać kompleksowe badania. Powinien się pan wobec tego położyć do szpitala.

Gruppenführer spojrział w okno. Światło dnia rozpraszało obawy. Ośnieżone dachy lśniły w promieniach wschodzącego słońca. Co się z nim dzieje? Właśnie takie widma i przywidzenia doprowadziły do upadku Makbeta. To był jednak słabeusz, szkocki potomek walecznych, ale przesądnych Piktów. Niemiecki wojownik musi wy- * kazać większy hart ducha.

- Mogę pana wziąć na mój oddział - powiedział lekarz.

- Nie trzeba. Dziękuję za konsultację, doktorze. Chyba jestem po prostu przemęczony.

6 • Rafat Dębski

Kapral skinął ręką.

- Chodźcie.

Ludzie ruszyli pospiesznie. Na czele biegł człowiek w sutannie, zaraz za nim kolejarz. Paczka banknotów wyśladowała za pazuchą podoficera. Szeregowcy stanęli na czatach, obserwując uważnie okolicę.

- Ale tu eine Plombę - zaprotestował nagle Niemiec, wskazując gruby skobel.

Kolejarz wyjął plombownicę z kieszeni.

- Damy swoją. Nikt przecież tego nie będzie sprawdzał. Grunt, żeby była.

Żandarm chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już silne ręce zerwały zabezpieczenie, zapiszczał odsuwany rygiel. Drzwi zazgrzytały, odjechały w bok, otwarte od razu na całą szerokość.

- Jezusie Maryjo! - rozległ się rozpaczliwy krzyk. -Matko Przenajświętsza!

A potem zapanowała głucha cisza. Z wagonu zaczęły się wysypywać dzieci. Były w różnym wieku, od kilkuletnich maluchów po kilkunastoletnich wyrostków. Wysypywały się dosłownie... Sztynne ciała spadały na ziemię, odbijały się od siebie, przetaczały bezwładnie i nieruchomie. Ktoś rzucił się do przodu, usiłował zatrzymać lawinę zamarniętych trupków. Na próżno. Kolejarz odwrócił się do kaprała. Miał w oczach mrok i żądzę zemsty. Żandarm cofnął się. Nie dlatego jednak, że przeraził go wyraz twarzy

Polaka. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w stos ciał. Przestały już wypadać z wagonu. W jego głębi widać było stłoczone postacie oparte o siebie nawzajem.

- Może tam kto jeszcze żyje? - zawołał kobiecy głos. - Chłopy, brać się do roboty!

Ketew Merir

Weszli do środka we trzech, tak jak wyruszyli negocjować z Niemcem. Dorośli, twardzi mężczyźni o sękatych, spracowanych dłoniach. Płakali jak dzieci, patrząc w zamarte twarzyczki, poszarzałe, z brwiami pokrytymi warstewką szronu. Niemożliwe, żeby któreś przeżyło. Chcieli się wycofać, ale kobiety nie pozwoliły.

- Szukajcie, trza każdego wymacać, patrzeć, czy nie dycha!

Żandarmi nie protestowali. Ze zgrozą patrzyli to na trupy dzieci leżące przy torze, to na pracujących wewnątrz wagonu mężczyzn. Kolejarz dotarł do przeciwległej ściany. Przesuwał ciała, zdawało mu się, że napierają na niego, zaczepiają, chcą coś powiedzieć.. Z półprzy-mkniętymi powiekami, starając się nie patrzeć w martwe oczy, wypatrywał śladów życia. Zobaczył siedzącą, opartą o deski dziewczynkę. Na jej kolanach spoczywała głowa małego chłopca. Serce mężczyzny zabiło nadzieją. Dziewczynka patrzyła wprost na niego, uśmiechając się promiennie.

- Czekaj, maleńka - mruknął. - Zaraz cię podniosę.

Chwyił pod ramiona małą postać, pociągnął w górę.

Nagle z gardła wydobył mu się suchy, rozpaczliwy szloch. Dziecko było tak samo sztywne jak pozostali. Dlaczego jednak tak pięknie się uśmiechało? Kolejarz wiedział, że będzie się nad tym zastanawiać do końca życia, we wszystkie bezsenne noce. Wyskoczył z wagonu, przypadł do kaprała.

- Wy skurwysyny! - zawył, nie panując nad sobą. - Jesteście gorsi niż pomór! Niech spadną na was wszystkie nieszczęścia świata!

Żandarm niemrawo próbował się uwolnić. Palce Polaka zacisnęły się na jego gardle. Wtedy przypadli sze-

8 ■ Rafa! Dębski

regowcy. Nie mogli sobie jednak poradzić z oszalałym mężczyzną, a bali się użyć broni, żeby nie sprowokować reszty ludzi i nie ściągnąć esesowskiego patrolu. Kapral słabł. Stało się pewne, że za chwilę straci przytomność.

- Dość - zabrzmiał przy uchu kolejarza potężny głos. -U Boga Ojca, dosyć! Puść go, człowieku!

Kolejarz spojrzał. Książd patrzył mu głęboko w oczy. Położył rękę na zaciśniętych palcach.

- Jako i my wybaczymy naszym winowajcom - rzekł z mocą duchowny.

- Zabiję - wychrypiał mężczyzna. - Tego nie wyba-, czę...

- Chcesz być mądrzejszy od Chrystusa? Poza tym ściągniesz nieszczęście na nas wszystkich. Puść natychmiast! Chcesz być taki jak oni?

W źrenicach kolejarza ksiądz dostrzegł szaleństwo. To nie było spojrzenie doskonale znanego parafianina, łagodnego ojca rodziny. Te oczy były obce.

- Apage - szepnął kapłan. - Odejdź, nieczysty duchu.

Mężczyzna drgnął, jakby został żgnięty rozpalonym żelazem. Zwolnił uścisk, zachwiał się, podniósł dłonie do oczu, wpatrywał się w nie przez chwilę, a potem usiadł na zamarzniętej ziemi i zaczął płakać.

- Mein Gott - wydyszał żandarm. - Danke. On by mnie zabić. - Spojrzał w stronę otwartego wagonu. Teraz wewnątrz przebywało kilka kobiet. Sprawdzały jeszcze, czy mężczyźni czegoś nie przeoczyli. Wciąż panowała głucha cisza. Przerывał ją tylko szept Niemca: - U mnie zu Hause dwa dzieci, syn i córka. Ja kochać dzieci... - Wyszarpnął z zanadru pieniądze, usiłował wcisnąć kolejarzowi. Ten odpowiedział grubym

Ketew Meriri • 219

przekleństwem, żandarm wręczył więc plik księdzu. -Ja nie brać tego. Niech ty weźmie. Na biednych, na biednych - powtarzał gorączkowo. - Idźcie sofort, natychmiast. Ja z Heini i Willi sami zrobić Ordnung hier. A wy nikomu nie mówić, co tu było! Bo i dla was, i dla nas to... - Przeciągnął palcem po gardle.

Ksiądz ścisnął w spoczonej dłoni pieniądze.

- To wszystko uczyniła wasza nienawiść. - Wskazał wagon. - Dlaczego tak robicie?

- To nie my, my tylko zandarmy. Dla nas nur Befehl, rozkaz. Kazali pilnować und wir miisset pilnować.

Duchowny nie słuchał go. Zapatrzył się w stronę oddalonego o kilkadziesiąt kroków wzgórze. Stał tam chudy, obszarpany chłopiec. Ksiądz trącił kolejarza, wskazał mu mizerną figurkę. Zaraz ruszył ku tajemniczej postaci.

- Może to jakieś dziecko uratowane z transportu? Hej! - zawołał. - My swoi, nie bój się!

Jednak chłopiec nie czekał. Odwrócił się, poszedł przed siebie, ciężko powłócząc nogami. Ksiądz pobiegł za nim. Jednak mimo iż pędził ze wszystkich sił, nie zbliżył się do dziecka ani na krok. To było coś, co przypominało koszmarny sen, kiedy nogi bez powodu grzęzną w gęstym powietrzu, zapadają się w twardą na pozór ziemię.

Kapłan wreszcie zrezygnował, stanął zdyszany. Patrzył bezradnie, jak chłopiec znika wśród zabudowań stacji.

Od autora

Podczas realizacji Große Planung - wielkiego planu wysiedleń i kolonizacji ziem podbitych przez III Rzeszę - na terenach Zamojszczyzny tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi straciło nie tylko dach nad głową i wolność, ale także życie. W szczególnie przerażający i bezduszny sposób okupant traktował dzieci. Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, ile naprawdę wyszło transportów z wagonami, w których niewinne istoty podusiły się lub zamarły na śmierć. Nie dowiemy się też dokładnie, ile polskich maluchów wywieziono do Niemiec, aby je zgermanizować, a ile zadręczono w obozach zagłady. Przyjmuje się w przybliżeniu, że ofiarą tej części firoße Planung padło około 30 tysięcy dzieci, z czego zgładzonych zostało 10 tysięcy. Nigdy nie zdobędziemy pełnej wiedzy na temat wszystkich popełnionych wówczas zbrodni. Zresztą taka wiedza niczego tutaj nie zmieni.

Ludzkość chorowała na nienawiść od początku swojego istnienia. Jednak w dwudziestym wieku, jak nigdy przedtem, choroba ta przybrała rozmiary pandemii ogarniającej cały tak zwany cywilizowany świat. Opowiadanie poświęcam pamięci dzieci Zamojszczyzny, niewinnym

Piekło! niebo • 221

istotom porwanym przez diabelski} machinę, które ginęły i cierpiały, nie rozumiejąc, dlaczego ludzie są aż tak okrutni. Poświęcam je tym wszystkim, których straszliwa zaraza nienawiści dotknęła w przeszłości i których dotyka również dzisiaj, a także tym, którzy - wbrew wszystkiemu -nigdy nie pozwolili, aby się w nich zagnieżdżyła i rozwinęła. Na szczególną uwagę zasługuje tutaj postać hrabiego Jana Zamoyskiego, XVI ordynata, żołnierza Armii Krajowej, oraz jego żony Róży. Przy pomocy ludzi dobrej woli zdołali wyrwać z piekła na ziemi wiele ludzkich istnień, a przeszło 1500 dzieci umieścili w zorganizowanych własnym sumptem szpitalach. Ryzykowali życiem własnym i całej rodziny, mimo to bez wahania stanęli naprzeciwko hitlerowskiej pięści, choć przecież hrabia - jako znany i szanowany arystokrata - mógł liczyć, że jeśli nie będzie się w nic angażował, najeźdźcy zostawią go w spokoju. Mógł walkę z zarazą pozostawić innym. Jednak nie zrobił tego, nie splamił sumienia grzechem zaniechania.

Anna Kańtoch

Urodzona w Katowicach w roku 1976. Studiowała orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierunek: arabistyka. Po studiach wróciła z Krakowa do Katowic, gdzie aktualnie mieszka i pracuje w biurze podróży. † »

Jako pisarka zadebiutowała w roku 2004 na łamach „Science Fiction”. Tego samego roku wydała swoją pierwszą książkę, Miasto w zieleni i błękicie, w której interesująco splotła wątki kryminalne i fantastyczne z motywami powieści wiktoriańskiej. W latach 2005-2007 ukazały się: Diabeł na wieży - zbiór opowiadań o Domenicu Jordanie, oraz Zabawki diabła, będące kontynuacją historii Domenica, zafascynowanego magią lekarza egzorcyisty i detektywa. 13. anioł - najnowsza powieść, której akcja dzieje się na Ziemi zamieszkałej przez śmiertelników i anioły.

Jej twórczość została doceniona również poza granicami naszego kraju. Na Euroconie 2007 została wyróżniona Encouragement Awards.

r

W

Anna Kańtoch

Światy Dantego

Za pomoc przy pisaniu dziękuję Michałowi Cholewie, który podsunął mi większość pomysłów (a może i wszystkie) na rozwiązania techniczne. Bez jego rad to opowiadanie by nie powstało.

Dante 3 morfował. Czerwona skała i czarny metal bezustannie zmieniały kształty, w spotworniały, groteskowy sposób naśladując formy zwierzęce i roślinne. Szybciej, wolniej, znowu szybciej. Po lewej stronie Sofii metalowy krzew o liściach jak ostrza brzytwy płynnie przeszedł w wychudzone wilkopodobne stworzenie, które niezgrabnie zachwiało się na ośmiu pajęczych nogach. Po prawej uformowały się kolumny podobne do odartych ze skóry kończyn, z pulsującymi czerwienią ścieżkami mięśni i czarnymi żyłami. Kobieta zerknęła na nie przelotnie, nie zwalniając tempa. Czy połączą się, tworząc łuki, a potem jakąś skomplikowaną konstrukcję, czy może będą się stawać coraz cieńsze i wyższe, aż sięgną nieb'a? *

Na myśl o niebie odruchowo spojrzała w górę. Było granatowe, z pasmami czerwieni i żółci, które kąpały morfujący świat w nierzeczywistym, niemal baśniowym świetle. Łagodność tego blasku była zdradliwa - aura potrafiła tu zmienić się w ciągu kilku sekund i wtedy nieboskłon zaczynał płonąć niczym jezioro benzyny.

Światy Dantego • 229

Zaraz potem nadciągała ognista burza albo gorące, żółte od siarki deszcze.

Wergiliusz twierdził, że dziś pogoda będzie ładna, co na Dantem 3 oznaczało temperaturę czterdziestu paru stopni, lecz Sofia na wszelki wypadek włożyła termiczny skafander. Na tym skończył się jej rozsądek, bo ciężki, ograniczający pole widzenia hełm z aparatem tlenowym przytroczyła do pasa. Liczyła, że w razie czego zawsze zdąży po niego sięgnąć. Prawdopodobnie zdąży.

Szła ostrożnie, starając się nie rozglądać na boki. Grunt pulsował pod jej stopami, gotowy w każdej chwili wystrzelić w górę albo opaść, a ona czuła się jak w wesołym miasteczku, gdzie jedną z atrakcji było chodzenie po ruchomych deskach. Dwa kroki w przód, jeden w tył, utrzymać równowagę, w bok i dalej do przodu, piszcząc i śmiejąc się razem z innymi dziećmi. Tamte deski poruszały się szybciej niż grunt na Świecie bantego 3, ale i ona była wtedy młodsza. Znacznie, znacznie młodsza. Jeszcze do niedawna Sofia myślała o sobie jako o kobiecie w średnim wieku, a nawet - gdy czuła się wyjątkowo dobrze - jako o kobiecie w kwiecie wieku. Teraz zaczynała przyzwyczajać się do myśli, że jest po prostu stara, a stare kobiety szybko się męczą i mają kruche kości. Gdyby upadła, być może nie zdołałaby już wstać.

Wiatr wzmógł się, ciskając jej w twarz odległe krzyki, a także woń palonych ciał, która mimo ochronnej maski docierała do nozdrzy i zostawiała w gardle nieprzyjemny, lepki posmak. Splukała go łykem ciepłej wody, odetchnęła i zsunęła z czoła gogle. Dzięki nim widziała, choć wokół pociemniało od drobinek popiołu.

Przed nią wznosiła się ażurowa konstrukcja, coś jak metalowa katedra, którą porzucono w połowie budo-

Anna Kańtoch

- -

wy. Na wewnętrznej stronie gogli jej obraz wyświetlał się w postaci czerwonych, pulsujących linii, lecz kobieta wiedziała, że w rzeczywistości budowla jest czarna. Jak węgiel albo piekielna smoła.

Sofia przyspieszyła. Mokre od potu włosy lepiły się do czoła, w płucach brakowało tchu, bolała nadwerżona kostka. Mimo to szła coraz szybciej, byle do przodu, byle uciec przed strachem i wątpliwościami, które ścigały ją, odkąd opuściła stację.

Przystanąła tylko na chwilę.

Katedra morfowała w szkielet przedpotopowego ' stwora, arkadowe łuki przechodziły w żebra, kolumny w piszczele, a fasada wyciągała się w długą, pełną ostrych zębów czaszkę.

Sofia zaklęła cicho i weszła do środka.

Wewnątrz było chłodniej, a także ciemniej, gdyż ognisty blask przegrywał z ruchliwymi cieniami zmieniającej się konstrukcji.

- Terry? - Gogle zepchnęła z powrotem na czoło, zdjęła maskę i zawołała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słychać paniki. - Odezwij się! Nie powinieneś tu sam przychodzić! Tu jest niebezpiecznie!

Czarno-biała posadzka pod jej stopami układała się niemal we wzór szachownicy. Niemal, bo brzegi niektórych płytek już zaczynały się rozmywać. Gdy całą grupą byli tu ostatnim razem, na posadzce widniało dwanaście koncentrycznych, na przemian czarnych i białych kręgów, które bardzo Terry ego zafascynowały.

- Jesteś tu?

Znalazła go w miejscu, które wciąż jeszcze można było nazwać boczną nawą. Oczywiście to nigdy nie była boczna nawa, lecz dzięki oswojeniu obcych, bezustannie

Światy Dantego • 231

morfujących elementów Dante 3 stawał się odrobinę bardziej przyjazny.

Terry siedział odwrócony tyłem i pochylony nad czymś, czego nie mogła dostrzec. Z przerażeniem zauważyła, że jest ubrany tylko w granatowe spodnie i bluzę, jakie naukowcy nosili na stacji. Jego ręce pracowały - nie widziała dłoni, ale świadczył o tym ruch ramion. Może zepsuł się aparat tlenowy, pomyślała, patrząc, jak po czerwonym od oparzenia» karku przesuwają się cień morfującej arkady. Może wziął ze sobą choć aparat.

Dziwiła jednak cisza, która spowijała mężczyznę. Żadnego szczęku metalu, żadnych szeptanych przekleństw, które zazwyczaj towarzyszą walce z opornym urządzeniem. Ręce Terry ego były zajęte, ale raczej nie naprawianiem.

- Wszystko w porządku? Musimy stąd wyjść, zobacz... - zamilkła. Strach wreszcie dogonił ją i chwycił za gardło. Czarne, połyskujące metalicznie kości wyginały się, zbliżając do nich z każdą chwilą.

Terry odwrócił się i wyciągnął w jej stronę dłonie, którymi poruszał, pocierając jedną o drugą niczym aktorka ćwicząca rolę Lady Makbet.

- Mam krew na rękach - powiedział bardzo spokojnie, jakby dokładnie sobie wszystko przemyślał i doszedł do wniosku, że te słowa będą najwłaściwsze.

- Widzę - odparła cicho.

- Tu jest jeszcze więcej krwi.

I rzeczywiście była - szerokie, rozmazane smugi czerwieni szpeciły biel szachownicowych kwadratów i prowadziły dalej, aż do głębokiego, chłodnego cienia, w którym spoczywało ciało Moany. Jej nogi oplatały metalowe

232 • Anna Kańtoch

JĘ, . -

pędy, z których jeden, rozdierając skafander, uparcie pełzył w stronę kroku. Było w tym coś tak obscenicznego, że Sofia z trudem zmusiła się, by nie odwrócić wzroku. Podeszła, wyciągnęła rękę i

dotknęła zimnego czoła - pod strzechą splątanych, zlepionych krwią włosów czaszka dziewczyny przypominała stłuczoną skorupkę jajka.

- Ja ją tam położyłem. - Terry zamilkł, a potem wskazał powiększającą się szczelinę, przez którą wpadał ognisty blask. - W cieniu, bo światło raziło ją w oczy. Dobrze zrobiłem, prawda?

Palec, którym przed chwilą celował w niebo, teraz osobliwie dziecinnym gestem przyłożył do ust. Twarz też miał mocno zaczerwienioną i Sofia pomyślała, że przydałby mu się chłodzący okład. A potem, że oprócz okładu przydałby mu się także dobry psychiatra. Nie teraz, bo było za późno, ale znacznie wcześniej.

- Terry - szepnęła, przymykając oczy.

Skinął głową jak greczny uczeń, który rozważa słowa nauczyciela. Nawet zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, nadając mu młodzieńczy wygląd. Źrenice miał powiększone, oczy bardzo odległe. Dłonie położył na kolanach i przyglądał im się, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

- To musiało się stać - powiedział po chwili łagodnie. - Od dawna było wiadomo, że komuś z nas wreszcie puszcza nerwy.

Sofia milczała, nie znajdując słów.

Terry powoli podniósł na nią wzrok.

- To już koniec, prawda? - zapytał.

Światy Dantego • 233

Dwa dni wcześniej:

...jest coraz gorzej, tylko patrzeć, jak zaczniemy skakać sobie do gardeł. Z jednej strony dokuczają nam brak prywatności, bo najczęściej przebywamy razem na stacji, gdzie jest mało miejsca, z drugiej strony rzadko kiedy znajdujemy w sobie dość odwagi, by pójść gdzieś samotnie - nawet gdyby miało to być dystans kilkunastu kroków. I nie chodzi wcale o rozsądek czy o restrykcyjne zalecenia Korporacji, które czasem lekceważymy, lecz właśnie o strach, taki najprostszy i najbardziej prymitywny. Przy silniejszym wietrze słychać tu krzyki z Otchłani, a w powietrzu unosi się popiół i swąd palonych ciał. Wszystko zmienia się bezustannie i już to jest torturą, gdyż nasze umysły potrzebują oprzeć się na czymś stałym, a tu niczego takiego nie ma. Przynajmniej na zewnątrz, bo jest oczywiście stacja, wsparta na amortyzowanych podporach i zaopatrzona w czujniki, które bezustannie monitorują grunt. Jeśli powierzchnia, na której stoimy, zacznie zbyt gwałtownie morfować, sterowane komputerowo silniki

uniosą nas i umieszczą w spokojniejszym miejscu. To pochłania mnóstwo energii, ale dzięki temu przynajmniej mamy niejakie poczucie bezpieczeństwa.

Nasz entuzjazm szybko został zastąpiony psychicznym wyczerpaniem. Na początku szczerze wierzyliśmy, że to my właśnie uratujemy ludzkość i zostaniemy bohaterami. Naiwne, prawda? Teraz jesteśmy po prostu zmęczeni. Coraz częściej - kiedy się nie kłócimy - mówimy o powrocie do domu. Brama zostanie otwarta za pięć dni (tak naprawdę tu nie ma dni ani nocy, lecz nadal liczymy czas według ziemskiej rachuby) i to podtrzymuje w nas nadzieję. Nie odstrasza nas nawet fakt, że sytuacja na Ziemi po-

Anna Kańtoch

garsza się z każdą chwilą. Już kiedy wchodziliśmy do Dantego 3, było źle, a teraz jest jeszcze gorzej. Mimo to chcemy wracać - niech inni zajmą nasze miejsce i niech oni walczą o ocalenie ludzkiego rodzaju. My mamy dość.

Ja radzę sobie całkiem nieźle. Fizycznie czuję się dobrze, zwłaszcza jak na mój wiek. Odradzano mi pobyt na trójce, lecz ja się uparłam, a ze względu na fakt, że mój zmarły mąż był inicjatorem projektu Bram, nikt nie ośmielił się zakazać mi tego. Nie żałuję mojej decyzji, mimo wszystko nie żałuję. Psychiczenie jestem w lepszym stanie niż inni, ponieważ jako lingwistka nigdy jeszcze nie schodziłam do Otchłani i najczęściej z całej naszej grupy przebywam samotnie na stacji. Mam wtedy chwilę dla siebie i to pomaga mi zachować równowagę.

Nacho Yeung jest spokojny, niemal nienaturalnie, zwłaszcza kiedy wszyscy wokół wrzeszczą. Postarzał się w ciągu ostatnich dni, a gdy patrzę w jego oczy, widzę ogromny ból i jeszcze większe zmęczenie. Mimo to wciąż potrafi dzielić się z innymi swoim ciepłem. Sama jego obecność działa na nas uspokajająco, Nacho nawet nie musi nic mówić. Czemu nie spotkałam tego faceta przed trzydziestu laty?

Moana Merida również trzyma się nieźle. Jest bezwzględna i bezgranicznie wierzy w naukę...

Sofia zamilkFa niepewna, czy kontynuować. To nie był oficjalny raport, tylko prywatny dziennik, lecz możliwe, że kiedyś zdecyduje się go opublikować. Co tam, najwyżej wykasuję niewygodne fragmenty, pomyślała.

Moana Merida to taki doktor Mengele w spódnicy. Rany, jak to brzmi - wszystko na M... Chyba zaczynam wariować, że bawią mnie takie rzeczy. A tego skojarzenia nie mogę się pozbyć. Bo jak inaczej można nazwać

Światy Dantego

kogoś, kto nazywa ludzi płonących w Otchłani „ciekawymi przypadkami”?

Jeśli zaś chodzi o kapitana Peńę, to szczerze mówiąc, wciąż nie wiem, co o nim myśleć. Niewątpliwie jest znakomitym żołnierzem, ale w jego zachowaniu „twardego faceta” jest coś odrobinę fałszywego, zupełnie jakby nosił maskę - co prawda taką, w jakiej dobrze się czuje, ale jednak maskę. Próbowалаm kilka razy pod nią zajrzeć, lecz docierałam tylko do kolejnych masek - Szarmanckiego Dzentelmena, Który

Z Oddaniem Chroni Kobiety, Kochającego Męża, Który Codziennie Wysyła Żonie Wiadomość czy nawet Bogobojnego Chrześcijanina, Który Nawet W Piekło Nie Traci Wiary.

Nie wiem, czy gdzieś pod tymi maskami kryje się prawdziwy Emilio Peña, i szczerze mówiąc, przestało mnie to obchodzić. Najważniejsze, że kapitan utrzymuje swoich podwładnych w dobrej kondycji (mam na myśli przede wszystkim kondycję psychiczną, nie fizyczną). To młodzi ludzie - z mojego punktu widzenia niemal dzieci, które jeszcze nie zaczęły żyć - i żaden z nich nie zasłużył na to, by znaleźć się w takim miejscu. Niewiele o nich wiem, bo najczęściej przebywają w swojej części stacji, we wspólnej sali, gdzie grają w karty albo w kości. Są wystraszeni, ale też bezgranicznie wierni swojemu dowódcy, któremu » ufają jak Bogu, i za to chyba czuję do Peñy odrobinę sympatii. Ktoś, kto budzi takie uczucia, musi być porządnym facetem.

I na koniec Terry Kassou, mój brat.

On jest w najgorszym stanie. Żałuję, że uległam jego prośbom i wstawiłam się za nim. Boże, gdybym dorwała w swoje ręce psychologa, który wystawił mu opinię „emocjonalnie stabilny”, to wyrwałabym mu wszystkie kudły!

236 • Anna Kańtoch

Lalita zmarła przed pięcioma miesiącami, a on wziął ze sobą Konstruktor Osobowości Tearlea, tę zabawkę dla bogatych i nieszczęśliwych, którą ludzie nazywają KOT-em. Lalita poddała się skanowaniu, gdy miała dwadzieścia lat, i nigdy później go nie odnawiała, dlatego też razem stanowią osobliwą parę: młodziutka kobieta, niemal jeszcze nastolatka, i siwiejący, pomarszczony mężczyzna, który tłumaczy, że jest jej ukochanym mężem, tym samym, którego ona pamięta jako pełnego życia młodzieńca. Mam wrażenie, że po pięciu miesiącach Lalita wciąż jeszcze nie całkiem w to uwierzyła, a z pewnością tej zmiany nie zaakceptowała. Czasem gdy patrzy na Terryego, w jej oczach, widzę niepewność, obawę, a nawet wstręt. Pamiętam La-litę z czasów, gdy miała dwadzieścia lat - to była uparta, zwariowana dziewczyna z gatunku tych, które szczerze wierzą, że świat należy do młodych i lepiej umrzeć przed trzydziestką. KOT co prawda jest tylko hologramowym, bezcielesnym duchem, lecz ma jej osobowość, a ta nigdy nie zaakceptowałaby postarzałego Terryego.

Podejrzewam, że Terry od początku o tym wiedział i przed uruchomieniem kazał wprowadzić do programu pewne modyfikacje. Dlatego Lalita jest tak bierna, nie płacze, nie krzyczy, nie awanturuje się, tylko uśmiecha łagodnie, gdy Terry do niej mówi. A mówi bez przerwy, za wyjątkiem tych nielicznych chwil, gdy przebywa poza stacją, bo wtedy powierza żonę mojej opiece. Noszę bransoletę Tearlea na rękę, ale rzadko ją uaktywniam - niech osobowość Lality pozostaje w uśpieniu, ja mam dość jej towarzystwa.

Tak samo mam dość - wszyscy mamy szczerze dość -emocjonalnego ekshibicjonizmu Terryego. On nie dba o to, czy ktoś go słyszy, czy nie, a ponieważ stacja jest niewielka,

Światy Dantego

więc nie mamy gdzie uciec przed potokiem słów, które z siebie wyrzuca. Kochanie to, kochanie tamto, znowu jesteście razem i skarbie-mój-wszystko-będzie-dobrze, jakby, cholera, cokolwiek mogło być dobrze, skoro Lalita nie żyje. W innej sytuacji może byśmy mu współczuli, a tak jesteście zażenowani, bo zalewa nas swoimi chorymi emocjami i zmusza do uczestniczenia w tej parodii miłości. A zaraz za zażenowaniem przychodzi złość na niego i na ten jego cholerny Konstrukt. Ja również jestem źirytowana, ale jednocześnie ich żałuję. Lality, ponieważ najpierw umarła, a potem okaleczono jej osobowość, i Terryego, który rozpaczliwie udaje, że zmodyfikowany KOT jest jego kochającą żoną...

Sofia umilkła wyczerpana. Miała świadomość, że w ostatnim fragmencie dała się ponieść emocjom, i postanowiła na przyszłość uważać. Lubiła myśleć o sobie jako o kobiecie chłodnej, rozsądnej i zawsze opanowanej.

- Wergiliuszu?

Tak - komputer wyposażono w miękki, budzący zaufanie głos rasowego psychopaty.

- Zapisz to, a potem pokaż przegląd prasy.

Była jedyną osobą na stacji, która jeszcze sprawdzała napływające z Ziemi wiadomości. Pozostali za bardzo się bali, co usłyszą.

Ponad dziesięć tysięcy zmarłych w Tokio, Orlean miastem duchów, zaraza przekracza atlantyk, wojsko pacyfikuje nowe delhi, trwają prace nad szczepionką.

Sofia uśmiechnęła się gorzko. Trwają prace nad szczepionką! Dokładnie to samo słyszała, gdy pakowała walizkę przed przekroczeniem Bramy. Od tego czasu minęły trzy miesiące i szczepionki nadal nie było.

Anna Kańtoch

Encarnita karą zesłaną na ludzkość za jej grzechy? Masowe samobójstwa w...

- Następna - warknęła. Dość miała słuchania o śmierci.

Naukowcy ze Świata Dantego 17 donoszą, że

znaleźli coś, co może być lekarstwem na encarnitę.

- Zatrzymaj.

Czym jest Dante 17? Walhalla, przypomniawszy sobie Sofii. Szesnastka to Avalon, a siedemnastka Walhalla. Co, u licha, może tam być uzdrawiającego? Złote tarcze? Przybite do ściany wilki? Dużo żarcia?

- Dalej.

Nie są jednak pewni, czy uda im się przetransportować lek przez Bramę.

Och, oczywiście to główny problem ze wszystkimi Światami Dantego, prawda? Można do nich wejść, ale nie można niczego wynieść na zewnątrz. My również mamy tu coś, co być może pomogłoby chorym, i gdybyśmy tylko znaleźli sposób, by wysłać to na Ziemię...

Potrząsnęła głową. Takie gdybanie powodowało, że czuła się bardziej winna, choć jako lingwistka nie miała nic wspólnego z problemami transportu. W fakcie, że epidemia ospy krwotocznej, zwanej potocznie Encarni-tą, oraz odkrycie Bram nastąpiły niemal równocześnie, wielu widziało palec boży. Od początku ludzie wierzyli, że na którymś ze Światów Dantego naukowcy odkryją lek na zarazę, a może i na wszystkie choroby, kto wie. Największe nadzieje wiązano, rzecz jasna, z jedyńką, ale jedyńka zawiodła. Wysłano tam trzy ekipy - pierwsza składała się z miłych i niewątpliwie bogobożnych księży, druga z nieco mniej miłych i bogobożnych naukowców,

Światy Dantego

trzecia zaś z uzbrojonych po zęby marines, którzy jasno deklarowali, że w Boga nie wierzą, a jeśli jednak istnieje, to lepiej, kurwa, niech im schodzi z drogi. Żadna z tych grup nie wróciła.

Na pozostałych światach badacze radzili sobie znacznie lepiej, a na kilkunastu znaleziono coś, co być może mogłoby być lekiem na Encarnitę. Mogłoby, bo żadnej z tych substancji jak dotąd nie udało się przetransportować przez Bramę i wypróbować. Coraz częściej przebąkiwano o ewakuacji zdrowych jeszcze ludzi na tę ze światów, które wydawały się najbezpieczniejsze. Był to gigantyczny, bardzo skomplikowany projekt i Sofia wątpiła, czy uda się go w pełni zrealizować. Prawdopodobnie nie, uznała. Jeśli szybko ktoś nie znajdzie sposobu, by przenieść któryś z leków przez Bramę, ludzkość wymrze, a Ziemia stanie się planetą ruin i bielejących w słońcu kości.

Potarła skronie, by odpędzić podobne "myśli.

- Pomiń artykuły związane z zarazą i pokaż te dotyczące Bram - poleciła Wergiliuszowi.

Komputer kojącym głosem recytował kolejne wiadomości. Spekulacje dotyczące Bram - czym są i czy naprawdę prowadzą do znanych z legend i religijnych ksiąg światów, czy też może jedynie do równoległych rzeczy - > wistości, gdzie wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Czy ludzie już wcześniej przechodzili przez nieustabilizowane Bramy, a jeśli tak, to jacy. Zabawny artykuł, którego autor zastanawiał się, czy Dante Alighieri był takim właśnie człowiekiem, czy też opierał się na relacjach innych, a może w ogóle zmyślał. Pytania o konsekwencje odkrycia Bram - psychologiczne, ontologiczne i teologiczne. Wywiad z egipskim profesorem, który protestował przeciwko nazwaniu Iaru Światem Dante-

240 • Anna Kańtoch

trzecia zaś z uzbrojonych po zęby marines, którzy jasno deklarowali, że w Boga nie wierzą, a jeśli jednak istnieje, to lepiej, kurwa, niech im schodzi z drogi. Żadna z tych grup nie wróciła.

Na pozostałych światach badacze radzili sobie znacznie lepiej, a na kilkunastu znaleziono coś, co być może mogłoby być lekiem na Encarnitę. Mogłoby, bo żadnej z tych substancji jak dotąd nie udało się

przetransportować przez Bramę i wypróbować. Coraz częściej przebąkiwano o ewakuacji zdrowych jeszcze ludzi na te ze światów, które wydawały się najbezpieczniejsze. Był to gigantyczny, bardzo skomplikowany projekt i Sofia wątpiła, czy uda się go w pełni zrealizować. Prawdopodobnie nie, uznała. Jeśli szybko ktoś nie znajdzie sposobu, by przenieść któryś z leków przez Bramę, ludzkość wymrze, "a Ziemia stanie się planetą ruin i bielejących w słońcu kości.

Potarła skronie, by odpędzić podobne myśli.

- Pomiń artykuły związane z zarazą i pokaż te dotyczące Bram - poleciła Wergiliuszowi.

Komputer kojącym głosem recytował kolejne wiadomości. Spekulacje dotyczące Bram - czym są i czy naprawdę prowadzą do znanych z legend i religijnych ksiąg światów, czy też może jedynie do równoległych rzeczywistości, gdzie wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Czy ludzie już wcześniej przechodzili przez nieustabilizowane Bramy, a jeśli tak, to jacy. Zabawny artykuł, którego autor zastanawiał się, czy Dante Alighieri był takim właśnie człowiekiem, czy też opierał się na relacjach innych, a może w ogóle zmyślał. Pytania o konsekwencje odkrycia Bram - psychologiczne, ontologiczne i teologiczne. Wywiad z egipskim profesorem, który protestował przeciwko nazwaniu Iaru Światem Dante-

Anna Kańtoch

trzecia zaś z uzbrojonych po zęby marines, którzy jasno deklarowali, że w Boga nie wierzą, a jeśli jednak istnieje, to lepiej, kurwa, niech im schodzi z drogi. Żadna z tych grup nie wróciła.

Na pozostałych światach badacze radzili sobie znacznie lepiej, a na kilkunastu znaleziono coś, co być może mogłoby być lekiem na Encarnitę. Mogłoby, bo żadnej z tych substancji jak dotąd nie udało się przetransportować przez Bramę i wypróbować. Coraz częściej przebąkiwano o ewakuacji zdrowych jeszcze ludzi na te ze światów, które wydawały się najbezpieczniejsze. Był to gigantyczny, bardzo skomplikowany projekt i Sofia wątpiła, czy uda się go w pełni zrealizować. Prawdopodobnie nie, uznała. Jeśli szybko ktoś nie znajdzie sposobu, by przenieść któryś z leków przez Bramę, ludzkość wymrze, a Ziemia stanie się planetą ruin i bielejących w słońcu kości.

Potarła skronie, by odpędzić podobne myśli.

- Pomiń artykuły związane z zarazą i pokaż te dotyczące Bram - poleciła Wergiliuszowi.

Komputer kojącym głosem recytował kolejne wiadomości. Spekulacje dotyczące Bram - czym są i czy naprawdę prowadzą do znanych z legend i religijnych ksiąg światów, czy też może jedynie do równoległych rzeczywistości, gdzie wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Czy ludzie już wcześniej przechodzili przez nieustabilizowane Bramy, a jeśli tak, to jacy. Zabawny artykuł, którego autor zastanawiał się, czy Dante Alighieri był takim właśnie człowiekiem, czy też opierał się na relacjach innych, a może w ogóle zmyślał. Pytania o konsekwencje odkrycia Bram - psychologiczne, ontologiczne i teologiczne. Wywiad z egipskim profesorem, który protestował przeciwko nazwaniu Iaru Światem Dante-

Anna Kańtoch

trzecia zaś z uzbrojonych po zęby marines, którzy jasno deklarowali, że w Boga nie wierzą, a jeśli jednak istnieje, to lepiej, kurwa, niech im schodzi z drogi. Żadna z tych grup nie wróciła.

Na pozostałych światach badacze radzili sobie znacznie lepiej, a na kilkunastu znaleziono coś, co być może mogłoby być lekiem na Encarnitę. Mogłoby, bo żadnej z tych substancji jak dotąd nie udało się przetransportować przez Bramę i wypróbować. Coraz częściej przebąkiwano o ewakuacji zdrowych jeszcze ludzi na te ze światów, które wydawały się najbezpieczniejsze. Był to gigantyczny, bardzo skomplikowany projekt i Sofia wątpiła, czy uda się go w pełni zrealizować. Prawdopodobnie nie, uznała. Jeśli szybko ktoś nie znajdzie sposobu, by przenieść któryś z leków przez Bramę, ludzkość wymrze, >a Ziemia stanie się planetą ruin i bielejących w słońcu kości.

Potarła skronie, by odpędzić podobne myśli.

- Pomiń artykuły związane z zarazą i pokaż te dotyczące Bram - poleciła Wergiliuszowi.

Komputer kojącym głosem recytował kolejne wiadomości. Spekulacje dotyczące Bram - czym są i czy naprawdę prowadzą do znanych z legend i religijnych ksiąg światów, czy też może jedynie do równoległych rzeczywistości, gdzie wszelkie podobieństwa są przypadkowe. Czy ludzie już wcześniej przechodzili przez niestabilizowane Bramy, a jeśli tak, to jacy. Zabawny artykuł, którego autor zastanawiał się, czy Dante Alighieri był takim właśnie człowiekiem, czy też opierał się na relacjach innych, a może w ogóle zmyślał. Pytania o konsekwencje odkrycia Bram - psychologiczne, ontologiczne i teologiczne. Wywiad z egipskim profesorem, który protestował przeciwko nazwaniu Iaru Światem Dante-

Anna Kańtoch

go 34. „Ta nazwa wywodzi się z obcej nam kultury i jest kolejnym dowodem, że cywilizacja Zachodu wciąż próbuje nas zdominować i narzucić swój punkt widzenia”, twierdził.

Sofia uśmiechnęła się. Nazwa „Światy Dantego” zbyt mocno wrosła w powszechną świadomość, by dać się wyrugować. Wymyślił ją jej mąż, wielbiciel włoskiego poety. Sofia nie miała miłych wspomnień po zmarłym tragicznie Jacinto Vilchezie, ale uważała, że to akurat był dobry pomysł.

Przełączyła wiadomości na tryb tekstowy, a potem wstała i wykonała kilka prostych ćwiczeń, rozciągając zeszywniałe mięśnie. Przez cały czas patrzyła w ekran, po którym przesuwały się fragmenty artykułów.

...Kompletne fiasko w próbach porozumienia

z tubylcami na...

...Kolejna ekipa wraca z pustymi rękami...

...Zbudować pomnik poświęcony pamięci Jacinto Vilcheza, człowieka, który odkrył naturalne portale zwane bramami, a później ustabilizował

je, tak iż możemy bezpiecznie przechodzić...

t

Zacisnęła usta w gorzkim uśmiechu. O tak, była pewna, że Jacintowi pomnik bardzo by się spodobał.

Schyliła się, próbując dotknąć dłońmi palców u stóp. Jeszcze trochę niżej. Jej mięśnie protestowały, a przez ekran przewijał się kolejny artykuł, tym razem dotyczący odkrycia na Dantem 29 mozaiki składającej się z dwunastu czarno-białych kręgów.

Sofia uznała, że wystarczy, jak dotknie kostek. Ostatecznie nie była już młoda.

Wyprostowała się, odetchnęła.

...Bardzo osobliwe znalezisko.

Światy Dantego • 241

Przeczytała ostatnie słowa, które nic jej nie mówiły, po czym zwilżyła gardło kilkoma łykami zimnej wody.

Lubiła przebywać samotnie na stacji. Podobał jej się panujący wtedy spokój i cisza, w której słychać było tylko szum generatora i poskrzypywanie amortyzatorów.

Jedna istota na zewnątrz, poinformował głośno Wergiliusz.

Zamarła, w jednej chwili zabrakło jej tchu, w głowie zawirowało, nogi zrobiły się miękkie jak galareta.

- Człowiek? - szepnęła bezsensownie. Wergiliusz znał każdego członka ich grupy i nazywał ich po imieniu. Żadnych innych żywych ludzi tu nie było, a martwi przebywali wyłącznie w Otchłani. v

Obca istota.

Diabeł, na zewnątrz jest diabeł, pomyślała. Przynęła sobie krzesło, usiadła i odetchnęła, przyciskając dłoń do podbrzusza. Jej żołądek zmienił się w ciasną kulkę; widziała swoje odbicie w metalowej obudowie zbiornika na wodę - blada skóra, bruzdy wokół oczu i ust, nieporządnie związane siwe włosy.

Po prostu stara kobieta. Stara, przerażona kobieta.

Weź się w garść, nakazała sobie. Przecież nie chcesz być płacziwą starowinką, prawda? Nie przeszedł przez Bramę po to, żeby teraz chować się po kątach.

- Wciąż... tam jest?

Potwierdzam. Jedna istota wciąż na ze-

wnątrz.

Przecież rozmawiałeś już z diabłami, tłumaczyła sobie Sofia, i nigdy żaden z nich nie próbował cię atakować.

Anna Kańtoch

Tak, ale wtedy obok stali żołnierze, odezwała się rozsądniejsza część jej umysłu. Pociski rozrywające miały poradzić sobie z morfującymi stworami, gdyby zawiodła broń bardziej konwencjonalna. Kapitan Pena wierzył, że w razie potrzeby okażą się skuteczne. Sofia była nieco bardziej sceptyczna - diabły przecież potrafiły się regenerować - ale...

Ale pociski mogłyby przynajmniej je zatrzymać. Choć na krótko, na kilka minut. Tyle wystarczy, by uciec. Teraz nie będę miała nawet tak nikłej szansy.

Z drugiej strony, jeśli nie otworzę drzwi, to do końca życia będę sobą gardzić. Dalej, Sofia, rusz się. Pamiętasz, jak studenci za plecami nazywali cię wredną suką i jeszcze gorzej? Zawsze uważałaś się za twardą babę - udowodnij, że na to zasługujesz. Raz się żyje, prawda? Bo w obecnej sytuacji życie pośmiertne to nie jest coś, o czym człowiek chciałby myśleć. Więc wykorzystaj okazję, póki jeszcze oddychasz - niech znają cię jako kobietę, która samotnie poszła na spotkanie z diabłem...

Wstawaj.

Wstała, zakręciło jej się w głowie i oparła biodro o stół. Coś upadło na podłogę: zwykły kubek, jakieś próbki, które Terry czasem zostawiał w mesie, zamiast zanieść do laboratorium? Mniejsza z tym. Sofia ruszyła do wyjścia. Wbiła kod aktywujący i właz otworzył się z cichym sykiem. Stanęła w progu, tłumacząc sobie, że w razie czego zawsze może się cofnąć, ale w głębi serca wiedziała, że to złudne pocieszenie. Diabły potrafiły być... diablo szybkie.

Stacja stała pół metra nad morfującym gruntem, tak więc kobieta i potężny, bardzo wysoki gość znajdowali się mniej więcej na tym samym poziomie.

Światy Dantego • 243

i.

■

Sofia spojrzała.

Diabeł morfował tak gwałtownie, że żołądek podszedł jej do gardła. Czerwone, pełne ostrych zębów paszcze, które pączkowały wewnątrz jeszcze większych paszcz, pazury, rogi i obsypane gorejącymi ślepiami skrzydła -wszystko to rodziło się, umierało i na powrót rodziło w nieustannym akcie chaotycznej kreacji.

Wytrzymała na tyle długo, by udowodnić gościowi -a przede wszystkim samej sobie - że się nie boi. Potem pochyliła głowę w wyrazie pozbawionego uniżoności szacunku. Diabły najlepiej reagowały na taką właśnie postawę i ten nie był wyjątkiem. Elementy jego sylwetki zmieniały się wolniej pośrodku i szybciej na obrzeżach -niewątpliwa oznaka dobrego humoru, którą Sofia dostrzegała kątem oka.

- Przyszedłem rozmawiać - powiedział. Głos miał niemal ludzki, niemal... miły, jednak z osobliwą, wysoką i irytującą nutą, która kojarzyła się z dźwiękiem noża drapiącego o szkło. - O nieumarłej. Widzieć się z Lali-tą.

Sofia właściwie już się nie bała. Strach został wyparty przez fale adrenaliny, które wirowały jej w głowie.

- Chcesz się zobaczyć z Lalitą?

- Lalita, tak. Nieumarła.

Przy ostatnim spotkaniu próbowała wytłumaczyć diabłom pojęcie śmierci, a potem technikę tworzenia KOT-ów. Może źle mnie zrozumieli, pomyślała, może oni sądzą, że ludzie umierają, zaś jedyną, której udało się tego uniknąć, jest Lalita. Nic innego nie tłumaczy takiego zainteresowania - to pierwszy raz, gdy któryś z nich prosi o widzenie z konkretną osobą i w dodatku

Anna Kańtoch

potrafi wymienić jej imię. Nikt z żywych nie dostąpił takiego zaszczytu.

- Oczywiście.

Sięgnęła do bransolety, którą powierzył jej Terry. Przez chwilę zeszywniałe, niepokorne palce ślizgały się po gładkim metalu, potem odnalazły przycisk aktywujący. Lalita pojawiła się tuż obok - na wpół przezroczysta postać ładnej, puciołowatej blondyneczki z zadartym nosem. Jak zawsze po okresie uśpienia wyglądała na lek-* ko oszołomioną, ale szybko odzyskała równowagę. Zmodyfikowany program sprawiał, że nie potrafiła przeżywać silnych uczuć, co niewątpliwie pomagało w takich właśnie sytuacjach.

- Nie umarłaś - powiedział diabeł. - Zmieniłaś się. Jak my.

Pod Sofią ugięły się nogi, świat zawirował, jakby siedziała na karuzeli. Jak my? Jak diabły? Co to ma znaczyć?

- Zmieniłam się - odparła Lalita spokojnie. - Nie mam teraz ciała.

- Czy brakuje ci go?

A może czy jego brak sprawia ci kłopot? Wyrażenie nie było jednoznaczne, a jeśli Sofia miała kłopoty z przekładem, to Lalita, prawdopodobnie w ogóle go nie rozumiała.

Starsza kobieta przetłumaczyła pytanie.

- Tak - odpowiedziała Lalita. Jej beznamiętna twarz zmieniła się; wyraz tęsknoty był niesamowicie silny, niemal drapieżny w swojej zachłanności. Trwało to krótką chwilę i zaraz znikło, a Sofia nie była pewna, czy nie uległa złudzeniu.

Światy Dantego • 24

- Rozmawiałem - zwrócił się diabeł do lingwistki. -Nieumarła może odejść.

- I to by było na tyle - mruknęła Sofia. Nie miała zamiaru zastanawiać się, o co mu chodzi. Przynajmniej nie teraz, gdy wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie. - Pa, Lalita.

Wyłączyła bransoletę.

- Pozwoliłaś mi zobaczyć nieumarłą, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, a ona wyobraziła sobie naukowców jako członków prymitywnego plemienia i Lalitę jako ich bożka, którego za odpowiednią opłatą pokazują innym szczepom. Wizja była tak absurdalna, że z trudem powstrzymała chichot. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się na skraju hysterii i powinna jak najszybciej przerwać rozmowę.

Niemniej jednak nie zamierzała przegapić takiej szansy. To było spore ryzyko, Sofia nie miała pojęcia, jak diabeł zareaguje - mógł się zdenerwować i ją skrzywdzić, może nawet zabić. Jednak to uświadomiła sobie znacznie później, wtedy też przyszło spóźnione przerażenie. Teraz była pijana adrenaliną, odważna do granic szaleństwa.

- Potrzebujemy kawałka twojego ciała"- powiedziała.

- Rozmowa to jedno, ciało to drugie - odparł, morfu-jąc szybciej. - Rozmowa za ciało nie. Ciało za ciało tak.

- Nie rozumiem...

Z chmury wirujących elementów wysunął się czarny i ostry szpon, który musnął mały palec u jej prawej dłoni.

- To - na ziemię upadł kawałek diabła, który wciąż * zmieniał kształty - za to.

Sofia odmawiała „Ojczy nasz", ale słowa nie miały znaczenia, były puste, Bóg nie istniał, a ona modliła się tylko dlatego, że znane z dzieciństwa słowa były liną utrzymującą ją ponad morzem szaleństwa.

Anna Kańtoch

- Rozmawiałem - zwrócił się diabeł do lingwistki. -Nieumarła może odejść.

- I to by było na tyle - mruknęła Sofia. Nie miała zamiaru zastanawiać się, o co mu chodzi. Przynajmniej nie teraz, gdy wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie. - Pa, Lalita.

Wyłączyła bransoletę.

- Pozwoliłaś mi zobaczyć nieumarłą, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, a ona wyobraziła sobie naukowców jako członków prymitywnego plemienia i Lalitę jako ich bożka, którego za odpowiednią opłatą pokazują innym szczepom. Wizja była tak absurdalna, że z trudem powstrzymała chichot. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się na skraju hysterii i powinna jak najszybciej przerwać rozmowę.

Niemniej jednak nie zamierzała przegapić takiej szansy. To było spore ryzyko, Sofia nie miała pojęcia, jak diabeł zareaguje - mógł się zdenerwować i ją skrzywdzić, może nawet zabić. Jednak to uświadomiła sobie znacznie później, wtedy też przyszło spóźnione przerażenie. Teraz była pijana adrenaliną, odważna do granic szaleństwa.

- Potrzebujemy kawałka twojego ciała"- powiedziała.

- Rozmowa to jedno, ciało to drugie - odparł, morfu-jąc szybciej. - Rozmowa za ciało nie. Ciało za ciało tak.

- Nie rozumiem...

Z chmury wirujących elementów wysunął się czarny i ostry szpon, który musnął mały palec u jej prawej dłoni.

- To - na ziemię upadł kawałek diabła, który wciąż * zmieniał kształty - za to.

Sofia odmawiała „Ojcze nasz”, ale słowa nie miały znaczenia, były puste, Bóg nie istniał, a ona modliła się tylko dlatego, że znane z dzieciństwa słowa były liną utrzymującą ją ponad morzem szaleństwa.

246 • Anna Kańtoch

On chce, żebym obcięła sobie palec, myślała, i muszę to zrobić.

Diabeł podał jej nóż - niewielki, ale przynajmniej stabilny; gdy trzymała go w śliskiej od potu dłoni, czuła tylko lekkie drżenie, nic więcej.

Oparła palce o próg, przyłożyła ostrze do nasady najmniejszego, tam gdzie cięcie powinno być najczystsze, szybko rozkrawające staw i oddzielające kości.

I zrobiła to. Bez namysłu, bo gdyby zaczęła myśleć, zaczęłaby też krzyczeć, płakać i wyc. Ostry, jasny ból poraził jej rękę aż do ramienia, a potem popłynął wyżej i przez chwilę Sofia myślała, że wreszcie straci przytomność. W jakimś stopniu to rozwiązanie wydawało się... bardzo kojące.

Z rany tryskała krew, więc owinęła dłoń luźną połą bluzy. Stopniowo mrok przed jej oczami rozprasał się i widziała już odcięty palec, martwy szczątek własnego ciała. Zauważyła, że paznokieć jest odrobinę za długi, i przypomniała sobie, że dziś miała go przyciąć. Na chwilę opanował ją rozdierający, absurdalny żal.

Ledwo zauważyła, że jej rozmówca odszedł. Palec pozostał tarę, gdzie upadł - pod stacją, na morfującym gruncie. Najwyraźniej diabłu zależało na samym akcie obcinania, a nie na jego końcowym efekcie.

Wstała, z trudem pokonując słabość, zeszła na dół, podniosła kawałek diabelskiego ciała i wróciła na stację. Zamknęła wąż, a potem znalazła w sobie jeszcze tyle siły, by założyć regenerujący opatrunek. Zawarte w nim środki stępiły ból i w kombinacji z zażyтыми doustnie pigułkami sprawiły, że Sofia zapadła w ciężki, nienaturalny sen.

- To było głupie, mój Boże, to chyba najgłupsza, najbardziej szalona rzecz, jaką ktokolwiek z nas zrobił. Co ci odbiło, Sofio? Dotąd uważałem cię za rozsądną kobietę... Pozwól, niech to obejrzę. - Nacho Yeung wziął jej dłoń w swoje długie, śniade palce.

- Nic mi nie będzie - wymamrotała. Ból pulsował gdzieś w tle, niemal obojętny, niemal nieważny. Bardziej dokuczająca jej ciężka jak kamień głowa i wyschnięte usta, w których z trudem mieścił się obrzmiały język. - Mogę dostać coś do picia?

- Jasne.

Z ulgą przełknęła kilka tyków chłodnej wody. Poła-jankami Yeunga wcale się nie przejęła. Wiedziała, że wysoki Chińczyk szanuje ją i lubi. A pozartym w jego głosie wyczuwała niepokój, nie złość.

- Rzeczywiście, to było kompletnie idiotyczne - dorzuciła Moana, pogardliwe wydymając wargi.

Ona dla odmiany wcale Sofii nie lubiła. Była bardzo młoda, bardzo ładna i bardzo zdolna, a wszystkie te czynniki razem wzięte sprawiały też, że była bardzo pewna siebie. Od początku jasno dawała do zrozumienia, że miejsce starszych pań jest w domu, przy wnukach i przy kominku, a nie na stacji badawczej.

- Ale dzięki mnie masz materiał do analizy, prawda? -Sofia obdarzyła ją swoim najbardziej uroczym uśmiechem dobrej babci. Wiedziała, że dziewczyna tego nie cierpi. -Znaleźliście ten kawałek ciała? Położyłam go na stole w laboratorium.

- Owszem, znaleźliśmy, ale na podłodze, nie na stole. Trzeba go było włożyć do terrarium. On wciąż morfuje, i to znacznie szybciej niż skała czy metal.

Anna Kańtoch

- Powinnaś odpocząć, zanim wrócą pozostali. -Yeung łagodnie pchnął Sofię z powrotem do pozycji leżącej i otulił kocem. Pozwoliła mu na to. Chińczyk należał do niewielkiej grupy mężczyzn, których troska nie sprawiała, że czuła się upokorzona.

Zasunął ściankę oddzielającą jej posłanie od głównego pomieszczenia. Była cienka, a w kabinie ledwo starczało miejsca, by się położyć, lecz Sofię cieszyła ta namiastka prywatności. Przynajmniej nie musiała patrzeć na Moanę, której twarz przybrała osobliwy wyraz skupienia i jednocześnie złośliwego triumfu. Starsza kobieta wolała się nie zastanawiać, co to mogło oznaczać.

Obudziła się nieco później, gdy wszyscy już wrócili na teren stacji. Wszyscy? Tak, chyba tak, zastanawiała się sennie. Słyszała Terry ego i kapitana Peñę, a w tle głosy młodych żołnierzy.

Terry, Emilio Pena, a także Nacho Yeung kłócili się właśnie o nią, o Sofię, a dokładniej, o zdrowie jej umysłu.

- Ostrzegano nas przed czymś takim, prawda? - to kapitan, jak zawsze mówiący suchym, rzeczowym tonem. - Moim zdaniem, mamy do czynienia z typowym przykładem psychicznego załamania. Powinniśmy zgłosić konieczność wcześniejszego otwarcia Bramy i odesłać Sofię na Ziemię. Ta nieszczęsna kobieta oszalała.

- Bzdura! - głos Terry ego załamał się niebezpiecznie. -Znam ją od dawna i wiem, że ona nigdy... nigdy...

Kochany Terry. Niedawno wstawiła się za nim i teraz splotał dług. A przynajmniej próbował. Jej braciszek,

Światy Dantego

którego kiedyś uczyła puszczać na wietrze latawce. Dawno, dawno temu w innym, lepszym świecie. Przed zmarszczkami, przed śmiercią jej męża i jego żony, przed Encar-nitą i zanim piekła dodano przy nazwie numerek.

- Doprawdy? A gdyby diabeł dostał się na stację, kiedy ona tak po prostu otworzyła mu drzwi? Gdyby zniszczył nasz generator, nasz system odzyskiwania wody, zapasy, komputer i cały nasz sprzęt, a my nawet nie moglibyśmy wysłać wiadomości na Ziemię? Pomyślałeś, idioto? Pomyślałeś, że możemy przez nią umrzeć? Nie wiedząc nawet, co się, kurwa, z nami stanie po śmierci? Może masz ochotę znaleźć się w Otchłani, co? Jeśli tak, to proszę, wolna droga. Ja nie mam zamiaru...

- Przestańcie - powiedział Nacho Yeung łagodnie i zarazem stanowczo. - Rozmawiałem z nią i nie dostrzegłem oznak załamania. Sofia nie jest szalona, po prostu usiłowała coś samej sobie udowodnić, a potem działała w warunkach silnego stresu, który nie pozwalał na jasną ocenę sytuacji.

- Odcięła sobie palec - warknął Pena. - Niby o czym to ma świadczyć, jak nie o skłonnościach autodestruk-cyjnych?

Sofia niemal ujrzała, jak Chińczyk kręci głową.

- Ona się bała, że jeśli tego nie zrobi, to złamie umowę i zdenerwuje diabła, a ponieważ była przerażona, więc nawet nie przyszło jej do głowy, żeby spróbować z nim negocjować. Żadnej autodestrukcji, tylko silny stres. Oczywiście Sofia nie powinna rozmawiać z diabłem bez odpowiedniej ochrony, to było niemądre i musimy jej wytłumaczyć, że podobne wybryki narażają nas wszystkich, niemniej jednak jako lekarz nie sądzę, żeby były potrzebne jakieś... bardziej radykalne środki. A poza tym

-

250 • Anna Kańtoch

5*

- _mś

w głosie Yeunga zabrzmiała nutka rozbawienia - niech pan pamięta, kapitanie, że uruchomienie Bramy pochłania mnóstwo energii i jest bardzo kosztowne. Jeśli Korporacja zabierze Sofię przed wyznaczonym terminem, a potem się okaże, że tak naprawdę nic jej nie dolega, to kto wie czy nie obciążą nas kosztami dodatkowego otwarcia. Pomyślał pan o tym?

Kapitan milczał i Sofia doskonale potrafiła wyobrazić sobie jego twarz. Szczupłą, spaloną słońcem i nabrzmiałą od tłumionego gniewu.

- Chcę, żeby ktoś jej pilnował - odezwał się po chwili. -Bezustannie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ty albo Kassou, skoro jej bronicie, albo w ostateczności jeden z moich ludzi. Tylko pod tym warunkiem nie wyślę oficjalnego zawiadomienia, że Sofia Vilchez postradała zmysły.

Na krótko zapanowała cisza i starsza kobieta wiedziała, że Terry oraz Nacho Yeung w milczeniu kiwają głowami. Kapitan nigdy nie zmieniał decyzji, gdy raz coś postanowił.

- Muszę wam coś powiedzieć - wtrąciła Moana, sądząc po głosie, wyczerpana, ale też zadowolona. - Porównałam próbki diabelskiego ciała i te, które zebrałam od ludzi w Otchłńni, i wiecie co? Obie składają się z bardzo niestabilnej substancji, którą nazwałam meridio-nem...

- Tej samej, która jest w metalu i skałach? - zapytał Pena.

- Tu nie ma nic oprócz skał, metalu i cuchnącej, gorącej wody. No i ognia, oczywiście - odezwał się Terry.

Moana zignorowała go i kontynuowała:

- W przypadku metalu i skał meridion jest tylko dodatkiem. Dlatego krajobraz zmienia się stosunkowo

Światy Dantego 21

wolno. Diabły potrafią morfować błyskawicznie, bo składają się wyłącznie z tej substancji. A teraz uwaga: dokładnie tak samo zbudowane są ciała w Otchłni. To dlatego wciąż płoną i wciąż się odradzają. Ogień powstrzymuje proces morfowania i cała energia meridionu skupiona jest tylko i wyłącznie na regeneracji...

- Moment - przerwał jej kapitan Pena. - Twierdzisz, że gdybyśmy wyciągnęli którąś z tych nieszczęsnych dusz poza zasięg płomieni, to potrafiłaby się zmieniać jak diabeł?

- Owszem. Podejrzewałam to już wcześniej, bo próbki pobrane od ludzi z Otchłni zaczęły morfować, gdy tylko ogień przestawał na nie działać. Nie wiedziałam jednak, że diabły i dusze składają się dokładnie z tej samej materii.

- Więc gównu mamy, a nie lekarstwo na Encarnitę! -wrzasnął Terry z rozpaczą i złością. - Gdyby chodziło tylko o regenerację, to byłoby coś, ale przecież nie zmienimy chorych w zmiennokształtne potwory!

- Nie, ale myślę, że w odpowiednich warunkach i przy odpowiednim sprzęcie meridion dałoby się ustabilizować, tak żeby odpowiadał tylko za odbudowę tkanek.
- Ale w tym celu musimy wysłać go na Ziemię, a nadal nie mamy pomysłu, jak przenieść cokolwiek z tego świata przez Bramę - parsknął Pena.
- My nie, ale znam kogoś, kto pracował nad tym prob-, lemem i był bliski rozwiązania, tyle że umarł.

Sofia gwałtownie usiadła na łóżku.

- Jacinto Vilchez? - głos Terry'ego był wysoki, bardzo młodzieńczy. - Mówisz o Vilchezie?
- Owszem. Pomyślcie: wszyscy twierdzą, że to był kawał skurwysyna, nie? Nawet własna żona nienawidziła

252 • Anna Kańtoch

go tak bardzo, że pozwoliła mu wykrwawić się na śmierć. To gdzie mógł się znaleźć, jak nie tutaj?

Sofia usłyszała, jak Terry głośno przetyka ślinę. Sama nie mogła tego zrobić, bo gardło miała ściśnięte niczym w imadle. Jacinto Vilchez, jej mąż. Tutaj. Człowiek, którego niegdyś kochała, potem zaś nienawidziła. A kiedy umierał, poddała się słabości i zrobiła coś, co do dzisiaj napawało ją wstydem.

- I chcesz go odszukać? Moana, to wariactwo, tam są miliony dusz...

- Ja go widziałam i wiem dokładnie, gdzie jest. Możemy go wyciągnąć.

- Po tych wszystkich torturach pewnie będzie kompletnym wariatem, żaden umysł by czegoś takiego nie wytrzymał - wtrącił Pena.
- Może tak, a może nie. Skoro ciało się regeneruje, to może umysł też? To ma sens, bo po co dręczyć kogoś, kto jest tylko wyjącem kawałkiem mięsa? W każdym razie uważam, że warto spróbować. Kto jest za?

Teraz rozumiem, czemu miała taki wyraz twarzy, pomyślała Sofia.

- W porządku. - Nie trzeba było być psychologiem, by z zadowolonego głosu Moany wywnioskować, że projekt zyskał poparcie. - Ktoś jeszcze musi przekonać Sofię. Jacyś chętni?

Starsza kobieta wstała i energicznie odsunęła ścian-

kę.

- Do czego chcecie mnie przekonać? - zapytała. - Że trzeba wyciągnąć Jacinta z Otchłani? Ależ ja się z wami zgadzam: oczywiście, że powinniśmy to zrobić.

Rozczarowana mina Moany niemal wynagrodziła Sofii szok ostatnich kilkunastu minut.

Światy Dantego

- Nie bałam się Jacinta, kiedy był żywy - dodała z uśmiechem - i tym bardziej nie boję się teraz, kiedy jest martwy.

W oczach Moany błysnęło coś bardzo nieprzyjemnego.

- Och, ale jest pewien problem. Ty nigdy nie byłeś w Otchłani i nie wiesz, jak tam wygląda. Ludzie płoną, regenerują się i znowu płoną. W całym cyklu jest tylko jeden krótki moment, kiedy można zobaczyć rysy takiego człowieka - zaraz potem twarz czernieje i skóra odchodzi od kości. A ja wcale nie jestem pewna, że rozpoznałam Jacinto Vilcheza. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zajmiesz moje miejsce w Belzebubie i zejdziesz do Otchłani. Masz znacznie większe szanse zidentyfikować Vilcheza. Podam wam współrzędne... v »

- Daj spokój, Moana, chcesz zostać na stacji? - z niedowierzaniem zapytał Nacho Yeung. - A my mamy wziąć ze sobą Sofię? To nie ma sensu, skoro raz widziałaś Vilcheza i wiesz mniej więcej, gdzie jest...

- Zejdę do Otchłani - przerwała mu starsza kobieta. - Zresztą i tak chciałam choć raz to zrobić.

- Ta dziewczyna tobą manipuluje - powiedział Nacho Yeung w porze, którą wszyscy na stacji zgodnie nazywali późnym wieczorem. Siedzieli w laboratorium w przyćmionym świetle, które wydobywało z mroku zarysy 'aparatury oraz terrarium z wciąż morfującym kawałkiem diabła. Z mesy dobiegały głosy Terry ego, Moany oraz kapitana Peny. Znow się kłócili, a Sofii nawet nie chciało się przysłuchiwać o co. Najważniejsze, że dopó-

2S4 • Anna Kańtoch

- Nie bałam się Jacinta, kiedy był żywy - dodała z uśmiechem - i tym bardziej nie boję się teraz, kiedy jest martwy.

W oczach Moany błysnęło coś bardzo nieprzyjemnego.

- Och, ale jest pewien problem. Ty nigdy nie byłeś w Otchłani i nie wiesz, jak tam wygląda. Ludzie płoną, regenerują się i znowu płoną. W całym cyklu jest tylko jeden krótki moment, kiedy można zobaczyć rysy takiego człowieka - zaraz potem twarz czernieje i skóra odchodzi od kości. A ja wcale nie jestem pewna, że rozpoznałam Jacinto Vilcheza. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zajmiesz moje miejsce w Belzebubie i zejdziesz do Otchłani. Masz znacznie większe szanse zidentyfikować Vilcheza. Podam wam współrzędne... v ,

- Daj spokój, Moana, chcesz zostać na stacji? - z niedowierzaniem zapytał Nacho Yeung. - A my mamy wziąć ze sobą Sofię? To nie ma sensu, skoro raz widziałaś Vil-cheza i wiesz mniej więcej, gdzie jest...

- Zejdę do Otchłani - przerwała mu starsza kobieta. - Zresztą i tak chciałam choć raz to zrobić.

- Ta dziewczyna tobą manipuluje - powiedział Nacho Yeung w porze, którą wszyscy na stacji zgodnie nazywali późnym wieczorem. Siedzieli w laboratorium w przyćmionym świetle, które wydobywało z mroku zarysy * aparatury oraz terrarium z wciąż morfującym kawałkiem diabła. Z mesy dobiegały głosy Terry'ego, Moany oraz kapitana Peny. Znow się kłócili, a Sofii nawet nie chciało się przysłuchiwać o co. Najważniejsze, że dopó-

24 • Anna Kańtoch

*ą +

ki tamci byli zajęci wrzeszczeniem na siebie, ona i Yeung mogli w miarę spokojnie porozmawiać.

- Podpuściła cię, jakbyś miała dziesięć lat. Naprawdę nie sądziłem, że możesz być tak... głupio dziecinna. - Chińczyk zniżył głos do szeptu. - A gdyby Moana uznała cię za tchórza, to co z tego? Przejmujesz się opinią stukniętej siksy, która lubi patrzeć na płonące ciała, bo jej się wydaje... no, nie wiem, że brak ludzkich uczuć czyni z niej idealnego biologa? Naprawdę musisz jej udowodnić, że nie boisz się zejść do Otchłani?

- Nie jej. - Sofia potrząsnęła głową. - Sobie. Mówiłam prawdę: i tak miałam was prosić, żebyście choć raz mnie tam zabrali.

- Po co?

- Bo w dzieciństwie byłam małą, chudą dziewczynką, która bezustannie musiała walczyć o akceptację, a za najlepszy sposób uznała właśnie udowodnienie, że jest odważniejsza niż inni. Czy taka popularna psychoanaliza cię przekonuje? - Yeung nie wiedział, czy mówi poważnie, czy może kpi sobie z niego. - A może po prostu taka się urodziłam, z wieczną chęcią sprawdzania samej siebie? Nie marńpojęcia, Nacho, naprawdę nie mam pojęcia. I nie sądzę, żeby to miało znaczenie. Raczej się nie zmienię; jak to ładnie mówią, nie nauczysz starego wróbla nowych sztuczek. - Znow się uśmiechnęła, tym razem szerzej. - Czy może to był pies? Mniejsza z tym...

- Dlatego właśnie wolałaś Dantego 3 zamiast jakiegoś miłego miejsca, gdzie elfy pląsają przy świetle księżycy? Idę o zakład, że jako żona Vilcheza mogłaś wybrać którykolwiek ze światów.

- Owszem.

Nacho Yeung westchnął.

Światy Dantego • 255

śś

- Pokaż dłoń.
- Po co? Znakomicie się goi.
- Przyszliśmy tu pod pretekstem, że muszę obejrzyć twoją rękę, i skoro już tu jesteśmy, to równie dobrze mogę to zrobić. Chcesz, żeby zaczęto o nas plotkować?
- Że zamykamy się w laboratorium w celach nieprzyzwoitych? - Sofia zachichotała, a śmiech pogłębił bruzdy wokół jej ust i rozjaśnił oczy. Wyglądała teraz jednocześnie na starszą i bardziej ożywioną. - To byłoby całkiem miłe, ostatni raz plotkowano tak o mnie jakieś piętnaście lat temu. Ale skoro ci zależy...

Yeung skierował snop światła na delikatną, zbliżno-waciałą tkankę. Jeszcze niedawno, pomyślała kobieta, trzeba by naciągać skórę wokół kości, a potem ją zszywać - teraz wystarczy założyć odpowiedni opatrunek. A mimo to natury nie da się oszukać, bo wciąż czuję ból w palcu, którego tak naprawdę już nie ma.

Ból fantomowy, tak to się nazywa.

- A ty? - zapytała.
- Co ja?
- Czemu wybrałeś takie paskudne miejsce jak Dante 3? Nie powinienes być na przykład na dwudziestce dziewiątce? Dwudziestka dziewiątka to chińska kraina nieśmiertelnych, prawda?
- Owszem, ale tylko na trójce jeszcze było wolne miejsce, a ja nie chciałem czekać. A fakt, że jestem Chińczykiem, nie ma znaczenia. Moi dziadkowie byli przykładnymi chrześcijanami, a rodzice na fali mody powrotu do korzeni czcili bogów błyskawicy, fortuny i całe to ta-łatajstwo. Ja natomiast zawsze byłem, hm, powiedzmy, otwarty na różne możliwości.

2S6 • Arma Kańtoch

- No i doczekałeś się. - Sofia wrzuciła wykorzystany opatrunek do kosza. - Teraz wygląda na to, że wszystkie religie w tym samym stopniu są prawdziwe. Albo nieprawdziwe, co kto woli.
- I nie ma już miejsca dla Boga...
- Ależ oczywiście, że jest.
- Jesteśmy w piekle, Sofio, razem z komputerem, sondami i sprzętem do analizy. Gdzie tu miejsce dla Boga? To wiedza, nie wiara.

t

Kobieta uśmiechnęła się.

- Nie doceniasz tej drugiej. Wiara przetrwała mnóstwo rzeczy. Teorię ewolucji, dotarcie do jądra Ziemi, odkrycie, że nie jesteśmy we Wszechświecie sami. Wszystko to nie eliminowało Boga, a tylko... odsuwało go odrobinę dalej. Im więcej wiemy, tym Bóg jest dalej, ale wciąż istnieje, zawsze krok poza tym, co rozumiemy i potrafimy zbadać.

Nacho Yeung spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Nie podejrzewałem cię...

Zamilkł, bo do laboratorium weszła Moana, zarumieniona i ładna niczym walkiria, która właśnie toczy bitwę. ' <

- Mamy problem - powiedziała, odgarniając z czoła jasne włosy. - Terry się upiera, że musimy prosić diabły o pozwolenie na zabranie Vilcheza. Dla mnie i dla kapitana to idiotyzm, diabły wcale się nie interesują tym, co robimy w Otchłani. A poza tym nawet nie wiadomo, gdzie je znaleźć - one odchodzą i przychodzą, jak im się podoba, i jeśli będziemy czekać, aż któryś z nich łaskawie się u nas zjawi, to przegapimy szansę. Do otwarcia Bramy zostało pięć dni i jeśli mamy coś zrobić, to musimy się spieszyć. Co wy na to?

Światy Dantego • 2

Sofia i Nacho Yeung milczeli. W mesie też zapadła cisza, słychać było tylko Terry'ego, który mówił do Lality: „Już niedługo wrócimy do domu, zobaczysz, skarbie, pojedziemy razem nad ocean, będziemy spacerować po plaży, zupełnie jak kiedyś, zobaczysz, że będziesz szczęśliwa...”. I jeszcze raz to samo, szybciej i bardziej gorączkowo. Z każdym dniem w jego głosie słychać było coraz mniej wiary, a więcej czegoś, czego Sofia nie potrafiła określić, a co sprawiało, że jej serce ścisnęło się w przeczuciu nadchodzącej tragedii.

Na twarzy Moany pojawił się wyraz obrzydzenia i starsza kobieta z trudem powstrzymała chęć spoliczkowania jej.

- Jak dotąd z Otchłani wynosiliśmy tylko próbki ciał, nigdy całego człowieka - przerwał ciszę Yeung.
- Nie wiem, jak diabły na coś takiego zareagują, mogą się zdenerwować...

- Wiem, ale Moana ma rację - Sofia zmusiła się, aby powiedzieć te kilka słów, bo to była prawda. - Nie możemy czekać, aż będzie okazja, żeby zapytać o zgodę. Trzeba zaryzykować.

- Trzy na dwa, w porządku. - Dziewczyna skinęła głową i wróciła do mesy.

Przez chwilę Sofia myślała, że Yeung zechce ją przekonać, by zmieniła zdanie, ale Chińczyk wrócił do poprzedniego tematu:

- Zastanawiałaś się kiedyś, jak to wszystko funkcjonu- , je? To znaczy czy istnieje jakaś wyższa istota, która rozdziela ludzkie dusze na zasadzie: chrześcijanie do trójki, dwójki bądź jedyńki, Chińczycy do trzydziestki, muzułmanie do dziewiątki i tak dalej? Jeśli tak, to z oczywistych powodów ową istotę trudno uznać za Boga takie-

Anna Kańtoch

f

go, jak pojmują go chrześcijanie. A może to jest zależne od psychiki, od przekonania?

- Jeśli ktoś wierzy, że jest grzesznikiem i po śmierci trafi do piekła, to faktycznie tak się dzieje? - Sofia zastanowiła się, a potem potrząsnęła głową. - Nie podoba mi się taka opcja, bo to znaczyłoby, że tam, na dole, smaży się w ogniu mnóstwo przyzwoitych ludzi, którzy zgrzeszyli tylko tym, że żyli bez ślubu albo za bardzo lubili

, ciastka z kremem.

- Tak czy inaczej, ta... kara, czy jak to nazwać, nie trwa wiecznie. Tak sędzę. To jedno jest pocieszające. Gdyby w Otchłani mieli znajdować się wszyscy potępieni chrześcijanie, musiałoby być ich znacznie, znacznie więcej. Wiesz - uśmiechnął się blado, a starsza kobieta pomyślała, że przydałby mu się sen, porządny posiłek, nie pakiet żywnościowy, a przede wszystkim długi, długi urlop -wyobraziłem sobie, że wyciągamy z Otchłani jakieś sto osób, tyle, żeby to stanowiło wiarygodną próbkę statystyczną, a potem wręczamy każdemu z nich ankietę. Czy zostałeś wychowany w wierze chrześcijańskiej - zakreśl tak lub nie; czy przestrzegałeś dziesięciu przykazań -zawsze, często, od czasu do czasu, rzadko i nigdy...

Żart się nie udał, bo pod koniec Yeung skrzywił usta, jakby z trudem opanował płacz, lecz Sofia doceniła dobre chęci i spróbowała odpowiedzieć uśmiechem.

- Teraz poszukiwanie leku na Encarnitę ma priorytet, ale potem, kto wie, może ktoś coś takiego spróbuje zrobić...

Wiedziała, że oboje pomyśleli o tym samym.

O ile w ogóle będzie jakieś potem.

W mesie ktoś krzyczał, Sofia słyszała piskliwy głos Terry ego i wrzaski Moany. Nie była to pierwsza taka kłótnia, więc starała się ją ignorować.

Światy Dantego • 2

- Dlaczego nigdy nie zapytałaś diabłów?

-O co?

- Wiesz o co. - Pod jego łagodnym, cierpliwym spojrzeniem poczuła się nieswojo, zupełnie jakby Yeung sięgnął do rejonów jej duszy, o których istnieniu wołała nie pamiętać. - Jeśli to naprawdę zbuntowane anioły, to powinny znać Boga, prawda?

- Brakuje mi odpowiednich słów...

- Poradziłabyś sobie. Dlaczego nie zapytałaś?

Dobiegające z mesy krzyki stawały się coraz głośniejsze i bardziej histeryczne. To już nie była zwyczajna kłótnia, a dzika awantura.

Sofia wstała. ,

- Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje...

- Odpowiedz, proszę. † >

Odgarnęła z czoła włosy.

- Bo tak naprawdę to nie miałyby znaczenia. Niezależnie od tego, jaką otrzymałabym odpowiedź, i tak prawdopodobnie uznałabym ją za kłamstwo. To w końcu diabły, nie?

Odwróciła się i otworzyła drzwi do mesy.

Skulony na krześle Terry osłaniał coś, co Moana usiłowała mu odebrać. Nawet nie próbował walczyć.

- Mam dość! - wrzeszczała. - Kurwicy dostanę, jak jeszcze raz włączysz to cholerstwo, oszaleć można, dawaj, wypierdolę to na zewnątrz...

Terry jęczał, przyciskając do brzucha bransoletę Tearlea. Włosy miał poszarpane, paznokcie Moany zostały stawity na jego ramieniu długie, spływające krwią rysy.

Nacho Yeung podszedł, złapał ją, obrócił i bez namysłu uderzył w twarz. Zamrugła i przez chwilę wyglądała

26 • Anna Kańtoch

niemal zabawnie, trochę jak kreskówkowy ludzik, który wytrzeszcza oczy w wyrazie przesadnego zdziwienia.

- Uspokój się - powiedział. - To prywatna rzecz Terryego i może robić z nią, co chce. A swoją drogą -zwrócił się do mężczyzny - powinieneś się trochę ograniczać. Uczciwie mówiąc, mnie też wkurza słuchanie twoich osobistych wynurzeń.

Moana parsknęła z pogardą. Była zdyszana i zaru-t mieniona, ale wyglądała na spokojniejszą. Terry nie odpowiedział. Wciąż kulił się na krześle, tak że starsza kobieta nie widziała jego rysów.

- Powinniśmy iść spać, jutro czeka nas ciężki dzień -powiedziała. - Terry, ty zostajesz na stacji?

Powoli uniół głowę. Sofia spodziewała się, że jej brat będzie roztrzęsiony, może nawet zapłakany, a tymczasem ujrzała bladą, skupioną twarz i osobiwie błyszczące oczy.

- Nie zostanę tu z nią. - Ruchem podbródka wskazał Moanę. - Wolę lecieć z wami.

Nie zostaniesz dlatego, bo boisz się, że ona zniszczy twoją bransoletę, czy dlatego, że ty zrobisz jej krzywdę? - zapytała w myślach Sofia i natychmiast uznała tę myśl za tak absurdalny, że aż zabawną.

- Powinniśmy iść spać - powtórzyła.

Sofii śniły się nagłówki w prasie.

Na Encarnitę nie ma lekarstwa. Ludzkość zniszczona przez zarazę. Opustoszała Ziemia celem kolonizacji kosmitów.

Światy Dantego

u

Potem ujrzała pustynię. Z piasku sterczały ruiny i kości oświetlone na czerwono przez stare, wygasające słońce. W jego blasku stała Lalita, zupełnie naga; wiatr szarpał jej jasne włosy.

Odwróciła się i spojrzała prosto na Sofię.

- Ludzie umierają - powiedziała. - Ja tylko się zmieniam.

Starsza kobieta obudziła się spocona, z kołaczącym sercem. Sen rozmywał się i po chwili nie pamiętała już nic poza tym, że miała koszmar.

Belzebub był srebrzystoszary, pękaty i zaopatrzony w cztery silniki - dwa z przodu i dwa z tyłu. Siedząc w środku, Sofia wspominała los jego poprzednika, Lucyfera, który uległ awarii i teraz rdzewiał oplatany przez morfujące krzewy.

Nie było to miłe wspomnienie.

Poprawiła zbyt ciasno zapięty pas. Belzebub gładko sunął w dół, a ona czuła się trochę tak, jakby zjeżdżała windą. Bardzo szybką windą.

Z sąsiedniego fotela Nacho Yeung posłał jej uspokajające spojrzenie.

- Głębokość osiemset pięćdziesiąt metrów, temperatura na zewnątrz tysiąc czterysta stopni. Broń sprawdzona i przygotowana, tarcze termiczne aktywne - poinformował pilot. Był bardzo młody - Sofia wciąż nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chłopcy kapitana Peny * powinni uczyć się w szkole - ale wyglądało na to, że wie, co robi.

- To można wytrzymać - mamrotał Terry nie wiadomo do kogo. Palcami lewej dłoni bezustannie dotykał bransolety, muskał ją i głaskał. - Wszystko można wytrzymać.

Sofia poczuła znajomy ucisk w sercu. To się źle skończy, pomyślała, nie powinniśmy go ze sobą zabierać. Na stacji mógłby trochę wypocząć...

Jednak było za późno na zmianę decyzji.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Emilio Peña, a Belzebub przestał opadać.

Pilot uruchomił monitor.

- Można wytrzymać - szeptał Terry. - To niemal jak film, prawda?

Na ekranie wiły się i skręcały w mękach ludzkie postacie. Było ich tak dużo, że wpełzały jedna na drugą niczym robaki w daremnej próbie uniknięcia płomieni. Ich skóra czerniała i odpadała, odsłaniając kości, a potem znów się regenerowała i na krótko, może na dwie - trzy sekundy, tam, na rozżarzonej skale, leżał nie na wpół spalony trup, lecz człowiek.

Świadomy swego losu człowiek.

Sofia zrozumiała to w momencie, gdy jeden z nich spojrział w górę. Zobaczyła jego oczy i wiedziała, że on wie, że jeśli tylko zechcą, mogą go ocalić.

- Wszystko... da się... wytrzymać - głos Terry ego niebezpiecznie przypominał szloch.

- Sofio, widzisz tu gdzieś Vilcheza? - zapytał Peña.

Nie wszystko, myślała, przesuwając wzrokiem po

ekranie.

Wtedy, gdy już miała się poddać po raz pierwszy w życiu, dostrzegła zmarłego męża.

Światy Dantego • 2

- Ten. - Wycelowała palec w ekran i zamknęła oczy. Ciemność była błogosławieństwem.

- Znakomicie. - Pena skinął głową. - Jorge, mógłbyś zaznaczyć dla nas tego pana?

Sofia uniosła powieki i zdążyła zobaczyć, jak w Vil-cheza wbija się mała strzałka. Utkwiła głęboko w kości, a nie w ciele.

- Powinna wytrzymać kilkanaście minut. Więcej czasu nie potrzebujemy.

Donato - kolejny z bardzo młodych żołnierzy - już zakładał ciężki termiczny skafander.

- Na dole niewiele będziesz widział - poinformował go Pena. - Nie kieruj się wzrokiem, tylko sygnałem radiowym. Złap Vilcheza i załóż mu uprząż, a my wciągniemy was na górę. >

Donato wyglądał na wystraszonego, ale panował nad sobą. Oczy miał szare i bardzo ładne, zlepione potem włosy sterczały mu nad czołem w zabawnych kosmykach.

Założył hełm i przez wizjer posłał im niepewny uśmiech, a potem uniósł kciuk.

- W porządku, otwieramy wewnętrzną gródź.

W głosie kapitana nie słychać było żadnych szczególnych emocji - ot, kolejne zadanie, które trzeba porządnie wykonać.

- Teraz zewnętrzną.

Donato wysunął się z Belzebuba niczym ciężka, niezgrabna lalka na sznurku. Sofia spoglądała na ekran, koncentrując się na jego postaci i starając się omijać wzrokiem potępieńców.

- Donato?

- Na razie wszystko gra, kapitanie.

Anna Kańtoch

- Ten. - Wycelowała palec w ekran i zamknęła oczy. Ciemność była błogosławieństwem.

- Znakomicie. - Pena skinął głową. - Jorge, mógłbyś zaznaczyć dla nas tego pana?

Sofia uniosła powieki i zdążyła zobaczyć, jak w Vil-cheza wbija się mała strzałka. Utkwiła głęboko w kości, a nie w ciele.

- Powinna wytrzymać kilkanaście minut. Więcej czasu nie potrzebujemy.

Donato - kolejny z bardzo młodych żołnierzy - już zakładał ciężki termiczny skafander.

- Na dole niewiele będziesz widział - poinformował go Pena. - Nie kieruj się wzrokiem, tylko sygnałem radiowym. Złap Vilcheza i załóż mu uprząż, a my wciągniemy was na górę.

Donato wyglądał na wystraszonego, ale panował nad sobą. Oczy miał szare i bardzo ładne, zlepione potem włosy sterczały mu nad czołem w zabawnych kosmykach.

Założył hełm i przez wizjer posłał im niepewny uśmiech, a potem uniósł kciuk.

- W porządku, otwieramy wewnętrzną gródź.

W głosie kapitana nie słychać było żadnych szczególnych emocji - ot, kolejne zadanie, które trzeba porządnie wykonać.

- Teraz zewnętrzną.

Donato wysunął się z Belzebuba niczym ciężka, niezgrabna lalka na sznurku. Sofia spoglądała na ekran, koncentrując się na jego postaci i starając się omijać wzrokiem potępieńców.

- Donato?
- Na razie wszystko gra, kapitanie.

Anna Kańtoch

Głos młodego żołnierza był stłumiony, w tle słychać było coś, co Sofia zidentyfikowała dopiero po chwili. Huk płomieni i krzyki.

- Mam go. Spróbuję... podnieść... O kurwa, skóra mu odłazi, kurwa, kurwa...
- Pieprzyć to...
- On się rozpada!
- Wystarczy, że weźmiesz większą część. Słyszysz, Donato? Nie panikuj, powtarzam, wystarczy, że wydostaniesz większą część.

Terry zachłysnął się w dziwacznym ni to jęku, ni to chichocie. Sofia spojrzała w stronę Yeunga.

- Uważaj na mojego brata, proszę. Mam wrażenie, że on zaraz dostanie hysterii.
- Poradzę sobie w razie czego - zapewnił Chińczyk.
- Wyciągnijcie nas! - wrzasnął niemal w tym samym momencie Donato.
- W porządku, zabieramy was stamtąd.

Sofia patrzyła, jak w górę podjeżdża już nie jedno ciało, ale dwa, szczepione ze sobą niczym osobliwa wersja pionowej piety. Jacinto Vilchez zwiślał bezwładnie w ramionach żołnierza, głowę miał odchyloną, oczy zamknięte. Kobieta podziękowała Bogu choć za tę łaskę. Nie była pewna, czy jest gotowa na spojrzenie męża.

- Otworzyć zewnętrzną gródź... Teraz wewnętrzną...

Po chwili zmarły Jacinto Vilchez runął na podłogę Belzebuba. Regenerował się w błyskawicznym tempie, odrastały mu nawet włosy. Mimo to wciąż był nieprzytomny. Leżał nieruchomo z lekko podkurczonymi nogami i dłońmi przy twarzy, jakby próbował stłumić krzyk.

Donato zerwał hełm.

Światy Dantego

- Mam go na sobie! - bełkotał niewyraźnie, blady, z wytrzeszczonymi oczami. - Mam na sobie kawałki jego ciała!

Rzeczywiście, na skafandrze widniały strzępy bladej skóry. Co gorsza, te strzępy morfowały, pełzając po srebrzystej powierzchni.

- Spokojnie, już po wszystkim - powiedział kapitan Pena. - Już po wszystkim.

Sofia przez chwilę myślała, że chłopak zwymiotuje albo dostanie histerii, ale on nagle zapadł się w sobie i zwiesił ramiona, a potem stał biernie, gdy Jorge pomagał mu zdjąć skafander.

- Czemu Vilchez nie morfuje? - cichy szept Terry ego rozległ się tuż przy uchu Sofii. - Może czeka na odpowiednią okazję i wtedy zamieni się w potwoęa, który nas wszystkich pożre?

Wzdrygnęła się.

- Przestań, Terry, proszę cię. Pewnie świadoma istota musi być przytomna, żeby morfować...

- Kapitanie, mamy kłopoty... - w głosie pilota zabrzmiało coś tak bliskiego paniki, że wszyscy momentalnie odwrócili się w jego stronę. - Nadlatują diabły. I chyba są na nas wkurzone.

- Ile? - Czy Sofii się wydawało, czy Pena leciutko pobladł?

- Sześć! Nie, siedem... Osiem!

- Zmywamy się stąd, ale już!

Przyspieszenie wcisnęło Sofię w fotel. Z trudem wy- * ciągnęła ciężką rękę i chwyciła dłoń Terry ego. Trochę aby uspokoić siebie, a przede wszystkim jego. Mężczyzna wyglądał na półprzytomnego, pod przymkniętymi

Anna Kańtoch

powiekami potyskiwały białka, uniesiona wargą odsłaniała zęby w dziwnym, wilczym grymasie.

- Muszę to jeszcze raz zobaczyć... - wymruczał.

- Co takiego?

Nie usłyszała odpowiedzi. Pilot wrzasnął: „Doganiają nas!”, a chwilę później Belzebub zakotłosał się. I jeszcze raz, przy odgłosie głuchego łupnięcia. I jeszcze.

Sofia i Nacho Yeung krzyknęli unisono.

- Chcą nas zepchnąć w Otchłań... - Pilot pobladł; dłonie zaciskał na sterach tak mocno, że pod skórą odznaczały się nabrzmiałe żyły.

- Trzymaj kurs - warknął Peña. Jeśli się bał, to nic po nim nie było widać.

Zaczęli opadać. Sofia nie wiedziała, w jakim tempie, bo wołała nie spoglądać na wysokościomierz, ale niewątpliwie opadali.

- Mamy za duże obciążenie - wymamrotał pilot. - Nie damy rady, kiedy te sukinkoty siedzą nam na dachu.

- No to będziemy do nich strzelać.

- To idiotyzm! - wrzasnęła Sofia. - One się regenerują, tylko je wkurzymy jeszcze bardziej!

Peña spojrział na nią, a potem się odwrócił. Bez słowa, nie poświęciwszy jej nawet lekceważącego wzruszenia ramion. W tej chwili była dla niego czymś w rodzaju przedłużenia pasażerskiego fotela, niczym więcej.

Salwa ciężkich pocisków odepchnęła diabły. Na krótko, może na kilka sekund, co wystarczyło, by Belzebub wznosił się odrobinę. Potem znowu go opadły i zaczęły spychać w dół. Kabina trzęsła się, a Sofia miała wrażenie, że lada moment żołądek wyskoczy jej przez zaciśnięte zęby. Po ekranie przesuwały się wściekle morfujące

Światy Dantego • 267

skrzydła, kończyny, torsy i paszcze. A potem ciemność, gdy jeden ze stworów zasłonił zewnętrzne kamery.

- Pociski rozrywające - zakomenderował zimno kapitan.

Pierwszy pocisk trafił w sam środek diabła, który zasłaniał kamerę. Ciało rozpadło się na setki wirujących strzępów, a pilot wrzasnął triumfalnie. Na próżno, bo fragmenty szybko zbiegły się i połączyły.

- To bez sensu! - krzyczała Sofia. - Musimy oddać Vilcheza! Muszę z nimi porozmawiać!

- Dajcie jej mikrofon! - poparł ją Yeung.

Kolejny diabeł rozpadł się i zregenerował jeszcze szybciej niż jego poprzednik. Potem trzeci i czwarty. Teraz radziły sobie błyskawicznie, ledwo można było zauważyć, że pociski w ogóle w nie trafiają. ■*

To już nie robi na nich wrażenia, pomyślała Sofia. Na początku może były oszołomione, ale się przyzwyczały.

Kapitan także to zauważył i podał jej mikrofon. Również bez słowa, z dokładnie tym samym wyrazem twarzy, z jakim poprzednio się od niej odwrócił. Jakby nie istniała.

Włączyła mikrofon.

- Przestańcie atakować! Oddamy wam... - Cholera, jak określić Vilcheza? Kim on dla nich był? Potępieńcem? Więźniem? Mniejsza z tym, i tak nie znała takich słów. -Oddamy to, co zabraliśmy! Proszę, pozwólcie nam wylądować. Oddamy...

Nacisk zelżał, kabina przestała się trząść i Belzebub uniósł się - najpierw metr, potem dwa i trzy... Kobieta z niedowierzaniem gapiła się na wysokościomierz. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę

nie wierzyła, iż jej słowa cokolwiek zmienią.

Anna Kańtoch

Zamknęła oczy i oparła głowę na fotelu, nagle bardzo słaba, bezbronna i szczęśliwa.

Belzebub wciąż się wznosił, a diabły krążyły wokół niego. Nie musiała patrzeć na ekran, by wiedzieć, że tam są, niczym obstawa eskortująca prezydencki śmigłowiec. Po prostu wiedziała.

Uniosła powieki i napotkała wzrok Terry'ego.

Jego oczy błyszczały, zupełnie jakby przez cały ten czas, gdy diabły atakowały, rozważał jakiś problem i teraz wreszcie znalazł rozwiązanie.

- Już się domyślam, co to może być - powiedział chytrze i jednocześnie z powagą, niczym dzieciak dzielący się tajemnicą. - Posadzka w Katedrze, pamiętasz? Czarno-biała? Chyba wiem, co to jest, muszę tylko jeszcze raz ją zobaczyć...

- Terry... - jęknęła. - Co ma z tym wspólnego posadzka?

- Zauważyłaś, że to jedyne miejsce w tym przeklętym świecie, gdzie występuje biały kolor? Wszystko inne jest czarne albo czerwone. Moana twierdzi, że to nie ma znaczenia, ale ja myślę...

- Co to jest?

Pokręcił głowę, znowu z tym osobliwym, chytrym i dziecinnym uśmiechem na ustach. Gdzieś na obrzeżach świadomości Sofii pojawiła się myśl, że z Terryem dzieje się coś bardzo, bardzo złego, ale nie miała sił, by się tym przejmować.

Nie teraz, gdy Belzebub lądował.

Włożyli lekkie skafandry i hełmy z tlenowymi aparatami - tutaj, blisko krawędzi, atmosfera była gorąca jak w piekarniku i gęsta od smrodu płonących ciał. Na szczęście wiatr zwiewał popiół na przeciwległą stronę Otchłani.

Światy Dantego • 269

—

Albo i na nieszczęście, bo dzięki temu Sofia widziała w drgającym powietrzu wszystkie diabły

Było ich tysiąc, może nawet więcej. Obsiadły równinę, morfujące krzewy, zwierzo-rośliny, roślino-budowle, kolumny i szkieletowe dziwactwa, które niczego nie przypominały. Czekwały w milczeniu niczym gigantyczne stado sępów.

I nie morfowały.

Ten fakt przeraził Sofię bardziej niż cokolwiek innego. Nie wiedziała, o czym to świadczy, ale podejrzewała, że o niczym dobrym.

Ustawili się obok Belzebuba: Sofia, Yeung i Terry pośrodku, a żołnierze po bokach z odbezpieczoną bronią. Jakby to miało w czymkolwiek pomóc, pomyślała z ironią kobieta, ale rozumiała też, że tak zostali wyszkoleni i że dzięki temu przynajmniej nie czują» się .kompletnie bezradni.

Sofia postąpiła krok w przód, to samo zrobił jeden z diabłów. Potem zaczął morfować, co przywitała z ulgą. Nigdy dotąd nie sądziła, że zatęskni do widoku zmieniających się w szaleńczym tempie paszcz, skrzydeł i innych części ciała, które teraz wydały się tak... uspokajająco normalne. Było to tym ważniejsze, że wcale nie miała zamiaru oddać diablom Vilcheza. A przynajmniej nie od razu. Najpierw zamierzała negocjować.

- Popelniliśmy błąd i prosimy o wybaczenie. - Przyjęła postawę pełną szacunku, ale bez uniżoności. - Chcemy zawrzeć ugodę...

Najważniejsze pytanie brzmiało, czy diabeł jest tym samym, z którym rozmawiała ostatnio, a jeśli nie, to czy przynajmniej wie, czego rozmowa dotyczyła. Do licha, ona ich nawet nie rozróżniała! Prawdopodobnie nie mia-

270 • Anna Kańtoch

ło to znaczenia - Sofia podejrzewała, że diabły posiadają rodzaj wspólnej, telepatycznej inteligencji.

Tak czy inaczej, nie zaszkodzi spróbować.

- Chcę zawrzeć ugodę - powtórzyła; jej głos brzmiał głucho wewnątrz hełmu. - To, co zabraliśmy, ta... podobna nam istota, za nieumarłą.

Diabeł zamorfował gwałtownie, nie w wyrazie gniewu - ten nauczyła się rozpoznawać - lecz raczej wahania.

- Zgoda - powiedział po chwili.

Tak po prostu, bez żadnych dodatkowych warunków. Przygotowana na długotrwałe negocjacje Sofia przez moment nie wiedziała, co robić. Dopiero po chwili odwróciła się w stronę Yeunga i Terry ego.

- Dadzą nam Jacinta w zamian za bransoletę Tearlea -oznajmiła.

Chińczyk powoli skinął głową. Tym jednym gestem wyraził wszystko, co mógłby powiedzieć.

Jestem po twojej stronie. Zrobimy to, nawet jeśli trzeba będzie go zmusić. Pomogę ci.

Obok poruszył się Emilio Pena i Sofia, nawet nie patrząc, wiedziała, że jego broń skierowana jest teraz w stronę Terry ego. Kapitan był gotów zabić, gdyby jej brat odmówił oddania bransolety.

Podeszła i objęła go niezgrabnie. Nawet przez warstwę dwóch skafandrow czuła, jak ciało mężczyzny dygocze.

- Tak trzeba, Terry, pozwól Lalicie odejść, pogódź się z jej śmiercią, dzięki temu uratujemy mnóstwo ludzi, pomyśl...

Łagodnie, monotownie; słowa tak naprawdę nie były ważne, tylko głos, który miał uspokoić.

Uświadomiła

Światy Dantego • 21

sobie, że dokładnie takim samym tonem mówiła do chorego psa. Czym prędzej odsunęła tę myśl.

- Nie... - jęczał Terry. - Nie, nie, nie... Nie zabieraj mi jej, proszę...

Jedną ręką obejmowała jego plecy, a drugą zdradziecko przesuwiała w stronę bransolety. Blisko, coraz bliżej. Mężczyzna szlochał w jej ramionach.

- Nic innego nie mam - powiedział, gdy odpięła pierwszy zatrzask.

- Wiem - odparła, odpinając drugi - ale to się zmieni, zobaczysz, nauczysz się żyć bez Lality, wyjdzie ci to na dobre....

Nie wiedziała, czy mówi prawdę, czy też kłamie, zresztą w tej chwili nie miało to znaczenia, pdyby życie jej brata było ceną za uratowanie ludzkości, Sofia by się nie zawahała.

Tak samo gdyby ceną były jego zdrowe zmysły.

Zdjęła ciężką, szeroką bransoletę z przedramienia mężczyzny i podeszła do diabła.

- Jeśli naciśniesz ten przycisk, nieumarła się zjawi...

- Wiem. - Brzegi jego sylwetki zamorfowały szybciej, co było diabelskim odpowiednikiem śmiechu.

- Widziałem, jak to robiłaś.

Ona nie jest żywą osobą, tłumaczyła sobie Sofia, patrząc, jak bransoleta znika wśród wirujących fragmentów. Jest KOT-em i on nie może zrobić jej krzywdy. Zresztą, do cholery, pewnie od razu tę zabawkę zepsuje i Lalita » wróci tam, gdzie jej miejsce - pośród umarłych.

Mimo to wciąż dręczyło ją poczucie winy. Wobec dziewczyny, a zwłaszcza wobec Terry'ego.

Ot, ironia losu, pomyślała. Właśnie przehandlowałam jego ukochaną zmarłą żonę za mojego znieawidzonego

Anna Kańtoch

zmarłego męża. Mam nadzieję, że przynajmniej okaże się przydatny.

Sofię coś zbudziło w środku nocy.

Co to było?

Leżała, jakąś częścią umysłu wciąż przebywając w swoim letnim domku z psem Diukiem, który zdechtł przed dwudziestu laty. Poza tym zastanawiała się, co przerwało jej sen.

Jakiś dźwięk, monotony i bardzo irytujący, który zamilkł ni stąd, ni zowąd w połowie długiego „piiiiip”.

Usiadła gwałtownie, jeszcze niezupełnie rozbudzona, przeczekwała zawrót głowy oraz oszołomienie i wreszcie zaczęła myśleć.

Czujnik ruchu miał ich poinformować, gdyby Jacinto Vilchez się obudził. Założyli go wieczorem i poszli spać. A czujnik włączył się, a potem wyłączył. Dla ścisłości: ktoś go wyłączył.

Wstała, odsunęła ściankę i weszła do mesy.

Jacinto Vilchez siedział przy komputerze, który -przestawiony z trybu mówionego na tekstowy - wyświetlał na ekranie długie rzędy zielonych liter. Ich światło podkreślało ostrą, rysy, uwypuklało czoło i kości policzkowe. Jacinto zawsze wyglądał jak szalony poeta: chudy, ze zmierzwionymi włosami, inteligentną twarzą i błyskiem w oczach. Teraz do tych cech doszło coś jeszcze, coś nieuchwytnego. Już nie poeta, zastanawiała się Sofia, a raczej... tak, asceta, nawiedzony fakir czy derwisz. Wrażenie pogłębiał dziwny strój, podwinięte do połowy tydek spodnie i za duża bluza ze zwisającymi

Światy Dantego

połami. Jacinto był znacznie drobniejszy niż Yeung, który pożyczył mu zapasowy komplet odzieży.

- Myślałem, że wyłączyłem to cholerstwo, zanim ktoś się obudził - powiedział i odwrócił się w stronę kobiety. -I prawie mi się udało. Zbudziłaś się tylko ty. Stare kobiety mają lekki sen, a ty jesteś stara, Sofio.

Patrzyła na niego zafascynowana. Widziała bliznę pod dolną wargą - pamiętała, że zaciął się przy goleniu, a potem szukał opatrunku, wrzeszcząc, klnąc i macając na oślep zakrwawionymi rękami. Dlaczego została mu ta blizna, mimo że miał teraz nowe, zdolne do regeneracji ciało? Podczas ataku diabłów leżał bezwładnie na podłodze i objając się po całej kabinie, rozciął sobie czoło. Po tym skaleczeniu dawno nie było śladu.

Dlaczego był tak podobny do Jacintą, którego znała, a jednocześnie tak inny?

Nie nienawidzę go już, pomyślała, a tym bardziej nie Kocham. Uwolniłam się od niego i nie może mnie skrzywdzić.

- Ale przynajmniej żyję, prawda? - odparła lekko, po czym dodała w myślach: „I nie spędziłam ostatnich dwóch lat w piekle”.

- Ja umarłem i zdaje się, że zawdzięczam to tobie. Tu jest napisane - skinął głową w kierunku ekranu - że oskarżono cię o nieudzielenie mi pomocy. Podobno sama przyznałaś, że patrzyłaś, jak wykrwawiam się na śmierć, i nic nie próbowałaś zrobić. Właśnie tak - dodał, widząc jej minę - przeglądam notki prasowe z procesu. Nie pamiętam, jak umarłem, a człowiek chciałby mieć o tym niejaki pojęcie, prawda?

Zerwał się z krzesła, błyskawicznie i jednocześnie płynnie, bez śladu niezręczności. To też pamiętała, ten

Anna Kańtoch

spokój i potem nagły, pełen gracji ruch, obrót głowy, uderzenie palcami w stół, cokolwiek. Nawet jego nerwowe tiki, takie jak pocieranie czubka nosa czy ruszanie lewym ramieniem, miały w sobie odrobinę tej niezwyklej, skoncentrowanej energii.

Podszedł do niej i mogła już widzieć jego oczy, na których dnie błyszcząco coś odległego i bardzo złego, niczym ogień w Otchłani.

- Dlaczego to zrobiłaś, Sofio? Czy może raczej: dlaczego tego nie zrobiłaś? Czemu mnie nie uratowałaś?

- Powinieneś wiedzieć - odparła, krzyżując ręce na piersiach. Nie może mnie skrzywdzić, powtarzała jak mantrę.

Odsunął się i z powrotem usiadł przy komputerze. Tym razem nie patrzył w ekran, lecz na własną dłoń, którą położył obok klawiatury. W skupieniu poruszał palcami.

- Nadchodzi burza - oznajmił.

- Masz na myśli burzę ognistą? Wergiliusz ci powiedział?

- Jeśli komputer to właśnie Wergiliusz, to owszem, tak. Twierdzi, że burza będzie tu za kilka minut.

- Zachichotał i szybciej poruszył palcami. Potem, jakby niezadowolony z efektu, zwinął dłoń w pięść i ponownie rozprostował. - Ciekawy pomysł, nazwać go Wergiliuszem. Czy na jedenastce mają Orfeusza?

- Chyba tak.

- Miło wiedzieć, że miłość do literatury ma się dobrze... - wymruczał.

Wzrok Sofii pobiegł za jego spojrzeniem i nagle rzuciła się w tył, wydając zduszony okrzyk.

- Boisz się mnie - powiedział z satysfakcją. Jego palce były teraz niesamowicie szczupłe i bardzo, bardzo

Światy Dantego •

m

długie, zupełnie jak blade odnóża pająka. - Jednak się mnie boisz.

- Ty stuknięty sukinsynu...

Zmorfował dłoń do normalnego wyglądu i wstał.

- Zdążyłem przeczytać parę waszych notatek i wiem, po co mnie wydostaliście. Ale nic z tego. Nie obchodzą mnie chorzy na Encarnitę i nie mam zamiaru ich ratować. - Spojrzał na nią. - Dalej, Sofio, spróbuj mnie przekonać, jeśli chcesz, żebym wam pomógł.

Znów założyła ręce na piersi - ten gest pomagał jej i uspokajał. Zastanawiała się, jakim cudem oczy Jacinta jednocześnie płoną i są tak zimne.

- A twoja sława? Nigdy nie pracowałeś dla ludzi, tylko dla sławy. Gdyby udało ci się znaleźć sposób na przeniesienie meridionu przez Bramę, twoje imię byłoby na ustach wszystkich. Byłbyś słynniejszy niż Chrystus...

- Chrystus, tak? Och, sprytnie, bardzo sprytnie. Widać, że mnie znasz i wiesz, jak uderzyć w czuły punkt. Ale to już przeszłość, Sofio - co mi ze sławy, skoro zostanę tu na wieki?

- Twoje ciało też składa się z meridionu - przypomniała cicho. - Mógłbyś przejść przez Bramę i znowu żyć.

Spojrzał na nią z zastanowieniem, a ona przez krótką chwilę dostrzegła dawnego Jacinta - tego, który był wrednym, złośliwym sadystą, lecz od czasu do czasu miewał ludzkie odruchy.

- Może - przymknął oczy - podoba mi się moje nowe życie.

Na zewnątrz wzbierała burza; na ekranie Wergiliu-sza migotał zielony napis: Aktywuję tarcze termiczne. Przewidywany czas rozpoczęcia opadu: 75 sekund.

276 ■ Anna Kańtoch

r

Jacinto sięgnął do paska od spodni i rozpiął go. Potem zdjął koszulę i poruszył łopatkami. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Zsunął spodnie i widząc minę Sofii, parsknął śmiechem.

- Och, moja gołąbeczko, moja żono, muzo i lamio, przez piętnaście lat naszego niezbyt szczęśliwego małżeństwa nigdy nie próbowałem cię zgwałcić i nie zamierzam tego robić teraz. Zwłaszcza gdy jesteś tak mało apetyczna.

- Co chcesz zrobić?

- Odejdę stąd, oczywiście. Spróbuj mnie zatrzymać. Możesz obudzić i zawołać do pomocy swoich przyjaciół.

Pokręciła głową. Wiedziała, że on tego właśnie pragnie. Bawiłoby go, gdyby mógł udowodnić im wszystkim, że nie mają nad nim żadnej władzy. Bo oczywiście nie mieli. Gdyby chcieli go zmusić czy choćby ubłagać, Jacinto Vilchez odmówiłby pomocy przez czystą przekorę. Jediną szansą było pozwolić mu odejść, a potem liczyć, że wróci z własnej woli.

Podszedł do włazu.

- Wypuść mnie.

Nie znał kodu aktywującego. Jej drobne zwycięstwo - wiedziała, że będzie źle, jeśli spróbuje go zatrzymać, lecz o to jedno musiał poprosić.

Otworzyła właz.

Fala gorąca uderzyła ją w twarz, niemal odbierając oddech. Niebo płonęło głęboką, rubinową czerwienią, gdzieniegdzie przechodząc w żółć i pomarańcz. Jacinto stanął w krwawym blasku i wymorfował skrzydła. Zrobił to kosztem reszty ciała, która gwałtownie schudła, nogi przypominały suche patyki, brzuch i klatka piersiowa zapadły się, ręce w ogóle znikły. A twarz...

Światy Dantego

- Zamknij drzwi - powiedział ten zupełnie obcy, straszny człowiek. - Zrób to, póki jeszcze czas.

Potem rozwinął skrzydła i wzbił się w płomieniste niebo, z którego zaczęły spadać pierwsze kule ognia.

Oczywiście rano wybuchła awantura. Moana wrzeszczała, Terry dostał histerii, płacząc, że na darmo oddali Lalitę, a kapitan Pena zimno oznajmił, że niczego innego się po Sofii nie spodziewał. Nawet Yeung nie stanął w jej obronie.

Ciekawe, jak wy byście go zatrzymali, myślała starsza kobieta. Ciekawe jak.

A potem, gdy zapanował pełen beznadziei spokój, Terry wymknął się ze stacji. †,

Domyślali się, dokąd poszedł, i Moana, wkładając skafander, obiecała, że sprowadzi go w ciągu dziesięciu minut.

Minął jednak kwadrans, później pół godziny, a żadne z nich nie wróciło. Emilio Pena upierał się, żeby czekać, lecz Sofii zabrakło cierpliwości. Tak więc gdy Yeung był w laboratorium, a kapitan we wspólnej sali wraz z żołnierzami, ona, nic nikomu nie mówiąc, udała się na poszukiwania brata.

Miała bardzo złe przeczucia.

Jak się okazało, słusznie, bo Terry klęczał w morfu-jącej Katedrze, a obok leżało ciało Moany.

- To się musiało stać - powiedział. - Od dawna było * wiadomo, że któremuś z nas wreszcie puszcza nerwy. To już koniec, prawda?

- Nie sądzę, żeby to był koniec. Spójrz.

2 • Anna Kańtoch

ś

- Zamknij drzwi - powiedział ten zupełnie obcy, straszny człowiek. - Zrób to, póki jeszcze czas.

Potem rozwinął skrzydła i wzbił się w płomieniste niebo, z którego zaczęły spadać pierwsze kule ognia.

Oczywiście rano wybuchła awantura. Moana wrzeszczała, Terry dostał hysterii, płacząc, że na darmo oddali Lalitę, a kapitan Pena zimno oznajmił, że niczego innego się po Sofii nie spodziewał. Nawet Yeung nie stanął w jej obronie.

Ciekawe, jak wy byście go zatrzymali, myślała starsza kobieta. Ciekawe jak.

A potem, gdy zapanował pełen beznadziei spokój, Terry wymknął się ze stacji. t ,

Domyślali się, dokąd poszedł, i Moana, wkładając skafander, obiecała, że sprowadzi go w ciągu dziesięciu minut.

Minął jednak kwadrans, później pół godziny, a żadne z nich nie wróciło. Emilio Pena upierał się, żeby czekać, lecz Sofii zabrakło cierpliwości. Tak więc gdy Yeung był w laboratorium, a kapitan we wspólnej sali wraz z żołnierzami, ona, nic nikomu nie mówiąc, udała się na poszukiwania brata.

Miała bardzo złe przeczucia.

Jak się okazało, słusznie, bo Terry klęczał w morfu-jącej Katedrze, a obok leżało ciało Moany.

- To się musiało stać - powiedział. - Od dawna było wiadomo, że któremuś z nas wreszcie puszcza nerwy. To już koniec, prawda?

- Nie sądzę, żeby to był koniec. Spójrz.

278 • Anna Kańtoch

Wgnieciona czaszka Moany prostowała się, rana zarastała skórą. Po chwili dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na nich.

Terry krzyknął cicho. Sofia oparła dłoń na jego ramieniu i zacisnęła palce.

- Ccc...o się stało? - zapytała Moana.

- Umarłaś - odpowiedziała Sofia.

Dziewczyna usiadła niezgrabnie, po czym spróbowała wstać. I upadła przytrzymana przez oplatające jej nogi pędy. Szarpnęła się raz, drugi, z wytrzeszczonymi oczami i wykrzywioną twarzą.

- Och... - wysapała. - Och, och...

To ciche, pełne zdumienia „och” było tak niepodobne do zwyczajnego zachowania Moany, że Sofia poczuła gwałtowny przyptyw współczucia.

Dziewczyna szarpnęła się jeszcze raz i tym razem pędy wniknęły w jej nogi jak w miękkie masło i wyszły z drugiej strony. A ciało po prostu się zasklepiło. Wstała. Skafander zwiisał na niej w strzępach, lecz pod spodem widać było zdrową skórę bez żadnego zadrapania.

- Lalita - powiedziała Moana. - Teraz pamiętam... Była tu Lalita i Uderzyła mnie... Powiedziała, że to dlatego, bo chciałam zniszczyć bransoletę.

- Lalita nie ma ciała. - Sofia potrząsnęła głową. - Nie może zrobić nikomu krzywdy.

- Teraz już może. - Moana zmrużyła oczy i uniosła górną wargę w drapieźnym grymasie. - Dorwę tę sukę i rozwalę jej za to łeb.

Dopiero w tym momencie Sofia naprawdę uwierzyła, że Lalita jakimś cudem zyskała ludzkie ciało, a później uderzyła Moanę. Zabiła ją, poprawiła się w myślach. Moana jest martwa i należy do tego świata.

Światy Dantego

Terry wstał i chwycił siostrę za łokieć.

- Ściemnia się - wymruczał.

„Daj spokój”, chciała powiedzieć, lecz przecież miał rację.

Nad Katedrę nadciągały dziesiątki, może nawet setki diabłów. Zasnuły granatowo-czerwone niebo, a potem opadły na morfującą konstrukcję. Cicho, niczym ruchliwe cienie z błyszczącymi ślepiami. Wypełniły luki pomiędzy żebro-arkadami i w Katedrze zapanował mrok.

Sofia odruchowo włączyła latarkę. Jej światło wyłowiło z ciemności wykrzywioną twarz Moany.

- Myślę, że przybyły po ciebie - powiedziała cicho starsza kobieta. - Przybyły, żeby cię zabrać.

Dziewczyna wydała z siebie krótki, ostry krzyk, który brzmiał trochę jak wołanie o pomoc, a trochę jak bitewny zew. Potem zaczęła morfować. Resztki skafandra opadły, gdy na jej plecach wyrosły niezgrabne skrzydła, z których lewe było znacznie większe niż prawe. Wrzasnęła jeszcze raz, z rozpaczą i przerażeniem. Ciało, nad którym traciła kontrolę, przybierało coraz bardziej groteskowe formy.

A diabły frunęły w dół.

Sofia szarpnęła brata.

- Nie możemy jej pomóc. - Światło latarki padło na zbliżające się metaliczne kości. - Za chwilę będziemy w pułapce!

Terry odwrócił się i pobiegł, tak szybko i zręcznie, jakby miał dwadzieścia lat. Starsza, ubrana w skafander kobieta nie mogła za nim nadążyć. Przewróciła się, upuściła latarkę i zawołała brata, lecz ten nie zawrócił. Wstała z trudem. Ściany i sufit morfowały, ale na szczęście posadzka pod jej stopami, ta cholerna czarno-biała

Anna Kańtoch

posadzka, która tak fascynowała Terry'ego, była w miarę stabilna.

Tylko dlatego dotarła do wyjścia. Za plecami słyszała coraz głośniejsze, coraz mniej ludzkie krzyki. A potem... potem zapadła cisza. Sofia przymknęła oczy, gdy niebo po raz kolejny upstrzyło się sylwetkami diabłów. Wiedziała, że gdzieś pośród nich, schwytna w ostre, mor-fujące pazury, jest teraz Moana.

Brat czekał na nią na zewnątrz.

- Nie mogliśmy jej pomóc - zwróciła się do niego. -Nie rób sobie wyrzutów...

- Wcale nie miałem zamiaru jej pomagać - odparł. -Chcę tylko odnaleźć Lalitę. Nie rozumiesz? - Oczy Terry ego jaśniały gorączkowym blaskiem. - Ma teraz ciało, znowu jest człowiekiem...

- Nieprawda! - wrzasnęła Sofia z rozpaczą. - Nie masz pojęcia, kim ona... Kim mogła się stać!

- Jest moją żoną, to wszystko, co potrzebuję wiedzieć. -Uśmiechnął się łagodnie. - Znajdę ją i przyprowadzę do domu.

Do domu? Co on, do licha, ma na myśli? Bazę, Ziemię, coś jeszcze innego?

-Terry..." 4

Uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć policzka siostry, lecz zrezygnował w połowie gestu. Odwrócił się i odszedł.

- Terry!

Próbowała go dogonić, ale kiedy przyspieszył, nie miała szans. Nawet nie musiał biec - był młodszy, zręczniejszy i nie nosił skafandra. A przede wszystkim poruszał się po tym świecie, jakby tu właśnie się urodził, jakby od dziecka przywykł do chodzenia po morfującym

Światy Dantego • 281

w

gruncie. Jego skóra błyszczała czerwienią i Sofia pomyślała, że jej brat lada moment dostanie udaru.

Chwyliła komunikator.

- Baza? Tu Sofia, słyszycie mnie? Tu Sofia...

- Słyszemy cię. Gdzieś ty znikła? - w głosie Yeunga brzmiał niepokój. - Peña twierdzi, że całkiem zwariowałaś...

- Jestem przy Katedrze i potrzebuję pomocy. Moana nie żyje, a Terry gdzieś poszedł, nie wiem dokąd, jest bez skafandra...

- Spokojnie, nie krzycz. Zaraz tam będziemy i znajdziemy go, ma przecież chip identyfikacyjny. A ty idź w jakieś bezpieczne miejsce i czekaj namas.

Bezpieczne miejsce, łatwo powiedzieć, pomyślała Sofia. Tu każde takie miejsce w ciągu paru minut może stać się cholernie niebezpieczne...

Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. W głowie jej się kręciło, przed oczami wirowały mroczki, nogi za nic nie chciały stać prosto. I było tak bardzo, bardzo gorąco. Kucnę na chwilę, pomyślała, nawet nie będą siadać. Po prostu kucnę i trochę odetchnę.

Tylko... na... małą... chwilkę...

Powierzchnia wokół niej wymorfowała setki malutkich ptasich czaszek, które wiły się na końcach ciernistych pędów. Ale tego Sofia już nie widziała.

Straciła przytomność.

I

- Nie ruszaj się, tylko pogarszasz sprawę. Napij się. Jęknęła i z ulgą przełknęła odrobinę wody. Potem uniosła powieki.

282 • Anna Kańtoch

—

Jacinto Vilchez odginał pędy, które oploty jej ciało. Ptasie czaszki broniły się, dziobiąc go po rękach, ale nie zwracał na nie uwagi. Rany na skórze zasklepiły się momentalnie.

- Wstań.

Pomógł jej i poprowadził w miejsce, gdzie teren był niemal płaski, tylko lekko falujący i wyglądał...

Bezpiecznie, pomyślała Sofia. Miałam znaleźć bezpieczne miejsce, no i zdaje się, że właśnie znalazłam. Dzięki Jacintowi.

- Tu możesz usiąść, ten kawałek gruntu nie będzie morfował co najmniej przez kilka najbliższych godzin.
- Skąd wiesz?
- Jestem częścią tego świata, nie pamiętasz?

Usiadła i tyknęła jeszcze wody. Czuła się teraz o wiele lepiej.

Jacinto był nagi i wyglądał zwyczajnie: żadnych skrzydeł, żadnej przesadnie wychudzonej sylwetki. Po prostu szczupły i zręczny mężczyzna ze zmierzwionymi włosami. Tylko w jego oczach wciąż płonęło coś bardzo zimnego.

- Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałam się pomocy - powiedziała Sofia. - Dlaczego to zrobisz?
- Bynajmniej nie z sympatii - parsknął.
- Więc dlaczego?
- Ponieważ przypomniałem sobie, jak umarłem. - Chodził tam i z powrotem, jakby pulsująca w jego ciele energia wciąż szukała ujścia. - Pamiętam, że starałaś się zatamować krwawienie! Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś tego w sądzie? Czemu zniszczyłaś zakrwawione opatrunki, zanim przyjechało pogotowie, i powiedziałaś, że nic nie próbowałaś zrobić? Pozwoliłaś, żeby cię oskarżono, i ledwo udało ci się uniknąć skazania!

Światy Dantego 2

I

- A ty chcesz znać odpowiedź i dlatego mi pomogłeś?
- Coś w tym rodzaju. - Spojrzał jej w oczy. Wytrzymała jego wzrok.
- I tak byś nie zrozumiał. Dalej, próbuj mnie przekonać, może wtedy ci powiem...

Cofnął się i roześmiał.

- Nic z tego. Mogę się bez tego obejść. - Wymorfował skrzydła, jego sylwetka znów gwałtownie schudła, a Sofia z trudem spoglądała na twarz męża. - Jeśli wciąż chcecie wiedzieć, jak przenieść meridion przez Bramę, to wiem, jak to zrobić.

Stwierdzenie było tak niespodziewane, że kobieta w pierwszej chwili straciła głowę.

- Co.. Jak? Proszę, powiedz, musisz...•> ,

Roześmiał się ponownie. Bawiło go oszołomienie Sofii i jej niezręczne, jękane błagania. Była pewna, że dla tego właśnie widoku wspomniał o swoim odkryciu.

Rozwinął skrzydła i wzniósł się kilka metrów ponad grunt. Od strony stacji nadlatywał Belzebub - jego sylwetka rosła w oczach, a silniki pracowały na najwyższych obrotach.

Nie powie, myślała z rozpaczą Sofia. Może gdybym miała trochę więcej czasu...

Jednak powiedział jej, na chwilę zanim Belzebub wylądował, a potem uniósł się jeszcze wyżej i odfrunął.

- To jakaś bzdura - parsknął Pena. - Wam się to naprawdę wydaje sensowne?

284 ■ Anna Kańtoch

m

- Warto się nad tym zastanowić - wzruszył ramionami Nacho Yeung.

- Najpierw musimy znaleźć Terry'ego - przypomniała Sofia, zapinając pasy. W kabinie Belzebuba było tak cudownie chłodno i bezpiecznie. - On nie wytrzyma długo bez skafandra.

- Znajdź tego pajaca - zwrócił się Pena do pilota. -Następny, któremu odbiło. A z panem, doktorze Yeung, jeszcze się policzę. Miał pan pilnować tej wariatki, czy nie tak się umawialiśmy?

Chińczyk milczał i Sofia była mu za to wdzięczna. Mniejsza z tym, czy owo milczenie wynikało z rozsądku, czy też może lekarz uwierzył w jej szaleństwo i teraz dręczyło go poczucie winy. Najważniejsze, że nie próbował się sprzeczać. Starsza kobieta była bardzo zmęczona i nie zniósłaby kolejnej awantury.

- Zlokalizowałem jednego człowieka zmierzającego w stronę Otchłani - poinformował pilot.

Po chwili Belzebub wylądował, a dwóch żołnierzy wciągnęło Terry'ego do kabiny. Nawet się nie bronił, pojękiwał tylko cicho.

- Wszystko będzie dobrze... - mruzczała Sofia uspokajająco, gdy przypinała go pasami do fotela. Twarz miał czerwoną niczym dojrzały pomidor, a kobieta odniosła wrażenie, że gdyby nie wysuszające wszystko gorąco, ta czerwień byłaby mokra od łez.

- Moim zdaniem, warto spróbować - powtórzył Yeung, gdy pół godziny później siedzieli przy stole w mesie,

popijając mrożoną herbatę. - Przecież niewiele mamy do stracenia.

- Rzykujemy życie mojej żony! - krzyknął Terry. Z pianką chłodzącą na twarzy wyglądał dziwnie, ale przynajmniej zniknął ów niepokojący błysk w jego oczach. Nie, nie zniknął, poprawiła się w myślach Sofia, po prostu się przyzait. On wciąż tam jest.

- Sofio, możesz powtórzyć jeszcze raz, co ci powiedział Vilchez? - zwrócił się do niej Yeung.

- Lalita może przejść przez Bramę. Dostała od diabłów ciało, które składa się z meridionu, ale jednocześnie nadal w jakimś sensie jest KOT-em. Vilchez twierdzi, że jest teraz połączeniem ziemskiej techniki i tutejszej magii... v

- Magii? Naprawdę użył takiego słowa? - zachichotał jeden z żołnierzy.

- Jacinto zawsze był odrobinę ekscentryczny - mruknęła. - Tak czy inaczej, meridion może się wydostać przez Bramę jako składnik ciała Lality. W ten sposób możemy przetransportować go na Ziemię, a potem ocalić ofiary Encarnity. A przynajmniej spróbować ocalić...

- Czy to jest dla niej bezpieczne? - zapytał Yeung, a w jego oczach Sofia ujrzała coś jeszcze: „Skłam”, prosiły, „nawet jeśli Lalita przyplaci to życiem, to musimy zaryzykować. Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się cofnąć”.

- Całkowicie bezpieczne - powiedziała, a potem odwróciła wzrok i sięgnęła po herbatę, żeby zwilżyć nagle t wyschnięte gardło.

- Terry?

- Zgadzam się pod warunkiem, że pójdę z nią i będę się nią opiekować.

286 • Anna Kańtoch

- Ta kobieta to morderczyni - głos kapitana Peñy był cichy, nabrzmiały pogardą i złością. - Nikt o tym nie pamięta? Ona zabiła jedną z nas! Kto wie co diabły z nią zrobiły, może nie tylko dały jej méridionowe ciało, ale też je zmodyfikowały? Albo jej osobowość? A nawet jeśli niczego takiego nie zrobiły, to i tak nie wiemy, jak méri-dion się zachowa w ziemskiej atmosferze. Czy ktoś z was w ogóle o tym pomyślał?

Zamilkli i pospuszczali głowy niczym przyłapanie na zakazanej zabawie dzieci. Wszyscy, nawet Terry.

Oczywiście on ma rację, myślała Sofia, ale rację ma też Nacho.

Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się wycofać.

- Przebadamy ją w miarę naszych warunków tutaj, na stacji - powiedział Yeung. - A ludziom z Korporacji wyjaśnimy sytuację i ostrzeżemy, że kiedy Lalita przejdzie przez Bramę, potrzebne będą wszelkie środki ostrożności. Do licha, na Ziemi umierają miliony, a my nie chcemy im pomóc, bo kobieta, której ciało zawiera lek, kogoś zabiła? Ja jestem gotów zaryzykować, a wy?

- Jestem za - poparła go Sofia.

- Ja też, jeśli będę mógł z nią iść.

Peña wyraził zgodę skinieniem głowy. Nadal nie wyglądał na przekonanego, ale nie zamierzał protestować.

Sofia, którą opanował nagły lęk, trochę tego żałowała.

Ekran komputera rozbłysł złotawo, co oznaczało uruchomienie kanału łączącego ich bezpośrednio z Korporacją.

Światy Dantego

do naukowców przebywających na świecie dantego 3: w związku ze znalezieniem potencjalnego leku udzielamy pozwolenia na przejście dwóch

osób przez Bramę przed wyznaczonym terminem. Reszta musi czekać.

- I tak mamy szczęście - wymruczał Yeung. - Mogli zgodzić się tylko na Lalitę, a wtedy Terry dostałby szału.

Raz na trzy miesiące Brama osiągała pełną moc, a jej otwarcie wymagało najmniejszego nakładu energii. Wtedy właśnie odbywała się wymiana1 ekip naukowców. W pozostałych dniach trzeba było mieć naprawdę mocne argumenty, żeby przekonać Korporację.'

- Wiesz, ja naprawdę miałam głupią nadzieję, że pozwolą nam wszystkim wrócić do domu... - szepnęła Sofia, a Yeung pocieszającym gestem uściśnął jej ramię.

- Jeszcze tylko trzy dni.

Za jego plecami Wergiliusz wyświetlił napis: Zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wszelkie środki ostrożności zostaną zachowane.

- Ufasz Terry emu? - zapytał Yeung. - Szczerze mówiąc, ostatnio jest w kiepskim stanie. Może lepiej będzie, jeśli któreś z nas porozmawia z Lalitą i wszystko jej wytłumaczy?

Starsza kobieta pokręciła głową.

- To wciąż jest jego żona i niezależnie od tego, czym... kim się stała, on ją najlepiej. A poza tym... - zamilkła na chwilę. - Mam wrażenie, że jeśli teraz potraktujemy Terryego jak wariata albo

dziecko, to załamie się kompletnie. Pozwólmy mu coś zrobić, niech nie ma wrażenia, że odstawiliśmy go na boczny tor...

- A jeśli wszystko zepsuje?

• Anna Kańtoch

- Nie zepsuje. On bardzo chce wrócić na Ziemię ze swoją ukochaną i wierzy, że to ich szansa. Przekona ją, zobaczysz.

A jeśli coś pójdzie nie tak albo okaże się, że Jacinto kłamał i ciało Lality wybuchnie w Bramie, to niech Bóg mi wybaczy, dodała w myślach.

Nacho Yeung westchnął.

- W porządku, poprę cię, jeśli Pena będzie robił kłopoty. Ale, tak czy inaczej, najpierw trzeba tę dziewczynę znaleźć. Do licha, wysłaliśmy na Ziemię wiadomość i niemal podzieliliśmy skórę na niedźwiedziu, a tymczasem nawet nie mamy pojęcia, gdzie tego niedźwiedzia szukać.

Sofia drzemała w chłodnym wnętrzu Belzebuba. Obok z zamkniętymi oczami spoczywał Terry, a przy stanowiskach strzelniczych rozmawiało dwóch żołnierzy. Część ich słów ginęła w szumie silników.

- To prawda - mówił jeden. - ...był artykuł... Niemiecki naukowiec ma teorię... Bramy, rozumiesz? Nieustabilizowane, nie tylko...

- ...pomiędzy różnymi światami Dantego?

- Aha. Nikomu się nie udało... Jeszcze.

- ...wiedzą?

- Dzikie... poznać po tym... jest coś dziwnego... nie pasuje do otoczenia, rozumiesz? Jakby... Element innego świata tu i element od nas tam. Razem...

- ...jednej i drugiej stronie?

- Właśnie tak. Dokładnie to samo.

Sofia otworzyła oczy. Ostatnie kilka minut spędziła na granicy snu i jawy i teraz miała wrażenie, że coś

jej umyka, jakieś skojarzenie, myśl, która jeszcze przed chwilą wydawała się tak oczywista. Potarła skronie, wciąż zmęczona. Jeśli to coś ważnego, pewnie sobie przypomnę, uznała, ignorując fakt, że ważne rzeczy coraz częściej na dobre znikają z jej pamięci.

Znalezienie Lality było znacznie trudniejsze niż Terryego, bo oczywiście dziewczyna nie miała chipa identyfikacyjnego. W głębi duszy starsza kobieta wątpiła, czy w ogóle im się uda.

Niemniej jednak udało się, i to w niespełna dwie godziny. Belzebub odnalazł Lalitę w odległości mniej więcej sześciu kilometrów od Katedry. Nic robiła nic szczególnego, po prostu stała pośród morfującego krajobrazu. Była naga, czerwony blask omywał jej skórę, a wiatr szarpał jasne włosy.

Odwróciła się, gdy podszedł do niej Terry.

Sofia spoglądała na nich przez iluminator. Nie mogła słyszeć słów, ale widziała całą scenę. Błagalne gesty Terryego i skupiony, pełen namysłu wyraz twarzy dziewczyny. Jego nerwowość i jej spokój.

Przez cały czas Sofia miała przeczucie, że zaraz stanie się coś złego, że Terry jednak spieprzy sprawę, a Lalita - jeśli to w ogóle była jeszcze Lalita - po prostu odwróci się i odejdzie.

Nic takiego się nie stało. W pewnym momencie mężczyzna sięgnął po dłoń kobiety, a ona biernie poszła za nim. Wrócili do Belzebuba, trzymając się za ręce niczym para młodych zakochanych. Na tle piekielnego krajobrazu ten widok był tak absurdalnie sielski, że Sofia zaczęła chichotać, najpierw cicho, a potem coraz głośniejsze, czując, jak z kolejnymi falami wariackiego śmiechu spływa z niej napięcie dzisiejszego dnia.

Anna Kańtoch

W rzeczach tragicznie zmarłej i porwanej przez diabły Moany Sofia znalazła prostą białą sukienkę, którą dała Lalicie. Dziewczyna włożyła ją bez ociągania, choć wydawało się, że równie chętnie zgodziłaby się nadal chodzić nago. Mało się odzywała, najczęściej do Terryego, który skakał wokół niej niczym ogłupiały królik. Młodzi, żołnierze gapili się na Lalitę z mieszaniną strachu i niezdrowej fascynacji, a kapitan Pena oraz Nacho Yeung odzywali się do niej, tylko gdy musieli, a i wtedy używali suchego, bezosobowego tonu, jakby mówili do maszyny, nie do człowieka.

Sofia nie mogła mieć im tego za złe, zwłaszcza że sama zachowywała się podobnie. To był ich sposób radzenia sobie z osobliwą sytuacją: Moany nikt tak naprawdę nie lubił, lecz była jedną z nich, a Lalita zamordowała ją z zimną krwią. Teraz nikt nie wiedział, jak właściwie powinno się dziewczynę traktować - czy jak kogoś, komu należy się kara, czy może jak nadzieję ludzkości? I czy Lalita w ogóle była jeszcze człowiekiem, który zdaje sobie sprawę ze swoich czynów? Nie znali na te pytania odpowiedzi, a uśmiechnięta i zadziwiająco bierna Lalita pozostawała zagadką.

Milcząco zgodzili się więc, że będą ją w miarę możliwości ignorować, a potem, gdy przekroczy Bramę, niech się o nią martwią ludzie z Korporacji. Jedynie Sofia na chwilę wyłamała się z tego zbiorowego ostracyzmu.

- Dlaczego zaatakowałaś Moanę? - zapytała. Użyła słowa „atakować”, bo „mordować” nie przeszłoby jej przez usta, gdy patrzyła na tę delikatną blondyneczkę.

Lalita namyślała się przez kilka sekund.

Światy Dantego

&

- Chciała mnie zabić.
- Więc zrobiłaś to, żeby się zemścić?
- Chyba tak.
- Chyba? Jak można czegoś takiego nie wiedzieć? Wzruszyła ramionami.
- To wydaje się takie odległe - odparła. Lalita zachowywała się dokładnie tak jak wtedy, gdy

była jeszcze zmodyfikowanym KOT-em - posłuszna, łagodna i niezdolna do przeżywania silnych emocji. Kłopot w tym, myślała Sofia, że morderstwo z zemsty niewątpliwie wymaga udziału silnych emocji. Lalita udawała? Jeśli tak, to robiła to doskonale - starsza kobieta nie potrafiła przyłapać jej na żadnym błędzie.
>

- Pamiętasz mnie, Lalito? - spróbowała jeszcze raz w nadziei, że jednak nawiąże z dziewczyną kontakt. -Wiesz, kim jestem?
- Oczywiście. Jesteś Sofia. Zmieniłaś się. Ja też się zmieniłam.

Starsza kobieta wzdrygnęła się. Jak nazywają to uczucie? Ach tak, zdaje się, że ktoś właśnie przeszedł po moim grobie.

'g

Brama otworzyła się tam, gdzie zawsze, czyli w odległości około trzystu metrów od Stacji. Wyglądało to tak, jakby z czarnej skały trysnęło źródło, które po chwili rozlało się pomiędzy czterema wyznacznikami w kwadratowe jeziorko. Połyskliwy błękit pochłonał morfujące drze-wo-szkielety, zakotłował się, a potem wygładził. Wciąż jednak było słychać szum, a po poziomej powierzchni Bramy z trzaskiem przebiegały różowe iskry.

292 • Anna Kańtoch

- Już czas. - Nacho Yeung podniósł głos, przekrzykując hałas. - Idźcie.

Terry podszedł do Sofii, objął ją prawą ręką, a lewą sięgnął do jej dłoni - niemal dokładnie tym samym gestem, jakim ona niedawno odebrała mu bransoletę. Rozwarł siostrze palce i wcisnął pomiędzy nie coś gładkiego i chłodnego. Potem pochylił się do jej ucha i wyszeptał kilka słów, które utonęły w szumie i trzaskach.

- Co takiego?! - krzyknęła.
- Pospiesz się, Terry! - ponaglił go w tej samej chwili Yeung.

Mężczyzna odwrócił się, wziął żonę za rękę i razem weszli na błękitną powierzchnię. Sofię zawsze bawił ten widok, ta krótka chwila, gdy przechodzący przez Bramę wyglądali, jakby kroczyli po wodzie. Potem oboje zaczęli się zapadać, najpierw po kostki, potem po kolana i pas, aż w końcu całkiem znikli.

Brama zamknęła się, pozostawiając po sobie wypalony obszar o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych. i

- W porządku. - Nacho Yeung uśmiechał się mimo widocznych oznak wyczerpania. - Teraz trzymajmy kciuki, żeby się udało. A kto jest wierzący, niech się jeszcze pomodli. Być może właśnie w tej chwili ocaliliśmy miliony ludzkich istnień!

Sofia odwzajemniła uśmiech, a potem otworzyła zaciśniętą pięść. Na jej dłoni spoczywał biały kawałek mozaiki.

Kawałek, który z całą pewnością nie morfował.

Światy Dantego • 2

Wergiliusz przesłał wiadomość, że Terry oraz Lalita Kas-sou dotarli bezpiecznie, a potem zamilkł.

Przez ponad dwa dni wyświetlał wciąż ten sam napis: Brak połączenia z Ziemią. Do niedawna Sofia sądziła, że sytuacja na stacji nie może być bardziej napięta. Teraz okazało się, że owszem, może być. Gdy rankiem trzeciego dnia, kilka godzin przed planowanym powrotem, Wergiliusz nadal milczał, Yeung rozplakał się, a kapitan Pena po raz pierwszy stracił nad sobą kontrolę i pięścią rozwalił połowę aparatury do analiz, wrzeszcząc, że już on się policzy z tymi sukinkotami z Korporacji. Nikt nie próbował go powstrzymać - żołnierze spoglądali z przerażeniem, jakby nagle runęła ich wiara w Boga, Nacho Yeung szlochał, a Sofia... Sofia po prostu stała z założonymi rękami, zbyt zmęczona nawet na to, aby rozpłakać. Jedynie od czasu do czasu sięgała do kieszeni i dotykała białego kawałka mozaiki. Zachowała go, mimo iż nie sądziła, że przyda jej się do czegokolwiek. To było coś w rodzaju pamiątki, którą dostała od na wpół szalonego brata. Pamiątki na szczęście.

Kilka minut przed południem ekran komputera rozświetlił się złotawo.

Zgromadzili się przy nim wszyscy i Nacho Yeung poprosił o przekazanie informacji z Korporacji.

Do naukowców przebywających na Świecie Dantego 3: środki ostrożności zawiodły, powiedział Wergiliusz.

Ktoś za plecami Sofii jęknął, ale nie obejrzała się, żeby sprawdzić kto. To nie miało znaczenia. Chińczyk objął ją pocieszająco. Nie protestowała - to też nie miało znaczenia.

294 ■ Anna Kańtoch

Substancja zwana meridionem wyrwała się spod kontroli i rozprzestrzeniła się w błyskawicznym tempie. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin skażeniu uległa niemal połowa kontynentu. nle jesteśmy w stanie tego powstrzymać. nle jesteśmy w stanie nic zrobić.

w atmosferze ziemskiej meridion łączy się ze * wszystkimi pierwiastkami. morfują budynki, rośliny, zwierzęta oraz ludzie.

Zarażeni Encarnitą bezustannie umierają,

zmartwychwstają, a potem znów umierają. nle jesteśmy w stanie przerwać ich cierpienia. Są ich tysiące, a liczba ta wciąż wzrasta.

Los Lality oraz Terry'ego Kassou pozostaje

nieznany.

Postaramy się was wyciągnąć, ale to może potrwać.

Na Ziemi rozpętało się prawdziwe piekło. Wergiliusz zamilkł i gdy byli pewni że nie powie nic więcej, wyrzucił z siebie jeszcze jedno zdanie, a potem ucichł na dobre'.

Ostatnie zdanie brzmiało:

Lepiej zostańcie tam, gdzie jesteście.

Paweł Siedlar

Urodził się w Krakowie i tam spędził dzieciństwo. Dorastał na Podhalu. Rozmaitość zajęć, jakich miał się w młodości, świadczy o tym, że żadnej pracy się nie boi. Od wielu lat mieszka w Warszawie. Pracuje na lotnisku międzynarodowym Okęcie. Żonaty. Ma dwóch synów.

Jego opowiadania drukowane były w czasopiśmie, antologiach oraz zbiorach autorskich. Jest również autorem dwóch powieści oraz scenariusza horroru dla TVN.

Od 1996 roku pracuje (z licznymi i częstymi przerwami) nad półautobiograficzną powieścią o dziwnym tytule Pożeracz wieczornej bułeczki. Nie spieszy się (utrzymuje, że nigdy i nigdzie się nie spieszy) z jej ukończeniem. W szufladzie przechowuje zbiory opowiadań, które chce zachować „na czarną godzinę impotencji mózgowej lub wzmożonego, a nieodpartego lenistwa”.

Uprawia rozliczne sporty, lubi rąbać drzewo, pić piwo, prowadzić „uczone, filozoficzne dysputy na tematy wszelakie” oraz słuchać Toma Waitsa. Nie lubi relatywizmu i poprawności, które uważa za szalbierstwo, oszustwo, tchórzostwo i przyczynę większości zła tego świata.

Pawet Siedlar

Piwnica

Opowiadanie dedykowane

mej Babci Julii i Dziadkowi Błażejowi

oraz pamięci własnej.

"I anuszk, Januszk, chodź no tu. Pójdiesz z dziadkiem I do piwnicy po węgiel. Zaczyna mi brakować.

Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania, przesuwania garnków i szcęknięcie pogrzebacza pod blachą. Januszek dobrze znał te dźwięki. Znał wszystkie czynności babci przy piecu.

- Januszk!

Akurat rysował i wcale nie chciało mu się nigdzie chodzić. Najpierw pomagał. A właściwie przyglądał się tylko, jak babcia - przepasana pasiastym fartuchem - robi to czy tamto, i nie przeszkadzał. Naprawdę razem robili tylko makaron. Na stolnicy drewnianej, białawej i wielkiej. Najpierw ugniatali ciasto z mąki, wody i jajek. Potem to ciasto wałkowali na zmianę, aż robiło się cienkie, cieniutkie. A jeszcze potem cięli je na wąskie paski. I w tym najchętniej pomagał, z wielką powagą wodząc końcem noża (tego ostrego, dużego, którego kiedy indziej nie wolno mu było nawet dotykać) po gładziutkiej, mączystej powierzchni, bardzo uważając, by się nie marszczyła.

Piwnica • 301

Kiedyś dziadek przyglądał się temu pomaganiu i powiedział, że babcia ma anielską cierpliwość.

Ale jak babcia rozpałała na dobre, kazała mu iść do pokoju. Bo w kuchni zaraz robiło się gorąco. I nie chciała, żeby się przeziębił, choć to bez sensu, bo niby jak miałby się przeziębić w takim gorącu? Poszedł więc do pokoju. Najpierw stanął sobie na skrzyni przy oknie i wyglądał, ale na ulicy nie działo się nic ciekawego. No to wziął się do rysowania. I rysował. Potwory. Były straszne, chociaż nie wiedział dlaczego. Wiedział jednak, że są straszne, i to mu wystarczało.

- No chodźże już! Januszk!!! - rozległo się głośniejsze niż poprzednio, więc odłożył kredki, schował ostatniego potwora pod skrzynię i podreptał do przedpokoju. Usiadł na taboreciku i wsunął stopy w beciki.

Kiedyś, gdy jeszcze nie potrafił wiązać sznurówek, spokojnie czekał, aż zrobi to za niego dziadek. Tymczasem dziadek, postępując, wiązał sznurowadła swoich wielkich butów. Był chudy, żylasty i wysoki.

- Taki duży chłopak i butów nie umie zawiązać - zrzędził schylony. - Ile masz lat?
- Pięć, prawie sześć - odpowiadał za każdym razem -podobno.

Nie bardzo lubił się z dziadkiem, od czasu gdy dostał komplet „Małego Lekarza”. Na ów komplet składał się plastikowy stetoskop, również plastikowy termometr, który nie pokazywał temperatury, i mała strzykawka całkiem nieźle udająca prawdziwą. Brakowało tylko igły. No , więc wystarał się o igłę, to znaczy zabrał ją sobie z metalowego pudełka cioci Jasi - lekarki. Założył ją na strzykawkę. Pasowała jak ulał. Teraz trzeba było tylko znaleźć chorego. Akurat nikogo nie było w domu. Tylko bab-

Pawet Siedlar

cia krzątała się po kuchni. Całkiem zdrowa. Na szczęście przyszedł dziadek. Od razu położył się na kanapce i przyknuął oczy. Wnuczek przyglądał mu się z uwagą.

- Dziadku - zagadnął - czy ty się źle czujesz?
- Jestem zmordowany - padła mrukliwa odpowiedź.
- A może jesteś chory? - spytał wnuczek z nadzieją.
- Umierający. - Dziadek nie raczył nawet otworzyć oczu. Przekręcił się na bok, odwracając do niego plecami, przy czym nieostroźnie się wypiął. O to tylko chodziło młodemu medykowi. Zbliżył się do leżącego, wysunął przed siebie strzykawkę, dotychczas przezornie ukrytą za sobą, i tuup!!! - obiema rączkami wbił igłę w mocno wyświechtane na chudych pośladkach spodnie.

Umierający zmartwychwstał gwałtownie, wielkim rykiem oznajmiając skuteczność kuracji. Nadal rycząc, zerwał się na równe nogi. Januszek przykucnął ze strachu. Na szczęście potworne dźwięki zwabiły z kuchni babcię, która przyleciała i natychmiast wsiadła na dziadka, że krzyczy na dziecko. Nazwała go starym cabajem i prześwięciła ścierką. Dziadek spotulniał i zamilkł. Ale oczy wciąż miał wytrzeszczone i gwałtownie ruszał wąsami. Nic już nią mówił, tylko odwrócił się do babci tyłem i pochylił. Wtedy zamilkła i babcia: rzetelnie wbita strzykawka z „Mdłego Lekarza” nadal sterczała z dziadkowych spodni.

- Wyjdz - powiedziała do wnuczka jakimś jakby nie-swoim głosem, więc wyszedł. W chwilę później usłyszał głośne „aaach, chaliere jedna” wypowiedziane przez dziadka ze złością, ale i z ulgą. Jeszcze tylko babcia wpadła do kuchni i z szafki (tej małej, bliżej okna) wzięła wodę utlenioną i plaster. Potem dziadek leżał na brzuchu aż do obiadu. A przy obiedzie siedział sztywno

i

Piwnica •

i krzywo. „Półdupkiem”, powiedziała babcia, ale dziadek popatrzył na nią tak, jak nie patrzył nigdy, i już nic więcej nie mówiła aż do deseru. A ile razy spojrzął na wnusia, to robił straszne oczy i ruszał wąsami.

Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy stał i ryczał. I nikt się nie śmiał, gdy babcia jednak opowiedziała tę historię przy budyniu czekoladowym. Nawet ciocia Jasia, chociaż widać było, że ona chciała się śmiać, bo zwykle była wesoła i śmiała się chętnie. Ale dziadek nadal patrzył tak jakoś, że przy stole podczas tego obiadu panowała smętna atmosfera (jak w rodzinnym grobowcu - powiedziała ciocia, tyle że sporo potem). Śmiali się dopiero parę dni później, gdy dziadek sam opowiedział o wszystkim. Dodał: „Niech nikt nie waży się śmiać z mego zbolałego, prawda, tego, tam, panie... schabu" i wszyscy się roześmiali. Dziadek też. Ciocia Jasia powiedziała: „Będę miała następcę" i wskazała na Januszkę palcem. Jednak Januszek nadal bał się dziadka, tyle że trochę mniej. No i najważniejsze - było mu głupio. Nie odebrano mu strzykawki. Ale dziadek sam osobiście obciął igłę przy samej nasadzie. Kombinerkami. Na wszelki wypadek. I już nie dawało się jej wbić nawet w pupę pluszowego mfsia ani w ogóle w nic.

Od tamtych dni minęło sporo czasu. Może rok? Może więcej niż rok? Januszek nauczył się samodzielnie sznu- rować swoje buty, a w piwnicy był ze trzy, pięć, albo nawet więcej razy. Dobrze więc znał drogę. Trzeba było przejść skosem przez podwórko, gdzie pośród kubłów na śmieci grasowały olbrzymie i spasionie, czarne jak noc

304 • Pawet Siedlar

V

koty, wyzerające resztki wynoszone z jadłodajni „u Kar-pika" na parterze. Z tej jadłodajni rozmaite zapachy docierały aż do mieszkania. Nawet je lubił. Czasem prosił babcię o dwa złote, schodził na dół i sam kupował sobie oranżadę na zapleczu restauracji, w kantorku. Kelner (ten starszy, wesoły) otwierał mu butelkę, za każdym , razem mówił: „Oho ho, jaki duży klient, niezadługo na wódeczkę przyjdiesz" i pędził na salę. Januszek wypijał swoją oranżadę pomalutku, delektując się jej smakiem, o którym mama mówiła, że jest wstrętny. Ale dla niego ta oranżada była przepyszna. No i gdy tak stał i pił, przedłużając picie ponad miarę, to czuł się całkiem duży, prawie dorosły.

Zaraz dalej była brama na podwórko, a na podwórku, w samym jego rogu - małe żelazne drzwiczki. Te drzwiczki otwierały się, zgrzytając i piszcząc. Dziadek stale mówił, że trzeba je nasmarować, jednak nigdy tego nie zrobił. A jak się otworzyły, to stamtąd, z dołu, ciągnęło wilgotnym chłodem i dziwnym zapachem. Dziadek zapalał świecę, dawał ją Januszkowi i mówił: „Świeć dobrze" - tak jakby można było świecić źle. No i schodzili w tę chłodną, wilgotną ciemność o dziwnym zapachu, powolutku, po wąskich, stromych schodach. Januszek pierwszy, ze świecą, którą trzymał tak, żeby świecić pod nogi, dziadek z wiadrami na węgiel. Każdy stopień wykuty był z pojedynczego ciemnego kamienia i okropnie wysoki. Dziadek mówił, że te schody mają z tysiąc lat albo niewiele mniej, bo są grubo starsze od kamienicy. I chyba naprawdę musiały być bardzo stare, bo im bliżej środka, tym bardziej każdy stopień był wyżłizgany, powgłębiany i cieńszy niż po bokach, jakby chodziło po nich bardzo wielu ludzi, bardzo długo i od bardzo dawna.

Piwnica • 305

Jak już zeszło się na sam dół, głęboko, głęboko, gdzie nie docierały żadne głosy z powierzchni, to szło się dalej kawałek prosto, zaraz potem w lewo albo w prawo (Januszek dość długo nie był pewien, gdzie jest lewo, a gdzie prawo), potem znowu kawałek, no i za załomem była ich piwnica. Tam dziadek stawiał swoje wiadra. Jedno odwracał do góry dnem, siadał na nim i zapalał papierosa. Świecę trzeba było przykleić na wystającej cegle, w miejscu gdzie stawiano ją chyba zawsze, bo ściana poniżej cała była pokapana woskiem, a na podłodze też był wosk. Bardzo dużo wosku. Dziadek palił, wnuczek kręcił się tu i tam, nie wychodząc z zasięgu ciepłego świecowego blasku, poza którym czyhały potwory.

Tylko jeden raz odważył się oddalić. Parę kroków. Stał niewidoczny w ciemności, mając za sobą ciemność jeszcze głębszą. Patrzył w stronę dziadkowej piwnicy, skąd docierało rozproszone, żółtawoczerwone światło. Panowała głęboka cisza i wtedy usłyszał sapnięcie, a może jęk kogoś lub czegoś, czego nie znał. Coś zbliżało się z najciemniejszego końca piwnic. Było coraz bliżej i bliżej, niewidzialne i prawie niesłyszalne, ale wyczuwalne inaczej niż wszystko, co dotychczas zdarzyło mu się czuć. Stał, nie mogąc się poruszyć, wsłuchany w dźwięk, którego prawie nie było, i w łoskot własnego, coraz gwałtowniej bijącego serca. Potwór nie spieszył się. Nadchodził pomału. Skradał się? Nie. To nie było żadne skradanie. Nadciągał. Włókł swoje wielkie cielsko po zimnej, wilgotnej podłodze, aż wreszcie zatrzymał się tuż za Januszkiem, tak blisko, że chłopiec poczuł jego oddech na karku, trochę z boku. Nadal stał znieruchomiały ze strachu, a „To” nazwane potworem stało tuż za nim niewidzialne, nieznanne i straszne. Prawie dotykało go swym lepkiem, bezkształtnym ciałem.

306 • Paweł Siedlar

- Januszek, Januszek, gdzieś się zapodział? - rozległ się głos dziadka i potwór cofnął się do siebie, w tę swoją ciemność.

- Tu jestem - odpowiedział przez ściśnięte gardło i na powrót pojawił się w kręgu światła. Dziadek wielką szuflą napełnił węglem oba wiadra, kazał mu wziąć świecę i poszli. Wiadra były ciężkie, więc dziadek narzekał i znów kazał mu lepiej świecić. Bardziej pod nogi. Więc Januszek trochę zwolnił, chociaż mu się spieszyło. Znów skręcili w lewo (albo w prawo), wdrapali się po schodach. Żelazne drzwiczki zgrzytnęły znajomo i już byli na podwórku, a „To” w piwnicy stało się nieprawdą. Ale i tak zaraz potem namalował swego pierwszego potwora. Zaraz pokazał go babci, dziadkowi i cioci. Niestety, nikt nie potrafił dopatrzeć się w jego malunku niczego potwornego. Tylko ciocia spytała, czy ten obrazek przedstawia glistę mającą rozwolnienie, więc obraził się na nią aż do kolacji. Potem rysował i malował swe potwory coraz bardziej potworne, lecz już nie pokazywał ich nikomu. Tylko czasem, gdy zostawał całkiem sam i nikt nie mógł go zobaczyć, wyciągał je spod skrzyni i przyglądał im się, czując, że włosy jeżą mu się z przerażenia. I było mu bardzo przyjemnie z tym przerażeniem.

A teraz znów schodzili po stromych kamiennych schodach, pobrzękując wiadrami. Doszli na miejsce. Dziadek palił, siedząc na wiaderku. Milczeli obaj. Wtedy, w tej wielkiej otulającej ich ciszy rozległ się płacz. Cichutki, niedaleki.

- Ktoś płacze - powiedział Januszek. - Zaraz obok.

Piwnica

- To koty - odparł dziadek. - One tak czasem miauczą przejmująco. Zupełnie jakby małe dziecko płakało. Teraz jest marzec. Miesiąc kocich amorów. To i miauczą.

- Co to są kocie amory?

- Kocie zaloty.

- A co to są kocie zaloty?

- Aj, co ja mam z tobą. Skaranie boskie z tym malcem. - Dziadek rozgniewał się nie wiadomo dlaczego. -No, do roboty. - Splunął w garście i schwyił łopatę. Jej szuranie zagłuszyło słaby płacz. Bo to był płacz. Na pewno. Łopata szurała i zgrzytała szur, szur, szur, zgrzyt, zgrzyt. Januszek nasłuchiwał. Tyłem wycofał się z komórki. Niespodziewanie znalazł się w półmroku i troszkę bezwiednie, pomalutku ruszył naprzód, w gęstniejącą ciemność. Jakoś nie myślał o czającycr się „tam potworach. Szedł wolno, kroczył za kroczkiem, trzymając się ściany, w kierunku dźwięku, który z pewnością nie był żadnym miauczeniem.

Dziadek niespiesznie napełnił węglem jedno wiadro. Otarł pot z czoła, mruknął „starość nie radość" i sięgnął po papierosy. W domu przy żonie (i przy dziecku, a już przy córce niech Pan Bóg zachowa) "nie wolno mu było palić, więc teraz rozkoszował się ciszą, samotnością i dymkiem, który tu, w istnej oazie spokoju, smakował jak nigdzie indziej. Palił długo, leniwie, bez pośpiechu. Skończył. Przydeptał peta obcasem, kopnął go między węgle. Napełnił drugie wiadro i znów sobie zapalił. Palił i palił. Do samego końca. „Żeby Żarek * w pięty parzył". Puszczął z dymu precyzyjne kółeczka, wspominał dawne czasy, a przede wszystkim napawał się bezruchem. W domu połowica zawsze potrafiła znaleźć

Pawet Siedlar

mu jakieś zajęcie. Tu był bezpieczny, więc przedłużał sobie zakazaną przyjemność jak tylko mógł. Wreszcie kolejny mikroskopijny niedopatek powędrował między węgle. Stary kaszlnął, splunął i rozejrzał się za wnukiem.

- Gdzieś się znowu podział? - powiedział głośno. Odpowiedzi nie było. - Januszek! - zawołał ze złością, ale i tym razem nikt się nie odezwał. - Nieznośny dzieciak. Rozpuszczony jak dziadowski bicz. Pewnie się gdzieś schował i zbytki sobie robi ze starego. - Wziął świecę i wyruszył na poszukiwanie.

Piwnice były rozległe i puste. Dziadek długo szukał, nawoływał. Bez skutku. W końcu pomyślał, że wnuk zostawił go, a sam poszedł na górę. Był coraz bardziej zły, " bo zamiast jednego kursu zapowiadały się dwa: nie mógł jednocześnie nieść dwóch wiader i świecy.

- Nooo, już ja mu dam. Ruski miesiąc popamięta, smark jeden - powiedział głośno. Jednak w mieszkaniu spotkała go niemiła niespodzianka. Nie dość, że chłopca nie było, to jeszcze żona urządziła mu awanturę o zostawienie dziecka samego. W ciemnej piwnicy! Dowiedział się przy okazji, że jest starym sklerotykiem, co ciągle zapomina. Na próżno cierpliwie i kilka razy tłumaczył, że „szukał z pół godziny”, że sprawdził „wszystkie te cholerne korytarze, zakamarki i dziury”. W końcu dla świętego spokoju powiedział, że sprawdzi jeszcze raz, bo i tak musi przynieść drugie wiadro.

- Idę z tobą - oświadczyła żona. - Znowu zapomnisz, po coś tam polazł. - Wzięła drugą świecę, no i poszli.

Piwnica

Tymczasem Januszek zagłębiał się w piwnice coraz dalej i dalej. Nadal trzymał się ściany, ale jego oczy przywykły do ciemności, która nie wydawała mu się już taka głęboka ani groźna. Nie spotkał żadnego potwora, więc odczuwał ulgę. Jego strach zmienił się w ciekawość, gdyż ktoś, kto płakał, nie wydawał mu się niebezpieczny. Dziwiło go tylko to, że piwnice są takie duże. Szedł i szedł, a nie mógł dojść. Płacz to cichł, to wzmagał się, był gdzieś blisko, coraz bliżej. Tak jakby ciekawski badacz krążył wokół miejsca, w którym ktoś płacze, ale nie mógł do niego trafić. Kręcił się, kręcił w kółko i już miał wracać do dziadka, gdy nagle, zupełnie nie wiadomo jakim cudem, znalazł się w dość jasnym pomieszczeniu. Aż przymknął oczy, porażone nie wiadomo skąd wziętym w najciemniejszym zakątku piwnicy dziennym światłem. Przez chwilę stał nieruchomo. Płacz był tuż. Ostrożnie otworzył oczy i rozejrzał się. Stał w rogu niewielkiej izdebki, obok drewnianego łóżka i topornego taborecika. To łóżko było jakieś inne niż wszystkie, krótkie, wysokie, rozbebeszone i wstrętne. Z leżącego na nim siennika wyłaziła słoma. Nie było żadnej pościeli ani kołdry, tylko brudna derka. Dalej widniało palenisko z wiszącym nad nim kociołkiem. Ogień przygasał, cuchnący dym unosił się w powietrzu. Było duszno, ale inaczej niż w piwnicy. Bo piwnica miała zapach trochę stęchły, trochę wilgotny, trochę węglowy. Normalny, piwniczny. Nawet znośny. A ten zapach tutaj właściwie nie był zapachem. Był smrodem. Tak. Dookoła śmierdziało potem, dawno niemytymi nogami i starym nocnikiem. I tym dymem snującym się z przygaszonego paleniska. Januszek rozglądał się niepewnie, lecz z ciekawością. Podłoga pod jego stopami, brudna „jak święta ziemia” (tak czasem mawiała bab-

Pawet Siedlar

cia o jego rękach), nie była ...podłogą, tylko - zauważył to dopiero teraz - ubitą ziemią, twardą i zimną niczym beton. Wszędzie wałały się jakieś śmieci, inne od śmieci, które znał, i dużo bardziej wstrętne. Wszystko było jakieś nieprzyjemne. Nawet światło, które w pierwszej chwili wydawało mu się jasne, teraz zszarzało i było brudne. Padało z małego okienka, w którym zamiast szyb wstawiono coś innego. Coś, co przepuszczało mniej światła niż szkło. Dużo mniej. Ten pokój, ta klatka naprawdę była szara i półmroczna.

Płacz cichł, przechodził w żałośliwe, beznadziejnie smutne łkanie. Januszek zastanawiał się jeszcze przez chwilę, czy nie powinien wrócić do dziadka. Jednak ciekawość okazała się silniejsza. Postąpił do przodu, obszedł łóżko i po jego drugiej stronie zobaczył chłopca siedzącego na podłodze. Ten chłopiec miał bose, okropnie brudne stopy wyłazące spod czegoś, co od biedy można było uznać za nieprawdopodobnie

utyłaną koszulę nocną. Twarz ukrył w dłoniach i chyba miał zamiar zasnąć, bo już nie łkał, tylko kiwał się do przodu i do tyłu, pojękując coraz słabiej.

Przybysz chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. Gospodarz podniósł głowę. Był blady i mizerny. Miał bardzo smutne, wielkie, coraz większe oczy i chudą, zbolaną, jakby starą twarz.

- Cześć. - Januszek jak gdyby nigdy nic wyciągnął rękę. Chłopiec otworzył usta. Pewnie chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic, tylko zamarł z tymi otwartymi ustami i gapił się na niego baranim wzrokiem. Wyglądał bardzo głupio z rozdziawioną gębą, w której widniały rzadkie, pieńkowate i najwyraźniej nie Wszystkie zęby. Nagle wrzasnął nieludzkim głosem, podskoczył,

jakby użądliła go osa, rzucił się na polepę i wpełzł pod łóżko. Zrobił to tak szybko, że niespodziewany gość nie zdążył mu przeszkodzić, sam zaskoczony, zdziwiony i przestraszony, ale tylko trochę.

- Papapanieeee, poppoponiechajcie mnie, jam niewi-wiwinowaaaty - rozległo się wystraszone jąkanie.

-Co?

- Jaam niewiwiinowaty, ponieechajcie, paaanie.

Januszek nic z tego nie rozumiał. Ale ciocia Jasia zawsze mówiła, że najważniejsza jest cierpliwość i że trzeba mieć dużo cierpliwości dla chorych. A ten chłopak wyglądał na chorego. Nawet z nosa zwisał mu gil. I oczy miał błędne, niewyraźne, wytrzeszczone.

- Wyłaż!

- Zaa nic w świeeciecie, jaasnyyy ppaanie.

- Nie jestem żadnym panem - wyjaśnił spokojnie (spokój, spokój, tylko spokój może nas uratować, mawiał tato). Odpowiedziało mu jakieś mamrotanie.

- Wyłaż, bo cię stamtąd wyciągnę - przybrał groźny ton dziadka (nie ma to jak stanowczość, panie dzieju).

- Nie cyńcie tego, nieeee - zawyło spod łóżka.

- No to, no to... sam tam wleżę.

- Nieeeeeee - zawyło znów - litościiii!!!!

- Jakiej znów litości? Czyś ty zwariował? Nie masz się czego bać - zapewnił, bo dotarło do niego, że dziwny chłopak boi się go okropnie i zupełnie nie wiadomo dlaczego. Pokonując obrzydzenie, położył się na tej podłodze nie podłodze. Mały gospodarz skulony wciąż wpatrywał się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczyma i bardzo szybko oddychał. Dzielili ich tylko szerokość łóżka.

- No, co jest? Czego się boisz?

Pawe Siedlar

- Skądęście się tu wzieni, panie? - usłyszał w odpowiedzi.
- Nie jestem żadnym panem. - Znow wyciągnął rękę. „Stary-Malutki” nie odwzajemnił gestu, tylko skulił się jeszcze bardziej, więc Januszek brnął dalej.
- Nazywam się Janusz Kowalik. Mieszkam tu zaraz, na górze. Zszedłem z dziadkiem do piwnicy. Po węgiel. No i znalazłem ciebie. Usłyszałem, że płaczesz, to przyszedłem.
- Jakoś na górze? Skądęście psysli? Sjakiej góry? Snie-baście sfrunęli?
- Tak, z nieba. - Januszka ogarnęła złość. Jaki ten chłopak był głupi. - Nie dogadamy się - mruknął i już prawie wstawał, by wrócić do siebie, zniechęcony, gdy nagle do głowy przyszła mu całkiem dobra myśl. Miał w kieszeni kilka szklanych kulek. Wyjął jedną z nich i leciutko popchnął w kierunku obcego. Ten wbił w kąt swe chuderlawe ciało. Kulka zatrzymała się tuż przed jego nosem. - Weź. To dla ciebie. Mam ich więcej, patrz. -Wyjął pozostałe i przeturlał je płaską dłonią w lewo i w prawo. *■

Przeżalenie na twarzy obcego zastąpił wyraz niewyobrażalnie wielkiego zachwyty.

- Co się tak gapisz? Kulek nie widziałeś? Wyjdź spod łóżka, to sobie zagramy. Pewnie nie umiesz, co? No to cię nauczę. Wyłaźże wreszcie.
- Wyście janiot, panie? - Chłopak wpatrywał się w niego tak, że było to trudne do wytrzymania.
- Tak, aniot - wrzasnął zdenerwowany. - I rozkazuję ci, do jasnej cholery, wyjść wreszcie spod tego cholernego łóżka!

Piwnica ■ 313

Gdy tylko dziadek zaczynał cholerować, babcia milkła, milkła także ciocia Jasia, chociaż zawsze lubiła mieć ostatnie słowo, więc pewnie dlatego i tym razem cholera (na dodatek jasna) okazała się skuteczna. Zasmarkany lokator izdebki wylazł, ociągając się trochę, i jakby śmieiej popatrywał na swego niebiańskiego gościa.

- Gra się tak. - Kulka uderzyła o kulkę. Chłopak nie zwracał na nie uwagi. Stał w kornej pozie i popatrywał spode łba, z szacunkiem, ale i ciekawością. Wprost pożerał przybysza oczami. Był nieco wyższy, niż wydawał się z początku, ale musiał być dużo, dużo starszy, z tą swoją twarzą pomarszczoną, chudą, brudną, z tą szczerbatą gębą. Jego dłonie - Januszek dopiero teraz je zauważył - były sękaty i żyłaste. Niepodobne do dłoni żadnego z kolegów. Nawet tego dużego Cześka, o którym wszyscy mówili „ale wyrośnięty”. To były dłonie starego, ciężko pracującego człowieka. Prawie jak dziadka. I niewiele mniejsze.
- Chodzisz już do szkoły?
- Co rzececie, panie?

- Ile masz lat?
- Jakoś lat?
- Jak... stary jesteś?
- Kieło mi roków, pytocie, paanie? - Strach ustąpił już z twarzy chłopca. Teraz patrzył całkiem bystro. I wyglądał na prawie normalnego. Gdyby nie ten brud. I smród, którego Januszek i tak już prawie nie czuł, bo się przyzwyczył.
- Tak. Ile masz tych, tam... niech ci będzie, roków?
- Śtyrnoście mi idzie.
- Czternaście? Niemożliwe. Wyglądasz okropnie sta- » ro, chociaż jesteś niewiele większy ode mnie. To pewnie z niedożywienia. Ciocia Jasia zawsze mówi, że niedoży-

Pawet Siedlar

wienie w dzieciństwie prowadzi do rozmaitych wynaturzeń i ogólnego cherlactwa. A ty chyba jesteś niedożywiony. Co tu robisz?

- Jo? - Zapytany sprawiał wrażenie zakłopotanego. -Jako wam rzec, panie? Służem i robiem sytko. Teraz mi trza uwarzyć strawę i ku Żabiemu Kruku nieść. Ta-mój pan mój robotę ma. Pewnikiem utrudzon będzie. A jak utrudzon i głodny, to zły. - Rozejrzał się ze strachem. - Ogień mi niecić, strawę warzyć i sniom ku Żabiemu Kruku iść - powtórzył.
- Żabi Kruk? - Ta nazwa wydawała się Januszkowi znajoma. Gdzieś ją słyszał, chyba, ale nie mógł przypomnieć sobie gdzie.
- Na Zabini Kruka młaka jes i bagno, a wpodle Żabiego Kruka głęmbia.
- Aaaaa, głęmbia. Na Wiśle? - Januszek przypomniał sobie legendę o topieniu świętych kruków opowiedzianą przez mamę.
- Na Wiśle.
- Czy ten,.. twój pan jest rybakiem?
- Rybakiem, rybakiem, chichichichichi. - Chłopak chichotał, jakby do reszty zidiociał. Jednocześnie uderzał płaską metalową sztabką o kawałek krzemienia położony na garści siana i jakichś paprochów.

- Rybakiem, chichi, chichichi. Rybuf się mu zachciało. Uwidzielibyście one ryby, chichi, chi, tfuuuu, chu, chu, pufffff. - Już rozdmuchiwał płomyk, który rozpalał się ładnie. Na koniec rzucił w palenisko garść drobnutkich trzasek i ogień zapłonął na dobre. Dodał kilka grubszych drewniek i powiesił nad ogniem spory kociołek. Dolał trochę wody z drewnianego cebrzyka, zamieszał.

Piwnica • 31

Ogień palił się równo. Dym trochę gryził w oczy i szczypał w gardle. Niby uciekał do góry i wydostawał się przez klapę w suficie, ale sporo go zostawało w izbie. Januszek zakrztusił się raz i drugi. Zastanawiał się, dlaczego chłopak śmiał się bez sensu. Może z jego pytania? Nie lubił, gdy z niego drwiono. Raz nawet rozkwasił nos Stachurki, bo Stachurka powiedział mu, że ma łeb jak żarowa. No to sam zebrał po łbie. I potem płakał. Jednak tego chłopca Januszek nie odważyłby się uderzyć.

- Z czego się śmiałeś? - zaryzykował.
- S tych wasych rybuf. Śpasy se robicie se mnie cy jako? +
- Co jest śmiesznego w rybach?
- Nie bedzie tam rybuf żadnych. Kaşkę "Strebekacke pławić bedom - wyjaśnił chłopak uprzejmie.
- To znaczy co będą robić z tą Kašką?
- Nie wicie?
- Nie wiem, opowiedz.
- Jakoś to „powiedz”. Pławić to pławić. W rzyce.
- Jak? - Januszek potrafił być bardzo konsekwentny, gdy mu na czymś zależało. Wszyscy tak mówili.
- Jako by wom rzec? - Młody kucharz przerwał mieszanie i końcem kopyści drapał się po skołtunionej łepetynie. - Biere sie babe i sie pławi. Abo się utopi, wtedy nic jej. Abo się nie utopi i się jom pali.
- Nie rozumiem.
- Pódziecie, uwidzicie, zrozumicie. - Chłopak oblizał kopyść.
- Mam z tobą iść?
- Cemusby nie? Uwidzicie ryby mojego pana, hehehe.

316 • Pawet Siedlar

-

Wyszli z chaty i Januszek zdumiał się niesamowicie. Tuż niedaleko, zaraz za chałupą, widniało miasto. Otoczone murem. I fosą wypełnioną mętną wodą. Nad miastem górował zamek. Po drugiej stronie chaty rozlewała się rzeczka, kawałek dalej wpadająca do dużej rzeki. Nie miał jednak czasu na rozglądanie się, bo chłopak gnał do przodu, jakby go ktoś gonił. W jednej ręce niósł gliniane naczynie wypełnione rezultatem swych kucharskich zabiegów, w drugiej gruby kostur. Trudno było za nim nadążyć. Pędzili dłuższą chwilę ścieżką wiodącą wzdłuż miejskich murów, w niewielkim od nich oddaleniu. Minęli dwie wieże i jedną bramę, gdy przed oczami Januszka, zaraz za zakrętem, w całej okazałości wyłonił się zamek stojący na wzgórzu. Biegli dalej. Ścieżka skręcała w kierunku szerokiej, płynącej zakolami rzeki. Na jej brzegu rozlokował się hałaśliwy tłumek. Chłopak skierował się ku pomostowi skleconemu z belek tuż nad samą wodą. Stało przy nim kilka postaci. Postacie te, czarne, nieruchome, nie wiadomo dlaczego przypominały sępy. Sługa wpadł jak bomba do obskurnego szałas opodal pomostu. Januszek bezwiednie wpadł za nim. Tam na grubym pniu siedział jakiś mężczyzna. Wyrwał chłopcu gliniak z rąk i natychmiast zaczął go opróżniać wyciągniętą zza pasa łyżką. Był zwały i okropny. Jego szpetota była dobrze widoczna pomimo półmroku, który nie do końca rozpraszało światło wpadające przez dziury w drzwiach i szczeliny w ścianach skleconych z byle jak poobrabanianych belek. Pod ścianą leżało coś, co wyglądało jak zwinięty dywan. Mężczyzna zjadł, trącił nogą chłopca i ruchem głowy wskazał mu rulon. Ten podszedł i tak jak mężczyzna jego trącił nogą pakunek. Tylko zrobił to

Piwnica

mocniej. Rozległ się głuchy jęk. W tym momencie ktoś zaczął walić do drzwi.

- Kogoś corty niesom? - Ponury a zwały niechętnie dźwignął się z pnia i otworzył. Przed nim stał mały, chudy osobnik w czarnym, długim płaszczu, w głębokiej, zasłaniającej uszy czapce.

- Prześwietna Rada przyzywa mistrza, by czynił swą powinność - zaskrzeczał.

- Dy jesce nie cas. - Mistrz zgiął się w głębokim ukłonie. - Od samiućkiego rania dziś robiem za dwóch abo za trzech. Dejcie dychnonć krzyne.

- Nie bedzie s tego nic - surowo odparł chudy. - Nie leńcie sie, mistrzu. Baccie, iże grzechem lenistwo jest.

- Nie grzesem ja, panie, robiem, co moge. Alem ino dziś Scepana Jurgieltnika sprawił, a twardy zwierz był s niego, wierzajcie, Jorga Betramam ściobił, kiefzał, darł i palił na ostatek, Cudke Pichnem pławił razy trzy, za-czem stęchła...

- Jesce ino Strebekacka wam się ostała, mistrzu - przerwał mu chudy, zupełnie nieczuły na biadolenia. - Dych-niecie se potem - dodał na pocieszenie i poszedł sobie. W tym czasie chłopak rozwinął pakunek, który okazał się związaną jak baleron tęgą kobietą z owiniętą szmatami głową i posiniaczoną twarzą. Usadził ją na ziemi opartą plecami o ścianę. Osuwała się i sprawiała wrażenie nie do końca przytomnej. Januszek machinalnie cofnął się w sam kąt. Tu działo się coś bardzo, ale to bardzo niedobrego. Bał się. Najchętniej by zniknął. Albo wrócił do siebie. Rozumiał jednak, że akurat w tej chwili

nie może. Dopóki nikt nie zwracał na niego uwagi, był w miarę bezpieczny. Ucieknie, gdy wszystko się skończy. Albo gdy ci ludzie będą zajęci tym, po co tu przyszli. Chciał

Pawet Sedlar

jednak wiedzieć, po co przyszli, i to było silniejsze od strachu.

Związana szeroko otwartymi ustami łapała powietrze, jakby chciała się nim nasycić na zapas. Mężczyzna zwany mistrzem narzucił na siebie czerwony kubrak, głowę skrył pod czerwonym kapturem.

- Bier jom - rozkazał chłopakowi, który z niespodziewaną waną krzepą dźwignął kobietę i powłókł w stronę rzeki. Na pomost wtaszczyli ją razem. Zakapturzony uniósł ją nieco, a jego pomocnik zamocował na jej więzach linę zawieszoną na czymś w rodzaju żurawika. Tak podtrzymywana stała chwiejnie, z głową opuszczoną na piersi. Owijające ją szmaty zsunęły się, odsłaniając łusą głowę, całą w bliznaach i skrzepach świeżo zastygłej krwi, jakby do ogolenia jej użyto tępej siekiery. Albo jakby włosy wrywano garściami wraz ze skórą. Twarz, teraz dobrze widoczna w jasnym świetle, była spuchnięta i posiniaczona, spojrzenie związanej - błędne.

Jeden z członków Rady rozwinął opatrzony pieczęcią zwój i zaczął czytać donośnym, nosowym głosem w jakimś obcym Januszkowi języku. Obok stał drugi, który równie donośnym głosem tłumaczył zebranej gawiedzi słowa pierwszego. Mowa jego była teraz zupełnie inna od tej, którą przed chwilą porozumiewał się z mistrzem. Z gadaniny chłopca Januszek też połowy nie rozumiał, taka była sepleniąca, pełna nieznanymi słowami i w ogóle jakaś głupia. A tu proszę, wszystkie słowa padały wyraźnie i jakby uroczyście. Choć niektórych rzeczy i tak musiał się domyślać.

Piwnica •

Niniejszym czyni się wiadomym wyrok Rady Sławetnej na Katarzynie Strebekaczce za obrazę Czcigodnego Krystyna Restinga, kalumni nań rzucanie a potwarzy, wieprzem nieczystym nazwanie go w obecności osób wielu, a po wielekroć na rynku, także guseł i czarów czynienie, a to przez uroków rzucanie na Dostojną Johannę Kunno-wą, która ciężarną będąc, wskroś nich czarta małego porodziła, którego wszelako zaraz pomarł i psom na pożarcie ciśnięty został. Rzezoną zaś Dostojną Johanna Kunnowa, zmysły od tego straciwszy, na życie własne bezbożną rękę uniosła i nią się tegoż pozbawiła, za co potępioną wieczyste być może. Może się wszakże inaczej zdarzyć, zważywszy, iżże mąż jej Czcigodny Kunn Bert na dwanaście mszy za duszę swej nieboszczki nie poskąpił, tusząc ofiarami swemi zbawienie dla niej wieczyste wyjednać. Zda się także i Radzie Sławetnej. To wszakże dla ziemskich wyroków znaczenia nijakiego nie ma, boskim wyrokiem podlegając, których nam, grzesznym, na ziemskim tym padole roztrząsać się nie godzi. Wobec jednakowoż zatwardziałości serca rzezonej Katarzynie Strebekaczki i wobec takiego, a nie innego spraw obrotu, nie od rzeczy będzie k temu się przychylić, by onej Katarzynie Strebekaczce reszty praw odjąć tych, które się przystojnym a pocziwym należą. Także za płodów spędzanie u niewiast i dziewczyn powłócznych wielu, w tem u Magdy Pierdolonką zwanej i Czochny zwanej Krzywą Kuciapą, o których dowodnie wiadomo. Tedy sądzić ją i skazać należy za wsze

grzechy jej, a przewinienia w kupie, nie zaś osobno. Tedy jako za zabójstwo i niejedno sądzoną być powinna, choćby i skryte. Takż za kurewskim rzemiosłem paranie się. Po uprzednim zasię na męki wzięciu i do uczynków rzeczonej Katarzyny Strebekaczki przyznaniu się i krzyżem własną jej

320 • Pawet Siedlar

ręką poświadczonym próbie wody poddaną będzie ona po siedmiokroć. Poczem jeżeli z tejże żywot swój nędzny ocali za czartowską pomocą, paloną żywym ogniem będzie gwoli win odkupienia i grzechów swych wielu takż gwoli oczyszczenia duszy swej plugawej w tej nadziei, iż po mękach czyścicowych, których niechybnie doświadczy, a wobec których ziemskie męki niczym są, światłości niebieskiej dostąpi. Przypomina się wszem wobec, iż rzeczona Stre-bekaczka niejednen raz tumulta i wrzaski nieprzystojne na rynku wprzódy czyniła, a gęsta i wykrzywiania sprostne, za co już dwa razy pod pręgierzem stała, by chłostę przystojną otrzymawszy, poprawę przyrzec. Ta wszelako nigdy nie nastąpiła, czego dowody jasne są całkiem i każdemu oczywiste. Tedy tuszając, iż uczynek nasz sprawiedliwym jest i miłym Panu Naszemu, wobec duszy plugawej oczyszczenia i piekłu wydartej odzyskania, wyrok Rady Sławetnej zatwierdzonym ogłaszamy.

- Mistrzu - zwrócił się do zakapturzonego, na powrót zwijając pismo w rulon - czyńcie, co czynić macie.

Mężczyzna w czerwieni pchnął ramię żurawika, rozległ się plusk i kobieta znalazła się w wodzie. Teraz kat i pomocnik schwycili linę i luzowali ją, w miarę jak nurt rzeki unosił nieszczęsną. Po mniej więcej dwudziestu metrach podciągnęli ją z powrotem. Widać mieli w tym dużą wprawę. Pławiona, czy raczej topiona, nie była w stanie wykonywać żadnych ruchów, przynajmniej takich, które umożliwiałyby jej unoszenie się na wodzie. Miała związane nogi i skrupowane na plecach ręce. Tylko trochę rzucała się z początku. Potem opadła z sił, zemdląła lub utopiła się. Mimo to podciąganie i puszczenie jej z prądem ponawiano stosowną ilość razy, albowiem sprawiedliwości musiało stać się zadość. Tylko raz ceremonia

Piwnica • 31

ręką poświadczonym próbie wody poddaną będzie ona po siedmiokroć. Poczem jeżeli z tejże żywot swój nędzny ocali za czartowską pomocą, paloną żywym ogniem będzie gwoli win odkupienia i grzechów swych wielu takż gwoli oczyszczenia duszy swej plugawej w tej nadziei, iż po mękach czyścicowych, których niechybnie doświadczy, a wobec których ziemskie męki niczym są, światłości niebieskiej dostąpi. Przypomina się wszem wobec, iż rzeczona Stre-bekaczka niejednen raz tumulta i wrzaski nieprzystojne na rynku wprzódy czyniła, a gęsta i wykrzywiania sprostne, za co już dwa razy pod pręgierzem stała, by chłostę przystojną otrzymawszy, poprawę przyrzec. Ta wszelako nigdy nie nastąpiła, czego dowody jasne są całkiem i każdemu oczywiste. Tedy tuszając, iż uczynek nasz sprawiedliwym jest i miłym Panu Naszemu, wobec duszy plugawej oczyszczenia i piekłu wydartej odzyskania, wyrok Rady Sławetnej zatwierdzonym ogłaszamy.

- Mistrzu - zwrócił się do zakapturzonego, na powrót zwijając pismo w rulon - czyńcie, co czynić macie.

Mężczyzna w czerwieni pchnął ramię żurawika, rozległ się plusk i kobieta znalazła się w wodzie. Teraz kat i pomocnik schwycili linę i luzowali ją, w miarę jak nurt rzeki unosił nieszczęsną. Po mniej więcej

dwudziestu metrach podciągnęli ją z powrotem. Widać mieli w tym dużą wprawę. Pławiona, czy raczej topiona, nie była w stanie wykonywać żadnych ruchów, przynajmniej takich, które umożliwiałyby jej unoszenie się na wodzie. Miała związane nogi i skrępowane na plecach ręce. Tylko trochę rzucała się z początku. Potem opadła z sił, zemdląła lub utopiła się. Mimo to podciąganie i puszczenie jej z prądem ponawiano stosowną ilość razy, albowiem sprawiedliwości musiało stać się zadość. Tylko raz ceremonia

Piwnica

uległa nieznacznej zwłoce, przerwana sporem kompetencyjnym Sławetnych. Trzech spośród nich utrzymywało bowiem, że próba wody nieważna jest wobec tego, „iż pod spódnicę pławionej powietrze dostało się, tężę na powierzchni statecznie trzymiąc”. Jednakże druga, liczniejsza frakcja utrzymywała, „iż wobec skutków pławienia, które zgodne z przewidywanymi są, żadnego nie może to mieć znaczenia”. Przez cały czas motłoch na brzegu krzyczał, wrzeszczał i żywo dyskutował nad przebiegiem egzekucji. Gdy po przepisanych siedmiu razach sztywne zwłoki niepokornej Kaśki Strebekaczki wywleczono na brzeg, wszyscy rzucili się do ich oglądania. Januszek, który obserwował wszystko z pewnego oddalenia, biegiem powrócił do chatki, hycnął w jej kąt za łóżkiem, zakręcił się i już był w bezpiecznym, wilgotnym mroku dziadkowej piwnicy. v ,

Po omacku ruszył tam, gdzie powinien czekać na niego jasny blask świecy. Jednak żadnej świecy nie było. Szedł i szedł, wiodąc dłonią po wilgotnym murze, długo, długo, jakby korytarz nigdy nie miał się skończyć. Ogarniał go strach. Nagle rozległo się zgrzytnięcie. Znał ten dźwięk. To były metalowe drzwiczki. Powinny być całkiem gdzie indziej. Widocznie w ciemności pomylił kierunek. Ważne jednak, że były.

- Tu jestem, tu jestem - zawołał i ucieszył się, bo zamiast srogiego głosu dziadka usłyszał radosny - babci.

- No mówiłam, mówiłam ci, stary łamago, żeś o dziecku zapomniał?

Dziadek nie odpowiedział. Lecz gdy Januszek zobaczył jego minę, zrozumiał, że tym razem podpadł może bardziej niż przy robieniu zastrzyków.

Pawet Siedlar

Dziadek nie odzywał się do wieczora. Niby robił srogie miny, ale był markotny. Wszyscy się z niego śmiali. No bo dziecko zostawił w piwnicy. Zapomniał.

- Pewnieś się zakochał na stare lata, co? - dokuczała mu babcia. - Alboś już całkiem skapcaniał.

Ale dziadek milczał i chodził zły i smutny przez całe , popołudnie. Januszkowi było go żal. Postanowił coś wymyślić i wymyślił. Podeszedł do babci i powiedział, że to nie tak było i że nie ma co się na dziadka złościć. Spojrzał jej przy tym głęboko w oczy. Takiego sposobu patrzenia nauczył się, oglądając jeden film w telewizji. Potem tylko trochę potrenował przed lustrem i już umiał. Zaraz sprawdził skuteczność takiego patrzenia na babci, potem na cici, na mamie, w końcu i na tacie. To działało. Jego prośby były

spełniane chętniej i szybciej niż wtedy, kiedy jeszcze nie umiał tak patrzeć. Przy okazji dowiedział się, że ma wyraziste oczy, i bardzo mu się to spodobało.

- A jak? - Babcia nachyliła ku niemu swą dobrotliwie pomarszczoną twarz.
- Ja wyszedłem z piwnicy, bo mi się zachciało pić - powiedział poważnym tonem. - Poszedłem do pana Kar-pika na oranżadę. Napiłem się, no i wróciłem. Ale tam już dziadka nie było. A potem przyszliście razem. I nie krzycz więcej na dziadka, proszę. Ani na mnie - dodał na wszelki wypadek.
- Jak to „wyszedłeś”? - nie zrozumiała babcia. - Nie bałeś się? Sam? Po ciemku?
- Dobrze znam drogę - odparł. - A po oranżadę już nie raz sam schodziłem - przypomniał.
- Rzeczywiście. A jak sobie otworzyłeś? Te drzwi są takie ciężkie i stale się zacinają. - Zerknęła na dziadka, który udał, że nie słyszy.

Piwnica • 323

- Jestem już duży, babciu.
- Miałeś pieniądze?
- Nie. Pan Karpik powiedział, że zapłacę następnym razem. Kiedyś tak już było, pamiętasz? Nie miałaś wtenczas drobnych.
- Masz tu. - Babcia wyciągnęła z kieszeni fartucha trochę bilonu, odliczyła ile trzeba i podała Januszkowi. -Oddaj mu zaraz. Leć. Tylko znów się nie zgub.

„Poleciał” więc, kupił sobie oranżadę, wypił ją szybciej niż zazwyczaj, a gdy wrócił, w domu przywitał go udobruchany dziadek.

- Na - podał mu dwie złotówki - weź. Kup sobie oranżadę. Dobrześ zrobił, żeś się przyznał, bo już myślałem, że z moją głową coś nie tak. Następnym razem nie rób mi takich kawałów. Jak chcesz gdzieś iść, to powiedz, boś mi napędził stracha. Eeeech - machnął ręką - co za dziecko. † -

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Bardzo nie chciał myśleć o „pławieniu Kaśki Strebekaczki”, więc starał się myśleć o wszystkim innym. O lęklwym chłopcu w brudnej koszuli i o tym, że powinien przynieść mu aspirynę. No bo ten chłopiec pewnie był biedny i nie było go stać. A jeśli był chory, to aspiryna by pomogła. Gdy sam miał katar, ciocia dawała mu połówkę aspiryny i mówiła, że to bardzo dobry lek, szczególnie na wczesne stadium przeziębienia. Aspirynę weźmie od cioci. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Myślał też o tym, jak to jest, że piwnica nie wszędzie jest piwnicą. Pewnie korytarz idzie trochę pod górkę,

Pawet Siedlar

tylko po ciemku nie widać. Aż dochodzi do parteru. Tam była ziemia zamiast podłogi. To musi być gdzieś na podwórku, myślał. Ale przecież na podwórku nie ma nic. Tylko mury innych kamienic i kubły ze śmieciami. A może korytarz idzie pod spodem, na podwórko innego domu? Jest długi, więc pewnie tak. To by było nawet lepiej. Nie musiałbym schodzić. Wystarczyłoby obejść... -pomyślał jeszcze i wreszcie zasnął. Tej nocy budził się wiele razy. Ze strachu. Bo śniło mu się pławienie i człowiek w czerwieni, który chciał pławić jego. Aż za którymś obudzeniem obudziła się i ciocia Jasia, położyła mu rękę na czole i dała połówkę aspiryny na wszelki wypadek. I jeszcze jedną połówkę jakiegoś innego lekarstwa, którego nie znał. Po tym lekarstwie wreszcie zasnął i spał dobrze do rana. Śniło mu się, że błądy chłopiec wylazł spod łóżka i bawili się razem w jakąś nieznaną mu zabawę, której po przebudzeniu nie pamiętał. Pamiętał tylko, że zabawa ta wcale mu się nie podobała i że przystał na nią dla świętego spokoju. Żeby nie robić przykrości chłopcu. A potem się obudził i próbował narysować chłopca, jego kłitkę i poustawiane w niej sprzęty. Pryczkę, fydelek, dziwną, pochyłą, jakby kulawą ławę z jakimś czymś u góry i u dołu, wielki topór leżący pod nią i inne narzędzia, całkiem niepodobne do dziadkowych narzędzi z zestawu dla majsterkowiczów, drewniany cebrzyk i wszystko, co sobie zapamiętał. Nie bardzo mu to wychodziło, więc próbował, próbował, aż uznał, że chłopiec na rysunku jest wystarczająco usmar-kany i wystraszony, brud izdebki wystarczająco brudny, a wszystko razem wystarczająco odrażające. Na koniec narysował pławienie. Musiał je narysować, chociaż nie chciał nawet o nim pamiętać. Po prostu musiał.

Piwnica • 325

W miarę zaś jak rysował, odkrywał, że nie potrafi tego zrobić dokładnie, gdyż stał dość daleko ukryty w cieniu obskurnego szałasiku i nie wszystko widział. To z kolei budziło wątpliwości, których w miarę zapełniania kolejnych kartek przybywało i przybywało. O ile wczoraj wieczorem i dziś rankiem, tuż po przebudzeniu, traktował minione zdarzenia jako najszczerzą prawdę,

0 tyle już koło południa wcale nie był pewien, czy rzeczywiście widział to, co ołówkiem i kredkami usiłował przenieść na papier.

No bo niby jak miałyby się stać to wszystko? Gdzie? Kiedy? Podczas wyprawy do piwnicy? Po węgiel? Z dziadkiem? To nie było możliwe. Głowił się i głowił całe przedpołudnie.

Babcia gotowała obiad, z kuchni dobiegały odgłosy jej krzątania, a on rysował, rysował i myślały myślał, myślał. Babcia nawet zaglądała do pokoju, dlaczego jest tak cicho. Podstawiła mu talerzyk z ciastkiem i wodę z sokiem.

1 pochwaliła, jaki jest grzeczny. A on nie był grzeczny, tylko miał co innego do roboty niż pomaganie (zawracanie głowy mówił dziadek) babci.

Wreszcie definitywnie uznał rzecz całą za niebyłą. Koślawe sprzęty i dziwne narzędzia widział kiedyś w muzeum. Etnograficznym - przypomniał sobie. W starym ratuszu kazimierskim. Były tam rozmaite rzeczy. Nawet starodawne ule z ludzkimi twarzami, wyrzeźbione z wielkich pni drzewnych. I zapach w tym muzeum był jakiś dziwny, też pewnie starodawny. Mama często brała go do rozmaitych muzeów. Ciągle też opowiadała mu legendy. Była historykiem i przewodnikiem (dyplomowanym, a jakże) po mieście i czasem brała go ze sobą do pracy. Wtedy razem oprowadzali wycieczki. Różne.

Pawet Siedlar

Zagraniczne też. Nasłuchał się wielu ciekawych historii. Niektóre z nich były bardzo straszne. I teraz mu się to wszystko przyśniło. Bo raz, dość dawno temu, poszli na taką wystawę, gdzie były rozmaite narzędzia do męczenia ludzi. I wtedy (tak, tak, to na pewno było właśnie wtedy) usłyszał o pławieniu czarownic. I zobaczył rysunki.

' Bo dawni ludzie wierzyli w czarownice. I je topili. Albo palili. Na stosie. I mama powiedziała, że to nie jest dobra wystawa dla dziecka i że niepotrzebnie go na nią wzięli. Ale tato zaraz mamę uspokoił, że on (Januszek) i tak nic z tego nie zrozumie. Bo to było dość dawno. Ze dwa lata temu. Zresztą zaraz wyszli. A on i tak rozumiał. Wszystko. Tylko o tym nie mówił, bo po co? A piwnica jest piwnicą i nie ma w niej nic oprócz... piwnicy. I nie ma tam żadnego ukrytego wyjścia. On to sobie wszystko wyobraził w piwnicznej ciemności. Ciągłe nad nim wydziwiali, jaką to ma bujną wyobraźnię. Ciocia nawet nazywała go czasem „Klituś-bajduś”. Albo mówiła „pleć, pleciugo, byle długo”. I śmiała się i przymrużała jedno oko.

Już niejedną raz wcześniej zdarzało mu się tak zamyślić i pogrążyć w marzeniach, że nie wiedział, co się z nim dzieje. Wujek Leszek mawiał o nim w takich razach, że nie powinien się nazywać Januszek, tylko Tomek-Nieprzytomek, i dodawał coś o odrywaniu się od rzeczywistości. Że on, znaczy się Januszek, musi uważać, żeby nie oderwać się całkiem i gdzieś im nie odfrunąć. I że powinien nauczyć się nad tym panować. Bo to się źle skończy. Bo przestanie odróżniać prawdę od fantasmagorii. Kiedyś nawet zaprowadzili go do psychologa z tą wyobraźnią. Czy to aby normalne, to znaczy czy normalna jest taka wyobraźnia, przez którą się odrywa? A tam powiedzieli, że wszystko w porządku. Tylko że jest bardzo

Piwnica

wrażliwy. I że jest co najmniej o rok za szybko rozwinięty emocjonalnie. Ale to nic złego, bo poza tym jest całkiem normalny. A nawet bardzo inteligentny. Akurat o tym sam dobrze wiedział i bez psychologa.

Tylko Marek Olejarczyk, taki kolega, co mieszkał na Długiej, miał lepszą wyobraźnię od niego. I stale opowiadał o trupach, duchach i oślizgłych trupich czachach na pajęczych nogach. Takich rzeczy, jakie wymyślał Marek, nie potrafił wymyślić nikt. Nawet Januszek. Źle spał ostatniej nocy i to wszystko przez to. I właśnie dlatego mu się wszystko pomyliło i pomieszało. Sen z jawą i z wyobraźnią. Tylko dlatego.

Na wszelki wypadek, całkiem od niechcienia, spytał babcię, co jest na sąsiednim podwórku. Babcia odpowiedziała, że magiel i że był tam już z nią parę razy. Odpowiedział: „Rzeczywiście” i spytał o podwórko „to drugie”. Babcia powiedziała, że tam w ogóle nic nie ma, tylko skład papy i desek. Jeśli jednak na drugim podwórku nie było domku czy choćby szopy, to gdzież by mieszkał i skąd by się tam wziął usmarkany chłopak i cała reszta? To był sen -ostatecznie upewniał się, przekonywał jeszcze i jeszcze raz. Aż wreszcie uwierzył w to, bo przecież nie mógł wierzyć, że gdzieś obok, w piwnicy albo nie w piwnicy, istniał jakiś inny, dziwny świat.

Lecz w nocy wrócił do niego usmarkany chłopak i wzywał go do siebie.

Nazajutrz już z samego rana poprosił babcię o dwa złote. Babcia dała mu je i pogłaskała go po głowie. Teraz wystarczyło tylko poczekać, aż się czymś zajmie, i wy-

Pawet Siedlar

konać swój plan. Bo nie mógł tego tak zostawić. Musiał sprawdzić raz jeszcze. Musiał wiedzieć na pewno. Zawsze był dokładny i dociekliwy. Aż za bardzo. I stale

O co pytał. I dociekał. Uparcie. Raz nawet dziadek powiedział o nim: „Stary pierdoła, a nie dziecko, skąd się taki wziął?”. Wczoraj, myśląc o różnych sprawach, układał sobie wszystko w głowie. I planował. Planowanie jest najważniejsze, mawiał tato. No to Januszek wszystko sobie zaplanował. Dokładnie. Z drewnianego kuferka wybrał płaską baterijkę i żaróweczkę. (Babcia mówiła „pudełko na klamory”, dziadek „skrzynka na szpeja”).

1 żarówka i baterijka były trochę stare, ale działały. Tyle że słabo. Kiedyś wymyślił sobie taką latarkę i nazwał ją „migawką”. Bo migąta.

Tak żeby babcia nie widziała, zdjął klucz z wieszaka i powiedział, że idzie na oranżadę. Nie zapomniał o aspirynie. Wziął ją z ciocinej apteczki. Całe pudełeczko. Najlepszej. Bayerowskiej. Na wszelki wypadek. Gdyby ten chłopak naprawdę żył tam... w piwnicy? Albo gdzieś... indziej.

Trafił łatwo¹, chociaż prowizoryczna latarka dawała słabe światło. Gorsze niż świeca, no i trzeba było do niej obu rąk. Żeby trzymać żarówkę równo przytkniętą do obu blaszek. Inaczej nie chciała świecić. Trudno. Ale świecy nie mógłby wziąć niepostrzeżenie. Babcia zaraz by się czegoś domyśliła. I nie puściłaby go samego. Szybko zbiegł na parter, trochę wolniej pokonał bardziej strome schody piwniczne. Minął dziadkową komórkę, nie zatrzymując się i nie napotykając żadnego potwora. Nie po raz pierwszy pomyślał, że potwory nie mogą żyć w piwnicach. Tylko szczury. Ale szczurów też nie było, od czasu jak rozpleniły się koty. Te wielkie. Czarne jak

noc. Których trochę się bał, bo ciocia powiedziała, że są bardzo dzikie. Strach ma wielkie oczy, powtórzył sobie powiedzenie dziadka i już prawie wcale się nie bał, niczego: miał światło, to i potworów nie było. A koty zostały na górze. Do piwnic wracały tylko nocą, gdy zamykano jadłodajnię pana Karpika.

Stanął przed ścianą. To była na pewno ta ściana. Nie żadna inna. Ale nie było w niej nawet najmniejszej szczeliny ani tajemnych drzwiczek. Żadnego przejścia. Tylko mur z wielkich cegieł i białych kamieni. Pewnie bardzo stary, bo dziś nikt już takich murów nie budował (powiedział kiedyś dziadek), a i cegły dzisiejsze nie były takie wielkie jak dawne (wiedział od taty).

Nagle zgasła „migawka”. Od samego początku raczej mżyła, niż świeciła. A teraz padła na amen. Poczut niepokój. Przeszło mu przez głowę, że powinien wrócić, i pewnie by zawrócił, bo tu nie było nic, ale na moment stracił orientację, zrobił krok w lewo, cofnął się, znów postąpił do przodu i znalazł się tam. W małej, brudnej klitce. Pomiędzy pryczą a ścianą.

Chłopiec akurat wielką kopyścią mieszał w kotliku coś, co napełniało izdebkę przeraźliwym fetorem. Januszek przez krótką chwilę udawał, że wcale go nie ma, i tylko wsłuchał się w jego jękliwe, monotonne mamrotanie. Rozumiał tylko poszczególne słowa: „jenzyk powiesonego, ocy ośleptego, syrce zdrajcy, tegos jajcy” - przeplatane jakimś bełkotem. Zrozumiał za to aż za dobrze, że chłopak nadal ma katar. Może nawet większy niż ostatnio,

Pawet Siedlar

_4

i ucieszył się, no bo aspiryna... Prawdziwa, bayerowska... Powinna pomóc.

- Cześć - powiedział. Chłopak odwrócił się gwałtownie. Przez moment stał jak porażony. Nagle padł na kolana i złożył ręce, jakby chciał się modlić.

- To wy, jasny panie, janiele boży. Psysliście ku mnie znów... Modliłem się do was, toście psysed... Wcora znikliście, zacem zemsie osotał po robocie...

Januszkowi zaświtało, że wyjaśnianie, kim jest naprawdę, nic nie da. No i nie miał czasu na wyjaśnienia. Picie oranżady nie mogło trwać zbyt długo.

Wyjął z kieszeni pudełeczko, otworzył je, wyjął pigułkę.

- To dla ciebie. - Na wyciągniętej dłoni podał ją chłopcu. Ten cofnął się o krok. Obserwował czynności przybysza z niesamowitym napięciem. Większym nawet od zachwyty. I z lękiem.

- Nie masz się co bać. To lekarstwo. Nazywa się aspiryna. Jest dobre na katar, na przeziębienie. Masz połknąć i popić wodą. No już, bierz, jak daję! - podniósł głos.

Nieznajomy doskoczył, gwałtownie capnął podarunek i znów wycofał się w kąt.

- Połknij i popij - rozkazał Januszek.

Chłopiec wpakował sobie pigułkę w usta i dopadł wiadra. Pił długo.

- No, to rozumiem - młody medyk pochwalił go zadowolony. - Zostawiam ci wszystkie. Następną masz połknąć wieczorem. Po kolacji. A potem jeszcze jedną jutro rano. Zaraz po śniadaniu. Jeśli choroba nie przejdzie, to w południe jeszcze jedną i potem jeszcze jedną wieczorem -mówił, starając się naśladować ciotkę Jasię. - Aspirynę

Piwnica • 31

bierze się trzy razy dziennie. Po posiłkach. Zrozumiałeś? - Chłopiec kiwnął głową, że tak. - Nie należy przesadzać z lekami. Teraz muszę już iść. Czeka ją na mnie tam, na górze.

- W niebie? - Pacjent aż stęknął z zachwyty.

- Tak, w niebie - odparł Januszek i wtopił się w ścianę.

Trochę żałował, że wrócił tak szybko. Babcia i tak by się nie zorientowała. Mógł jeszcze trochę zostać. Spytał chłopca o... Właściwie o co? Nie bardzo wiedział, o co pytać. Ale tam było tak inaczej, tak dziwnie. „Tam”, czyli właściwie gdzie? Trzeba to było wreszcie sprawdzić raz a dobrze. Okazja nadarzyła się sama. Całkiem niedługo. Babcia wysłała dziadka do piwnicy, aby udeptał szatko-wanę przez całe wczorajsze popołudnie kapustę. Dziadek wsadził stopy do miednicy, krzywił się i posykiwał, gdy babcia łała wrzątek, od którego skóra na nogach zrobiła mu się czerwona, jakby ugotowana. Dopiero wtedy babcia powiedziała, że starczy, przyniosła mu świeże wełniane skarpety i dziadek poszedł deptać. Co najważniejsze: pozwolił wnukowi iść z sobą, choć z początku nawet nie chciał o tym słyszeć.

Zeszli do podziemi. Dziadek zsuł buty, zdjął skarpety i włożył do beczki. Najpierw deptał na samym wierzchu, bo kapusty było pełno. Po sam wierzchołek. Jednak powolutku, powolutku zagłębiał się coraz bardziej. Januszek zagadywał go i ciągle pytał, czy długo jeszcze. To była dobra metoda, bo dziadek, który stał już po łydki w beczce, zdenerwował się wreszcie i kazał mu wracać

332 • Paweł Siedlar

do babci. Tylko tego Januszkowi było trzeba. Teraz miał dużo czasu, bo dziadkowe deptanie zapowiadało się na długotrwałe i rzetelne.

- Dobrze, dziadku, pójdę - powiedział tylko i już go nie było.

«gp»

Tym razem nie miał „migawki”. Wziął ze sobą świecę. Zapalił ją dopiero za zakrętem, tam gdzie dziadek nie mógł już zobaczyć jej płomienia. Szedł śmiało, ale nie za szybko, bo osłaniał ją dłonią przed przeciągiem. Wcale nie myślał o żadnych potworach. Nawet śmiał się trochę z siebie i ze swego minionego strachu: przecież dobrze wiedział, że w piwnicy żadnych potworów być nie mogło. Zaraz pomyślał jednak, że i obcego chłopca w podziemiach być nie mogło, a jednak był, i zrobiło mu się niewyraźnie. No bo jeśli był chłopiec, którego być nie powinno, to może się trafić i potwór. Kto wie?

Dotarł już do samego końca, do starego muru. „To miejsce” było tu. Na pewno. Tyle że wcale go nie było. Jak i poprzednio. Zaznaczył je kopciem świecy i czekał, aż otworzy się samo.

Na wszelki wypadek cofnął się trochę. Doleciał go mlaskający dźwięk kapusty deptanej dziadkowymi nogami, więc poczuł przyptyw animuszu. Skręcił w boczny korytarzyk, tam gdzie swoją komórkę mieli państwo Koczurowie. Obszedł ją i znów znalazł się w ostatnim odcinku głównego korytarza. Starał się przypomnieć sobie, co takiego zrobił, że otwierało się wcześniej. Za pierwszym razem po prostu nic nie zrobił. To znaczy na pewno niczego nie zrobił specjalnie. Tylko kręcił się

Piwnica

w ciemności trochę przestraszony. I „to” stało się samo. I znalazł się „tam”, w tej izdebce. Za drugim razem trafił bez trudu. Miał światło. Słabe, ale miał. Przejście otworzyło się właśnie wtedy, gdy zgasła

„migawka”. Może więc...? Zdmuchnął świecę. Machinalnie zrobił krok w tył, w bok, w przód i... ciach: było otwarte.

Izba była pusta. Ale w tak zwanym międzyczasie ktoś musiał do niej zaglądać, bo w kącie poniewierały się wielkie, ubłocone i niezmiernie rozdeptane buty, których wcześniej nie było. Za to spod ławy zniknął ten topór większy niż w masarni i jednocz narzędzi. Z zakrzywionym zębatym ostrzem. Januszek zauważył je ostatnio. Gdy przyniósł aspirynę. Wtedy te narzędzia i jeszcze parę innych leżały pod ławą. Dziś ich nie było. Czyli ktoś musiał je zabrać. Sama ława od razu wydała mu się jakaś niewydarzona, pochyła. Po obu końcach miała coś, czemu nie zdążył się przyjrzeć. Teraz podszedł więc do niej i oglądał uważnie bezsensowny mebel, zakończony z jednej strony jakby pokrętkiem, z drugiej -uchwyty. Na dodatek z dziurą mniej więcej w jednej trzeciej siedziska.

Na co to komuś, po co? - rozmyślał, ale nie potrafił wymyślić, komu na co potrzebna ława, która nie nadaje się do siedzenia.

Ostrożnie uchylił drzwi i wyrzał na zewnątrz. Po-, przednio nie zdążył dokładnie obejrzeć okolicy: pędzili jak do pożaru i mógł tylko zerkać na boki, bo patrzył pod nogi, żeby się nie wygrzmocić. A potem wyrzywał ile siły. Teraz miał czas. Miał dużo czasu.

334 ■ Pawet Siedlar

Okolica wyglądała na bagnistą, podmokłą, a nawet pod-topioną. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widniały jakieś jeziora, stawki, bajorka i rozlewiska. Chatka stała na wzgórku, u którego podnóża płynęła mulista rzeczka. Za rzeczką, trochę dalej, na innym wzgórku wznosiła się osada składająca się z kilkunastu nędznych, krytych słomą chat. Bliżej, przy samym brzegu, stało luzem kilka ni to chałup, ni szałasów, bardziej przypominających jakieś budy niż ludzkie mieszkania. Z jednej z nich właśnie wyszedł mężczyzna. Był długowłosy i wyglądał marnie. Miał na sobie szaroburą, sięgającą mniej więcej do kolan koszulę ściągniętą w pasie rzemieniem lub sznurem. Spod koszuli wystawały chude i krzywe nogi. Januszek od razu zauważył tę krzywość. Chociaż było dość daleko. Obserwował długowłosego, nie będąc przez niego widzianym.

Mężczyzna trochę zakasał koszulę i wysikał się. Nie poszedł nigdzie<na bok, za chałupę, ani nawet nie próbował się zasłonić, tylko sikał i sikał tak jak stał, wprost przed siebie. Chwilkę pogapił się w niebo, na którym nic się nie działo, pomyślał nad czymś i zaczął się metodycznie czochrać po głowie i pod pachami. Zaraz zakasał koszulę wyżej i czochrał się i drapał tam, gdzie nie wypadało mówić przy ludziach... no, po sikawce i okolicy. Januszek obserwował go z zażenowanym zniesmaczeniem i wstydem. Ale i z ciekawością. Tylko raz widział tatę pod prysznicem i raz przypadkiem przyłapał dziadka gołego, jak wyłąził z wanny. Wiedział już więc, jak wygląda dorosły mężczyzna nago i czym różni się od chłopczyka. Jednak ten człowiek był jakiś niewydarzony,

Piwnica • 3

chuderlawy, nędzny, pokręcony Bo tata był kawał chłopca (tak mówiła mama i babcia), a i dziadek był kawał chłopca, tyle że stary. A ten tutaj... szkoda gadać.

Kudłaty usiadł na ziemi i zaczął gmerać sobie po brzuchu i niżej, jakby czegoś szukał. Zaraz wygrzebał pomiędzy tych swoich czarnych kosmatości coś małego i podniósł do oczu. Obejrzał, zgniótł to coś w palcach, odrzucił, splunął, znalazł coś następnego i zrobił z tym czymś dokładnie to samo: obejrzał, zgniótł, splunął.

Mały podglądacz pomyślał, że pewnie człowiek ten jest nienormalny. Dlatego tak się zachowuje. Nienormalnie. Pomyślał też, że gdyby wiedział o jego obecności, to może zachowywałby się inaczej. Mniej... swobodnie i mniej obrzydliwie. No i chyba by nie sikał ę-t tak, przed siebie, tylko by sobie gdzieś poszedł. Choćby za chałupę. Boby mu nie wypadało. Przypomniało mu się też, że podglądać jest bardzo, ale to bardzo brzydko, i zrobiło mu się ciut niewyraźnie. Jednak ciekawość jak zwykle była silniejsza. Stał więc i nadal ukradkiem wyglądał spoza uchylonych drzwi.

Zaraz ze stojącej opodał, jeszcze bardziej dziadowskiej budy wylazł drugi mężczyzna. Chyba był bliźniakiem pierwszego, tylko o ile to możliwe, miał bardziej krzywe nogi. I nosił dziwne buty nie buty? Z odległości nie było dobrze widać. W każdym razie coś na nogach miał. Jakies łapcie czy co? On również wysikał się bez krępacji, pogapił w niebo, poczochnął, usiadł rozkraczony i zaka- * sał koszulę. Potem obaj gmerali sobie tu i tam, co chwila wybuchali rechotliwym śmiechem i pokazywali sobie wzajemnie to, co wygrzebali pomiędzy kudłów.

Z chwilą gdy z nieco odleglejszej chałupy wylazł trzeci omal identyczny osobnik i dokładnie powtórzył rytuał

336 • Paweł Siedlar

poprzedników, zdumienie Januszka zbliżyło się niebezpiecznie do nieznanego mu wcześniej ekstremum. Przyszło mu do głowy, że ci trzej panowie nie mogą być nienormalni. Obecność trzech nienormalnych panów naraz wydała mu się niemożliwa. Chyba że w domu wariatów. W Koberzynie. Ale tu nie było żadnego domu wariatów, tylko leniwa rzeczka i senny krajobraz. A oni zachowywali się trochę tak jak Zdzisio, syn sąsiadów, państwa Kołeczaków, który pokazywał siusiaka, drapał się, czo-, chrał, puszczał hałaśliwe bąki i jeszcze inne rzeczy robił. A wszystko przy ludziach. Chociaż był już całkiem dużym panem. Tyle że Zdzisio był wielki i tłusty, a oni, ci trzej tam - nie.

W umyśle Januszka pojawiło się przedziwne podejrzenie, że być może oni trzej, sikający, drapiący się i chodzący w brudnych koszulkach, są normalni, tylko „tu”, „u nich”, panują takie zwyczaje. Ich „tu” było gdzie indziej. Nie „u niego”. Gdzieś dalej, znacznie dalej niż piwnica. Przez piwnicę dostał się w jakieś obce strony, gdzieś... nie wiedział gdzie.

Kiedyś, gdy jeszcze był mały, pojechał z tatą nad rzekę. Po brzegu i wzdłuż długiej piaszczystej łąki spacerowali tam goli panowie. Zapytał wtedy: „Tato, czy dziś jest taki dzień, że wszyscy chodzą nago?” Ale tato nie odpowiedział, tylko szybko go zabrał i zaraz pojechali gdzie indziej. W domu synek

opowiedział mamie o wszystkim i tato długo się tłumaczył. Że nic nie wiedział o plaży nudystów. I że za dawnych czasów jeździli tam razem z mamą. W to piękne miejsce. W sam raz dla zakochanych. A teraz się nie da, bo... - rodzice zaczęli do siebie szeptać. Na ostatek mama powiedziała: „Najwyraźniej teraz jeżdżą tam kochający inaczej, ech, gdzie te czasy”.

Piwnica • 337

I westchnęła. A tato dodał: „Czasy się zmieniły”. I też westchnął. I na dodatek przewrócił oczami.

Januszek dobrze zapamiętał tamtą sytuację. Pomyślał, że pewnie przez piwnicę można się dostać do miejsca, gdzie ludzie zachowują się inaczej. W Afryce dzicy Murzyni zawsze chodzą nago pomyślał jeszcze i jego zdumienie nieco się zmniejszyło. Nie przeszło jednak całkiem i było mu do tego daleko. Jak do Afryki.

Trzej mężczyźni siedzieli, gmerali, śmiali się i pluli, aż Januszkowi znudziło się patrzeć, no bo ile można?

Zostawił drzwi otwarte i pod ich osłoną zajrzał za chatę. Otoczone murami i fosą miasto stało tam, gdzie poprzednio. Widział je wyraźnie. Mur był, wysoki, zrobiony z kamienia. Wyrastały z niego baszty. Kawatek ciągnął się prosto, potem zakręcał. Na samym zakręcie widniała baszta większa od innych. Za nią na sporej górze stał zamek. A najbliższa z drugiej strony baszta była z bramą i z mostem. Drogą włókł się wóz zaprzężony w... krowy? Nie. To nie były krowy. Nie miały wymion. Januszkowe oczy zaszyły łzami z wysilenia i omal nie wypadły z orbit. Kiedyś słyszał o wozach z wołami, ale nigdy nie widział czegoś takiego. A teraz miał przed sobą wóz, woły i poganiających je, ubranych tylko trochę lepiej niż ci trzej tam, z drugiej strony rzeczki. Tyle że jeden z nich miał na głowie kopulastą futrzaną czapę, chociaż było ciepło. Miał też na nogach buty, nawet z pewnego * oddalenia widać było, że lepsze niż łapcie. Wóz sunął wolniutko. Właśnie wtaczał się na most. Jego koła były... całe. Jakby z jednego kawałka. Bez szprych. Zanim wtur-

338 • Pawet Siedlar

w

łał się na most, przystanął i na coś czekał. Z bramy wyszedł postawny, wąsaty mężczyzna w zbyt dużym hełmie. Miał wysokie buty, a przy boku miecz. Bez pośpiechu podszedł do wozu i przyglądał się jego zawartości, jakby ją sprawdzał. Z muru zerkał inny, też wąsaty. Z dzidą. Poganiacze stali z boku. Wreszcie strażnik dał znak „jechać”, rozległ się trzask wielkich biczysk i wóz dostojnie t zagłębił się w mroczną czeluść bramy.

Młody odkrywca bardzo chciałby podejść bliżej. Najlepiej wejść całkiem, zobaczyć, co jest za murami. Jednak zarówno intuicja, jak i rozum podpowiadały mu, by tego nie czynić. Musiałby ubrać się inaczej, bo tu ludzie nie ubierali się tak jak on. Aż dziwne, że nikt nie zwrócił na niego uwagi wtedy, nad rzeką. Widać pławienie było ciekawsze. I nikt na niego nie patrzył. Kto patrzy na chłopca, choćby nie wiem jak ubranego, gdy może patrzeć na pławienie? - myślał, bo miał już pewność, że pławienie nie było żadnym złudzeniem czy snem. Bo jeśli wczoraj dał aspirynę chłopcu, a dziś wyraźnie widział miasto za murami, to wszystko to, co widział poprzednio, też musiało być prawdą.

Poskromił ciekawość, która popychała go do działania. Chyba nie powinien za bardzo oddalać się od przejścia. Sam. Może kiedyś? Może z chłopcem, który uważał go za anioła? Ten pomysł był dobry. Wróci tu znów. Za parę dni. I pójdą do miasta. Z chłopcem. Tymczasem przejdzie się trochę wzdłuż murów. Nie w kierunku bramy, a w stronę zamku. Tam nie ma nikogo. A w pobliżu bramy stale ktoś się kręci. O, właśnie: drogą szybko zbliżał się strojny jeździec na ładnym koniu. Nie zwalniając, podniósł do ust coś jakby trąbkę, nie, rożek, i zahuczał donośnie. Wojak wyszedł przed bramę, jeździec

Piwnica • 3

wrzasnął coś do niego i niezatrzymywany wjechał galopem na most. W powietrzu unosił się kurz i echo tętentu kopyt. Za to z drugiej strony był spokój. Poszedł więc, ale tylko kawałek, bo zaraz drogę zagroziła mu rzeczka. Z tego miejsca zamek był widoczny znacznie lepiej niż spod chaty. Patrzył więc i patrzył. Nagle za murami rozległo się bicie dzwonów. Januszek pomyślał, że pewnie jest już południe, i przypomniał sobie o dziadku. Rozejrzał się raz jeszcze, żeby lepiej wszystko zapamiętać, i wrócił do piwnicy, do siebie. Już w ciemności pomyślał z satysfakcją o tym, że jego aspiryna okazała się skuteczna, bo gdyby nie, to chłopak chyba byłby w domu i leżał w łóżku. >

*

Za winkła dobiegało go pomlaskiwanie dziadkowych nóg w beczce kapusty.

Rysował i rysował, aż się nawet babcia dziwiła, że tak długo. Ale nie mógł przerwać. W żadnym wypadku. Musiał skończyć. Bardzo chciał, żeby wszystko było dokładnie widać. Więc starał się jak nigdy. Nawet nie wiedział, że tak potrafi. I było dokładnie. Miasto i zamek, woły i wóz. I ludzie. Wszyscy. Bosi i nędzni na podmokłej łączce za rzeczką, trochę mniej nędzni przy wozie, wojak z mieczem i ten na murze, z dzidą. Dużo czasu * i starań poświęcił strojnemu jeźdźcowi. Narysował też krajobraz. Na trzech osobnych kartkach. Szeroką, rozlewającą się rzekę, wpadające do niej mniejsze rzeczki, bagienka, stawki i wystające pagórki z chałupami. Mury miejskie, baszty, zamek coś mu przypominały. To było jakby zmienione nie do poznania jego miasto. Znaczą się

340 • Paweł Siedlar

tylko stara część. Ta w obrębie murów. Reszty wcale nie było.

No bo „jego” Kraków, ten terazniejszy, miał tylko kawałek murów z trzema basztami. Resztę zburzyli Austriacy. Dawno temu. Babcia opowiadała mu o tym parę razy. A to, co się zachowało, udało się ocalić dzięki panu Matejce. Artyście malarzowi. I jeszcze kilku innym panom, ale pana Matejkę zapamiętał najlepiej, bo znał jego obrazy. Bardzo wspaniałe. Historyczne. Udało się więc panu Matejce uratować bramę Floriańską, kawałek murów i trzy baszty. Między ulicą Sławkowską a Szpitalną. A tam, gdzie dotarł przez piwnicę, mury były całe, z wieloma wieżami. Za to dookoła nie było prawie nic. Jeżeli jednak to miasto było jego i nie jego Krakowem, to zamek na wzgórzu musiał być Wawelem. Tylko że wyraźnie mniejszym i mało wawelowatym. Może wielu szczegółów z odległości nie mógł dostrzec, ale to, co widział -widział dobrze. No i ta okolica. Zupełnie obca.

Przyszło mu do głowy, że może przeniósł się w czasie? Oglądał ostatnio taki film. O ludziach, którzy przenieśli się w czasie. Jeżeli inni mogli, to może i ja się przenieść, pomyślał. Pomyślał też, że nie byłoby źle wrócić tam jeszcze raz albo wiele razy. Żeby się dowiedzieć... Wszystkiego... O dawnych czasach. Ileż razy mama mówiła: „Ach, jakby to było wspaniałe, gdybym miała wehikuł czasu. Ileż odkryć mogłabym dokonać. Ileż zagadek rozwiązać”. A teraz okazywało się, że on, mały chłopiec, ma taki wehikuł. Nie dosłownie, ale coś w rodzaju. Nie powie o nim mamie. Ani nikomu z dorosłych. Bo się będą śmiali. Tak jak z jego potworów. Zresztą może kiedyś powie? Zejdzie z mamą do piwnicy i jej pokaże. Jak będzie większy i już nie będą się z niego śmiać. Rozmyślał

Piwnica • 3'

tak, rozmyślał i rysował, rysował, rysował. Aż mu zabrakło kartek.

Niestety, okazja do kolejnej wyprawy nie pojawiła się prędko. U dziadków mieszkał tylko podczas rozmaitych przedszkolnych epidemii. Jednak gdy przedszkole zdrowiało, rodzice zabierali go do domu. Tak było ostatnio, tak bywało zawsze. W domu nie było komu się nim zajmować. Mama pracowała i tato pracował, a „nie można było dziecka zostawiać na tak długo samego - mówili. -Jeszcze za mały”. Tylko raz jeden został sam na prawie cały dzień. Trochę chorował, ale i babcia była chora i nie można go było dziadkom podrzucić. Więc został sam. Z telewizorem, z książkami i kredkami Najpierw oglądał telewizję. Długo, jak nigdy. Aż rozbolała go głowa. Potem czytał i rysował. Czytać nauczył się sam. Jeszcze w zeszłym roku. Najpierw książeczki dla dzieci. Tylko trochę, powolutku, słówko po słówku. Ale teraz czytał całkiem szybko i chętnie. O Indianach i o rycerzach, o skarbach i bitwach. I takie książki, że rodzice bardzo by się zdziwili, gdyby wiedzieli. One były najciekawsze. Chociaż nie wszystko rozumiał. Aż wreszcie nie mógł czytać, bo go oczy rozbolały. Trochę sobie porysował i właśnie gdy rysował, zaczęło mu się wydawać, że słyszy jakieś cichutkie kroki w korytarzu i że ktoś grzebie w zamku. Wziął więc nóż kuchenny, ten jeszcze ostrzejszy niż babciny, poniemiecki, i sprawdził, czy ktoś się tam nie czał. Parę razy tak mu się wydawało i parę razy sprawdzał przez judasza, ale za drzwiami nie było nikogo. Potem przestraszył się,

342 • Pawet Siedlar

t

v

że wszyscy o nim zapomnieli. To nie mogła być prawda, więc zaczął myśleć, że może rodzice mieli wypadek. Nooo, dopiero się przeraził. Ale jak! Że teraz zostanie całkiem sam. Bo może dziadek i babcia nie zechcą go wziąć do siebie? Kto wie? A ciocia Jasia pewnie też nie. I zostanie sam jak sierotka Marysia. I oddadzą go do złych gospodarzy, żeby tam u nich pasał gęsi. W takim głupim ubraniu. Boso. W głodzie i chłódzie. Na samą myśl o tym dostawał gęziej skóry. Przyszło mu do głowy, że powinien uciekać, i nawet zaczął się ubierać. Żeby uciec, zanim oddadzą go do tego gospodarza, co źle traktuje sierotki. Na szczęście zadzwonił telefon i głos mamy oddalił lęki przymusowego pustelnika. Zaraz, za niedługo, przyszedł tato i powiedział, że „urwał się z roboty”.. Zaczęli grać w warcaby i w szachy. Januszek nie powiedział tacie o swych obawach. Teraz, przy ojcu, sam uznał je za śmieszne. I trochę się ich wstydził. Dopiero wieczorem, jak już zrobiło się ciemno, przed samym snem, wspomniął o nich mamie. No i właśnie wtedy rodzice powiedzieli, że zostawianie dziecka samego na tak długo jest ryzykowne. A mama dodała: „I okrutne”. I już go nikt nie zostawiał samego. Chyba że tylko na chwilę.

Ale niedawno w przedszkolu była grypa. Azjatycka. I to dlatego Januszek zamieszkał z dziadkami na całe dwa tygodnie. Chociaż tam nie było wygod. Nawet gazu. Bo to była najstarsza część miasta i nie doprowadzili. Nie dało się. „Może kiedyś”, mówili. Sam nie zachorował. „Jakimś cudem”, powiedziała babcia. Dzięki temu był w piwnicy parę razy pod rząd i odkrył przejście do innego miejsca. Jednak grypa skończyła się i piwnica musiała poczekać.

Piwnica • 343

Chodził już do szkoły i u dziadków bywał czasem z rodzicami. Z wizytą. W soboty lub w niedziele. Kiedy nikt nie schodził do piwnicy. Niestety. Często wspominał swe dawne wyprawy i nadal nie rozumiał, jak to wszystko było możliwe. Nikt by nie rozumiał. Choćby dlatego, ale nie tylko dlatego, że kamienica dziadków stała w samym środku starego miasta, daleko od dawnych murów miejskich. A on przeszedł przez piwnicę i znalazł się poza nimi. Zupełnie gdzie indziej. Może gdzieś w okolicy Dolnych Młynów? Albo placu Na Groblach? U wylotu Łobzowskiej? A może od całkiem drugiej strony? Wisła płynęła wtedy inaczej. Trudno się było w tym wszystkim połączyć. Dowiedział się od mamy, że w bardzo dawnych czasach Kraków składał się z kilku jakby wysp wyniesionych ponad bagna i nie zawsze ze sobą połączonych. Wisła potrafiła zalewać naprawdę rozległe tereny. Podobno docierała hen aż za klasztor Karmelitów Trzewickowych na Piasku. A nawet dalej. Było więcej rzek, jakaś Młynówka, Nieciecz i jeszcze parę. To by się zgadzało z tym, co sobie zapamiętał: nadmiar rzek i rzeczółek, podmokłości i wilgoci. Do dziś z rzek oprócz Wisły zostały Rudawa, Białucha, Wilga i Prądnik. Ale daleko. Na peryferiach. Resztę zasypano. Na jednej ze starych odnóg Wisły założono Planty Dietlowskie. W XIX wieku.

Drugą ważną i trudną do zrozumienia sprawą był czas. Januszek nie miał pewności, ale wydawało mu się, że „tamten” czas biegnie jakoś inaczej. Nie był tylko pewien, * czy szybciej, czy wolniej. W każdym razie inaczej. Jednak ważniejsze od biegu czasu i łatwiejsze do sprawdzenia było co innego. Mianowicie to, że wcześniej nic nie wiedział o krakowskich rzekach i wyspach. Z wyobraźni

344 • Paweł Siedlar

narysować ich nie mógł, bo z wyobraźni rysuje się co innego niż podmokłe i puste okolice. One nie miałyby skąd wziąć się w jego głowie, gdyby ich nie zobaczył. Rysunki stanowiły więc coś w rodzaju dowodu prawdy. Nawet jeśli nie były doskonałe.

Stale myślał o „tamtym miejscu”, które było „tym samym miejscem”, tylko kiedy indziej. Teoretycznie i na zdrowy rozum cała ta historia nie miała prawa się zdarzyć. Samemu trudno mu było w nią uwierzyć. Dlatego nikomu nie wspominał o niej ani słówkiem. A jak pytał mamę o różne historyczne sprawy, robił to bardzo ostrożnie. Żeby się nie zdradzić. Żeby się niczego nie domyśliła. Jego wspomnienia i rysunki ząbębiały się z opowieściami mamy, uzupełniały między sobą. Dlatego nie mógł całkiem nie wierzyć w to, co go spotkało. Wbrew rozsądkowi. Mimo wszystko.

Przyszło mu kiedyś do głowy, że mógłby do dziadków pójść sam. Mieszkali na Jagiellońskiej, a on na Basztowej. Znał drogę* Jeączcie jak! Trzeba było przejść Basztową, potem Plantami kawałek, koło Lili Wenedy. Tej z gołymi piersiami. I z Wężami. I przez plac Szczepański. I już. Po drodze był kościół Reformatów, gdzie w podziemiach leżały trumny, a w nich dawno umarli ludzie. „Zmumifikowani samoistnie” - powiedziała ciocia Jasia. Bo w tych podziemiach panuje szczególny mikroklimat. Podobno. Tak słyszał. I bardzo chciał zobaczyć te ciała. Zmumifikowane. Jednak jakoś nikt nie kwapił się do pokazania mu ich. Że za mały. Oszaleć można. Ciągle do czegoś był za mały, chociaż uczył się angielskiego i gry na fortepianie.

Piwnica

Lewa ręka była od niskich tonów. Dostał też zegarek. I nosił go na lewej ręce, ale nie zawsze, bo metalowy pasek trochę go obcierał. Więc już nie mógł się pomylić, gdzie jest lewo, a gdzie prawo.

Niestety, nadal nie bardzo potrafił wymyślić, co powinien zrobić, żeby babcia wysłała go do piwnicy. Niekoniecznie z dziadkiem. Nawet lepiej samego. No i co zrobić, żeby mieć więcej czasu tam. Jak już przejdzie przez mur. Często myślał, że chłopiec pewnie czeka na niego, i wiedział, że prędzej czy później znów go odwiedzi. Nie wiedział tylko, kiedy nadarzy się ku temu sposobność.

Nastała zima. Pewnego dnia wziął sanki i powiedział, że idzie na górkę z Jadwigą i Jagiełłą, którzy naprawdę byli Mieszkiem Pierwszym i Dąbrówką. Bo najpierw była rocznica Chrztu Polski i wtedy postawili ten pomnik. Dopiero potem zmienili na Jadwigę i Jagiełłę. Tylko nie pamiętał dlaczego, choć to podobno było ważne.

Teraz tam jeździli na sankach wszyscy chłopcy z dzielnicy. Daleko od domu, aż za dworcem i potem dalej Plantami, wzdłuż Westerplatte i świętej Gertrudy też były górki. Właściwie nie górki, tylko skarpy spod murów. Krótsze niż pod domem, ale bardziej strome. Na tych skarpach dało się jeździć. Pod samym Wawelem też. Nawet nieźle. Ale on nie znał tamtejszych chłopaków, * więc nie lubił tam chodzić. A dziś wybrał się pod Wawel nie po to, żeby sobie pojeździć. Sanki były pretekstem (to nowe słowo usłyszał od wujka Leszka i bardzo mu się spodobało). Naprawdę chodziło o co innego. Miał ze sobą

346 • Paweł Siedlar

kilka swoich rysunków. Wybrał je bardzo starannie spośród wielu, wielu innych. Tylko te, które przedstawiały miasto i zamek. Dziś narysowałby wszystko lepiej, dużo lepiej. A pewnie. Ale i te stare rysunki nie były całkiem złe. W każdym razie na pewno były wystarczająco dobre do porównania tego, co zobaczył wtedy, z tym, co zobaczy dziś.

Szedł sobie i szedł zaśnieżonymi Plantami, ciągnąc saneczki. Taki był zamyślony, że prawie nie zauważył, kiedy dotarł do miejsca, gdzie kiedyś była brama Rzeźnicza. Jej zarys nadal widniał na murach. To tu ścinano głowy. Zaraz obok stał gródek wójta Alberta, który się zbuntował przeciwko królowi. Łokietkowi. Januszek znał tę historię na pamięć. Wójt Albert był Niemcem i podbuntował Niemców mieszkających w Krakowie. Wtedy było ich wielu. I król się wściekł. I każdego, kto nie potrafił po polsku szybko powiedzieć „soczewica, koło, miele młyn” - kazał ścinać. Pod dworem wójta Alberta. Żeby wójt Albert widział, co narobił. I żeby się bał o swoją głowę. Ale samego wójta, zdaje się, nie ścięto, chociaż mu się należało. A teraz jedna ulica, tam wyżej, od Siennej, nazywała się „Na Gródku”.

Szedł dalej wzdłuż ulicy Świętej Gertrudy. Zaraz ujrzał Wawel. Wyciągnął z kieszeni trochę pomięty rysunek. Rozłożył go, wygładził. Pokręcił głową: niestety. To chyba jednak nie było to. Na jego rysunku brakowało zielonkawych hełmów. Teraz część zamkowych wież miała miedziane dachy - hełmy - jak mówiła mama. Barokowe. Był taki styl. Barok. A wcześniej był inny styl. Renesans.

Piwnica

Przyszedł do polski razem z włoską królową Boną i włoszczyzną. I cały zamek został przebudowany na renesansowy dla tej Bony. Ale teraz niektóre hełmy są późnorenesansowe albo wczesnobarokowe. Jak kto woli. Bo był pożar. Król Zygmunt, ale nie August, syn królowej Bony, tylko późniejszy, Zygmunt Trzeci, no - Waza, niechący podpalił Wawel, próbując zrobić złoto z ołowiu. „Bawił się w alchemię”, mówiła mama i Januszek o tym wszystkim bardzo dobrze wiedział.

Kurza Stopka była tam, gdzie miała być, ale inaczej wyglądała. Jak wszystko. I wieże stały. Mniejsze i inne. Już miał schować kartkę i na dobre pogodzić się z tym, że cała piwniczna przygoda mimo wszystko nie zdarzyła się nigdzie poza jego wyobraźnią. Prawdę mówiąc, w miarę upływu czasu coraz częściej tak mu się wydawało. Byłem wtedy mały, myślał. Coś mi się przywidziało. Film jakiś widziałem albo kilka filmów i tak mi się zapamiętały, wspomniał swe dawniejsze wątpliwości. Dziecku można wszystko wmówić. Dziecko nie rozróżnia prawdy od bajki, perswadował sobie rozumnie, usprawiedliwiając się

sam przed sobą. Jednak musiał wszystko sprawdzić dokładnie, jeśli już zrobił taki kawał drogi. Dlatego szedł dalej i dalej, w Bernardyńską, ku Wiśle.

Baszty, dwie największe (na którąś z nich mama mówiła „Lubranka”), na jego rysunku były absolutnie nieobecne. Za to spoza murów wystawała wieża kościoła zbudowanego z białego kamienia. Tego kościoła z kolei nie było dziś. Sam mur obronny był inny, zbudowany z czego innego - próbował sobie przypomnieć, bo z obrazka to nie wynikało. Na wszelki wypadek wspiął się na skarpe i wszedł na zamek. Rozglądał się bacznie.

348 ■ Paweł Siedlar

Przyszedł do polski razem z włoską królową Boną i włoszczyzną. I cały zamek został przebudowany na renesansowy dla tej Bony. Ale teraz niektóre hełmy są późnorenesansowe albo wczesnobarokowe. Jak kto woli. Bo był pożar. Król Zygmunt, ale nie August, syn królowej Bony, tylko późniejszy, Zygmunt Trzeci, no - Waza, niechcący podpalił Wawel, próbując zrobić złoto z ołowiu. „Bawił się w alchemię”, mówiła mama i Januszek o tym wszystkim bardzo dobrze wiedział.

Kurza Stopka była tam, gdzie miała być, ale inaczej wyglądała. Jak wszystko. I wieże stały. Mniejsze i inne. Już miał schować kartkę i na dobre pogodzić się z tym, że cała piwniczna przygoda mimo wszystko nie zdarzyła się nigdzie poza jego wyobraźnię. Prawdę mówiąc, w miarę upływu czasu coraz częściej tak mu się wydawało. Byłem wtedy mały, myślał. Coś mi się przywidziało. Film jakiś widziałem albo kilka filmów i tak mi się zapamiętały, wspomniał swe dawniejsze wątpliwości. Dziecku można wszystko wmówić. Dziecko nie rozróżnia prawdy od bajki, perswadował sobie rozumnie, usprawiedliwiając się sam przed sobą. Jednak musiał wszystko sprawdzić dokładnie, jeśli już zrobił taki kawał drogi. Dlatego szedł dalej i dalej, w Bernardyńską, ku Wiśle.

Baszty, dwie największe (na którąś z nich mama mówiła „Lubranka”), na jego rysunku były absolutnie nieobecne. Za to spoza murów wystawała wieża kościoła zbudowanego z białego kamienia. Tego kościoła z kolei nie było dziś. Sam mur obronny był inny, zbudowany z czego innego - próbował sobie przypomnieć, bo z obrazka to nie wynikało. Na wszelki wypadek wspiął się na skarpe i wszedł na zamek. Rozglądał się bacznie.

Paweł Siedlar

Jeżeli rysując, zachował w miarę właściwe proporcje, to kościół z białą wieżą powinien znajdować się gdzieś tu - skierował wzrok na przykryty brudnym, topniejącym śniegiem trawnik. Widniały pod nim zarysy fundamentów czegoś, co zburzono już dawno, a co mogło być tylko kościołem z jego rysunku. Miejscami spod śniegu wystawały białe kamienie. Nie cegły. To było ważne. Bardzo ważne: biały kamień. I jedna, najbliższa z baszt, kwadratowa - złodziejska, stała jak zawsze. Na rysunku była tylko jakby niższa niż dziś, może niedokończona, i bliżej murów. Widać „wtedy” mury poprowadzono inaczej. Bardziej grzbietem wzgórza, więc miały mniejszy zasięg i też były niższe, pomyślał. Albo źle narysowałem, bo jeszcze nie umiałem.

Ta jedna wieża prawie się nie zmieniła. No, może trochę. Wtedy widział ją z innego miejsca. Z daleka i z dołu. Dobrze pamiętał, jak musiał wyteżać wzrok, by dostrzec szczegóły murów i ludzi pod murami. Przez dziadkową piwnicę trafił do Krakowa sprzed... Nie wiedział, jakiej miary czasu użyć. Tak jednak musiało być. Wbrew logice, rozumowi, rozsądkowi, który buntował się okrutnie i podpowiadał mu całkiem co innego.

Powolutku okrążał cały Wawel. Na jego obrazkach brakowało bardzo wielu rzeczy. Ale niektóre były. Prawie wszystko się zmieniło. „Prawie”, aż i tylko „pra-• „

wie .

W przeszłości przeżywał liczne wahania i rozterki. Nieraz miewał od nich mętlik w głowie. Jego wiara w istnienie dawnego świata gwałtownie malała, gdy przez dłuższy czas nie chodził do piwnicy. Wierzył więc i wątpił, wierzył i wątpił, na przemian. A teraz miał dowód. Niepodważalny. W najbardziej dosłownym

Piwnica ■ 349

znaczeniu tego słowa - kamienny! To nie mieściło mu się w głowie, ale musiało być prawdą. Nareszcie był pewien swego.

Był też pewien, że jeszcze kiedyś tam wróci. W tamte dawne czasy z obrazka. Musi wrócić. Żeby zobaczyć wszystko. Nie tylko kawałek murów. Wróci, choćby nie wiem co.

Śmiało szedł przed siebie głównym korytarzem piwnicy. Snop światła z elektrycznej latarki oświetlał mu drogę. Wszystko sobie przemyślał i zaplanował. Jak zwykle. Najpierw kupił nową żarówkę i nowe baterie do latarki. Na kuchennym stole zostawił rodzicom kartkę i wyraźnie, dużymi, drukowanymi literami napisał: „Jestem u babci. Wrócę trohę później”. Po namyśle poprawił „tro-hę” na „trochę”.

Dziadka miało nie być, a babcia sama, bez niego, nigdy nie chodziła do piwnicy. Bała się kotów, „bo takie wielkie, szczurów, ciemności i w ogóle... Tam jest jakoś strasznie”, powiedziała kiedyś. Gdyby był, to nawet plan podjęty i przemyślany nie wypaliłby (czasem nawet taki plan nie wypala). Wtedy trzeba improwizować. Albo mieć plan alternatywny, awaryjny. Tak kiedyś powiedział tato. Planu alternatywnego, awaryjnego Januszek co prawda nie miał, ale dziadka miało nie być, no i dobrze.

Babcia bardzo się ucieszyła. Poczęstowała go konfiturami i ciastem, zrobiła kakao. Pytała, co tam w szkole. Bo ostatnio Januszek prawie u nich nie był. Tylko od czasu do czasu i coraz rzadziej. Miał zbyt wiele innych obowiązków i był „okropnie przepracowany”. Babcia za każdym razem litowała się nad nim. Dziadek mówił „bez pracy nie ma kołaczy”, ale też się litował. „Za bardzo męczą teraz te dzieciaki”, mawiał, jak ciocia Jasia nie słysza-

Pawe Siedlar

ła. Bo ona z kolei uważała, że to dobrze. Bo teraz „młodzi mają mniej czasu na głupoty”. Szkoda. Ale dziś zwolnili ich wcześniej i miał sporo czasu, nie na żadne głupoty, tylko na eksperyment. Tak. Właśnie: na

przeprowadzenie tego, co wymyślił sobie już dawno. Babcia poiła go „kakałkiem” i karmiła ciastem, jakby wciąż był dzieckiem, a on myślał tylko o jednym: żeby wreszcie dorwać się do klucza od wielkiej piwnicznej kłody. Odda go, gdy wróci. Albo później. Dziadek wyjechał. Do sanatorium. Miało go nie być jeszcze parę dni.

W kuchni zaczął gwizdać czajnik i babcia poszła go wyłączyć. Ta chwilka wystarczyła, by masywny i staroświecki przedmiot pożądania spoczął w kieszeni spode- nek. Zaraz wnuczek pożegnał babcię zdumioną takim nagłym pośpiechem. Powiedział, że coś sobie przypomniał i już musi lecieć. Więc poleciał.

Tym razem korytarz nie wydawał mu się ani bardzo długi, ani specjalnie tajemniczy, gdyż latarka świeciła mocno i daleko. Januszek sam się sobie dziwił. Kiedyś uważał podziemia za niebezpieczne i ogromne. Nawet się w nich zgubił. No, ale to było bardzo dawno. Jeszcze w zerówce. Zresztą miał wtedy tylko jedną marną świeczkę. A teraz szedł śmiało dobrze oświetlonym korytarzem, w którym z pewnością nie mogło być żadnych potworów. Skręcił za piwnicę państwa Koczurów i już był na miejscu. To była ta ściana. Powalana kopciem jego własnej świecy. Tylko że wcale nie chciała się rozstąpić. Postukał w nią palcem. Stała nadal, twarda i zimna. Ciekawe, co teraz było za nią. Czy tamten odległy

Piwnica

świat? Czy może piwnica innego domu? Stuknął w mur latarką, ale nie usłyszał dźwięku, jaki zazwyczaj wydają ściany, za którymi nic nie ma. Chyba że akurat ta była bardzo gruba. Stuknął jeszcze raz, mocniej. Latarka zgasła. Pewnie coś się w niej popsło - smartwił się trochę. Stał bezradnie w ciemności i podreptywał w miejscu, nie wiedząc, co robić. Chyba powinien wrócić? Przypomniały mu się czasy, gdy jeszcze bał się potworów, więc znów się wystraszył. Prawie jak kiedyś. Nawet chciał uciekać, ale potknął się, wpadł na coś i niespodziewanie owionął go znajomy, choć omal zapomniany smród. Teraz był nawet mocniejszy niż wtedy. Rozejrzał się. Był w brudnej izdebce. Tu nic się nie zmieniło. Wstrętna prycza stała tam gdzie poprzednio, ława też. Tylko że teraz na ławie coś leżało. Jakby kawał mięsa, czy raczej zabite, pozbawione głowy zwierzę. Januszek był kiedyś w rzeźni. Na wakacjach. Poszedł tam z chłopakami, bo mama mu tego zabroniła. Kategoriecznie. Więc poszedł z kilkoma miejscowymi, którym nikt nigdy niczego nie zabronił. Właśnie wtedy dowiedział się, jak wygląda odarta ze skóry krowa i świnia. Potem długo nie chciał nawet tknąć mięsa. A to zwierzę tu, leżące przed nim, było mniejsze od krowy czy świni. Pewnie zabito je niedawno, gdyż krew przez specjalny otwór ska-pywała do sporego korytka umieszczonego pod ławą. Przednie i tylne łapy zwierzęcia przymocowane były do uchwytów po obu końcach ławy. Te łapy... - przyglądał się uchwytom i powoli docierało do niego, że krępowane przez nie kończyny nie są łapami. U góry, od tej strony, gdzie pewnie jeszcze niedawno była głowa, pomiędzy grubych więzów wystawały dłonie. Po drugiej stronie ławy nogi zakończone były ludzkimi stopami.

Januszek

Pawe Siedlar

zadrzał. Z zaskoczenia i wstrętu. Strachu nie zdążył jeszcze poczuć, gdyż to, co widział, nie dotarło doń całkiem, na dobre. Było zbyt inne od wszystkiego, co widział dotychczas, i jego umysł nie nadążał. Cofnął się jeszcze trochę i omal nie wylądował na podłodze: potknął się

0 spory drewniany cebrzyk z obręczami. Z ciekawością zajął do niego. Z wnętrza, spod powierzchni jakiegoś mętnego płynu, spoglądały na niego wytrzeszczone oczy przygłupiastego chłopca. Jego obcięta, spuchnięta głowa całkowicie wypełniała kubek.

Dopiero teraz wrzasnął. Jak nigdy dotąd. Daskoczył do ściany, w róg chatki, ale przejście do bezpiecznej te-* raźniejszości nie chciało się otworzyć. Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Był w pułapce. W przyływie paniki zaczął miotać się po całej izdebce. Walił obiema pięściami we wszystkie ściany. Tylko poobtłukiwał sobie ręce, nie czując bólu. Przejścia nie było. Wreszcie zmęczony

1 zrezygnowany usiadł w kącie i rozbeczał się jak dziecko. Chociaż starał się nigdy nie płakać. Już od dawna. Bo mężczyźni nie płaczą. A on był mężczyzną. Ale teraz znalazł się w sytuacji strasznej. Myśl, że nigdy nie będzie mógł wrócić do siebie, że już nigdy nie zobaczy taty i mamy, dziadka i babci, nikogo, nikogo, że na zawsze pozostanie w tym okropnym miejscu, oładnęła całkowicie jego umysłem, nieodparta, bezlitosna. Zabijała wszystkie inne myśli. Odbierała rozsądek. Paraliżowała. Ponad nią wybijała się tylko jedna: gospodarz musiał kiedyś wrócić do domu. I ta myśl była straszliwsza od wszystkich pozostałych. Była najstraszliwsza.

Piwnica

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo siedział w kącie. Kilkakrotnie wstawał, by sprawdzić, co z przejściem. A nuż się otworzy? jednak cud nie chciał się zdarzyć. Wypłakał się na dobre i postanowił coś zrobić. Może schować się gdzieś? Ale gdzie i na jak długo mógł się ukryć? Zdobył się na odwagę i wyrzwał ostrożnie. To, co zobaczył, nie dodało mu otuchy. Domki na przeciwnym brzegu rzeczki były spalone. Pozostały po nich tylko zgłiszcza. Tam nie mógł szukać ucieczki. Brudni i ohydni ludzie, którzy w nich kiedyś mieszkali, wydawali nju się teraz całkiem sympatyczni. Zajął za chatę, jak wtedy, jak kiedyś. Miasto, Kraków nie Kraków, wyglądało jak wymarłe. Na drodze panowała pustka. Brama była zamknięta. Z wieży nad nią zwieszała się czarna chorągiew z kościotrupem. Podobne chorągwie widniały na murach i na dwóch innych wieżach dalej. Nie wiedział, co to może oznaczać, ale nie mogło znaczyć nic dobrego.

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch całkiem blisko. W krzakach. Schował się za węgł i patrzył, jak z zarośli wyłazi mężczyzna. Ten sam... Straszny. Krótko- t nogi, z pękatym tułowiem i potężnymi rękami. Te ręce były bardzo długie. Zwisały mu aż do kolan. Na głowie miał kaptur, na twarzy - maskę zakrywającą usta i nos. Ze szczeliny między maską a kapturem pobłyskiwały po zwierzęcemu wściekłe oczy. Był wstrętny. I karykaturalny. W innych okolicznościach mógłby nawet budzić śmiech. Ale teraz nie budził. Ani trochę. Taszczył z sobą spory wór. Januszek cofnął się do chaty. Bardzo chciał, by ten mężczyzna nie okazał się gospodarzem chatupy,

354 • Paweł Siedlar

\

\

będąc jednocześnie przekonany, że z pewnością się nim okaże. Ukrył się pod łóżkiem, pocieszając, że monstrum nic o nim nie wie, więc nie będzie go szukać. Na razie był w miarę bezpieczny. A potem? Zobaczymy, co będzie potem. Coś się wydarzy. Z pewnością. Może otworzy się przejście? A może coś innego. Może ktoś przyjdzie i go uratuje? Trzeba mieć nadzieję. Wstrzymał oddech. Pan domu był tuż.

Mimo skrajnego przerażenia Januszek nie potrafił powstrzymać ciekawości. Wyglądał więc ostrożnie ze swej kryjówki i obserwował dziwnego człowieka. Ten krzątał się po izbie. Ubrany był w skórzany kubrak i skórzane spodnie. Na nogach miał porządne, nowe i wysokie buty ze spiczastymi końcami. Odrzucił na plecy kaptur, zsunął maskę i cisnął ją w kąt. Poruszał się niezgrabnie. Jego ogromna głowa wyrastała z barków jakby bez pośrednictwa szyi. To znaczy tak się mogło wydawać w pierwszej chwili, bo miał wole. Wielkie i obrzydliwe. Jego twarz była brudna, stale wykrzywiona, cała w pryszczach i strupach. Podobnie jak dłonie. Potwornie wielkie, o grubych paluchach zakończonych połamanymi pazurami. „

i

Usiadł na zydelku i wysypał zawartość worka na podłogę. Było tam mnóstwo różnych rzeczy. Brał każdą z nich i przyglądał jej się z uwagą. Najbardziej podobał mu się duży kielich, chyba złoty, bo jemu przyglądał się najdłużej, cmokając ustami i mamrocząc coś pod nosem. W worku było też kilka innych kielichów i kubków, ale już nie tak ładnych. I kilka pierścieni. Razem z palcami.

Piwnica ■ 355

Te palce też oglądał i ściągał z nich pierścienie. Palce rzucał w palenisko. Były łyżki, noże ozdobne, lusterko w srebrnej oprawie i duży kłęb materiału tkanego złotą nicią. Były i pieniądze. Kilka złotych i sporo srebrnych. Te pobierał starannie i wrzucił do zawieszzonego u pasa mieszka. Wyjrzał przed chatę. Wydawało się, że na coś czeka, bo wyglądał jeszcze parę razy. Wreszcie jakby sobie o czymś przypomniał. Zajrzał do ceberka. Wyjął głowę chłopca, poczekał, aż trochę ocieknie z zalewającego ją płynu. Potem wydfubął z niej opzy i z dużą wprawą wyrwał język. Oczy włożył do glinianego garnuszka, język położył na brzegu paleniska. Tasakiem uciął dłonie i stopy leżącego na ławie trupa i położył je równiutko obok siebie w sąsiedztwie języka. Teraz innym narzędziem rozciął korpus i coś z niego wyjmował. A to, co wyjął, wkładał do cebrzyka. Tego samego, z którego wcześniej wyjął głowę. Januszek nie wszystko widział dokładnie, bo przeszkadzała mu noga pryczy, a bał się wychylić i z trudem panował nad rozszczękanymi zębami.

Naraz pod drzwiami rozległy się jakieś głosy. Gospodarz wrzasnął coś chrapliwie i do chatki weszły dwie kobiety ubrane w długie, obszerne i nędzne suknie. Stara i młoda z koszykiem. Stara wyglądała jak Baba-Jaga z bajki o Jasiu i Małgosi. Była strasznie pomarszczona i miała ogromny, zakrzywiony nos. Za to nie miała zębów. Jej ręce były jak szpony. Brudne, siwe i rzadkie włosy wymykały się spod chusty. Była prawie tak samo okropna jak właściciel domku. Albo niewiele mniej.

Za to młoda była śliczna. Tylko na jej policzku widniał jakiś znak. Jakby wypalony czy wytatuowany? A może wycięty? Nożem? Ten znak ją szpecił. Ale tylko

Pawet Sedlar

trochę. I z jednej strony. Januszek zauważył też, że nie ma dwóch palców u lewej dłoni.

- Dziewke wom wiem, mistrzu - wyskrzeczwała stara. - A u wos co? Mocie, coście psyobiecoł?

Nazwany mistrzem warknął „na” i ruchem głowy wskazał na palenisko. Starucha podeszła tam i oglądała towar. Szczególnie uważnie przyglądała się dłoniom. Język zaraz zawinęła w kawałek płótna.

- S umartych wzieniście, mistrzu? - spytała podejrzliwie.

- Gdziesby s umartych - oburzył się. - Poznalibyście t i tak. Kacpram dla wos sprawił. Nie było innego kogo.

- A ocy, mistrzu? Mocie?

- Na - warknął mistrz i wskazał na gliniany garnuszek.

- A jajcy jego gdzie? Zabyliście pewnikiem?

- Zaś by zabył - zeźlił się mistrz.

- Nie sierdźcie sie, kumie - zaskrzeczwała stara przymilnie. - Bez wontpi ujdzie, bez ocu nie. I bez jenzyka. I bez jajców. Więcej ni mocie? Nic? Nie zatailiście gdzie aby, hehehe? - zaśmiała się obrzydliwie.

- Gdzie zaś? Zataił? Dla kogo, kie jus mondrych ni mo innych, ino wyście jedna ostoła? Skundby wzion? Mór w mieście. Nie sondzi nikt. Topór ni stryk nicpote. Ni mo wiesać, ni mo ścinać kogo. Ni mo skund cłonków brać. Ni wontpi. Ni mo nic. Nyndza.

- Swiente słowa. - Starucha wykrzywiła się szkaradnie. - Dzewiej były dobre casy. Ej, dobre. Sytkiego w bród. A dzisioj nic. Ale sie odmieni.

- Jako rzececie? Odmieni sie? - Mistrz podniósł dłoń do ucha, jakby nie dosłyszał. - Bresecie, chceście mon-dra. Skapieć psyńdzie i telo s tego.

Piwnica • 357

- Jesce nie - poważnie odparła wiedźma. - Boście dob-ze zekli, zem jes ostatnia mondra, ale ście nie zekli, bez co zyjem i żyć bendem długie roki. Bez to samo pożyjecie i wy. - Podała mu dzbanuszek. Mężczyzna zaraz zanurzył w nim palec i oblizał go.

- Mocny jes - powiedział. - Mocny jak nigdy. - Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- I jeste to. - Podsunęła mu kobiałkę. - Ino biercie telo, kielok wom zekła. I zawdy kie pórńdziecie w gród, zakrywojcie nos i gembe, a nie bedzie wom nic. Teroz vos, mistrzu, ostawiem, weście se zapłatę i cyncie sniom, co wom dopada - rzekła i wyszła z chaty.

Młoda aż do tej pory wcale nie interesowała się ich rozmową. Jakby jej nie słyszała. Oglądała przyniesione przez mistrza przedmioty. Teraz wysoko zakasała suknię. Po samą szyję. Pod nią nie miała nic. I stała w dość szerokim rozkroku. Januszek gapił się na nią tak, że przez moment zapomniał o swym strasznym położeniu. Potwór też się gapił. Ale niedługo. Zaraz ryknął z cicha, do-skoczył, porwał kobietę w łapska, cisnął ją na posłanie i sam rzucił się na nią. Wyrko zatrzeszczało i zadygotało, grożąc zawaleniem i wzbudzając dodatkowe przerażenie ukrytego, a nieproszonego gościa. Zaraz usłyszał « dziwny i rozdzierający, gardłowy i zwierzęcy ni to okrzyk, ni jęk. A potem długo, długo wsłuchiwał się w narastające sapania, jęki, ryki, w zapadającą po nich na niedługo ciszę, po której znów następowały sapania, jęki i ryki. I tak wiele razy. Wreszcie cisza zapadła na dobre. Wtedy do chaty wróciła starucha. Pewnie podsłuchiwała pod drzwiami. Młoda zwlekła się z posłania zgięta wpół i trzymając się za podolek. Postępując i robiąc zbolale miny, poprawiła suknię. Mężczyzna wstał zaraz po niej i naciągnął portki.

358 ■ Paweł Siedlar

*

Na jego kostropatej, odrażającej gębie widniał wyraz kompletnej, ale za to dokładnie odmóždzonej błogości.

- No, mistrzu, pasowało wom? - Wiedźma wykrzywiła się obleśnie. - Teroz jej co dejcie.

- Niek se biere, co chce.

Utrudzona nad miarę natychmiast zapomniała

O swych boleściach. Wyraz męki i znużenia ustąpił głupkowatej wesołości. Drżącymi z chciwości rękami przebierała walające się po chacie kosztowności. Najbardziej spodobała jej się tkanina. Przykładała ją do swej nędznej sukni i wydawała postępujące dźwięki pełne zachwyty. Zauważyła lusterko i zaczęła się w nim przegłądać, wykrzywając twarz. Januszek domyślił się, że jest niemową. Albo niedorozwiniętą. Albo jedno i drugie naraz. Choć była taka ładna. Czyżby w tym strasznym świecie nie było nic normalnego?

Piękna i głupia wzięła się za pierścienie. Oglądała je

1 przymierzała, chichocząc.

Nagle jeden z nich wypadł jej z rąk. Chłopiec zdrętwiał. Pierścień poturlał się wprost do jego kryjówki.

W chwilkę potem został wywleczony i postawiony przed trzema parami oczu, które wbijały się w niego niczym gwoździe.

- Ktoś jeś? - warknął mężczyzna. - Skondeś sie wzion? „Januszek Kowalik”, chciał odpowiedzieć, ale tylko

zaszczękał zębami głośniej niż poprzednio.

- Ubiór jaki cudacny - pisnęła starucha. Jej towarzyszka wybuchnęła rżącym chichotem i uszczypnęła Januszka w policzek. Ale lekko.

Piwnica

- Kielo ci roków? No, gadaj.

- Dzieeee...sięć - wybełkotał.

- Łżes. Za wielkiś na dziesięć. - Jej towarzyszka wydała hałaśliwy rechot zakończony czymś w rodzaju: Gidu, gidu, biii, brrr - i wykrzywiła się dwuznacznie.

- Co? Widzi ci się. - Stara przyglądała mu się iście nieodgadnionym wzrokiem. - Gładki otrok, godos? A gładki. Lica gładkie ma, rynce gładkie, białe, niezaro-bione. Zaras znać, ze pańskie dziecko, po pańsku chowane. Cyjżeś? - znów zwróciła się do Januszka.

„Jestem Januszek Kowalik. Mieszkam na piętrze” znów chciał odpowiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Wyznanie prawdy nie miało sensu, gdyż nikt by w nią nie uwierzył. Ci ludzie nie byli zdolni pojąć niczego z jego świata. On sam zbyt wiele razy wątpił w to, czego doświadczał od kilku przecież lat. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie pierwszej, przypadkowej wyprawy tu, w przeszłość, i wspomnienia następnych, podjętych celowo. Dobrze pamiętał swoje wątpliwości od samego początku. Od pierwszego razu. I po kolejnych. Za każdym razem. Ale to, co działo się teraz, było prawdą najprawdziwszą. Nie żadnym snem, złudzeniem, grą wyobraźni. Niestety! Było jawą najjawniejszą, której doświadczał na swej własnej, zje-żonej i jakby przyciasnej z przerażenia skórze. Och, jaki był głupi, jaki głupi, pchając się na oślep w tę awanturę. „Ciekawość pierwszy stopień do piekła”, mawiała babcia, gdy zbyt gwałtownie gnębił ją pytaniami. Jednak ciocia Jasia i mama mówiły co innego: „Ciekawość pierwszy stopień do wiedzy, tylko trzeba być ciekawym mądrze”. Skąd jednak wtedy miał wiedzieć, czy jego ciekawość popychająca go do penetracji piwnic była mądra? Za to teraz

Paweł Siedlar

wiedział aż za dobrze, że nie. Tylko było już za późno. Milczał więc i o ile to było możliwe - bał się coraz bardziej.

- No, gadaj po dobroci - zaskrzeczała stara. - Abo cie do gadania przymusim - skrzeczenie przeszło w syk jadowitego węża. - Mistrzu, weście go na spytki... - Sytuacja stawała się coraz okropniejsza.

Wybawienie przyszło z najbardziej nieoczekiwanej strony, dało chwilę na opanowanie paniki i zebranie myśli. Mężczyzna, który przez cały czas obserwował go z wielkim wysileniem umysłowym, wyraźnie widocznym na jego tępych i szpetnym obliczu, uderzył się obiema dłońmi po udach.

- Toć jo go znom - ryknął z cicha. - Uwidziołem go ros. W podle Żabiego Kruka. Łońskiego roku? Ni. Dawniej bedzie. Ze dwa roki? Trzy? Bacycie, kiedym Strebe-kacke spławił siedem razy? Wtyncas. Cudacnie odzian, jako i dziś. Ino mi mignon pseed oczami, ale to on był. Nie kto inny. Prawił mi pote Kacper, ze janioł jakisi, ale mały, k niemu sfrunoł sgóry i puzderko mu ostawił, w którym białe cosi było, jakoby kulki nie kulki, pono na krzypote. Wzionem i jo na spróbunek. Gymbe mi ino wykrynciło i we wątpiach paliło jako ogień i poty mie nasły okrutne. Puzderkom, co niewiadomo s tego zrobione było - spalił. Paliło się wartko, ze smrodem wielkim. Kacprowi po łbie dałem a onego anioła, ech, dałem sowicie. - Wyciągnął przed siebie potworne łapy i uśmiechnął się jakby rozmarzony. <•

- Tyś jes onze anioł? - zagadnął ostro.

- Nie jestem aniołem - odparł Januszek drżącym głosikiem. - Tak tylko powiedziałem, żeby się mnie nie bał. Ten chłopak. Kacper.

Piwnica

- Pewnikiem nie, gdzieszby skrzydła stracił? - roztropnie wtrąciła starucha. - A mowe tys mo cudacnom. Nie jeno odzienie. Co s nim zrobicie, mistrzu? - Januszek zrozumiał, że ważą się jego losy. Nagle spłynęło na niego natchnienie. Tak bywało, gdy znajdował się w niebezpieczeństwie. Ostatnio przed klasówką z matmy. Wcześniej, gdy chcieli go zbić, ten drugoroczny, no, Pasztet i jego kumple. Bo nie miał drobnych. A oni potrzebowali. Jak zwykle. Na papierosy. Ale się wykręcił. A już z nim było krucho. Teraz też było krucho. Dużo bardziej krucho niż wtedy. Myśl, która przyszła mu do głowy, była jedyną sensowną.

- Mój ojciec jest bogaty. Bardzo bogaty. Może za mnie zapłacić bardzo dużo pieniędzy - powiedział śmiało i głośno. - Wszyscy możecie być bogaci już niedługo. - Słowa te wywarły pewne wrażenie. Wiedźma i kat przez dłuższą chwilę naradzali się szeptem.

- Skidaj - warknął wreszcie mężczyzna.

- Odzienie - dodała stara i Januszek błyskawicznie zrozumiał, co znaczy słowo „skidaj”. W okamgnieniu zrzucił koszulkę i spodenki. „Czego ode mnie chcą?” - pomyślał. Jego majteczki i skarpetki wzbudziły zainteresowanie całej trójki, uwagi, chichoty i gęgania. Wreszcie mężczyzna powtórzył „skidaj” i Januszek stanął przed nimi goły niczym święty turecki, trzęsąc się ze strachu, przez który nie czuł nawet wstydu. Tak stał, a oni najpierw rechotali odrażająco, a potem przyglądali mu się, jakby był jakimś dziwad-łem.

Pierwsza odezwała się starucha.

- Prowde rzece. Ni mo nad dziesieńc roków. - Wskazała na jego nieopierzone przyrodzenie, które ze stra-

Pawe Siedlar

chu i chłodu skurczyło się do rozmiarów babcinego naparstka. Januszek nagle poczuł wstyd i zasłonił sobie co trzeba.

- Nic ci po nim - wiedźma zwróciła się do ładnej. - Za młody. Mnie tys jeste po nim nic. Niek tu ostanie. Zda sie wom, mistrzu, za Kacpra, zacem go nie wykupiom. Ino starunek miejcie, coby wom nie skapioł.

- Na. - Mistrz rzucił mu uświnioną koszulinę. Januszek ze zgrozą rozpoznał w niej własność chłopca, który uważał go za anioła. - Jak nie bedzie pociechy s tobie, skuńcys jako un. - Mistrz wskazał wzrokiem kubetek i ławę. - Cheba coby cie twoi wykupili. Ale to mi sie nie bars widzi, bo pewnikiem pomarli.

Tak Januszek został pomocnikiem potwora.

Rodzice dość długo nie odczuwali niepokoju. Znalazona na kuchennym stole kartka uspokoiła ich, uspiła czujność. Mama, czytając tę wiadomość, była bardzo dumna. Powiedziała nawet: „No, no, jaki się zrobił samodzielny”. Tato dodał: „Wdał się we mnie”. Jednak gdy zapadł zmierzch, a Januszek nie wracał i nie wracał, zaczęli się niecierpliwic. Wreszcie zatelefonowali na Jagiellońską. Potem wykonali wiele telefonów. Do kolegów syna, kolegów ich kolegow, nauczycielek, aż wreszcie zadzwonili na policję. +

Rozmowa z dyżurną policjantką wcale nie dodała im otuchy. Rutynowe pytania i równie rutynowe zapewnienia, że „dołożymy wszelkich starań” i „na pewno się znajdzie”, brzmiały mało przekonująco. Nie potrafiły uciszyć narastającego lęku. Późną nocą, nie mogąc

Piwnica

usiedzieć w domu, ojciec wyszedł na poszukiwanie jedynaka. Mama została w domu, bo ktoś musiał zostać „na wszelki wypadek”. Zażyła więc zbyt dużą dawkę waleriany i nieco otępiąła czekała i czekała długo, długo w noc. Ojciec krążył po mieście. Ulice pustoszały. Tylko w okolicach rynku panował jeszcze gwar, grała muzyka, występowali jacyś egzotyczni artyści ze śpiewami i biciem w bębny. Wreszcie i oni odeszli. Teraz wszędzie było cicho, bezludnie. A on zaglądał w każdy kąt, przemierzał wszystkie znane mu Januszkowe szlaki w obrębie Starego Miasta i Kleparza, zajrzał na Kazimierz, nawet na Zwierzyniec. Wiedział, że od pewnego czasu syn lubi się włóczyć po rozmaitych zakamarkach, i chociaż nie przypuszczał, żeby tym razem zapuścił się aż tak daleko, miał nadzieję, że może gdzieś, może jakimś cudem... Wszystko na nic. Chłopca nigdzie nie było.

Ranek okazał się najgorszy. Głos w słuchawce, zawodowo uprzejmy i kojący, zaprosił „oboje państwa do kliniki na Kopernika w celu dokonania identyfikacji”. Taktownie nie dodał „zwłok”. Nie musiał.

Poszli, z trudem panując nad sobą, pełni najgorszych obaw. Doznali jednak ogromnej ulgi, bowiem wyłowiony z Wisły dziecięcy topielec miał przynajmniej z tydzień i był zupełnie inaczej ubrany niż ich synek. Pozostawało tylko czekać i mieć nadzieję. Tymczasem nic innego nie mogli zrobić.

Nastaly dni mnóstwa telefonów do mnóstwa miejsc i ludzi, dni oczekiwań, nadziei, rozpaczy, wreszcie - narastającej apatii.

Pawet Sedlar

Już trzy razy byli za murami. Nie wchodzili przez bramę, tylko przez małą żelazną furtkę, zaraz za przerzuconą przez fosę kładką. Mistrz szedł przodem, ostrożnie, popatrując. Januszek niósł za nim worek, który napełniali zrabowanymi po domach przedmiotami.

Te wyprawy musiały być bardzo nielegalne, gdyż przemykali się cichcem, chyłkiem, najchętniej o zmierzchu. Ale tam, w mieście, poruszali się całkiem śmiało. I nigdy nikt ich nie zatrzymywał. Tylko raz patrol straży miejskiej (ront - powiedział mistrz - baczenie cza mieć) zbliżył się trochę, ale zaraz oddalił pospiesznie. Jakby trzech rosyłych i zbrojnych drabów w zakrywających twarze maskach przestraszyło się jednego. Bo oddalali się z lękiem. Tak przynajmniej wydawało się Januszkowi. A mistrz się śmiał. Ale to było potem.

Miasto przedstawiało widok straszliwy i ohydny. Wymarłe ulice pełne były trupów, których nie nadążano sprzątać. Smród panował nieopisany. Te trupy... Rozdęte, szerniałe, pokryte wrzodami. I ludzie, jeszcze żywi, którzy na jego oczach zamieniali się w trupy. A mistrz chodził powoli i patrzył uważnie. I wchodził do niektórych domów, płosząc całe stada szczurów. Januszek wchodził razem z nim, bo nie mógł inaczej. Tylko czasem jego pan i władca kazał mu stać na zewnątrz i „gwizdać, jakby co”. Chłopiec nie bardzo wiedział, czym miałyby być owe „jakby co”, do chwili kiedy omal nie wpadli na kilka posępnych postaci w kapturach i jednakowych wydłużonych maskach, okrywających całe twarze i zachodzących aż na szyje. Widywali je już wcześniej, z daleka. Postacie te wędrowały od domu do domu, zaglądały do nich, czasem wchodziły na dłużej, znaczyły kredą niektóre bramy. Budziły grozę nawet w mistrzu, chociaż nie nosiły

Piwnica

bronii, tylko długie krzyże. I duże kadzielnice, z których przez cały czas wydobywał się gęsty dym o przeraźliwie ostrym zapachu.

Akurat z ulicy, która chyba powinna była nazywać się „Gołębią”, mieli wyjść na ulicę, która chyba powinna się była nazywać „Wiślną”. W tym świecie ulice nie miały tabliczek z nazwami. I zupełnie inaczej wyglądały. Tylko biegły mniej więcej tak samo. Przynajmniej niektóre. Większe. Dużo było rozmaitych zakamarków, przesmyków i połączeń, które w Januszkowym, „normalnym” świecie po prostu nie istniały. Zgubiłyby się pośród nich. Jednak mistrz znał je dobrze i poruszał się po nich bardzo pewnie.

Więc właśnie wtedy, gdy już, już mieli wyjść z tej... niby Gołębiej, kompletnie niepodobnej do Gołębiej, mistrz zatrzymał się i nastawił ucha. Ostrożnie wyjrzał za róg i cofnął się gwałtownie. Szarpnął Januszka za ko-szulinę, pociągnął go za sobą i odbiegli spory kawałek. Biegliby pewnie jeszcze dalej, gdyby nie to, że mistrz zasapał się prędko. Stał zdyszany pośrodku pustej, pokrytej zgniłą słomą, błotem i gnojem ulicy i rozglądał się w panice, widocznej pomimo maski. Zauważył, że jedna * z bram, choć od zewnątrz zabezpieczona deskami, była uchylona. Oderwał więc deskę, tylko trochę, u dołu, odsunął ją, wepchnął swego pomocnika w powstałą w ten sposób szczelinę, sam wcisnął się za nim i zasunął deskę. Cofnęli się

trochę dalej, w głąb sieni, przy obrzydliwym i oburzonym pisku szczurów. Przez szparę widzieli fragment ulicy, na której nadal nic się nie działo. Wreszcie zza rogu wynurzył się jeden z zakapturzonych. Za nim podążało jeszcze czterech. Płynęli w obłokach smrodliwego dymu niczym jakies niezemskie zjawy, groźne

Paweł Siedlar

u 4 &

i majestatyczne, śpiewając półgłosem monotonna i ponuro brzmiącą pieśń.

- Bratowie cornej śmirzci - wyszeptał mistrz i przeżegnał się szeroko. A oni, zakapturzeni i zamaskowani, posuwali się od domu do domu, znacząc je i okadzając swym smrodliwym kadzidłem.

Wreszcie zatrzymali się przed „ich” bramą. Stali dość długo, modląc się po łacinie i smrodząc tak, że dym wdierał się do bramy i Januszek z trudem powstrzymywał kaszel i kichanie. Wreszcie oznaczyli dom i odeszli, a mistrz, który przez cały czas mamrotał tylko „kyrie elejson” i „paxwobiskum” na przemian z czymś, co było trochę podobne do „seculaseculorum”, odetchnął.

- Dobrze, że nas nie naśli, bo kieby naśli, źle by beło s nami - powiedział tylko. Januszek wołał o nic go nie pytać.

Niektóre kamienice, te lepsze, murowane, były puste. Ich właściciele albo pouciekali z miasta wcześniej, albo poumierali. Drzwi i okna tych domów pozabijano deskami na głucho. Ale nigdy nie było to przeszkodą. Mistrz odrywał deski, a każdy zamek potrafił otworzyć w okamgnieniu. Zanurzali się w trupi smród, wszechobecny, gęsty, omal namacalny, chociaż nie było tam już trupów, i brali rzeczy cenne. Ale nie tylko takie. Czasem do ich worka trafiały przedmioty, które według Januszka nie mogły mieć wielkiej wartości. Jednak tu, w tym świecie, musiało być inaczej. Przemierzając umierające miasto, Januszek wszystko uważnie obserwował i starał się zapamiętywać. Pierwsze przerażenie już mu przeszło, ustąpiło ciągłemu,

Piwnica ■ 367

ale dającemu się wytrzymać lękowi. Ten lęk ustabilizował się na pewnym stałym poziomie i powoli tępiał, ewoluując w kierunku stanu podwyższonej czujności. Po paru dniach Januszek prawie przyzwyczał się do niego. Nie mógł tylko przywyknąć do pcheł. Było ich nieprawdopodobnie mnóstwo. Pamiętał, jak raz przyniósł pchłę z przedszkola. Gryzła go i gryzła, więc wiercił się i drapał, aż wreszcie babcia zauważyła jego męczarnie, zdjęła mu koszulkę i znalazła przyczynę cierpienia i nadmiernej ruchliwości wnuczka, dużą i nażartą. Zmiażdżyła ją między paznokciami, powodując nikły trzask i wielką satysfakcję nadjedzonego. Koszulkę zaraz wyprąta i starannie wyprasowała bardzo gorącym żelazkiem. To samo zrobiła z resztą jego ubranka. Kiedy indziej znów mama we włosach synka zauważyła coś, co nazwała gnidą. Pojedynczą, białawą i małą jakby łezką uczeponą na jednym z włosów. Wyrwała mu ten włos, skropiła głowę czymś wstrętnym. Zaraz zadzwoniła do szkoły (bo Januszek już chodził do szkoły) i narobiła rabanu. Potem znaleziono gnidy i wszy u kilku uczniów i wszystkim zdezynfekowano głowy. A tu, w tym dawnym świecie, nikt się nie przejmował pchłami. Wszami pewnie też ' nie.

Najgorsze były początki. Chociaż mistrz, pomny słów więdźmy, traktował go wcale znośnie, nie bił ani nie zmuszał do niczego. Tylko raz. Przy rozpalaniu ognia. Bo Januszek nie potrafił rozpalić, chociaż się starał i chociaż widział, jak robił to Kacper. Lecz sam tylko poobtłukiwał sobie palce. I mistrz się zezłościł. Ale Ja-

368 Pawet Sedlar

ale dającemu się wytrzymać lękowi. Ten lęk ustabilizował się na pewnym stałym poziomie i powoli tępiał, ewoluując w kierunku stanu podwyższonej czujności. Po paru dniach Januszek prawie przyzwyczał się do niego. Nie mógł tylko przywyknąć do pcheł. Było ich nieprawdopodobne mnóstwo. Pamiętał, jak raz przyniósł pchłę z przedszkola. Gryzła go i gryzła, więc wiercił się i drapał, aż wreszcie babcia zauważyła jego męczarnie, zdjęła mu koszulkę i znalazła przyczynę cierpienia i nadmiernej ruchliwości wnuczka, dużą i nażartą. Zmiażdżyła ją między paznokciami, powodując nikły trzask i wielką satysfakcję nadjedzonego. Koszulkę zaraz wyprąta i starannie wyprasowała bardzo gorącym żelazkiem. To samo zrobiła z resztą jego ubranka. Kiedy indziej znów mama we włosach synka zauważyła coś, co nazwała gnidą. Pojedynczą, białawą i małą jakby łezkę uczeponą na jednym z włosów. Wyrwała mu ten włos, skropiła głowę czymś wstrętnym. Zaraz zadzwoniła do szkoły (bo Januszek już chodził do szkoły) i narobiła rabanu. Potem znaleziono gnidy i wszy u kilku uczniów i wszystkim zdezynfekowano głowy. A tu, w tym dawnym świecie, nikt się nie przejmował pchłami. Wszami pewnie też ' nie.

Najgorsze były początki. Chociaż mistrz, pomny słów więdźmy, traktował go wcale znośnie, nie bił ani nie zmuszał do niczego. Tylko raz. Przy rozpalaniu ognia. Bo Januszek nie potrafił rozpalić, chociaż się starał i chociaż widział, jak robił to Kacper. Lecz sam tylko poobtłukiwał sobie palce. I mistrz się zezłościł. Ale Ja-

368 ■ Pawet Sledlar

nuszek się postawił na tyle, na ile było to możliwe. Pokazał charakter. „Trzeba mieć charakter”, mawiała babcia. I mistrz nie zbił go, chociaż miał ochotę i już się do bicia zabierał. Pewnie większą ochotę miał na okup i dlatego się powstrzymał. Zresztą chyba trochę bał się narazić komuś tak możnemu jak ojciec jeńca. Bo Januszek w skrajnej desperacji i przerażeniu wrzasnął:

„Uderz mnie tylko raz, a mój ojciec pasy drzeć z ciebie będzie i skróci cię o głowę!”. Przeczytał to w jednej książce. Nie wiedział, co może znaczyć darcie pasów, ale mistrz chyba wiedział bardzo dobrze, bo odpuścił. Jego ' potężna, wzniesiona już do ciosu pięść opadła nieszkodliwie i jakby z rezygnacją. Warknął tylko: „Wykup będzie wienksejsy” i dał mu spokój.

Zobaczysz okup jak własną dupę pomyślał Januszek. Powiedzenie o zobaczeniu czegoś „jak własną dupę” bardzo mu się podobało. Raz usłyszał je od kolegi, który miał starszego brata i znał wiele fajnych powiedzonek i kawałów. Więc teraz powtarzał je sobie wiele razy mściwie i ze złością, ciesząc się na myśl o minie mistrza, który pewnego dnia nie zastanie go w swej chacie.

Jednak marne to było pocieszenie - tu po prostu nie dało się żyć. Nie było łazienki ani ubikacji. Potrzeby, i dużą, i małą, załatwiała się za chałupą. Długo z tym zwlekał, nie mógł jednak trzymać w nieskończoność. Odprowadzony czujnym wzrokiem swego pana i władcy odszedł troszkę dalej, w krzaki. Kucnął, podciągnął koszulinę i już. Podtarł się trawą. Jak kiedyś na wycieczce, w lesie. Potem opłukał ręce w

pobliskiej rzeczce, której leniwie płynąca woda miała zapach mułu i zgnilizny. Gdy dostał legowisko na rzuconej w ką odrobinie słomy, wyciągniętej przez mistrza z siennika, serdecznie

Piwnica • 369

pozazdrościł Azorkowi, który u dziadków sypiał w wygodnie wymoszczonym koszyczku i miał swój kącik za komodą. Skulił się więc tylko tak, by stopy znalazły się pod koszulą, przykrył jakąś brudną szmatą i próbował spać. Lecz zimna, twarda polepa, nadmiar przerażenia, rozpacz, rezygnacja i głód nie ułatwiały zaśnięcia. Na dodatek od rzeczki ciągnęło wilgotnym chłodem. Mimo to parę razy zapadał w drzemkę. Wtedy wydawało mu się, że śni jakiś straszny sen, z którego zaraz obudzi go mama i każe mu wstawać, bo już czas do szkbły. Budził się skostniały i odrętwiały. Chętnie popłakałby sobie, ale bał się obudzić tego przerażającego stwora, który chrapał, aż się trzęsły ściany. Mało więc spał, za to dużo myślał. O bardzo wielu sprawach. Znalazł się w sytuacji strasznej. Po prostu strasznej. „Bez wyjścia”, jak mawiał tato. Zaraz dodawał, że z każdej sytuacji jest wyjście. „Wbrew pozorom”. Ale wyjścia akurat z tej sytuacji Januszek nie potrafił sobie wyobrazić. Tak samo jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że potrafiłby je znaleźć tato. Za to doskonale sobie wyobrażał, co dzieje się w jego domu, jak martwią się rodzice, jak zamartwiają się dziadkowie, i ta myśl była dla niego prawdziwym gwoździem do trumny pośród tej zimnej i głodnej nocy, na dodatek pełnej gryzących wściekle pcheł. Nadzieję dawało mu tylko jedno: przejście musiało się kiedyś otworzyć. Skoro otwierało się tyle razy, po prostu musiało. Raz jeszcze. Byle nie za długo. Bo za długo to on w tym świecie nie pożyje. Myślał też o tym, co będzie, jak przejście otworzy się wtedy, gdy jego akurat nie będzie w pobliżu. I ta myśl była bodaj najgorsza ze wszystkich.

370 • Paweł Siedlar

m

4__

Najpierw starał się nic nie jeść. Udawało mu się to przez prawie dwa dni, gdy zostawał sam ze swymi myślami. Mistrz wybywał z samego rana, wracał pod wieczór albo nocą. Chatę zamykał na skobel, jakby w obawie, że jeniec może się ulotnić. Jednak Januszek i tak nie miał dokąd pójść i nie uciekałby, nawet gdyby jakimś cudem udało mu się opuścić więzienie. Czekał tylko w napięciu na otwarcie się dziury w ścianie i w czasie, lecz nic takiego nie następowało. Odchodząc, mistrz rzucił mu kawałek chleba tak czarnego i brudnego, że na samą myśl o jego zjedzeniu Januszka ogarnęły mdłości. Jednak w końcu zjadł ten chleb, który choć ościsty, w smaku nie okazał się najgorszy. Potem z jeszcze większym wstrętem zjadł resztkę zimnej bryi z kociołka. Omal się przy tym nie pochorował z obrzydzenia, ale stłumił skurcze buntującego się żołądka, gdyż wiedział, że tymczasem niczego innego nie dostanie, bo w chałupie nic więcej nie ma. Musiał wytrzymać, musiał przeżyć jeszcze jakiś czas. Musiał doczekać otwarcia, choć coraz mocniej wątpił, że mu się uda. Na trzeci czy czwarty dzień niewoli mistrz powiedział: „Zbiroj sie, do grodu pójdziem, strawę naj-dziem”. Januszek „zebrał się” szczęśliwy, że pozwolono mu założyć buty.

„Strawę" znaleźli w jednym bogatym domu, gdzie wszyscy umarli i leżeli, jedni na łóżkach, inni na podłodze, gdzie popadło. Jedenaście osób. Zanim pomicierali, musieli ucztować, bo na stołach walały się resztki ich ostatniego posiłku. Były też wina. W kielichach i dzbanach. Jeden z dzbanów miał wąską szyjkę z zatyczką.

Piwnica ■ 371

Mistrz otworzył go, powąchał, pociągnął łyk, mlasnął.

- Małmazyja - powiedział i w błogim uśmiechu wyszczerzył spróchniałe zębiska. Przechylił naczynie i wypił jeszcze ze dwa, trzy spore łyki. Mocno wcisnął za-tyczkę i wsadził dzban do wora. Potem wyrzucił do niego rozmaite rzeczy. Zeszli do kuchni, ciemnej, zakopcanej. Tam znaleźli jeszcze leżące na podłodze trupy dwojga osób, które przed śmiercią musiały sobie tego popić, bo obok nich poniewierały się dzbany i jedno podobne do flaszki, ale wykonane z ołowiu naczynie. Oprócz zwłok znaleźli też chleb, wędzone mięso i kaszę w dużym garze. Mistrz odsunął maskę z twarzy i żartoczenie rzucił się na jadło. Januszek pomyślał, że to zupełnie bez sensu, ale nic nie powiedział. Sam nie miał maski, więc pokonując obrzydzenie, skubnął trochę chleba, który był bielszy i wyraźnie lepszej jakości, przede wszystkim zaś znacznie mniej brudny niż ten wcześniejszy, który dostał od mistrza. Wziął kawałek z samego brzegu. Gdzie może nikt go nie dotykał i nie było widać śladów gryzienia. Napchał sobie brzuch kaszą z kociołka, bo pomyślał, że na czymś, co było nad ogniem, powinno być mniej bakterii. Zjadł też kawałek mięsa. Słyszał, że dym konserwuje, i pomyślał to samo co o kaszy. Zaraz o mało nie wymiotował, takie było wstrętne. No i te trupy i smród okropny... A on nie jadł do syta od samego początku i był bardzo głodny, i nie wiedział, jak długo jeszcze przyjdzie mu głodować. Gdyby nie zjadł zaraz, to mistrz sam zeżarłby mu wszystko. Więc Januszek musiał. Choć nie było mu łatwo. Odwracał wzrok od trupów, próbował zatykać nos i jadł z zatkanym nosem, co niewiele dawało.

Paweł Siedlar

Mistrz nie przejmował się takimi drobiazgami. Żarł, bekał, pierdział głośno, spluwał i popijał winem. Jednak nie było po nim widać oznak upijania się. Januszek popił swój pozał się Boże posiłek wodą ze stągwi. Wydawała się czysta i normalna. Wina nawet nie chciał próbować. Brzydził się, bo wyobrażał sobie, że ci leżący na podłodze, cali w strupach i ranach, pewnie pili je wprost z dzbanów.

A potem, jak już najedli się do syta, mistrz przystąpił do roboty. Był wybredny. Ładował do wora tylko najcenniejsze przedmioty. Odzierał trupy z biżuterii. Zdejmował pierścionki. A jak nie chciały zejść, to obcinał trupom opuchnięte i sine palce. I wcale się nie brzydził.

Im bliżej rynku, tym domy stawały się bardziej okazałe i więcej było murowanych. Tylko przy samych murach obronnych stało sporo drewnianych. Niektóre z nich były bardzo nędzne, jednak dużo wyglądało całkiem dostatnio. W wielu jeszcze niedawno musiały się mieścić warsztaty czy pracownie, gdyż przed nimi, na osłoniętych daszkami werandach albo w izbach na parterze, poniewierały się porzucone narzędzia i niedokończona robota: tu pojedynczy but, tam rozwieszona na czymś w rodzaju manekina kapota, gdzie indziej prawie gotowe ozdobne siodło. Szli pomalutku. Mistrz rozglądał się bacznie na wszystkie strony. Szczególnie uważnie obserwował domy, w których mieszkali jeszcze żywi ludzie.

Januszek mimo swego nędznego stanu i nieopuszczającego go ani na chwilę przestraszu nie mógł się nadziwić wielu

Piwnica 37

rzeczom: wszechobecnemu brudowi, pokrytym butwie-jącą słomą dyłowaniom ulic, cuchnącym rynsztokom, bezkarnie grasującym szczurom. To wszystko było całkiem niepodobne do historycznych filmów, jakie oglądał kiedyś. Bo na tych filmach miasto było schludne i ładne. Zamieszkujący je ludzie ubierali się w piękne, kolorowe szaty i mówili normalnie, tak jak on albo bardzo podobnie. A tu... Tu było po prostu strasznie, t nię tylko dlatego, że panowała zaraza. Strasznie, choć pewnie nie aż tak, musiało tu być i wcześniej. Zawsze.

Najbardziej jednak zdumiewało i przerażało go to, że mieszkańcy miasta nie robili nic, by powstrzymać zarazę lub ratować się przed nią. Wóz zbierający zwłoki Januszek widział tylko raz. Otaczało go kilku podobnych do żywych trupów ludzi w kajdanach i łańcuchach, widać też już zarażonych. Ładowali umarłych na kupę, pewnie zdając sobie sprawę z tego, że sami będą następni. Już bardzo niedługo. Że nie ma ratunku. Nigdy nie spotkał nikogo, kto wyglądałby na lekarza. Ludzie z rzadka wychodzili na ulicę. Siedzieli po domach. Nieliczni -po kościołach. Ci, których jednak spotykali, a nie mieli * widocznych objawów choroby, byli zazwyczaj pijani lub przynajmniej podpici.

Gdy tak szli i szli, z jednej z okazałych kamienic przy samym rynku dobiegły ich głosy wesołej biesiady, skoczna muzyka i gromkie śpiewy. Zatrzymali się opodal, nie kryjąc specjalnie, ale tak, by nie być za bardzo na widoku. Mistrz patrzył po oknach, a jego oczy lśniły spod maski niczym wilcze ślepie.

- Jus po nich - mruknął pod nosem pewnie, jakby stawiał diagnozę. - Jus ich mom. Do trzeciego dnia wrócim i dostaniem ich. Wsytkich. Teroz nic tu po nos.

374 • Pawet Siedlar

Poszli dalej, przez rynek, na którym stał ratusz (cały duży gmach, nie tylko dobrze znana mu stara wieża, ale bez „hełmu”) i niby sukiennice, poobrastane przybudówkami, oraz wiele innych, mniejszych i większych, głównie drewnianych budowli. Wznosił się kościół Mariacki, wyraźnie mniej rozległy, ze schodkami, otoczony cmentarzem, na którym było dużo świeżych grobów, bardzo odmieniony (wyższa wieża bez korony i w ogóle jakaś taka...), ale chyba jednak on, bo niby co innego mogłoby tam stać? Był i mały kościółek Świętego Wojciecha, inny niż kościółek Świętego Wojciecha, tyle że w tym samym miejscu, u wylotu Grodzkiej, w głębi której widniały wyniosłe i białe (romańskie, mówiła mama) wieże kościoła Świętego Andrzeja, tylko że z innymi dachami. Część rynku wybrukowano i poprzecinano rynsztokami pełnymi cuchnącej mazi. Pokonywali te rynsztoki, przełaząc po dużych, zapewne specjalnie w tym celu położonych kamieniach. Domy wokół rynku przedstawiały się rozmaicie. Żaden nie był tak duży jak te, które otaczały rynek za „jegp czasów”. Były niższe i dużo węższe. Większość z nich miała tylko po jednym piętrze i po jednym, najwyżej po dwa rzędy małych okienek. Tylko w niektórych z nich połyskiwały kolorowe okrągłe szybki (gomółki - kiedyś ta usłyszana od mamy nazwa bardzo go rozśmieszyła, eeech, jak to było dawno). Z balkoniku jednej z bardziej okazałych kamienic wychylał się jakiś młody, przystojny'mężczyzna i coś krzyczał przeraźliwym, to słabnącym, to wznoszącym się do

rozpaczliwego dyszkantu głosem. Był bardzo ładnie ubrany. Tak jak i martwi znaleźieni w tamtym bogatym domu parę dni temu. Albo jeszcze ładniej. Januszek zrozumiał, że młodzieniec błaga ich o wodę. Mistrz słyszał to równie dobrze,

Piwnica ■

lecz nie zareagował w żaden sposób. Tylko mruknął pod nosem:

- Tyn tys dobry będzie, niedługo cekoć.

Tak szli, szli, szli. Mistrz patrzył, patrzył, patrzył. Januszek też patrzył, lecz różne były przyczyny obu tych patrzeń i rozglądań się.

Przewidywania mistrza sprawdziły się: po upływie trzech dni nie żył już nikt z biesiadników. Weszli do domu od strony podwórka, gdyż drzwi główne zabezpieczono bardzo starannie. Widok rozdętych, pokrytych wrzodami i ranami trupów nie robił już na Januszkę specjalnego wrażenia. Ale w jednym z pokoi stała kołyska i on zupełnie niepotrzebnie do niej zajrzał. W środku leżało niemowlę. Całkiem maleńkie i poobwijane niczym mumia. Tylko buzię miało odstoniętą. I właśnie ta buzia sprawiła, że Januszkowi zrobiło się słabo, nogi mu zmiękły, w głowie zakołowało, jakby zaraz miał odplynać. Twarzyczka niemowlęcia była nadżarta przez szczury. A ono chyba jeszcze żyło, choć nie płakało. I jak Januszek wszedł, to wielki szczur wyskoczył z tej kołyski. Nawet nie uciekał, tylko powoli oddalił się do kąta. I czekał. Właśnie wtedy Januszkowi wydawało się, że główka niemowlęcia się poruszyła. To mogło być tylko złudzenie, ale było takie okropne. Okropniejsze od wszystkiego, co widział do tej pory. No i właśnie dlatego omal nie zemdleł. Na szczęście mistrz zauważył, co się święci, i poczęstował go kuksańcem. I Januszek poczuł do niego coś odrobinę podobnego do wdzięczności. Zaraz zaczęli pakować „dobro” do wora. Dom był zasobny, połów -

376 ■ Paweł Sledlar

obfity, wór - ciężki. Potem poszli jeszcze do tej kamienicy, w której mieszkał piękny młodzieniec. Znaleźli go leżącego na schodach. W tym domu nie było wielu trupów. Tylko w jednym z pokoi na szerokim łożu z baldachimem leżała martwa kobieta w bardzo ładnej sukni. Miała szeroko otwarte oczy, usta wykrzywione wyrazem nieopisanej męczarni, a na sobie dużo ozdób. Kiedyś, jeszcze całkiem niedawno, musiała być piękna. Śmierć nie do końca odebrała jej urodę. Tylko miała rozerwaną szyję. Jakby ktoś poderznął jej gardło. Mistrz zamknął martwej powieki, potem zdjął z niej całą biżuterię i w ogóle wszystko. Zostawił ją gołą i dopiero teraz Januszek zobaczył dokładnie, co ta choroba robiła z człowiekiem. Na ciele zmarłej, szczególnie pod pachami i w pachwinach, widniały wielkie i szerniałe rany. Straszne. Jakby z tych miejsc ktoś powyrywał całe kawały ciała.

Zrozumiał, że to na szyi też nie pochodziło od noża, lecz od choroby, która atakowała tylko niektóre miejsca. Nie u każdego te same. „Newralgiczne”, powiedziałyby ciocia Jasia. Już raz widział taką rozdartą

szyję u jednego z trupów zaraz na samym początku. Ale wtedy bał się patrzeć. I starał się nie patrzeć. Więc nie zobaczył dokładnie. Ale teraz już się przyzwyczaił i widział wszystko. Był nawet ciekaw, czy młodzieniec leżący na schodach też ma taką ranę. Jednak trup leżał na brzuchu. Januszkowi ani w głowie było go odwracać tylko po to, by się o tym przekonać. Zresztą miał co innego do roboty: mistrz co chwila ponaglał go ostro, poszturchując. Widać bardzo mu się spieszyło.

Piwnica

Pomimo pośpiechu do chaty wrócili późno. Tam czekała na nich wiedźma z dziewczyną. Przyniosła kilka glinianych naczynek wypełnionych czymś, co nazywała dria-kwią i sapertasem. Mistrz bardzo był z tego zadowolony. Stara dostała śliczny złoty kubek i gruby złoty łańcuch, a jej towarzyszka zaraz przystroїła się w suknię umarłej. Wyglądała w niej bardzo dobrze. Dostała też kilka pierścieni i była szczęśliwa.

Tej nocy Januszkowi długo, długo przyszło wsłuchiwać się w ni to bolesne, ni to wniebowzięte jęki i stękania, urozmaicane gromkimi pierdnięciami i basowymi porykiwaniami mistrza. Wreszcie jednak zasnął, gdyż bardzo był utrudzony ciężką pracą i nadmiernymi wrażeniami minionego dnia.

Najpierw pojawiła się wysypka. Na całym ciele. A już myślał, że jest uodporniony. Tak jak na grypę. Azjatycką. Dawno. Kiedy nie zachorował. Tylko on jeden na całe przedszkole. I ciocia Jasia powiedziała nawet: „Ciekawe, całkiem ciekawe. Musisz mieć wyjątkowo silny organizm. Widać produkuje bardzo dużo przeciwciał” albo coś w tym rodzaju. A teraz się zaraził. Miał nadzieję, że go ominie, ale nie. Nie udało się. Cały był obsypany wstrętnymi czerwonymi krostkami. Pewnie będzie musiał umrzeć. Tu, w tym beznadziejnym, wstrętnym i głupim świecie. Na samą myśl o tym ogarniała go złość. Właśnie złość. Nie strach, nie żal. Musiał umrzeć tylko dlatego, że ci ludzie byli tacy głupi i beznadziejni. To budziło wściekłość i opór. To się nie mogło tak skończyć. Najpierw się modlił, ale przecież ci ludzie tu też się

Pawet Siedlar

modlili i nic im z tego nie przyszło. Trzeba było działać samemu. Tylko jak? Co należało zrobić, żeby otworzyć to cholerne przejście? Bo w jego świecie ta choroba musiała być uleczalna. Na pewno. Ciocia Jasia poradziłaby sobie z nią jedną pigułką. No, może więcej niż jedną, ale poradziłaby sobie. Albo zastrzykiem. Nie znosił zastrzyków. Ale tym razem by wytrzymał. Jeszcze jak. Nawet prosiłby o taki zastrzyk, najlepiej z penicyliny. A ci tutaj nic. Kretyni! Jednak mistrz nie chorował. Może te świństwa, które przynosiła wiedźma, zwalczały chorobę? A może nie one? Może sam z siebie był taki mocny? Kto wie? Januszek nawet nie czuł się specjalnie źle. Tylko ta wysypka. Jak mistrz ją zobaczył, to sam zaraz sięgnął ' po antidotum. Wysmarował się driakwią i sapertasem dokładniej niż zwykle i zeżarł ich więcej niż zazwyczaj. Chociaż się wykrzywił i stękał. A potem bolał go brzuch. Januszkowi kazał się wynosić z chaty. Że niby jest „za-powietsony”. Wyrzucił też jego nędzne pościego i derkę. Dobrze, że noce nastąpiły ciepłe. Po paru dniach wysypka znikła i mistrz pozwolił mu wrócić. Nawet szkoda, bo pod gołym niebem w pogodne noce spało się całkiem przyjemnie. Dużo lepiej niż w jego śmierdzącej norze. Za to nocując w chacie, stale miał na oku ścianę z przejściem. Bo wciąż wierzył, że kiedyś się otworzy.

Tym razem starucha przyszła sama. Zapytana o dziewczynę tylko pociągnęła nosem i nie odpowiedziała nic. Januszek i tak wiedział swoje. Wiedział i mistrz. Spytał tylko z niepasującą do niego niepewnością i obawą, a nawet strachem: „Najdziecie mi drugom?”.

Piwnica 37

„Ni mo skund wzionć”, odpowiedziała wiedźma i aby rozwiać wątpliwości, dodała: „Wse kurwy wyzdychały”. Mistrz zrobił smutną minę i był przygnębiony. Tego wieczoru upił się straszliwie i śpiewał, a właściwie ryczał i wył zupełnie przeraźliwie długo w noc. Następnego dnia znów poszli do grodu i chodzili po domach, ale chyba tylko z przyzwyczajenia, bo nie brali prawie nic. (Stracił motywację pomyślał Januszek złośliwie o utraconej dziewczce, której nie było kim zastąpić). Zresztą mało było do wzięcia. Kamienice, nawet te, w których z pewnością jeszcze nie byli, sprawiały wrażenie ograbionych. Teraz już nigdzie nie spotykali strażników. Tylko kilka razy z daleka widywali zakap-turzonych i demonicznych „bratów cornej śmirzci”. Nigdy jednak nie spotkali nikogo, kto mógłby im robić konkurencję. Mistrz miał problem. Było to po nim widać wyraźnie. Uważnie oglądał ślady obcego plądrowania, mrużąc przy tym gniewnie. Wreszcie postanowił działać.

Zaczaili się w dużym, nowym, murowanym domu jakiegoś miejskiego bogacza. Tę kamienicę wcześniej dość długo omijali. Jakby mistrz z jakiejś przyczyny nie chciał tam wchodzić. Weszli przez dziedzińczyk z sąsiedniej posesji, by nie otwierać ozdobnych drzwi głównych. By nikt nie domyślił się ich obecności. Czekali cierpliwie. W spiżarni znaleźli trochę żywności: pełną szczurzych odchodów mąkę i kaszę, bardzo stary, twardy jak kamień bochen chleba i wielki wędzony połec mięsa wiszący na długim haku w kominie, zapewne z powodu trudnego dostępu nienaruszony przez wszędobylskie gryzonie, które i bez niego miały dość pożywienia. Januszek po raz pierwszy od wielu dni najadł się do syta. Jadł śmiało

Pawet Siedlar

„Ni mo skund wzionć”, odpowiedziała wiedźma i aby rozwiać wątpliwości, dodała: „Wse kurwy wyzdychały”. Mistrz zrobił smutną minę i był przygnębiony. Tego wieczoru upił się straszliwie i śpiewał, a właściwie ryczał i wył zupełnie przeraźliwie długo w noc. Następnego dnia znów poszli do grodu i chodzili po domach, ale chyba tylko z przyzwyczajenia, bo nie brali prawie nic. (Stracił motywację pomyślał Januszek złośliwie o utraconej dziewczce, której nie było kim zastąpić). Zresztą mało było do wzięcia. Kamienice, nawet te, w których z pewnością jeszcze nie byli, sprawiały wrażenie ograbionych. Teraz już nigdzie nie spotykali strażników. Tylko kilka razy z daleka widywali zakap-turzonych i demonicznych „bratów cornej śmirzci”. Nigdy jednak nie spotkali nikogo, kto mógłby im robić konkurencję. Mistrz miał problem. Było to po nim widać wyraźnie. Uważnie oglądał ślady obcego plądrowania, mrużąc przy tym gniewnie. Wreszcie postanowił działać.

Zaczaili się w dużym, nowym, murowanym domu jakiegoś miejskiego bogacza. Tę kamienicę wcześniej dość długo omijali. Jakby mistrz z jakiejś przyczyny nie chciał tam wchodzić. Weszli przez dziedzińczyk z sąsiedniej posesji, by nie otwierać ozdobnych drzwi głównych. By nikt nie domyślił się ich obecności. Czekali cierpliwie. W spiżarni znaleźli trochę żywności: pełną szczurzych odchodów mąkę i kaszę, bardzo stary, twardy jak kamień bochen chleba i wielki wędzony połec mięsa wiszący na długim haku w kominie,

zapewne z powodu trudnego dostępu nienaruszony przez wszędobylskie gryzonie, które i bez niego miały dość pożywienia. Januszek po raz pierwszy od wielu dni najadł się do syta. Jadł śmiało

Pawet Siedlar

4

i z mniejszym strachem niż dawniej. Cofnięcie się choroby w jej wczesnym stadium dodało mu otuchy. Uznał, że jest w miarę bezpieczny, i uwierzył, że może doczeka, może jeszcze wróci do swoich.

Mistrz popijał z kilku rozmaitych dzbanów, aż zmógł go sen. Wcześniej kazał swemu pomocnikowi budzić się, „jakby co”.

Januszek siedział w kącie i rozmyślał. Tym razem jednak nie były to myśli o rodzinie, domu, szkole, kolegach, słowem, o tamtym, dawnym życiu. Wcale nie. To znaczy owszem, tak, oczywiście na początku trochę myślał o swych bliskich, bo o nich myślało mu się samo, nawet jak nie myślał o niczym. Przede wszystkim jednak myślał o tym, jaki był głupi, wierząc rozmaitym paniom, o których mama mówiła „nawiedzone paniusie”, autorkom piszącym bardzo historyczne książki dla dzieci. Jednak wiedząc, że lubi je czytać, kupowała mu je, chociaż były „takie naiwne”. W tych książkach średniowiecze przedstawiano najczęściej jako krainę pełną szlachetnych rycerzy, pięknych dam, złota, klejnotów i wszelkich wspaniałości. Rzeczywistość okazała się inna. Boleśnie inna, o czym on sam przekonywał się od wielu już dni. Stracił rachubę czasu i nie potrafiłby powiedzieć, czy jest tu już tydzień, dwa tygodnie czy dwadzieścia dwa wieki. Bo każda chwila w tych zakazanych czasach, w tym parszywym mieście, które kiedyś miało stać się jego miastem, była wiekiem. Gdyby wcześniej znał prawdę... Ech, mądry Polak po szkodzie - wzdychał smętnie w pełnej śmierci ciemności. W miarę jak jasna plama księżycowej poświaty przesuwiała się po podłodze, jego myśli stawały się inne od wszystkich, które miewał do tej pory. Od tych myśli jeżyły mu się włosy na głowie, ale nie ze

Piwnica •

strachu. Jego strach stępsiał, wypalił się być może na dobre. Nie bał się. Ani trochę. Ani tej nocy w umarłym mieście, pośród trupów, których było zbyt wiele, by się przejmować nimi i ich smrodem. Nie bał się też choroby, która ustąpiła. Ani nawet mistrza. Nie bał się niczego. I myślał, że już nigdy w życiu niczego się nie przestraszy. Jeśli przeżyje.

To, co podnosiło mu włosy, było spokojną, niezmiernie głęboką, chłodną nienawiścią. Nienawiścią do tego świata pełnego umarłych idiotów. I do mistrza. Tak. Do mistrza najbardziej. Bo on był najbardziej winien temu... temu wszystkiemu, co go spotykało. I pomyślał wtedy po raz pierwszy, że mógłby zabić i chętnie zabiłby tę bestię, potwora, to odrażające bydło wstrętne, i pewnie zabiłby naprawdę, gdyby wiedział jak i miał czym to uczynić. Nie nożem, nie. Czymś innym. Najlepiej trucizną, która działa powoli. Dałby mu takiej trucizny w tym jego bałwańskim sapertasie. Albo w driakwi. Albo w winie. I patrzyłby, patrzył z przyjemnością, jak go ta trucizna zżera od środka. Tymczasem mistrz chrapał donośnie, nieświadom niebezpiecznych myśli swego pachołka.

Zgrzyt drzwi na parterze brutalnie przerwał zbrodnicze marzenia. Do domu ktoś wchodził, wdzierał się przemocą. Januszk potrząsnął swym panem. Jego bestia była oswojona, tamte, hałasujące na dole - nie. Ta bestia, której był niewolnikiem, ale która dobrze знаła jego wartość, była dla niego w tej chwili jedyną rękojmią przetrwania. Tamtych musiało być kilku. Mistrz był sam. I wcale nie mógł liczyć na Januszka. Niby co miałby zrobić dziesięciolatek? Pomóc mu? Niby jak?

Obudzony natychmiast przestał chrapać i momentalnie zerwał się na równe nogi, od razu przytomny, czuj-

Pawet Siedlar

ny jak zwierzę. Pchnął chłopca w kąt, sam schronił się w cień. I czekał, spokojnie czekał, by wymierzyć intruzom karę swym szerokim, podobnym do tasaka kordem, który zawsze nosił u pasa. Przez szparę pod drzwiami wpadało czerwonawe światło. Przybysze, bardzo pewni siebie, używali pochodni. Rozmawiali swobodnie, choć niezbyt głośno. Było ich dwóch, może trzech. Przez dłuższą chwilę buszowali na dole. Wreszcie ich kroki rozległy się na schodach. Januszek wstrzymał oddech, mistrz sprężył się do skoku.

To, co nastąpiło potem, trwało najwyżej trzy sekundy. Dwa krótkie wrzaski przerażenia i bólu i dwa ciała wijące się na podłodze, trzecie osuwające się wolniej, jak na zwolnionym filmie, i opadająca osobno, wraz z odciętym ramieniem, pochodnia wciąż tkwiąca w zaciśniętej dłoni. Mistrz okazał się arcy mistrzem.

- Bier i świeć - rozkazał, wskazując oczami na przygasłą pochodnię leżącą na podłodze wraz z dzierżącą ją dłonią.

Jego pomocnik bez ociągania wykonał polecenie. Z trudem rozerwał martwiejące palce, uniósł światło, które na powrót rozbłyło pełnią płomienia, i trzymając je wysoko, świecił w twarze umierających.

Krótkie i szerokie ostrze nie zawsze było zdolne zabijać od razu. Chętniej płatało ludzkie ciała, nie sięgając w głąb. Dlatego tylko pierwszy z ciętych był martwy. Cios osunął mu się po czaszce, zawadził o bark i skręcił ku środkowi, ślizgając się wzdłuż obojczyka, rozszczepiając szyję i omal odcinając głowę od tułowia. Potężne musiały być te uderzenia. Następny rabuś miał zupełnie odrąbaną rękę i był przytomny. Sprawiał wrażenie zaskoczonego lub zadziwionego, leżąc w krwi własnej i w krwawych,

Piwnica

migotliwych blaskach. Nawet nie jęczał. Mistrz przyjrzał mu się z bliska. Ujął jego głowę w łapska, zakręcił w lewo, w prawo, pociągnął ku sobie, rozległ się trzask, zdziwienie ustąpiło kompletnej bezmyślności, oczy wyszły mu z orbit i znieruchomiały z wywróconymi ohydnie białkami. Jednak najciekawiej los obszedł się z trzecim, od początku lękliwie trzymającym się za plecami kamratów. Temu długie pionowe cięcie rozpruło brzuch. Pełzając, usiłując uciec, starał się wepchnąć z powrotem walające się po podłodze kiszki. Próżne i daremne to były trudy. Mistrz stał nad nim bez ruchu, głęboko oddychał i patrzył, tylko patrzył. Pewnie sycił się błyskawicznie odniesionym tryumfem. Naraz jego potężnym korpusem zaczęły wstrząsać jakieś drgawki. Rozległ się głośny rechot: zwycięzca śmiał się, śmiał. A jak już napatrzył się do syta i naśmiał do woli, kucnął, z bliska spojrzął w przerażone oczy

wypatroszonego i równie sprawnie jak poprzedniemu skręcił mu kark. Potem nad każdym z osobna zrobił szeroki znak krzyża i coś wymamrotał. Pewnie modlitwę.

Do domu wrócili przed świtem.

Mistrz był pijany. Spał i chrapał. Januszek czuł się źle. Bolała go głowa, trochę gardło. Zupełnie jakby brała go grypa. Albo angina. Cały był jakiś taki nieswój od środka. Coś się z nim działo niedobrego. A już myślał, że się wywinął. Widocznie choroba przyczaiła się tylko, by zaatakować z większą siłą. Miał gorączkę. Coraz większą. Leżał na barłogu sporządzonym ze szmat i słomy, przykryty brudną derką i trząsał się z zimna, choć po ciepłym

Pawet Siedlar

*

dniu nastąpiła równie ciepła noc. Dręczyły go złe sny i widziadła. Chwilami majaczył.

„To” nastąpiło nagle. Jego umysł niespodziewanie pośród trawiącej go gorączki stał się sprawny i chłodny. Zapanowała w nim wielka jasność i pewność. Wstał, zachwiał się, odzyskał równowagę. Ostrożnie obszedł pryczę z rozwalonym na niej obrzydliwym cielskiem. Znalazł się dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, gdy po raz pierwszy trafił na przejście w czasie. Czuł, że ono zaraz musi się otworzyć. Właśnie teraz. Już. Trzeba było tylko wykonać parę ruchów, które zawsze wykonywał bezwiednie pośród mnóstwa innych. Kolejność tych magicznych ruchów odżyła w jego pamięci. Nie wolno było machać rękami ani miotać się głupio. Z podniecenia waliło mu serce. Opanował się raz jeszcze, skoncentrował na najważniejszym zadaniu swego życia. Na zadaniu, od którego zależało całe jego życie. Zrobił krok w lewo, w prawo, zakręcił się i trrrrach! To było takie proste. Chłodny mrok i piwniczny, omal zapomniany zapach powiedziały mu, gdzie się znajduje. Trzymając się ściany, szedł tam, gdzie czekały nań strome tysiącletnie schodki prowadzące na powierzchnię. Z wielkim trudem i mozołem wspiął się na nie. Drzwi były zamknięte. Załomotał w nie z całych swych mizernych sił. Bez skutku. Przez dziurkę od klucza widział światło budzącego się dnia i fragment podwórka. Czekał. Co jakiś czas wał pięściami w drzwiczki, coraz słabiej i słabiej. Nikt go nie słyszał. Czas płynął. Dobiegały do niego odgłosy kuchennej krzątaniny z restauracji pana Karpika, szcęk sztućców, mytych naczyń, pokrzykiwania kelnerów: „Kotlet mielony raaaz, zamawiam na trójkę...” Tam zaraz, oddzielone od niego cienką warstwą starego,

Piwnica • 38S

porzewiałego metalu, toczyło się normalne życie. Z rozpaczą i nadzieją patrzył na wążutki wycinek swego świata i czekał, stale czekał, aż ktoś wyjdzie ze śmieciami i uwolni go z pułapki.

Panu Kołeczce okropnie nie chciało się schodzić do piwnicy. Jednak jego żona była uparta. Potrzebowała konfitur i musiała je dostać. Ociągając się, poszedł więc tam, gdzie w mrocznym chłodzie stały na półkach mnogie słoiki wypełnione słodką zawartością. Konfitury, powidła i inne przetwory były prawdziwą pasją pani Kołeczko-wej. Uczyniły ją sławną na całą Jagiellońską, a nawet kawałek dalej, w Szewską z jednej i w Świętej Anny z drugiej strony. Najważniejsze jednak, że te konfitury bardzo smakowały Zdzisiowi, ich synowi, dorosłemu, ociężałemu umysłowo mężczyźnie, wciąż traktowanemu przez matkę jak dziecko. Pan Kołeczko nie miał więc wyboru i zwlekał tylko dla zasady - i tak wiedział, że pójdzie, bo nie mógł nie pójść.

Otworzył drzwiczki i zdębiał. Tuż zaraz na progu leżało coś, co w pierwszej chwili wziął za... nie wiadomo za co, takie toto było nędzne. Za duże na padło kota czy psa, za małe na człowieka. Pochylił się i - Jezus Maria -to był chłopiec! Nieprzytomny, brudny jak nieboskie stworzenie, chudy jak kościotrup i prawie goły chłopiec. Ten, którego wszyscy szukali od tygodnia, wnuk państwa

Paweł Siedlar

Kowalików. Rzucił koszyk, porwał dziecko na ręce i popędził na górę, jakby mu ze trzydzieści lat ubyło.

Babcia nie traciła czasu. Natychmiast zadzwoniła do Jaśki, która akurat miała dyżur w szpitalu. W oczekiwaniu na karetkę starała się zmyć gąbką grube pokłady brudu z ciała nieprzytomnego wnuka. Nie było to łatwe, gdyż rozległe poacie czarnej, niepodatnej na jej zabiegi gleby składały się z wielu warstw i były dobrze wrosnięte w podłoże. Usiłowała też go napoić, lecz tymczasem nie było to możliwe. Zwilżyła mu więc tylko spieczoną usta, na czoło położyła zimny kompres i czekała. Jego śmierdzącą i zapchląną koszulinę natychmiast wrzuciła pod blachę, w ogień.

Po upływie pół godziny Januszek spoczął w szpitalnym łóżku, podłączony do kilku kroplówek naraz. Pobrano mu krew. Po cioci Jasi badało go kilku lekarzy, ale żaden z nich nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, co mu dolega, oczywiście oprócz skrajnego wycieńczenia. Zwłaszcza że nie było możliwości przeprowadzenia wywiadu medycznego (ani żadnego innego), chłopiec nie odyskiwał przytomności. Majaczył tylko uparcie o jakimś mistrzu, szczurach i o mieście pełnym trupów. Te urywane strzępki nie dawały się złożyć w sensowną całość i nikt nie przywiązywał do nich wagi. Rodzice nie wiedzieli nic opijócz tego, że ich synek zaginął przed tygodniem, a odnaleziony został w zamkniętej na klucz piwnicy, do której w międzyczasie schodzono wiele razy. Akurat historię zaginięcia i tak znali wszyscy pracownicy szpitala, od palaczy przez salowe, kucharki, pielęgniarki,

Piwnica

lekarzy aż po samego ordynatora. Zniknięciem Januszka interesowały się media, prasa, społeczeństwo. Po kilka razy dziennie widywano „zbiega”, „uciekinię”, „zaginionego” w różnych częściach kraju. Niestety, wszystkie takie doniesienia okazywały się fałszywe. Aż do dzisiaj.

Rodzice nie odstępowali od łóżka jedynaka, bezwiednie przeszkadzając lekarzom. Jednak ich pytania w rodzaju: „Co się z tobą działo?”, „Gdzie się podziewałeś?”, „Czy ktoś cię porwał?” albo „Jak się znalazłeś

w piwnicy?" musiały tymczasem pozostać bez odpowiedzi. Podobnie jak wiele, bardzo wiele innych pytań. Choćby o tę chudość i wynędznienie większe, niżby mógł wskazywać czas zaginięcia. Wszyscy lekarze się dziwili.

- Czy to było rzeczywiście tylko parę dni? - pytali. -Wygląda, jakby głodował przynajmniej przez miesiąc. Tak nie chudnie się w tydzień.

Wstępne badania wskazywały na to, że zagadkowy pacjent zapadł był na kilka rozmaitych chorób naraz, lecz na żadną z nich dokładnie i do końca. Nawet ordynator, człowiek starej daty, wielkiego rozumu i równie wielkiego doświadczenia medycznego, powiedział tylko:

- Poczekajmy, aż wyklaruje się pełny obraz choroby. Czy mi się zdaje, czy powiększają się węzły chłonne? Pro- 'szę mnie poprawić, panie kolego, jeśli się mylę - zwrócił się do najbliższego lekarza. Zawsze tak mawiał, lecz nigdy nikt go nie poprawiał. Tym razem też nikt się nie odezwał. Dodał więc jeszcze: - Bardzo mi się nie podobają, znaczy te węzły, rzecz oczywista. Proszę obserwować

i pobrać materiał do badania. I proszę zwiększyć dawkę streptomycyny. Do maksimum!

388 • Paweł Siedlar

Pochylony nad mikroskopem człowiek początkowo nie wierzył własnym oczom. Gdy jednak oderwał je od okularu, widniało w nich przerażenie.

Tomasz Duszyński

Urodził się w Strzelinie na Dolnym Śląsku. Od zawsze chciał być dziennikarzem i pisarzem. Oważał się za bardziej skorego do pisania niż gadanif.

*

Jednak w tej kwestii z czasem nieco się zmieniło. Został reporterem wrocławskiego oddziału RMF FM, a także szefem lokalnej promocji i człowiekiem od produkcji dużych eventów, m.in. Inwazji Mocy. Aktualnie dziennikarz radiowy oraz dyrektor marketingu w lokalnej stacji wrocławskiej Radio Aplauz, w piątkowe wieczory współprowadzi najpopularniejszy we Wrocławiu program z muzyką klubową - CLUBBING FM.

Debiutował opowiadaniem w periodykach internetowych. W maju 2007 nakładem Fabryki Słów ukazał się jego debiut książkowy, zbiór Produkt uboczny.

Pytany, co go skłoniło do napisania Antidotum, stwierdził: „Moja córka działa z siłą epidemii, rozkładając wszystkich zaraźliwym śmiechem, żona to zaraza (tak sama o sobie mówi). Na szczęście jestem dla nich najlepszym antidotum. Sami widzicie, nie mogłem sobie odmówić udziału w tej antologii...”.

Tomasz Duszyński

Antidotum

Kiedyś była to główna droga prowadząca do Warszawy. Informowały o tym zardzewiałe tablice i słupki przy jezdni. Teraz w popękanej nawierzchni więcej było dziur niż w szwajcarskim serze. Trzymali się jednak kurczowo tego szlaku, niczym ślepcy. Dzień po dniu ostrożnie posuwając się naprzód.

Spiekota dnia była niemal nie do zniesienia. Na szczęście wieczór przyniósł lekki, chłodnawy wietrzyk, a czerwone, rozpalone słońce skryło się za drzewami, dając im chwilę wytchnienia.

Edmund przystanął. Wsłuchał się w odgłosy lasu. Dzisiaj na drodze nie spotkali żywego ducha. Minęli kilka zrujnowanych domów, kuźnię i ogołocony sklep. Puszka farby, widelec i dwie puste butelki. To była ich cała zdobycz. Brakowało rzeczy najważniejszych, tych, które pozwoliłyby im przeżyć, jedzenia i wody. Wiedział, że jutro powinnirzaryzykować. Być może nawet zbiegną ze szlaku w poszukiwaniu zamieszkałego osiedla. Choć miał wrażenie, że im bliżej są celu, tym mniejszą mają szansę na spotkanie ludzi, którzy mogliby im pomóc.

Antidotum • 395

- Marek, czas znaleźć miejsce na obóz - wydał polecenie młodszemu mężczyźnie, który zareagował na nie z entuzjazmem.

Edmund przypatrywał się bratu, dopóki ten nie rozplynął się niczym duch pośród drzew. Obaj byli zmęczeni długim marszem, wyglądali jak obdartusy, brudni od pyłu i lepkiego potu. Spojrzał w dół, szybko otaksował buty. Wymagały natychmiastowej reperacji. Dzisiaj był zbyt zmęczony, żeby się tym zająć. To będzie drugi punkt, który dopisze do jutrzejszej listy obowiązków.

Pociągnął sznurek zawieszony na szyi. Twardy, wodoodporny notes wysunął się spod koszuli. Odwinął folię i wyciągnął długopis. Odszukał zakładkę „zadania przed wyruszeniem”. Wpisał dwa hasła: zreperuj buty, znajdź jedzenie. Potem zabezpieczył notes i ukrył go z powrotem.

Jeszcze raz się rozejrzał. Spokojnie, bez pośpiechu, wyczulony na każde poruszenie i dźwięki, które nie pasowały do otoczenia. Coś było nie tak. Nie potrafił tego opisać, ale czuł wewnętrzny niepokój, który nawiedzał go bez przerwy od kilku godzin. Wolno zszedł z drogi, kierując się w gęste zarośla. Niegdyś jak okiem sięgnąć były tu uprawne pola, teraz teren objął w posiadanie młody ' zagajnik. Dzięki Bogu, stanowił przynajmniej doskonałe schronienie, którego tak bardzo potrzebowali.

Odszukał Marka dopiero po chwili. Chłopak wybrał na nocleg właściwe miejsce. Co więcej, pozostawił czytelne znaki, które pozwolą im nad ranem odnaleźć dojście do drogi.

Edmund zrzucił plecak z barków i rozmasował bolące ramiona. Był zmęczony i głodny, niemal na skraju wyczerpania. Nie wiedział, czy uda mu się znieść jeszcze

Tomasz Duszyński

jeden dzień tej katongi. Nie mógł jednak pokazać po sobie słabości. Zwłaszcza Markowi, chłopak wydawał się czerpać siłę z jego determinacji. Jeśli jeden z nich będzie miał wątpliwości, podda się, wtedy ich podróż dobiegnie końca. Edmund bał się tego, co przyniesie kolejny dzień. Starał się obudzić w sobie

jakieś uczucia, miłość lub nienawiść, coś, co pchnie go do przodu i nada sens ich cierpieniom. Jednak za każdym razem, gdy próbował, brało nad nim górę zmęczenie i przygnębienie, a przede wszystkim wątpliwości.

- Musimy zreperować buty. - Marek spojrzał na Edmunda. Leżał już na swoim pościeliu, najwyraźniej jednak nie chciało mu się spać.

- Tak. - Edmund uśmiechnął się do brata, często myśleli o tym samym. - Ale ty też powinienes dopisać to do listy, tak będzie najlepiej.

Chłopakowi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Wyciągnął notes i zaczął w nim bazgrolić. Już jako szkrab przejawiał zdolności, których mogli mu pozazdrościć nawet dorośli. Miał dar, niesamowicie rysował. Rysunki zwierząt, portrety wychodzące spod jego ręki były jak żywe. Edmund uśmiechnął się. Rysunki rysunkami, ale tak naprawdę powinien zbesztać chłopaka za ten niestaranny charakter pisma. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Nie miał do tego serca. Poza tym w głębi ducha zastanawiał się, jak by to było, gdyby te zapisane drobnym maczkiem stroniczki papieru nie miały nad nimi takiej władzy. Gdyby nagle znikły, a oni zapomnieliby o ich istnieniu, r

Antidotum ■ 397

I

Pociąg do Moskwy odchodził z warszawskiego dworca o piątej rano. Tadeusz Rzepecki wyskoczył z wojskowego gazika, jak zwykle zapominając swojego bagażu. Na szczęście kierowca zorientował się w porę. Chwycił neseser i pobiegł za pułkownikiem. Wpadł na peron w ostatniej chwili, podając bagaż przez okno wagonu.

Skład ruszył. Parowóz wypuścił kłęby gęstej pary, która przykryła peron; mężczyzn i kobiety żegnających bliskich. Tadeusz znalazł się w wydzielonym przedziale dyplomatycznym, zdenerwowany, z mocno bijącym sercem. Uspokoił go dopiero stukot kół i głośny gwizd pociągu. Był w drodze, zdążył. Neseser wrzucił na drewnianą półkę pod sufitem, usiadł i wyciągnął papierośnicę, delikatnie stukając cygaretką w srebrną przykrywkę. Włożył papieros do ust i wolną ręką obszukał kieszenie kurtki w poszukiwaniu zapalek. Bez rezultatu. Wstał, żeby upewnić się, czy nie schował ich w przepastnych kieszeniach spodni. W tym momencie drzwi jego przedziału otworzyły się. Rzepecki najpierw zobaczył okrycie głowy, gustowny damski kapelusz, a potem niewątpliwie olśniewającą twarz młodej kobiety. Znał ją. Widział ją już kilka razy na bankietach i rautach, najlepiej jednak pamiętał ich pierwsze spotkanie, mocny uścisk dłoni sprzed kilku lat. Zostali sobie przedstawieni pewnego zimowego wieczoru, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, w willi Komendanta.

- Pozwoli pan?

Nie czekając na odpowiedź, zajęła miejsce naprzeciw Tadeusza. Małą walizczkę położyła obok, delikatnie, jakby wiozła w niej drogocenny skarb. Założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się.

398 • Tomasz Duszyński

- Tadeusz Rzepecki... zdaje się, miałem już przyjemność... - Pułkownik ukłonił się nisko, po wojskowemu.

- Tak. - Kobieta uśmiechnęła się. - Hanna Świetlicka. Pamięta mnie pan. Jak widać, będziemy towarzyszami w podróży, mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko, że będę także towarzyszką w nałogu?

- Ależ skądże!

Rzepecki wreszcie odzyskał głos i rezon. Lubił bezpośrednie kobiety. Czuł się nieswojo wśród dam, które bawiły jedynie salonowe gierki i zawile aluzje. Sięgnął zamaszycie po papierośnicę.

- Pana cygarety wydają się zbyt mocne dla mnie. - Kobieta pokręciła odmownie głową. - Muszę przynajmniej sprawiać wrażenie delikatnej i kruchej damy.

W czasie gdy pułkownik próbował dyskretnie odnaleźć zapałki, Świetlicka uzbroiła się w niewiarygodnie długą porcelanową firkę z osadzoną w niej własną cygareta.

- Ogień... - Rzepecki odetchnął z ulgą, odnajdując zgubę w tylnej kieszeni spodni. Potarł zapałkę o draskę i nachylił się w stronę kobiety, przesuując płomień w jej kierunku. Potem zapalił także swojego papierosa.

- Dziękuję. - Świetlicka zaciągnęła się dymem i spojrzała przez okno. Zaczął padać deszcz. Niebo było szare i smutne. Zupełnie tak jak jej oczy.

- Moskwa? Mamy ten sam cel podróży, jeśli wolno zapytać, dręga pani?

- Proszę mówić mi Hanno. - Kobieta popatrzyła na Rzepeckiego uważnie, jakby chciała w jednej chwili go ocenić i wyrobić sobie o nim zdanie. - Czeka nas długa podróż i jeszcze dłuższa rozmowa o rzeczach ważnych.

Antidotum

- Czuję się zaszczycony. - Rzepecki zrozumiał, że kobieta była łącznikiem, na którego czekał. Wcale się nie zdziwił. Znów wstał, przyjmując wyciągniętą w jego stronę dłoń. Złożył na niej pocałunek, trochę dłuższy, niż zwyczajowo było to przyjęte.

Piekielny ból głowy. Rozsadzający czaszkę łomot, strzępy myśli, wspomnień, chaos. Próbował je wszystkie pozbierać, połączyć, przejąć nad nimi kontrolę. Musiał otworzyć oczy, natychmiast. Wewnętrzny nakaz, a potem sprzeciw, odruch wyparcia. Sen leczy, ból minie, zmęczenie jest silniejsze, więc choć raz można mu się zupełnie poddać.

Nic z tego. Znów ten rosnący niepokój, który odczuwał całym sobą. Jakiś wewnętrzny strach, silniejszy niż ból. Otworzył oczy, zbyt gwałtownie, musiał je natychmiast zamknąć. Nie wiedział, gdzie jest. Przez krótką chwilę widział nad sobą drzewa, gęste, blisko siebie niczym szpaler leśnej straży, nie do przebiccia i nie do przeniknięcia. Duszący baldachim przypominający więzienną klatkę. Poczul też rosę na policzkach, słyszał niespokojny, nawołujący zew ptaków i szum wiatru.

Ponownie spróbował podnieść powieki. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, nie potrafił się uspokoić. Ktoś wyniósł go z domu, z łóżka, wprost do lasu. Obrócił lekko głowę. Spozrzegł na ziemi czyjąś postać. Leżała na posłaniu tyłem do niego.

Może to porywacz. Taka myśl przyszła mu do głowy. Poruszył dłońmi, nie był związany. Jeśli teraz wstanie i nie zbudzi tego mężczyzny, uda mu się uciec. Podkur-

Tomasz Duszyński

czył nogi i oparł się na rękach, nie wydając najmniejszego odgłosu. Ciało było zeszywniałe, ale posłuszne. Wstał, ostrożnie stawiając stopy, modlił się, by jakaś gałąź nie pękła pod ciężarem ciała.

Pierwszy i drugi krok wydawał się trwać wieczność. Dopiero gdy znalazł się za pierwszymi drzewami, puścił się pędem przed siebie, niemal zupełnie tracąc oddech. Nogi zapadły się w miękkim poszyciu, potknął się. Upadł, uderzając żebrami o pień. To ciało było bezwładne i obce, jakby nie należało do niego. Otarł pot z czoła i policzków. Cofnął odruchowo dłonie, z odrazą i zaskoczeniem. Palce natrafiły na kłujący zarost, szczeciniastą, brodę i długie, sztywne włosy. Ogarnęło go przerażenie. Co się z nim stało, był w śpiączce? Gdzie mama, gdzie rodzice?

Dłonie przyciągnęły wzrok, zdania, napisy, drobne zakrętasy wijące się wokół nadgarstków i palców. Poznał swój charakter pisma. Na wierzchu dłoni i od wewnątrz zdanie pisaną mniejszymi i większymi literami, blisko siebie. „Notes na piersi - czytaj, zrozumiesz!”

Gwałtownie sięgnął pod koszulę, natrafiając na zawiniętą w folię małą, twardą książeczkę. Otworzył ją na pierwszej stronie, próbując opanować niekontrolowane drzenie ciała.

Z trudem odszukał drogę powrotną do legowiska. Ukląkł przy posłaniu drugiego mężczyzny. Chwilę na niego patrzył. Niemal pozazdrościł mu spokojnego, mocnego snu. W końcu jednak potrząsnął jego ramieniem.

- Marek, obudź się, musimy iść, słyszysz?

Chłopak poruszył się na posłaniu, otworzył oczy. Wydawało się, że z trudem powstrzymuje się od krzyku przerażenia.

Antidotum • 401

- Kim jesteś?

- To ja, Edmund... to naprawdę ja. - Mężczyzna z trudem powstrzymał szloch. - Wszystko wyjaśnię ci w drodze... musimy iść, ale najpierw... najpierw naprawimy buty...

Rzepecki patrzył z tarasu na nabrzeżną część Moskwy. Miał wrażenie, że stolica tego kraju prawie to ogóle nie zmieniła się od ostatniego razu, kiedy ją widział. Wiedział jednak, że to tylko pozory. Zewnętrzna fasada, pod którą drzemie jadowity wąż. To mocarstwo będzie dla Polski głównym

zagrożeniem. Pułkownik zgadzał się w tym całkowicie z Piłsudskim. W wojnie z Rosją nikt Polsce nie pomoże, można było łudzić się nadzieją, że w wojnie z Rzeszą interwencja państw Zachodu miała większą szansę. Najlepiej było jednak liczyć tylko na siebie, tak by nie dać możliwości żadnemu z sąsiadów na uzyskanie przewagi. Radziecki grzechotnik musiał być unieszkodliwiony jako pierwszy, jak najszybciej. Nawet jeśli dzisiaj zabrakło Naczelnika, pozostali ludzie tacy jak Rzepecki, ludzie, których głównym celem było wykonać ostatnią wolę Marszałka.

Odwrócił się od okna. Hanna wciąż spała. Jasne kosmyki ułożyły się na białym prześcieradle niczym promienie słońca. Nagie piersi falowały delikatnie pod wpływem spokojnego oddechu. Rzepecki zazdrościł jej snu, tego, że mogła tak łatwo przenieść się w krainę marzeń i zapomnieć o wszystkim. On sam nie wiedział, kiedy ostatnio przespał choćby godzinę. Koszmary męczyły go we śnie i na jawie.

Tomasz Duszyński

W nocy Hanna przekazała mu wszystkie szczegóły akcji, powiedziała, jak ma postąpić i w jaki sposób zrealizować misję. Sprawdzała go, wiedział, co by się stało, gdyby się zawahał. Te delikatne dźwięki poprzecinane niebieskimi żyłkami. Był pewny, że mogły być równie dobrze stworzone do miłości, jak i do rzeczy o wiele bardziej okrutnych.

Podszedł do łóżka, nachylił się nad nią. Przez ułamek sekundy chciał dotknąć jej ramienia, obudzić ją, ale się wzdrygnął. Wcale nie spała, patrzyła na niego. Odciągnęła prześcieradło, zsuwając je z bioder i brzucha. Przyciągnęła go do siebie. Poddał się w milczeniu. Była zimna, wyrachowana, ale Rzepecki przynajmniej na chwilę zapomniał o swoich koszmarach.

Miasteczko oznaczono na starych mapach. Niegdyś kilkunastotysięczne, teraz całkowicie opuszczone. Ludzie pozostawili swoje domy wiele lat temu. Chaos i zniszczenie zmieniły dotychczasowe życie. Tutaj po prostu nie sposób było przetrwać. Zaraza przetrzebiła ten kraj, a Szwarusy dopkończyli dzieła. Tych, którym udało się przetrwać, wywieziono do obozów pracy do Niemiec i na Wschód. Uczyniono z nich bezwolne maszyny, niezdolne do stawiania najmniejszego oporu. Nieliczni, tacy jak Edmund i Marek, przetrwali w odciętych od świata enklawach, w małych wioskach tworzących hermetyczne społeczności. Wielu innych poddało się, a to oznaczać mogło tylko śmierć.

Wieżę kościoła zobaczyli z daleka. Lśniła w promieniach słońca niczym morska latarnia, ostrzegając przed

Antidotum

niebezpieczeństwem. Zeszli z szosy, podążając dalej lasem, i w ten sposób okrążyli miejscowość od północy. Do pierwszych zabudowań dotarli przed południem. Uliczki miasteczka były zniszczone, pokrywała je wszędobyłska trawa i chwasty. Woda wyżłobiła w niektórych miejscach szerokie koryta, zalewając piwnice kamienic i parterowych domków. Posuwali się ostrożnie, omijając szkło z rozbitych szyb, resztki wyrwanych ram okiennych i szczątki mebli.

Wyglądało na to, że tu także nie spotkają żywego ducha. Niektóre budynki doszczętnie strawił ogień, w innych na dachach i klatkach schodowych wyrosły krzewy, biorąc w posiadanie opuszczoną przez człowieka domę.

Edmund szedł pierwszy, ostrożnie, co jakiś czas dając Markowi sygnał, by podążał za nim. Niepokoiła go przejmująca cisza. Nie słyszał nic oprócz bicia swojego serca i głośnego oddechu brata. Znaleźli się na rynku obrośniętym ciemnozielonym bluszczem. Ratusz, kościół, kamienice tonęły w zieleni. Na placu na granitowych kocich łbach płożyły się grube zielone odnogi. Uwagę przykuwał jeden szczegół niepasujący do tego miejsca. Posąg mężczyzny siedzącego w dziwnej pozie tuż przy nieczynnej fontannie, nieruchomy, wpatrzony w przestrzeń.

- On jest żywy.

Edmund usłyszał szept Marka. Zawahał się. Brat mógł mieć rację. Bluszcz pokrywał wszystko, dlaczego więc ominął właśnie tamto miejsce, fontannę i dziwny postument?

- Sprawdźmy to, ale bądź ostrożny. Szwarusy mogą być blisko. Na pewno zapuszczają się też tutaj.

Tomasz Duszyński

Ruszyli. Powoli i ostrożnie, próbując nie potknąć się na plątaninie zielonych pnączy. Powietrze było nieruchome, przez co miejsce to wydawało się nierzeczywiste i przerażające. W końcu stanęli naprzeciw ludzkiego posągu. Mężczyzna poruszył się niechętnie, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś przeszkadza mu w rozmyślaniach. Nie odezwał się. Spojrzał na Edmunda pytająco, unosząc krzaczaste, białe jak śnieg brwi.

- Szukamy wody i jedzenia, przyjacielu...

- Skąd wiecie, że jestem waszym przyjacielem?

Edmund popatrzył na Marka. Chwilę stali w ciszy,

nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Jaki dzień jest dzisiaj? Może wy wiecie? Wygląda mi na poniedziałek. Nigdy nie lubiłem poniedziałków, nie wiem czemu...

- Niedziela - powiedział cicho Edmund. - Dzisiaj jest » niedziela.

- Czy aby na pewno? Jesteś o tym przekonany? - Mężczyzna poruszył się zbyt gwałtownie. Skrzywił się z bólu, przechylając nieufnie głowę.

- Dzisiaj jest niedziela, proszę pana...

- Proszę pana? - Starzec zaśmiał się ochryple. Od-kaszlnął kilka razy, zanim spowaźniał.

- Ile masz lat, chłopcze, i ten obok? Ile macie lat?

- Ja trzydzieści... a mój brat Marek, on ma... - Edmund musiał jeszcze raz policzyć w myślach, zanim odpowiedział - dwadzieścia cztery.

- Ja pytam, ile tak naprawdę macie lat. - Starzec podrapał się po czole. Uśmiechnął się zachęcająco. - Bo chyba wiecie, że tak naprawdę macie tyle samo, co mieliście przed zarazą?

Antidotum • 405

Edmund nie mógł oderwać wzroku od czarnych, przeżartych przez próchnicę zębów. Najchętniej uciekłby z tego miejsca jak najszybciej. Wiedział jednak, że muszą wykorzystać szansę, mężczyzna najpewniej miał dostęp do wody i jedzenia.

- Nieważne. Byliśmy wtedy młodzi. Pan też był młodszy...

-Tak!

Starzec popatrzył na swoje dłonie. Pomarszczone, naznaczone wątrobowymi plamami, z połamanymi paznokciami.

- Codziennie rano patrzę na nie tak, jakbym widział je po raz pierwszy! A jeszcze wczoraj były gładkie, sprawne... młodzieńcze! Zaiste co rano większy szok! Też tak macie?

Śmiech starca stał się obłąkańczy. Brzmiał metalicznie, roznoszony donośnym, przeraźliwym echem.

- Ale przygotowałem się... Przewidziałem wszystko, co może się zdarzyć teraz i później... Przewidziałem też to, że ktoś może pojawić się na mojej drodze, kto potrzebować będzie pomocy...

- Chodźmy stąd...

Edmund poczuł, że Marek ciągnie go za rękaw. Wyszarpnął się z uścisku, spojrzeniem przywołując brata do porządku.

- Co przewidziałeś? - zapytał.

- Zanim mnie to dopadło, tak jak innych, wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądać moje dalsze życie. - Mężczyźnie rozmowa sprawiała wyraźną radość. Mówił szybko, z zapałem. - Co można poradzić, gdy dotknie cię to cholerstwo, zostawiając swoje śmiertelne piętno. W jaki sposób każdego dnia budzić się na nowo, ale nie zaczy-

Tomasz Duszyński

nać wszystkiego od zera... Na przykład wy dwaj... Jesteście zapisywaczami...

- Zapisywaczami? - Marek niecierpliwił się coraz bardziej. Nerwowo rozglądał się wokół siebie.

- Nie jestem ślepy. Po coś macie te napisy na dłoniach. Notes... tak! Tam zapisujecie wszystko? Pewnie macie go na szyi, jeden i drugi? Łatwiej z nim żyć? Codziennie o nim pamiętać? Bez niego nie ruszycie się z miejsca, zgubicie się jak dzieci we mgle! Nie zazdroszczę wam! Wręcz przeciwnie, żal mi takich jak wy!

- Ty radzisz sobie inaczej? - Edmund z trudem opanował emocje, słowa starca były kąśliwe, ale trafne.

- Tak... Przecież już wam powiedziałem, ja dokładnie wszystko przemyślałem i zapamiętałem wcześniej. Każdy wariant, każdy możliwy scenariusz wydarzeń. Tuż przed tą wielką gorączką, która nas dopadła i zmieniła coś w naszych mózgach. Dzięki temu nie muszę pamiętać dzisiejszego dnia, by przetrwać w tym świecie.

- Przewidzieliście nasze przybycie?

- Nie wasze, raczej takich jak wy... Ludzie to niespokojne duchy, nie usiedzą na miejscu. Odłączyliście się od swojej społeczności w jakimś celu. Żyliście sobie w zapomnianej przez Boga wiosce, z radą starszych zapisującą skrupulatnie wydarzenia każdego dnia, planując zadania na kolejny, konsekwentnie... To pozwalało wam przetrwać, uprawiać pola, zbierać plony... Każdego dnia zbierać was do kupy!

Edmund milczał. Starzec miał rację.

- Jednak wyruszyliście w podróż. Macie jakiś cel. Moim zdaniem, jeden z dwóch, który przychodzi mi do głowy.

Antidotum

- Wiesz, co jest naszym celem?

- Nie poszliście dlatego, że jesteście ciekawi świata. - Starzec znów roześmiał się obłądnie. - Przecież nie mielibyście z tej podróży zbyt wielu wspomnień!

- Więc?

- Najechali waszą wioskę, zabili bliskich... Mam rację? Szukacie zemsty?

- Skąd on to wie? - Marek usiadł na ziemi. Nagle stracił całą czujność. ł ,

- Zemsta. - Starzec skrzywił się, jakby nie przeszli wymyślonej przez niego próby. - Idziecie po zemstę. Jesteście głupcami większymi, niż myślałem. Ten notes doprowadzi was do zguby.

- Mówiłeś o drugim celu.

- Tak. - Mężczyzna podniósł się. Powoli, jakby się bał, że nieużywane stawy zakleszczą się lub popękają. - Ale ten chyba was nie dotyczy.

- Być może dotyczy...

- Być może... - Spojrzenie starca było długie, taksujące. Po chwili zatarł ręce i znów się uśmiechnął. - Pięknie! Dobrze jest wiedzieć, że ma się rację. Hop, Hop. Poszukiwaczom antidotum na pewno przyda się trochę jedzenia i wody, a także kilka rad od starego, doświadczonego człowieka!

Spotkanie ze Stalinem zostało umówione w samo południe. Rzepecki bezwiednie zagryzł dolną wargę. Poczuł słony smak w ustach. Kierowca przez całą drogę z hotelu obserwował go w lusterku. Nie zwołał nawet na chwilę. Samochód bez przerwy podskakiwał na wyboistej dro-

Tomasz Duszyński

dze. Pułkownik zauważył z satysfakcją, że w Warszawie nawierzchnie były lepsze.

Pocił się. Kazał uchylić szybę, ale nawet pęd samochodu nie potrafił przywołać wiatru. Dotknął dłonią czoła, było rozpalone, z tym jednak potrafił sobie poradzić, o wiele gorsze były nudności i bóle mięśni. Świetlicka miała rację, objawy przypominały te przy grypie.

Pułkownik zamknął oczy, próbując uspokoić oddech. Oddałby wszystko, żeby mieć to już za sobą. Cztery lata przygotowań. Nocne rozmowy z Marszałkiem przy pasjansie i mocnej herbacie, plany dopracowywane w najdrobniejszych szczegółach. Był przekonany, że postępują słusznie. To była jedyna nadzieja dla Polski. Za dwa, trzy lata będzie za późno na ten ruch. Wyprzedzenie, 'prewencja'. Wierzył Piłsudskiemu, ufał mu, nawet gdy ten odszedł. Nigdy nie zapomni ostatniej wspólnej rozmowy.

Marszałek siedział w fotelu zamyślony, wydawałoby się, nieobecny. Znikł z jego twarzy dobronudny uśmiech, wąsy obwisły, policzki poszarzały. Palił papierosa, wypuszczając chwilami kłąb gęstej mgły. W takich chwilach Rzepecki czuł się intruzem, miał ochotę wyjść, dając Piłsudskiemu chwilę prywatności. Wtedy jednak, jakby wyczuwając rozterkę swojego gościa, Marszałek popatrzył na niego przenikliwym wzrokiem i przemówił.

Mówił zdecydowanie, hipnotyzująco. Pułkownik chłonał jego słowa, słuchał uważnie, czując, że rozmawiają o rzeczach ważnych, decydując o losie nie tyle swoim, co tych, którzy nieświadomi zagrożenia bawili się w restauracjach Warszawy, chodzili do kina czy na towarzyskie rauty. Już wtedy był przekonany, że lata trzydzieste zakończą iluzję, w którą tak wielu święcie wierzyło.

Antidotum •

Niemcy i Rosja. W ich obliczu Polska zawsze pozostanie samotna i bezbronna. Chyba że Piłsudski coś z tym zrobi, tylko jemu można było zaufać bezgranicznie.

Samochód zatrzymał się. Rzepecki nie zdążył wysiąść. Przy drzwiach pojawił się jeden ze współpracowników Stalina. Dał sygnał pułkownikowi, żeby ten opuścił szybę. Potem nachylił się i w języku rosyjskim przekazał pasażerowi nowinę, która zmroziła mu krew w żyłach.

Spotkanie zostało odwołane. Stalin opuszcza na kilka dni Moskwę. Rzepecki zostanie powiadomiony o możliwości kolejnej wizyty.

Pułkownik skinął głową, próbując zachować spokój. W rzeczywistości z trudem opanował drżenie dłoni. Za kilka dni nie będzie zdolny do wykonania zadania. Zawiedzie. Będą zmuszeni z Hanną skorygować plany. Powinni też jak najszybciej skontaktować się z wysłannikiem, który dzisiaj miał pojawić się w

Berlinie. Przeprowadzenie skoordynowanej akcji w odstępie nie dłuższym niż dwa dni było niezmiernie istotne.

Edmund otarł pot z czoła. Wskazał Markowi kierunek marszu i przyspieszył. Już z daleka dojrzał kamienną, zbudowaną z granitowych bloczków wiatę. Przy odrobinie szczęścia mogli tam znaleźć schronienie przed słońcem.

Rzeczywiście, cień był przyjemny, a miejsce suche. Usiedli na ziemi i rozpakowali plecak z jedzeniem. Podzielili się wodą i zjedli kilka owoców podarowanych im przez mężczyznę z opuszczonego miasta. Marek milczał, zapatrzony w popękany asfalt wyglądał żałośnie. Coś go

410 • Tomasz Duszyński

gryzło od dłuższego czasu. Edmund wiedział, że musi poruszyć ten temat, inaczej stracą kontakt i staną się dla siebie zupełnie obcy.

- Ten człowiek powiedział, że mamy przed sobą jeszcze kilka dni drogi.

Marek skinął głową, wciąż milczał.

- Musimy być ostrożni. Tutaj mogą się pojawić Szwa-rusy.

- Myślisz, że cierpiała? - Marek zignorował słowa Edmunda. Jego własne myśli przytłaczały go zbyt mocno. -Możesz powiedzieć mi, jak zginęła? Sprawdziłem, ale w moim notesie nic nie ma.

- Nie wiem. - Edmund skrzywił się. Był zmęczony. Miał wrażenie, że ich rozmowy każdego dnia wyglądają tak samo.

- Nie obroniliśmy jej... Zginęła nie tylko nasza siostra... zginęło wielu naszych przyjaciół.

Siostra. Edmund próbował obudzić w sobie jakieś uczucia, słysząc to słowo. Dlaczego nic nie czuł? Kompletnie. W jego umyśle dominowała zupełna pustka. Siostra. Tak bliska mu osoba... Dalej nic. Brak skojarzenia, jakiejś myśli, choćby jednej nawet, ledwie uchwytniej, która pozwoliłaby mu się określić, oprzeć na czymś, stanowiła podporę, na której odbudować mógłby swoje emocje. Za każdym razem, gdy usiłował sobie coś przypomnieć, miał wrażenie, że spada w otchłań, nie może się zatrzymać, a to uozucje pożera go, nieodwołalnie pochłania.

- Musieliśmy ją kochać, prawda?

- Na pewno - Edmund nie poznawał swojego głosu. Był obcy i zimny.

- Nie udało nam się jej ochronić... - Marek zacisnął pięści, łzy zaszkliły mu oczy.

Antidotum

- Znajdziemy ich - Edmund próbował odnaleźć w sobie zdecydowanie i siłę, których nie miał - tych, którzy to zrobili. Odbierzemy im antidotum, zobaczysz, będziemy sprytni... >

- Tak, poradzimy sobie. - Marek ożywił się, wstał i podniósł stary wojskowy plecak, zarzucając go na ramię. - Obaj. Nie ma na co czekać! Idziemy. Musimy dotrzeć do Warszawy.

<#>

Hanna wyszła z pokoju blisko godzinę temu. Gdy tylko powiedział jej o odwołaniu wizyty u Stalina, zaczęła działać. Rzepecki oddał jej inicjatywę. Sam nie mógł już wiele zrobić. Położył się na łóżku i czekał. Nie wiedział tylko, czy na Świetlicką, czy na śmierć.

Dostał wysokiej gorączki, której nie potrafiły zbić proszki. Było mu gorąco i zimno na przemian. Co chwilę chciało mu się pić, a gdy przełknął choćby łyk wody, zaraz zwracał ją do miski ustawionej obok łóżka. Bał się, że to zupełnie go osłabi. Jeśli tak się stanie, Świetlicką zadecyduje o odwołaniu akcji, a wtedy druga równie dogodna okazja może się nie przydarzyć.

Bolało go ramię. To od zastrzyku, który zrobiła Hanna. Cały czas o tym myślał. Wiedział, co krąży w jego żyłach. Ostatnia nadzieja. Nadzieja na silną Polskę, Polskę, która przetrwa wojenną zawieruchę.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich Świetlicką, wyglądała jak zjawą, duch przysłany, żeby go dręczyć. To wrażenie szybko minęło, wiedział, że przynosi dobre nowiny. Podeszła do łóżka, uśmiechając się. Ściągnęła z poręczы ręcznik i zamoczyła go w wo-

Tomasz Duszyński

dzie. Poczł ulgę, gdy zimny materiał dotknął jego czoła.

- Stalin wraca do Moskwy. Jutro w południe zawiozą cię na spotkanie. Musisz się trzymać.

Patrzył w gwiazdy. Tak, przynajmniej je pamiętał. Duży Wóz, Mały Wóz. Księżyc przebijający się przez korony drzew. Jego stara, mądra twarz. Kiedyś patrzył w nocne niebo z ojcem. Wychodzili przed domek, siadali na ławce i rozmawiali. Wyobrażenia podsuwała im różne pomysły. Edmund miał zapisaną głęboko w pamięci i tę noc, kiedy ojciec spędził ostatni wieczór w domu. Było to przed mobilizacją. Marek siedział wtedy na kolanach taty, nie potrafił zrozumieć, dlaczego ich opuszcza. Edmund był > starszy, odbierał to inaczej. Było mu smutno, ale w głębi duszy był z ojca dumny. Dzielny ułan, rycerz na karym koniu, w mundurze, z szablą w dłoni. Wierzył, że kiedyś będzie taki sam.

Edmund spojrzł na śpiącego brata. Był za niego odpowiedzialny, musiał podejmować decyzje za nich dwóch. Czy powinien narażać go na niebezpieczeństwo? Przecież obaj mieli większą szansę zginąć, niż dokonać zemsty. Czym była ich misja? Mieli ufać książeczce na piersi i napisom na dłoniach? Szli po zemstę, za siostrę? Żaden z nich nie znał jej i nie pamiętał. Te kilka słów o miłości, pełna bólu rozpacz po jej utracie. Były odległe, jakby napisał je ktoś inny, jakby ktoś wymyślił dziwną historię, by z nich zakpić.

Nawet nie zauważył, kiedy wstał z posłania. Nachylał się nad bratem, słuchając jego niespokojnego oddechu.

Antidotum

Co teraz zrobi? Przecież to proste. Wystarczy wymazać kilka słów, wyrwać stronę lub dwie. Zniszczyć notes, a nawet napisać go na nowo. Mógł wszystko!

Od tych myśli zakręciło mu się w głowie. Edmund odetchnął głęboko, raz, potem drugi, zniszczyć notes? Nie narażać Marka i siebie? Zawahał się. Ich podróż trwa wiele dni, a do tej pory tego nie zrobił. Wciąż mieli swoją misję, swój cel. Może właśnie o to chodziło. Najważniejsze jest, by mieć jakiś cel w życiu. Zrozumieć, co nim jest.

Wrócił na posłanie i ukrył twarz w dłoniach, wiedział, że zaraz przyjdzie sen. To przerażało go najbardziej. Kolejny sen, który przyniesie zapomnienie.

Hanna pomagała mu się ubrać. Poruszał się z trudem, chwilami przysiadając na łóżku, za bardzo kręciło mu się w głowie. Świetlicką także miała pierwsze objawy. Była blada, ale zdecydowana w działaniu. Miał wrażenie, że * jest bardziej zdeterminowana od niego. Czuł podziw dla tej drobnej kobiety, obserwował ją w milczeniu, starając się odgadnąć jej myśli.

- Dzisiaj wszystko się zacznie, Tadku. Musimy wierzyć, że powiesz nam się to, o co walczymy.

Skinął głową. Z coraz większym trudem pokonywał własną słabość, musiał przecież znaleźć siłę na najbliższe godziny.

- Chcę, żebyś wiedział, że ja wierzę...

Popatrzył na nią inaczej, zdumiony, po raz pierwszy zobaczył rysę na tym jej doskonałym pancerzu. Być może wyczuł to w głosie, być może w drżeniu ramion,

Tomasz Duszyński

ale był pewny, Świetlicka bała się. Opanował ją strach, nagle, bez ostrzeżenia. Dopadł, jakby tylko czekał, aż pozwoli mu wyłonić się z zakamarków umysłu i przejąć kontrolę.

Dotknął jej czoła, odgarniając wilgotny, zlepiony kosmyk włosów.

- Nikt z nas się nie cofnie. Zrobimy to, co musimy. Nie mamy wyboru. Jeśli zawiedzimy, nic nie uratuje nas przed kolejnym rozbiorem.

Opuścił pokój chwilę później. Hanna pożegnała go w milczeniu. Zjechał windą na parter, do hotelowego holu. Kierowca już na niego czekał. Pułkownik skinął mu uprzejmie głową i podążył do samochodu.

Usiadł z tyłu, przy szybie. Nie opuścił jej jednak. Mimo że w pojeździe było piekielnie gorąco, przeszywały go dreszcze. Miał nadzieję, że kierowca nie zauważy jego stanu. Znow naczalnie obserwował Rzepeckiego w lusterku.

Myślał, że to sen, lecz tak naprawdę nie zdążył zasnąć. Nachylająca się nad nim postać tak bardzo przypominała ojca. Szczupła, młoda twarz. Mundur, srebrne guziki z orzełkiem w koronie. Błyszcząca w świetle księżycy płoza szabli. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie mógł śnić. Sny nie przychodziły do niego od wielu lat. Odkąd to wszystko się zaczęło. A ojciec, gdyby żył, nie wyglądałby tak młodo.

- Nie ruszaj się, jeśli ci życie miłe!

Edmund nie posłuchał. Szarpnął się, chcąc ostrzec brata, ale czyjeś ręce zasłoniły mu usta i przetoczyły go

Antidotum

na brzuch. Poczuł mocne szarpnięcia sznura na nogach i tułowiu. Ktoś wbił mu kolano w kręgosłup.

Nagle znalazł się w powietrzu. Podnieśli go jak piórko. Kątem oka dostrzegł, że to samo stało się z Markiem.

- Przytrzymaj go!

Usłyszał kolejny głos, a potem ciche rżenie. Przerzucili go przez koński grzbiet, obwiązując jeszcze mocniej, najpewniej w obawie, że będzie chciał się wyrwać albo spadnie w czasie galopu. Ktoś dał sygnałno odjazdu. Edmund stracił oddech, gdy wierzchowiec skoczył do przodu, a tęg siodła wbił mu się w zębra.

Rzepecki czuł, że przegrywa z gorączką. Co gorsza, z przerażeniem zauważył, że na dłoniach pojawiły się czerwone kropelki krwi, nie większe niż główki szpilki. Stał je chusteczką, a potem podobnie uczynił z czołem.

Teraz i on odczuł strach, wpatrując się w czerwone smugi na jedwabnym materiale. Coś było nie tak. Objawy były silniejsze, niż powinny. Profesor Siedlarek mówił o gorączce, złym samopoczuciu i kaszlu. Jednak skutki * zarażenia, które obserwował u siebie Rzepecki, były nieporównywalnie bardziej przerażające.

- Słucham? Czy może pan powtórzyć?

Pułkownik zamarł. Kierowca zapytał go o coś po rosyjsku. Gorączka nasilała się, najwidoczniej majaczył. Jeśli mówił coś pod nosem, powinien się opanować.

- Pytam, czy ten upał długo się utrzyma? - skłamał.

- Oj, niezwykajne to u nas. Może być tak jeszcze kilka dni, a mnie samego łamie coś w kościach. Raz upał, raz zimno i tak w kółko.

Tomasz Duszyński

Pułkownik wyjrzał przez szybę, dając do zrozumienia, że zakończył rozmowę. Jedna informacja była pocieszająca. Kierowca miał już objawy. Jeśli dzisiaj znów nie dojdzie do spotkania ze Stalinem, zaraza w Moskwie rozszerzy się tak czy inaczej. Na to jednak potrzeba było czasu, którego nie mieli. Za kilka dni Niemcy wkroczą do Polski, najpewniej podobnie uczynią Rosjanie.

Rzepecki popatrzył na budynki, mijane ulice i place. Chwilami wydawało mu się, że to Warszawa, że jedzie do domu na Saską Kępe. Przywitają go dwa wilczury i kot Szymek. Zasiądzie do kolacji, a gosposia poda mu filiżankę herbaty z konfiturą.

Potem przeniósł się myślami zupełnie gdzie indziej, do gabinetu Marszałka. Widział Piłsudskiego, jakby ten stał tuż przed nim. Wpatrywał się w jego wąsy, budziły niepokój, tak samo jak postać, szeroka w narzuconym na plecy wojskowym płaszczu.

- Tadius. Ty weźmiesz na cel Moskwę. Znają cię tam i cenią, mimo że wiedzą, jak blisko jesteś ze mną związany. - Piłsudski zaśmiał się cicho. Opierał się o stół, orzechowy blat był ciemny, matowy, jakby prowadził do jakiejś studni.bez dna. - Nasze prace nad szczepionką wciąż trwają. Profesor Siedlarek jest specem w immunologii. Wyizolował wirusa. Potrzebujemy jednak kilku lat na to, żeby poznać dokładnie jego działanie, a jednocześnie upewnić się, że nie obróci się przeciw nam. Musimy zdążyć przed trzydziestym dziewiątym.

Rzepecki słyszał tyle razy z ust Marszałka tę magiczną datę." Dlaczego właśnie ona? Może dlatego, że to koniec lat trzydziestych, dobrych lat, nowej ery Rzeczypospolitej. A może dlatego, że był pewien, iż to ostatni

Antidotum

moment, kiedy będzie można jeszcze ocalić Polskę przed Moskwą i Berlinem.

- Kolejnym celem będzie Berlin. W ciągu dwóch tygodni u sąsiadów zapanuje totalny chaos, wtedy nasze wojska muszą być gotowe i odporne na tę zarazę. Uderzymy. Na przejście kontroli będziemy mieli około roku, może półtora. Po tym czasie także inni zaczną uodparniać się na wirus. Musimy zdążyć.

Rzepecki znów otarł pot z czoła. Nawet teraz widział mapy na ścianach u Komendanta. Linie frontu, formacje, które zostaną w najbliższym czasie utworzone, a potem wezmą na siebie odpowiedzialność za całą ofensywę. Półtora roku, tyle czasu da im to świętstwo, które teraz miał w sobie. Chaos i zniszczenie, a potem pokój, pokój pod rządami Rzeczypospolitej.

- Zaraz będziemy na miejscu.

Kierowca wyrwał pułkownika z otępienia. Rzepecki nie odezwał się, przyjął po prostu informację jako coś zwykłego. To on był tajną bronią RP, która miała wybuchnąć w Moskwie. Lisowski także działał, umówił dzisiaj spotkanie na najwyższym szczeblu w Berlinie. Plan zostanie wprowadzony w życie. Jutro w kraju zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja. Sztab i kadra oficerska zostały zaszczepione przeciwko wirusowi podczas rutynowych badań okresowych. Podobnie żołnierze formacji, które wezmą udział w ofensywie. W radzieckiej armii niedługo powinno rozpętać się piekło. O to zadbają wysłannicy Rzepeckiego. Moskwa nie poradzi sobie z szalejącym wirusem.

Samochód zatrzymał się. Pułkownik wysiadł, kierując się wprost w stronę schodów prowadzących do budynku. Stalin i Mołotow już na niego czekali.

Tomasz Duszyński

- Powtarzam pytanie i radzę odpowiedzieć! Kim jesteście i dokąd idziecie!?

Edmund zastanawiał się, co zrobić. Znalazł się w zatęchłym, zaciemnionym baraku. Przed chwilą rzucili go na ziemię jak worek ziemniaków i uwolnili z pęt. Zdjęli mu też opaskę z oczu. Złagodzenie środków ostrożności było jedynym pozytywnym sygnałem. Ci ludzie bali się zdradzić dojdzie do swojej kryjówki. Gdyby chcieli ich zabić, nie przejmowałiby się tym zbytnio. Być może od tej rozmowy zależało, jak potoczą się dalsze losy jego i brata.

- Szwarusy zniszczyli naszą wioskę i zabili bliskich, idziemy po zemstę - zdecydował, że powie im wszyst-

' ko.

- Słyszałeś, Kazicki? Po zemstę idą. - Mężczyzna siedzący naprzeciw zaśmiał się głośno, klepnął kolegę w plecy.

Edmund nie rozpoznał w nich żadnego z napastników, z którymi miał wcześniej do czynienia. Rozejrzał się ostrożnie. 'Dwóch innych mężczyzn spało na sienniku. Dopiero po chwili dostrzegł Marka. Siedział oparty o ścianę, był wciąż związany i zakneblowany. Jego oczy świeciły niespokojnie w blasku ognia. Edmund poczuł, że ściska mu się serce. Marek nie wiedział, co się z nim stało, nie rozumiał nic z tego, co się wokół niego dzieje. Zasnął i wszystko zapomniał.

- Marek, spokojnie, nic nam nie będzie! To ja, Edmund. Odkneblujcie go!

Chłopak poruszył się. Wierzgnął nogami, próbując wstać.

Antidotum • 419

- Siedź tam! Spokojnie, bo będziemy musieli cię uciszyć.

- Nic wam nie zrobiliśmy Wypuście nas, nikomu

0 was nie powiemy.

- Popatrz na niego! - zaśmiał się ten, którego nazwali Kazickim. - Będzie nam mówił, co mamy robić. Ciesz się, że jeszcze żyjecie.

- Czego chcecie? *

- Niczego. Polujemy na Szwarusów. Istniała możliwość, że jesteście jednymi z nich albo ich szpiegami.

- Nie jesteśmy.

- Wiemy. - Żołnierz pokazał notes. - Rzuciłem na niego okiem.

Edmund odruchowo przycisnął dłoń do piersi.

- Muszę go dostać z powrotem - powiedział.
- Dostaniesz, w swoim czasie.

Edmund zamilkł. Dalsze pytania nie miały sensu. Musiał czekać i uzbroić się w cierpliwość.

- Zmiana - powiedział Kazicki, patrząc na zegarek. -Obudź Kosę i sam się kładź, Wilga.

Mężczyzna posłusznie wstał od ogniska i podszedł do śpiących. Potrząsnął jednego z nich za ramię. Trudno byłoby powiedzieć, że wykonał to delikatnie.

- Wstaję - rozległo się od pośłania.

Edmund poznał obudzonego. To jego zobaczył w nocy nad swoim pośłaniem. Zdziwiło go, kiedy ten zdążył się położyć i uciąć sobie drzemkę. Żołnierz wciąż był w mundurze, wstał, poprawił pas, naciągając go, jakby się bał, że spodnie zsuną mu się z tyłka,

1 zbliżył do jeńca. Usiadł naprzeciw niego na niskim zydlu.

- Powiedział już coś, Kazik?

• Tomasz Duszyński

Kazicki nachylił się nad Kosą, szepcząc mu coś do ucha. Mężczyzna kiwał głową, nie spuszczać z oczu Edmunda. Taksował go wzrokiem, jakby miał dar bezbłędnego rozpoznawania kłamców i krętaczy.

- Zemsta? - Teraz w oczach Kosy można było zauważyć żywe zainteresowanie. - A jak chcecie jej dokonać?

Edmund zawahał się. Ustalonego planu nie miał. Ich głównym zadaniem było dojść w wyznaczone miejsce, tam miał się zastanowić, co dalej.

- Jak dojdziemy do Warszawy, to coś wymyślimy...
- Coś wymyślicie?

Kosa zaśmiał się cicho, chrapliwie. Spojrzał w bok, na drugiego więźnia.

- To twój brat?
- Tak. - Edmund postanowił odpowiadać krótko i rzeczowo na pytania. Tłumaczenie się za wszelką cenę nie miało sensu.
- Byliście już w Warszawie?
- Kiedyś, dawno temu...

- Ale po wybuchu zarazy już nie? - Kosa potarł nos i sięgnął po notes spoczywający na kolanach Kazickiego-

- Nie - potwierdził Edmund.

- To wiele tłumaczy. Nie wejdziecie do miasta. - Kosa uniósł wysoko brwi i znów spojrzał w oczy Edmunda. Trudno było wytrzymać jego spojrzenie.

- Wejdziemy.1

Kosa najwyraźniej nie miał zamiaru się sprzeczać.

- Nie ma już tam naszych wojsk, nawet na przedmieściach. Warszawę zajęli Szwary. Ruscy z Niemcami wciąż się tam ścierają, a wierz mi, jest ich tam sporo.

Antidotum

- Poradzimy sobie.

Dowódca uśmiechnął się, ale jakoś tak smutno. Kartkował notes, chwilami musiał z uwagą wczytywać się w koślawe litery.

- Zemsta - powiedział cicho, jakby do siebie. - Dziwni jesteście.

- Wy też... nie lepsi.

- Prawda. - Kazicki poklepał się po brzuchu. - Trzeba go prowadzić do starego. Niech sam decyduje, co z nimi zrobić. Jak dla mnie są niegroźni. Spalić tą ich notesy, dać w łeb i zostawić na drodze. Jak się rano obudzą, to nic nie będą pamiętać i wot po problemie.

- Nie! - Edmund poderwał się, ale Kazicki szybko usadził go z powrotem na ziemi.

- Tak wam zależy, żeby pamiętać? Ja czasem chciałbym zapomnieć. - Kosa zawahał się. Znów potarł nos, zamknął notes i schował go do kieszonki na piersi.

- Potrzebuję go. Muszę pamiętać, bez tego nic nie miałoby sensu.

- Może masz rację. - Dowódca uniósł się z zydła i spojrzał na Kazickiego. - Zmiana. Budź Wilgę i sam się kładź. Ja doprowadzę ich do Starego.

Kazali długo na siebie czekać. W końcu Rzepecki został wprowadzony do gabinetu. Usiadł na wskazanym miejscu u końca długiego stołu. Daleko od Stalina, zbyt daleko, by być pewnym, że wirus dosięgnie celu. Rozmowa krążyła wokół różnych tematów, Rzepecki pozostawił Stalinowi dowolność w ich doborze. W końcu dla niego sama treść rozmów nie była najważniejsza.

- Podobno macie propozycję - Stalin w końcu zdecydował się przejść do rzeczy. - Wspólny wróg, zagrożenie dla naszych narodów też wspólne. Stare rozmowy mogą wrócić. Nie ma już Piłsudskiego. Był wtedy przeciwny naszej propozycji, nie widział w Hitlerze zagrożenia, bał się imperializmu Sowietów. Czyżby wreszcie poszli u was po rozum do głowy?

Pułkownik odkaslnął mocno. Miał nadzieję, że te cholerne bakcyle poszybują w stronę Stalina. Czuł się tu jak w piekle, było mu gorąco, czerwone dywany wydawały się ociekać krwią, a sam Mołotow wyglądał jak kolejne wcielenie Szatana.

- Nasze narody, w co wierzę, żyć mogą w pokoju, a na pokoju w Europie zależy nam najbardziej. Niemcy stają się zagrożeniem dla stabilności i porządku, na których Rosji i Polsce zależy najbardziej.

- Ribbentrop mówi to samo o was, Polakach, jesteście według niego zarzewiem wszelkich kłopotów. Rozbijacie Europę, macie dziwne ciągoty, władza śni wam się po nocach.

- Władza jest dobra, jeśli służy innym i dobrej sprawie. Nam zależy na silnej Rosji i silnej Polsce. - Rzepecki wiedział, że Mołotow go bada. Próba sił, która zawsze go mierzyła. Przyjął grę, same rozmowy nie miały możliwości powodzenia. Stalin i Mołotow podjęli już decyzję. Zgodzili się na spotkanie ze względu na grę, którą prowadzili i której warunki sami musieli przyjąć. Potrzebowali czasu, rozmowy prowadzone za pośrednictwem Rzepeckiego z polskim rządem miały tylko uspić czujność Warszawy.

- Silny Związek Radziecki będzie zawsze gwarantował Europie stabilność - powiedział patetycznie Mołotow.

Antidotum

- Tak, Moskwa powinna sprawować pieczę nad zapalnymi punktami tego świata, jak choćby południem Europy - Rzepecki grał va banque. Sprawił tym Mołotowowi niezłego psikusa. Wyjdzie na to, że polski rząd chce podziału Europy i wojny u boku Rosji. Oferta, na którą Stalin się nie nabierze, ale która na pewno wywrze odpowiednie wrażenie.

W sali zapanowała cisza. Mołotow wstał od stołu i zbliżył się do pułkownika. ' >

- Czy reprezentuje pan oficjalne stanowisko waszego rządu?

- Reprezentuję oficjalne stanowisko rządu w sprawie konieczności rozmów na wysokim szczeblu. Forma, przebieg i konkluzje tych rozmów będą zależały od dwóch stron.

Rzepecki sam się zdziwił, że potrafi mówić tak zawile. Politykiem nie był i to był jego atut. W Moskwie uważano go za rusofila, to też pomagało. Mołotow w innym wypadku zdeptałby go niczym karalucha.

- Skontaktujemy się z pana rządem w tej sprawie, pułkowniku.

Stalin wstał od stołu. Rzepecki także się podniósł, z trudem. Zakręciło mu się w głowie, ale nie dał nic po sobie poznać.

Uścisnęli sobie dłonie, co nie było częste po zakończeniu tak nieoficjalnych rozmów. Pułkownik dłużej przytrzymał dłoń Stalina, ukłonił się, stuknął po wojskowemu obcasami i został wyprowadzony z sali. Mołotow mu towarzyszył. Rzepecki czekał, aż minister pierwszy się odezwie, wyglądało na to, że ma mu coś jeszcze do przekazania. Trudno byłoby przypuszczać, że robi to bez wiedzy Stalina.

Tomasz Duszyński

- Proszę pozdrowić premiera... A przy okazji, tak towarzysko, profesora Siedlarka, ode mnie i od doktora Wilczuka. - Spojrzenie było pełne pogardy i tryumfu.

Rzepecki zbladł. Mołotow obrócił się na pięcie i znikł za drzwiami. Dwóch wartowników stanęło przy pułkowniku. Poprowadzili go do wyjścia, choć miał wrażenie, że za chwilę straci przytomność i upadnie na zimną marmurową podłogę.

Kosa i Wilga wyprowadzili ich z baraku. Znaleźli się w lesie, choć tak naprawdę można było nazwać to miej-, sce leśnym miasteczkiem. Pośród drzew w blasku księżycy widać było cienie innych budynków, także wysoką drewnianą palisadę i zasieki otaczające teren. Wilga kilka razy pozdrowił strażę i podał hasło przy wartownikach. Poprowadzili ich dalej, szeroką, wydeptaną ścieżką w stronę wyższego budynku otoczonego szpalerem gęstych drzew.

- Przy Starym lepiej trzymajcie głowę na kłódkę, dopóki sam nie zapyta - ostrzegł Kosa, gdy znaleźli się na miejscu. Kilka razy zastukał w stalowe drzwi umówionym sygnałem.

Światło oślepiło Edmunda. Zmrużył oczy, patrząc pod nogi. Kosa wszedł do budynku pierwszy. Wilga zachęcił jeńców lekkim szturchnięciem, żeby ci się nie ociągali.

- Tędy. - Wilga wskazał korytarz.

Dwóch wartowników obrzuciło ich czujnym spojrzeniem. Uspokoił się, dopiero gdy zobaczyli Kosę.

- Powiadom Starego, że już po przesłuchaniu. Prowadzimy do niego chłopaków.

Antidotum

- W porządku. - Stojący bliżej przejścia wartownik dał sygnał, żeby poczekali. Sam ruszył w stronę schodów prowadzących na półpiętro.

- Jak wy to robicie? - zapytał Edmund.

- Co? - zdziwił się Kosa.

- Pamiętajcie. Spałeś, a mimo to pamiętasz to, co było

>

wcześniej.

- A, o to ci chodzi? - Kosa uśmiechnął się i machnął ręką, jakby nic ważnego się nie stało.

- Jesteście odporni?
- Nie. Nie ma odpornych na tym świecie. - Kosa poklepał go po plecach. - Każdy ma swój sposób. Wy też macie... choćby ten notes...
- Ale wy nie zapisujecie, śpicie i...
- Dwadzieścia minut - przerwał Kosa.
- Co dwadzieścia minut?
- Śpimy w odstępach dwugodzinnych po dwadzieścia minut. Ot i cała tajemnica. Kwestia treningu... wojskowego. Śpimy i budzimy się jak w zegarku, na zmianę. To bezpieczna granica dla twojego umysłu. Obudzisz się i wciąż pamiętasz. Jeszcze na to nie wpadliście?
- Stary zezwala na wejście. - Wartownik wrócił, nie dając czasu na zadanie kolejnych pytań. - Muszę ich przeszukać.
- Rób, co trzeba - zezwolił Kosa, mrugając do Edmunda.

W pokoju Świetlickiej nie było. Wysła, nie zostawiając żadnej wiadomości. Siedział na łóżku, wpatrując się w białą jak śnieg ścianę. Nie był zdolny do najmniejszego

Tomasz Duszyński

ruchu. Sparaliżował go strach, chwycił za gardło, przemielił. Przez całą drogę do hotelu zastanawiał się, czy nie uległ halucynacji. Mógł majaczyć w gorączce. Może wymyślił sobie słowa Mołotowa.

Jeśli Rosjanie wiedzieli o Siedlarku, mogli równie dobrze wiedzieć wszystko. I co oznaczały te pozdrowienia od Wilczuka? Wilczuk był asystentem profesora, jego prawą ręką, czyżby to właśnie on był źródłem informacji Rosjan? Jeśli tak, byli straceni.

Rzepecki zaczynał poddawać się panice. Nie wiedział, co teraz zrobić. Co mógł zrobić? Jeśli Mołotow wiedział

o Siedlarku i jego pracy nad wirusem, dlaczego dopuścił do spotkania ze Stalinem? Przecież musieli wiedzieć, jaki cel miała jego misja. Chyba że rozegrali to inaczej. Musieli mieć pewność, że wirus na nich nie zadziała.

Pułkownik opadł na łóżko. Zamknął oczy, tak bardzo brakowało mu sił. Był przekonany, że Rosjanie mieli antidotum. Inaczej nie byliby tak pewni siebie. Wszystko na marne. Jeśli teraz polskie wojska uderzą na Niemców

1 Rosjan, napotkają zorganizowany opór, nie będą mogli liczyć na chaos, który mieli zastać po drugiej stronie frontu.

Drzwi pokoju zostały otwarte. Rzepecki, nie otwierając oczu, rozpoznał odgłos kroków Świetlickiej i jej przyspieszony oddech. Wiedział, że musiało się coś stać. Obrócił się w jej stronę. Była blada i roztrzęsiona, zupełnie jak on.

- Profesor Siedlarek nie żyje. Wilczuk zdrajcą. Zabrał wszystkie notatki... Niczego nie możemy być pewni...

Rzepecki wiedział, o czym mówi Hanna. Niczego nie mogli być pewni. Wilczuk był odpowiedzialny za wszystkie szczeplenia kadry oficerskiej i żołnierzy.

Najprawdopodobniej aplikował im placebo. Co gorsza, Rzepecki miał wątpliwości, czy antidotum, jakie miał dzisiaj zażyć, będzie działać. Już niedługo po przebudzeniu może się okazać, że nie będzie pamiętał poprzedniego dnia.

Ruszyli po schodkach w górę. Znow wąski korytarz, kilka naftowych lamp oświetlających grube drewniane bele. Czysto i schludnie. W dodatku ten zapach, Edmund czuł w nozdrzach aromat świeżej żywicy i sosnowych igieł.

- Chcę do domu...

Usłyszał szept brata. Spojrzał na niego, czując, że coś ściska go w gardle. Chciał go pocieszyć, ale nie potrafił. Marek. Pamiętał dziewięcioletniego wyrostka. Chudego jak szczapa, cały czas uśmiechniętego. Matka nazywała go żywym srebrem. On rzeczywiście był jak żywe srebro, wszędzie było go pełno. A teraz? Teraz obok niego siedł dobrze zbudowany mężczyzna, po którym trudno byłoby poznać, że tak naprawdę w środku jest wciąż szczeniakiem.

Kolejny wartownik pojawił się w zasięgu ich wzroku. Drzwi zostały otwarte, wprowadzono ich do przestronnej izby. Edmund obrzucił uważnym spojrzeniem pomieszczenie. Długi stół z rzędami krzesel, kilka map na ścianach, biurko i fotel, na którym siedziała przygarbiona, pochylona nad jakimiś notatkami postać.

Milczeli. Kosa nie odzywał się, najwyraźniej na coś czekając. Edmund miał czas, żeby przyjrzeć się mężczyźnie. Łysa, opalona czaszka, sumiasty wąż na szczupłej, po-

Tomasz Duszyński

marszczonej twarzy. Szerokie barki. Od tej postaci biła jakaś wewnętrzna siła, mimo wieku sprawiał wrażenie skupionego i pełnego energii. Mężczyzna co prawda miał na sobie cywilne ubranie, ale Edmund był pewny, że właśnie tak wyglądają zawodowi wojskowi. Było coś w jego postawie, zachowaniu, co jednoznacznie go określało.

- Wejść i zająć miejsca!

Kosa drgnął, jakby ktoś wyrwał go ze snu. Poprowadził ich w stronę krzesel. Pomógł ustawić je na środku izby, w bezpiecznej odległości od dowódcy.

- Co o nich wiemy? - Mężczyzna nie patrzył w ich stronę, wciąż przeglądał leżące przed nim notatki.
- Są z osady ze wschodu. Szwarusy musieli się natknąć na ich wioskę podczas wypadu. Spalili chałupy, wybili większość mieszkańców.
- A co tu robią?
- Idą do Warszawy. Podobno szukają zemsty, pułkownika.
- Zemsty? - Mężczyzna nazwany pułkownikiem po raz pierwszy spojrzął na Edmunda i Marka. - Kto jej nie szuka? To ma być powód?
- Lepszy taki powód, niż kryć się po lasach! - wypalił Edmund, nie zważając na ostrzegawczy sygnał Kosy.
- Co masz na myśli? - Pułkownik był spokojny, wydawało się, że niewiele jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.
- Jesteście wojskowymi, widziałem was tu sporo. Dlaczego ich nie zaatakujecie? Powinniście bronić tych, którzy przeżyli. Nie dość, że jest nas coraz mniej, to Szwarusy zabijają te niedobitki, które za wszelką cenę starają się przetrwać. Chyba to powinno być waszym obowiązkiem?

Antidotum 49

- Naszym obowiązkiem także jest przetrwać. - Pułkownik odsunął się od notatek, jakby nagle nabrał do nich obrzydzenia. Teraz wyglądał na zmęczonego. Edmund zobaczył zaczerwienione oczy i głębokie, ciemne bruzdy na czole. - Szwarusów jest wielu, zbyt wielu. My próbujemy mobilizować siły, by w przyszłości stawić im czoła. Wierzę, że ten dzień nadejdzie. v
- Życzę powodzenia - zakpił Edmund. - Przynajmniej nam nie zabraniajcie działać.
- Działać? - Mężczyzna uśmiechnął się, przetarł oczy. - Jaki macie plan?
- Wejdziemy do miasta i...
- I co? - zapytał ostro pułkownik, wyczuwając wahanie. - I dacie się zastrzelić jak kaczki? Dla zemsty? Za mamusię, za tatusia?
- Za siostrę... - odezwał się Kosa. - Mieli siostrę.

- Siostra? - Pułkownik nie wyglądał na poruszonego tą informacją. - Pamiętacie ją chociaż?
- Nie... - Edmund zacisnął pięści, mimowolnie. Nie potrafił opanować przyspieszonego bicia serca. Nie znał * siostry, pamiętał, że matka była w ciąży, gdy to się zaczęło. Pamiętał wszystko sprzed choroby. Dziewczynka miała urodzić się lada dzień.
- Więc mówię wam, nie watro... Nie ma sensu iść za zemstą, której nie potraficie nawet dobrze umotywować. Wasza siostra miałaby teraz ile? Piętnaście lat? Dzieci urodzone po zarazie nie są w stanie niczego się nauczyć, nic zapamiętać. Zawsze będą niemowlakami. Być może lepiej, że jej cierpienia zostały skrócone.

Edmund zbladł. Do oczu napłynęły mu łzy. Bał się, że zaraz rozplacze się jak małe dziecko.

Tomasz Duszyński

- Nie bierzcie tego do siebie, chłopcy, nie chcę, żebyście poszli na pewną śmierć. - Pułkownik wbił wzrok w mapę, jakby nie chciał widzieć słabości chłopaka. - Możecie zostać z nami. Przyjdzie czas na zemstę. To jest polska ziemia i polskie wojsko. Znajdziemy sposób, by wypędzić stąd Szwarusów.
 - Wystarczyłoby antidotum - powiedział Edmund.
 - Nie rozumiem? - Mężczyzna zawahał się, poprawił w fotelu.
 - Idziemy po antidotum. Mają je Szwarusy.
 - Szwarusy nie mają antidotum, stosują tę samą technikę co my, nie śpią... - wtrącił się Kosa.
 - Przez naszą wioskę przejechał konwój. - Edmund wyciągnął z podszewki koszuli ukrytą kartkę papieru, podał ją Kosie. - Znaleźli osadę przez przypadek, zbo-
- , czyli z głównej drogi na Warszawę. Pewnie przez zerwane mosty. Skorzystali z okazji. Walczyliśmy. Zabrali siłą kobiety i zapasy żywności, zabili tych, którzy nie zdążyli uciec.
- Widzieliśmy ten konwój - potwierdził Kosa, podszedł do pułkownika i przekazał mu kartkę. Był zaczerwieniony po czubki uszu, że coś uszło jego uwadze podczas przeszukiwania więźniów. - Silny, osiem ciężarówek, blisko stu ludzi.
 - Co dalej? - Pułkownik rozłożył papier na blacie biurka, prostując pogniecione rogi.
 - W nocy wróciliśmy do wioski, żeby sprawdzić, kto jeszcze przeżył i co z naszą siostrą... - Edmund poczuł uścisk w gardle* z którym walczył na próżno. - Wtedy usłyszeliśmy rozmowę...
 - Znasz rosyjski?

Antidotum

- Znam, ale ten człowiek mówił po polsku. Jechali z Moskwy do Warszawy z transportem. Chronili jego i jedną z ciężarówek.

- Skąd wiesz o antidotum? Skąd wiesz, że je mieli?
- W nocy stawiali warty, ale większość kładła się spać, rano budzili się jak gdyby nigdy nic... wszystko pamiętali.
- To ma być dowód? - Pułkownik po raz pierwszy stracił cierpliwość. Uderzył zaciśniętą pięścią w biurko.
- Słyszałem, jak mówili o antidotum. Ten człowiek je stworzył, ten, którego wieźli do Warszawy... Zapisałem jego nazwisko, tak jak wszystko, na tej kartce. W notesie zrobiłem wskazówkę czytelną tylko dla mnie, żeby nikt jej nie odnalazł...
- Ten człowiek... - Pułkownik oparł się ciężko w fotelu. Próbował niecierpliwie przeczytać tekst, który leżał przed nim. Nagle zamarł. - Wilczuk... - szepnął. - Henryk Wilczuk...

Mówili im, żeby spróbowali zasnąć, zapewniali, że obudzą ich w odpowiednim momencie. Edmund jednak nie potrafił spać w rozpędzonym samochodzie. Podskakiwali na wybojach i nierównościach. Próbował za to zapamiętać drogę, tak by w razie potrzeby móc jeszcze raz trafić do leśnej kryjówki.

Pułkownik siedział obok kierowcy. Jechali w czwartym samochodzie. Kierowali się do Warszawy. Wyruszyli błyskawicznie. Dowódca wydał rozkazy i wszyscy zapakowali się do aut. Jechali już piątą godzinę, bocznymi

Tomasz Duszyński

drogami, które znane było tylko kierowcom. Rozpoczął się kolejny upalny dzień.

- Dzisiaj przedostaniemy się do miasta - powiedział Kosa.
- Za dnia? - Edmund z niedowierzaniem pokręcił głową. - Przecież nas zauważą, nie mamy szans.
- Poradzimy sobie. - Wilga zaciągnął się dymem z papierosa, potem podał go Edmundowi. - Chcecie? Trzymałem go na dobrą okazję. Papieros to rarytas w tych czasach. Już takich nie produkują. - Zaśmiał się chrapliwie.
- Nie, dzięki. - Chłopak skrzywił się. - Nas uważaliście za wariatów, a sami nie jesteście lepsi.
- To byłeś kiedyś w tej Warszawie? - zapytał Kosa.
- Raz - przyznał Edmund. - Z matką...
- Poznasz inną Warszawę, tę esencję prawdziwego miasta.
- Esencję? - powtórzył Marek, słyszał to słowo po raz pierwszy w życiu.
- No, prawdziwe miasto, od środka, a właściwie od spodu - Kosa mówił całkiem poważnie. Nie pogardził papierosem Wilgi, zaciągnął się mocno.

- Gówno śmierdzi nawet po tylu latach, a w kanałach nie odróżnisz dnia od nocy. Przynajmniej bezpiecznie, tam nas nie wyczają.

- Będziemy chodzić kanałami? - zdziwił się Edmund.

- A pewnie! - Wilga znów zarechotał. - Przed wojną pracowałem w kanalizacji. - Znam tam każdą rurę jak własną kieszeń!

- To nasza je<łyna szansa - powiedział Kosa. - Mamy tam kilku swoich ludzi na posterunkach. Wreszcie się na coś przydadzą.

Antidotum

Samochody zatrzymały się z chrzęstem na żwirowej nawierzchni. Znaleźli się wśród drzew na skraju lasu.

- Wysiadać, przygotować się do marszu!

Posłuchali rozkazu. Edmund pomógł założyć bratu plecak i zeskoczyli na ziemię. Ustawili się w szeregu. Było ich blisko dwudziestu. Kilku ludzi ruszyło naprzód, na zwiad. Edmund wiedział, że miasto jest już blisko.

- Prowadź do Kalety!

Przed chwilą natrafili na wartowników. Od dłuższego czasu poruszali się w niemal zupełnych ciemnościach. Edmund, schodząc w dół kanału po zardzewiałych schodkach, spodziewał się gorszego smrodu. Jednak nie było tak tragicznie, jak podpowiadała mu wyobraźnia.

- Trzymajcie się lewej strony ściany, po prawej jest kilka pułapek...

Edmund nie widział, kto mówi. Przed sobą miał plecy Kosy, na karku czuł oddech Marka. W wodzie, w której brodzili, odbijało się chwilami światło pochodni. Szedł przygarbiony, krok za krokiem, mając nadzieję, że ich wędrówka niebawem się skończy. Wyglądało na to, że jego prośba wreszcie zostanie spełniona.

- Cieszcie się, że szczury rozpanoszyły się u góry, w mieście... Inaczej zeżarłyby nas tutaj żywcem... Teraz to one są prawdziwymi warszawiakami.

Słowa Kosy odniosły skutek odwrotny do oczekiwanego. Edmund nie poczuł się wcale uspokojony, wzięło w nim górę nagłe obrzydzenie. Stawiał kroki ostrożnie, jak brodzący w wodzie bocian. Zaczął nasłuchiwać, mod-

Tomasz Duszyński

łąc się w duchu, żeby nie usłyszeć w ciemności cichych popiskiwań.

Schody. Znaleźli się w zupełnie suchym korytarzu. Teraz szli w dół wąskim tunelem, ocierając się bokami o chropowatą ścianę. Zatrzymali się. Rozległo się głośne skrzypnięcie otwieranych drzwi. Znow ruszyli.

- Witajcie w Smrodówni!

Chłopak przeszedł przez wysoki próg. Podał dłoń mężczyźnie, który ich witał.

- Czujcie się jak u siebie w domu!

Nawet ktoś z bujną wyobraźnią nie mógłby tego miejsca nazwać domem, ale w tej obszernej sali przynajmniej było sucho, jasno i zapach stawał się mniej dokuczliwy.

- Chodźcie ze mną, chłopaki. Odpoczniemy i może coś przekąsimy. Czuję, że pułkownik będzie chciał ruszyć dalej jeszcze dzisiaj. Czekają nas trochę roboty, więc dobrze byłoby odzyskać siły.

Edmund skinął głową, choć w tych warunkach nie był w stanie przełknąć najmniejszego kęsa. Opadł z sił, nie spał całą noc i teraz czuł się podwójnie zmęczony.

- To kapitan Kaleta. Dowódca podziemia w stolicy -szepnął Wilga.

Chłopak popatrzył w prawo. Zobaczył pułkownika witającego się z chudym, roslym mężczyzną. Obaj po chwili znikli w innym pomieszczeniu.

- Jeśli chcecie się przespać, prycze są obok!

- Dzięki! - ryknął Kosa, dobry humor go nie opuszczał. - Za mną, trzeba się kapkę zdrzemnąć, bo nam się wewnętrzny zegar rozreguluje.

Przeszli we wskazanym kierunku. Kosa otworzył drzwi do bocznej salki, gdzie stały piętrowe łóżka.

Antidotum • 43S

- Wybierajcie. Będę pilnował czasu. - Mężczyzna zrzucił buty i padł na łóżko całym ciężarem. Mebel zaskrzypiał tak żałośnie, że wydawało się, iż zdraz się rozleci. -Znacie to? Sen przynosi ukojenie, sen przynosi zapomnienie... Spij, synku, śpij, a jutro nie poznasz mamusi...

Edmund zbladł. Przez chwilę miał wrażenie, że utknął w sennym koszmarze.

- Wstawać!

Już po raz piąty wyrwali go ze snu. Chciał oszukać i udawać tylko, że się obudził. Nie otwierał oczu, było mu ciepło i przyjemnie. Miękki koc opatulał go szczelnie, a sen wydawał się tak bardzo potrzebny.

- Obudź się, marudo! Przestań pierdzieć w materac. Mamy rozkaz wymarszu!

Dopiero wtedy poderwał się z pryczy. Zbyt gwałtownie, zakręciło mu się w głowie. Rozejrzał się. Marek już wstał. Zdążył nawet założyć buty i przygotować plecak.

Dostali do picia kubek gorącej lury, która zapewne miała być herbatą, i ruszyli.

- Gdy tak słodko spaliście, byłem na odprawie.

Korytarz w tym miejscu był szeroki, więc mogli iść

spokojnie obok Kosy. Dzięki temu przynajmniej było im trochę różniej.

- Mamy odbić tego profesorka. Z tego, co wiem, jest najważniejszy. Bez niego równie dobrze możemy nie wracać.

- Wilczuk - szepnął Marek.

-Co?

- Tak się nazywa, ten profesor nazywa się Wilczuk.

Tomasz Duszyński

- A, no tak. Masz niezłą pamięć. - Kosa ryknął śmiechem, zawtórował mu Wilga. - Więc mamy tego Wil-czuka wykraść Szwarusom.

- A niby jak mamy to zrobić?

- Rzepa... to znaczy pułkownik Rzepecki - zreflektował się w porę Kosa - mówi, że wie, gdzie go znaleźć. Przed wojną profesorek miał swoje laboratorium w Śródmieściu, w jakimś budynku należącym do uniwersytetu. Znamy plany tego miejsca. Dzisiaj robimy rekonesans.

- Zachować ciszę! - zakomenderował ktoś z tyłu.

- Lepiej posłuchać - Kosa ściszył głos. - Ostatnio dranie nasłuchują. Wiedzą, że coś się dzieje pod miastem, na szczęście żaden ich zwiad na nas się nie natknął.

Odtąd szli w milczeniu. Przewodnik prowadził ich pewnie i szybko w plątaniu korytarzy. Edmund miał wrażenie, że przebywają w podziemnej metropolii, i rzeczywiście tak było. Tunele z cegieł ciągnęły się kilometrami, przejścia prowadziły w różne strony świata, lecz najgorsza była wilgoć, wszędobyłska, przenikająca na wskroś. Człowiek wydawał się wobec niej jak gąbka chłonna każdym porcem skóry nie tylko szlam, ale i smród.

Znów szli gębiego. Musieli się pochylać, by nie zahaczyć głową o-betonowy sufit. Edmund nie widział, co dzieje się przed nim. Widok zasłaniały mu szerokie plecy Kosy. Patrzył więc pod nogi, w ciemną, gęstą niczym smoła breję. Chwilami miał wrażenie, że w niej utknie, że wchłonie go z głośnym mlaśnięciem. Myśli biegły leniwie, jakby i one zostały spętane jakimś tajemnym zaklęciem. Czuł zmęczenie,

przejmowało nad nim kontrolę. Po co iść dalej? Te słowa, wciąż słyszane w głowie, powtarzane mimowolnie, rozsadały mu czaszkę, daremnie próbując odnaleźć odpowiedź.

Antidotum

Bo po co, pomyślał. Nie zwróci nikomu życia. Teraz jest odpowiedzialny tylko za Marka. Nie powinien ciągnąć go w kolejną awanturę. Odnalazł ludzi, którzy wiedzą, co robić. Zajmą się profesorem, znajdą antidotum. Uratują tych, którzy wciąż żyją z dnia na dzień, nawet nie wiedząc, że nie będą pamiętali wczorajszego>dnia.

- Przygotujcie się - szepnął Kosa. - Wychodzimy na powierzchnię!

Edmund potrząsnął głową, jakby chciał się temu sprzeciwić, ale na nic innego nie było go stać. Nagle wydało mu się, że opuścił swoje ciało, unióś się nad głowami ludzi, obserwując siebie i brata. Patrzył, jak wykonuje polecenie, nie mając wpływu na to, co powie lub zrobi. Uchwycił metalową drabinę. Podniósł nogę, stawiając ją na pierwszym szczeblu, potem drugim. W nozdrzach poczuł woń zimnego nocnego powietrza. Ruszył w górę, wiedział, że już się nie wycofa.

Miasto tonęło w ciemnościach, żadna z ulicznych latarni nie świeciła. Budynki też były ciemne, wyglądały jak monstrualne potwory z pustymi oczodołami okien.

Zostali podzieleni na dwie grupy. Pierwsza ruszyła szybko i pewnie w stronę najbliższego skrzyżowania. Druga, w której oprócz Edmunda, Marka i Kosy było kilku innych żołnierzy, przycupnęła pod ścianą budynku, wtapiając się w otoczenie. Ukryć się nie było tutaj trudno, chodniki pokrywała sterta żelastwa i porzuconych mebli. Widok, do którego w miastach można było przywyknąć. Splądrowane domy i sklepy, opuszczone samochody, porzucony dobytek. Warszawa wyglądała tak, jakby do-

Tomasz Duszyński

tknął ją straszliwy kataklizm. Porzucona stolica. Miasto, o którym jego mieszkańcy zupełnie zapomnieli.

Edmund patrzył na to wszystko z niedowierzaniem. To miejsce wyglądało nie tylko na porzucone przez ludzi, ale i zapomniane przez Boga.

- Gdy dadzą nam sygnał, przemieścimy się w kierunku skrzyżowania. - Kosa nachylił się w stronę braci. Jego twarz schowana była w mroku, wyglądał jak duch nawiedzający miejsce, które kiedyś był jego domem. - Nie spodziewają się nas. Są zbyt pewni siebie. Nikt od wielu lat nie zaatakował na ich terytorium. To jest nasza szansa. Trzymajcie nisko głowy. Pułkownik kazał wydać broń wszystkim, także wam. Używajcie jej w ostateczności. Walka musi się wywiązać jak najpóźniej.

Edmund schował zimny kawałek metalu za pasek spodni. Miał już kiedyś taki pistolet w dłoniach. Ojciec pozwolił mu kilka razy z niego wystrzelić. Popatrzył na Marka, zastanawiał się, czy nie odebrać mu broni, ale na to się nie zdecydował. Ruszyli dalej niemal na kolanach, metr za metrem, blisko chropowatych murów domu. Minuty upływały. Edmund w napiętych łydkach poczuł żywy ogień, a czekał ich kolejny wysiłek. Żołnierze po kolei czołgali się na drugą stronę ulicy. Robili to ostrożnie, chwilami przystając i

nasłuchując odgłosów. W tym miejscu byli zupełnie odsłonięci, jezdnia była uprzątnięta, wyglądało na to, że przejeżdżały tędy wojskowe samochody. *1 " 1 ziąć najwyższe środki ostrożności.

Edmund podążył wzrokiem za palcem Kosy. Wpatrzył się w wysoką bryłę gmachu. W nocy cień budynku wyglądał złowrogo. Tak można było wyobrazić sobie domy, w których straszy.

Antidotum

- Teraz nasza kolej. Nisko przy ziemi... Nie patrzcie na boki, tylko przed siebie.

Kosa zsunął się z chodnika na ulicę. Leżał przez chwilę płasko na brzuchu, a potem zaczął się czołgać, szybko i sprawnie jak wąż.

- Marek, ty pierwszy, rób to, co on - powiedział Edmund, kładąc dłoń na plecach brata. Próbował dodać mu otuchy.

Chłopak posłuchał, położył się na ziemi i ruszył w stronę jezdni. † >

W tym momencie usłyszeli warkot silnika. Dobiegł ich od strony kamienicy, do której zmierzali. Snop światła powędrował po ścianach budynków, przeświecił je, odbijając się złowrogim błyskiem w nielicznych ocalałych szybach. Edmund szarpnął brata za nogę, wciągając go z powrotem na chodnik. Przetoczyli się pod ścianę i przywarli płasko do ziemi.

Dwa samochody wjechały na skrzyżowanie. Zwolniły, a w końcu się zatrzymały. Edmund wstrzymał oddech. Czyżby ich zauważyli? Do jego uszu dotarło szczęknięcie metalu. Snop światła powędrował po ścianie wzdłuż ulicy. Silniki wciąż pracowały, miarowo i rytmicznie. Kierujący reflektorem nie spieszył się, sprawdził jedną stronę drogi, potem drugą. Edmund popatrzył na brata, serce niemal wyskoczyło mu z piersi... Marek wychylił się z kryjówki. Obserwował drugi z samochodów, który przez chwilę znalazł się w świetle reflektora. Miał wrażenie, że łysy, potężny mężczyzna unoszący się w siedzeniu patrzy wprost na nich.

- Leż, bo nas zabiją!

- To on - głos Marka drżał. Jego usta były tuż przy uchu Edmunda. - To jego szukamy.

440 • Tomasz Duszyński

Edmund nie odpowiedział. Zamknął oczy, modląc się, żeby to wszystko już się skończyło. Dopiero po chwili dotarł do niego sens słów brata.

- Jaki on? - szepnął.

Silniki samochodów znów zaczęły mocniej pracować. Doleciały do nich strzępy słów niemieckich i rosyjskich, z których niewiele zrozumieli. Usłyszeli chrzęst żwiru pod kołami, a pojazdy ruszyły w dół ulicy, powoli, niespiesznie.

- Jaki on? - powtórzył Edmund, ściskając z całej siły ramię Marka tak, że chłopak zasyczał z bólu.

- On napadł na naszą wioskę... - W jego czach zabłyśły łzy. - On tam był, zabił naszą siostrę.

* - Skąd możesz to wiedzieć?! - Edmund przestał panować nad swoimi emocjami. Zaciśnął palce jeszcze mocniej, chciał sprawić bratu ból.

Marek sięgnął po notes, który wciąż miał na piersi. Z trudem wysunął go zza koszuli.

- Zobacz - powiedział. - Sam zobacz, na ostatniej stronie...

Edmund drżącymi dłońmi przejął notes, otworzył go. Było zbyt ciemno, żeby mógł cokolwiek zobaczyć.

- Ruszcie się! - Kosa wrócił po nich. Był mocno zdenerwowany. - Szwarusy już pojechali. Chłopaki zdjęli pierwsze czujki. Za chwilę wejdą do budynku.

- Masz zapalki? - zapytał Edmund. - Masz?

- Zwariowaliście? Co się z wami dzieje! Przez was wszyscy zginiemy. Ruszajcie dupy, bo was sam zastrzelę!

- Kosa, daj mi zapalki! - powtórzył Edmund.

Było coś w jego głosie, co sprawiło, że żołnierz posłuchał. Niecierpliwie poklepał kieszenie na piersiach, odpiął guzik i podał Edmundowi pudełko.

Antidotum

Chłopakowi udało się odpalić dopiero trzecią zapalkę. Oświetlił ostatnią stronę notesu. Był pewien, że człowiek na obrazku jest tym samym, którego widział przed chwilą w samochodzie.

- Kosa, musisz nas tu zostawić - powiedział. - Nasze drogi się rozchodzą... Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się w waszej bazie, wiem, jak tam trafić...

- Nie ma mowy!

Biegli środkiem ulicy, nie zważając na to, czy ktoś ich zauważy. W głowach wciąż słyszeli przekleństwa Kosy, który daremnie próbował ich powstrzymać. Z oddali docierał warkot silników. Odbijał się donośnym echem od kamienic. Napływał z różnych stron, sprawiając, że chwilami nie wiedzieli, czy wybrali dobry kierunek. Samochody na szczęście poruszały się powoli. W tej części miasta ulice były rzadko oczyszczane, co utrudniało szybką jazdę. Edmund wybierał kierunek na wyczucie, nie był pewny swoich decyzji, dopóki nie zauważył u wylotu jednej z ulic rozedrganych świateł.

Samochody skręciły, podskoczyły na wysokim krawężniku i znikły za żelazną bramą. Silniki ucichły kilka sekund później, pojazdy musiały się zatrzymać. Edmund dał sygnał Markowi, żeby ten zwolnił. Sam także musiał uspokoić oddech. W piersiach serce kołatało, jakby tłoczyło roztopiony ołów, a nie krew.

- Idź za mną w odległości kilkunastu metrów - wysapał. - Jak dotrę tam bezpiecznie, dołączysz do mnie.

Przemieszczał się blisko ściany budynku, ocierając się o nią niemal ramieniem. Kroki stawiał ostrożnie, bo-

44 • Tomasz Duszyński

jąc się, że potrąci stopą odłamki szkła. Nie wiedział, co spotka go za rogiem. Bramę widział przez ułamek sekundy w świetle reflektorów, mogła prowadzić na jakieś podwórze.

Nastuchiwał. Zmysły napięte miał do granic możliwości. Jednak oprócz tętniącej w uszach krwi nie docierał do niego żaden dźwięk. Podszedł jeszcze bliżej, pochylony, gotowy w każdej chwili położyć się płasko na ziemi. Usłyszał odgłos zatraskiwanych drzwi jednego z pojazdów, a potem echo rozmów.

Przykucnął tuż przy rogu budynku. Ostrożnie wyjrzał zza ściany, omiatając szybkim spojrzeniem podwórze. Miał rację, samochody zostały zaparkowane w głębi, * na szerokim dziedzińcu, najwyraźniej Szwarycy czuli się bezpiecznie. Nie zachowywali należytych środków ostrożności. Kilku żołnierzy w rosyjskich i niemieckich mundurach stało przy samochodach, niektórzy palili papierosy, inni rozmawiali. Światła w pojazdach były włączone, Edmund widział wszystkich jak na dłoni. Brakowało mężczyzny, którego szukali. Najprawdopodobniej wszedł do kamienicy, przy której stali żołnierze.

Edmund wycofał się. Podjął decyzję. Ten budynek musiał mieć połączenie z wewnętrznym dziedzińcem. Przy odrobinie szczęścia uda mu się odnaleźć tamtego człowieka. Szybko zlustrował okna na parterze. W kilku z nich brakowało szyb, co ważniejsze - nie były wysoko.

Markowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Stanął pod ścianą, zapierając się o nią plecami. Złączył dłonie i zrobił podpórkę, na której brat mógł się spokojnie wesprzeć.

Edmund uśmiechnął się. Kiedyś bywało odwrotnie. To on pomagał bratu wspinać się na drzewa. Pamiętał

Antidotum

starą jabłoń w sadzie dziadka. Przesiadali na niej całymi dniami, bawiąc się w Indian. To było tak dawno temu, ale im wciąż wydawało się, że wczoraj. Wspomnienia były potrzebne, chociażby po to, żeby móc je przywołać w takich chwilach jak ta. Żałował jedynie, że ma ich tak niewiele.

- Ukryj się, wróć - powiedział.

Chwycił się drewnianej okiennej ramy. Niebezpiecznie zatrzęszczała, ale utrzymała ciężar jego ciała. Podciągnął się i postawił nogę na parapecie. Wziął głęboki wdech i zsunął się w zatęchłą i wilgotną otchłań budynku.

Chwilę klęczał. Oczy musiały przyzwyczać się do jeszcze większej ciemności. Dopiero gdy zaczął odróżniać sprzęty rozrzucone na podłodze, wstał i odszukał drzwi. Klamkę nacisnął ostrożnie, mimo to latami nieoliwio-ne zawiasy zaskrzypiały, jakby miały obudzić zmarłego. Znalazł się w korytarzu. Musiał zaryzykować i zapalić zapałkę. Ognik zatańczył na ścianach wystarczająco długo, by Edmund zapamiętał drogę, którą miał pokonać. Ruszył w stronę kolejnego mającego w oddali przejścia. Zapałka zgasła,

mimo to odważnie szedł naprzód z wyciągniętą przed siebie ręką. Czas wydawał się płynąć straszliwie wolno, odgłosy trzeszczącej podłogi i kapiącej miarowo wody sprawiały, że włosy jeżyły mu się na głowie. Gdy wreszcie dłoń natrafiła na drzwi, serce ze strachu podskoczyło mu do gardła. Musiał się uspokoić. Nasłuchiwał chwilę, czy po drugiej stronie nikogo nie ma, a potem powoli, delikatnie nacisnął klamkę.

Znów przecucie go nie zawiodło, świadczyły o tym światła majaczące na szybie i ścianach. Znalazł właściwy korytarz, w którym szereg wysokich okien wychodził na wewnętrzny dziedziniec. Edmund opadł na podłogę

- Tomasz Duszyński

i na czworakach zbliżył się do okna. Spojrzał w dół, na zaparkowany samochód stojący bardzo blisko budynku. Jeśli chciał przejść niezauważony do następnych drzwi musiał być jeszcze ostrożniejszy. Wiedział, że gdy tego dokona, będzie bardzo blisko celu.

Rzepecki zwątpił. Nie mógł tego po sobie pokazać, ale w głębi duszy bał się, że przyszedł za późno. Zwiad wrócił z gmachu instytutu. Budynek wydawał się opuszczony. Przeciwnik nie rozstawił czujek ani straży. Pułkownik wiedział, że Szwarusy czują się w mieście pewnie, ale nie podejrzewał ich o aż taką głupotę. Z drugiej strony mogła to być zasadzka. Zaufał tym braciom, Edmundowi i Markowi, a Kosa przed chwilą zameldował, że odłączyli się od grupy. Czyżby Szwarusy o nich wiedzieli? Przygotowali misternie plan, żeby wciągnąć ich do miasta, a potem wyłuc do nogi? Oszukali go po raz kolejny?

Pułkownik zamknął oczy. Był zmęczony, bardzo zmęczony, ale musiał zaryzykować. Jeśli asystent profesora Siedlarka znalazł się w tym mieście, powinien go odnaleźć za wszelką cenę. Antidotum było najważniejsze. Jeśli Szwarusy rzeczywiście je mają, będą straceni, już nic nie powstrzyma najeźdźców przed zawładnięciem całym światem-

- Wchodzimy do budynku - zdecydował. - Podziel chłopaków na trzy grupy. Jedną zostaw na czujce. Jeśli to zasadzka, musimy wiedzieć o tym jak najszybciej.

Wbiegł do laboratorium tuż za sierżantem. Na podłodze leżał człowiek. Zakrwawiony, z rozrzuconymi szeroko

Antidotum

rękami. Stasiuk zameldował, że mężczyzna jeszcze oddycha. Pułkownik nachylił się nad rannym. Z trudem rozpoznał w zmasakrowanej twarzy rysy Wilczuka.

- Gdzie sanitariusz? - Rzepecki zdał sobie sprawę, że krzyczy, nie potrafił jednak nad sobą zapanować. Dotknął szyi mężczyzny, wyczuł słaby puls.

- Proszę się odsunąć. - Lekarz ukląkł przy Wilczuku. Przeciął nożyczkami koszulę.

Pułkownik widział już takie rany. Były małe, ale śmiertelne dziury w brzuchu. Jedna z kul przeszła na wylot, druga utkwiała w kręgosłupie.

- On musi mówić.
- Wiele już nie powie...
- Musi mówić, rozumiesz?! - Rzepecki poczuł, że jego palce same zaciskają się na mundurze lekarza. Szarpnął go kilka razy, jakby to miało pomóc w wykonaniu rozkazu.
- Tak jest! - Mężczyzna sięgnął do torby, wyciągnął strzykawkę i ampułki. - Andrzej, ty zatamuj krwawienie!

Sanitariusz odsunął delikatnie pułkownika i przystąpił do wykonywania swoich obowiązków.

- Sukinsynu, ty sukinsynu... - Rzepecki mówił najpierw pod nosem, a potem nieświadomie zaczął krzyczeć. -Słyszysz mnie!? Otwórz oczy!

Wilczuk rzeczywiście posłuchał, jakby pułkownik przywołał go z zaświatów. Zachrypiął, plując krwią. Skulił się z bólu.

- Ma pan kilka minut, pułkowniku.

Lekarz ustąpił miejsca Rzepeckiemu. Ten działał jak w transie. Nachylił się nad Wilczukiem i popatrzył mu prosto w oczy.

- Tomasz Duszyński

- Gdzie jest antidotum?!
- Anti...dotum mają... oni. Szwa...rusy... - słowa Wil-czuka były urywane, ledwo słyszalne. Pułkownik musiał nachylić się jeszcze bardziej. Przystawił ucho do ust mężczyzny.
- Podaj formułę, musisz nam ją podać!
- Umrę? - Wilczuk popatrzył przytomniejszym wzrokiem, jakby przed śmiercią odzyskał jakimś nadnaturalnym sposobem siły.
- Zrobimy wszystko, żebyś żył, podaj formułę! - Rzepecki drżał. Najchętniej wycisnąłby z tego człowieka każde słowo, byle szybciej.
- Profesor... zabezpieczył się... Musiałem po tylu latach przyjechać tutaj, żeby ją rozgryźć. Poznać... jego formu-

* łę... stabilną formułę.

- Gdzie ona jest?
- Nie ufał mi... - Wilczuk wydawał się nie słuchać, mówił, jakby tylko słowa mogły go dłużej przytrzymać na tym świecie. - Chyba wiedział, że stoją za mną Rosjanie... On wiedział... Ukradłem formułę... wyrwałem mu ją z tych martwych rąk... - oczy Wilczuka rozszerzyły się, jakby znów był

świadkiem tamtej sceny - ale była zaszyfrowana... oszukał mnie... za wcześniej go zabiłem i nikt nie potrafił złamać tego kodu... zresztą nikt nie wiedział, że to kod... - Wilczukiem wstrząsnął dreszcz. Zawył z bólu, wydawało się, że straci przytomność. - Nigdy nie przestałem wierzyć. Niedawno natrafiłem na ślad. Dopiero tutaj... w jego laboratorium... znalazłem klucz do szyfru... Rozgryzłem to! Po tylu latach. Ja... ja to rozgryzłem...

- Przekaż nam antidotum. Podaj je... Musisz to zrobić!

Antidotum

- On to wszystko kodował w tak prosty sposób... Wszystko zależało od oznaczeń próbek... Miał swoje własne nazewnictwo i skalę... Sam je wymyślił! Rozumiecie? Dlatego nie mogłem stworzyć stałej formuły... Dopiero tutaj, w jego probówkach, w jego oznaczeniach dostrzegłem sens...

- Puls jest coraz słabszy. - Lekarz zrobił Wilczukowi kolejny zastrzyk. > ,

- Oni mnie też zdradzili. Odszyfrowałem stałą formułę, a wtedy uznali, że nie jestem już potrzebny... Ale mnie też nie docenili... - Wilczuk skrzywił się, być może był to uśmiech. - Zrobiłem to samo co... profesor! Mój własny szyfr... Bez niego wciąż nie będą mieli stałej formuły, tylko tą cholerną namiastkę...

- Jaką namiastkę?

- Nie wiecie? Szwarusy od lat mają quasi-antidotum. Tabletkę, która działa tylko kilkanaście godzin i trzeba brać ją codziennie przed snem... Co gorsza, z czasem organizm się na nią uodparnia... To tylko czasowe antidotum. Po kilku latach nawet najmocniejsze dawki przestały działać. Szwarusy potrzebują stałej formuły ' jak powietrza, bez niej ich plan runie... Już tracą kontrolę...

- Kto ma zapis, gdzie mamy szukać?

- Wyjechali stąd. Niemiec i Rosjanin... Dwoma samochodami... Oni mają zapis formuły. Zabrali wszystko, całą moją saszetkę, ale to tylko zapis... - Wilczuk zamknął oczy, drżał. Był blady jak ściana.

- A szyfr? Twój szyfr?

- Mój szyfr. - Mężczyzna otworzył oczy, zabłyśły jakimś szaleńczym ogniem. - Bezpieczny... w mojej głowie... i w kieszeni...

Tomasz Duszyński

- W której?! - Rzepecki rzucił się do obszukiwania ubrania umierającego. Rozerwał kieszeń koszuli. Wyszarpnął z niej zakrwawioną kartkę. Rozłożył ją drżącymi dłońmi i odetchnął z ulgą. Szyfr był czytelny.

- Bez zapisu stałej formuły kod nic wam nie da... musicie pojechać za nimi...

- Możesz ją nam podać!

Wilczuk zakaszał, jakby próbował się zaśmiać. Z ust pociekła mu strużka krwi.

- Zwariowałaś? Musicie odzyskać formułę...
- Niech cię szlag... - Rzepecki podniósł się z klęczek.
- Pułkowniku - wyszeptał Wilczuk - przez wzgląd na moją pomoc i stare czasy... skróć męki...

Rzepecki popatrzył w oczy Wilczuka beznamiętnie. Tyle lat czekał na zemstę, na możliwość naprawienia błędów. Bał się tylko jednego, ogarniał go strach na myśl, że zapomni, zapomni o tym, co pozwala mu wciąż żyć i działać i co jest celem jego życia. Było to zarazem jego przekleństwo i pokuta, którą odkupywał grzechy każdego dnia na nowo. Pamięć. W jego umyśle wrył się niczym piętno dzień po dniu, każdy szczegół sprzed choroby, sprzed sabotażu, którego dokonał w Moskwie. Czekał na tę chwilę, to właśnie ona utrzymywała go przy zdrowych zmysłach. Zemsta, odkupienie. Dał sygnał lekarzom, żeby wyszli z laboratorium. Potem sam obrócił się na pięcie i zostawił złorzeczącego Wilczuka. Miał nadzieję, że jego cierpienia potrwać bardzo długo.

Musi być gdzieś tutaj. Edmund był pewny, że właśnie w tym budynku znikł mężczyzna, którego szukał. Zaczynał się

Antidotum • 49

niecierpliwić. Samochody na dziedzińcu świadczyły

0 tym, że żołnierze czekają tylko na swojego dowódcę

1 w każdej chwili mogą stąd odjechać. Jeśli szybko go nie znajdzie, być może nigdy nie nadarzy mu się już taka okazja.

Światło i głuchy odgłos przesuwanego mebla, może stołu. Gdzieś na piętrze. Edmund zbliżył się do schodów i spojrzał w górę. Było tam jaśniej, niż powinno. Chłopak ostrożnie ruszył w górę, trzymając się z dala od poręczy, która wyglądała na niestabilną. Powoli stawiał kroki, tak żeby nie zdradzić przypadkiem swojej obecności. Gdyby ktoś go teraz usłyszał, byłby stracony.

- Ten brzeg Warszawy jest nasz i będzie nasz - powiedział po rosyjsku mężczyzna z wyraźnym niemieckim akcentem.
- Dlatego dobiliśmy targu. - Jego rozmówcą był Rosjanin, zaśmiał się chrapliwie, fałszywie. - Nasi przywódcy doszli do porozumienia dzięki nam, dlaczego nie mielibyśmy na tym skorzystać?
- Przekaż formułę, dostaniesz to, po co przyszedłeś - # Niemiec niecierpliwił się. Drżał mu głos.
- Dlatego chciałeś, żeby stało się to tutaj? Tak nieoficjalnie?
- W tym budynku jest wszystko, czego pragniesz, Misza. Kazałeś sobie słono zapłacić za ten dowód przyjaźni. Pozwoliliśmy ci działać na naszym terytorium, w dodatku zapłacimy ci... Musisz jednak dotrzymać obietnicy...

- A jak nie będę chciał, Hermann? Jeśli się rozmyśliłem? Niemcy nie zasługują na pamięć, macie za dużo na sumieniu, może lepiej, żeby was nie dręczyła. - Znow śmiech, głośny i ordynarny.

40 • Tomasz Duszyński

- Lepiej byłoby dla ciebie, żebyś dotrzymał umowy, jesteście na naszym terytorium, nie wyjedziecie stąd...

- Żartowałem, przyjacielu. - Mężczyzna nazwany Mi-szą nie wydawał się przestraszony, mówił z wielką pewnością siebie. - Lepiej jednak zastanów się nad swoimi groźbami. Śmiem wątpić, że twoi przełożeni rzeczywiście wiedzą o tym, co chcesz dzisiaj zrobić...

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Dopiero po chwili Niemiec się odezwał:

- Pewnie nie jestem jedyny w tym towarzystwie, który działa na własną rękę? Każdy z nas chce wyrwać coś dla siebie, tak właśnie mają się sprawy w tym popieprzonym świecie.

- W porządku. Wreszcie zaczynasz gadać do rzeczy. W tej sakwie jest stabilna formuła na antidotum. Wiesz, że jest prawdziwa. Byłeś w laboratorium. Może zastanowimy się raczej nad twoją częścią umowy?

- Tutaj. - Teraz Niemiec zaśmiał się głośno, jakby przedrzeźniał swojego rozmówcę. - Za tymi drzwiami.

- Otwórz. - Rosjanin stał się nagle czujny. - Niech zobaczą.

Edmund usłyszał kroki i szcęk zamka. Przysunął się bliżej przejścia i zaryzykował szybkie spojrzenie. Niemiecki oficer otwierał właśnie podwójne drzwi w głębi pomieszczenia. Dotknął włącznika światła i z sufitu popłynęło mdłe, nierówno pulsujące światło. Musieli mieć tu własne zasilanie.

- Sam zobacz, Łoto Warszawy, obrazy, rzeźby... Masz ciężarówki? Podjedź i załaduj to, co się na nich zmieści, Misza. Weź, ile zdołasz zapakować.

- Hojny jesteś...

Antidotum

- Wiem, za co płacę. Kopia formuły dla mnie. - Niemiec odwrócił się.

Edmund wiedział, co się teraz stanie. Widział, jak Rosjanin odpina zapięcie kabury.

- Przykro mi, Hermann, ale jesteście jak karaluchy, nie mogę wam oddać formuły.

Niemiec spokojnie patrzył w pistolet wycelowany w jego pierś.

- Rozprzestrzeniacie się jak robactwo, nigdy nie wierzyliście w ideały rewolucji... - Misza zaśmiał się. Jego łysa czaszka lśniła od potu. - Chociaż skłamałbym, gdybym powiedział, że ja w nie wierzę...

- Wydawało mi się, że przynajmniej wierzysz w siłę pieniądza... - Oficer oparł się o framugę, jakby na coś czekał.

- Pieniądz to jedno, lojalność drugie, a rozsądek... trzecie. Nie zwariowałem, Hermann, wiem, że nie wystarczy wam linia Wisły, tak jak nie wystarczyła wam zachodnia Europa i Wielka Brytania, lada dzień uderzycie na Moskwę... Mimo że nie pałam miłością do ojczulka Stalina, to nie pozwolę, żebyście uzyskali przewagę. Twoi ludzie stracą życie. Przykro mi...

W tej chwili jak na komendę od strony dziedzińca do- ' biegł ich odgłos strzałów. Edmund przyłgął do ściany. Strach złapał go za gardło. Nie mógł się ruszyć.

W pomieszczeniu także rozległ się strzał. Jeden głośny, dudniący wciąż echem w pustych korytarzach. Edmund poczuł, jak ten dźwięk go przeszywa, jak budzi się dzięki niemu ze snu, wyzwala z sennej mary, która krępowała i osłabiała jego ruchy. Wyciągnął zza paska pistolet i wpadł do pomieszczenia. Wycelował broń w twarz Rosjanina.

-Ty kto?!

Tomasz Duszyński

' -

- Oddaj saszetkę!

Misza zamarkował ruch w lewą stronę. Niedoświadczony Polak dał się zmylić i skierował lufę w bok, chybiając o włos. Rosjanin zaatakował jak rozjuszony zwierzę, uderzając chłopaka głową w brzuch. Gdy upadli na podłogę, sięgnął do jego szyi i zaczął dusić. Nawet nie wkładał w to specjalnie siły, przekonany, że pozbawił napastnika tchu i całej siły woli. Za chwilę, kiedy do pokoju wpadną jego ludzie, ten żałosny obdartus będzie już martwy. Wystrzały na dziedzińcu ucichły, chłopcy musieli już załatwić faszystów. Biegli mu teraz na pomoc, słyszał pierwsze kroki na schodach.

Wyczuł ruch za plecami. Chciał wstać i się obrócić, ale potężne uderzenie w plecy powaliło go na kolana. Pod łopatką zapiekł go żywy ogień, a klatkę piersiową przeszył paraliżujący ból. Co jest? Z trudem złapał powietrze w płuca, huk wystrzału wciąż szumiał mu w uszach. Znów spróbował podnieść się z podłogi. W pokoju był drugi obdartus. Skąd oni się wzięli? Misza przytrzymał się ściany. Chłopak stał nieruchomo, jakby przerażony tym, że przed chwilą strzelił do człowieka. Rosjanin wyczuł to wahanie, wyciągnął rękę w stronę napastnika i zbierając ostatnie siły, skoczył, starając się za wszelką cenę dosięgnąć jego szyi. Przy odrobinie szczęścia mógł złamać mu kark jak gałązkę. Złapał za kołnierz, próbując przydusić go do ściany, ale nie zdążył, drugi wystrzał obalił go na ziemię i pozbawił przytomności.

Rzepecki zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Zwiadowcy błyskawicznie ruszyli na poszukiwania

samochodów, o których mówił Wilczuk. Wiedział, że ryzykuje życie swoje i swoich ludzi, ale był przekonany, że w tej chwili nic innego nie ma większego znaczenia. Antidotum było w zasięgu ręki. Teraz rozstrzygały się losy tego świata. Jeśli zawiedzie, popełni błąd po raz kolejny.

- Zwiad odnalazł samochody!

Serce pułkownika załomotało niespokojnie w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć. Szum w uszach sprawił, że nie usłyszał własnych słów. Dał sygnał Kosie, by zebrał ludzi i jak najszybciej dołączył do zwiadu. Musieli się spieszyć. Dzisiejsza noc decydowała o wszystkim. Albo odkupi grzechy swoje i swoich przyjaciół, albo pogrzebie w zgliszczach tych, o których losach wydawało mu się, że może sam decydować. Polska umierała. Przez te wszystkie lata patrzył na dogorywającego trupa, któremu sam podał powolną, straszliwą truciznę. Miał być jednym z bohaterów, ocaleniem dla tego narodu, a stał się jego mimowolnym katem. Rzepecki wiedział, że jeśli dzisiaj się uda i wyrwie z rąk Szwarusów antidotum, odwróci złą kartę. Osiągnie to, co wcześniej nie udało się jemu i Świetlickiej. Polska przetrwała tak wiele, musiała istnieć dalej, nie może zginąć przez niego.

- Jeszcze Polska nie zginęła - szepnął. - Póki my żyjemy...

- Tam już strzelają! - Kosa wyłonił się przed nim jak duch. - Musimy się spieszyć!

- Nasz zwiad? - Rzepecki rzucił się do biegu z innymi. Nie potrafił zapanować nad strachem. - Kto wydał rozkaz?!

To nie nasi... Szwarusy sami się tłuką!

Pułkownik biegł tak szybko, jakby ktoś dodał mu skrzydeł. Czuł w sobie ogień, którego nic nie potrafiło

Tomasz Duszyński

ugasić, trawił go od środka, pozostawiając tylko zgliszczka. Nie mogli się spóźnić, nie teraz, gdy byli tak blisko.

W głębi dziedzińca dostrzegł zaparkowane samochody, rozpoznał je, wiedział, że właśnie ich szukali. Kosa uderzył pierwszy. Odważnie wprowadził ludzi w podwórze. Manewr jednak nie przyniósł powodzenia. Celny ostrzał odrzucił grupę od bramy. Szwarusy walczyli zaciekle, kilku schroniło się na pierwszym piętrze budynku. Stamtąd mogli bronić dostępu do dziedzińca nawet przez kilka godzin. Czas, którego Rzepecki nie miał. Musiał działać błyskawicznie.

- Kosa! Za mną!

Ruszył do przodu, raz za razem naciskając spust mau-zera. Słyszał za plecami dziki krzyk swoich ludzi. Był pewny, że skoczą za nim w ogień. Teraz on nie mógł ich zwieść. Poprzysiął sobie, że przynajmniej ich nie zawiedzie.

Edmund miał kłopoty z oddychaniem. Zataczał się, z trudem przełykał ślinę. Czuł się tak, jakby wielkie jak bochny dłonie Rosjanina wciąż zaciskały się z ogromną siłą na jego szyi. Na szczęście Marek pomagał mu jak potrafił. Podtrzymywał go, dając mu pewne oparcie. Gdyby nie on, pewnie...sarp daleko by nie uciekł.

Usłyszeli wybuchy. Nad Warszawą pojawiła się jasna, pulsująca łuna. Serie wystrzałów wydawały się nie mieć końca. Za ich plecami rozgorzała zacięta walka. Miasto ożyło. Szwarusy wysyła wszystkie siły, jakie mieli, do budynku, z którego Edmund i Marek ledwie uszli z życiem.

Antidotum •

Przyspieszyli. Biegli na wschód, byle dalej. Wiedzieli, że jeśli uda im się wydostać z Warszawy, będą ocaleni. Edmund, gdy przyciskał do piersi saszetkę, w której znajdował się najcenniejszy skarb, jaki mogli odnaleźć, czuł, że dokonali czegoś wielkiego. Ta myśl dodawała mu sił. Wiedział, że nie mogą za żadne skarby dać się złapać. Powinni możliwie szybko odnaleźć leśną kryjówkę Rzepeckiego i przekazać mu formułę. Wierzył, że antidotum trafi do tych, którzy go najbardziej potrzebują. A wtedy, wtedy wszystko wróci do normy. Będzie jak dawniej. Niemcy i Rosjanie zostaną wyparci z Polski, a Marek i on będą mogli żyć normalnie, jak ludzie.

Rzepecki poruszał się jak we śnie, w kolejnym nawiedzającym go koszmarze. Rosjanin leżał na plecach tuż obok trupa niemieckiego oficera, umierał. Wpatrywał się szklistymi oczami w sufit, jakby było w nim coś, co mogło odwrócić jego los.

- Gdzie formuła?!

Na twarzy Rosjanina pojawił się skurcz. Chciał coś powiedzieć. Uniósł wargę, odsłaniając złote zęby.

- Formuła!

- Późno... za późno... - Próbował się zaśmiać, ale jego ciałem wstrząsnął mokry, uporczywy kaszel. Na ustach pojawiły się krwawe bąbelki śliny.

- Kto ma formułę... - Rzepecki przycisnął palcem ranę w klatce piersiowej Rosjanina, nie miał dla niego litości. Uważał jedynie, by nie pozbawić go przytomności.

Tomasz Duszyński

- Dwóch... dwóch było.

Mężczyzna wył z bólu. Pobladł, kałuża krwi dotarła do stóp Rzepeckiego.

- Młodzi...

- Dwaj Polacy?

-Tak!

Pułkownik omiótł spojrzeniem pomieszczenie, jakby starał się wypatrzeć ślady, które potwierdziłyby słowa umierającego. Notes. Pod ścianą leżał notes z urwanym konopnym sznurkiem.

Budynkiem wstrząsnął potężny wybuch. Chwilową ciszę przesyły kolejne serie karabinowe. Ludzie odpowiedzieli ogniem z okien. Szwarusy zareagowali błyska-r wicznie. Posiłki dotarły już tutaj. Należało zarządzić natychmiastowy odwrót.

Pod koniec dnia znaleźli się daleko od Warszawy. Przemykali jak duchy pomiędzy budynkami, znikając w zagajnikach i na leśnych ścieżkach. Trzymali się z daleka od drogi, cały czas utrzymując zabójcze tempo. Dopiero wieczorem zdecydowali się na odpoczynek. Zatrzymali się nad brzegiem leniwie płynącego strumienia. Padali z nóg. Musieli zachować choć trochę sił na kolejne dni.

Edmund sprawdził dokładnie saszetkę. W środku w skórzanym zawiniątku znalazł notes, kilkanaście ampułek z żółtą cieczą i aluminiową skrzyneczkę z zestawem strzykawek i igieł. Długo się w nie wpatrywał. Nie mógł uwierzyć, że trzyma w dłoniach ratunek dla wszystkich.

Antidotum

- Musimy spróbować. - Marek usiadł obok niego, wpatrywał się z taką samą fascynacją w zawartość saszetki.

- Tylko jeden z nas... - powiedział Edmund. - Drugi będzie czuwał całą noc... Nie możemy ryzykować. Nie mamy nawet swoich notesów... Jeśli oś się stanie, nie będziemy pamiętać.

- No tak, nie pomyślałem...

- Do leśnego obozu jeszcze długa droga. Nie wiem, czy dotrzemy tam już jutro. Przedzieramy się przez takie chaszczce, że pokonujemy mniej kilometrów, niż myślałem.

- Wstrzyknij mi... Jeśli coś będzie nie tak, będziesz wiedział, co robić. Ja sobie sam nie poradzę.

Edmund spojrział na brata. Wiedział, że Marek ma rację, jednak wahał się. Może chciał być pierwszy, może chciał, żeby antidotum jak najszybciej zaczęło działać w jego krwi. Cóż by to było, gdyby dzisiaj zasnął i jutro po przebudzeniu wszystko pamiętał. A tego może doświadczyć jutro jego brat, jako pierwszy.

- Dobrze, zaczniemy od ciebie - zdecydował wreszcie. - Zaśniesz, zobaczymy po kilku godzinach, czy to działa...

- Edek... - Markowi zaszkliły się oczy. Zaciśnął szczęki, jakby wstydział się tego, co chce powiedzieć.

- Wiesz, że ja się boję zastrzyków...

Edmund zawahał się. To prawda, Marek panicznie bał się ukłucia igłą. Niemal o tym zapomniał, przecież jego brat był wciąż dziewięcioletnim dzieckiem.

- Wszystko będzie dobrze, Mareczku, to wcale nie boli - wyszeptał.

Tomasz Duszyński

Potrząsnął go za ramię. Był środek nocy, mimo to widział, jak otwiera oczy. Powoli, ostrożnie, jakby bał się tego, co za chwilę zobaczy. Obrócił się. Edmund wpatrywał się w niego z napięciem, bał się oddychać w obawie, że zaraz go spłoszy jak złąknioną zwierzynę. Chłopak uniósł się na pościeli.

- Czy ja pamiętam? Powiedz mi, czy ja pamiętam? Edek?!

- Pamiętasz! - Edmund rozplakał się. Osunął się na trawę, czując, jak spływa z niego całe napięcie, jak znów chce mu się żyć. - Obaj będziemy pamiętać!

Sięgnął do saszetki po ampułkę, która miała teraz odmienić jego życie. To miał być jego pierwszy sen, sen, * którego nie musiał się bać tak jak najstraszniejszego koszmaru, który codziennie rano stawał się okrutną rzeczywistością.

Zostało mu tylko trzech ludzi. Inni zginęli w starciach w stolicy. Rzepecki kazał im przeczesywać las w poszukiwaniu braci, ale niewiele mogli zrobić. Liczył na cud, a sam postanowił uzbroić się w cierpliwość. Wiedział, że jeśli Edmund i Marek opuścili Warszawę, unikają dróg, na których mogliby wpaść w łapy Szwarusów. Aktywność obcych wojsk na tym terenie po wydarzeniach w Warszawie wzrosła. Rzepecki nawet tutaj, w leśnym schronieniu, nie mógł już czuć się bezpiecznie. Nie pozostało mu jednak nic

Antidotum

innego, jak czekać. Wiedział, że nie ruszy się stąd ani na krok.

Przetarł zmęczone oczy. Od kilku godzin lustrował okolicę przez lornetkę. Wypatrywał ruchu w lesie i w prześwicie na polanie od zachodniej strony drogi. Wierzył, że chłopcy przyjdą. Jednak jak na razie nic się nie wydarzyło. Nic, ale to przecież musi się zmienić...

Kąpiel to pierwsza rzecz, jaka rano przyszła im do głowy, obaj jak na komendę wskoczyli do strumienia, rozbryzgując wodę, prychając i ochlapując się nawzajem niczym małe dzieci. W lesie posilili się jagodami, a potem od razu ruszyli w drogę. Nie mieli czasu do stracenia. Chcieli jak najszybciej dotrzeć do pułkownika Rzepeckiego i do Kosy. Oni, dwaj niepozorni chłopcy, którym udało się wykraść antidotum.

Ten dzień był najniezwyklejszym dniem ich życia. Pamiętali. Wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, z ostatnich kilku dni. To uczucie, które ich ogarnęło, było czymś więcej niż zwykłą ulgą. Świat znów stanął przed nimi otworem. Mogli robić wszystko, na co mieli ochotę. Tworzyć swoją własną historię, iść wybraną przez siebie ścieżką. Bez obawy, że jutrzejszy dzień znów wszystko zmieni. To był ten cud, na który czekali. Cud, który miał odmienić nie tylko ich życie, ale życie innych.

Wieczór zastał ich na polance, którą upatrzyli sobie jako najlepsze miejsce na nocleg. Długo rozmawiali przed zaśnięciem, jakby na coś czekając. W końcu powiedzieli „dobranoc” i zamknęli oczy.

Tomasz Duszyński

Edmund poczuł, jak ogarnia go fala zmęczenia. Członki stały się ciężkie, myśli ociężałe. Nagle odpłynęły gdzieś w głąb czaszki, jakby się zapadły, wymieszały, nabierając abstrakcyjnego wymiaru sennych marzeń. Poruszył się. To był ten moment, w którym, wydawałoby się, miał jeszcze władzę nad swoim ciałem. Próbował otworzyć oczy, wiedział, że musi za wszelką cenę przezwyciężyć tę słabość. Powinien to zrobić, teraz, jak najszybciej. Jednak zmęczenie było silniejsze. I wtedy wiatr przyniósł dziwne, senne słowa, które, wydawało się, słyszał od dawna, przez całe swoje życie. We śnie pojawiła się jego matka, stała nad łóżkiem, pielęgnując go w chorobie. Jej głos, jego kojący tembr, uspokoił go, przeniósł w krainę po drugiej stronie. Te słowa. Pamiętał je bardzo dokładnie.

Sen przyniesie ukojenie... sen przyniesie zapomnienie... Śpij, syneczku, a jutro zapomnisz o wczoraj...

Jacek Komuda

Pisarz i niezależny historyk, autor thrillerów, powieści fantastycznych i historycznych, których akcja rozgrywa się w XVII wieku - zarówno w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej czy średniowiecznej Francji, jak też na morzach i oceanach. Wierny prawdzie, nie stroni od brutalnych i mocnych kart historii, gdyż woli tworzyć ku przestrodze dla potomnych niż ku pokrzepieniu serc. Odtwarza na nowo dawne obyczaje, postacie i zapomniane miejsca. W swoich bohaterach widzi zaś przede wszystkim ludzi targanych namiętnościami, a nie kroczące ideały.

Znawca i miłośnik koni, polskiej szabli, a także żywy dowód na to, że z pisania można żyć.

Do tej pory nakładem Fabryki Słów ukazało się dziesięć książek jego autorstwa, pojedyncze opowiadania były publikowane w antologiach.

Obecnie autor pracuje nad trylogią poświęconą jednemu z najdramatyczniejszych okresów w historii Polski - wojnom Rzeczypospolitej z Moskwą na początku XVII wieku.

Jacek Komuda

Sześćset

cetnarów

piekła

r,

I



Osiem palców dla Buskena

Zycie bez palców jest niewesołe. To jasne jak słońce, które nigdy nie zachodzi nad Port Royal, że nie da się wówczas nie tylko grywać na flecie czy obmacywać wystawionych na sprzedaż wdzięków portowych narożnic. Nie da się także, a może przede wszystkim, zawiązać węzła na kołkownicy statku. A to oznacza pożegnanie z żeglugą po błękitnych wodach. Koniec dostarczania do hiszpańskich i holenderskich osad pewnych rzeczy tudzież odbierania stamtąd towarów, których każdy funt przewieziony do portów starej ładacznicy Europy zamienia się na jakże miło brzęczące pesety i dublony. Koniec chleba z omastą. Koniec... wszystkiego?

Dlatego dla czcigodnego pana Jamesa Wallisa, szypra i właściciela dwumasztowej sniggi Speedy Fortune, trudniącego się przewożeniem - nazwijmy rzecz po imieniu - kontrabandy ukrytej pod pokładem przed wzrokiem celników i strażników portowych, utrata jednego palca stawała się bardziej bolesna niż urwanie połowy kuśki razem z korzeniami.

Sześćset cetnarów piekła

4

Niestety, w tej chwili i w obecnej sytuacji strata owa była równie prawdopodobna jak to, że po sztormie następuje cisza. Wallis siedział bowiem w tawernie Pod Ślepym Komodorem, przywiązany liną do krzesła, z rękoma ułożonymi na stole, palcami unieruchomionymi między gwoździami wbitymi w równych odstępach w brudny, zalany rumem i winem blat. Sytuacja była nad wyraz przykra i paskudna, a przedstawienie zbliżało się do finału, albowiem rosty jak góra i śmierdzący niczym beczka zjętcałego sadła Negr zwany Tomem przeciągał właśnie z lubością i zgrzytem osełką po ostrzu marynarskiego noża.

Osiem palców! Na zrośniętą piczę świętej Zuzanny! Każdy z nich wart był dokładnie tyle, co rulon złotych hiszpańskich monet. Osiemset dublonów! Taką sumę Wallis winien był Piętowi Corneliszoonowi Buskenowi, holenderskiemu lichwiarzowi z Rybnego Targu w zachodniej części Port Royal, człowiekowi równie wyrachowanemu, co bezlitosnemu, któremu okaleczenie bliźniego przyczyniało mniej więcej tyle wyrzutów sumienia, co rozgniecenie dorodnego karakana.

Ma się rozumieć, że wcześniej, podczas swobodnego kolokwium poprzedzającego przyszpilenie rąk do stołu, Wallis w swej desperacji uczynił wszystko, aby poczet palców, które miał obciąć Tom, zmniejszyć do czterech, co w sumie byłoby dość rozsądną liczbą. W końcu, jak umawiali się w skrypcie dłużnym, jeśli czcigodny pan James nie będzie w stanie oddać pożyczonych pieniędzy, zapłaci palcami, z których każdy liczyć się miał za dwieście dublonów. Niestety, Holender okazał się równie nieugięty, co archanioł Michał wążący złe uczynki grzeszników, niespodziewanie do całej sumy doliczył bowiem

468 • Jacek Komuda

pokaźne kwoty za zwłokę, wynoszące ni mniej, ni więcej, tylko pięćdziesiąt od sta. A ponieważ w jego umyśle, przypominającym księgę strat i zysków, rubryki ma i winien musiały się równoważyć, po dodaniu zaległych sum każdy z czterech palców wart był już ponad czterysta dublonów, a jeśli doliczyć w dodatku zwykłe procenty wynoszące dwadzieścia od sta za każdy dzień zwłoki, wychodziło z tego jakieś czterysta dwadzieścia sześć dublonów i jeden pistolet na paznokiec.

I tu na nieszczęście Wallis musiał przyznać z rozpaczą, iż wszystko zgadzało się jak w angielskim zegarku. W sumie winien był Buskenowi grubo ponad tysiąc sześćset dublonów. Niestety, lichwiarz nie był skłonny zawyżyć wartości palca. Zamiast liczyć każdy z nich po czterysta dwadzieścia sześć złotych monet, podzielił całą sumę przez dwieście, jak się umawiali w skrypcie, co dawało właśnie ową feralną liczbę ośmiu palców, które już za chwilę urznąć miał Tom. I trzeba przyznać, iż całość została obliczona wyjątkowo skrupulatnie. Holender nie był bowiem okrutnikiem, zwyrodnialcem czy szelmą, ale po prostu przekłętym matematycznym geniuszem. Pech chciał, że zamiast poszukać sobie do towarzystwa kogoś o umyśle Newtona albo Boylea, marnował swój talent w Port Royal na Jamajce, wśród ładacznic, piratów i portowego błota. W każdym razie Wallis był o tym przekonany, z każdą chwilą coraz bardziej. Tylko dłaczego, do złamanej stengi, zamiast używać liczydeł, potrzebował do swych matematycznych rebusów palców Wallisa?

Tom przeciągnął ze zgrzytem osełką po ostrzu. Obejrzał nóż pod światło, mlasnął tłustymi, spękanymi wargami. Minę miał niczym artysta, który właśnie doszlifował ostatni detal na pięknym posągu Wenus.

Sześćset cetnarów pieklą • 469

- Tom już gotów, massa! - zameldował uniżenie swemu panu.

Piet Corneliszoon uśmiechnął się krzywo, nie wypuszczając spomiędzy poźółtkłych, poszczerbionych zębów ustnika fajki. Wśród lichwiarzy Port Royal - przygarbionych, opasłobrzuchych gnomów lub gderliwych starców - Busken wyglądał niczym angielski lord, wysoki, chudy, w skórzanym kapeluszu z błyszczącą sprzączką. Z krótką brodą i okiem przesłoniętym przepaską sprawiał wrażenie kapitana albo

kwatremistrza z pirackiego statku, a nie człeka rozmieniającego ludzkie żywoty i palce na pistole, pesety i dublony. W jego przypadku pozory wszakże myliły, o czym boleśnie przekonał się Wallis, podobnie jak wielu portowych awanturników przed nim.

Szyper szarpnął się, lecz więzy trzymały mocno. Chciał krzyknąć, ale to już było zupełnie bez sensu. Tutaj, na tyłach Starego Kościoła, na zapleczu zamtuza mamy Bonelli, w tawernie będącej jedną wielką wylęgarnią wszy, francy i pluskiew, przerażające krzyki tudzież przedśmiertne jęki ludzi potęchanych żelazem były równie powszednią rzeczą, co dźwięk kościelnych dzwonów bi- , jących na nieszpory.

Negr pochylił się nad stołem. Nieszczęsny przemytnik zajęczał, załkał i zaszlochał. Sprzedałby teraz duszę diabłu i dołożyłby cnotę swojej siostry, byleby tylko wyjść z tej krotochwili ze wszystkimi palcami na swoich miejscach.

Holender zaśmiał się, zacharczał, wyjął na chwilę fajkę z ust.

- Boicie się, mynheer Wallis?! - mruknął, bardziej stwierdzając, niż pytając. - Stawiam sto dublonów, że macie już pełno w gaciach.

470 • Jacek Komuda

Wallis pokiwał głową. Miał może strugać bohatera? Chyba tylko po to, aby pożegnać się ze wszystkimi dwudziestoma palcami, które w swej łaskawości Pan przydzielał każdemu człowiekowi.

- To oczywiste, że przepełnia was strach. - Holender pokiwał głową. - Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, albowiem znaczy, że zeszlście wreszcie z ciernistej drogi grzechu i występku.

Nieszczęsny dłużnik ponownie pokiwał głową, chłonąc gadaninę Buskena niczym świeżo nawrócony katolik błogosławieństwa padające z ust papieża.

Lichwiarz nie spieszył się. Obojętnie stuknął fajką o kant stołu, wytrząsnął popiół z główki i uśmiechnął się promiennie, niczym słońeczko widziane zza więziennych murów.

- Mam chyba dzisiaj dzień dobroci dla niewypłacalnych klientów, mynheer Wallis. Dalibóg rzeknę wam, że sam siebie nie poznaję. To źle, to bardzo źle, ale chyba się zestarzałem, mój panie. Ale do rzeczy, bo czas nagli, czas płynie i ucieka, a nie zatrzymać go nam wiołem ni kijem. I powiem tyle, że Fortuna stoi dziś po waszej stronie. Nie tylko bowiem możecie zachować większość palców, ale -"jeśli Opatrzność Boża będzie czuwać nad wami - spłacić dług, a nawet wyjść na swoje.

Jezu... To chyba nie mogło być prawdą! Wallis od razu zwrócił uwagę na słowo słodkie jak miód, które spłynęło z ust lichwiarza. Większość palców. Miał cichą, skromną nadzieję, że liczba ta, choć z samego założenia mniejsza od dziesięciu, będzie wszelako większa od pięciu albo sześciu.

Tak czy owak, każde słowo Buskena miało teraz wagę owych nieszczęsnych ośmiuset złotych hiszpańskich

Sześćset cetnarów piekła

dublonów, wziętych na borg i pogrzebanych na dnie oceanu razem z kontrabandą, którą Wallis wyrzucić musiał za burtę, uchodząc przed pościgiem dwóch holenderskich tjalków, które chciały dobrać się do jego rzyci niczym ogary do rannego jelenia. >

- Ja... Ja wszystko... Co tylko każecie... Zawsze! Zaraz, już... - wybełkotał. v'

Holender starannie ubijał w fajce nową porcję tytoniu. Powoli, bez pośpiechu. Wszak jego interlokutor nie wybierał się na żadną przechadzkę. Nie pędził do kościoła ani do sprzedajnej dziewczki.

- Zależy mi na frachcie z pewnego statku - rzekł w końcu. - Stara holenderska fluita, trzy maszty, szeroki kadłub. Wrak, który osiadł przy wysepce zwanej Lwią Głową, jakieś cztery mile na zachód od Isla de Pinos. Morze tam roi się od raf i skał jak tyłek kurwy z Port Ro-yał od pryszczki.

Wallis nerwowo przytaknął.

- Fluita siedzi na skałach od kilku dobrych lat. Ale ponieważ spoczęła w lagunie osłoniętej od fal, zachowała się w całkiem niezłym stanie. Co tu dużo gadać, myn-heer, wiozła srebro, skóry i korzenie. Popłyniesz tedy do niej, wejdiesz na pokład, a potem przywieziesz mi tutaj przynajmniej sześćset cetnarów cynamonu, wanilii i innych rzeczy, które ocalały na statku. A które ja odkupię od ciebie po uczciwej cenie, odliczając twój dług wraz ze wszystkimi procentami. Co wy na to, mynheer?

Fluita... Wrak na skałach. Na rany Chrystusa, Wallis gotów był rzucić się prosto w morze już zaraz i pożegłować tam na byle desce, aby tylko wyrwać się z cuchnących łap Toma. I nie oglądać złośliwego uśmiechu Buske-na, od którego dobrej woli i fantazji zależało, czy James

acek Komuda

ciągle będzie liczył się w przemysłowym fachu, czy też stanie się pogardzanym kaleką.

- Oczywiście - jęknął. - Co tylko chcecie, panie Bu-sken. Ja zaraz, natychmiast... Od razu.

- Za cztery dni - jakby na potwierdzenie swych słów Holender stuknął czterokrotnie wskazującym palcem w brudne dechy stołu - chcę tu mieć przynajmniej sześćset cetnarów korzeni. W beczkach, skrzynkach, workach oraz czym tam jeszcze... I nie przeciągajcie struny, mynheer. Bo jeśli - ściszył głos, przypalił świeżo nabitą fajkę od świecy - jeśli zawiedziecie mnie i tym razem, tedy klnę się na Lewiatana, Belzebuba i Asmodeusza, na moce piekieł i wodne żywioły, że znajdę cię nawet w szczurzej norze, choćbym przeszukać miał całe Indie Zachodnie! A wtedy znajdę do ciebie z Tomem - dalibóg - utnę ci nie tylko wszystkie dziesięć palców, ale zagram twoimi oczami w marelles, a jajca sprzedam wędrownemu sprzedawcy komfortatywy dla starych grzybów, co chcą udawać, iż są młodymi ogierami. Czy wyrażam się jasno, mynheer?

Busken zawsze wyrażał się jasno. Wallis nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zwłaszcza w tym miejscu i w tych okolicznościach.

- Spiszemy to sobie wszystko na papierze - rzekł Holender. - Abyś nie liczył czasem, że moja pamięć jest zmurszała jak wręgi starego wraku, i nie zapomniał, iż pacta sunt servanda, mój przyjacielu.

Diabeł by porwał taką przyjaźń, odważył się pomyśleć Wallis. A potem, przeczuwając, że Busken ma chyba dobry dzień, odważył się spytać go o coś jeszcze.

- Chciałbym... - urwał, kiedy Holender wbił w niego spojrzenie przekrwionych oczu. - To jest jak... nazywa się ten statek? *

Sześćset cetnarów piekta

- To był - Busken przez chwilę obracał w rękach cybuch fajki, jak gdyby chciał pokazać, że w przeciwieństwie do Wallisa jego palce zawsze były, są i będą na własnym miejscu - Eenhoorn... Taaaak, mynheer. Ale to nie ma nic do rzeczy. Bo ty popłyniesz, choćby nazywał się tak jak sam szatan! Fluita wpakowała się na skały jakieś cztery lata temu, nie wiem nawet, czy załogę odratowali, czy też żarłaczce miały z nich smaczny posiłek. W każdym razie wrak leży tam od dawna, choć z każdym rokiem coraz bardziej osiada na dnie. No, to już wszystko... Tom! - Lichwiarz dał znać niewolnikowi. - A niech tam, uwolnij go.

Negr tępnał boleściwie oczyma, potarł szczękę, żałując, iż ominęła go sposobność do pokazania swego rzeź-nickiego kunsztu. Nie kryjąc niechęci, uchwycił cęgami łeb pierwszego bretnala. Wyrwał gwoździe po kolei; Wallis z trudem rozprostował zdrętwiałe palce prawej dłoni. Potem Tom zakrzętnął się przy jego lewicy. Ale kiedy doszedł do najmniejszego palca, lichwiarz wstrzymał go ruchem fajki.

- Ten paluszek - mruknął, wypuszczając spoza żółtych zębów, niczym z czeluści piekielnego wulkanu, kłąb dymu - zostanie z nami. Ku pamięci i przestrodze, że lepiej igrać z ogniem niż z mynheer Buskenem!

Wallis zawył, zakrzyczał, zaszarpał się.

Bez sensu, bo nikt nie zareagował na jego jęki. Zresztą Tom był tak wprawnym artystą w swoim fachu, że przemytnik prawie nie poczuł bólu.

- Cztery dni. - Holender wesoło pogroził Wallisowi obcięty, zakrwawionym palcem. - Żebyś nie pomyślał, mynheer, że my tu stroimy sobie żarty. Albo przywieziesz nam sześćset cetnarów korzeni, albo Tom przykroi

Jacek Komuda

cię tak chwacko, że nawet najstarsza narożnica z północnych doków pogubi zęby ze śmiechu, kiedy zobaczy, co zostało z twojej kuśki, mynheer Wallis.

Niedowiarek Bane

- Fluita... Isla de Pinos... Wyładowana korzeniami. Taaaak. Czyja mam może kaktusa zamiast rzyci? Albo dwa kutasy na czole, brachu? Prędzej kupię kota w worku niż tę wierutną bzdurę. Gadaj to zdrów - starym babom na śmiech!

- Nie było mi do śmiechu, kiedy ten przeklęty Negr Buskena zabawiał się moimi palcami. - Wallis uniósł lewą, zakrwawioną i zabandażowaną rękę na wysokość nieogolonej gęby. - Myślisz, że miałem dzisiaj z Holendrem przyjacielską pogawędkę o pogodzie nad londyńskim parlamentem? Ten diabeł nie lubi rzucać słów na wiatr i jeśli w ciągu czterech dni nie dostarczę mu sześćset cetnarów korzeni, zabierze mi pozostałe palce, wyrwie rzyć i wyłupi oczy Więc rusz się, do kurwy nędzy! Musimy jutro podnieść żagle i płynąć na ten przeklęty wrak.

- To wszystko jedna wielka głupota - warknął Bane, najlepszy, jak sam twierdził, pilot na Antylach. Obecnie służył w załodze Speedy Fortune. - Fluita wyładowana towarami o wartości królewskiej fortuny... Po pierwsze, dlaczego nie roztrzaskał jej do reszty sztorm? Po drugie, jakim cudem ładunek przeleżał nieruszony tyle lat? I nie stał się łupem iporza albo podobnych nam ryzykantów? Toż to nie do wiary!

- Jak nie chcesz, to nie wierz. Tak czy owak, jutro podnosimy kotwicę, płyniemy na Isla de Pinos, na zachód j

Sześćset cetnarów piekta

od niej szukamy małej wysepki zwanej Lwią Głową, a potem zdejmujemy z tego łba skrzynie pełne wanilii i cynamonu.

- O ile sami nie stracimy wcześniej własnych. - Bane splunął do wody poprzez wyblinki grotwantów. - Lwia Głowa... To mi coś mówi, do stu francowatych kurewnic! Czekaj, tam chyba naprawdę leży jakiś wrak.

- Mówiłem. - Wallis podniósł w górę prawą rękę i pogroził mu wskazującym palcem. - To miejsce jest prawdziwe. Zresztą klnę się na brodę papieża, że jeśli nie ma tam wraku, gotów jestem nawet ograbić któregoś z naszych kompanów, aby tylko zwalić na łeb Buskenowi przeklęte sześćset cetnarów korzeni!

- Lwia Głowa - mamrotał Bane. - Coś mi świta we łbie! Do diabła, tam są skały i rafy większe niż rogi i guzy na łbie morskiego Lewiatana! Myślisz może, że nasza ślicznotka przefrunie nad nimi jak pierwszy raz chędo-żona młódka nad sterczącym kutasem?!

- Z twoim sprytem zmieniłbyś w morską nimfę najgrubszą krypę w Port Royal - wycharczał Wallis.
- Pomyśl, kamracie, jak nawigować statkiem, abyśmy nie skończyli na rafach, a ja zajmę się resztą.

- Sam przygotuję Speedy Fortune do morskiej podróży.

- Zbytek łaski.

- Zajmę się tym - czerwone oczy Banea nie wyrażały teraz absolutnie niczego - bo ciebie czeka inna robota.

- O co ci idzie?

- Musisz pogadać z jakimś Samuelem Beckettem zwanym Starym Benem. Bo właśnie świta mi, że on chyba pływał na Lwią Głowę do jakiegoś wraku. I coś mi się kołacze, że nie była to wyprawa na niewinne dziewice.

Jacek Komuda

Kamraci wrócili w jednej szalupie, kiedy sztorm porachował im kości lepiej, niż kostucha policzy nasze grzechy na Sądzie Ostatecznym. Ale jeśli dopłynęli do wraku, to pewnie będzie wiedział, co nas czeka między skałami. Czego się strzec i jak uniknąć raf.

- Gdzie go znajdę?
- Na plaży w Północnych Dokach. Ten stary moczy-gęba gnieździ się gdzieś koło Fortu James.
- Dobrze, Bane. Załatwię to jeszcze dzisiaj.
- No to byczo, kamracie. Tylko uważaj na szczury.
- Na... szczury?
- Sam zobaczysz.

Szczurołap

Domostwo Samuela Becketta wyglądało jak miejskie śmieciowisko, w środek którego padł granat z wojennego liniowca. Czyli, mówiąc krótko: zgoła żałośnie. Była to zmurszała ze starości, pochylona od wiatrów szopa ukryta między rybackimi sieciami. Podparta sękatymi balami, obwiązana resztkami postrzępionych lin okrętowych. Uwadze Wallisa nie uszło, że wszystkie szpary zostały starannie zabite deskami, a w oknach rozwieszono sieci. Chociaż próchno sypało się z desek, Stary Ben z dziwną pieczołowitością załatał każdą dziurę i wgłębienie w ścianach swej rezydencji.

Szopa śmierdziała przerażająco - gorzej niż dolny pokład niewolniczego galeonu po czterech miesiącach morskiej podróży. Jednak nie była to woń brudu i odchodów, wstrętny odór wydobywał się ze wzdętych ciał zdechłych szczurów, których całe tuziny leżały pod ścianami lub

Sześćset cetnarów piekła

też zwisały - przywiązane za łapy lub łyse ogony - do tyczek i kijów rozstawionych przed sadybą Becketta. Nie ma co gadać - stary musiał mieć nos ze stali, aby mieszkać w takim miejscu.

Na wołanie nikt nie wyszedł. Nikt również się nie odezwał, kiedy szmugler zaczął walić w zamknięte drzwi. Wyglądało na to, że są zaryglowane od środka, zatem Ben musiał przesiadywać wewnątrz swego kasztelu, przy którym nawet najstarsza i najbardziej zagnojona obora przypominała pałac cudów z czarodziejskiej bajki.

Wallis wkrótce zmęczył się wołaniem. Obejrzał wejście, a potem wbił nóż w szczelinę i po kilku próbach uniósł w górę zasuwę. Zajrzał niepewnie do mrocznego wnętrza. Kontrast z gorącym, zalanym blaskiem słońca wybrzeżem był tak ogromny, że w pierwszej chwili miał wrażenie, iż spogląda prosto w mroczną paszczę Maelstromu. Uczynił krok, potem drugi. Usłyszał szcęk metalu i...

Zawył z bólu, kiedy ponacinane ząbkowato ostrza zwały się na jego prawej stopie.

Wszedł prosto w kurewską pułapkę na szczury, rozstawioną na wprost drzwi! Na szczęście gruba skóra butów uchroniła nogę przed zmiżdżeniem.

- Ben! Murwo w zadek francowatym kusiem chędo-żona! - zawył. - Zabiję cię, pokrako!

Klnąc dalej na czym świat stoi, jęcząc i złorzecząc cholernemu staruchowi, rozchylił szczęki, uwolnił nogę, cisnął z furią pułapkę na ziemię i dopiero wtedy rozejrzał się po śmierdzącym przybytku.

Pod ścianami dostrzegł beczki, gliniane garnki i stoje z jakąś mętną zawartością, zwoje lin, kawałki drutu, żelazne noże i szpikulce oparte o ścianę. Kopnął żeliwny kociotek, a kiedy postąpił bliżej, z mroku wyłoniło

acek Komuda

się cuchnące, jak wszystko tutaj, drewniane wyrko zbite z poszczerbionych klepek, nad którym zwieszała się gęsta rybacka sieć. Na barłogu leżał staruch z brodą niby wiecheć słomy, odziany w skórzany kaftan i koszulę, które śmiało mogłyby służyć miejscowym rybakom do połowu fląder zamiast niewodów. Co mogłyby się okazać o wiele skuteczniejsze niż tradycyjny sposób, gdyż Wallis był święcie przekonany, że smród przyodziewku nawet pod wodą zabiłby każdą żywą istotę w promieniu pięćdziesięciu stóp.

Stary Ben wyglądał jak martwy, kiedy jednak James zobaczył rozrzucone wokół posłania puste butelki, od razu zrozumiał, że stary zdryfował ku najdalszym lądom t pełnym źródeł tryskających rumem i gorzałką. A ponieważ jasnym było, że mógłby krzyczeć do pijanicy i gadać równie długo, co cnotliwy prezbiterianin do katolickiego obrazu, rozplątał sieci nad łóżem, podniósł cuchnący, przelewający się przez ręce zewłok, a następnie wyciągnął go na światło dzienne.

Tutaj nie bawił się we francuskiego galanta. Znalazł barytkę, napełnił ją wodą, a potem chlusnął prosto w zarośnięte oblicze starego. Musiał powtórzyć tę czynność trzykrotnie, zanim moczygęba zachrypiał jak stara pompa w zęzie, zadygotał, wydał z siebie ryk niby głos rozwścieczonego walenia, a potem zamrugął kaprawymi oczkami.

- Czego! *- wycharczał, wstrząsając głową i rozbryzgując wokół siebie krople morskiej wody. - Co jest, kur-wisynu?

- Coś zgubiłeś, stary bukanierze! - Wallis potrząsnął przed kostropatą gębą glinianą butlą z rumem.

- Dawaj!

Sześćset cetnarów peka

James sprawnie cofnął rękę, dłoń Starego Bena przecięła tylko puste powietrze.

- Eenhoorn, parchaty diable. Wrak stary jak świat, który osiadł na skałach w pobliżu Isla de Pinos, przy wysepce zwanej Lwią Głową. Gadają w porcie, że kiedyś szukałeś na nim gładkich syren, jurny ogierze.

- Eenhoorn... - wychrypiął Stary Ben. - Nie... Nic ci nie powiem, do starej kurwy narożnicy. Nie o nim. Za żadną cenę.

Wzrok przeczył jego słowom; stary obszarpaniec wodził wzrokiem za butelką niczym młoda ladacznica za złotym dukatem w ręku nadobnego gacha.

- Posłuchaj, Ben, będziesz miał tę butelkę. Jak zechcesz, to i drugą. A może nawet trzecią. O ile tylko wykażesz się rozsądkiem.

Pozwolił, by staruch capnął naczynie, pociągnął łyk, drugi, trzeci, aby przysłał się do szyjki jćik pijawka, po czym... Wyrwał z trudem flaszkę z ręki starego.

- Nie będę tu sterczeć do sądnego dnia! - warknął. - Gadaj, jak dołynąć do Eenhoorna, nie zostawiając przy tym własnej rzyci na skałach!

Stary Ben zadygotał jak w febrze, a Wallis niespodziewanie dostrzegł na jego obliczu strach.

- Nic ci nie powiem - wycharczał Beckett. - One wszystko słyszą, kamracie... Przyjdą po ciebie tak jak po mnie... Nie, nie zmusisz mnie!

- A jeśli dodam ci do flaszki jeszcze dziesięć reali? - Wallis zabrzczał miedziakami w kabzie. - Może to rozjaśni ci we łbie, smrodliwy szelmo?

- Nie pływaj na Eenhoorna. - Starzec drżał. - Byłem tam... Z chłopakami, szalupą. Tam jest bogactwo... Korzenie... Ale nie tylko one.

480 • Jacek Komuda

- Jak dołynąć do wraku?

Pozwolił staremu na kilka łyków.

- Opłyn od zachodu dwie skały układające się w kształt rogów - wycharczał Ben, widząc, że Wallis lekce sobie waży głos rozsądku. - Kiedy zobaczycie wrak, nie żeglujcie od razu do niego, rzućcie kotwicę przed piaszczystą łachą. Do Eenhoorna dołyniecie tylko w szalupach... Inaczej pójdziecie na dno w tysiącu kawałkach. Na rafach i skałach... Ale nie wchodźcie do wraku... Na rany Jezusa Chrystusa, nie wążcie do tej starej, parszywej krypy!

- Dlaczego, Ben? - James nachylił się nad moczogębą. -Dlaczego mamy tam nie wchodzić? Coś tam widziałeś?

Coś, co sprawiło, że nie możesz żyć bez flaszki?

Staruch zadygotał od czubka brody aż po bosc pięty oblepione ziemią.

- Tam były szczury - wycharczał. - Tysiące...

Poderwał się, skoczył na nogi, uderzył plecami o ścianę szopy, a potem chwycił szypra za rękaw wamsa, przytrzymał trzęsącymi się rękoma.

- Zapamiętały mnie - wychrypiał. - Przychodzą co noc. Niepokoją za dnia. Wdzierają się przez każdą szczelinę do mojej szopy. Chcą pożreć mi żywcem serce, wydrzeć oczy...

Wallis próbował się wyrwać, ale palce Starego Bena trzymały go niczym kleszcze.

- Walczę nimi co dzień - charczał starzec. - Zabijam ogniem i żelazem... Ale ciągle się mnożą... Wciąż pamiętają, że byłem na Eenhoornie. Nie zabijesz ich wszystkich. - Ben szarpnął gwałtownie zaskoczono kapitana ku sobie, niemal wciągając go do szopy. - Ale weź, weź to. - Prawą ręką szukał czegoś na skrzyni, wśród pustych

Sześćset cetnarów piekła

butli po rumie i glinianych garnców. W końcu znalazł i wcisnął w dłoń przemytnika dużą, zakorkowaną flaszkę z mętną zawartością.

- To jest trucizna na szczury - wycharczał. - Robią ją Indianie z Maracaibo, wyciągają z węży i ropuch. Nie, nie dawaj im tego od razu. Nie dolewaj do strawy. One poznają... Nie ruszaj. Bądź mądrzejszy od tych bydła. Znajdź świnię, psa albo kota i wlej mu to do gardła. A kiedy zdechnie, podrzucić im ściwo. Bierz, bierz, inaczej nie przeżyjesz... To diabelska fluita, przeklęty Latający Holender pełen zarazy i szczurów... Tak, tak...

Nagle zeszywniał, łowiąc uchem jakiś szmer, a potem skoczył do szopy.

- Już idą! - zawył. - Słyszę, jak wypełzają z nor! Uciekaj, głupcze! Uchodź stąd natychmiast! Precz!

Gdy Wallis cofnął się przed jego furią, Stary Ben zatrzasnął drzwi szopy, zaryglował je z chrzęstem. Słychać było jeszcze, jak miota się w ciasnym wnętrzu, tłukąc butelki, wrzeszcząc i jęcząc ze strachu.

Przemytnik odszedł, ściskając bezwiednie w ręku flaszkę pełną trucizny.

Tajemnica fluity

Zrobili dokładnie tak, jak radził Stary Ben. Speedy Fortune - niewielka snigga, która nie raz wymykała się szma-kom holenderskich i hiszpańskich strażników wodnych -płynęła między skałami baksztagiem, ze

zrzuconym fokiem i grotem, rejami zbrasowanymi na wiatr i wybranymi szotami marsli. Opłynęli od zachodu dwie skały ukształtowane na podobieństwo rogów, przemknęli

acek Komuda

obok ukrytej w odmętach rafy. Bane stał na dziobie, obok majtka z ołowianką, czasem rzucał krótkie komendy przycupniętemu za rudłem Wałlisowi. Doprawdy ten pilot miał wyjątkowego nosa do prowadzenia statku między płytcznami. Nie raz i nie dwa wyminęli ostre jak brzytwa krawędzie skał, przemykali się po tak płytkich mieliznach, że szyper odruchowo wtulał głowę w ramiona, spodziewając się, iż lada chwila łoskot trzaskających desek zakończy ich doczesną egzystencję. A jednak za każdym razem, gdy myślał, że Speedy Fortune nie ma cienia szansy, aby zmieścić się między ostrymi grzbietami raf, statek jakimś cudem unikał niebezpieczeństwa.

Wreszcie, kiedy uporali się z pułapkami, gdy przed dziobem zaświecił długi, szeroki pas piaszczystej mielizny, dostrzegli przed sobą ciemny zarys żaglowca. To była fluita Eenhoorn. Ich cel, bogactwo, fortuna, sława i przekleństwo.

Z pozoru nie wyglądała groźnie. Przechylony na sterburtę i do przodu kadłub szarzał wśród skał niczym cielsko zdechłego żarłacza. Straszego za życia, lecz po śmierci groźnego tyle, co solidna wołowa ćwierć wystawiona na ławie przez rzeźnika.

Eenhoorn leżał okaleczony, pozbawiony masztów, z których zostały tylko kolumny grot- i fokmasztu, odarty z żagli jak trup z szat. Wichry i fale morskie wcisnęły fluitę głęboko na skały - rufa uniosła się, odsłaniając tylnicę i ślad pooderwanej płetwie sterowej. W kadłubie widniały dziury i szczeliny, a w miejscach, gdzie pianki rozstały się pod wpływem wilgoci - wręgi i wzdłużniki sterczały jak kości pradawnego olbrzyma. Pomimo iż dziobnica była prawie cała zagrzebana w piachu, spora część kadłuba ledwie dotykała wody - zapewne dlatego

Sześćset cetnarów piekła • 483

morskie nawałnice i wichury nie zdołały zmienić Eenhoorna w stos gnijących klepek i potrzaskanych bali.

Szybko rzucili kotwicę i spuścili szalupę. Marynarze naparli na wiosła i wkrótce mknęli już ku obłej burcie wraku. Wallis nakazał podpłynąć do rufy, gdzie obok stewy tylnej ziała ogromna dziura, szczyrząca do nich ułamki desek i wzdłużników niczym paszcza krakena. Wkrótce dobili do brzegu, wyciągnęli szalupę na płaski odłam skały, a potem rzucili liny z hakami, zaczepili o postrzępione krawędzie sznurową drabinkę i wspięli się do otworu; Wallis pierwszy zajrzał do mrocznego wnętrza. Serce biło mu jak oszalałe.

W środku pełno było potrzaskanych bali, gnijących pianek, beczek, przegniłych worków. Widać w czasie sztormów woda waliła do wnętrza statku wszystkimi otworami, bo na ściankach kadłuba osiadły zgniłe wodorosty, a w kałuży, jaka utworzyła się na przegniłych deskach wynurzających się spod piasku, leżało

kilka śniętych ryb. Nozdrza przemytnika poczuły stęchłą woń zbutwiałego drewna. Było tu wilgotno, cicho i ciemno, choć przez szczeliny w górnych pokładach przedostawały się wątle smugi światła.

Duża ilość porozbijanych i butwiejących beczek wska- > zywała na to, że trafili do komory prowiantowej. Gdy flui-ta wpadła na skały, burta z lewej strony poszła w drzazgi -drewniane wręgi zapadły do środka, a ciężar osiadającego statku roztrzaskał kil i pokład pomieszczenia. Na szczęście ocalała pokryta pleśnią i porostami gródź prowadząca zapewne do ładowni albo do komory prochowej. Wallis dojrzał niską, częściowo zbutwiałą furtę, podszedł do niej ostrożnie po pochyłości utworzonej przez skały

484 • Jacek Komuda

i stare deski, przyłożył ucho do mokrego drewna. Nic, Z wnętrza statku nie dochodził żaden szmer.

Pociągnął za żelazny pierścień. Niespodziewanie drzwi stawily mu opór. Pchnął z całej siły, ustąpiły z trzaskiem. Rozpadły się na kawałki tak nagle, że stracił równowagę, wpadł w mrok, potoczył się po mokrej, uginającej się posadzce, wpadł między beczki i antały, zmoczył w płytkiej, cuchnącej wodzie. I jeszcze zanim cokolwiek zobaczył, zaczął krzyczeć, wyć, miotać się w półmroku.

- Co jest, do stu tuzinów chędożonych syren?! - zary-czał jakiś głos. Złotawa poświata lampy rozjaśniła wnętrze. Wallis zamarł. Zobaczył posępne gęby Banea i jeszcze dwóch ludzi z załogi.

To sprawiło, że oprzytomniał i rozejrzał się dokoła. Byli chyba w ładowni - w szerokim, woniejących zgnilizną pomieszczeniu. Wszędzie poniewierały się beczki -jedne przegniłe, zanurzone w mętnej wodzie, inne roztrzaskane, w czasie gdy Eenhoorn strądownał. Jednak te, które znajdowały się wyżej - wciąż zabezpieczone sieciami i linami - zachowały się w dobrym stanie.

Wallis poderwał się na nogi. Nigdzie nie było szcurów ani morskich bestii. Ot, zwykła ładownia zniszczonego, zbutwiałego statku.

- No to zdobyliśmy Eldorado - mruknął Bane przez zaciśnięte zęby. - Zobaczmy, czy nasze złoto stanie się złotem głupców.

Szybko przeciął sieć przytrzymującą beczki. Wspólnie z resztą ludzi ściągnęli pokązną barytkę, wytoczyli ją na środek ładowni. Bane odbił wieko toporem.

Wallis zerknął mu przez ramię i zadygotał, jak gdyby się obawiał, że w beczce skrywało się coś, co miało niewiele

Sześćset cetnarów piekła • 485

wspólnego z korzeniami i przyprawami. W świetle latarni ujrzeli długie, brązowawe, żłobkowane ziarna...

- Kakao, do kroćset! - rzekł Bane. - Patrzenie, ile tu tego jest, kamraci!

Istotnie - wzdłuż ścian ładowni piętrzyły się beczki, skrzynie i worki pełne towarów. Znaczna ich część była zniszczona - morze zalewające w czasie przyływu najniższy pokład żaglowca zabrało ze sobą

towaru za kilka tysięcy funtów. Jednak część beczek rozmieszczonych na górnych pokładach mogła pozostać nienaruszona.

Bane wytoczył kolejny antał. Topór błysnął, rozwalając wieko. W świetle latarni dojrzeli długie, wąskie, brązowawe rurki. Wallis drgnął, widząc, jak poruszyły się nagle... Nie, to było tylko złudzenie, gonitwa cieni od chybocącego płomienia latarni.

- Cynamon! - zakrzyknął Bane. - Jesteśmy bogaci!

- Na górny pokład! - zarządził bosman Killick. - Tam będzie tego więcej! Razem, kamraci!

Szybko skoczyli w stronę gretingu, zamykającego luk na górny pokład, spoza którego przenikały wąskie smugi słonecznego blasku. Wstąpili na poszczerbione stopnie, naparli na kratę, potrząsnęli mocno. Nie ustąpiła.

- Jak to trzyma, pioruństwo! - zawył Bane. - Podeprzyjcie, chłopcy, a mocno!

Pchnęli plecami kratownicę, zaparli na stopniach. Pilot uderzył obuchem topora raz, drugi, trzeci...

- Dźwigajcie, kamraci!

Stęknęli z wysiłku, gdy greting poddał się wreszcie, poderwał w górę, złamał z trzaskiem. Usłyszeli dudnienie - widać jakaś beczka stała na pokrywie luku.

Wallis wszedł pierwszy na wyższy pokład Eenhoorna. Bane świecił mu latarnią, choć było tutaj znacznie wid-

Jacek Komuda

niej i przestronniej niż na dnie fluty. Panował tu prawdziwy chaos - worki i beczki składowane pod ścianami wypadły w czasie katastrofy z sieci, uwolniły się z więzów, zalegając podłogę. Wszędzie leżały splątane, postrzępione liny, resztki desek, wiader, potrzaskane klepki, spleśniałe worki i pakunki. Nigdzie jednak, poza nielicznymi dziurami w kadłubie, nie widać było śladów niszczycielskiego działania wody.

Kapitan ruszył w stronę rufy - tam gdzie musiała być komora prochowa. I zaraz zatrzymał się niepewnie.

Pierwszy trup leżał na plecach. Ciało wyschło, koszula i pludry oblepiły szkielet okryty gdzieś resztkami skóry. Czaszka przewiązana spłowiałą chustą spoglądała na nich z zadumą. Wallis pochylił się nad trupem. Trudno było dociec, jak zginął ten majtek. Szukał śladów złamań, może kuli tkwiącej wśród wysuszonych żeber klatki piersiowej, ale nie znalazł niczego podobnego. Czerep także nie wyglądał na zmiażdżony. Nic nie wskazywało, że potraktowano go pałaszem albo toporem.

I wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie, pusta, poźółkła skorupa poruszyła się, obróciła na bok! Wallis jęknął...

Bane, śmiejąc się, pchnął czaszkę czubkiem buta. Kopnął z rozmachem, posyłając ją w mrok ładowni.

- Parszywy umrzyk! - zarechotał grubo. - Kamraci, tu jest ze dwadzieścia ton korzeni! Na co truposzom przyprawy! Dalej dbaj o liny i toporów! Wszystko jest nasze!

Skoczyli do ątosów beczek. Bane rąbał toporem wieka, przecinał liny, rozwałił skrzynie i worki...

Eenhoorn okazał się fortuną, Eldorado i źródłem wiecznej młodości w jednym! W antałach i półbeczkach leżało kakao, cynamon, wanilia, miedź i skóry. Ładunek

Sześćset cetnarów piek

warty więcej, niż gdyby cały statek zbudowany był ze złota.

- Cisz! Spokój, do stu diabłów! - Wallis uciszył krzykiem rozradowanych kompanów. - Brać się do roboty, trutnie! Musimy to wszystko przewieźć na Speedy Fortune, zanim zapadnie zmrok!

A tak naprawdę czaszkowa! Już, czy mając takie bogactwa w ładowni, nie spróbować okpić Buskena i nie sprzedać wszystkiego na Hiszpanioli znajomemu kupcowi.

- Killick! - Bane przywołał bosmana. - Biercie srebro i skóry, potem korzenie. Zabierać beczki z góry! Popłyniecie z tym na statek i wróćcie, kiedy zwalicie to wszystko do ładowni! Ruszać się, bo zaraz brodacze Neptun wsadzi wam w tyłek trójzęb i zakręci nim tak, że aż zgłupiejecie!

Bosman popędził spełnić polecenie. Bane nie żartował. Słyszeli, jak wiatr wzmagął się, świszczą w szparach kadłuba. Morze szumiało coraz głośniejsze i być może była to zapowiedź nadchodzącego sztormu.

Wallis nie patrzył na krzątających się majtków. Spoglądał przez otwartą furtę do komory linowej. Między zwojami zbutwiałych lin dostrzegł kolejny szkielec. Ten spoczywał na postaniu ze skór, wciśnięty między beczki i tarcice, nakryty płócienną płachtą. Wyglądało, jakby śmierć dopadła go w trakcie snu.

- Bane - mruknął, nie odwracając głowy - chodź

tu!

- Co się dzieje?!

- Jak myślisz, na co oni umarli?

- Na melancholię z powodu straconej cnoty. - Pilot splunął pod nogi i roztarł ślinę butem. - Albo z pragnienia, kiedy skończył się rum. Naprawdę nie masz po-

Jacek Komuda

ważniejszych zmartwień? Co za bies cię ukąsił, że nagle zmieniłeś się w dobrego samarytanina?! Zmów za nich paciorek i daj mi spokój, do czarta.

- A czy nie widzisz, że coś z tymi truposzami jest nie tak?! Żaden nie ma połamanych gnatów, śladów po kuli ani cięciach pałaszem. Po prostu chciałbym wiedzieć, co tu się działo.

- Po co ci to?

- Bo nie wiem, czy Busken nie chce wplątać nas w znacznie większą kabałę niż odrzucenie moich palców.

- To nie był statek piracki, bo który korsarz pływa na takiej krypie - wzruszył ramionami Bane. - Za ładunek pewnie już dawno zapłaciła Kompania Wschodnioin-
, dyjska, a armator przehulał odszkodowanie w zamtuzie.

- Muszę zobaczyć kapitańską kajutę. Chodź ze mną.

Bane pokiwał głową. Dobrze, że nie stawał okoniem,

bo Wallis za żadne skarby nie przyznałby się, że trochę mu straszno zapuszczać się samotnie w zakamarki wraku. Rażno skierował się ku zejściówce i ruszył w górę. Luk prowadzący na górny dek nie był przykryty gretin-giem, więc szyper nie musiał odwoływać się do pomocy kompana.

Pokład zalany był słońcem, zavalony piaskiem. Wiatr świszczął na porwanych linach, łopotał płótnami bezana, z którego po licznych sztormach i nawałnicach wpychających kadłub coraz głębiej między skały pozostały smutne resztki nie większe od domowego obrusa. Fokmaszt zwałił się za burfę, zapewne wówczas gdy statek uderzył w skały, pozostały z niego tylko resztki kolumny z lewo-burtowymi wantami. Grotmaszt także poszedł w diabły -

Sześćset cetnarów piekła • 489

dolna część była nienaruszona, ale stenga pękła, odłamała się na salingu i teraz leżała na deskach w oplocie porwanych sztagów.

- Hej, co to jest?!

Wallis szedł ku forkaasztelowi - niewielkiemu, osłoniętemu burtami - jak to zwykle na fluitach. Drzwi do kwatery załogi były uchylone. Na poszarzałych deskach ktoś nakreślił spłowiały, ledwie widoczny znak. Biały krzyż przypominający znak świętego Andrzeja...

- Słodki Jezu! - Bane prawie jęknął. - Poczekaj!

Wallis zamarł strwożony zmianą, która zaszła nagle

w głosie kompana. Zatrzymał się przed rozchwierutanyimi drzwiami.

- Co się stało?

Słowa Banea były jak wyrok, niczym lodowy gwóźdź wbity w głowę Wallisa.

- To znak zarazy. Oni umarli na czarną śmierć!

Szyper rzucił się w tył, potknął, omal nie przewrócił pilota.

- Zdrada! - jęknął i począł otrzępywać się, jak gdyby chciał oczyścić kaftan i wams z miazmatów choroby. -Busken wysłał nas na śmierć! Wszyscy zdechniemy od powietrza! Bane! Baaaane! Uchodzimy stąd! Zwijamy żagle! Zaraz, już, natychmiast!

Pilot chwycił go za kaftan i kołnierz pod szyją, przytrzymał, potrząsnął.

- Gdzie chcesz płynąć, głupcze?! Przed zarazą nie ma ucieczki! Jeśli śmierć ma nas dopaść, tedy lepiej od razu żałujmy za grzechy i śpiewajmy psalmy!

- Zabieramy się na statek - zajęczał Wallis. - Nie chcę zdechnąć jak pies!

acek Komuda

- Powiedziałem: stój! - ryknął Bane i zaraz dodał spokojniej: - Nic nam nie grozi. Ile lat temu rozbiła się tutaj ta krypa?

- Kilka... lat. Chyba... - wybełkotał Wallis. - Sam Bu-sken nie wiedział.

- Kiedy Hiszpanie w Portobello poznali, że służyłem na pirackim okręcie Coxona, chcieli zrazu skrócić mnie o głowę. Potem zmienili zdanie, bo w mieście szalała zaraza. Kazali nam - dobrym angielskim prezbiterianom -grzebać trupy, które wynosiliśmy poza mury. A jednak nie umarłem, nie miałem czarnych znamion ani dymienie pod pachami. Nie zachorował żaden ze skazańców. Przestań tedy wyć jak zwierzę, bo od kilkudniowego nieboszczyka nigdy nie zarazisz się morem. Nawet gdybyś wychędożył go na obie szpary!

Wallis przestał drzeć, ale tylko trochę.

- J-j-j-jak to?

- Tak to! Ten wrak leży tutaj wystarczająco długo, abyś nie musiał bać się zarażenia.

- Mówisz prawdę?

- Przecież żyję. A wtedy w Portobello dotykałem zmarłych gołymi rękoma. Przestań się trząść.

Wallis palnął się w czoło otwartą dłońią, jak gdyby o czymś sobie przypominał.

- Racja - mruknął. - Ależ głupiec ze mnie. Po tylu latach nie pozostał tu nawet ślad po zarazie. Tyle w tym wszystkim dobrego, że pewnie dzięki temu znakowi nikt nie ograbił Eenhoorna. Ze świecą można szukać śmiałków, którzy weszliby na zarażony statek. Dobra! Chcę zobaczyć, co jest na forkaasztelu.

- Nie radzę.

Sześćset cetnarów piekła

Wallis pchnął jednak nogą drzwi i wkroczył do mrocznego wnętrza. Wychylił się jeszcze i zabrał od Banea latarnię.

A potem rozległ się jego jęk.

To nie był miły widok. W niskiej nadbudówce wisiały stare, zbutwiałe hamaki z okropną zawartością. Dwanaście trupów. Dwanaście powykręcanych, poczerniałych ciał, które słońce i ptaki zmieniły w wyschnięte szkielety. Jedne leżały spokojnie, z kościstymi rękoma złożonymi do modlitwy, inne zakończyły życie w męce. Wallis widział ich powykrzywiane ciała, częściowo zwisające z hamaków, powykręcane dłonie zaciśnięte w okolicach gardła, jakby umierający przed śmiercią walczyli o tyc świeżego powietrza. Na podłodze, na lichych barłogach, leżeli kolejni zmarli.

Szyper ukrył twarz w dłoniach, przeżegnał się i wycofał tyłem, gdyż widok był tak straszny, że od samego patrzenia jego puls skoczył w górę, a gorączka ogarnęła czoło, jak gdyby miał już w sobie pierwsze oznaki czarnego moru.

- Dokąd?! - zagrzemiał Bane, widząc, że James zmierza ku zejściówce.
- Nie mogę na to patrzeć.
- Od kiedy zrobieś się taki wrażliwy?! Idziemy do kajuty kapitana.
- Mam dość.
- Przecież sam chciaeś zajrzeć do szkatuły szypra!
- Prawda.

Ruszyli w stronę rufy, przechodząc ponad strzaskanymi rejami. Liny i sztagi plątały im się pod nogami, wyschnięte wodorosty naniesione przez sztormy oblepiały fałszburty.

4 • Jacek Komuda

Niespodziewanie drzwi do kapitańskiej kajuty stawiały im opór. Wallis szamotał się z nimi bezskutecznie, kopał, walił ręką pałasza. Wyglądało na to, że zostały zaryglowane od wewnątrz. Z pomocą przyszedł mu Bane. Rębał toporem, poprawiał solidnymi kopniakami, zziąjął się szybko i zmęczył. Wreszcie wpadł na inny pomysł, rozrębał próg, wcisnął ostrze w szczelinę. Porwali razem za stylisko, wspólnymi siłami podnieśli drzwi w górę, wyważyli z zasuw, popchnęli. Padając, furta pękła z trzaskiem na pół.

W wąskiej i ciasnej kapitańskiej kajucie panował mrok. Dwa malutkie okienka zabito szczelnie deska-, mi. Właśnie... Zabito. Wallis z mieszanymi uczuciami skonstatował, że równie starannie pozabijano szczeliny w grodzi, a odrzwia wzmocniono drewnianymi deskami. Kabina była pusta. Na podłodze leżał postrzępiony dywan, pod ścianą widniała koja, stary, pokryty kurzem stół, fotel, kilka skrzyń i worków. Bane skoczył do nich, otwierał po kolei, wyrzucał zbutwiałe koszule, ciżmy, podziurawiony kaftan, pusty mieszek.

- Nie ma złota! - warknął wściekle.

Wallis rozglądał się za dziennikiem okrętowym. Nie widział nigdzie opasłej księgi. Zerknął pod przewrócony fotel, przeszukał porośnięte pleśnią poślanie, zajrzał do dwóch skrzyń. Okna zabite deskami, wzmocnione drzwi, zatkanie szpary - nawet dziury po sękach w deskach podłogi... To wszystko coś mu przypominało.

Do diabła! Nigdzie nie było ciała kapitana.

- Gdzie jest szyper?
- Co? - Bane zajęty był właśnie rozbijaniem skrzynki. - Co jest, do kurwy nędzy?!

Sześćset cetnarów pieka

- Skoro kajuta była zamknięta od wewnątrz, tedy co się stało z tym, kto zabarykadował się w środku?
- Nie masz większych kłopotów? - Uparty zamek odskoczył wreszcie. Lecz Bane zaklął wściekle, bo w kufrze były stroje i ciżmy.

Wallis milczał, bo nie wiedział, co ma rzec o tym wszystkim. Co tu się stało? Dlaczego szyper zamknął się w kajucie i zabił drzwi deskami? Napadli na nich piraci? Morski potwór? Ale na pokładzie nie widać było śladów walki! † »

- Zabieramy się stąd, Bane! - rzekł do pilota. - Im szybciej postawimy żagle, tym lepiej. Ruszajmy pod pokład zobaczyć, jak radzi sobie Killick!

Krew na pokładzie

Zeszli do mrocznej, wilgotnej ładowni we dwóch, niosąc lampę rzucającą chybocące, rozmazane cienie. Trzeci kompan odsunął greting na pokład, spuścił im na dół długi powróż z pętlą.

- Bierzemy tylko srebro i cynamon! - wycharczał Da-vies, rozglądając się po beczkach zabezpieczonych sieciami i linami. - Mamony starczy nam do końca życia.
- Czy aby na pewno nie usłyszą? - zaniepokoił się drugi. - Wallis wyrwie nam żywcem serca, jeśli nakry-je nas przy tej robocie.
- Wallis i Bane chleją rum w kajucie. Osiądą na dnie, kiedy my znikniemy ze srebrem. Sprzykrzyło mi się już szorowanie pokładów pod okiem tego angielskiego fir-cyka. Tu, na tej przeklętej Speedy Fortune, urobisz się, brachu, po łokcie, a wszystkie twoje udziały wciągną no-

4 • Jacek Komuda

sem lichwiarze, kurwy i dłużnicy naszego zafajdanego szypra! Spływam stąd z pierwszym przyplływem! Bierz się za beczkę!

Speedy Fortune żeglowała po wzbudzonym morzu. Był wieczór, pół dnia minęło, od czasu gdy wyciągnęli parę ton frachtu z Eenhoorna, przeładowali na sniggę i wyruszyli przez wiatry i burze do Port Royal. Humory psuł tylko fakt, że nader szybko ubywało rumu w beczkach.

- Szalupa gotowa. - Trzeci z buntowników zszedł do ładowni. - Dawajcie, bracia, z całej siły.
- Coś ciężka - zasapał któryś. - Raaaazem! Rrrrów-no!

Ostrożnie zestawili potężną beczkę. Zadrżeli, kiedy ' wydało im się, że się poruszyła.

- Ki diabeł?! - warknął Davies. - Co jest, brachu?

Beczka zadygotała, choć żaden z nich nawet jej nie

tknął. Zatrzeszczała, jakby w środku kotłowały się ze dwa tuziny diabłów i jedna diablina, której wszeteczna chuć była przyczyną całego zamieszania.

- Co, do kroćset! - warknął Davies. Uniósł w górę topór, zawahał się...
- Nie ru... - jęknął jego kompan. Nie zdążył nawet domówić tych słów.

Jedno mocne uderzenie zabrzmiało jak łoskot katowskiego topora. Wieko beczki odbite obuchem spadło na pokład ładowni. Majtek przeżegnał się, ale przemógł strach i zajrzał do środka...

...czyniąc zadość przysłowiu, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Coś poruszało się między laseczkami cynamonu. Czarne, włochate kształty wygrzebywały się na swobodę pomiędzy korzeni, kłębiły w beczce.

Sześćset cetnarów peka

Szczury?!

Davies odskoczył z rykiem, gdy uświadomił sobie, co kryło się w beczkach, skrzyniach i workach. Rozmazany, bezkształtny kłęb wyrwał się z wnętrza antała, runął w jego stronę. Okrutne stwory oblażyły go ze wszystkich stron, pokryły ciało i członki...

Kompani zawyli jednym głosem. Ten, który stał dalej, rzucił się ku schodni. Wypuścił lampę, która upadła z hałasem na pokład, świeca w środku zgasła, pogrążając ładownię w ciemności. Przez chwilę słychać było głośne wycie, a potem dziwny szmer i chrobot* ,

Krzyki Daviesa i jego kompanów zbudziły wszystkich majtków na statku. Schodnie załomotały pod ciężarem stóp, na głównym deku rozległy się krzyki i nawoływania. Wnet na górze ładowni pojawiło się wątłe światło, rozrosło do rozmiarów poświaty, opuściło w dół razem ze schodzącym Wallisem. Bane zeskoczył na deski zaraz po nim. Cutlas i pistolet miał w pogotowiu. Za nimi tłoczyli się marynarze.

- Ahooj! Jest tu kto!? - zawołał szyper. Niesiona przez niego latarnia wydobywała z mroku zarysy beczek i baryłek pod burtami statku.

- Sprawdźcie, czy są wszyscy! - rzekł Bane. - Dalej, policzyć się, bałwany!
- Brakuje Daviesa i tych, co zesli z psiej wachty! -wybełkotał błady z przerażenia Killick. - Davies! Daaa-vies! Odezwij się, synu starej murwy!

Wallis postąpił w głąb ładowni. Latarnia wydobyła z mroku czarny kształt beczki wyciągniętej ze stosu an-tałów i skrzyń. Serce od razu skoczyło mu do gardła. Ktoś wyciągnął baryłkę z cyminem! Ktoś chciał obrabować jego statek!

acek Komuda

- Davies, skurwysynu! - zawył. - Patrzcie tu tylko! Chcieli nas okraść! Powieszę złodzieja na najwyższej marsrei! Obedrę ze...

Umilkł i nie skończył zdania, bo wszystko, co najgorsze, już spotkało niedoszłych rabusiów. Zadygotał, gdy w słabym żółtawym świetle dostrzegł leżące na pokładzie ładowni trzy obrane z mięsa, jeszcze parujące... szkielety.

O Jezu!

Cokolwiek to uczyniło, było szybkie i głodne. Na zakrwawionych kościach pozostały poszarpane resztki koszul, galotów i pludrów. Na pokładzie leżał zapomniany but, szable i pałasze oraz niewystrzelony pistolet z odwiedzioną skałką...

- Niedobrze wyglądasz, Davies - wydyszał Bane.

A potem zgiął się wpół, gdy chwyciły go torsje.

Jęk, krzyki i wrzaski dobieły się z ust marynarzy. Najpierw cisnęli się do zakrwawionych szkieletów, wiedzeni ciekawością, aby potem jeszcze szybciej odsunąć się od beczki. Żegnali się nabożnie, klękali, wodzili dokoła półprzytomnym wzrokiem. Wallis poczuł się tak, jakby śnił na jawie.

- Kto to zrobił!?
- To nie człowiek! - jęknął Killick. - Żaden z nas, kamraci... Diabeł! Morski Lewiatan, zitrion, upiorna bestia!
- Jesteśmy zgubieni! - załkał inny. - Przekłęci! Naruszyliśmy spokój zmarłych na Eenhoornie i teraz będą pić naszą krew każdej nocy. Aż wreszcie zostanie jeden, który zabarykaduje się w kapitańskiej kajucie.

Nie dokończył. Wallis chwycił go za koszulę pod szyją i rzucił na beczki, potrząsnął, zakolebał, wpatrzył się prosto w oczy.

Sześćset cetnarów piekła • 497

- Milcz, do stu diabłów, parszywy durniu! Szukajcie! -zaryczał. - Szukajcie na całym pokładzie! Ten, kto to zrobił, nie wyjdzie żywy z ładowni! Znajdziemy go, a potem obedrzemy żywcem ze skóry i przeciągniemy pod kilem!

- Hejże, za mną! - ryknął Bane, który wreszcie zebrał swój żołądek w garść. - Pomścić Daviesa! Bies nie bies, damy mu popalić!

Kilku strachliwych zawahało się, ale pilot i szyper nie dali pozostałym czasu do namysłu. Płazując pałaszami, pokrzykując, potrącając, zmusili ich do biegania ze światłem po ładowni, zagładania we wszystkie zakamarki. Sprawdzili kabelgat i komorę prochdwą, zajrzeli do komory prowiantowej. Nic.

Bane zatrzymał się przed otwartą beczką. Zajrzał do środka, ale zobaczył tylko korzenie. Szybko dopadł do kolejnego antała, wytoczył go z trudem, odbił wieko. Wewnątrz był cynamon i nic więcej. Żadnego diabła. Żadnego biesa, ani nawet zdechłego szczura!.

Marynarze w amoku miotali się po ładowni. Wallis zakrył płócienną płachtą krwawe szkielety. Przeżegnał się.

Bane w desperacji zanurzył obie ręce w cynamonie. Pogrzebał w beczce, jak gdyby spodziewał się, że coś tam znajdzie. Przymknął oczy, gdy jego dłonie błędziły między sypkimi korzeniami, a potem niespodziewanie rozwarł źrenice.

- Kamraci, coś tu jest! - stęknął. - Pocz...kajcie!

Wallis doskoczył do niego. Bane wyciągnął jakiś

przedmiot ukryty w przyprawach. Szyper patrzył na jego ręce z niepokojem i wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Pilot trzymał w ręku plik papierów.

498 • Jacek Komuda

- Jakieś kwity - mruknął z oburzeniem i cisnął papie-rzyska na podłogę, a potem znowu zanurzył ręce w cynamonie. - Nic nie ma! - zawyrokował w końcu.

- Dawajcie następną!

Kapitan podniósł z podłogi zwitek zapisany niewyraźnym, gęstym pismem. Podniósł go do oczu i zaraz opuścił.

, - Killick - przywołał bosmana - pozbądź się tego... -Wskazał szkielety.

- Tak, panie. Tylko - zawahał się oficer - co mam zrobić? Spalić?

- Wyrzuć za burtę! - ryknął Wallis. - A potem prze-trząśnijcie cały statek od kilu po wimpel na grotmaszcie!
- Tak jest!
- A ty Bane - ściszył głos - przestań szukać diabła w korzeniach i chodź do mojej kajuty.
- Co się stało?
- Właśnie znalazłem odpowiedź na wszystkie nasze pytania.

Zapiski truposzą

- To są zapiski ich szypra - wybełkotał Wallis pijackim głosem. - Całą załogę i oficerów wydusiła czarna śmierć. Płynęli z Curaçao do Europy, ale po drodze mieli uzupełnić zapasy na Martynice. Dopłynęli tam jako żywe trupy...

Kiwali się nad piątą butlą rumu w kapitańskiej kajucie Speedy Fortune. Gorący deszcz bił o ściany rufowej nadbudówki, zacinął skosem, siekł żagle i wanty na pokładzie.

Sześćset cetnarów piekła ■ 499

- Zaraza zaczęła się trzeciego dnia. Kiedy dotarli do Martyniki, nikt jeszcze nie umarł. Złożyli chorych na forkasztelu i to właśnie ich zgubiło! Gdyby wyrzucili zdychających kamratów za burtę, zdołaliby zacumować. A tak Francuzi od razu wyczuli pismo nosem. Zamknęli port łańcuchami i kazali im się wynosić na otwarte morze. Wiedząc, że mają za mało wody i żywności, aby płynąć do Europy, kapitan próbował zawinąć na Barbados. Ale wieści już się rozeszły - na redzie w Bridge-town powitały ich działa i galeony wojenne, bo nikt nie chciał przyjąć statku pełnego chorych na zarazę. Szyper -Wallis zakotłosał się nad stołem, czknął potężnie - zmienił kurs, próbował szczęścia w San Juan i Tortudze. Wszędzie jednak witali go uzbrojeni żołnierze, pozamykane porty i okręty z nabitymi działami...

Pociągnął spory łyk z butelki.

- Krążyli po Karaibach - od portu do portu. Nikt nie udzielił im schronienia... Kończyła się woda. Kiedy trzymali się jako tako na nogach, wyrzucali trupy za burtę. Ale gdy cała załoga legła na hamakach, nikt już się o nich nie troszczył. Konali w mękach na deskach pokładu i w ładowni. A statek pędził gnany wiatrem.

Bane wyrwał butlę z ręki kompana, opróżnił ją jednym haustem, nie odrywając ust od szyjki, puste naczynie rozbił o własną głowę.

- Umarli wszyscy poza szyprem. Kapitan pozostał sam, na statku śmierci; na flucie, której nikt nie chciał przyjąć do portu. Płynął gnany wiatrem, aż wreszcie...

Wallis zachrypiał i umilkł. Podniósł ze stołu poźółtkłą kartę przesiąkniętą wonią cynamonu jak świąteczny placek.

- To 28. dzień zarazy - przeczytał. - Wszyscy umarli, zostałem sam na pokładzie pełnym trupów. Piję deszczo-

500 • Jacek Komuda

wą wodę, przegryzam zatęchłe resztki sucharów znalezione w ładowni. Nie mam sił, by wyrzucić za burtę ciała moich majtków. Statek gna przez sztorm na marslach. Ster pękł, więc nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie wola Pana. Przerywam ten pamiętnik i ukrywam go w beczce z cynamonem. Może szczęśliwy traf wyrzuci ją na brzeg. Idę, aby zamknąć się w kajucie i czekać na śmierć. Nie wiem, dlaczego nie zachorowałem, ale zdaje mi się, że one mają wobec mnie inne plany. Jest ich coraz więcej, mnożą się... Czuję, że wkrótce zaatakują. Teraz już wiem, że przenoszą zarazę i obgryzają trupy do kości. Podejrzewam w tym wolę Złego, myślę, że pragną rozprzestrzenić się i podbić cały Nowy Świat... Czy mam stać się narzędziem w ich rękach? Nie mogę do tego dopuścić. Idę do kajuty i niechaj Bóg zmiłuje się nade mną...

Bane podniósł głowę.

- Na kardynalskie kutasy, Wallis! - wycharczał z wściekłością. - W jakie łajno nas wprowadziłeś! Co to jest? Kim są owe one?

- Kiedy Stary Ben przyplłynął w licznej kompanii, aby obrabować wrak, były tu szczury. Tysiące szczurów!

- Nie widziałem na Eenhoornie nawet cienia łysogo ogona! - warknął pilot. - Jeśli nawet rozpleniło się tam szare tałatajstwo, to zdechło parę lat przed naszym przybyciem.

- A jednak wygląda na to, że szyper fluity zabarykadował się w kajucie przed nimi... Nie znaleźliśmy jego ciała. Czyżby skończył jak Davies? Bo pomyśl sobie sam, kto mógł mu zrobić tak straszną rzecz? Gotów jestem poniechać ładacznicy i rumu, jeśli to kara boża za to, że chciał zwiąć, podwędziwszy mi parę beczek ładunku! Ale, do stu francowatych kurew, czy ja wyglądam na biskupa,

Sześćset cetnarów piekłą

że Niebiosa mają mnie w opiece? Pytam się ciebie, do kurwy nędzy, kto obgryzł do kości trzech naszych ludzi? Przecież nie pchły w zębie!

- Myślisz, że to szczury? Przeszukaliśmy wszystkie kąty ładowni i każdy pokład! Grzebałem nawet w korzeniach i skórkach, które wzięliśmy z Eenhoorna! Nie widziałem nic! Zupełnie i zwyczajnie nic!

- Co robimy?

- Ty tu jesteś szyprem! Tyś nas ściągnął na tę przeklętą fluitę! Ty teraz poczaszkuj. Ja powiem ci jedno - schodzę na ląd w najbliższym porcie! Jeszcze mi życie miłe.

Ktoś załomotał do drzwi kajuty.

- Kapitaaaaanie! Kapitanie! - usłyszeli płaczliwy jęk.
- Co się dzieje?! - Wallis, zataczając się, podszedł do wyjścia, odsunął skobel i pchnął furtę. W ciemności stał przed nim Killick. Wielki chłop dygotał jak osika na wietrze.
- Obcy... Na pokładzie. Na fordeku. Na forkasztelu! Stoi... Kapitanie, błagam...

Wallis wyskoczył na główny dek. Cała załoga zgromadziła się przed rufową nadbudówką. Wszyscy w komplecie. Jedenastu chłopów, zbrojni po zęby - z nożami, cutla-sami, toporami; ściskając w garści pistolety i półhaki.

- Tam! - Bow wskazał w stronę fokmasztu. - Tam ktoś jest! Wyszedł... na pokład. Stoi. Nie rusza się.

Wallis otrzeźwiał w mgnieniu oka. Porwał za pałasz, ' skoczył do kajuty i chwycił pistolety. Jeden wcisnął za pas, drugi podsypał prochem, odciągnął skałkę.

- Za mną! - rozkazał i ruszył przodem.

Speedy Fortune nie była duża - wyminął kołkownię-cę grotmasztu, stanął na gretingu osztautowanym płótnem i linami. Drobny deszcz siekł twarze, okręt kołysał

502 - Jacek Komuda

się na wzburzonych falach, więc kapitan ledwie rozróżniał zarysy dziobowego relingu, przy którym majaczyła w ciemności smukła kolumna fokmasztu. Killick nie kłamał. Tam naprawdę ktoś stał. Wyniosła postać w kapeluszu, otulona długą peleryną. Nie poruszała się.

Podeszli bliżej forkasztelu. Ktoś zajęczał, inny modlił się cicho, charkotliwie. Bane kłął - jak pobożny Anglik miotał bluzgi na wszystkich świętych i Hiszpanów, wiele miejsca i uwagi poświęcając w szczególności jezuitom , i dominikanom.

Wallis pierwszy wspiął się po drewnianych szczeblach. Marynarze cisnęli się za nim. Choć było gorąco jak w piekle, czuł chłód. Do kroćset, co tu się działo?

Nieznajomy nie ruszał się. Stał odwrócony tyłem. Gdy światło latarni padło na jego pelerynę, kapitan uniósł brwi ze zdumienia. Coś kotłowało się pod mokrą tkaniną. Dziwne zgrubienie wędrowało po plecach nieznajomego, jak gdyby niewielki garb przemieszczał się pod jego opończę. Potem pojawił się trzeci, czwarty...

- Hej, ty?! - Jeśli Wallis chciał odegrać człeka twardego niczym skała, to właśnie jego aktorska kariera legła w gruzy. Głos załamał mu się, zabrzmiał piskliwie, prawie z płaczem, c- Co tu robisz, na Boga?

Nieznajomy odwrócił się przodem do całej załogi.

James zmarł. W tej jednej chwili pożałował, że nie może schować oczu do sakwy. Ktoś z tyłu zaśmiał się histerycznie, inny zawył, zakrzyczał, jakiś majtek jęczał przeciągle. Marynarze cofnęli się, pozostawiając kapitana sam na sam z obcym.

W postaci nieznanego wprost trudno było doszukać się podobieństwa do człowieka. To był trup. Wysuszony, kościsty, oblepiony resztkami skóry niczym indiańska

Sześćset cetnarów piekłą • 503

mumia. Ślepił się na nich dwojgiem białych, nieruchomych oczu.

Ale nie to było najstraszniejsze...

Był cały pokryty czarnymi, ślepyimi szczurami. Łaziły po jego piersi, po kościstych ramionach, poprzez dziury w wamsie i pelerynie wślizgiwały się do wnętrza, śmigały pod zasuszonymi żebrami, przemykały między nadgniętymi jelitami, chowały się w dziurach i otworach ciała. Ich długie, łyse ogony wiły się wśród kości, wąsate, ruchliwe łebki wynurzały co chwila z kłębowiska mięśni i ścięgien. Spoglądając na tę okropną postać, Wallis miał wrażenie, że człek, który stoi przed nimi, spoczywał w grobie przez lata - aż zgnił i zmurszał ze szczętem. Jedynym zaś, co ożywiało tę wstrętną figurę, były szczury, które przemykając wśród zasuszonych wnętrzności, zdawały się wprawiać w ruch mięśnie oraz ścięgna, tym samym przydając zwłokom pozorów życia.

Wyschnięte wargi upiora poruszyły się. W czeluści jego ust dojrzeli złośliwy łeb czarnego szczura i jego małe, pokryte bielmem oczka - niczym dwie plamki na sierści. Wallis miał wrażenie, że gryzoń mówi do nich, wykorzystując strupieszalą powłokę człowieka.

- Przejmuję statek, kapitanie - wycharczał trup. - Ja, Szczurzy Szyper... Przy mnie komenda... Przy mnie wola i siła.

Wallis w pierwszej chwili miał ochotę się roześmiać. To coś mówiło... Mało tego - żądało, aby załoga słuchała jego rozkazów. O, do stu... Co to miało znaczyć?!

- Kim ty jesteś, człowieku?! - wybełkotał. - Co tu robisz?!

- Jestem szyprem szczurów z Eenhoorna...

acek Komuda

- Co, do kroćset, uczyniłeś naszym ludziom?!

- Uczynię tak każdemu, kto nie posłucha - wycharczał z trudem truposz, a właściwie, jak sam był łaskaw się przedstawić - Szczurzy Szyper.

Wallis cofnął się, chciał wmieszać się w tłumek marynarzy, ale cała załoga, nawet Bane, odsuwali się odeń, jak gdyby na jego ciele właśnie pojawiły się pierwsze oznaki zarazy.

- Idź do diabła! - wybełkotał. - Szczeźnij, maro!

Marynarze krzyczeli, szlochali. Ktoś padł na kolana,

inny rzucił się do ucieczki.

- Wracaj do piekła, przeklętniku! - zaryczał Killick. - Na co czekacie, kamraci?! Zarąbcie go i po strachu!

Jednym ruchem uniósł pistolet i strzelił. Kula ugodziła Szczurzego Szypra prosto w brzuch, strąciła na pokład jednego szczura. Napuchły zewłok upadł z cichym łoskotem, jak worek pełen grochu, znacząc mokre deski krwią. Poruszał przez chwilę łapkami, walił ogonem, wreszcie znieruchomiał.

Killick skoczył na truposza. Nie zdążył do niego dobiec. Nagle usłyszeli pisk i chrobot. Szuranie i drapanie. Wallis spojrzął >v tył, dostrzegł, jak pokład wokół gretin-gu zaczyna roić się od czarnych plam... Jak plamy te łączą się w czarną, 'zbitą masę. Jak masa sunie przez główny dek w stronę forkasztelu, wspina się po drewnianych stopniach i ścianie dziobowej nadbudówki. Jak z szybkością błyskawicy pełźnie w ich stronę...

To było jak ósmy krąg piekieł. Ktoś wrzasnął, ktoś strzelił. Pokład zadudnił od kroków uciekających marynarzy. Jeden z majtków z wrzaskiem rzucił się za burtę. Kilku skoczyło na główny dek, popędziło ku fokwantom, szotom i brasom.

Sześćset cetnarów piekta

Szczury wpadły na dek forkasztelu, zaroili się między nogami tych, którzy wytrwali w miejscu, przemknęły po deskach w stronę Killicka.

Bosman zaryczał, opędzając się od nich pałaszem. Wrzasnął, kiedy czarne kształty poczęły wbiegać mu na nogi, kąsać w ręce, wdzierać się pod koszulę, pludry, kaftan. A gdy drgające ciała pokryły go zupełnie, Wallis przymknął oczy.

Pałasz Killicka padł na pokład - prosto w szczurzą ciżbę. Na jedną krótką chwilę pokryte czarną sierścią ciała rozstały się, odsłaniając deski. Broń zadudniła głucho, zabrzęczała na piankach forddku. A kiedy Wallis odważył się otworzyć oczy po raz drugi, nie było już Killicka, a tylko czerwony od krwi, objedzony do czysta szkielet spoczywający na deskach pokładu!

Nie było dokąd uciekać. Ci z marynarzy, którzy rzucili się na śródkręcie, wracali teraz, cofając się w stronę forkasztelu. Pozostali zbili się w gromadkę. A Szczurzy Szyper szedł ku nim wolno, pokryty harcującymi gryzoniami.

- Musicie słuuuuchać - wycharczał z takim trudem, jak gdyby od samego mówienia miał zaraz rozpaść się na kawałki. - Być posłuszni...

Ktoś zaśmiał się złowieszczo.

- Obierzcie kurs - wycharczał Szczurzy Szyper - prosto na Martynikę... Zbrasujcie reje, poluzujcie szoty... Ru- , szac się, bo nakarmię wami moje dzieci!

Marynarze posłuchali bez zbędnych słów. Spełniali rozkaz sprawniej i szybciej niż najprostsze polecenia Wallisa.

- Do lin i brasów! - zagrział Bane. - Szybciej, psie-krwie! Zmieniać kurs!

506 ■ Jacek Komuda

Wallis złapał się za głowę, gdy uświadomił sobie, że właśnie pozbawiono go dowództwa. Najgorsze zaś, że nie mógł nic uczynić - absolutnie i nieodwołalnie nic. No, może tylko strzelić sobie w łeb z króciicy.

Szczury cofnęły się. Poczęły znikać w luku, pod poszarpaną, poprzegryzaną płachtą zakrywającą greting. Zaś Szczurzy Szyper ruszył przed siebie, doszedł do rufowej zejściówki, wstąpił na schody i w jednej chwili, niczym duch, zniknął w ładowni.

Groza w kapitańskiej kajucie

Dopadli go, ledwie przekroczył próg kajuty. Dostał w łeb, poczuł, jak chwytają go dłonie stwardniałe od lin, smoty i pracy na morzu. Wydarto mu pistolet zza pasa, wyciągnięto pałasz z pochwy, wykręcono ręce w tył.

- Dawać go tu! - warknął ostry głos. Był wielce znajomy Wallisowi. Może dlatego zdawał się kaleczyć niby cierń.

Wallis zamrugał oczyma. Był w rękach swoich własnych ludzi - Banea i pięciu marynarzy. Ich miny i zaciśnięte pięści wymownie świadczyły o tym, że nie wpadli na przyjacielską pogawędkę nad butlą rumu. Wyglądało na to, że nie ruszą się stąd bez głowy byłego kapitana Speedy Fortune.

- Koniec z toją, Wallis - zawarczał Bane. - Ty nas ściągnęłaś na tę przeklętą fluitę; sprawiłaś, że staliśmy się niewolnikami w ręku czarta. Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, abyśmy dzięki tobie uwolnili się z matni.

Najmniej spodziewanie dla wszystkich, a zwłaszcza dla samego siebie, Wallis zachichotał.

Sześćset cetnarów piekła ■ 507

- Myślicie, że Szczurzy Szyper wypuści was z garści?! Chcecie mej głowy, to ją sobie weźcie! Pytanie tylko, co dalej, Bane? Gdyby ten charakternik pożądał mej duszy, tedy wierzajcie, pozostałyby ze mnie same kości, jak nie przymierzając z Daviesa albo Killicka. Nie, stary diable! On potrzebuje załogi i nie wypuści was z pokładu tak długo, dopóki nie dopłyniemy tam, dokąd zmierza.

- Ale my opuścimy jego. - Bane podniósł z podłogi drewniany ceber. - Przelejemy twoją krew, kompanie. Poderżniemy ci gardło, aby napełnić to wiadro po same brzegi. A potem odsuniemy greting i

zlejemy krew do ładowni. Na koniec zaś wrzucimy tam>twęj)jego trupa. Te małe futrzane diabły powinny wpaść w szal, czując tyle posoki. A kiedy szczury będą zajęte sprawianiem ci pogrzebu, spuścimy szalupę na wodę i poszukamy sobie lepszego towarzystwa! Przytrzymajcie go!

Stojący najbliżej Bow wyszczerzył w uśmiechu połamane zęby. Wyciągnął zza pasa marynarski nóż o szerokim ostrzu. Majtkowie unieśli Wallisa, przekręcili na płask tak, iż jego głowa znalazła się niżej niż reszta ciała. Bane podszedł z wiadrem, Bow złapał swego kapitana za włosy. Szarpnął głowę w górę, odstawiając szyję.

Wallis nie protestował. Było mu w zasadzie wszystko jedno, czy wykrwawi się w ramionach zdrajców, czy za chwilę zeżre go gromada rozwścieczonych szczurów. * A może nie protestował właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do swych oprawców widział to, co znajdowało się za ich plecami. A mianowicie drzwi do kajuty, w których stanął właśnie nieproszony gość ubrany w szaty prezentujące grobową elegancję nieboszczyka świeżo wyciągniętego z krypty.

508 • lacek Komuda

- Moje dzieci są głodne!

Głos zabrzmiał niczym pisk szczura, który spadł wprost do ognia. Przeszedł w charkot i warczenie, ledwie mogli rozróżnić poszczególne słowa. W kajucie powiało grozą. Majtkowie i pilot odwrócili się w stronę wejścia.

Na progu stał Szczurzy Szyper... Wyniosły, ogromny, przerażający. Szczury biegały po nim z piskiem. Czasem nadstawiały łebki ku ludziom, jak gdyby wietrząc ich przerażenie.

- One są głodne... Czują głód. Muszą jeść.

Bane nie był już taki pewny siebie. Cofał się, a Wal-, lis czuł, że jego zdradliwy kompan z chęcią czmychnąłby teraz za plecy majtków. Znał go od lat i wiedział, że pilot na Speedy Fortune był odważny tylko do pierwszego błysku miecza albo kropli krwi przelanej w bitwie.

- Jeden z was - wykrztusił Szczurzy Szyper. - Jednego oddamy... moim dzieciom...

- Ten, panie. - Bane skłonił się niczym przed monarchą i wyszczerzył wargi w obłudnym uśmiechu.

- Wallis znaczy... Dobry będzie. Sami go sprawić chcieliśmy.

Decyzja zdawała się słuszna, bo pomysł Banea od razu doczekał się pomruku aprobaty, a Bow - potężne chłopotisko o barach jak niedźwiedź, zarechotał głośno.

- Bierzcie go, panie szczury. Nada się najlepiej z nas wszystkich! * *

- Taaaak... Taaaak... Chodźcie, moje dziatki.

Wallis zamknął oczy, słysząc nadciągający szmer setek miękkich łapek. Zajęczał głośno, kiedy rzucono go na pokład. Wcisnął głowę w ramiona, skulił się, nie chcąc, aby szczury zaczęły nadgryzać go od twarzy, zaszlochał, wyczekując chwili, gdy poczuje pierwsze, jeszcze nieśmiałe igiełki bólu po ukąszeniach.

Sześćset cetnarów piekła

Nieludzkie wycie zmroziło mu krew w żyłach. Ale to nie był jego głos.

To krzyczał Bane. Szczury wbiegły na niego - obsiadły mu głowę, nurkowały pod ramionami, którymi nadaremnie młócił powietrze. Mógł strząsnąć z ciała dwa, trzy, lecz na ich miejsce zaraz pojawiały się następne. Wgryzły się w oczy, gardło, przebiły kaftan, docierając do brzucha, wciskając swe zwinne, okryte czarnym włosiem ciała w trzewia, odbyły, w usta i pod pachy. Bane ryczał; wył, gdy wielki czarny szczur wszedł w sam środek jego żywota, przegryzał się przez wnętrzności... Przez chwilę widzieli długi, łysy ogon wystający z krwawej dziury pod mostkiem pilota. Potem cały schował się wśród dymiących trzewi...

Wallis już nie patrzył. Nikt nie patrzył. Wszyscy stali, jakby nagle zamienili się w słupy soli. Każdy mógł być następny. Wystarczył tylko jeden gest Szczurzego Szypra.

Furia gryzoni zdawała się nie mieć końca. Tym razem nie bawiły się w ogryzanie ciała. Najpierw przecięły ścięgna, mięśnie i kości na ramionach, w pachwinach. Oderwane członki Banea poleciały w sam środek zwierzęcej ciżby, znikły pod krwiożerczą masą. Tylko co pewien czas na powierzchnię czarnego, futrzastego morza wynurzała się koścista, pokrwawiona ręka czy noga rwa- ' na mocnymi siekaczami potworków, a za każdym razem, gdy pojawiała się w polu widzenia, było na niej coraz mniej mięsa...

Szyper Eenhoorna odwrócił się ku bladym majtkom, wyszczerzył w uśmiechu trupie usta.

- Ładownia - wycharczał. - Chodźcie... pod pokład. Będziecie mi potrzebni.

acek Komuda

Diabelski fracht

Choć było ich tylko siedmiu, pracowali za trzydziestu. Szybciej i sprawniej niż grupa portowych tragarzy i bro-karzy posortowali skrzynie i beczki na cztery części.

- Te wyładujecie na Martynice - charczał Szczurzy Szyper, kiedy zabezpieczali fracht linami i siecią.
- Sprzedacie kupcom, podrzucicie na statki... Które zawiozą je do wszystkich portów Nowego Świata. A tam...

Nie musiał kończyć. Wallis wiedział dobrze, co stanowiło zawartość skrzyń. Przegniły szczurzy diabeł otwierał je przy nich po kolei, a wówczas cynamon, wanilia i srebro zmieniały się w czarne szczury wijące się wśród odpadków.

- Śpijcie spokojnie - świszczą szyper. - Poniesiecie śmierć do wszystkich miast i osiedli. Pomścicie załogę Eenhoorna. Traficie do portów, w których nie chciano udzielić nam schronienia. Taaaak, moje dzieci. Dzięki wam zrozumiałem, co mam czynić... Płyńcie dalej.

- Tamte skrzynie - wskazywał ręką z wyciągniętym kościstym paluchem, na którym przysiadł jeden ze szczurów - będą dla Barbados, dla San Juan, Tortugi i Port Royal. Dla Maracaibo, Vera Cruz, Havany, Santo Domingo... Bo odwiedzimy te wszystkie porty.

Wallis słuchał tego z przerażeniem. Już wiedział, jak pokrętny i złowieszczy plan zrodził się w umyśle potępieńca przemielonym na krwawą sieczkę zębami gryzoni. On chciał rozeseść zarazę po całych Karaibach; ponieść czarną śmierć do miast i osiedli! Pomścić cierpienia i śmierć swoich towarzyszy.

To już nie było ważne, czy Szczurzy Szyper wymyślił ten szaleńczy dramat, czy też - co niekiedy podejrzewał

Sześćset cetnarów piekła • Sil

hershzt przemytników - był strupieszalym zewłokiem, poruszany przez gryzonia niczym pacynka w jarmarcznym teatrzyku, i tak naprawdę tylko przekazywał wolę przeklętych krwiożerczych stworów. Najważniejszy okazał się fakt, iż Wallis nie był w stanie uczynić nic. Absolutnie nic, aby pokrzyżować mu szyki.

Płynęli do Martyniki położonej prawie na krańcu wielkiego archipelagu zakręcającego na mapach ku południowi. Wiatr mieli jak na nieszczęście prosto od rufy, ocean spokojny i gładki jak lustro.

Co będzie potem? - myślał Wallis. Co stanie się, kiedy rozładujemy już wszystkie skrzynie ibecfcki, kiedy nie będziemy potrzebni Szczurzem Szyprowi? Czy wtedy czeka nas dno? A może skończymy w żołądkach małych, włochatych bestii wiecznie spragnionych ludzkiej krwi?

Nie miał sił o tym myśleć. Dźwigał skrzynie, przetaczał beczki jak prosty tragarz albo majtek, a pot leciał mu jajcami. Cóż było robić - szyper z Eenhporn baczył na każdy ich ruch, a jego dzieci przysiadły w kątach ładowni, na schodni i wokół luku, wodząc wąsatymi pyszczkami za krzątającymi się ludźmi.

Kiedy skończyli, Szczurzy Szyper podszedł do nich wolno.

- Cho...odźcie tu... - wycharczał. - Potrzebuję was...

Podeszli dygocący, przerażeni.

- Moje dzieci - wystękał potępieniec - są głodne... Trzeba... Trzeba mi ochotnika. Spośród was.

Ktoś zaszlochał. Inny padł na kolana. Wallis modlił się, aby tym razem nie padło na niego.

Ma się rozumieć, iż nikt nie wystąpił. Na szczęście żadnemu z majtków nie przyszło na myśl, aby wskazać dawnego kapitana sniggi Speedy Fortune. A ten przy-

acek Komuda

hershzt przemytników - był strupieszalym zewłokiem, poruszany przez gryzonia niczym pacynka w jarmarcznym teatrzyku, i tak naprawdę tylko przekazywał wolę przeklętych krwiożerczych stworów

Najważniejszy okazał się fakt, iż Wallis nie był w stanie uczynić nic. Absolutnie nic, aby pokrzyżować mu szyki.

Płynęli do Martyniki położonej prawie na krańcu wielkiego archipelagu zakręcającego na mapach ku południowi. Wiatr mieli jak na nieszczęście prosto od rufy, ocean spokojny i gładki jak lustro. >

Co będzie potem? - myślał Wallis. Co stanie się, kiedy rozładujemy już wszystkie skrzynie i beczki, kiedy nie będziemy potrzebni Szczurzemu Szyperowi? Czy wtedy czeka nas dno? A może skończymy w żołądkach małych, włochatych bestii wiecznie spragnionych ludzkiej krwi?

Nie miał sił o tym myśleć. Dźwigał skrzynie, przetaczał beczki jak prosty tragarz albo majtek, a pot leciał mu jajcami. Cóż było robić - szyper z Eenhoorn baczył na każdy ich ruch, a jego dzieci przysiadły w kątach ładowni, na schodni i wokół luku, wodząc wąsatymi pyszczkami za krzątającymi się ludźmi.

Kiedy skończyli, Szczurzy Szyper podszedł do nich wolno.

- Cho...odźcie tu... - wycharczał. - Potrzebuję was...

Podeszli dygocący, przerażeni.

- Moje dzieci - wystękał potępieniec - są głodne... Trzeba... Trzeba mi ochotnika. Spośród was.

Ktoś zaszlochał. Inny padł na kolana. Wallis modlił się, aby tym razem nie padło na niego.

Ma się rozumieć, iż nikt nie wystąpił. Na szczęście żadnemu z majtków nie przyszło na myśl, aby wskazać dawnego kapitana sniggi Speedy Fortune. A ten przy-

acek Komuda

mknął oczy, poczuł, jak serce bije mu w piersi z taką siłą, że jeszcze chwila, a rozwali żebra!

- Nie ma chętnych - wycharczał szyper. - Dooobrze... Sam wybiorę.

Wszedł między struchlałych majtków, jak śmierć, która szuka hoźego zalotnika, by puścić się z nim w tany. Jednym ruchem smagnął po ramieniu Bowa, rozdarł mu koszulę, rozchlastał rękę. Poprawił po plecach, jeszcze raz i jeszcze... Marynarz wrzasnął, poleciał na beczki, skrzynki. Świeża krew trysnęła na pokład, na kłębiące się szczury!

I podziatała na nich jak czerwona płachta na rozjuszonego byka. W mgnieniu oka rzuciły się na Bowa, pokryły jego plecy, tors, ramiona, wspinały się na głowę. Majtek zaryczał. Wył i szlochał, dopóki pyski małych diabłat nie zaczerwieniły się krwią, dopóki miał jeszcze gardło i usta w całości...

Potem był tylko bezwładnym kłębem kotłujących się szczurów. A w chwilę później - zakrwawionym, doszczętnie objedzonym z mięsa szkieletem.

Szczurzy Szyper wyszczerzył bezzębne usta. Wszystkie gryzonie, które kłębiły się na jego ciele, zbiegły na pokład, aby przyłączyć się do uczujących pobratymców, więc teraz wyglądał niczym wysuszony trup - odarty ze skóry, z poWygryzanyymi dziurami i wnętrzościami na wierzchu.

Wallis spoglądał na niego i nagle oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Bez swoich dzieci Szczurzy Szyper zdawał się równie niebezpieczny, co nieboszczyk wyciągnięty po trzech miesiącach z grobu.

Biesiada była skończona. Szczury odstąpiły od szkieletu Bowa. Całymi stadami wchodziły do skrzyń i beczek, zagrzebywały się w śmieciach i resztkach przypraw.

Sześćset cetnarów piekłą •

- Nie zmieniajcie kursu - wycharczał Szczurzy Szyper. -Jutro wyznacicie... jednego z was. Dla moich dzieci. I tak każdego dnia. Obudzę się na... Martynice. Chyba że mnie zdradzicie. Wtedy przyjdę wcześniej... Bywajcie.

Podszedł do największego z kufrów, odrzucił wieko, ukazując wnętrze pełne szczurów kłębiących się wśród stosów śmieci, kości i odpadków. Wszedł do środka, wyciągnął się wśród gryzoni jak na puchowej pierzynie. Wieko zamknęło się z trzaskiem, z brzękiem opadł skobel. I wszystko ucichło.

A Wallis uśmiechnął się w duszy. Bo właśnie przyszło mu do głowy, co powinien uczynić.

- Rum, kamraci - rzekł do oniemiałych marynarzy. -Mam w kajucie beczkę rumu. Przyjdźcie do mnie za chwilę. Na frasunek dobry trunek.

I na szczury, dodał w myślach. Na szczury też!

Podstęp Wallisa

Nalewał im do pełna i udawał, że pije. Lał rum do garnców, dzbanów, kubków, czapek i kapeluszy. Nie protestował, kiedy zanurzali głowy w baryłce, oblewali trunkiem łby i ramiona, zataczali się, wyli i wrzeszczeli.

Czekał.

Szybko zaczęli się zataczać. Bełkotali coś do siebie, obściskiwali się, przyrzekając dozgonną przyjaźń, obiecując zaraz, za chwilę, rozwalić toporem łeb Szczurzego Szypra albo wymyślić sposób, aby uciec z tego statku jak najdalej.

To było dawno i nieprawda. Rosłe, czerstwe chłopy, z którymi jeszcze dwie niedziele wcześniej sprawnie wy-

acek Komuda

mykał się Hiszpanom i Holendrom, dziś były równie bezradne jak roczne dzieci. Wallis wiedział, że starczy jedno skinienie krzywego palucha szczurzego władcy, a narobią w spodnie albo poderzną gardło

temu, kogo jeszcze przed chwilą zwali swoim kompanem. A wszystko po to, aby oddalić choć na kilka chwil moment, kiedy szczurze hordy rzucają im się do gardła.

Pili rum. Ryczeli pieśni. Wygrażali szczurom.

Bawcie się dobrze!

Zaczął się od małego Bonnie, na którego wszyscy wołali Prince. Ten pierwszy padł na kolana, chwycił się za brzuch, zacharczał. A potem zwrócił na pokład wypity przed chwilą rum, zwałił się na twarz, miotał się i szar-, pał kaftan na piersi.

Przyjęto to krzykami i rubasznym śmiechem. Nic nie wzbudziło podejrzeń majtków, nawet gdy gruby Potts, ten sam, z którym Wallis przetrwał dwa sztormy i pogoń hiszpańskiego galeonu wojennego, oparł się o ścianę, osunął na deski i począł jęczeć, trzymając się za żywot.

A potem zaczęło się już na dobre. Padali wszyscy, klnąc i złorzecząc, miotani torsjami, drgawkami. Rzucali się w konwulsjach, wyrzucając najpierw nieprzetrawiony trunek, a potem plamiąc ręce i pokład krwią.

Umierali w mękach na oczach Wallisa, który nie wypił ani kropli rumu. Jęczeli i złorzeczyli, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jedynie Prince zwrócił pobladłą, wymęczoną twarz ku swemu kapitanowi, wpatrzył się w jego oczy, które mówiły tak wiele. Bonnie zrozumiał, co się stało, lecz nie starczyło mu sił, by rzucać klątwy na głowę Wallisa.

Kapitan odczekał, aż wszyscy padną pokotem, a potem podjął ze skrzyni ciężki abordażowy topór, wziął

Sześćset cetnarów peka

piłę i ruszył ku drgającym ciałom. Pochylił się nad Bon-niem i uśmiechnął zimno.

- Męczysz się, chłopie - wyszeptał. - Nie bój nic. Zaraz... pomogę ci skończyć.

Wziął zamach toporem i jednym ruchem odrąbał tamtemu głowę.

Prowiant dla maluczkich

f

Dwie klangi później - o ile miałby kto je wybijać - Wallis wytoczył się na główny pokład, taszcząc ogromny, zakrwawiony tobół pełen porąbanych ludzkich szczątków. Wywalał z płachty pod grotmaszt ręce, nogi, korpusy i głowy, z których otwartych ust wciąż jeszcze zwiślały nitki śliny lub sączyła się krew. A potem ądsunął luk ładowni, spojrzął w dół, na szczury wałęsające się wokół beczek i pakunków zabranych z przekłętej fluity, strzepnął płachtę nad otworem, strząsając krople krwi na buszujące po pokładzie diablęta z łysymi ogonami.

- Chodźcie, dzieciaczki! - zarechotał wesoło i cisnął łachman w dół. - Przygotowałem dla was ucztę! Prowiant dla maluczkich! Dalejże, strawa czeka!

Nie musiał ich dwa razy prosić. Wnet czarna fala szczurów wdarła się po stopniach, wypadła na pokład, zwietrzywszy krew. A potem rzuciła się w stronę stosu, na którym skończyli wszyscy marynarze Speedy Fortune z wyjątkiem ich kapitana.

Wallis śmiał się. Okrutnym, zimnym, bezlitosnym śmiechem, kiedy szarpały uda i golenie, przegryzały głowy, by dostać się do wnętrza czaszek, wyjadały oczy i policzki, szamotały się w zakrwawionych trzewiach.

Jacek Komuda

A potem, kiedy szczury objadły szczątki do samych zakrwawionych kości, dobył pałasza i począł schodzić w głąb ładowni.

Taniec z umrzykiem

Jednym uderzeniem topora rozwalił skobel u największej ze skrzyń wyciągniętych z wraku Eenhoorna. Kopnął w boczną ściankę i odsunął się.

- Wstawaj, sparszywiały trupozu! - rozdarł się tak głośno, że, zda się, zadrżały ściany ładowni. - Nie dopłyniesz na Martynikę. Pójdiesz na dno w tyłu kawałkach, na ile będę łaskawy porąbać twój śmierdzący ze-włok. Wyłaź ze skrzyni, szczurzy śmierdzielu!

Wiek odskoczyło tak nagle, że aż zadygotał. Śmieci, skrawki porwanej, zgniłej materii, kawałki drewna - wszystko to poleciało w górę. Ze szczurzych odchodów, trocin i pyłu .poderwał się wyschnięty, strupieszwały ze-włok.

Szczurzy Szyper...

Stali na wprost siebie w mrocznej ładowni. Potępieniec i kapitan najśłynniejszej sniggi przemytniczej na całej Jamajce. Władca szczurów i pan głębokich mórz. Obaj z długami zaciągniętymi u niewdzięcznych ludzi.

- Co to... zzzznaczy - wychrypiał szyper Eenhoorna. Na jego ciele nie było ani jednego szczura - wszystkie pobiegły na krwawą ucztę z załogi Speedy Fortune, popędziły na główny dek, aby wyszarpać dla siebie smakowite kęsy ludzkiego mięsa.

- To znaczy, że nie płyniemy na Martynikę - wyjaśnił prosto z mostu Wallis. - Jeden z nas wysiada za burzę,

Sześćset cetnarów pieka

panie szyper! Albowiem już najwyższy czas zakończyć wspólną nawigację.

- Dzieci... - wycharczał upiór. - Moje dziecieczki najmilsze. Chodźcie tu do mnie. Zaraz, jak najszybciej! Czeka na was...

Wallis nawet nie zadrżał. Nawet nie spojrzął na schodnię, na której miał pojawić się tłum rozwścieczonych gryzoni.

- Choooooódźcie - głos Szczurzego Szypra przeszedł w charkot, utonął w wyschniętej, pełnej dziur gardzieli, zniknął, szczeł. Nikt nie odpowiedział na jego wezwanie. Żaden szczur nie pojawił się w ładowni.

Wallis zarechotał. Śmiał się jak szaleniec, a potem uniósł pałasz.

- Wołaj zdrów! Jeden z nas zatańczy dzisiaj z diabli-cami, mości kapitanie!

Szyper Eenhoorna zasyczał jak szczur-broniący małych. Wallis spadł nań jak tajfun, tnąc pałaszem, rąbiąc abordażowym toporem, który przerzucił do lewej ręki. Potępieniec odskoczył, chlasnął przeciwnika po rękawie długimi, zakrzywionymi szponami, zasyczał jeszcze głośniejszym, gdy pałasz rozrąbał mu ramię. Wallis ciął jeszcze raz, poprawił toporem prosto w klatkę piersiową, wąż. Zaklął wściekłe, gdy żebra poddały się z trzaskiem, a ostrze wbiło się między poślizgnięte gnaty, uwięzło wśród zasuszonych ścięgien i kości.

Szarpnął stylisko w tył, ale dostał po rękę długimi paznokciami, krzywymi niczym ostrza mauretańskich szabel. Wrzasnął, kiedy pazury przejechały mu po ciele, wypuścił broń, odskoczył w bok. Potknął się - zwałił między beczki i worki, poderwał na nogi, wyrzucił barkiem w skrzynię.

8 • Jacek Komuda

Szczurzy Szyper szedł na niego z rozczapierzonymi szponami.

- Dzieci... - wycharczał. - Gdzie moje dzieci... Oddaj, szelmo!

- Masz! - Wallis podniósł pałasz, zastawił się przed atakiem, pierwszym ciosem ciął truposza w łeb, drugim odrąbał mu lewą rękę, przeciął z chrzęstem zmurszałe ciało i kości pod łokciem.

Upiór zawył. Nie bacząc na tkwiący w klatce piersiowej topór, rzucił się na Jamesa, godząc szponami w oczy kapitana.

Chybił!

W ostatniej chwili przemytnik zastawił się ostrzem, rąbnął na odlew, poprawił, umknął spod kościstego ramienia i rycząc z wściekłości, począł ciąć przeciwnika. Bił, krzyczał, chlastał pałaszem; odrąbał drugą rękę, roz-* walił czerep, uderzył w obojczyk z taką siłą, że ostrze zatrzymało się na żebrach pod pachą.

Zakończył walkę, a w zasadzie egzekucję, efektownym płaskim ciosem. Z chrzęstem i trzaskiem zdjął okrutnemu wrogowi czerep z karku, uwolnił chude, kościste barki potępieńca od paskudnego łaoba ozdobionego parą wytrzeszczonych trupich oczu.

A potem pozostało już tylko rąbać. Pracę ile tchu w piersi, rozwałać kości i żebra, kruszyć pod obcasami odrąbane ręce i dłonie.

I to już był koniec. Wallis przyjrzał się rozrzuconym na pokładzie szczątkom, a potem otarł krew i pot z czoła. Sięgnął po lampę, przechylił ją, wylał oliwę na to, co pozostało jeszcze po Szczurzym Szyprze, a potem podpalił. Przez chwilę, patrzył, jak ogień liże kości, strzępy skóry i zetlałej materii. A potem odszukał beczkę z rumem,

Sześćset cetnarów pieklą • 519

rozrąbał ją toporem, oblał skrzynie i baryłki zabrane z Eenhoorna. Długo rozkoszował się widokiem płomieni, które szybko objęły półbeczki, sieci, liny i pakunki, skoczyły w górę, zahuczały i wzniósły się aż do odsuniętej kraty górnego luku.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku ruszył na pokład. Powoli stawiał kroki, jak gdyby do każdej z nóg miał doczepiony dwudziestofuntowy odważnik. Po desperackiej walce opadł z sił, w głowie czuł narastający zamęt, po całym ciele rozchodził się ból krwawiącej ręki rozszarpanej szponami Szczurzego Szypra.

Na głównym deku, wokół grotmasztu, panował spokój, ale bynajmniej nie porządek. Za taki bajzel Wallis gotów byłby powiesić wachtowego na noku grotrei - gdyby oczywiście jeszcze było kogo wieszać na tym wymarłym statku. Deski usiane były setkami, tysiącami zdechłych czarnych szczurów. Spoglądał na ich zakrwawione pyski, wydęte brzuchy, zwieszające się bezradnie tyse ogony. I śmiał się. Wył tak, że zdawać by się mogło, iż słyhać go aż na Cubie i Martynice. W Maracaibo i na Florydzie. I wszędzie tam, dokąd chciał ponieść zarazę przeklęty szczurzy pomiot z Eenhoorna. Wallis miał tylko nadzieję, że sam nie poczuje któregoś dnia dymienie pod pachami. To niepokojące przecucie kołatało się gdzieś w głębi jego duszy, powracało wciąż, natrętne niby stary lichwiarz nachodzący klientów. Lecz teraz nie miał siły, aby je rozpamiętywać.

Zabił szczury flakonem trucizny, którą dał mu Be-ckett na wybrzeżu Port Royal.

- Nie, nie dawaj im tego od razu, nie dolewaj do strawy... - zaszemrały mu w uszach słowa starego moczygę-

Jacek Komuda

by. - Znajdź świnię, psa albo kota i wlej mu to do gardła. A kiedy zdechnie, podrzuć im ścierwo...

Pocziwy Stary Ben pewnie nie przypuszczał, że truciznę można było podać najpierw człowiekowi.

Tak jak uczynił Wallis. Zamiast szukać świni czy psa, dolał indiańskiego eliksiru do beczki z rumem, którym uraczył swych marynarzy. A potem zatrute porąbane kawały ludzkiego ścierwa podrzucił na główny pokład, nakarmił nimi szczury potępionego szypra.

Ot i wszystko. Sposób równie prosty, co kolumna grotmasztu.

Lecz jakże skuteczny.

Wytoczył na pokład beczki z rumem i oliwą. Opuścił szalupę. A potem polał płynem szczury, pokład i gretingi, podpalił i przez chwilę wpatrywał się w ogień pożerający Speedy Fortune, na której odbył tyle szczęśliwych rejsów. I tyle razy wymykał się celnikom, marynarce, poborcom. Palił swoją fortunę razem ze szczurami, z zakrwawionymi kawałami ludzkiego ścierwa, które pozostało po jego towarzyszach, z resztkami Szczurzego Szypra. I z ponad sześcioma setkami cetnarów srebra, korzeni i towarów zrabowanych z Eenhoorna, które w ładowni zamieniły się w żywe, porośnięte czarnym futrem bestie z łysymi ogonami.

Podpalał jak szalenię wszystko, co tylko się dało. A potem, kiedy płomień poczęły sięgać aż do żagli, napiętych szotów i brasów, cisnął pochodnię przez otwarty luk do ładowni, zszedł po drewnianej drabinie do szalupy, aby raz na zawsze opuścić splugawioną i skrwawioną Speedy Fortune,

Sześćset cetnarów piekła • 521

Zapłata

Dorwali go, kiedy topił wspomnienia ostatnich dni w podłym rumie w tawernie przy Rybnym Rynku na Martynice. Dorwali zupełnie niespodziewanie, w tak niewiarygodny sposób, że szyper Speedy Fortune gotów był podejrzewać Buskena o czarnoksiężskie praktyki. Wszak Wallis nie nazywał się Wallis, ale La Molle i był czcigodnym poddanym któregoś tam z kolei Ludwika Burbona. Wszak nie był takim głupcem, aby po zniszczeniu sześciuset cetnarów frachtu wracać jak gdyby nigdy nic do Port Royal, by wpaść w łapy dyszącego żądzą zemsty lichwiarza.

A jednak stało się... Tom i jeszcze dwóch rosnących, śmierdzących dziegiem drabów porwało go za ręce, wykręcili je do tyłu, aż zatrzeszczały stawy. A potem powlekli szypra do małej izdebki na tyłach karczmy. Ma się rozumieć, iż Wallis wrzeszczał, kwiczał jak zarzynane prosię, stawiał się, ale nic nie wskórał. Nikt z gości nawet nie podniósł głowy, gdy wywlekali go z gościnnej izby. Buskena i jego ludzi nawet tu, we francuskim Fort-Royale, otaczała zbyt ponura reputacja, aby podniósł się chociaż jeden głos protestu. Więc każdy z żeglarzy, pijaków i bywalców tawerny kładł uszy po sobie, wtulał głowę w ramiona i modlił się w podzięciu do Jezusa i wszystkich świętych, że to nie on wije się jak karaluch w mocarnych łapskach Toma.

Na zapleczu posadzili Wallisa na krześle przy stole, na którym spoczywały długie bretnale, nóż o szerokim ostrzu, a także ciesielska piła w niezbyt miłym towarzystwie również ciesielskiego dłuta.

Jacek Komuda

- Towary! - wyszczał, ćmiąc fajkę, Piet Corneli-szoon Busken, który zasiadał po przeciwnej stronie blatu. - Fracht z Eenhoorn, mój ty niegrzeczny chłopcze! Miałeś dostarczyć go po czterech dniach, a tymczasem minęły już dwie niedziele. Czy ja zawsze muszę przypominać ci o naszych kontraktach po czasie?

- Te przeklęte korzenie, skóry i srebro leżą na dnie morza! - warknął Wallis. - Zgłoś się do Lewiatana po swoją należność, Busken, bo ja nie jestem głupcem i nie będę rabował dla ciebie przeklętych statków!

- Jaka szkoda. - Holender pokiwał głową. - Mój drogi przyjacielu, spieszę cię ostrzec, że w takich okolicznościach będziesz miał niejaki trudności z dostarczaniem kolejnej kontrabandy do holenderskich i hiszpańskich osad. Wiesz, co to znaczy?!

Szyper wiedział aż zanadto dobrze.

- A może masz coś na swoją obronę, mynheer Wallis?

- Ura...towałem Nowy Świat! Port Royal! Ciebie, tych wszystkich... Przed zarazą. Którą chciał roznieść... Szczurzy Szyper - wydyszał Wallis. - Ocaliłem twój zadek przed czarnym morem, ty lichwiarska, francowata zarazo!

- Tak myślałem. - Holender wsunął cybuch fajki pomiędzy zęby, " ćmił ją przez chwilę, wydmuchując dym w kształcie kótek. - Kłamie, kręci i łże prosto w oczy. Tom, poczynajcie!

Wallis krzyczał z przerażenia, potem wył z rozpacz, gdy Negr przybijał jego rękę gwoździami do stołu. Wzywał pomocy, kiedy niewolnik ostrzył nóż. A gdy rozpoczął dokonywanie smutnej czynności, obłądny ryk kapitana poniósł się ulicami aż do samego Mount

Sześćset cetnarów piekłą

Pelee i w drugą stronę - do północnych doków. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przechodnie odwracali głowy i spieszonym krokiem odchodzili spod starej ta(werny. I tylko w duchu cieszyli się szczerze, że to nie im przypadła rola interlokutora w tym niewesołym kolokwium z lichwiarzem Pietem Corneliszoonem Buskenem.

Spis treści

- Andrzej Pilipiuk

Parowóz /7

- Michał Cholewa

Ognisko 11 /37

- Jakub Ćwiek

Dom na wzgórzu /83

- Rafał Dębki

Ketew Meriri /171

- Anna Kańtoch

Światy Dantego /22S

- Paweł Siedlar

Piwnica /297

- Tomasz Duszyński

Antidotum /391

- Jacek Komuda

Sześćset cetnarów piekła /463

iv i'%' < v » " A}.-

ar

»» a (, 1 n i o n a 1 i o i a

NIEULĘKLY

f A (J k I A M I' I') I' I I

Jack Campbell Zaginiona flota. Nieulętkły

Ze Światami Syndykatu Sojusz walczy od 100 lat. Właśnie stanął na krawędzi totalnej porażki. Jego flota została pokonana i uwięziona w głębi terytorium wroga. Jedyłą nadzieją na ocalenie jest człowiek, który po stuletniej niemal hibernacji odkrywa, że stał się obiektem... kultu.

Czyny kapitana Johna „Black Jacka” Gearyego zna każdy uczeń Sojuszu. Po pierwszej bitwie wojny stuletniej uznano go za martwego. Wiek później, cudem ocalony z kapsuły ratunkowej, zasiąść musi w fotelu dowódcy skazanej na nieuchronną zagładę floty. Okazuje się człowiekiem dalekim od propagandowego obrazu. Wie jednak, że dowieszenie wykradzonego klucza hipernetowego do przestrzeni Sojuszu jest jedyną szansą na zakończenie długiej i krwawej wojny.

978-83-60505-99-1

Jim C. Hines Zadanie goblina

W życiu wiele trzeba znieść, od sprzątnięcia goblinich wygódek, poprzez „syfne dyżury”. Jednak udręka ta zda się rajem, gdy zostaniesz gobliniskim zwiadowcą, który ostatnim przedśmiertnym wrzaskiem ostrzec ma innych o niebezpieczeństwie. A potem ciach! I koniec misji!

Z lekko histeryzującym pajakiem na głowie i tępy jak pomyślunek ścierwojada nożem kuchennym za pazuchą, Jig wyrusza na spotkanie nieznanego. Tam, gdzie nigdy wcześniej nie dotarł żaden goblin. W towarzystwie, w którym absolutnie nie powinien się znaleźć. Po coś, co nigdy nie powinno zostać odkryte. I - jak było do przewidzenia - jest strzeżone przez coś absolutnie potwornego...

i K

redakcja serij Eryk Górski, Robert Jakuta projekt oraz grafika na Okładce Paweł Zaręba redakcja Dorota Pacyńska korekta Barbara Caban, Magdalena Byrska skład Dariusz Haponiuk

fk FII-I H'M liitaj

sprzedaż internetowa

merlin.pl

zamówienia hurtowe Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o. 05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91 tel./fax: (22) 721-30-00 www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

wydawca Fabryka Stów sp. z o.o. 20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c www.fabryka.pl "T"*5'6™ e-mail: biuro@fabryka.pl

druk i oprawa OPOLgraf S.A. www.opolgraf.com.pl